

PRZEGLĄD POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 113.

ROK PIĘTNASTY. — TOM LX.

PAŹDZIERNIK, LISTOPAD, GRUDZIEŃ.

1898.

KRAKÓW.

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

1898.

PROGRAM NOWEJ POLSKIEJ POEZYZI.

Przed kilku miesiącami ogłoszono w pewnym organie „młodych“ aż dwoma proklamacyami nowy program polskiej poezyi. Programi zszedł na arenę ze spuszczoną przyłbicą, w tych tajemniczych, jak na czytający ogół, sformułowany słowach: „młodym poetom i artystom chodzi o uplastycznienie nagiej duszy, o pojęcie jej istoty“.

Pojawienie się dzisiaj programu lub kierunku literackiego nie niesie już w swoim łonie tych gromów i nawałnic, jakie zazwyczaj każda nowa reforma z sobą przynosi. W ostatnich kilkunastu latach tyle razy zapowiadano na Zachodzie nową epokę przyszłej sztuki, tyle rzucono w świat programów, które albo pozostawały w sferze projektów, albo przeciętnie stwarzały, z nielicznymi wyjątkami, karykatury, że dłuższa przerwa w zjawianiu się nowych kierunków byłaby dzisiaj uderzającą nowością. Na wszystkich rodzajach powiewały już nowe sztandary: powieść, epika, liryka, dramat, wszystko to przybierało już w ostatnich czasach najrozmaitsze formy i odmiany. Nie zniknął jeszcze z horyzontu realizm Flauberta i Zoli, ledwo rozwijać się zaczęła powieść psychologiczna Bourgeta, a już Huysmans wprowadza w galerię powieściowych postaci nową postać, typ zwyrodnienia księcia des Esseintes, a chwilę potem w Katedrze w Chartres przekształca powieść w podręcznik architektonicznej symboliki. Nowy dramat Ibsena zamieniający scenę bohaterów w gorzką krytykę współczesnego społeczeństwa, dziś już należy do przestarzałych wynalazków. Już obok Ibsenowskich dramatów świeciły swoje weselne dni marynetkowe na-

stroje Maeterlincka, a i po tych sprzątnięto już kulisy ze sceny i zastąpiono ich miejsce wizyonerskimi baśniami Hauptmanna. Epikom i lirykom nie wystarczał styl obrazowy, ogłoszono więc światu, że poezya powinna przemienić się w malarstwo, że każde słowo powinno być pełne powietrza i słońca, i często bez względu na psychologiczny wątek przewodniej myśli zaczęto zestawiać obok siebie szeregi symbolów, alegoryj i obrazów. I ten program jeszcze był niewystarczający; nietylko słowo każde powinno być obrazem, ale i pojedyncze zgłoski powinny wywoływać wrażenie koloru. I rzecz śmieszna, ale prawdziwa — p. René Ghil ogłasza światu dogmat kolorowych samogłosek, że A jest czarne, E białe, I niebieskie, O czerwone, U żółte. To byłaby malarska strona poezji, ale poezya powinna być i muzyką, każdy wiersz powinien harmonijnie i równocześnie wywoływać zjawisko światła i dźwięku. A więc dotychczasową podstawę rytmu ilościową zastąpić trzeba akcentuacją muzykalną, więc niezbędne są jak najczęstsze, nieraz zupełnie bezmyślne, powtórki tych samych słów i tych samych wierszy, konieczne są także najoryginalniejsze odmiany metrycznych form, aby wywołać w uchu wrażenie muzycznego tempa.

Są to tylko niektóre zewnętrzne kształty dzisiejszej myśli literackiej, myśl sama w najrozmaitszych rozbiega się kierunkach. Obok najczarniejszego pesymizmu mieści się mglisty symbolizm i skrajny mistycyzm, dalej idzie indywidualizm, niekłępujący się żadnym szablonem, często i żadnem prawem, a przekształcający się w ostatnich czasach w nitschianizm i tyle różnych odcieni znużonej, przenerwowanej i zwyrodniałej duszy — nazywanych dekadentyzmem — poczynawszy od Baudelaira, od neurastenicznych halucynacyj Rollinata i bluźnierstw Richepina, a skończywszy na psychologii chorych dusz Przybyszewskiego.

Programów więc i kierunków literackich dziś nie brak i z tego względu ten ostatni program, o którym mówić chcemy, nie przedstawia interesującego wypadku. Ale jest inna strona tego faktu, która na głębszą zasługuje uwagę.

Cokolwiekby ktoś o obecnej polskiej poezji sądził, ten jej jednak przymiot przyznać musi, że wobec dzisiejszych skrajnych

kierunków Zachodu trzymała się dotąd w ogólności z rozsądną rezerwą. Taki p. Przesmycki, reprezentujący ambasadę Maeterlincka w Polsce, lub p. Lange, apostoł symbolizmu, są odosobnionymi wyjątkami, wzmacniającymi regułę. Trafiło się czasem, że jeden, drugi z poetów pod wrażeniem nowości spróbował naśladownictwa. ale zwykle po krótkiej chwili jakaś szlachetna miara kazała mu porzucić łamane sztuki i iść dalej za własnem natchnieniem Tymczasem ostatni program¹, wprowadzony z dość wielką wrzawą, z wszystkimi przyborami uroczystości, nosił na sobie znamię jakiegoś ogólniejszego przełomu i całkowitego zerwania z dotychczasowem stanowiskiem. Ze wszystkich oznak zewnętrznych przypuszczać trzeba było, że ten sztandar nie jest wywieszony przez jednego, ale że pod nim zaczyna formować się legion, kto wie może i grupka tylko, a już zupełnie było widocznem, że grupka ta oddaje się całkowicie pod komendę nowych, zachodnich haseł.

Czy program ten będzie miał szczęśliwszą dolę i trwalszy byt, niż inne, dzisiejsze literackie kierunki, a zwłaszcza czy potrafi pociągnąć ku sobie umysły polskie, zapewne już niedaleka przyszłość pokaże. W każdym razie, zanim rozstrzygną się losy krótka dyagnoza tego programu nie będzie zbyteczną.

I.

Program nagiej duszy przekroczył naszą granicę pod egidą p. Przybyszewskiego. Właściwie trzeba by powiedzieć, że p. Przy-

¹ Historia tych proklamacyj jest następująca: P. Szczepanowski, poruszony jakąś rozprawą sławiącą d'Annunzia, umieścił w *Słowie Polskiem* artykuł przeciw przeszczepianiu dzisiejszych literackich kierunków Zachodu do naszej literatury, pod tytułem: „Dezynfekcja prądów europejskich“. Przeciw temu artykułowi pojawiła się w *Życiu* rozprawa młodego poety, p. Szczepańskiego, pod tytułem: „Sztuka narodowa“. Wkrótce przeciw p. Szczepańskiemu zabrał w *Przeglądzie literackim* głos p. Zdziechowski w artykule, zatytułowanym; „Spór o piękno“. Na to ogłosiło *Życie* w szeregu artykułów, rozprawę „Młoda Polska“, w tym samym duchu, co „Sztuka narodowa“, pisaną przez młodego literata, kryjącego się pod pseudonimem. Oprócz pomienionych rozpraw odnosi się jeszcze do tej sprawy szereg pomniejszych artykułików i notatek. Program nagiej duszy był postawiony w rozprawie p. Szczepańskiego i bezimiennego autora „Młodej Polski“.

byszewski jest jego rodzicem i że kierunek ten zaczyna się z pojawieniem się pierwszych psychologicznych studów tego autora, pisanych w języku niemieckim, w formie powieści. Z każdym następnym tomem kształty nagiej duszy przemieniały się w stałą teorię, w której ramach autor zamknął całą swoją indywidualność. Przed trzema laty ogłosił Przybyszewski kilkukartkową broszurę (*Pro domo mea*), stanowiącą przedmowę do jednego z pism, w której jasno swój program wyłożył. Program ten wzięli nasi autorowie za podstawę swoich proklamacyj; obrali go tylko z niektórych rażących ekscentryczności, któreby przy pierwszej reprezentacji nie działały zachęcająco, a znowu, może dlatego, żeby nie kępować się jedną tylko indywidualnością, podciągnęli pod jego kategorię nazwiska kilku bardziej znanych, dzisiejszych zagranicznych pisarzy, których, ściśle rzecz biorąc, pod pewnemi chyba tylko warunkami do towarzystwa nagiej duszy wciągnąć można. W ten sposób powstał program składany: co do nazwy i głównej zasady jest on własnością Przybyszewskiego, co do swej rozciągłości zaś jest odbiciem kilku kierunków, mających pewne wspólne cechy z teorią nagiej duszy.

Same proklamacye, w sobie wzięte, zwłaszcza druga, zatytułowana: „Młoda Polska“, były pisane ze szczerem przekonaniem o słuszności swej sprawy. Znać było, że ci ludzie, gdyby żyli w czasach Mickiewicza, torowaliby drogę „Balladom“ i „Odzie do młodości“ i zapewne pisaliby sami w duchu rodzinnej, romantycznej poezji. Zwłaszcza zapewnienia, jakie w tym programie złożyli, o najlepszych chęciach względem ojczyzny i wyższych swoich dążeniach, były tak szczerze, że nikt chyba w ich prawdziwość i wartość wątpić nie może.

Ale poza tem wszystkim istnieje dla nich smutna dzisiejsza rzeczywistość, która zakresła obecnej literaturze inną drogę, niż ta, jaką szła dotychczasowa nasza poezya. „Żyjemy w czasie wielkich bankructw idei,—pisze autor „Młodej Polski“—które niedawno poruszały umysły, wywoływały wiosnę ludów, były natchnieniem poetów. W miarę rozczarowań do życia społecznego i jego typowego produktu, t. j. do współczesnego fi-

listra, rwały się więzy między jednostką a temże społeczeństwem, wzrastała niechęć i protest przeciw banalności i bezduszości zorganizowanej masy i przeciw tym wszystkim objawom duchowym, jakie w tem gminowładztwie zmateryalizowanego obywatela znajdowały swe źródło. Umysły wrażliwsze i głębsze, straciwszy szacunek dla filistra i sympatyje dla ruchów społecznych, poczęły wycofywać się z życia i szukać innych, trwalszych jego wartości. Zwrócono się do ludzkiej duszy oderwanej, poczęto cenić indywiduum jako takie, jako osobny, w sobie zamknięty świat i swoim najwyższym prawom podległy. Odbył się w nowszej literaturze współczesnej jakby nowe odkrycie duszy; spostrzeżono, że poza zewnętrznem jej życiem istnieją całe głębie nieobjęte światłem dziennem, całe tłumy uczuć i przeczuc, które nigdy w gwarze życia nie przychodzą do głosu... Dla pisarzy takich, jak Maeterlinck, Huysmans, d'Annunzio, Verlaine, Przybyszewski, najżywszym przedmiotem kontemplacji artystycznej stała się oderwana, tylko na tle zagadki bytu badana dusza, a głównym motywem twórczości to, co dla tej duszy ludzkiej poza codziennością i zmiennością życia stanowi i stanowić będzie źródło najgłębszych wstrząśnień wewnętrznych: śmierć i miłość.

Taką byłaby w myśl programu geneza i istota nagiej duszy. Jest ona naszkicowana tylko lekko i ogólnikowo, a wskutek tego jej rzeczywista fizyonomia i główne rysy charakterystyczne zatarły się i zamazały. Na podstawie dzieł pisarzy, wymienionych w programie, postaramy się o wierniejszy i dokładniejszy obraz nowego tego ideału.

Przystępując do rzeczy musimy z góry jasno określić nasze stanowisko. Gdyby program „Młodej Polski“ postawił w ogólności literaturę dzisiejszą Zachodu za wzór i ideał naszej poezyi, dyskusya nasza nie obeszłaby się bez wielu zastrzeżeń. Powstają i dzisiaj dzieła o wybitniejszej artystycznej wartości, choć co prawda nieliczne i nietworzące epoki, takie jednak, które dla młodych talentów mogłyby mieć jakąś moc ożywcza. Są inne utwory, które krytyka najrozsądniej ocenia, gdzie jednak wśród wielu zboczeń błąka się po kątach czy wielki pomysł, czy wogólności jakiś promień piękna artystycznego. A nawet wobec

niektórych kierunków, które wydają nam się skrajnemi, jak na przykład wobec mistycyzmu, nie można jeszcze zająć całkowicie zdecydowanego stanowiska. Najpierw są one jeszcze chwiejne niejasne, więc i niepodobna przewidzieć, jaki pokaże się widnokrąg, kiedy mgły się rozwieją, a powtóre, i to najważniejsza, nie można do wszystkich rzeczy nowych przykładać starą miarę dotychczasowych teoryj. Tak niedawno temu robiła krytyka Hauptmanowi zarzut, że w ostatnich jego utworach niema dramatycznej akcji, która do istoty dotychczasowego dramatu należała. Można sprzeczać się o nazwę tego rodzaju utworów, czy są one dramatami, czy nie, ale dlaczegoż nie mogą istnieć dzieła sceniczne, na innej jak dotąd budowane podstawie? Jak we wszystkim na świecie, tak i w sztuce jest ewolucya.

Nie myślimy też programu nagiej duszy z tej strony atakować, że nie uwzględnia on pierwiastków narodowych i religijnych, a nawet je i wyklucza. Byłoby bardzo pożądanem, żeby sztuka każdego kraju zachowała swoje rodzime znamię, bo taka indywidualność wielką wartość dodatnią przedstawia. Zwłaszcza w naszej ojczystej doli byłoby nawet najnaturalniejszą rzeczą, gdyby sztuka zestroiła harmonijnie z artystyczną wartością ideały społeczno-narodowe. Ideały znowu religijne dobrze pojęte i sercem wielkiego artysty odczute, już na mocy samego swego przedmiotu stawiają poezję na najwznioślejszej wyżynie, na jakiej ona stanąć może. Jakkolwiek więc wykluczenie pierwiastków narodowych i religijnych z programu młodej naszej poezji, tylko na jej stratę wyjść może, mimo to walki o nie nie staczamy, dlatego, że chcemy pretensye nasze ograniczyć do najmniejszej możliwie miary. W dyskusyi o narodowość i religijność szłoby nam o doskonalszy stopień poezji, gdy tymczasem przy nagiej duszy idzie już o zachowanie najprostszych i najelementarniejszych podstaw sztuki, o ochronę jej od całkowitego upadku.

Stanowisko nasze przeciwne temu programowi, opiera się na tem najprostszem w świecie rozumowaniu: Wszelka apriorystyczna wyłączność i ekskluzywna jednostronność na jakimkolwiek terenie i w każdej sprawie, a więc i w sztuce, jest błę-

dną w sobie, a w skutkach tem fatalniejszą, im to zamknięcie się jest bardziej ciasne. Już zaś tak wyłącznym, jednostronnym i niemożliwie ciasnym jest omawiany program.

Zacznijmy od najniższego stopnia tej wyłączności, gdzie jednostronność w najłagodniejszej jeszcze przejawia się formie, a za przykład weźmy poezję Maeterlincka, którego nazwisko było także w ten program wciągnięte. Właściwie Maeterlinckowi o nagiej duszy, jako takiej, ani się śniło; zwłaszcza, jeżeli idzie o seksualne popędy, które kwintesencją programu Przybyszewskiego stanowią, to trudno byłoby znaleźć drugiego pisarza, którego poezye byłyby bardziej od tego rodzaju instynktów wolne. Owszem Maeterlinck zdaje się w utworach swoich rozmyślnie gromadzić tego rodzaju obrazy, któreby wszelkie żywsze pożądanie tłumili. Widnokrąg belgijskiego symbolisty ponury i posepny, zamyka w sobie tylko cmentarze i izby chorych. Każda z postaci zjawia się z przestachem w oku, lub z jakimś groźnem przecuciem zbliżającego się nieszczęścia, wszędzie dokoła zaród śmierci i straszna nieokreślona groza. Z tego więc względu Maeterlinck pod ten program nie dałby się podciągnąć.

Ale jest inna cecha, łącząca go z nagą duszą, o ile ogólną dążnością tego kierunku jest wyłączenie zajęcie się jakimś tajemniczymi, nieuchwytnymi, kryjącymi się w najgłębszych mroczkach natury ludzkiej, momentami psychicznymi. Maeterlinck rzeczywiście obrał sobie za jedyny i wyłączny motyw jakąś tajemniczą sferę, zupełnie od rzeczywistego życia oderwaną, w której istnieją jakieś instynkty nie wychylające się na próg jasnej świadomości, nieokreślone przecucia, niejasne sympatyje i antypatyje. Żeby przedstawić obrazowo, nietylko nieuchwytnie przecucia, ale bardziej jeszcze nieuchwytną fazę ich powstawania, bierze do pomocy przyrodę, która dotychczas w dramacie grała tylko rolę tła i dekoracyi i wyznacza jej rolę czynną, każe jej współdziałać z człowiekiem, odzywać się doń tajemniczo nadzwyczajnymi zjawiskami. Stąd przez wszystkie kartki Maeterlincka szumią tylko wichry, słychać jakieś tajemnicze pukania, szaleją nawałnice, pioruny biją w wiatraki i w wieże

zamkowe, po dachach skaczą zielone płomienie, księżyc wschodzi cały czarny, a krzyże nad kaplicą poruszają się i spadają do fosy. Wśród tych przerażających zjawisk przesuwają się ludzie jak cienie, o twarzy sinej lub o cerze woskowej, wybladli, wystraszeni, drżący i niezdający sobie sprawy z przyczyny swego przeczucia, czy przestachu — ludzie wyrwani nie z życia ale z ciężkiego snu gorączkowego, których tyranizuje tylko bez mocy odporu jakieś uczucie lub przeczucie, za swoje czyny zupełnie nieodpowiedzialni i wogóle niepoczytalni. Właściwie nie są to ludzie, ale maryonетки, wyprowadzone na scenę tylko dla wywołania uczucia grozy lub strachu. W poezyi Maeterlincka niema charakterów ludzkich, ani ludzkiego życia, niema czynów, ani idei, żadnych aspiracyj i dążeń, żadnego rozumu szukającego prawdy, ni woli, obejmującej swoje dobro, niema jakiegokolwiek celu, niema szczęścia, — jest tylko garstka głuchych, nieokreślonych, chorych przeczuc, stojących poza życiem rzeczywistym i otaczającym światem, poza obowiązkiem i prawem, poza granicą złego i dobrego, powiedzielibyśmy nawet poza samą duszą ludzką, która przecież jest rozumną, działającą i do jakiegoś celu dążącą, swoich czynów świadomą i za nie odpowiedzialną. Do tej, tak pojętej przez Maeterlincka, oderwanej garstki chorych przeczuc przed śmiercią, czy wogóle przed jakimś nieszczęściem, dodać tylko trzeba drugą wiązkę neurastenicznych kaprysów i na wpół świadomych odruchów przenerwowanego i podlegającego halucynacyom człowieka, a po złożeniu dwu tych części składowych w jeden organizm, którego sercem i głównem tętnem byłyby popędy płciowe, otrzyma się całkowity typ nagiej duszy. Takim jest ideał „Młodej Polski“.

Ale o tych dodatkach, składających się na całkowite pojęcie tego programu, pomówimy w dalszym ciągu. Na razie weźmy pod uwagę pierwszy składnik nagiej duszy, tak jak widzieliśmy go w Maeterlincku i to pod kątem tylko normalnej duszy ludzkiej w sztuce, o tyle, o ile utożsamia się on z wyłącznym i zamkniętym dla wszystkiego innego terenem nieokreślonych, nieobjętych światłem dziennem, głębin przeczuciowych.

Dla uzasadnienia naszego zarzutu nie potrzebujemy daleko

sięgać, wystarczy wziąć pod uwagę tak elementarne czynniki piękna, czy w sztuce, czy w naturze, jakimi są symetria i harmonia. Są to tak istotne części składowe każdej estetycznej wartości, że ze zwichnięciem ich, jeżeli to zwichnięcie jest rzeczywiste, a nie pozorne tylko, znika piękno, a przeciwnie ze zjawieniem się symetrii i harmonii, zjawia się też i jego początek. Na tę dążność sztuki do symetrii już nietylko jej forma wskazuje, jak rym i rytm w poezji, harmonizacja w muzyce, proporcja linii w architekturze i rzeźbie, harmonia światła i perspektywa w malarstwie, ale także wykazuje ją i treść. Poezja nie wyrwie z życia jakiegoś niedokończonego i niemającego w sobie całości kawałka, a gdyby go nawet wyrwała, to dorobi początek i koniec i nada mu jakąś całość i jedność, jeżeli nie wprost i nie wyraźnie, to w każdym razie tak ją zaznaczy, że będzie ona dla każdego zrozumiała. Pewne harmonie wytwarza sobie sztuka sama, ale pewne znajduje już gotowe w świecie i życiu, a między nimi i niektóre takie, od których jej, w ogólnej przynajmniej zasadzie, odstąpić nie wolno. Taką dla malarza jest harmonia światła, dla malarza i rzeźbiarza symetria ciała ludzkiego. Otóż taką samą harmonię, którą sztuka całkowicie uwzględnić musi, ma też i dusza ludzka. Nie mówimy tu jeszcze o harmonii moralnej duszy, polegającej na zgodności czynów ludzkich z prawem sumienia, bierzemy tylko pod uwagę inną, że ją tak nazwiemy, fizyczną, opierającą się na psychologicznym wzajemnym stosunku poszczególnych władz duszy ludzkiej do siebie. W uorganizowanej normalnie duszy ludzkiej rozum pod wrażeniem, podanem przez zmysły, poznaje jakąś prawdę i tworzy sobie o niej pojęcie, pod wpływem rozumu przechyla się do tej prawdy, lub odwraca od niej wola, a od tych dwu naczelných władz: rozumu i woli, stoją w zależności inne niższe władze, jak wyobraźnia i władza uczuciowa. Swoją drogą nie jest ta harmonia tak bezwzględna, żeby jakichś stopiowych różnic nie przypuszczała. Mogą być w różnych jednostkach i w narodach, jak też i w różnych epokach, zależnie od tysiąca okoliczności, pewne władze bardziej od innych rozwinięte — stąd widzimy w życiu ludzi rozumu, lub ludzi wyobraźni, stąd

pewne epoki uprawiają nauki ścisłe, inne oddają się sztuce, a obok Ateńczyków, dysputujących w portykach nad dyalektyką, pokazuje nam historia bohaterskie zastępy krzyżowców, wielkimi uczuciami natchnione. Ale w tej fluktuacyi odmian stopniowych, w tej różnorodności psychologicznych odcieni istnieje zawsze ta sama dusza ludzka, rozumna i wskutek tego świadoma swoich czynów i w tej świadomości harmonizująca wszystkie swoje władze i ruchy do pięknej jedności psychicznej. Piękność ta, pod kątem czysto psychologicznym pojęta, jest wprawdzie w porównaniu do moralnej pięknością niższego rzędu, podobnie jak i piękność ciała, ale jest ona tak istotnem podłożem natury ludzkiej, że sztuka, jeżeli nie chce być karykaturą, na niej oprzeć się musi.

Asercya więc nasza opiera się na rzeczywistości istniejącego porządku rzeczy i konstatuje tylko fakt oczywisty, że w tym porządku istnieje dusza ludzka, czynów i uczuć swoich świadoma, w tej świadomości mająca wewnętrzne źródło swojej naturalnej piękności i jako taka, wymagająca od sztuki całkowitego swego uwzględnienia. O moralnym charakterze tej duszy i o płynących stąd następstwach na razie nie mówimy. Jest to ogólna zasada, która jak nie przeczy istnienia w tym względzie wyjątków, tak też nie odmawia sztuce prawa zajęcia się temi wyjątkami. Jedno tylko z natury rzeczy wypływa ograniczenie, żeby ta proporcya wyjątku do ogólnej zasady, jak istnieje w życiu, także i w sztuce była zachowaną. Cóżbyśmy powiedzieli o malarzu, któryby we wszystkich obrazach wszystkie postacie ludzkie bez głowy malował?

Istnienie w tym względzie wyjątków jest oczywiste. Nawet w normalnie uorganizowanej duszy trafić się mogą czasem jakieś przeczucia, nieokreślone sympatyje i antypatyje. Istnieją dalej ludzie, u których władza przeczuciowa jest bardziej wybujała: są to istoty nierozwinięte, jak dzieci, lub czasem też i kobiety, ludzie prości i niewykształceni, zwłaszcza u dzikich i barbarzyńców objawy takie obserwować można. W tych granicach pojęty motyw przeczuciowy był nieraz z wielkiem powodzeniem przez sztukę wyzyskiwany. Powodzenie takie może mieć rozmaite

przyczyny — czy to dlatego, że przez wprowadzenie podobnych objawów wprowadza się w sztukę jakąś tajemniczą nadzwyczajność, która, jak każdy rozumie, o tyle tylko istnieje, o ile jest czemś wyjątkowem w normalnym biegu natury, czy też i dlatego, że w całokształcie życia, który sztuka ogarnia, wytwarza się przez to barwna różnaitość, mająca znowu swoją harmonię wyższego rzędu. Niedawno temu pojawiły się piękne szkice Gilberta Parkera (*Pierre and his people*), gdzie autor na tle krain położonych nad zatoką Hudsonską kreśli z wielkim talentem tajemniczy świat przeczuć i przewidyń. Ale najpierw zrozumiał on dobrze, że nie wszyscy ludzie i nie wszystkie przestrzenie do takich motywów się nadają, że każdy szmat europejskiej przyrody, torem kolejowym przecięty, a drutem telegraficznym opasany, jest tak samo jak europejskie społeczeństwo, zanadto silnie w regularne ujęty formy, by mógł zaintrygować umysł jakąś tajemniczością. Sięga więc piórem za morze, w te niezmiernie stepy i puszcze dziewicze, gdzie pod gęstemi splotami lian i glogów, wśród przepastnych borów i kniei rozsiadły się jakieś uroki i czary, gdzie nieujarzmiona jeszcze przyroda tyrantyzuje Indyanina, a Indyanin niemem i trwożliwym okiem spogląda na każdy granit skalny i na każdy orkan stepowy. A przytem ma Parker tę złotą artystyczną miarę, że mimo całej zagadkowej i tajemniczej natury kreślonego przez siebie świata, nie wpada w ciasną wyłączność i nie daje się pochłonać przepaściom głębin przecuciowych. Tajemnicze te instynkty są u niego tylko trabantami, krążącymi koło jednego ze świadomych, realnych uczuć i objawów psychicznych człowieka: miłości, zemsty, zimnego wyrachowania lub fantastycznej porywczosci.

Ale kiedy wchodzi się w wyłączny kraj nieświadomych odruchów, nieokreślonych przeczuć, przestraszów, przesądów i przewidyń, gdzie dla reszty świata i życia zamknięty jest wstęp całkowicie, wtedy zmienia się sytuacja. Ciekawi bardzo jesteśmy, jakby zachowali się najgorliwsi apostołowie namiętnej duszy, gdyby dostali się na wyspę, zamieszkałą wyłącznie przez ludzi, obranych ze świadomości, a podlegających tylko ciemnym przecuciom, przesądom i neurastenicznym odruchom — czy po-

stawiliby ich w życiu, tak jak robią w programie poezji, za ideał ludzkości? Prawda, są w życiu i takie istoty, zwłaszcza dzisiaj liczba ich się wzmogła, ale są to kaleki, ludzie chorzy, histerycy, neurastenicy, obłąkani. Równowaga i świadomość umysłu, stanowiąca podstawową piękność i harmonię duszy ludzkiej, jest u nich zwichnięta, a wskutek tego stan ich psychiczny, który może nawet bez ich winy moralnej się wytworzył, jest złym fizycznie, a estetycznie brzydkim. Może sztuka także i obłąkanych i chorych umysłowo, dla przyczyn, które podaliśmy wyżej, wyprowadzać na scenę — ale wprowadzenie takie będzie w prawdziwej sztuce, tak jak jest w życiu, wyjątkowe, ledwie jakiś kącik w niej zajmie. Kiedy jednak czyta się literacki utwór, w którym przesuwają się przed oczyma wyłącznie smutne objawy chorej duszy ludzkiej, kreślone z całą obiektywną predylekcyą, to zupełnie traci się poczucie, że ma się do czynienia z dziełem sztuki, a natomiast trudno oprzeć się wrażeniu, że jest się przeniesionym w sferę szpitalną, do przedpokoju psychiatry lub nawet do domu obłąkanych.

W tej ciasnej, szpitalnej sferze Maeterlincka, mimo innych dziwaczności formy i stylu, jest jednak jeszcze małe okienko, przez które mógłby ten kierunek wydostać się na szersze powietrze. Jest to prostota i naiwność w doborze tematu. Tematy dramatów Maeterlincka są identyczne z bajkami, jakie sobie gmin o zaklętych królewnach, o strachach, o idącej śmierci opowiada. Ta prostota bajki i pieśni gminnej, jak bywała dotąd kolebką prawdziwej poezji, tak może być nią i w przyszłości. Czy będzie nią dla Maeterlincka, przesądzać nie można, choć można bardzo powątpiewać — bo ani pieśń gminna, ani początki naszej wielkiej poezji, które podobne objawy przedstawiają, nie są tą wyłącznością przecuciową skrępowane, i lubo fantastyczne, są od wszelkiej chorobliwości dalekie.

Przechodząc do drugiego rysu nagiej duszy, do neurastenicznych kaprysów i odruchów znużonego człowieka, wchodzimy w świat prerafinowany, w mętne nurty dzisiejszej skrajnej cywilizacji. Utwory tych pisarzy, razem złożone, kompletują się z przedziwną zgodą w całkowitą galerię histeryków, ludzi cho-

rych nerwowo, podlegających ustawicznie halucynacyom i najrozmaitszym objawom psychopatyi. W powieści Huysmansa *A rebours* widzimy człowieka, który, znużony powszedniością życia wycofuje się ze świata i dla użycia niezwyuczajnych wrażeń urządza sobie na prowincyi dom w ten sposób, żeby mu przypominał morze. W jeden pokój każe wmurować drugi, mniejszy, a przestrzeń między ścianami napęlnia wodą. W ten sposób utworzywszy sobie ocean, napęlnia go rybami, sporządzonemi z blachy, a dla wywołania w stojącej wodzie jakiegoś podobieństwa do morskiej przestrzeni wlewa do niej po kilka kropli różnokolorowych likworów, które zabarwiając ją rozmaicie, naśladowują prądy morskie. Żeby wreszcie mieć całkowite złudzenie, że znajduje się na pokładzie okrętu, płynącego po morzu, rozwiewa po pokoju za pomocą rozpylacza dziegieć i wdycha go z rozkoszą. Ten sam człowiek, ażeby od rzeczywistego życia odbiedz jak najdalej, nie chce odżywiać się jak inni ludzie, więc pieczeń macza w herbacie, cukier posypuje pieprzem, a i to sobie sprzykrzywszy, nie przyjmuje pokarmu przez usta, ale inaczej. Za często może używa się dzisiaj o podobnych tworach takich wyrażen, jak zwyrodnienie, obłąkanie, ależ doprawdy jakiegoż wreszcie na oddanie tych objawów należy użyć wyrazu?

Bezwarunkowo jednak najliehsze typy ludzkie nie tylko pod względem moralnym, o czem na razie nie mówimy, ale i pod względem psychicznym, wyprowadza w głównych swych pismach Przybyszewski. Jest to już całkowity upadek, rozkład i zgnilizna duszy ludzkiej. Z tego bagniska człowieczeństwa wydobywają się zacadzające wyziewy, fosforyzują błędne ogniki, które autor z predylekcyą analizuje i cieszy się, że odkrywa niezgłębione tajemnice ludzkiej natury. Chcąc przerzucić powieści Przybyszewskiego, trzeba przedrzeć się przez spletaną najchaotyczniej gęstwinę halucynacyj, najdzikszych neurastenij, psychopatycznych stanów początkowego rozdwojenia jaźni, a przedstawiając się z największą forsą przez te ciemne i ponure przepaści, odczuwa się tylko wstręt, znużenie, irytacyę — najlepszy znak, że nie widziało się piękna. Człowiek Przybyszewskiego jest to ustawicznie rozpadający się i tylko sztucznymi środkami

podniecany aparat nerwowy, w którym od chwili do chwili, jak spodłone niewolniki przeglądają przez podarte tkanki nerwów nikły rozum i bezwładna wola. Co więcej, Przybyszewski chciałby całkiem bez rozumu się obejść. W swojej przedmowie do *De profundis* pisze z godną lepszej sprawy brawurą: „W książce tej opuszczam całkowicie dziedzinę tak zwanego, normalnego myślenia, a więc dziedzinę logicznego życia mózgowego, życia rzeczywistości“. Duszę, którą opisuję, pojmuje „w najostrzejszym przeciwieństwie do mózgu“, tak, jak ona przedstawia się „w godzinach halucynacyj“ i wogólności to, co stanowi jego ideał, naga dusza jest, jak sam ją w jednym miejscu z francuska określa: *ein au delà vom Gehirn*. — *Ein au delà vom Gehirn* w człowieku oznaczać może tylko dwie rzeczy, albo funkcyje czysto fizyologiczne i wegetacyjne, albo jakiś rodzaj waryacji.

Skąd ta nienawiść u tych pisarzy do wszystkiego, co rzeczywiste i rozumne? Zapewne rzeczywistość dzisiejsza nie jest promienna, a rozumność wielu ludzi jest często płaską. Poziomy pozytywizm poprzedniej epoki zabrał szerokim warstwowi wiarę i wszystkie szlachetniejsze porywy, a otaczające nas warunki ekonomiczne, społeczne, polityczne są tak przeciętnie pozbawione jakiegokolwiek podnioslejszej myśli, że człowiekowi dzisiejszemu niełatwo podnieść czoło od ziemi. Z dniem każdym nadto znika coraz bardziej z powierzchni wszelka indywidualność i różnaitość odcieni, począwszy od mieszkań ludzkich i strojów a skończywszy na ludzkich charakterach. Gdzież dzisiaj budują się ulice, w których dobrze skomponowane tony ciosów i cegieł, lub choćby malowanych deszczulek rozwijają przed okiem przechodnia najbarwniejszą grę kolorów, a złożona ornamentacya, skręcone linie, lub ostre i śmiałe kontury dachów i wieżyczek, wlewają w martwe budynki życie i rozpęd ku górze? Człowiek dzisiejszy, opięty w czarny, lub wogóle bezbarwny tużurek, jakież może mieć dla oczu malarza interes w porównaniu z temi pokoleniami, które chadzały w długich deliach i w szerokich, na najrozmaitsze kolory tkanych kaftanach, gdzie ciemno-czerwony jedwab, złotem lamowana purpura, zielone, jak wiosenna trawa, draperye, biały pióropusz i srebrny pas zlewały

się w żywą i chodzącą tęczę. Natomiast przyszła bezbarwna jednostajność: świat cały opasano żelazną obręczą szyn kolejowych, telegraficznych drutów i milionowych armij, zabudowano go na wszystkie strony wiecznie dymiącymi fabrykami, a całą tę konstrukcyę pociągnięto kosmopolitycznym pokostem tych samych wszędzie urządzeń i zwyczajów. Sam pan tej ziemi, dzisiejszy człowiek, zaopatrzony na życie w całe stosy zdawkowych formuł, jakie mu daje liberalna szkoła, ślęczący wiecznie albo nad papierem, albo wśród turkotu maszyn nad warsztatem nie przypomni chyba nikomu Sobieskiego, albo Gotfryda z Bouillonu. Zresztą wiele mówiącym jest już sam powszechnie afirmowany podział dzisiejszego świata na dwa obozy: na spekulujących na giełdzie kapitalistów i domagających się chleba robotników.

To wszystko prawda — i dlatego wszyscy dzisiaj odczuwają jakąś potrzebę zmiany na lepsze, wszędzie widać jakiś tęskny poryw ku czemuś wyższemu i szlachetniejszemu, niż walka o kawałek złota i byt doczesny. I dlatego też nikt nie dziwiłby się artyście, gdyby ten wyrwał się z dzisiejszego świata i szukał jakichś innych, lepszych, jaśniejszych krajów. Ale zrzucając z siebie płaską w swej normalności dzisiejszą ludzkość, nie można zrzucić z siebie samej normalnej ludzkiej natury, nie można rozbierać się z tej ludzkości aż do „nagiej duszy“, aż do tych najniższych granic, gdzie rozpoczynają swoje panowanie rozchukane nerwy, ślepe przecucia, histerya i zwyrodnienie. Taka skrajność w sztuce jest gorszą od smutnej dzisiejszej rzeczywistości. Kiedy artyści apoteozują wyłącznie obłęd, kiedy nawet ten najślabszy płomyk piękności psychicznej, jaki przedstawia normalnie uorganizowana dusza ludzka, jest przez nich zgaszony, to sztuka ta zapada się już w ciemnię całkowitą. Dzisiaj, mimo całego realizmu życia i powszedniości uczuć, otoczono sztukę, zwłaszcza poezyę, takim nimbem przesadnym, że wszystko, co jest ogłoszone drukiem a ma formę rymu, opowiadania lub sceny dramatycznej, już tem samem owiane jest jakimś idealnym urokiem. Trudno pojąć doprawdy, dlaczego to, co w życiu jest złem i brzydkim, przeniesione bez żadnego dodatku na

papier, nagle w rękach zecera drukarskiego przybiera kształty ideału? Bo przecież tych kilka czarnych księżyców i brzóz płaczących, kilka literackich zwrotów tajemniczego nastroju, lub psychologicznego rezonowania, stopionych z anormalnym stanem psychicznym w jedną całość, żadną miarą prawdziwego piękna artystycznego stworzyć nie może. Najlepsza faktura w omawianym tu wypadku będzie tylko pięknie malowanym parawanem, poza którym siedzi obłąkanie.

Czy mamy mówić bliżej o ostatnim rysie nagiej duszy, o seksualizmie? Autor „Młodej Polski“ nazywa ten rys idealnym wyrazem „miłość“, a zarazem utrzymuje, że ilekroć literatura nagiej duszy „trącała o harfę zmysłów, to dobywała z niej nie brutalne, zwierzęce, lecz szlachetne i przepychem lśniące melodye“. I przy tak ogólnie postawionem twierdzeniu nie zawahał się położyć nazwisk Huysmansa, Verlaina, d'Annuncia i Przybyszewskiego? Sam Verlaine przecież w chwili oprzytomnienia nazwał swoje erotyki „smutno lekkomyślnymi“; zresztą dzieła wszystkich leżą na widoku publicznym, jako cierpkie okazy upadłej moralnie duszy ludzkiej.

Czy pisma te wnoszą jakąś ewolucję w traktowaniu erotyzmu? Wogółności stosunek kobiety do mężczyzny jest tematem, tak już w sztuce i literaturze zużyty, że nic chyba na tem polu stworzyć nie można, coby nie było już gdzieś w dawniejszych czasach poruszonem. Kiedy nam Przybyszewski mówi w swoim programie, że to, o czem pisze, to jest „bolesne, pełne trwogi poczucie jakiejś nieznaney, strasznej mocy, która dwie dusze na siebie rzuca i w boleściach i cierpieniach chce je złączyć“, albo gdy nam mówi o „intensywnem cierpieniu miłosnem, w którym dusza pęka, bo nie może z drugą się stopić“, to słuchamy tego wszystkiego, jako już rzeczy dawno znanej. To co własność literacką pisarzy „nagiej duszy“ stanowi, to jest przeforsovanie granie erotyzmu aż do histeryi, halucynacyi i neurastenii, a o tych stanach psychicznych wypowiedzieliśmy już nasze przekonania powyżej. Zresztą seksualizm, jakkolwiek pojęty, jest terenem tak ciasnym, że sztuka prawdziwa wyłącznie żadną miarą utrzymać się na nim nie może. Cóż się stanie z resztą

człowieka, z tysiącznemi jego aspiracyami, — czyż nie w ludzkości poza popędem płciowym nie istnieje? Tak twierdzi Przybyszewski. „Zarówno jak nie poradzę nic na to — tak pisze w przedmowie do *De profundis* — że w wiekach średnich przejawy psychiczne mają tylko miejsce w dziedzinie życia religijnego, tak też nie jestem w stanie zmienić faktu, że w naszych czasach przejawia się dusza we wzajemnym stosunku płci“. Trzebaby chyba z księżycą spać i nie wiedzieć co się na świecie dzieje, żeby tak o życiu pisać. W każdym razie, wyłączny seksualizm w literaturze już jest rzeczą dawno i niejednokrotnie osądzoną.

II.

A teraz po dyagnozie części składowych nagiej duszy, jeszcze jeden rzut oka na jej całokształt i na stosunek tego całokształtu do ideału prawdziwej sztuki.

Taką całość może nam jasno przedstawić jakiś utwór w tym duchu wyłącznie pisany. Najlepiej może nadaje się do tego ostatnia, o ile wiemy, powieść Przybyszewskiego *Homo sapiens*, najpierw jako ostatni utwór prawodawcy nagiej duszy, streszczający więc w sobie dotychczasową jej ewolucję, który nadto, jak z tytułu wnosić trzeba, ma podać wykończony typ nowego kierunku — tak jak typem czasów rycerskich był Roland, a epoki nowożytnej Faust.

Homo sapiens jest to człowiek wykrojony z etyki Nietzschego, rozkiełznany *Übermensch*, który się od wszystkiego, co ludzkie i szlachetne odwrócił, płaski i podły egoista, który zabił w sobie wszystkie altruistyczne skłonności. Człowiek ten niszczy szczęście wszystkich, z którymi się w życiu spotyka; zniszczył przyjaciela swego Mykity i jest moralną przyczyną jego samobójstwa, zniszczył szczęście, cnotę i życie młodej, wierzącej i szlachetnej dziewczyny, zniszczył niewiernością szczęście swej żony, takim samym też jest względem innych postaci snujących się w powieści. A niszczenie to zupełnie świadome, odbywa się tylko w imię ślepego popędu; *homo sapiens* nie zna żadnego prawa poza swoją wrażliwością, żadnego obowiązku... „ja kroczę

po tysiącach trupów — woła o sobie — bo muszę... ja jestem naturą: nie mam sumienia, bo i ona niema żadnego⁴. Najwstrętniejsze jest to, że człowiek ten wziął sobie z epoki barbarzyńskiej tylko żywioł zniszczenia, a nie wziął silnej, pierwotnej organizacyi psychicznej. Jest to prosty maniak bez najmniejszej siły woli, chorujący na nerwową hipertrofię rozumu i zwyrodniałym tym umysłem brukający wszystkie prawdy, których tylko się dotyka, człowiek obracający się wyłącznie w niskiej sferze seksualnej i zdany na łaskę i niełaskę osłabionych instynktów i rozszalałych nerwów. Nic dziwnego, że w płaskim tem indywiduum, które przebrnęło cały szereg podłych czynów i nieczystych wszeteczności, rozluźniają się w końcu nerwy do ostatniej możliwie granicy, że przychodzą halucynacje gorączkowe, jakaś nieogarniona trwoga i drzenie przed czemś nieokreślonym, neurasteniczne przywidzenia, nerwowe agonie, z których podnosi się za pomocą alkoholu, na chwilę, po to, aby dopuścić się nowej wszeteczności i napowrót znowu wpaść w histeryczne gorączkowanie. A ten cały szereg brudów, cały psychopatyczny stan zwyrodniałej duszy kreśli Przybyszewski z najobiektywniejszym w świecie spokojem, nawet z predylekcyą. Kiedy pod koniec trzeciego tomu wszystkie postaci z widnokręgu znikają, po większej części przez „mądrygo człowieka“ sprzątnięte, sam Eryk Falk, *homo sapiens*, niby jakiś tryumfator na ruinie normalnego społeczeństwa pozostaje żyw i cały po to chyba, aby w następnym tomie nowej powieści pod innem nazwiskiem zabrudzać dalej papier i sztukę. Świata może ta książka nie zabrudzi, nie dlatego, aby nie miała przymiotów po temu, ale z tej prostej przyczyny, że nikt, kto nie będzie miał tego obowiązku, nie potrafi przebić się cierpliwie do końca tej trytomowej histerycznej lepianki, skombinowanej z seksualnej kazuistyki, z chaotycznych paradoksów Nietzschego i z medycznego podręcznika psychiatrii.

Przyznajemy się szczerze, że kiedy przed takim płaskim typem stajemy, odpada nas zupełnie chęć poważniejszej dyskusyi i dlatego tylko wdamy się w nią poniżej, aby dotrzymać danego słowa. Jest to tak oczywiste, że program stawiający na

ołtarzu poezyi wyłączne upodlenie lub co najmniej spaczenie moralne i fizyczne, lekką gazą dociekań psychologicznych osłonięte, nie może mieć w sobie żadnej ożywecej siły, iż dwu zdań poważnych o tem chyba być nie może. Utwory takie, w związku z dzisiejszem życiem pojęte, nie są czem innem, jak tylko okruczem nikłej piany, którą najskrajniejsza fala cywilizacyjna co chwila ze swego grzbietu na stały ład zrzuca, aby odzyskać nadal swobodę ruchu. Okrucz takiej szumowiny istnieje na powierzchni małą chwilę, potem się roztapia, ci zaś, co jutro przyjdą, będą mieli inną pianę, a po wczorajszej nie dojrzą już śladu. Nawet zagranicą, w takiej Francyi nawet, gdzie głównie podobne utwory się lęgną, nikt poważniejszy inaczej tych objawów nie pojmuje. Kiedy w ostatnich czasach wyraził Tolstoj w swej książce o sztuce zdziwienie, jak literatura dekadentyzmu mogła dojść do takiego znaczenia, odpisał mu jeden z francuskich pisarzy, że chyba z nad Newy niema się dokładnej perspektywy tego, co się nad Sekwaną dzieje, bo we Francyi mało kto tę literaturę i jej przedstawicieli bierze na seryo.

Jeżeli wogóle nie widzimy przyszłości pomyślnej dla tego kierunku, to zwłaszcza nie widzimy jej na gruncie naszej literatury. Dotychczas program nagiej duszy był przyjęty u nas chłodno, jeżeli może być nawet mowa o jakimś przyjęciu, a i nadal zapewne mróz ten nie staje. Jest u nas prócz głębokiego poczucia moralnego pewna wielka literacka tradycya, jakiej inne społeczeństwa w ten sposób nie mają, a która, jak duch opiekuńczy, stoi na straży naszej literatury. Tradycya ta zespolona jest nierozzerwalnie z olbrzymim urokiem, jakim owiana jest w oczach całego narodu wielka nasza romantyczna poezya. Nigdzie może poezya nie związała się tylu najściślej zmięzłami z duszą społeczeństwa, jak u nas; wykarmiona najserdeczniejszą krwią narodu, wypłynąwszy z morza jego łez i cierpień, streściła ona w sobie wszystkie jego nadzieje i porywy wszystkie boleści i zawody, i stała się dlań potężną przewodniczką dziejową. Ale nietylko ideały społeczne i religijne wniosła ta poezya ze sobą w duszę narodu. Będąc sama sztuką wielkiej miary, posiadając w sobie wielkie artystyczne piękno, wyrzeźbiła

ona też w tej duszy szlachetne artystyczne poczucie, złotą estetyczną miarę, wysokie kryterium sztuki, które z urokiem tej poezji zespolone nie łatwo da się w społeczeństwie wykorzenieć. Było też to kryterium już nieraz drogim talizmanem, który ochronił literaturę od skrajności. Prawda, nie wszystko w późniejszej naszej literaturze było dobrem, nie mieliśmy zwłaszcza wiele wybitnych talentów, ale to już nie było obowiązkiem tej tradycyi, bo geniusze nie wyrabiają się, ale się rodzą. To, co do niej należało, aby zachować literaturę od zwyrodnienia, to dosyć wiernie spełniła. Kiedy przeszczepiony z nad Sekwany pozytywizm chciał zrobić z naszej poezji jakąś guwernantkę do swoich teoryj, kryterium to czuwało w umysłach naszych pisarzy i po kilku próbach wstępnych kazało im się odwrócić od poziomej nowości. To samo odporne stanowisko zajęła nasza literatura wobec skrajnego realizmu i naturalizmu, który u nas żadnego wybitniejszego śladu nie pozostawił, choć gdzieindziej takie święcił tryumfy. A nawet i po dni dzisiejsze, jak to już z początku rozprawy mimochodem dotknęliśmy, ten urok tej sztuki rozwinał się i wobec naszych skrajnych kierunków utrzymywał naszych poetów w odporze, lub przynajmniej w rezerwie.

Czy odporne stanowisko tej tradycyi wobec nowego programu jest zaściankowo-polskie? Przyznajemy chętnie, że w naszej szczupłej ojczyźnie jest, Bogu dzięki, za ciasno na takie typy, jak *Homo sapiens*; jeszcze nie dobiegliśmy do tej mety, gdzie zaczyna się przerafinowana cywilizacja, nosząca na sobie bruzdy i skoszlawienia zgrzybiałej starości. Powietrze nasze jest dość prymitywne, a więc świeże, niezuzyte jeszcze natłokiem tysiącznych skrajnych teoryj, stosami pornograficznej literatury i miazmatami zwyrodniałych objawów życia. Zdaje nam się, że żaden najgorętszy zwolennik kultury i cywilizacyi, takiej cywilizacyi, takiego początku końca narodowi swemu życzyć nie będzie.

Ale czy wobec bezwzględного ideału sztuki stanowisko nasze jest ciasne i skępowane? Nie — tak dalece nie, że, jak zaznaczyliśmy poprzednio, idzie nam właśnie o szerokość sztuki i program nagiej duszy odrzucamy dlatego, że jest on jedno-

stronny i ciasny. Tę jednostronność wykazaliśmy już poprzednio pod kątem duszy czysto psychicznie pojętej, weźmy teraz pod uwagę nagą duszę całą i stawmy ją w obliczu sztuki prawdziwej.

Kiedy weźmiemy w rękę jakiś utwór literacki, który przeszedł już przez probierczy ogień krytyki i przez tę najostrożniejszą kryzys, jaką jest jakiś dłuższy przeciąg czasu, zauważymy, że wartość takiego utworu będzie w tem polegała, iż jest on mniej lub więcej genialnem wyrażeniem ludzkości. Każdy taki utwór przedstawia nam, że użyjemy wyrażenia Tain'a, jakąś cechą głęboką i trwałą, jakiś odłam życia ogólniejszej natury, w którym odzwierciedla nam się dusza ludzkości, jej charakter, jej dążności, myśli i uczucia. Może być ta dusza ludzka zróżnicowaną charakterem najrozmaitszych epok historycznych i odcieniem różnych narodowości, może przyoblec się ona w kształty Odyseusza, blakającego się po morzu, lub w postać chrześcijanina, klęczącego w katakumbach, w zbroję średniowiecznego *Raubrittera*, czy nawet w wymuskane formy dworaka z czasów Ludwika XIV., ale zawsze poza temi różnicami znajdziemy w każdym wartościowym utworze literackim coś, co ponad temi odmianami się unosi, co jest dzisiaj i nam wspólnem, co i dla nas wartość podniosłą przedstawia. Jest to idealna dusza ludzka, która wszystkim pokoleniom, w najrozmaitszych warunkach położonym, jako gwiazda przewodnia przyświeca, zawsze ta sama, bo i ludzkość we wewnętrznej swej istocie jest niezmienną i jedną. I w tem leży nieśmiertelność wielkich dzieł sztuki, że wszystkie pokolenia, tysiącami nawet lat oddalone, odnajdują w nich coś, co je osobiście interesuje, odnajdują siebie same i swój szlachetny wzór.

Ta głębokość i trwałość cechy artystycznej przypuszcza oczywiście najrozmaitsze klasyfikacye i stopnie: może nam utwór literacki przedstawiać zachwyt nad piękną przyrodą, przedsiębiorczość i energią amerykańskiego plantatora, uczucie wzajemnej lub zawiedzionej miłości, bohaterstwo męczenników lub rycerskie zapasy narodów. Naturalnie, że w miarę większej lub mniejszej ważności i trwałości tej cechy podniesie się lub zniży wartość dzieła. Większą wartość będzie miał poemat, kreślący

bohatera w walce, aniżeli sielanka, rozplywająca się w łagodnych i tęsknych uczuciach. Swoją drogą, przy porównaniu takim przypuszczamy, że w zestawionych dziełach są równe literackie dane kompozycji i formy. Forma jest warunkiem w sztuce niezbędnym i najpodnioslejsza idea w podłej szacie jest lichym utworem literackim. Ale znowu też sama forma literacka, najbardziej nawet błyskotliwa, w której mieści się myśl błaha i płaska, wybitniejszego utworu literackiego nie stworzy.

Już w tym stopniowym układzie literackich utworów, w miarę głębszej i trwalszej myśli, jaką przedstawiają, znaczy się ten znamienity rys sztuki, którybyśmy dążnością do jak największej szerokości nazwali. Im mniej dzieło sztuki jest lokalnymi cechami skrępowane, im szersze obejmuje widnokręgi, tem większą odczuwamy przy nim satysfakcyę i tem je wyżej stawiamy. Choćby „Robinson Kruzoe“, w którym podziwiamy pomysłowość i energię, był przemieniony w jak najbardziej wytworną artystycznie kompozycyę, pozostanie on jednak zawsze niższym utworem od „Fausta“ Goethego. Robinson przedstawia nam jednostkę, co najwyżej jedną narodowość, o ile jest jej reprezentantem, „Faust“ tymczasem jest obrazem jednej z epok całej ludzkości. Jeden i drugi dąży do czegoś z natężeniem wszystkich sił życiowych, ale dążność Kruzoego zamyka się zakresem doczesnego dobrobytu i codziennego życia jednostki, gdy w „Fauscie“ idzie o filozofię całego życia ludzkiego. Tę miarę możnaby pociągnąć przez wszystkie wielkie dzieła literatury, a stałoby się naocznem, jak prawdziwa sztuka zaniedbuje chętnie kształty ciasne i przemijające i jak jest w tem zaniedbaniu wielką, a z jaką natomiast tęsknotą i lubością wyrывa się razem z duszą ludzką ku szerokim przestrzeniom, gdzie jak najmniej więzów terytorjalnych i doczesnych ją ścieśnia, gdzieś aż ku majestatycznym pomrokom nieskończoności, do samego źródła piękna — do nieskończonej i absolutnej piękności Bożej. I w tem oświeceniu rozumie się, że wcale nie dźwięcznym ogólnikiem, ale jasnem zrozumieniem prawdziwej poezji były wyrażenia wielkich poetów, takie jak Wiktora Hugo:

..... la poésie est l'étoile
Qui mène a Dieu rois et pasteurs...

lub ten epigram, który już przedtem improwizował nasz Mickiewicz:

Wiedźcie, że dla poety jedna tylko droga:
W sercu szukać natchnienia i dążyć do Boga!

Jest więc w tem dążeniu sztuki, przez cały szereg coraz głębszych i trwalszych cech, aż do nieskończonej głębi i trwałości jakiegoś gorączkowego szukanie po omacku piękna absolutnego, jakieś wrodzone a nieogarnione parcie tęskniącej duszy ludzkiej za wielkiem i niewypowiedzianem szczęściem, jakie z oglądania tego piękna płynie. Niestety, tego absolutnego piękna w tem życiu ogarnąć nie można, i poeta, jak trafnie zauważa Sully Prudhomme, nie próbuje nawet wielkiego swego ideału osiąść bezpośrednio, tylko do niego dąży i przeczuwa go. Znajduje on tylko w tym widzialnym świecie jakieś słabe tej bezwzględnej piękności odbłaski, jakby garść gwiazdzistego prochu, rzuconego z zaświatów na ziemię, a rozsyanego po przyrodzie i po ludzkich duszach. Im jaśniejsze są te odbłaski, które sztuka w siebie chłonie, im więcej promieni rozprószonych po wszechświecie ona w sobie skupi, i wyrażając ludzkość, będącą tej bezwzględnej piękności jakimś częściowem i niewyraźnem odbiciem, im bliżej samego pierwowzoru się dotknie, tem lepiej odpowie aspiracyom serca ludzkiego i sama na tem podnioslejszej stanie wyżynie.

Osiągnęliśmy już punkt, z którego możemy swobodnie zwrócić się do dalszej dyskusyi. W rozwiniętem przez nas pojęciu sztuki złożone są już zawiązki tych uwag, jakie nasuwają się przeciw kierunkowi nagiej duszy...

Najpierw w ogólności każdy literacki kierunek ma w sobie jakąś jednostronność i tylko wielcy artyści wskutek genialnego pocucia piękna potrafili uchronić się od jej następstw. Ale jak tylko organizm jakiejś literackiej szkoły opuściła dusza geniuszów, zaraz zaczynały się na nim pokazywać plamy rozkładu; jednostronność i ciasność stawała się dla sztuki dusznem więzieniem, w którym dla braku świeżego powietrza i szerokiej swobody kończyła wkrótce swoje istnienie. Jeżeli zaś każdy

kierunek, nawet najobszerniejszy, nosi w swej piersi zaród śmierci, cóż powiedzieć o literackim programie nagiej duszy, choćby najbardziej optymistycznie pojętym, który zapomniawszy na cały olbrzymi świat wielkich idei, nawet w tym małym światku, jaki dusza ludzka stanowi, wykrawuje sobie mały kawaleczek przeczuć i mglistych, anormalnych poruszeń psychicznych — i to tylko o tyle, o ile one odnoszą się do śmierci lub do seksualnej miłości? Sądźmy, iż tu już w kolebce ma się z suchotami do czynienia.

Ta wyłączość tego programu staje się tem bardziej skrajną, gdy pomyślimy, że dwie wielkie władze duszy ludzkiej: świadomy swoich czynów rozum i odpowiedzialna za te czyny wola, z tego programu są całkowicie wykluczone. Przecież, jeżeli coś w duszy ludzkiej, a tem samem i w ludzkości, jakąś głęboką i trwałą cechę stanowi, to jedynie dwie te władze. Na nich opiera się już nietylko samo istnienie ludzkości, bo bez nich ludzie nie byłiby ludźmi, ale też i każda wybitna dążność duszy ludzkiej, wszystko co dla sztuki ideał może stanowić. Sztuka, od tej wartości odwracająca się całkowicie, owszem lubiąca się w karykaturze tej wartości, w zwyrodniałym fizycznie i moralnie mania ku, odwraca się tem samem całkowicie od piękna, przestaje być sztuką i w najlepszym razie, przy najdoskonalszej formie, przy udatnej kompozycji, nawet przy wolności od brudów, jak to u Maeterlincka widzieliśmy, staje się jaką sztuczką, nikłą farsą nastrojową, małomiejską, rzępolącą piskliwie muzyczką.

W powyższej uwadze oceniliśmy już też pośrednio wartość całkowitej amoralności nagiej duszy, w chimeryczny sposób oderwanej od obowiązku i prawa i stojącej poza moralnym porządkiem — bo właśnie z tym rozumem i wolą, bez których nie mamy z duszą ludzką ani z żadną trwałą cechę ludzkości do czynienia, związana jest nieodłącznie i istotnie świadomość swoich czynów i odpowiedzialność za nie. Cóż zaś powiedzieć o niemoralności tej nagiej duszy, o jej seksualizmie, o deptaniu wszystkich praw i obowiązków, o rozluźnieniu wszystkich instynktów i popędów? Pisze autor „Młodej Polski“, że

nie czuje w tym względzie potrzeby obrony, a jako rację tej asereyi podaje fakt, że najwybitniejsze utwory nowożytnej poezyi, taki „Faust“ Goethego, taki „Prometeusz rozkuty“ uchodzą za bardzo gorszące, a mimo to są wybitne. Ale przeoczył szanowny autor, że to, co stanowi wielkość i wybitność tych utworów, to nie jest niemoralność — która w najpiękniejszej oprawie sztuki nie przestaje być złą i estetycznie brzydką — ale jakaś głęboka i ważna cecha, jaką nam one poza tą niemoralnością przedstawiają, owa wielka wewnętrzna walka rozumnej duszy ludzkiej, olbrzymie szamotanie się za prawdą, pięknem i szczęściem. Czyż można z temi wielkimi dziełami zestawić powieść *Homo sapiens*, w której niczego prócz niemoralności niema? Jesteśmy nawet bardzo zadowoleni, że nam autor to porównanie nasunął, bo pokazuje ono jaśniej całą nicość nagiej duszy, w której wszystkie głębsze i trwalsze rysy zanikły, a pozostał tylko wyłączny nizki seksualizm i anormalny stan psychiczny.

Czy nie więc nie może wchodzić w sztukę, co jest niemoralne? Kwestya ta rozwiązana jest już dawno¹, dlatego poprzestaniemy na krótkiej refleksyi. Najpierw oczywistą jest rzeczą, że przeciwnem jest sztuce wszelkie apoteozowanie i ubóstwianie niemoralności lub wyłączne zajmowanie się nią z obiektywną predylekcyą. Rzecz jest jasna, bo jeżeli prawdziwa sztuka podnosi i idealizuje tylko cechy trwałe, to tem samem nie będzie ona idealizować cech ujemnych, pierwiastku wstecznego, który do rozluźnienia, a nawet i unicestwienia wszelkiej trwałości dąży, jakim jest niemoralność.

Poza tem idealizowaniem brzydoty jak w życiu, tak i w wielkiej sztuce widzimy nieraz na scenie zło moralne. Ale sztuka i w tym względzie ma swoją ekonomię. Albo zło moralne stawia ona pod pręgierz, jako czynnik rozkładowy i jej szlachetnym dążnościom przeciwny, albo używa go tylko jako tła, na którym jaśniej i wyraziściej zarysowują się jej ideały, tak jak na szczerbach czarnych chmur jaśniejszym jest złoty promień słońca.

¹ U nas pisał w tej kwestyi ks. M. Morawski w rozprawie: „O związku sztuki z moralnością“. Świeżo wyszła o tym temacie rozprawa Brunetier'a.

Charakterystyczne i bardzo trafne są w tej sprawie słowa Taine'a: „Wielcy artyści — mówi Taine — zmuszeni niekiedy do szkicowania takich charakterów, brali się na dwojaki sposób dla pokrycia ich brzydoty i podłości: albo używali ich jako dodatków i niby zagłębień, dla wydobywania na wierzch głównej postaci... albo też zwracają nasze uczucia przeciwko tym postaciom, każą im brnąć z awantury w awanturę, wywołują przeciw nim śmiech wzgardy i pomsty, pokazują umyślnie złe skutki ich moralnej karłowatości, wyklinają i wyrzucają z życia ten niedostatek, który się w nich uosabia. Widz, będąc ku nim wrogo usposobiony, czuje się zadowolonym; doznaje podobnej uciechy na widok zgniecionej głupoty i egoizmu, jak na widok ekspansyi dobra i cnoty. Wszelako widok tych dusz skretynizowanych sprawia w końcu czytelnikowi znużenie, niesmak, nawet złość i gorycz — a jeśli one są zbyt liczne, jeśli główne zajmują miejsca, to aż się wnętrzności przewracają. Wstrętem jest widzieć robactwo, nawet kiedy się rozdeptuje, i tęsknimy za widokiem zdrowszych i wznioslejszych postaci“.

A teraz co się psychologicznego kierunku tyczy, czy psychologia duszy wogóle i pojęcie jej istoty, — jak to czytaliśmy w programie nagiej duszy -- może być celem poezji? Zapewne nie tylko wyżyny, ale i głębie duszy stanowić mogą przedmiot artystycznej kontemplacji i jak słusznie pisze Bourget w obrobie powieści psychologicznej, jednych nęci bicie zegaru, a drugich maszynerya te głośnie dźwięki wywołująca. Ale prawdziwy artysta będzie brał te głębie w swą sztukę o tyle tylko, o ile i w tej tajemniczej, podziemnej krainie dojrzy jakiś przeblask piękna. Nigdy nie urządzi on anatomicznej sekcji psychicznych objawów bez względu na ich estetyczną wartość, a tem mniej z całkowitem wykluczeniem tej wartości. Zejdzie on nawet i do nieświadomych poruszeń duszy i do halucynacyj nawet, ale z zachowaniem tej symetrii, jaka i w harmonijnej duszy i we wszechświecie, do którego ta dusza ma odnośnię, istnieje — patrząc w głębie duszy nie zapomni on o tem, co jej wzniosłość stanowi. Rozumiemy dobrze, że badanie najrozmaitszych stanów psychicznych może dojść do bardzo ciekawych i nieznanych

rezultatów, ale dążenie do takich rezultatów nie jest zadaniem sztuki — od tego mamy naukę, żeby badała i zaspokajała naszą ciekawość. Sztuka, która tylko dla zaspokojenia umysłowej ciekawości istnieje, niema nic ludzkości do powiedzenia, bo już pierwszej i lepiej mówi o tem nauka i bezpośrednia obserwacja życia.

Nie wina więc w społeczeństwie, że odwraca się ono od sztuki nagiej duszy, ale w niej samej. Autor „Młodej Polski“ konstatuje fakt, że między tą sztuką a społeczeństwem istnieje rozdźwięk, że utworzyły się w pojmowaniu sztuki dwa obozy: hasłem obozu artystów jest sztuka dla sztuki, podczas gdy społeczeństwo ma punkt widzenia praktyczny: narodowo-społeczny lub religijny. Przyznajemy, że gdyby tak w istocie rzecz się miała, to byłaby i po jednej i po drugiej stronie jakaś słusność, ale też i niesłusności wiele. Najpierw widoczna jest, że nie jest zadaniem sztuki propaganda narzuconych jej z zewnątrz społecznych teoryj, ani też nie jest wyłącznym jej obowiązkiem tworzenie psalmów i hymnów religijnych. Natomiast słusznem jest żądanie artystów, by sztuka była od wszelkich zewnętrznych i nie należących do jej istoty wpływów i tendencyj niezależną i aby rządziła się swojemi prawami, które na istocie piękna się opierają. Taki tylko sens rozumny może mieć wyrażenie: sztuka dla sztuki. Już zaś w takim pojęciu sztuki zawarte są pewne momenty, dla których i społeczeństwo ma jakąś słusność, gdy punkt jego patrzenia na sztukę jest społeczny i religijny, i niesłusność popełnia autor, gdy takiemu punktowi widzenia przeciwstawia bez jakiegokolwiek zastrzeżeń takie zdanie, jak sztuka dla sztuki. Najpierw że sztuka z istoty swojej ma pewne pokrewieństwo z religią, wypływa już z tego, na cośmy powyżej wskazali — wypływa to z tej dążności sztuki do zbliżania się aż ku nieskończonej piękności, aż do samego absolutu piękna. Do tego samego absolutu dąży i religia, tylko gdy religia obcuje z nim bezpośrednio, choć także na tej ziemi twarzy jego nie odsłania, sztuka przeczuwa go tylko w słabych odbłaskach tej piękności nieskończonej, w pięknych zjawiskach ziemskich. Co się zaś odnośni sztuki do społeczeństwa tyczy,

to przecież sztuka ta nie wisi gdzieś w chmurach poza ziemią, ale między ludźmi istnieje i ma do tych ludzi jakiś stosunek. Ma ona człowiekowi przynosić estetyczną rozkosz i jakąś błogą kontemplację, by w tej kontemplacji tajemniczym głosem opowiadać mu o lepszym bycie, niż ten, jaki życie codzienne wskazuje. W ten sposób uczenia ona i uszlachetnia ludzkość, a tem samem i spełnia jakieś społeczne zadanie. W tej swojej społecznej działalności może sztuka przybierać niższe lub wyższe stopnie, może nawet odegrać tak wybitną, społeczną rolę, jak to w naszej romantycznej poezji widzimy. Nie będzie to jednak pochodziło z podsuniętych sztuce z zewnątrz tendencyj, bo toby było fałszywem, ale z wewnętrznej jej szerokości terenu.

Jest to złym znakiem dla sztuki, gdy rezygnuje ona ze szlachetnego swego wpływu na serce ludzkie. W dzisiejszej literaturze widzimy wiele wysiłków o rozszerzenie i wydoskonalenie formy poetycznej, wiele dążenia do jakiejś wyszukanej nowości, ale pod temi kształtami i w tych wysiłkach jak mało ożywczej mocy i wielkiego ducha! Przeocząc nawet narodowy charakter romantycznej poezji naszej — jakież to wielkie pojęcie o doniosłości sztuki miały genialne duchy tej wielkiej epoki, kiedy wyrывая ją z piersi w olbrzymich ku jaśniejszym świtom porywach, przesyłały ją społeczeństwu, jako wiecznie prowadzący je w poprzek ciemności, zawsze gorejący płomień piękna, wzniosłości i wdzięku! Szli oni z tęsknem sercem ku rannym zorzom i ku błękitom gwiazdzistym, ku rozplywającym się w sonej nieskończoności oceanom i ku kryjącym się w obłokach granitowym szczytom. Wszędzie szukali promienia, płynącego od nieogarnionej światłości, szukali go w przyrodzie i w sercach ludzkich. Jedni z nich w polocie za szlachetną ludzkością stawali na zwodzonym moście litaworowego zamku, lub wchodziłi na świetlice litewskiego dworu, innym na smutnych kurhanach i pod wspartemi o błękit czarnemi krzyżami szeptał wiatr stepowy o jakiejś wielkiej minionej przeszłości. Byli i tacy nawet, którzy stawali na szerokiej światowej arenie i wśród ruin i zgłiszcz społecznego ustroju, na przelomie dwu cywilizacyj odczuwali z radosnem drżeniem tętno Opatrzności dziejowej, a chwilę po-

tem wznosili się w śmiałych lotach poza błękit doczesnego widnokregu. Czy w dzisiejszej naszej poezji to pojęcie już całkiem zanikło? Niech za innych odpowie Konopnicka:

Nie nam, pieśniarze, stać w tęczy kolorach,
Barwić się w róże i w pióreczka pawie,
Bo my te sosny, czerniące się w borach,
Bo my te krzyże w przydrożnej kurzawie,
Bo my te wierzby o płaczących korach,
Bo my te z jękiem lecące żorawie,
Co hejnał krzyczą wskrósł zmierzchów tej ziemi,
Na puste pola, gdzie ludzie śpią — niemi.

Nie nam, pieśniarze, brać pieszczony tony,
I dźwięków szukać, co słodszych dla ucha...
Nam w spiż serc ludzkich bić, jak biją dzwony,
Tak huczeć, jako w stepie zawierucha...
Nam szumieć jako padające plony,
Kiedy je depce moc ślepa i głucha;
Nam śpiewać zgrzytem strun rwanych i krzykiem,
I nie słowiczym — lecz orlim językiem!

Nie nam, pieśniarze, stroić lirę wstęgą,
I sławić rozkosz, niby trubadury...
Bo my, zakonu związani przysięgą,
Izajaszowe nosim w biodrach sznury:
Pieśń nasza, kmiecią odziana siermięgą,
Z ducha królewskość bierze, nie z purpury,
A kiedy wszędzie nad ugor z łez rosy,
Nie kwieciami kwitnąć jej, ale iść w kłosa!

Nie nam, pieśniarze, biedz pustą gonitwą,
Za blaskiem lir tych, co serc próchnem świecą...
Bo jest pieśń nasza o świty modlitwą,
I skowronkowe legie za nią lecą,
Bo o słoneczność dla ziemi jest bitwą,
I brzaski od niej przysze już się niecą,
Bo jest pieśń nasza jutrzeńką i zorzą,
Z której dzień buchnie nam za mocą bożą!

Ks. Jan Pawełski.

FOUILLÉE O PSYCHOLOGII SWEGO NARODU.

(Dokończenie).

Język narodu jest wobec jego charakteru, zdaniem autora, tem, czem rysy twarzy wobec charakteru człowieka, a zatem filologia jest fizyognomią. To też językowi francuskiemu poświęca autor ustęp osobny, który streścić można w tem jednym zdaniu, że jest to apologia, ale apologia nie popadająca w przesadę. Taką apologię podpisać muszą dziś bez zastrzeżenia nawet ci, którzy po Sedanie zapowiadali językowi francuskiemu powolną detronizację najpierw w świecie dyplomatycznym, gdzie jest wszechwładnym i uniwersalnym, a potem stopniowo i w innych zakresach. Za tą przepowiednią stała w swoim czasie powaga ks. Bismarcka, a ziściła się dotąd o tyle, że jak wspomnialiśmy dzienniki, cesarz Wilhelm II. próbuje rugować w Niemczech — *menu* francuskie na obiadach dworskich. Szkoda, że autorowi szczegól ten widocznie był nieznany. Jaki to pyszny materiał dla dowcipnych ilustracji bezsilności zwycięskiego brutalizmu wobec wyższości cywilizacyjnej!

Że Fouillée katolicyzm pojmuje po swojemu, jak to już poprzednio zaznaczyliśmy, na to dowód niezbity w następnym rozdziale poświęconym religii, filozofii i polityce w narodzie francuskim. Tutaj pokazuje już pazurki swoje szowinizm francuski, który mniema, że we Francyi dopiero „chrystyanizm przybrał formę religii socyalnej i moralności socyalnej, a katolicyzm szczególnie odpowiadał tej transformacji“, że dalej „przyjmując

katolicyzm Francya uczyniła go więcej przenikającym i więcej moralnym aniżeli Włochy, a przytem zawsze oryentowała (!) go w duchu życia społecznego, sprawiedliwości i prawa, braterstwa i miłości“. Jakżeż w tej pracy „oryentacyjnej“ Francya sama siebie „zdezoryentowała“, skoro autor zaraz potem chęłpi się tem niemal, że duch francuski wyzwolił się z więzów dogmatycznych, że w krytyce dogmatów poszedł za przewodnictwem rozumu. Fouillée powtarza nawet bez zastrzeżenia zdanie angielskiego pisarza, że „jeżeli Francuz odłączy się od religii, to dlatego, aby przyjąć inną religię, zarówno społeczną: honor“. I sławi potem autor jasny a prosty kodeks tej nowej religii społecznej, jej podniosłość moralną i społeczną, jej żywe poczucie w narodzie francuskim i t. d. Tego już za wiele w książce, której data wydania nie bardzo jest odległa od skandalicznych spraw czy sprawek „honorowych“ Wilsona i od wyjawienia brudów Panamy! Może na tym punkcie zawiodła Fouilléeego bystrość obserwacyjna. Ktoby bowiem w to uwierzył, że w społeczeństwie francuskim „żadna tradycya religijna, jako taka, nie jest święta“ i że wobec tego poczucie honoru mogłoby na prawdę kiedyś zająć miejsce uczuć religijnych, ten musiałby ostatecznie zwątpić o przyszłości Francyi.

Do psychologicznej charakterystyki Francuzów polityka, zwłaszcza w zakresie społecznym, dostarcza rysu nadto wybitnego, żeby ją tutaj pominąć można. Znamiennej cechą Francuzów pod tym względem jest wiara w wszechmoc państwa i rządu. „Malkontenci przy lada sposobności — mówi autor — niekarni, niesforni, więcej przywiązujący wagi do swobody mówienia, aniżeli do prawa działania, za które często już samo mówienie uważamy, w regule znosimy biernie silną powagę i skłonni jesteśmy do uwierzenia, że ona wszystko uczynić może dla naszego szczęścia... Ale jak często zamiast słuchać zmysłu politycznego, idziemy za głosem fanatyzmu politycznego. Mniemamy wtedy, że wystarczy sama proklamacya zasad, aby ziściły się ich konsekwencye, że dość zmienić dorywczo konstytucyę, aby przekształcić prawa i zwyczaje, dość improwizować dekrety, aby przyspieszyć bieg czasu. Artykuł I.: Wszysey Francuzi będą eno-

tliwi. Artykuł II.: Wszyscy Francuzi będą szczęśliwi! Pochlebiamy sobie, że forytujemy postęp wychodząc nie z punktu realnego, do którego historia nas zawiodła, lecz z punktu fanatycznego. Brak nam poczucia tradycyi, solidarności pomiędzy pokoleniami i tego przekonania, że szaleństwa jednych spadają na drugich... W przekonaniu, że rewolucya zawsze zastąpić może ewolucyę, tracimy siłę, jaką czas daje⁴. Na polu polityki zewnętrznej przebija się temperament francuski w braku chłodnej rozważi, w folgowaniu porywom namiętności, sympaty lub antypaty, czasem nawet żyłce awanturniczej.

Ustępy o literaturze i sztuce stanowią niejako tylko ilustracyę dla poprzednio podanej ogólnej charakterystyki inteligencyi francuskiej.

*

*

*

Na czele trzeciej części swojej książki Fouillée stawia jako tytuł pytanie: Zwyrrodnienie czy przesilenie? Z tego, co dotąd autor powiedział, czytelnik zaraz domyślać się musi, że odpowiedź na to pytanie wypadnie w duchu drugiej alternatywy, że w społeczeństwie francuskim, tak samo jak w innych społeczeństwach dzisiejszej Europy, widoczne są objawy przesilenia, że jednak zwyrrodnienia jeszcze niema ani w znaczeniu fizyologicznem ani w znaczeniu psychologicznem.

Pod pierwszym względem dzisiejsze stosunki ekonomiczne i społeczne we Francyi tak samo jak w innych krajach wzbudzają poważne obawy o los przyszłych pokoleń a tem samem wymagają reform zaradczych. Ciężka walka o byt w połączeniu z podziałem pracy wytwarzać zaczyna wszędzie pokolenie charlacze, gdyż różnorodne funkcyje ciała i umysłu są nierównomiernie wyteżone, skąd powstaje dysharmonia w działaniu poszczególnych organów, przeciążenie jednych a zanikanie drugich, zwiechnięcie równowagi w całym organizmie a wreszcie w temperamencie i fizycznych czynnikach charakteru. Niektórzy socjologowie naginają do tych objawów teorię selekcyjną w ten sposób, że wśród podobnych warunków bytu, teoria ta działa w kie-

runku odwrotnym. Nie silniejsi bowiem w fizykiem tego słowa znaczeniu wypływają na wierzch, lecz słabsi na siłach, ale za to wyżsi miarą inteligencji, zdobytej ciężkim trudem i z uszczerbkiem dla warunków fizycznego zdrowia. Robotnik pełen zdrowia i siły, ale nieinteligentny, nie osiąga takiego zarobku, żeby mógł stworzyć własną rodzinę, a natomiast robotnik z charłaczem organizmem, ale inteligentny, żeni się wcześniej i zostawia po sobie charłacze pokolenie. Jeżeliby się na tej drodze postępowało tylko utartym szlakiem darwinizmu i do takiego tłumaczenia formułki selekcyjnej dodało dziedziczność w dogmatycznym znaczeniu, to na prawdę trzeba by się zachwiać w mniemaniu, że chodzi tylko o przemijające przesilenie a nie o dokonane już zwyrodnienie nowoczesnych społeczeństw. Fouillée strzeże od tej rozpaczliwej konkluzji idealizm, którego jak w innych pracach filozoficznych, tak i w tej socyologicznej bynajmniej się nie wypiera.

Zwyrodnienie zdaje się zagrażać społeczeństwu francuskiemu pod względem etnicznym daleko więcej niż innym narodom europejskim z tego powodu, że Francya jak była za najświetniejszych czasów blasku i potęgi mocarstwowej tak jest i dzisiaj w okresie upokorzenia i upadku politycznego eldorado dla przybyszów z różnych stron świata, więc różnej narodowości. „Pewną jest rzeczą — mówi Fouillée — że we Francyi odbija się Europa, że ze stanowiska rasy i charakteru oraz pod względem klimatu, mamy w sobie cokolwiek z różnych stron Europy. Wytworzenie się jednolitego a bogatego charakteru narodowego daje rękojmię zgodności myśli i postępowania, która pozwala dojść do szczytu znaczenia. Jeżeli zaś ten charakter rozkłada się, traci jednolitość i zgodność, to powstaje ruchomość myśli i działań, wewnętrzny rozdział i zwichnięcie równowagi. To też niebezpieczeństwem grozi zbyt znaczny napływ żywiołów obcych niezasymilowanych lub trudnych do cywilizacji”. Śnać niespożyta musi być siła asymilacyjna społeczeństwa francuskiego, skoro ona dotąd umiała zachować swoją jednolitość etniczną, chociaż Francya wykazuje dziś 4% cudzoziemców w niej osiadłych, kiedy tymczasem w Anglii przypada 5 cudzo-

ziemców na 1000 Anglików, w Niemczech 8 a w Austrii 17 cudzoziemców na 1000 dusz rodzimej ludności. Korzyści z tego znacznego napływu sił obcych są znaczne pod względem ekonomicznym i socyalnym, zwłaszcza wobec faktu, o czym później będzie mowa, że wzrost ludności rodzimej we Francyi obniża się od niejakiego czasu, a w zestawieniu z większą płodnością innych narodów stanowi symptom wprost niepokojący. Czy można dalej odnosić te korzyści i zachować nieuszczuploną sławę wielkiej siły atrakcyjnej dla innych narodów a mimo to pozostać tem, czem się zawsze było, odrębną i świetną indywidualnością etniczną, więc ominąć grożące niebezpieczeństwo przekształcenia się w bezbarwny amalgam etniczny bez przeszłości i bez przyszłości? To już zależy od samego społeczeństwa francuskiego, od jego pracy nad utrzymaniem i doskonaleniem dotychczasowej siły asymilacyjnej; tkwiącej zarówno w przymiotach narodowych jak i w wyższości cywilizacyjnej.

Wpływ ujemny na organizację etniczną społeczeństwa wywiera także i ten wzrost wielkich miast, ściągających do siebie tłumy mieszkańców wsi, z których jedni szukają łatwego zarobku, inni dostać się pragną do źródła używania i nadużywania wszystkich rozkoszy i truciźn nowoczesnej kultury kosmopolitycznej, roztaczającej po wielkich miastach cały swój urok a zarazem i całą uludę. Zestawienie wszystkich korzyści, jakie niezawodnie przyniósł ten współczesny fenomenalny wzrost miast ze złemi następstwami dla higieny fizycznej, moralnej... i społecznej, wymagałoby osobnej pracy, w której samo zestawienie literatury tej sprawy stanowiłoby już odrębny rozdział. Co jednak jest niewątpliwem, to fakt, że wzrost ten już dawno przekroczył miarę rzeczywistej potrzeby i straciwszy naturalne warunki rozkwitu, popadł w przesadę, która jak każda przesada pożyteczną być nie może. Francya co do wzrostu miast i co za tem idzie pod względem wyludnienia się wsi, nie zajmuje na szczęście pierwszego miejsca, gdyż wyprzedziły ją w ostatnich czasach Anglia, Niemcy i Stany Zjednoczone Ameryki. Łatwiejszą więc będzie dla Francyi zbawienna reakcja pod tym względem niż dla innych krajów. Ale zanim ona wystąpi z siłą elementarną

jako rezultat przesilenia, społeczeństwo każde, w którym wybujał taki proces miejsko-aglomeracyjny, ma ważne i pilne zadanie do spełnienia, aby przynajmniej zneutralizować wszystkie w oczy bijące ujemne skutki tego procesu.

Każdego poważnego obserwatora obecnych stosunków społecznych we Francyi niepokojem przejmuja szczególnie dwa niezdrowe objawy, które w razie lekceważenia i zaniechania środków zaradczych mogłyby z biegiem czasu wpłynąć zgubnie na ustrój społeczny kraju, wogóle na jego stanowisko w rządzie państw i społeczeństw Europy. Mamy tutaj na myśli rażąco niepomysłny w porównaniu z innemi krajami wzrost ludności we Francyi i alkoholizm, istną plagę społeczną, która jak rak zagnieździła się w zdrowem ciele Francyi i coraz szersze zakreśla sobie kręgi tak, że nieuchwytna pod innemi względami prognoza zagadnienia przyszłych pokoleń staje się tutaj niemal już rzeczywistością.

Stosunkowo mała albo raczej upadająca od niejakiego czasu płodność społeczeństwa francuskiego stanęła przed oczyma dyagnostów socyologicznych w całej grozie od chwili, gdy raz w parlamencie niemieckim marszałek Moltke łagodząc obawy odwetu francuskiego za r. 1870, powiedział wprost, że Francya pozostając w wroście ludności znacznie w tyle za Niemcami codziennie niejako przegrywa jedną bitwę. Od tej chwili posypały się na ten temat we Francyi studia statystyczne, ekonomiczne i socyologiczne w takiej obfitości, w jakiej nie widziano ich od czasu, gdy Malthus swoją słynną teorią o nieuniknionem przeludnieniu nadał stosunkom stopniowego wzrostu ludności charakter sprawy aktualnej i niezmiennie żywotnej dla całej ludzkości. Między temi studjami wyróżniła się w ostatnich czasach drukowana niedawno w *Revue des deux mondes* praca Pawła Leroy Beaulieu, traktująca rzecz z szerszego zakresu i z wyższego niejako ogólno-cywilizacyjnego punktu widzenia.

Jakkolwiek w psychologii społeczeństwa francuskiego sprawie tej, jako ewentualnej dopiero przyczynie zmiany ustroju za życia przyszłych pokoleń, nie należało się tak wybitne miejsce jak

charakterystyce obecnych stosunków aktualnych, mimo to Alfred Fouillée poświęcił jej w dziele swoim osobny obszerny rozdział i rozpatruje ją z taką samą ścisłością jak inne esseneyonalne dla głównego tematu kwestye. Jest on, jak wszędzie, trzeźwy w obserwacyi, bo najpierw wprost uchyla wrzekomo pocieszające zapewnienia niektórych statystyków francuskich, że niema powodu do obawy, bo w XVIII. wieku ludność Francyi wzrastała w stosunku wcale nie większym od dzisiejszego. Niema w tem nic pocieszającego, bo najpierw zło istniejące czas dłuższy złem być nie przestaje, a powtórę z pocieszenia tego w każdym razie wysnuwałby się ten fatalny wniosek, że we Francyi na marne poszły wszystkie te wielkie wynalazki i odkrycia nowoczesne, które wszędzie dobroczynnie oddziaływały na stan ludności przez oszczędzanie mnóstwa ofiar, jakie dawniej niemal corocznie składać wypadało straszhwym klęskom przeróżnych epidemij i głodu.

Więcej otuchy albo raczej pocieszenia wzbudzającym wydaje się naszemu autorowi ten szczegół, że, jak statystyka wykazuje, stosunek urodzin do ogólnej cyfry zaludnienia, obniża się w ostatnich czasach stale w Europie, zwłaszcza w zachodnich państwach, uważanych za ognisko kultury. Na ten właśnie szczegół położył Leroy Beaulieu nacisk w pracy swojej, o której wspomnieliśmy powyżej, nawiązując do cyfr, stosunek ten objaśniających we wszystkich krajach, wnioski ogólne socyologicznego charakteru. Wypowiada bowiem zdanie, że charakterystycznym znamieniem współczesnej nam fazy cywilizacyjno-ewolucyjnej, którą nazywa demokratyczną, jest to, iż wzrost ludności staje się powolniejszym w miarę, jak w pewnym społeczeństwie postęp cywilizacyjny zakreśla coraz szersze kręgi. Postęp ten bowiem podnosi skalę potrzeb i aspiracyj, a z jej wzrostem następuje w duchu powyższego prawidła czy powyższej hipotezy zmiana w stosunkach i czynnikach rozstrzygających o płodności społeczeństwa. Bliżej nie możemy tutaj objaśniać tej hipotezy, bo jakkolwiek nie brak jej ścisłej na pozór podstawy statystycznej, to jednak zakrawa ona na jedną z tych optymistycznych iluzyj, które w elastycznych zestawieniach dat statystycznych

znajdują zawsze grunt bardzo podatny. Trzeźwo na stan rzeczy patrzącemu Francuzowi utkwia w każdym razie w pamięci głębiej niż te pocieszające słowa Moltkego, któreśmy powyżej przytoczyli, tak samo, jak głębiej tkwią w pamięci dzisiejszego pokolenia francuskiego klęski poniesione w r. 1870, aniżeli wszystkie dawniejsze iluzye o francuskiej *gloire* i jej wrzekomo niewzruszonej podstawie militarnej.

Utkwić powinnyby jednak w pamięci Francuzów przede wszystkim te słowa: „Nowy kierunek edukacyjny z towarzyszącym mu postępem sceptycyzmu i negatywnych wierzeń zламаł w młodych pokoleniach wiele karbów moralnych. Nadto nasze złe ustawy o prasie i sprzedaży napojów pozwalają demoralizacyi szerzyć wszędzie zachętę i lekce złego; czynią one nawet z szynku i alkoholizmu niezbędne narzędzie rządu. Demoralizacya pod wszystkimi jej formami jest tedy wrogiem płodności“.

Po tej apostrofie poważnej następują uwagi, wobec których wrażenie poprzednio odniesione zaciera się chwilowo, a czytelnik nieuprzedzony popaść musi w zdumienie, że z ust autora tak wysokiej miary, jak Fouillée, słyszy naraz argumenta, godne chyba bulwarowych świstków dziennikarskich. Z całą powagą bowiem zastanawia się autor nad słusnością zarzutu, jakoby duchowieństwo katolickie, wogóle katolicyzm, wpływał niekorzystnie na wzrost ludności przez wynoszenie celibatu jako wyższego stopnia doskonałości, i przez podtrzymywanie zasady nietolerancyi. Na szczęście ustrzegł się autor przynajmniej od przesady, niegodnej jego stanowiska naukowego, gdyż omawiając owe wrzekomo niekorzystne wpływy katolicyzmu, zaczyna od takiego zastrzeżenia: „Trzeba naprzód przyznać, że katolicyzmowi zawdzięczamy obok wielkich dobrodziejstw także wielkie niekorzyści“. Więc były dobrodziejstwa wielkie, więc nie zapomniał Fouillée o tem, że właśnie katolicyzm jest to dziełem iż społeczeństwo francuskie mogło w dziejach świata wypełnić tyle świetnych kart pod wielką dewizą historyczną: *Gesta Dei per Francos!* Gdyby obok pisarzy francuskich socyologicznego kierunku, których dzieła przytacza w książce swojej, nie był

pominał jednego z najświetniejszych, H. Joly'ego, byłby w pracach jego (szczególnie w dziele *La France criminelle*) znalazł dosadne, pozytywne datami poparte uwagi, jak dobroczynnym jest ciągle wpływ katolicyzmu w sferze stosunków, najlepiej objaśniających moralne podniesienie się lub upadek społeczeństwa w danej chwili, tj. w sferze przestępstwa.

Ale w końcu na tym punkcie autor nasz popada w sprzeczność, która może ujęć sprawia literackiej wartości pracy, ale powadze jego stanowczo korzyść przynosi. Mówi bowiem otwarcie: „Mimo to wszystko nie moglibyśmy przyznać słuszności zdaniu, że wierzenia katolickie były i są jeszcze dotąd pozbawione pomyslnego wpływu, szczególnie na kwestyę zaludnienia. Pewną jest rzeczą, że kler katolicki potępieniem grozi rodzinom, które pod tym względem praktykują restrykcyę dobrowolną. Tak się rzecz ma zresztą i z protestantyzmem. Możnaby tedy zapytać, dlaczego katolicy mają mniej dzieci niż protestanci? Między innymi zachodzi, zdaniem naszym, ten powód, że religia katolicka mimo formalnych zakazów rozwija dziś mniej ścisłą moralność. Myśl o tem, że wystarcza absolucya, dana prędzej lub później przez spowiednika, sprawia, iż świadomie zbacza się z drogi przepisanej. Często także i tak bywa, że religia męża jest więcej płytka i więcej powierzchowna niż religia kobiety, a ta biernie nagina się do woli głowy rodziny. Kazuistyka katolicka posiada zresztą środki niewyczerpane, między innymi ten, który polega na milezeniu i zamykaniu oczu“. Jest więc ustępstwo dla katolicyzmu, ustępstwo, zakrawające po tem, co autor poprzednio powiedział, na rehabilitacyę, ale zamaćone zupełnie zdumiewającą u takiego pisarza, jak Fouillée, konfuzyą, w której sama religia katolicka identyfikowana jest z wątlą religijnością współczesnego pokolenia, jej prawdziwy i tradycyjny rygor moralny z fałszywemi pojęciami danej chwili, wreszcie sama jej istota z lekkomyślną, swawolną lub w pewnych wypadkach nawet zdrożną praktyką jej sług i administratorów niesumiennej.

Nie będziemy po kolei przytaczać za autorem ani wszystkich innych przyczyn, składających się na dzisiejszy niepomysłny stan społeczeństwa francuskiego pod względem wzrostu

ludności, ani specjalnych środków zaradczych, bądź to przez autora za innymi pisarzami, bądź samodzielnie zalecanych. Wszystkie te kwestye wypełniają obszerny rozdział książki i posiadają nieraz doniosłość aktualną, sięgającą poza Francję, jak np. sprawa reformy przepisów spadkowych, które w razie dopuszczania podziałów wzbudzają w troskliwych rodzicach lęk przed posiadaniem zbyt licznego potomstwa, kwestya przyznania ze strony państwa różnych korzyści ekonomicznej i społecznej natury rodzicom z liczniejszym potomstwem, jako spełniającym w całej pełni swoje obowiązki wobec społeczeństwa, kwestya tamowania bezżenności środkami prawnymi i t. d. Fouillée, pisząc ten rozdział, miał na oku nie tyle główny temat naukowy swojego dzieła, jak raczej apostrofę do rządu i do społeczeństwa francuskiego, aby nie traciły czasu na deliberacye, lecz użyły wszystkich środków, rokujących jakie takie rezultaty. Chodzi bowiem o sprawę niezmiernej wagi: „Co czynimy w tej chwili — woła autor — dla powstrzymania depopulacyi, która zagraża samej ojeźźnie i razem z alkoholizmem stanowi największe ze wszystkich niebezpieczeństw narodowych? Nie, absolutnie nie! Stoimy wobec postępującego upadku z założonemi rękami. Apatya taka jest zarówno zdrożna, jak niedorzeczna. Niema żadnej sprawy politycznej lub ekonomicznej, która pod względem doniosłości i pilności mogłaby iść w porównanie z tą kwestyą, streszczającą się w słowach: *primo vivere!*“

Alkoholizm, który Gladstone w jednej ze swoich mów parlamentarnych nazwał klęską w naszych czasach straszniejszą i więcej ofiar pochłaniającą, aniżeli owe trzy odwieczne klęski ludzkości: głód, powietrze morowe i wojna, zostaje w najściślejszym związku z niepokojącą Francuzów kwestyą depopulacyi. Pewien znakomity lekarz szwajcarski cyframi objaśnił znaczenie alkoholizmu dla stosunków społecznych, biorąc za podstawę obliczenia po 10 rodzin, hołdujących trzeźwości i alkoholizmowi. Z pierwszych 10 rodzin przybędzie społeczeństwu 61 dzieci, pomiędzy któremi będzie 50 normalnych, a tylko 6 albo przedwcześnie na świat wydanych, ale newrozą dotkniętych, z drugiej grupy (pijaków) przybędzie społeczeństwu tylko 57 dzieci

z których jedynie 9 będzie normalnych, a reszta zasili tylko zastępy idyotów, epileptyków, garbusów, głuchoniemych, dzieciznych pijaków i charłaków, umierających w młodym wieku z ogólnego osłabienia.

Jeżeli trafnem jest obliczenie Fouillégo, według którego Francya pod względem konsumcyi napojów spirytusowych miałaby stać nietylko w pierwszym rzędzie między innemi krajami Europy, lecz dziś już nawet na ich czele i to z tą smutną szansą, że je coraz więcej prześcigać będzie, to także trafnem musiałoby być zdanie jednego ze statystyków francuskich, który utrzymuje, że w razie dalszego wzmaganiania się alkoholizmu w dotychczasowym stosunku, bez żadnej zapory ze strony rządu i społeczeństwa, Francya potrzebować będzie tylko trzech zakładów publicznych: więzień, domów dla obłąkanych i szpitali!

Smutny to horoskop, ale nie przesadny i w porę postawiony, jeżeli francuskie społeczeństwo nie ma popaść w tę otchłań zwyrodnienia, w którą jego wrogowie radziby je już dziś pogrążyć. A przecież nie tak dawne to czasy, kiedy jeden z głośniejszych pisarzy niemieckich takie wystawiał świadectwo społeczeństwu francuskiemu: „Żaden naród nie jest trzeźwiejszy od francuskiego. W Niemczech człowiek z gminu potrzebuje co najmniej piwa, tytoniu i kręgielni, aby mieć świadomość, że żyje w dniu świątecznym. We Francyi inaczej. Francuzowi, żeby był szczęśliwy jak bożek, nie potrzeba więcej, jak przechadzać się wśród tłumów spacerujących, w sukni odświętnej, z żoną i dziećmi, albo ze swoją przyjaciółką, witać po drodze znajomych, być uprzejmym dla kobiet, darzyć je kwiatami i otrzymywać za to uśmiechy podziękowania“. Od tego czasu alkoholizm przeszedł trzy stadya, z których pierwsze nazwaćby można okresem ekscesów indywidualnych, drugie kolektywnem nadużyciem alkoholu, niejako generalizacją plagi, a trzecie, obecne stadyum zasługuje już w całej pełni na miano plagi narodowej, zakorzenionej jak zwyczaj, przekazywany tradycją z jednego pokolenia na drugie, co gorsza, upozorowanej rozpowszechnionem mniemaniem, że trunki wchodzić mogą i powinny w normalny sposób odżywiania organizmu, jako środki

pobudzające jego funkeye. Fałsz ten, jawny i jak na dłoni wykazany przez największe powagi lekarskie naukowemi argumentami i przykładami, najwięcej przyczynia się do wzrostu złego i najwięcej paraliżuje akcyę zaradczą.

W kreśleniu ponurego obrazu alkoholizmu, wżerającego się w cały organizm społeczeństwa francuskiego, Fouillée nie szczędzi barw ciemnych tak, że czasem zdaje się czytelnikowi, iż ma przed sobą nie obraz kreślony ręką patryotycznego Francuza, lecz jedną z tych licznych elukubracyj niemieckich, które współczesną Francję przedstawiają jako zdegenerowaną do szpiku kości. Czy koniecznym był taki alarm? Niema wątpliwości, że tak autorowi postępować kazał właśnie sam patryotyzm, ten zdrowy patryotyzm, który jak z jednej strony unika wszystkiego, co może podsyć desperacką rezygnacyę i zdanie się na łaskę losu, tak z drugiej znowu strony w razie rzeczywistego niebezpieczeństwa nie szczędzi ani ponurych przepowiedni ani wyrzutów, ani dobitnych nawoływań do refleksyi. Faktem jest bowiem, że dzisiejszy rząd francuski zamiast przodować społeczeństwu w tępieniu złego, daje wprost gorszący przykład braku rozwagi przez jednostronne forytowanie interesów fiskalnych, zaangażowanych w wzroście konsumcyi napojów spirytusowych. Fouillée cytuje ustęp z raportu jednego z poborców dochodów rządowych, który podnosi to jako objaw pocieszający, że konsumcya alkoholu wzrasta w tych departamentach, z których dotąd skarb państwa za mało miał dochodów z tego źródła. To też z gorzką ironią apostrofuje Fouillée rząd, aby się ocknął z tej jednostronności fiskalnej, a społeczeństwo upomina, aby wzięło się do pracy nad zatamowaniem złego pod hasłem uczuć patryotycznych, najwrażliwszych na widok groźnej przyszłości, a zarazem najsilniejszych i najskuteczniejszych w akcyach tego rodzaju.

Alkoholizm ma rodzoną siostrzycę, rozpustę, która dzielnie przyczynia się do jego pracy nad deprawacyą społeczeństwa. I tutaj Fouillée nie oszczędza cierpkich zarzutów rządowi, który toleruje literaturę pornograficzną, swawolne zabawy ludowe i t. p., jako *pendant* do szynkowego życia, na którym skarb państwa

chce się obłowić kosztem zdrowia społecznego, kosztem przyszłości narodu.

Że to nawoływanie do walki z alkoholizmem nie jest częzą frazeologią, w której zazwyczaj gubi się cel praktyczny, że owszem Fouillée głównie cel taki miał na oku, z przekonaniem o jego zupełnej wykonalności, na to najlepszym dowodem i przykładem postawiona przezeń jako wzór mała Norwegia, która sama niegdyś tak jak dziś Francya dotknięta alkoholizmem, zdołała usilną pracą rządu i społeczeństwa w 36 latach zniżyć konsumcyę alkoholu z 10 litrów na 3·9 na głowę. Razem z alkoholizmem znikły lub zmniejszyły się w takim samym stosunku jego następstwa moralne, ludność wzrosła o $\frac{1}{3}$ (z 1,305.090 na 1,903.000), liczba kondemnats sądowo-karnych spadła z 249 na 180 (na 100.000 głów), a liczba osób skazanych w swojej egzystencji na dobroczynność publiczną zmniejszyła się także o $\frac{1}{4}$, kiedy tymczasem majątek publiczny podniósł się o $\frac{1}{3}$.

Zajrzawszy śmiało w oczy zdrożnościom, najbardziej zagrażającym zdrowiu społecznemu we Francyi, przedstawivszy z całą grozą następstwa dłuższej indolencji w tępieniu tych zdrożności, Fouillée mógł za to zaraz w następnym rozdziale śmiało rozprawić się z tymi obcymi krytykami stosunków społecznych we Francyi, którzy już dziś uważają społeczeństwo tamtejsze za pogrążone w stan zwyrodnienia. Ci przeciwnicy Francyi mają na razie po swojej stronie nietylko mnogie pozory, lecz nawet świadectwa samych Francuzów, zwłaszcza o ile chodzi o charakterystykę niezdrowych objawów w bieżącej literaturze francuskiej. Słynny socyolog Letourneau np. zarzucił dekadentom francuskim, że doprowadzili literaturę do stanu, przypominającego ludy prymitywne, Hotentotów i Kafrów, u których gra słów, wykrzykniki, dziwaczne dźwięki i t. d. zastępują sens i uczucie. Na szczęście obłęd ten już zaczyna należeć do przeszłości, a zresztą Fouillée zbywa go tą uwagą: „Któż zajmuje się takimi próbami, które po większej części nie były szczeremi, ale rozmyślnemi zboczeniami i ekstazami na zimno preparowaniem?”

Z Nordau'em najobszerniej rozprawił się nasz autor, bo

też istotnie ten pisarz niemiecki, świetną, chociaż paradoksalną, dyalektyką podbijający każdego mniej rozważnego czytelnika, najwięcej w ostatnich czasach zdyskredytował Francję swoim słynnem dziełem o zwyrodnieniu (*Entartung*). Jedna próbka tej ciętej filipiki Fouillégo z Nordau'em najlepiej scharakteryzuje wagę zarzutów i odpowiedzi. „W rubryce mistycyzmu — mówi nasz autor — Nordau pomiędzy chorobami naszymi umieszcza także wszelką aspiracyę do świata idealnego, wszelkie zajęcie się tem, co wychodzi poza ograniczone koło wiedzy pozytywnej. Tym, którzy utrzymują, że wiedza sama okazała się pod względem moralnym i religijnym niedostateczną, Nordau wylicza wszystkie odkrycia i woła w końcu: Czyż nie jesteście jeszcze zadowoleni? Ależ tak jest; nie jesteśmy zadowoleni, gdyż ambicya nasza sięga wyżej. Wiedza może nas objaśnić o wielu rzeczach, ale nie tłumaczy nam ani wartości, ani celu egzystencji. Kto wymaga od wiedzy — mówi Nordau — aby odpowiedziała niezachwianie i śmiało na wszystkie pytania umysłów wykołajonych i niespokojnych, ten zawiedzie się na niej, gdyż ona nie chce ani nie może zaspokoić tych wymagań! A więc uznajecie, że są kwestye, co do których wiedza pozytywna z konieczności niemą być musi! Czy jednak zajmowanie się temi kwestyami jest tylko właściwością umysłów wykołajonych i niespokojnych? Chodzi tu przecież o treść, cel i istotę życia. Zaliczać do mistyków i zwyrodnionych każdego, komu koleje żelazne i telegrafy nie wystarczają dla zupełnego zadowolenia rozumu i serca, znaczy tyle, co zapominać o tem, że filozofia i religia (ta kolektywna filozofia ludów) istniały zawsze i zawsze istnieć będą, dopóki człowiek stawiać będzie sobie pytanie: Czem jestem? Skąd się wziąłem na świecie? Co mam czynić i czego mam się spodziewać? Takie pytania nie oznaczają zwyrodnienia, lecz stanowiły zawsze znamię okresów odrodzenia i postępu“.

Czy tak się rzecz ma z dzisiejszym stanem społeczeństwa francuskiego? Fouillée nie mówi wyraźnie, że tak jest istotnie, ale z całej polemiki z Nordau'em taki wniosek koniecznie się nasuwa. Zachodzi jednak kwestya, czy autor, uważający religię tylko za „kolektywną filozofię ludów“, a owe idee kierownicze

(*idées forces*), na które we wszystkich dziełach swoich kładzie taki nacisk, za niemyślne drogoskazy dalszego pochodu na drodze ewolucyi cywilizacyjnej, już w dzisiejszym okresie błędnych ogników neochrystyanizmu francuskiego widzi dokonany a nie rozpoczęty dopiero okres odrodzenia? Zdaje się niestety, że Fouillée myśli o pierwszej alternatywie. Zamyka bowiem swoją zwycięską polemikę z Nordau'em i innymi pisarzami obcymi, biadającymi nad zwyrodnieniem Francyi, następującem oświadczeniem: „Ani w naszym charakterze narodowym, ani w naszej sztuce, ani w literaturze, nie mogliśmy odkryć dowodów t. zw. „scienceficznych“ naszego zwyrodnienia. Pewne niepomysłne objawy, tak fizyczne, jak moralne, są więcej widoczne we Francyi dlatego, żeśmy wyprzedzili inne narody europejskie... Klasyczny duch Francyi dokonał na swoich wielkich ludziach transformacyj, które czynią ich podobnymi do bohaterów tragedyi Corneille'a i Racine'a. Bohaterowie Francyi opanowywali fantazję popularną zawsze taką odwagą i pogardą śmierci, nieprzecieżonym zachwytem i podniosłością zwycięską, wielkością ducha i rycerskim nastrojem, poświęceniem dla ojczyzny lub ludzkości, miłością wolności, światła i postępu. Są to nie symbole realizmu historycznego, lecz żyjące ideały dla ducha narodu. Nikt nie zaprzeczy, że ideał ten, aby go scharakteryzować jednym słowem, stanowi ideał szlachetności. W oczach niektórych narodów być szlachetnym znaczy tyle, co być w pole wyprowadzanym. Szlachetność powinna być niezawodnie inteligentną, a idee są siłami tylko pod warunkiem, jeżeli nie zostają w sprzeczności z rzeczywistością. Ale dziś narody nie grzeszą zbytkiem miłości i poświęcenia dla idei. Rzecz się ma całkiem przeciwnie. Sceptycyzm, predylekcyja dla utylitaryzmu, demoralizacyja finansowa, pozioma polityka stronnictw i interesów, egoistyczna walka klas — oto szereg złych symptomów, które wszędzie zwalczać należy pod hasłem idei. Jeżeliby Francya wyrzec się chciała swojego kultu ideałów, swojego geniuszu bezinteresownego, społecznego i ludzkiego, to straciłaby bez możności kompensaty to wszystko, co zawsze stanowiło jej potęgę moralną“.

Oczy sam ten kult wystarczy za rękojmnię przyszłości równie

wspaniałej, jak przeszłość historyczna Francyi? Skąd rękojmia, że kult wszystkich tych idei, uczuć, krótko mówiąc, wszystkich moralnych czynników, które w ciągu wieków kształciły i wywyższały naród francuski, utrzyma je w całej czystości i sile, jeżeli samo ich źródło nie jest ani należycie obwarowane, ani czujnie strzeżone? Gdzie zaś szukać tego źródła, na to odpowiada wspaniała dewiza: *Gesta Dei per Francos!* Tej dewizy nie wywiesił Fouillée na swoim sztandarze naukowym, chociaż, co zaznaczyliśmy nieraz i co chętnie widzi każdy szczerzy przyjaciel Francyi, niema na nim także skrajnej dewizy: *Gesta naturae per Francos*. Stoi więc nasz autor na tem rozdrożu, na którem stanęło społeczeństwo francuskie ze swoją współczesną nauką, literaturą i polityką, dobywając się mozolnie z trzęsawiska niewiary i materyalizmu na grunt, z którego przynajmniej szerszy widnokrąg się roztacza. Na tym widnokregu jednak tyle jeszcze gęstych obłoków, nawet chmur groźnych, że o losy nieopatrzego wędrowca, szukającego dalszej jasnej drogi, każdy życzliwy zawsze jeszcze niepokoić się musi.

Dr. Bronisław Łoziński.

Z RUCHU AGRARNEGO W BELGII.

Po długiem uśpieniu w obojętności i odrętwieniu, pod tłoczącym brzemieniem miejscowych dolegliwości i klęsk ekonomicznych, poczęła od lat kilkunastu ludność rolnicza żwawo krzątać się około polepszenia swego bytu. Po wszystkich prawie krajach cywilizowanej Europy powstają pod hasłem samopomocy różnorodne stowarzyszenia, które w uderzająco krótkim niekiedy czasie usilnej i rozumnej pracy zdziałały na polu reformy stosunków rolniczych więcej, aniżeli najzapaleńsi może pracownicy na tem polu spodziewać się mogli. Jeden z tych przykładów widzieliśmy w syndykatach, opisanych w trzech poprzedzających zeszytach *Przeglądu*; rzućmy okiem na nie mniej żywotny ruch włościański w Flamandyi, który, aczkolwiek lat kilka dopiero istnieje, rozległą na drodze ulepszeń agrarnych rozwinął działalność i znamiennej okazał fizygnomię.

Zacznijmy od historii jego.

Było to w przededniu olbrzymich strejków, które wzdłuż i wszerz całego kraju krwawe rozniosły zaburzenia, kiedy katolicy w Belgii, po długich a zwycięskich zapasach w sprawie szkół wyznaniowych z liberałami, zaczęli się skupiać pod sztandarem reformy socyalnej, od której szczęśliwego podjęcia i przeprowadzenia zależy dziś pomyślny rozwój i szczęśliwa przyszłość każdego narodu.

Pierwszym krokiem w tym kierunku był wspañiały kongres socyalny w Liège (1886 r.), którego zadaniem było wytyczyć

główne kierunki i linie przyszłych prac reformatorskich i skompletować program działania całej akcyi katolickiej około żywotnych spraw społecznych i ekonomicznych. Kongres odbył się wspaniale, ale — rzecz dziwna — pominięto na nim prawie zupełnie kwestyę agrarną. Przemysłowa Belgia, pod wpływem świeżych wypadków i potężnie się rozwijającego socjalizmu, zapomniała o oplakanem położeniu swego chłopu, który pod tłoczącym brzemieniem uciążliwości i rozlicznych klęsk ekonomicznych spokojnie cierpiał i płacił podatki, a przy wyborach pod sztandarem wiary przechylał zwycięztwo na stronę katolików. To też dziwna ta obojętność dla spraw rolniczych, a właściwie włościańskich, wywołała u jednego z wybitnych gości niemieckich irończą skargę, która w Belgii aż nadto była usprawiedliwioną: „hałaśliwe dzieci otrzymują wszystko, uległe zaś nic“.

Zapewne charakterystyczne to dla kongresu, złożonego z najwybitniejszych ludzi nauki i przedstawicieli narodu, którzy po to jedynie się zjechali, by skompletować swój program polityczny i spólnie się porozumieć co do praktycznego działania na polu polityki socyalnej.

Znalazł się przecież jeden głos — ale był to głos z poza Renu — który wystąpił w obronie spraw włościańskich. Hr. von Loë, jeden z organizatorów i najczynniejszych kierowników włościańskiego związku nadreńskiego, roztoczył przed zadziwionymi uczestnikami kongresu wspaniały obraz rozległej i dobroczynnej działalności stowarzyszeń włościańskich w Niemczech — i oto mowa jego stała się hasłem do potężnej akcyi ratunkowej na polu oplakanych stosunków włościańskich w Belgii.

Pewien zacny kapłan, zamieszkały na piaszczystych wydmach kapińskich, proboszcz kościoła św. Alfonsa, rozczytując się w księdze pamiątkowej pomienionego kongresu, spotkał się z wywodami hr. Loë. Sprawozdanie to uderzyło go wielce i oto w sercu jego powstaje myśl założenia podobnego stowarzyszenia w swojej parafii. A trzeba wiedzieć, że ksiądz Mellaerts jest człowiekiem głębszych poglądów. Łączy on w sobie w rzadki sposób nieugiętą, żadną przeciwnością niezwalczoną energię i zapał płomienny do najwyższych ideałów ze zmysłem praktycznym i głę-

boką znajomością natury ludzkiej — te dwa przymioty, niezbędne dla człowieka czynu. Sam zaś będąc synem chłopca, obeznany z biedą chłopską i stosunkami włościańskimi w swojej ojczyźnie posiadał on wszystkie warunki, by zapoczątkować potężną akcyę i stanąć na czele wielkiego stronnictwa chłopskiego. I tak się też stało. Jako proboszcz zaczął ks. Mellaerts od swojej parafii.

W dogodnej chwili zebrał on w tym celu kilkunastu najpoważniejszych włościan i wytłumaczył im na oko, dlaczego obecne stosunki włościańskie w tak opłakanym znajdują się stanie. Indywidualizm ekonomiczny i polityczny i brak wszelkiej organizacyi to zrzucił, że rolnictwo dziś tak zaniedbane, że ustawodawstwo nie liczy się z najślusniejszemi jego postulatami, że praca na roli tak fatalnie zależna od pożyczkowego grosza. I któż temu zaradzi? Jeden jest na to środek niezawodny i skuteczny, a środek ten wyłącznie od was zależy. Stowarzyszać się, stowarzyszać się i jeszcze raz stowarzyszać się! W tem tkwi cała potęga i przyszłość rolnictwa. Pojedynczo jest każdy z was gdyby patyk słaby, który lada dziecko złamie, ale zszeregowani stanowić będziecie potęgę, którą aby przełamać trzeba by siły olbrzyma. Świetne były ongi dawne korporacye, świetnymi poszczycić się mogą rezultatami stowarzyszenia rolnicze zagranicą, ale bo też żywotną ich sprężyną i duszą to owe hasło potężne i skuteczne: wszyscy za jednego, a jeden za wszystkich. Spróbujmy tylko to samo zrobić u siebie, a Bóg nam dopomoże.

I tak powstało pierwsze stowarzyszenie włościańskie we Flamandyi pod opieką św. Izydora — które niebawem dało początek potężnej organizacyi włościan, obejmującej obecnie kilka prowincyj w Belgii.

W kilka miesięcy później pojawił się w jednym z flamandzkich dzienników wyborny artykuł o stowarzyszeniach włościańskich, który zwrócił w wysokim stopniu na siebie uwagę M. Helleputta, zapalonego rzecznika i obrońcy organizacyi zawodowej i stanowej na kongresie w Liège. Uczony ten polityk socyalny, uderzony trzeźwością sądów i trafnością poglądów rzeczzonego artykułu, zapragnął zapoznać się z jego autorem, którym był nie

kto inny, jak ks. Mellaerts. Wywiązała się stąd serdeczna przyjaźń na gruncie wspólnych przekonań i pracy nad dobrem ludu i reformą socyalną. Ks. Mellaerts znalazł światłego doradcę i zapałonego rzecznika swych idei, które w życie wcielał, M. Helleputte zaś serdecznego ducha i potężnego organizatora, który miał niebawem zatrząść całą Flamandya. Do dwóch tych zapałonych pracowników na polu reformy socyalnej przyłączył się wkrótce i trzeci w osobie p. Schollaerta, który oddawna już poświęcił był swój talent i siły sprawie włościańskiej w okręgu Lowańskim. I odtąd trójkę tę ożywia jedna myśl, jedno dążenie, jeden program, by w każdej gminie, w każdej parafii stanęły stowarzyszenia włościańskie, objęte jedną potężną organizacją, rozciągającą się na całą Belgię.

Pierwszym krokiem ku temu był ogólny wiec włościański, zwołany dnia 20 lipca 1890 r. do Lowanium, na którym uznano potrzebę zszeregowania wszystkich stowarzyszeń włościańskich w jeden, ogólny związek i uchwalono statuty dla wszystkich stowarzyszeń, zakładać się mających. Taki jest początek i historia ruchu włościańskiego w Flamandyi, jaki jego program? W programie, który nosi na sobie podpisy pp. Helleputta, Schollaerta i ks. Mellaerts, wytknęli sobie chłopci flamandzcy cel potrójny:

- a) obronę interesów religijnych, materyalnych i moralnych chłopów;
- b) rozszerzenie i polepszenie ustawodawstwa agrarnego;
- c) wytworzenie zawodowej organizacyi rolniczej.

W części zaś praktycznej programu czytamy cały szereg postulatów, świadczących dowodnie o tem, z jaką gruntowną znajomością rzeczy przystąpiono tam do akcji ratunkowej około uzdrowienia stosunków rolniczych.

Przytoczymy tu niektóre z nich:

Reforma systemu podatkowego. Zmniejszenie podatków gruntowych. Opodatkowanie papierów wartościowych. Reforma prawa spadkowego oraz przepisów prawnych przy transakcyach i t. d. Organizacja kredytu rolnego w ten sposób, by dłużnik mógł się wydobyć z długów hipotecznych, oraz unormowanie

prawne stopy procentowej, stosownie do wysokości czystego dochodu z ziemi. Ograniczenie obdłużenia. Surowe ustawy przeciwko lichwie i grze giełdowej. Ograniczenie dzielenia gruntów. Cła ochronne, mające na celu ochronę produkcji krajowej wobec konkurencji zagranicznej. Najważniejszym zaś punktem całego programu to wytworzenie organizacji stanowej, jaką sobie postawili za ostateczny cel i zadanie inicjatorzy i organizatorowie flamandzkiego ruchu włościańskiego. Wychodzą oni z przekonania, że jedna tylko organizacja stanowa, rozciągająca się do wszystkich, co szukają zatrudnienia na roli, wyposażona w sferze właściwych sobie interesów w pewne atrybucje władzy zdoła usunąć anarchię w produkcji rolniczej i wyłamać się z pod zabójczej przewagi obecnej organizacji kredytu i handlu.

Ale organizacja stanowa, jako też wytworzenie odrębnego ustawodawstwa agrarnego to program dalekiej jeszcze przyszłości, którego wezielenie w życie w znacznej mierze zależeć będzie od potężnej organizacji rolniczej. Dopiero wtedy, gdy wszyscy włościanie się zszeregują, gdy w każdej parafii i gminie powstaną stowarzyszenia, oparte na gruncie ekonomicznym i mające na celu rozwój żywotnych interesów ekonomicznych, stanowiąc oni będą potęgę, która zaważy na szali ustawodawstwa i wdrożyć może nowy porządek społeczny. I w tym też kierunku pracuje z niezmiernem wytężeniem i nadzwyczajną ruchliwością flamandzki związek chłopski. Istnieje on dopiero 7 lat a liczy już przeszło 300 stowarzyszeń, obejmujących razem 20.000 rodzin chłopskich. Naprawdę rezultaty to bezprzykładne w ruchu włościańskim, jakimi poszczycić się nie mogą najżywotniejsze stowarzyszenia ani we Francji, ani w Niemczech.

Przypatrzmy się teraz jak się wewnątrz związek chłopski urządził, jakie tam życie wre i kipi, jaką działalność rozwinął na polu gospodarstwa rolnego i w dziedzinie stosunków włościańskich.

Flamandzki związek chłopski (*Boerenbond*) składa się ze stowarzyszeń lokalnych rozpościerających się na terytoryach parafialnych.

Jak wyglądają te stowarzyszenia?

Są to bractwa religijno-ekonomiczne, składające się z rodzin, zajmujących się w obrębie parafii gospodarstwem rolnem. Kierownictwo tych bractw spoczywa w rękach wydziału, w którego skład wchodzi zawsze miejscowy proboszcz. Wydziałowi mają za zadanie załatwiać sprawy stowarzyszenia, urządzać lokalne zgromadzenia, odbywające się co miesiąc, i wogóle utrzymywać w żywotnym ruchu życie stowarzyszenia. W miesięcznych tych zebraniach też tkwi siła stowarzyszeń lokalnych. One są szkołą praktyczną nauki agronomicznej oraz źródłem ożywczem, skąd stowarzyszenia w znacznej mierze czerpią swą żywotność. Duszą tych zebrań, w których całe rodziny biorą udział, jest zwyczajnie ks. proboszcz, ale nie zbywa też na inteligencji raz dla tego, że stowarzyszenia na szerokie stosunkowo rozciągają się terytoria, a powtóre, że do stowarzyszenia należeć mogą wszyscy, którzy albo są zatrudnieni na roli albo też ściślejszą łączność mają z rolnictwem, jako to: nauczyciele ludowi i zarządcy dóbr, właściciele i dzierżawcy, rzemieślnicy i t. d.

Materyału zaś do ożywionych dyskusyj i żwawo toczących się obrad, dostarczają aż nadto dużo konferencje agrarne urządzone od czasu do czasu na większą skalę przez ludzi fachowych i kompetentnych — peryodyczny miesięcznik pod tytułem: *de Boer* — doświadczenia zebrane na stacyach doświadczalnych, związkowe biuro rolnicze i analizy nawozów sztucznych robione bezpłatnie na żądanie członków związku w rządowych laboratoriach rolniczych, a przede wszystkim zaś zapal kierowników i ogromna ruchliwość i energiczna działalność rady związkowej, która wszędzie budzi ruch i roznosi zapal do podjęcia nowych prac i przywołania do życia nowych przedsiębiorstw. Drugą znaną cechą stowarzyszeń flamandzkich jest duch religijny, który je ożywia, i to stanowi ich potęgę żywotną i jest zarazem najgłówniejszą przyczyną i warunkiem ich wzrostu i rozwoju. Stowarzyszenia flamandzkie nie są zwykłymi tylko związkami, mającemi na celu polepszenie stosunków włościańskich i wzajemną pomoc członków, ale są to zarazem bractwa kościelne, starające się zarówno o dusze swoich członków, jak o ich doczesny dobrobyt i powodzenie. Wznowiły one w tej mierze prak-

tyki religijne i tradycje dawnych cechów. I tak przyjęcie do stowarzyszenia odbywa się zawsze w kościele, gdzie nowoprzystępujący członek przy współudziale całego stowarzyszenia składa uroczystą przysięgę, według formuł zapożyczonych z dawnych cechów, że będzie bronił wiary i interesów swego stanu. Dalej, co miesiąc odbywają się wspólne nabożeństwa, a dzień św. Izidora, którego obrano patronem stowarzyszenia, obchodzi się z przepychem kościelnym, właściwym tylko świętom najuroczystszy. Wogóle jak dawne cechy miały swoich patronów, swoje chorągwie, swoje procesje i uroczystości kościelne i nabożeństwa żałobne za zmarłych, tak i nowożytne cechy włóściańskie przyoblekły się w te odgrzebane z pyłu wieków a wiecznie młode formy kościelne, które ongi stanowiły chwałę i potęgę mieszczaństwa Flamandyi.

Poznawszy tak organizację związku chłopskiego i główne jego cechy charakterystyczne, przypatrzmy się teraz z kolei jego działalności ekonomicznej.

Ażeby stosownie do postępów techniki i nowożytnej nauki agronomicznej podnieść wydajność ziemi i produktyjność gospodarstwa rolnego oraz zapewnić swoim członkom oprócz dobrego i niesfalszowanego towaru wszystkie korzyści hurtownego zakupna, zorganizował nasamprzód związek chłopski zakupno nawozów sztucznych, które w każdym racjonalnym gospodarstwie rolnem tak poważny stanowią czynnik wydatków rocznych. I na tem polu rozwinął on prawdziwie zbawienną i szeroką działalność. Bo najprzód przyczynił się znacznie do upowszechnienia racjonalnej uprawy ziemi pomiędzy chłopami. „*Boerenbond* — mówi M. Theunis w sprawozdaniu przedstawionem na agronomicznym kongresie międzynarodowym w Brukseli (1896 r.) — uczynił znaczny krok naprzód na polu racjonalnej uprawy ziemi; wykazał on na oko w sposób nieulegający zaprzeczeniu chłopu, że aby podnieść wydajność ziemi a tem samem obniżyć koszt uprawy, należy używać nawozów sztucznych. Uprawa ziemi, zasadzająca się jedynie na nawożeniu ziemi gnojem, jak to dawniej nasi ojcowie robili, nie jest obecnie znaną pomiędzy członkami *Boerenbondu*“. A powtóre „korzyści —

pisze ks. Mellaerts — wynikające ze wspólnego zakupna są ogromne. Ażeby dokładnie oznaczyć ich wysokość, trzeba by znać ceny, jakie chłopci przed istnieniem stowarzyszenia płacić musieli kupcom za te same towary. Przecież niektórzy kupcy pośredni zniżyli jednym zamachem ceny mąki lnianej z 15—16 fr. na 4 fr. Dzięki związkowi drobny chłop może sobie sprowadzić towary po cenie najniższej z pierwszorzędnych fabryk, może je poddać pod analizę a tem samem uchronić się przed oszustwem i falsyfikatami, które w naszych czasach, jak to sprawozdania biur analitycznych wykazują, niezmiernie często się zdarzają⁴.

Tak tedy, członkowie związku chłopskiego za pomocą scentralizowanego zakupna, są w położeniu po możliwie najtańszej cenie otrzymać dobry i niesfałszowany towar. To też nie dziwnego, że zamówienia rosły olbrzymio — chłop flamandzki zrozumiał korzyści wynikające z asocjacyi.

Rzut oka na cyfry najlepiej nas o tem przekona. Oto w r. 1895 sprowadzono ogółem nawozów sztucznych 6,285.150 kg. W roku 1896 ilość ta prawie się podwoiła, bo sprowadzono 11,008.682 kg. Ilość paszy w r. 1895 sprowadzonej przez związek wynosiła 1,684.570 kg.; w następnym zaś roku cyfra ta wzrosła do wysokości 6,149.575 kg.

Na prawdę rezultaty zdumiewające!

W ciągu jednego roku zakupił związek chłopski 1.100 wagonów nawozów sztucznych i 600 wagonów paszy dla bydła za 1.060.409 franków nie licząc tu wcale kapitału obróconego na zakupno nasion, narzędzi i maszyn rolniczych.

Warto porównać cyfry te z cyframi zakupna nadreńskiego stowarzyszenia włościańskiego w Niemczech, na którem flamandzki związek chłopski się wzorował.

Oto nadreński związek chłopski założony w r. 1883 a liczący obecnie 40.000 członków zakupił w r. 1895: 7.500.000 kg. nawozów sztucznych; flamandzki zaś związek chłopski liczący po 6 latach istnienia 18.000 chłopów zakupił w r. 1896 więcej niż 11.000.000 kg. nawozów sztucznych. Różnica to w oczy bijąca, która zarazem daje miarę kultury rolnej w Belgii.

Przy zakupnie nawozów sztucznych występuje związek

zwykle jako prosty pośrednik między fabrykantem lub handlarzem a członkami związku. Dwa razy do roku na wiosnę i w jesieni przesyła centralna komisya związku do pojedynczych stowarzyszeń odnośne cenniki i informacje, dotyczące się ceny i jakości dostawy żądanych artykułów. Następnie jeden z członków upoważniony przez zarząd zbiera zamówienia od członków i przesyła je komisji centralnej do wykonania. Ta zaś oddaje je fabrykom i firmom przez siebie wybranym do dostawy poszczególnym stowarzyszeniom.

Za towary płać członkowie gotówką. Tylko tam, gdzie w stowarzyszeniu znajduje się spółkowa kasa pożyczkowa, ta pośredniczy niekiedy w zakupie. Dostawione towary mogą członkowie związku na każdej rządowej stacyi doświadczalnej poddać pod analizę. Oprócz nawozów sztucznych pośredniczy związek chłopski nadto w zakupie nasion, paszy, narzędzi i maszyn rolniczych. Maszyny kosztowne, w pewnym tylko czasie znajdujące zatrudnienie w gospodarstwie rolnem, kupuje związek na wspólny rachunek; członkowie zaś za używanie tychże składają pewną opłatę, która idzie na amortyzację ceny zakupna i reparacye wspólnym kosztem utrzymywanej maszyny.

Oprócz wspólnego zakupna usiłowano dalej zorganizować zbyt produktów rolniczych. Wszelako próby w tym kierunku podjęte nie dały pomyślnych rezultatów. Rozbijały się one zyczajnie o brak ludzi fachowo wykształconych i doświadczonych w specjalnym dziale handlu rolniczego z jednej a z drugiej strony o brak organizacyi konsumentów. Niekiedy też nieakuratność lub wprost niesumienność włościan dostarczających towary stała tu na przeszkodzie. Przedmiotem znaczniejszych dostaw były kartofle. Stowarzyszenia włościańskie w okręgu Malines sprzedały wspólnie 600 wagonów po 200 centnarów kartofli w przeciągu 6 tygodni. „I próba ta — mówi ksiądz Mellaerts — wykazała jak na dłoni, ile nadużyć dzieje się w dziedzinie zbytu produktów rolniczych i wydobyła na jaw mnogość olbrzymich trudności, które dowodzą, że na tem polu należy jeszcze wszystko zorganizować“.

Szeroką działalność rozwinął flamandzki związek chłopski

w dziedzinie asekuracji. Zaczniemy od ubezpieczenia bydła. Kto choć trochę obznajomiony jest ze sprawami rolniczymi, kto choć pobieżnie tylko przeglądał statystykę rolniczą, uderzony być musiał olbrzymimi stratami, jakie rok rocznie ponoszą rolnicy wskutek rozmaitych wypadków i chorób bydła. Straty te niekiedy tak są dotkliwe, że przywodzą do ruiny rolników zamożnych, tak przerażające, że stają się wprost klęską publiczną, dotykającą kraj cały na długie lata. To też kwestya ubezpieczenia bydła stała się we wszystkich krajach kwestyą palącą. I w Belgii toczyły się w tej sprawie żywe dyskusye. Jak temu zaradzić, pytano się, czy za pomocą asekuracji przymusowej, czy też na zasadzie dobrowolnej asocjacji? Jakie stanowisko zajął w tej sprawie związek chłopski?

Nie wdając się w teoretyczne dyskusye i bezowocne spory, stanął on od razu na stanowisku praktycznem. Wychodząc ze stanowiska, że przymus państwowy jest zawsze bezowocny i wprost szkodliwy tam, gdzie jednostki lub stowarzyszenia same sobie poradzić potrafią, zaczęto w obrębie związku zakładać spółki asekuracyjne. I nie narażono się na straty, spółki bowiem, jakie związek założył, dziś w świetnym znajdują się rozkwicie, a przeciwnie próby podjęte na zasadzie przymusu w prowincyi Liège niesławne zrobiły *fiasco*.

Zasady, na których się opierają spółki asekuracyjne, są następujące:

Najprzód ograniczył związek działalność spółek do małych tylko okręgów, by ułatwić kontrolę i uniemożliwić zbyt częste w sprawach ubezpieczeń oszustwa.

Powtórę do spółek należeć mogą tylko rolnicy; handlarze bydła są wykluczeni od ubezpieczeń.

Potrzebie dla ułatwienia administracji, spółka rozpada się zwyczajnie na kilka sekcij, z których każda posiada swego męża zaufania. Zadaniem tych zaufanych jest pełnić kontrolę nad sprawami asekuracyjnymi i przyjmować ubezpieczających się. W razie zgłoszenia się, spółka mianuje osobną komisję składającą się z trzech członków, którzy mają oszacować wartość zwierzęcia. Komisya ta nadto rok rocznie robi przegląd ubezpieczo-

nego bydła i ponawia szacunek, gdziekolwiek potrzeba tego zachodzi.

Premie opłaca się za rok cały z góry albo też miesięcznie. Wysokość premij wynosi 10—15 centymów od 100 franków wartości ubezpieczonej na miesiąc a względnie 1.20—1.80 fr. na rok cały. Stowarzyszenie zwraca poszkodowanemu tylko $\frac{2}{3}$ albo $\frac{3}{4}$ oszacowanej wartości rzeczywistej zwierzęcia. Ubezpieczenie odnosi się do wszystkich chorób, nie wyłączając chorób zaraźliwych. Na wypadek atoli zarazy wpływają subwencye, jakie rząd poszkodowanym udziela, do spółkowej kasy ubezpieczeń. Administracya w spółkach jest bezpłatna. Doświadczenie wykazało, że nie warto zakładać spółki tam, gdzie nie znajdzie się dostateczna liczba co najmniej 50 sztuk bydła do ubezpieczenia.

Na końcu r. 1895 po zamknięciu rachunków liczył związek już przeszło 100 spółek ubezpieczeń, obecnie liczba ta ogromnie się powiększyła, a wszystkie w kwitnym znajdują się stanie.

Oprócz asekuracyi bydła, opierającej się na zasadzie wzajemnej pomocy, pośredniczy nadto związek chłopski w ubezpieczeniach od ognia. Zawarto w tym celu ugodę z jednym z najpotężniejszych towarzystw asekuracyjnych, które dla członków związku poczyniło dużo dogodnych ustępstw. I tak premie zredukowano do połowy: zniżka 20-procentowa wpływa do kasy związkowej na cele stowarzyszenia, zniżka zaś 30-procentowa idzie na korzyść członków. Mnogość zaś asekuracyi w r. 1896 sprawiła, że związek zwrócił 5% z tego, co mu przypadło za pośredniczenie, poszczególnym stowarzyszeniom.

Oprócz zniżki opłaty asekuracyjnej mają członkowie związku jeszcze dużo innych korzyści z tego pośrednictwa. I tak: kto się ubezpieczył w Boerenbondzie niema obowiązku po splonięciu domostwa na nowo się odbudowywać; — szkody wyrządzone uderzeniem piorunu bez pożaru wynagradza również towarzystwo bez powiększenia premii; — ubezpieczony może każdej chwili odstąpić od kontraktu, byleby o tem co najmniej 3 miesiące przedtem powiadomił towarzystwo za pomocą listu rekomendowanego.

Różne ustępstwa i korzyści sprawiły, że ubezpieczenie

od ognia coraz więcej się upowszechnia pomiędzy członkami związku. Pod koniec roku 1895 ilość tych, którzy się w związku ubezpieczyli od ognia, wynosiła 700, w rok później 1.400, a od-tąd rosła ona potężnie w tempie przyspieszonym.

Wreszcie w niektórych stowarzyszeniach, tam przedewszystkiem, gdzie wielka znajduje się ilość robotników rolnych, wprowadzono w życie ubezpieczenie od choroby, również na zasadzie wzajemnej pomocy.

Teraz przystąpmy do kredytu rolnego. Niezmiernie ważną dla rolnika jest rzeczą mieć na podporządku czy to na cele produkcyjne czy inne potrzeby gospodarcze dogodny i tani kredyt. W Belgii zaś pole kredytu włościańskiego leżało zupełnie odłogiem. *Caisse générale d'épargne et de retraite* — najpotężniejsza instytucja finansowa w kraju — bogato uposażona i mająca za sobą gwarancję rządu, służyła do niedawna swemi olbrzymiemi kapitałami wyłącznie tylko sferom przemysłowym i handlowym.

Banki zaś ludowe gęsto rozsiane po miastach, w przeważnej części towarzystwa akcyjne, łaknące wysokich dywidend, z natury rzeczy nie przypadły do stosunków i potrzeb włościańskich.

Wprawdzie nie zbywało na usiłowaniach zaradzenia gwałtownej potrzebie kredytu włościańskiego i ze strony społeczeństwa i rządu. Ludzie zamożni powodowani szlachetną dobroczynnością założyli tu i owdzie banki miłosierdzia *Caisses de prêts gratuits*, które włościanom w razie gwałtownej potrzeby udzielały bezpłatnych pożyczek — ale cóż znaczą sporadyczne zapomogi, gdzie lud cały stale na bieżące potrzeby gospodarcze potrzebuje kredytu; zresztą włościanom nie o jałmużnę chodziło ale o dostarczenie dogodnego i taniego kredytu. Również próby podjęte w tym kierunku przez rząd nie udały się. Zamiarem rządu było za pomocą spółek opartych na solidarnej poręce t. zw. biur ludowych (*comptoirs agricoles, Landbouwkantoren*) stworzyć dostateczną rękojmię dla utworzenia kredytu w głównej kasie oszczędności szerokim warstwom włościańskim. Ale ustawa ta nie weszła nigdy w wykonanie. Biura ludowe były instytucją

zbyt ociężałą, by się przyjąć mogły, a w dodatku i bardzo ryzykowne. Włościanie nie kwapili się do zakładania spółek. W ciągu 6 lat po ogłoszeniu ustawy liczono w całym kraju nie więcej jak 4 biura, a z tych jedno tylko okazało się żywotnem. Związek chłopski miał tu więc pole rozległe do pracy. Trzeba bowiem było stworzyć zupełnie nową organizację finansową, któraby zaradziła z jednej strony gwałtownej potrzebie kredytu a z drugiej odpowiadała stosunkom włościańskim. Ale jaką? Ks. Mellaerts idąc za wzorem niemieckim, oświadczył się za zakładaniem kas Raiffeisena, choć kasy te w Belgii z powodu nieograniczonej poręki, na której się opierają, bynajmniej nie cieszyły się uznaniem, ani żadnego nie budziły zaufania. Ks. Mellaerts atoli nie powodował się opinią tam, gdzie był przekonany o słuszności sprawy. Dzięki niestrudzonym jego zabiegom powstała pierwsza spółkowa kasa pożyczkowa według systemu Raiffeisena we wsi Rillaar, w okręgu lowańskim r. 1892. Była to pierwsza kasa raiffeisenowska na ziemi belgijskiej. Próba udała się wybornie. W dwa tygodnie po założeniu liczono już w kasie 5.050 fr. obrotu: depozyty oszczędnościowe wynosiły 2.600 fr., pożyczki udzielone chłopom 2.450 fr. A była to wieś uboga bardzo, zamieszkała prawie wyłącznie przez drobnych włościan. Świetny ten przykład nie pozostał bez naśladownictwa, zwłaszcza że ks. Mellaerts poparł swe usiłowania w tym kierunku całym szeregiem gruntownie pomyślanych i praktycznym duchem nacechowanych artykułów o kredycie włościańskim i kasach Raiffeisena. Artykuły te, które się później pojawiły w osobnej odbitce pod tytułem: *Landbouwkrediet, de landelijke Spaar-en Leengilden naar Raiffeisen's stesel, Bewerkt door J. Ferd. Mellaerts Pr. Leuven*, przyczyniły się niezmiernie do rozszerzenia kas Raiffeisena w Belgii. W pięć lat po założeniu pierwszej spółki liczył związek chłopski już przeszło 100 takich kas, a wszystkie w kwitującym znajdują się stanie.

Ale ks. Mellaerts nie uważał dzieła swego za skończone. Poznał on niebawem, że kasy te, jeżeli mają być prawdziwie pożyteczne, należy oprzeć na szerszej podstawie finansowej, któraby umożliwiała stałą równowagę pomiędzy zapotrzebowa-

niem a zaofiarowaniem kredytu. W tym celu więc usiłował nawiązać stosunki z państwową kasą oszczędności w Brukseli, która nowopowstałe spółkowe kasy finansowo zasilac miała. Próba się udała. W roku 1892 uchwalił zarząd kasy oszczędności, na wniosek generalnego dyrektora, p. Matrilla w Brukseli, udzielić spółkowym kasom Raiffeisena kredytu. I to była chwila przełomowa w dziejach kredytu włościańskiego w Belgii. Odtąd tylko organizację tę uzupełniano i doskonalono pod względem wewnętrznego urządzenia. I tak założono w roku 1895 centralną kasę kredytową, któraby, występując w roli ręcyciela, rozprawdzała i warowała zarazem bezpieczeństwo wypożyczonych z głównej belgijskiej kasy oszczędności kapitałów. W dwa lata później, t. j. w roku 1897, ustanowiła dyrekcya *Boerenbondu* osobnego inspektora finansowego, którego zadaniem jest pełnić kontrolę nad prowadzeniem rachunków w kasach lokalnych oraz udzielać informacji w sprawie zakładania i prowadzenia nowych kas.

Tyle zrobiono dzięki nieugiętej energii i niestrudzonym zabiegom ks. Mellaerts w przeciągu 5 lat na polu organizacyi kredytu włościańskiego.

Mając przed oczyma tak świetny i bezprzykładny obraz rozległej i dobroczynnej działalności na polu stosunków włościańskich w Belgii, zapyta kto może, jak sobie wytłumaczyć ten niepomierne rozwój, jaka jest siła i sprężyna żywotna tego potężnego ruchu i rozległej działalności związku flamandzkiego?

Pytanie zapewne ważne, gdy się zważy, jak powoli zwyczajnie postępuje, przez jakie trudności przebijać się musi każda praca organiczna, usiłująca zdobyć pomyślne rezultaty na polu reformy społecznej.

Spróbujmy na to odpowiedzieć.

Otóż z pośród rozlicznych i różnorodnych przyczyn, które wpłynęły na pomyślny rozwój włościańskiego ruchu flamandzkiego, dwie są przedewszystkiem, które zasługują na uwagę.

Pierwsza i najprzedniejsza jest ta, że ruch ten powstał i rozwija się na gruncie religii i w cieniu Kościoła. Głęboko

religijny chłop flamandzki potrzebował pobudek i ideałów religijnych, żeby się otrząść z obojętności i odrętwienia, w które go pogrążył długoletni system liberalny społeczeństwa i rządu. To też gdy potrącono o te struny, tak głęboko i dojmująco dźwięczące w jego duszy, gdy wskrzeszono przed zdumionym jego wzrokiem to, co stanowiło ongi chwałę i urok i wielkość dawnych cechów, on się ocknął z uspienia i ochoczo przyłożył rękę do rażnej pracy organicznej, która była zawsze znamioną cechą religijnych stowarzyszeń.

Dodajmy do tego wyjątkowe przymioty osobiste tych, co stoją na czele tego ruchu, a zrozumiemy łącno całą potęgę twórczą flamandzkiego ruchu. Ale bo też „miłość bliźniego — mówi lowański profesor Deploige¹ — była żywotną sprężyną działalności inicjatorów i organizatorów *Boerenbondu*. Żadna ambicja ani prywatna nie kaziała ich pracy. Pobudką ich działania była miłość Boża i dla niej składali oni na ołtarzu miłości bliźniego wszystkie skarby swojej bogatej inteligencji i wielkiego serca. W ich przemówieniach nie było goryczy, w ich pracach nie było chęci błyszczenia, w ich powodzeniach nie było chwały siebie samego — oni wszystko odnosili do Boga, dawcy wszystkiego dobrego. Będąc wrogami nadętej retoryki nie bawili się ani w proroków ani doktorów ludu. Przemówienia ich do ludu cechowała zawsze prostota. Baczni na każdą i najdrobniejszą lekcję doświadczenia, zbliżali się zawsze drogą prostą do chłopu, szukając z nim wspólnie i w dobrej wierze środków zaradczych na jego biedy i uciążliwości. Nieudane zaś próby znosili w pokorze nie zniechęcając się ani ustępując z pola pracy — i oto dzieła ich okazały się trwałemi i piękne wydały plony“.

Druga przyczyna, nie mniej ważna od pierwszej, kwitnącego rozwoju *Boerenbondu* polega na tem, że ruch ten od samego początku oparł się od razu na gruncie ekonomicznym i wstąpił na tory ulepszeń stosunków włościańskich. Omówmy punkt ten jaśniej nieco.

¹ *Le Boerenbond belge*, par M. Simon Deploige, professeur de droit social à l'Université de Louvain. 1897.

Otoż najgłówniejszą przyczyną nędzy chłopskiej tak w Belgii, jak i gdzieindziej, jest system indywidualistyczny, stanowiący podstawę obecnego porządku społecznego. Chłop wyrwany raptownie z dziedziny gospodarstwa naturalnego i puszczoney samopas i wciągnięty siłą stosunków w wir szalonej walki ekonomicznej musiał koniecznie ulegć przemożnym wpływom ekonomicznie silniejszych. Pozbawiony podpory i pomocy, zaniedbany przez rządy i społeczeństwo, bez steru i żagli błakając się na bezbrzeżnem morzu gospodarstwa pieniężnego, musiał on siłą rzeczy rozbić się o skały podwodne dzisiejszej organizacyi handlowej i kredytowej. To też niebawem znalazł on się w rozpaczliwem położeniu. Ziemia stopniała mu pod nogami, państwo podzieliło się jego dochodami, lichwa zawładnęła jego pracą — a tu znikąd pomocy ani ratunku. Takie było położenie chłopu flamandzkiego w chwili, kiedy ks. Mellaerts i jego towarzysze z jasno wykreślonym programem w ręku wystąpili na polu pracy społecznej.

To też gdy zabrzmiało hasło: Włościanie łączcie się! Wspólnymi siłami rozpoczniemy walkę przeciwko drożyznie i lichwie, wspólnymi siłami podniesiemy wydajność ziemi i umysłowość i gospodarność samych gospodarzy — hasło to przyjęto wśród ludu z wielką radością i uznaniem. Było ono przecież wyrazem gorących życzeń samego włościanstwa i przypadało do codziennych potrzeb jego, a w dodatku pochodziło od ludzi, którzy swej bezinteresownej ofiarności już niejednokrotnie dali dowody. „W 300 parafiach — mówi prof. Deploige — opowiadano z pomyślnym skutkiem tę dobrą nowinę. W 300 parafiach chłop, przekonawszy się o korzyściach wspólnej pracy i o dobrodziejstwach wzajemnej pomocy, wziął rozbrat z dawną i przestarzałą rutyną, zwracając się do nowych sposobów uprawy i hodowli w gospodarstwie rolnem. Chłopi flamandzcy stanęli na wysokości swego zadania. Sława *Boerenbondu* rosła coraz więcej — nagie cyfry i czyny mają swoją potężną wymowę. Bo też ogromne są korzyści ekonomiczne związku, nieoceniona jego działalność pod względem społecznym i moralnym. Aż serce rośnie patrząc się na stowarzyszenia, rozsiane w prowincjach limburskiej, antwerpskiej i brabantkiej; w każdej z tych prowincyj policzysz

więcej niż 4.000 rodzin zorganizowanych w stowarzyszenia. Chłopi tamtejsi odzywają się z dumą o *Boerenbondzie*, stanowiącym ich potęgę i nadzieję. Namiętnie są do niego przywiązani i w razie potrzeby potrafiliby go bronić dlatego właśnie, że związek rozbudził w nich zamiłowanie do pracy na roli i ocalił szlachetną dumę ich wiary“.

Prawda, że i u nas są Kółka rolnicze, ale jak dalekie są one od płodności i żywotności tego wzoru!

Ks. Leonard Lipke.



KARTKA Z DZIEJÓW NASZYM PODOBNYCH.

(*Oskar Heidenstam: UNE SOEUR DU GRAND FRÉDÉRIC. LOUISE ULRIQUE, REINE DE SUÈDE* Paris. Libr. Plon. 1897. Str. 472).

Szwecya była dla nas zawsze „zamorską krainą“, a jednak dziwny los splótł przez niemal dwa wieki dzieje obu narodów. A spójnię tę wytworzyła nie tylko wspólność dynastji Wazów i wynikłe stąd wojny, nie tylko fantastyczna epopeja Karola XII., ale i późniejsze, uderzające podobieństwo losów we wszystkim, okrom w naszej katastrofie rozbiorów. Mało kto u nas istotnie uczy się tej bratniej historii: od wystrzału przecinającego życie Karola XII. pod Fredrikshall następuje w świadomości naszej wielka, głucha przerwa aż do innego wystrzału, godzącego w pierś Gustawa III. w r. 1792. Lata wszakże zapełniające tę przerwę były właśnie widownią stosunków i wypadków, przedstawiających analogię z dziejami Rzeczypospolitej. Świeżo wyszłe dzieło Oskara v. Heidenstam¹, rzuca jaskrawe światło na główny punkt tej epoki, uwydatnia jej najwybitniejsze postacie. Książka pod tytułem: *Une soeur du Grand Frédéric* („Siostra Fryderyka Wielkiego“) napisana jest po francusku, tak dla lepszego zachowania charakterystyki czasu, kiedy wszyscy, nawet zagorzali nieprzyjaciele Francji, posługiwali się wyłącznie jej językiem, jak i dla rozpowszechnienia jej w szerokich, różnonarodowych

¹ Oskara v. Heidenstam nie należy mieszać z Wernerem Heidenstammem autorem dzieła o Karolu XII.

kołach. Autor włada francuzczyzną wybornie; wyćwiczyl się w niej zapewne w czasie swej dyplomatycznej karyery, jako sekretarz poselstwa szwedzkiego w Konstantynopolu a następnie konsul generalny w Egipcie i Brazylii. Obecnie ożeniwszy się porzucił służbę, ale młody jeszcze, nie przestał pracować. Czytelnicy *Revue des deux mondes* mogli podziwiać przed dwoma laty seryę artykułów literackich zatytułowanych: *Le roman Suédois*, zajmujących, jasnych i jędrnych. Dalej w *Cosmopolis* wyszła nowa serya szkiców z literatury norwęgskiej, a w *Revue de Paris* różne artykuły dotyczące spraw szwedzkich. Nareszcie w r. 1897 ukazała się oparta na mnóstwie niewydanych i wydanych dokumentów książka: *Une soeur du Grand Frédéric*, historia królowej szwedzkiej Luizy-Ulryki, matki Gustawa III. Pan Heidenstam dedykował ją p. Millet, żonie byłego posła francuskiego w Sztokholmie, za co też mąż tejże opatrzył dzieło wstępem polecającym, potrzebnym może dla Francuzów, ale, jak dla nas, zbyt. Rzecz zaleca się sama przez się, choć amatorowie nowego tonu znajdują ją bladą i mdłą. Brak tu istotnie nowoczesnej błyskotliwości, brak wypisanych ze słownika wyrażeń, brak gwałtownych efektów, używanych przez dekadentycznych historyków (czy też dekadentów historycznych) ostatnich dni. Jasność, prostota, wstrzemięźliwość i szczerość, oraz pewien olimpijski spokój, odróżniają od nich p. Heidenstama; prócz kilku stron, zawierających nieco zbyt dosadny opis zakulisowych, ale niemniej politycznie ważnych wypadków, niema w całej książce nic, coby najsurowszy smak obrazić mogło. Akeya wlokąca się trochę w dwóch pierwszych rozdziałach, idzie ku końcowi coraz żywszem tempem i coraz żywiej czytelnika przyciąga.

Rozpoczynając swe opowiadanie autor przenosi nas od razu na znany z Pamiętników Margrafowej v. Bayreuth dwór Fryderyka Wilhelma, króla pruskiego, gdzie gromione wciąż i głodzone liczne potomstwo Hohenzollernów, drżało pomiędzy kijem ojca i skórą do ciosów ręką matki, Zofii Doroty księżniczki hanowerskiej. W owem miłym gnieździe urodziła się 24 czerwca 1720 r. Luiza Ulryka, dziesiąte z rzędu dziecko pary królewskiej. Przyszła na świat w chwili, kiedy ojciec podpisy-

wał pokojowy traktat z Szwecją, przyznający mu połowę szwedzkiego Pomorza, to też na pociechę obrabowanej w ten sposób królowej szwedzkiej Ulryki Eleonory, nazwał jej imieniem nowonarodzoną dziewczkę. Był to pierwszy węzeł łączący Luizę-Ulrykę z przyszłą ojczyzną. Ośm lat, wielka różnica w wieku dzieciinnym, dzieliło ją od Fryderyka W., nie dziw więc, że sympatye jej zwróciły się raczej ku młodszemu bratu Wilhelmu; ci dwoje wśród rodzeństwa utworzyli parę podobnie jak Fryderyk ze swoją „süsse Wilhelmine“, wydaną później za margrafa z Bayreuth. A przecież Fryderyk i Ulryka powinni byli przylgnąć do siebie, gdyż byli dziwnie podobni. „Była to — pisze autor — taż sama potężna osobistość, okrom pewności sądu i niezrównanej równowagi umysłu (Fryderyka). Namiętna i porywcza Luiza-Ulryka nie posiadała ani głębokości umysłu politycznego swego brata, ani jego zdolności do zużytkowania, rzecby można do wywoływania okoliczności sprzyjających jego zamiarom. Usposobienie jej dumne i żywe, nie znało przezorności a jeszcze mniej podejrzliwości i wyrachowania. A jednak z całego rodzeństwa Fryderyka ona była doń najbardziej niektórymi stronami charakteru zbliżoną. Posiadała jego egoizm, pełen wyniosłości i pychy, jego uporną wolę, jego pogardę skrupułów i całkowitą obojętność na uczucia drugich“.

Obraz ten niepochlebny, wydawałby się do zbytku surowym, gdyby nie uwaga, że autor zebrał w nim tylko wady swej „bohaterki“ nie czyniąc wzmianki o uczciwości, prawości i innych jej cnotach — tym sposobem możnaby z każdego sprośną karykaturę uczynić. W każdym razie niektóre wady, jak np. egoizm i bezwzględność rozwinęły się w późniejszym wieku. W dzieciństwie Ulryka była pieszczotką srogiego dla innych ojca, tak że dopiero po jego śmierci zaczęły się dla niej przykrzejsze lata pod władzą matki. Do końca życia nosiła ślady macierzyńskiej ręki na uchu, którego królowa oddarła kawałek zaczepiwszy pierścieniem o kolezyk przy wymierzaniu sązińskiego policzka: winą księżniczki było, iż się bała grzmotów. Trzy starsze siostry były już wydane: Wilhelmina za margrafa v. Bayreuth, Fryderyka Karolina za księcia Brunszwickiego, Zofia Dorota za mar-

graфа v. Brandenburg-Schwedt. Te uchodziły za szczęśliwe w rodzinie; jedna z nich oświadczyła była otwarcie, iż wyjdzie za pierwszego lepszego, bo po ślubie będzie mogła przynajmniej się najeść... Przy matce zostawały tylko Luiza-Ulryka i Amalia, obie wylękle wobec matki, nieśmiałe wobec Fryderyka II., wylane i czułe wobec młodszych braci, zwłaszcza jak mówiliśmy, Ulryka wobec Wilhelma. Amalia łagodna i cicha gasnęła przy promiennej piękności i świetnej inteligencji siostry, dla której Maupertius i Voltaire przesadzali się w hymnach pochwalnych. Wpływ tego ostatniego oraz innych filozofów nie pozostał bez śladu na umyśle księżniczki. Spryt jej zaostrzył się, a choć nie poczęła na wzór brata muzom hołdować, to nabrała istnej chciwości do książek, obrazów i innych dzieł sztuki. Portrety jej z lat młodych przedstawiają nam ją wysmukłą i wyprostowaną z prawdziwą królewskością w postawie przy niezbyt wysokim wzroście. Twarz jest ściągła, rysy regularne i nieco surowe, oczy wielkie, błękitne, w bardzo ciemnej oprawie. Z czasem uśmiech miał zgorzknieć, a spojrzenie nabrać więcej ostrości i dumy: teraz przebijał w nich zapal młodości i ogromne, niezużyte zapasy energii. Im bardziej rosła w lata, tem się fizycznie nawet stawiała podobniejszą do Fryderyka. Liczyła lat 24, gdy zażądano jej ręki dla następcy tronu szwedzkiego.

W Szwecyi dynastia Wazów wygasła była istotnie z królową Krystyną. Następująca po niej linia żeńska rozpoczęta przez księcia bawarskiego Karola Gustawa, urodzonego z Katarzyny Wazówny, córki Karola IX., skończyła się w r. 1720 ze śmiercią Karola XII. Wyniesiona na tron siostra tegoż, Ulryka Eleonora, oddała rękę a w rok potem koronę księciu heskiemu Fryderykowi. Był to żołnierz dzielny, ale monarcha słaby, dbały o zabawę a nie o rządy, stworzony do roli, która mu padła w udziale. Istotnie za jego czasów władza już nie należała do króla: silna za Wazów doszła była do absolutyzmu za Karola XII. i z nim też poszła do grobu. Kraj zniechęcony, wyciśnięty długim szeregiem awanturniczych wypraw, przerzucił się w ostateczność przeciwną, popełnił seryę błędów, które jak słusznie pisze p. Heidenstam, „o mało nie pchnęły go w tę samą

otchłań, kędy w następstwie tychże samych przyczyn tonęły nie tylko swobody, ale i narodowe istnienie Polski“. Konstytucya z r. 1720 niezmiernie przypomina Konstytucyę polską z r. 1572. Wszystkie prawa, z których odarto koronę, przeszły na rządzący sejm, ciało prawodawcze stanowiące równocześnie najwyższy trybunał, mogący do woli każdą sprawę przed sąd swojej komisji powołać. Sejm również mianował członków senatu, na który przelewał swoją wykonawczą władzę; ponad senatem zaś stał jeszcze tajny komitet, także wybierany przez sejm, a w nim tkwił punkt centralny, istotna żrenica rządu. A król? Był poprostu prezydentem senatu z głosem przeważającym w razie równości głosów, wprawdzie podpis jego był wymagany na aktach władzy wykonawczej, w razie odmowy jednak mógł być zastąpiony naśladowującym go stemplem.

Sejm składał się nominalnie z czterech Izb i czterech Stanów: szlachty, duchowieństwa, mieszczaństwa i chłopów, ale w istocie szlachta rządziła sama, warując sobie wyłącznie wyższe urzędy. Nie było w kraju nic, coby wobec sejmu równowagę utrzymać mogło, ani powagi tronu, ani osobnej wykonawczej władzy, ani nawet opinii publicznej, tej bowiem brakło środków do narzucenia swej woli. Wkrótce też owo ciało bez głowy stało się hałaśliwą widownią współzawodnictw osobistych, widownią najsmutniejszych targów sumienia i najzupełniejszej parlamentarnej anarchii. Dwa główne stronnictwa, na które podzielił się sejm a za sejmem szlachta, przybrały słynną nazwę *Kapeluszy* i *Czapek*. Co dało początek tym nazwom — autor przyznaje, że nie wie. Według wszystkiego jednak wolno wnioskować, że zrazu nazwa *Czapek* przywarła do szlachty wiejskiej odpychającej zły czy dobry zagraniczny obyczaj, że słowem odpowiadała *Roundhead*om szkockim, oraz podgalianiu głów w Polsce (dziką, tatarską modą), co również za pewien rodzaj kolorytu politycznego służyło. Konserwatyzm ten wprawdzie nie szedł dość daleko, aby się usunąć z pod wpływu licznych agentów, przez których mocarstwa jak Rosya, Francya, Anglia a chwilami i Dania, siały obficie pieniądze na poparcie swych celów. Z czasem w Szwecyi podobnie jak u nas, stronnictwo

czysto narodowe, bez cudzoziemskiej przymieszki przestało faktycznie istnieć; interes kraju, narodu, stał się pustem świecidłem w rękach obcych agentów, chorągiewką, którą każde stronnictwo wywijało kolejno. Podobnie jak w Polsce szlachta dbała tylko o swoją złotą wolność, miasta milezały, duchowieństwo i chłopci byli narzędziami w rękach stronnictw szlacheckich, indywidualizm wybujał ponad prawa, zaczęły w zdrowe niedawno ciało wstępować szybko rozkład bezmiernie dla sąsiadów dogodny. Na kontynencie blizny orężem szwedzkim zadane zaledwie były zgojone, po Niemczech matki straszyły dzieci pogroźką: *Der Schwede kommt!* Rosya potrzebowała była potęgi Piotra W., aby wyjść cało z ich szponów; oni jeszcze byli panami większości brzegów Bałtyku, Finlandyi, zachodniego Pomorza... Oslabić Szwecyę, utrzymując nieład w jej łonie, stało się tedy celem dążności Rosyi, życzeniem Niemiec i Danii. Jedna Francya, na której żołądce ongi stali północni najeźdźcy, potrzebowała Szwecyi silnej i jędrnej, skupionej około osoby króla, któremu by gabinet wersalski mógł narzucić swą wolę; stąd dążność agentów francuskich do wzmocnienia tronu, do położenia końca pseudo-republikańskiemu ideom i formom, jakie od 1720 r. istniały. Stąd też nieustanne podkopywanie wpływu francuskiego przez wpływ rosyjski i *vice-versa*, toż samo co (zmieniając nazwę Rosyi na Austryę) działo się u nas od połowy XVII. wieku. I tu i tam widzimy partję francuską, dążącą do wzmocnienia rządu, do zamienienia Rzeczypospolitej w monarchię. I tu i tam na czele ruchu staje królowa piękna, rozumna, dzielna, ale porywcza i dumna, i obie upadają zwalczone: całem szczęściem Szwecyi było, że dramat ten w Polsce odbył się o sto lat wcześniej i że wpatrzonego w jego skutki młody monarcha szwedzki, mógł w 1782 r. śmiałym rzutem podnieść swój naród, chroniąc go od podobnego polskiemu konania...

Do tego jednak było jeszcze daleko. Tymczasem Fryderyk I. (heski) zadowolony ze swej dekoracyjnej purpury doszedł był lat 70; Ulryka Eleonora odumarała go w r. 1741 bezdzietnie. Należało obrać następcę, w tem bowiem Szwedzi, którzy nawet wojsko usunęli z rąk króla, okazywali się rozsądniejszymi od

nas. Wybór Stanów padł zrazu na księcia Karola Piotra Holstein-Gottorp, wnuka po siostrze Karola XII., ale tu była ich już wyprzedziła cesarzowa Elżbieta. Książę Holsztyński był również synem jej siostry Anny i wnukiem Piotra W.; powołany skrycie do Petersburga, został wnet ogłoszony następcą tronu: był to nieszczęsny Piotr III., mąż Katarzyny. Wtedy uwaga większości narodu zwróciła się na królewicza duńskiego Fryderyka: myśl o unii kalmarskiej nie przestała i nie przestaje błakać się po skandynawskich głowach. Należało się jednak oglądać na Rosyę, z którą obecnie właśnie traktowano o pokój. Popchnięta przez Francję, która pragnęła przeszkodzić Moskalom w przyjsciu na pomoc Austrii, Szwecya dała się była świeżo wciągnąć w wojnę z Rosyą, niebaczna na doświadczenie, jakie powinna była z wojen Karola Gustawa zaczerpnąć: położenie było mniej więcej toż samo, tylko że rola, jaką wobec Austrii niedawno jeszcze odgrywała Polska, przeszła obecnie na Rosyę; Szwecya zaś nie przestawała być narzędziem używanem przez dwór francuski do wbijania klinów między monarchię Habsburgów a jej wschodnich sąsiadów. Wojna ta zakończyła się nieszczęśliwie dla Szwedów, tak że gdy przyszło (1741) do podpisywania pokoju, musiano przyjąć zakulisowy warunek stawiany przez carową Elżbietę: obiór na następcę tronu stryjecznego brata nowego carewicza księcia Holsztyńskiego Adolfa Fryderyka. Nie było co przebierać; wojsko rosyjskie stało w Finlandyi, to też wybór odbył się posłusznie 23 stycznia 1743 r., poczem ewakuacya rozpoczęła się natychmiast. Na to jednak w kraju powstało oburzenie nielada; ludność wieśniacza z Dalekarlii powstała zbrojnie, groźne bandy wyruszyły w stronę stolicy, wołając, że „potrafią naprostować peruki zaprzędanej Moskalom sejmowej szlachcie“. Po drodze tłum wzrastał w sposób zastraszający, a w Sztokholmie nikt nie mógł ręczyć za wojsko. Deputacya wysłana przez sejm do przywódców powstania, odebrała szorstkie *ultimatum*: żądanie abdykacyi króla i obwołanie na jego miejsce królewicza duńskiego. Ofiarowali się wszyscy, co do nogi, iść przeciw Rosyi, jak niegdyś za Gustawa Wazy walezyli.

„Instynkt narodu nie mylił się — pisze Heidenstam. — Dwie groźne dla Szwecyi potęgi były na Północy urosły — Rosya i Prusy“. Ale stary król nie wdawał się w rezonowania. Słaby wobec cywilnej przewagi, poczuł w sobie krew żołnierską wobec zbrojnego buntu. Wsiadłszy na koń pojechał naprzeciw powstańcom i na swoje królewskie słowo przywiódł wodzów do miasta dla konferowania z członkami rządu. Próba nie udała się; na-
zajutrz bandy chłopstwa zaległy ulice i rynki, spokojne, karne, ale zastraszające swą liczbą. Wtedy ministrowie poprosili króla, aby stanął na czele świeżych pułków pospiesznie sprowadzonych z prowincyi; Fryderyk I. jednak odmówił nie chcąc brać udziału w rzezi poddanych. Istotnie chłopci ujrzeni się wnet otoczeni przez wojsko; kilka strzałów padło z szeregów powstańczych i dało hasło do walki. Siły były nierówne, mnóstwo wieśniaków padło, 3.000 dostało się żywcem do niewoli, reszta uciekła.

Powstanie było stłumione, a z niem pobita i partya francuska. Ta wszakże miała wkrótce znów podnieść głowę. Na czele jej stał hr. Tessin, mąż światły i zręczny, dyplomata już parękroć używany do misyj w Wersalu. Był on potomkiem obu Nikodemów Tessin (ojca i syna), słynnych budowniczych z XVII. wieku, którym Szwecya zawdzięcza obecne zamki królewskie w Sztokholmie i w Drottningholmie i inne najpiękniejsze swe gmachy. Ród jego zatem był świeży, umiał był wszakże, dzięki swojej wymowie i świetnym zdolnościom pozyskać wielką przewagę wśród oligarchii stronnictw sejmowych. Były marszałek Izby szlacheckiej, obecnie zasiadał w senacie. On to nie mogąc znieść elekcji księcia holsztyńskiego, powziął myśl przeciwważenia wpływu rosyjskiego wpływem francuskim przez ożenienie przyszłego króla z księżniczką pruską: Prusy bowiem na szachownicy ówczesnej liczone były do francuskiego obozu. Fryderyk W. nie od razu się zgodził na wydanie do Szwecyi Ulryki. Ofiarował natomiast Amelię, pragnąc zachować tamtą siostrę dla carewicza Piotra, na przypadek gdyby mu się nie udało wyswatać zań księżniczki Anhalt-Zerbst. Usiłował tedy nastraszyć Szwedów butnym charakterem Ulryki; ledwie jednak w Petersburgu dobił targu o Katarzynę, przestał troszczyć się

o spokój Szwecyi i nastęczać im eichą Amelię. Wnet też do Berlina przybyło świetne poselstwo z promiennym hr. Tessin na czele. Przywoził on, rzecz dziwna, klejnoty koronne w darze dla oblubienicy, był jednak zbytnio człowiekiem swojego czasu, aby je wręczyć od razu. Natomiast zjawiał się codziennie z nowym komplementem, przynosząc księżniczce coraz to nowe puzderko zawierające świeży niby dowód pamięci narzeczonego. Sam wykwintny i piękny, otoczony był drużyną doborowej, szlachetnej młodzieży, której wdzięk musiał odbijać wśród zawsze ciężkich Prusaków. Luiza Ulryka była dobrej myśli; ślub przy którym książę Wilhelm zastępował pana młodego, odbył się wesoło, poczem strojna eskadra szwedzka odbiła w pierwszych dniach sierpnia od brzegów Stralsundu i pchana pogodnym wiatrem uniosła przyszlą królowę.

Ulryka uczuła się zrazu bardzo samotną. U Hohenzollernów klótnie i burze były na porządku dziennym, wszelako członkowie rodziny tak byli do nich przywykli, że choć się sprzeczcali, gdy się znaleźli pospołu, niemniej tęsknili za sobą, gdy im się przyszło rozłączyć. Dla Ulryki teraz korespondencya miała zastąpić pożycie rodzinne; pisywała też często do Wilhelma, który do śmierci każdy jej bilecik przechowywał, często też, choć już mniej poufnie, do Fryderyka II., rzadko i ceremonialnie do matki. Z listów jej do księcia Wilhelma i Fryderyka II. do niej (prawie wszystkich pisanych cyframi) p. Heidenstam obficie korzystał, podając nam żywcem liczne, nieraz bardzo charakterystyczne wyciągi. W Karlskronie, gdzie zarzuceno kotwicę, oczekiwał na przyszlą małżonkę ks. Adolf Fryderyk. Nie był on nadobny ani zgrabny, zwłaszcza w chwili powitania, gdzie mu zakłopotanie i wzruszenie odjęły śmiałość w obejściu; z twarzy jego wszakże i z głosu przebijała niezmierna poczciwość, która dlań ujęła serce księżniczki. W małżeństwie miała ona zawsze grać mężką rolę, być sprężyną woli i wodzem. Jako następca tronu szwedzkiego, Adolf Fryderyk przestał być nosić śmieszny dla cywilnego protestanta tytuł dziedzicznego księcia biskupa Lubeki i Eutinu, miano, które było silnie wpłynęło na niechęć dlań usposobienie ludu, sądzącego, że mu jakiegoś

biskupa innowiercę narzucają na króla. Była to zresztą jedyna jego śmieszność; prostota jego, a nawet i pospolitość rysów odbijały korzystnie przy postaci starego króla, wysmarowanej, utrefionej i wymuskanej, jego nadskakującej galanteryi dla dam. Z królem jednak, „starym satyrem“, jak go zwał Fryderyk W., miała Uhyka później dopiero się poznać. Tymczasem przejazd przez najcudniejsze prowincye, a w końcu dojazd statkiem po falach Mälarn do czarodziejskiego zamku w Drottningholm ołśnił ją i napełnił radością. Po drodze, gdzie naprzeciw niej liczne wychodziły deputacye, gdzie lud tłoczył się do powozu, znosząc owoce i kwiaty, księżna zdziwiła się, widząc sposób pełen zarazem szacunku i koleżeńskiej poufalości, z jakim hr. Tessin przyjmował chłopca z okolic Blekingi, wyszłego do nich na czele swej gminy. Kazano jej wysiąść z powozu, aby mu udzielić audyencyi: był to Olaf Hakanson, członek Parlamentu i prezes Izby włościańskiej. Uprzejmość jego była tem cenniejszą po niedawnem jeszcze powstaniu — zresztą on i Tessin do tego samego należeli stronnictwa.

Pierwsze czasy pobytu Uhyki w Drottningholmie upłynęły szczęśliwie i bardzo spokojnie, ozłoczone pocziwą, zobopólną miłością. Olbrzymie, ponad brzeg jeziora schodzące aleje zamkowego parku „stworzone są do dumania“; miło tam, pięknie i jakoś swojsko nawet dla cudzoziemca, zwiedzającego po raz pierwszy te miejsca. Tu niegdyś Katarzyna Jagiellonka, zwabiona urokiem wyspy, kazała była wystawić zamek, kędy w czasie prześladowania chronili się katolicy, pewni, że tu w kaplicy będą mogli mszy św. wysłuchać bezpiecznie. Później królowa Krystyna, zacierając ten słodki a poważny urok wspomnienia, zrobiła z Drottningholmu punkt zborny swych dziwacznych zabaw, swych harców konnych, gdzie sama w męzkim przebraniu współzawodniczyła z dworską młodzieżą, a wieczorami przydywiała umysłowym turniejom między Kartezyuszem i Grotiusem a uczonymi teologami z Upsali. W r. 1662 zamek Katarzyny Jagiellonki zamienił się z rozkazu żony Karola Gustawa, Jadwigi Eleonory, na świetny, dziś istniejący pałac, zbudowany według planu

Tessina starszego. Luiza Ulryka miała go zapłacić artystycznymi sprzętami i galeryami obrazów.

Książę Adolf Fryderyk był inteligentny i miły; to zaś, czego mu brakło, energię, starała się żona nietylko własną siłą woli dopełnić, ale zasłonić przed światem, a zwłaszcza przed własną rodziną przedstawić go jako człowieka o usposobieniu stanowczem, jako dzielnego żołnierza i pracownika. Potrzeba jej było tego, choćby dla siebie samej, wobec chwały, jaką wtedy właśnie bracia jej zdobywali w Czechach. Wzięcie Pragi przez Prusaków obchodzone było w Drottningholmie festynem, który wśród partyi rosyjskiej wielkie wzniecił szemranie; widocznem było, że następca tronu, narzucony Szwecyi przez Rosyę, zwraca się przeciwko tejże pod wpływem żony.

Niemniej przeto wjazd solenny księżny do Sztokholmu odbył się 16 paźdź. (1744) wśród największego zapalu ludności; chcąc zaś choć pozornie równowagę polityczną zachować, wydano u dworu wielki obiad galowy w dzień urodzin carowej. „Wstaję od stołu — pisała tego dnia do brata Ulryka. — Nudziłam się jak pies, gdyż na obiedzie mieliśmy wszystkie wielkie peruki. Możesz sobie wystawić, co to za kompania...” Własne jej otoczenie było weselsze; „młody dwór“, jak go zwano, stał się był w stolicy ogniskiem inteligencji, zabawy i życia. Można już było spotkać tam poetę Dalin'a, Karola Linné, Harlemana, Sacka, lektora księżnej, Szwajcara Beylona i wielu innych uczonych. Tessin, mianowany ochmistrem dworu, wzrastał co dnia w łaski księcia i zaufanie księżnej. Żona jego, nieco odeń starsza i nieblyszcząca wdziękami, ale rozumna i dobra, umiała była we Francyi pozyskać przyjaźń Maryi Leszczyńskiej, z którą pozostawała w korespondencji; teraz zaś zyskała zupełnie serce Luizy Ulryki. Tak płynął czas szczęśliwie, w Sztokholmie w zimie, w Drottningholmie w lecie, wśród wesołości, wśród zajęć umysłowych i artystycznych. Księżna gromadziła piękną bibliotekę, korespondowała z Voltaire'em i innymi uczonymi, u niej odbywały się posiedzenia Akademii Nauk. Dnia 24 stycznia 1746 przyszedł na świat pierwszy syn, przyszły Gustaw III., ku wielkiej radości narodu.

Stary król tymczasem dziecinniał; wszystkie niemal obowiązki monarsze zwaliwszy na swego następcę, bawił się w awantury miłosne: przez chwilę obawiano się, że się ożeni z panną Horn. Młodzi księstwo nieraz byli w kłopotcie, jak się zachować wobec jego dziwactw i jawnej niemoralności. Utrudniało to życie społeczne, ale z drugiej strony rozwiązywało ręce pod względem politycznym, Ulryce bowiem nie wystarczało królowanie w świecie umysłowym. Pod kierunkiem Tessina była ona od razu objęła rolę, którą jej przy wyborze na żonę królewicza przeznaczał. Cel jej był jasny: wydobyć Szwecję z pod wpływu Rosyi i złączyć ją napowrót z Francją, Prusami i Danią, zapewnić jej samodzielność na zewnątrz wzmocnieniem rządu i uśmierzeniem swawoli na wewnątrz. Młoda i ufna wstępowała śmiało na ciernistą drogę, po której w Polsce była kroczyła Marya Ludwika. Dyplomacya rosyjska, zawsze jasnowidząca, zdała sobie nazbyt szybko sprawę z tego, co zachodziło w Sztokholmie. Wkrótce też Adolf Fryderyk odebrał od carowej list poufny, ostrzegający przed podszeptami „pewnych osobistości“, dążących do pokłócenia go z własnym królem i z nią. „Ludzie ci — pisała — chcą za pomocą tajnych knowań i innych równie złudnych, jak dziecinnych sposobów, przywrócić w Szwecyi absolutne rządy, wmawiając w W. K. M., że posiadasz zaufanie narodu. Naród ten ma tylko jedną myśl w głowie: zachowanie swobód, których używa, i rządu, jaki posiada. Zachęcając W. K. M. do targnięcia się na zasadnicze prawa narodu, chcą W. K. M. wtrącić w przepaść, gdzie im już będzie łatwo dosięgnąć swych istotnych a tajemnych celów“¹.

„Podobnych argumentów używano względem Polski — zauważa Heidenstam. — W imię narodowych swobód stawano w obronie parlamentarnych sporów, które były przyczyną słabości Szwecyi i otwierały wrota obcej interwencji“. Wkrótce po liście carowej przybywał do Sztokholmu ambasador rosyjski, baron Korff, z wyraźnem żądaniem oddalenia od dworu hr. Tes-

¹ List carowej Elżbiety przetłumaczony z rosyjskiego. Archiwum Fersena. Klinckowström, „Pamiętniki feldmarszałka Fersena“. Tom I., do-datek I.

sina i jego stronników; równocześnie niemal wychodził na jaw rzekomy spisek, mający zważyć kandydaturę Adolfa Fryderyka. W Finlandyi wybuchały zaburzenia, mogące ewentualnie posłużyć za pozór do wmieszania się wojsk rosyjskich. Donoszono do uszu księcia uszczypliwe wyrazy, które Tessin miał o nim wyrzec publicznie, słowem, nie ominięto żadnego sposobu, mogącego zastraszyć lub zniechęcić „młody dwór“, a z nim parlament i senat — wszystko daremnie. Gwałtowne wystąpienie posła rosyjskiego zraziło wszystkich, Adolf Fryderyk podtrzymywany przez żonę, nie ugiął się, w Finlandyi zaburzenia stłumiono, sejm uchwalił następcy tronu i jego domowi wotum wierności, a wkrótce potem Tessin widział się wybranym kanclerzem t. j. ministrem spraw zagranicznych. Co więcej, 29 maja 1747 r. Szwecya zawierała traktat z Francją, a 6 czerwca z Prusami, odczepiając się zupełnie od Rosyi. Dania, którą wciągnąć chciano do ligi, wahała się jeszcze.

Nowi reformatorowie mieli wielką pracę przed sobą, zwalenie nieszczęsnej konstytucyi z roku 1720, przywrócenie ładu i równowagi na wewnątrz, oswobodzenie się ze strasznej plagi przekupstwa. Choroba ta nie była nową na świecie: toż już Filip Macedoński wynalazł sposób otwierania bram w oblężonych miastach posyłaniem przed sobą osła obładowanego złotem. Później znów kardynał Gil Albornoz, zapytany po szczęśliwie dokonanej kampanii o rachunki z sum, powierzonych na wojnę, kazał przytoczyć wóz naładowany kluczami twierdz włoskich, które był dla Stolicy św. odzyskał. Elektorowie niemieccy kazali sobie sownie płacić za swój głos przy obiorze cesarza — niektórzy brali dwoma rękami od dwóch współzawodników osobno. Wiek XVII., czas niszczących walk i ruin z jednej, a wielkich zbytków i wspaniałości z drugiej strony, rozpowszechnił ten brzydkie obyczaj o tyle, że mu nadał prawo obywatelstwa: zamiast się wstydić, poczęto się chwalić z pobieranych jurgiel-tów, wychodząc z tej zasady, że im kto był więcej wart, tem go drożej ceniono, tem skwapliwiej przepłacano jego współdziałanie. Wiemy aż nadto 'niestety, co się działo u nas od czasów P o t o p u; nowożytni historycy nie darują nam ani wielkim lu-

dziom ówczesnym jednego francuskiego lub austriackiego szeląga; musi być jakaś gorzka satysfakcyja w tem niemiłosiernem wyliczaniu i sumowaniu nieszczęsnych cyfr! W Szwecyi wówczas, a raczej przedtem brali tylko królowie znaczne roczne subsydy na koszt dywersyi, jakie w wojnach francusko-niemieckich czynili, wpadając w ziemie cesarskie lub którego z cesarskich sprzymierzeńców. O innych jurgieltach, zda się, nie słychać. Ale na tak odległą północ wszystko później dochodzi; oto co p. Heidenstam pisze o Szwecyi XVIII. w.:

„Nastąpiła epoka panowania obcych wpływów, przeważających w dyskusjach sejmowych i naginających politykę szwedzką, panowania również obcych subsydyów, za pomocą których utrzymywały się owe wpływy. Z jednej strony Francya, z drugiej Rosya i Anglia walczyły siłą jurgieltów o przewagę w zgromadzeniu sejmowym, skąd wychodził, według tego, co zwano „grą wpływów“, kierunek aliansów Szwecyi, postawa jej wśród sporów, rozdzierających Europę północną. Subsydy te, udzielane pozornie w celu ułatwienia uzbrojeń i obrony kraju, wycieńczonego przez wojnę, bywały istotnie rozdzielane pomiędzy posłów dla pozyskania ich głosów. Bywały płacone z ręki do ręki przez ambasadorów przywódcom stronnictw; ceny zaś były układane głośno i otwarcie. W ten sposób zdarzało się, że jedna sesya sejmu szwedzkiego kosztowała skarb francuski przeszło milion liwrów. Rachunek Rosyi bywał równie wysoki. Anglia a czasami Prusy lub Dania ponosiły swoją część kosztów...”

Posel angielski w Sztokholmie, Penbury, żalił się, pisząc do naczelnego ministra Walpole'a, że utrzymywani przez niego „członkowie sejmu bardzo go drogo kosztują“; dodawał przytem, „że prezydenta Izby chłopskiej możnaby jeszcze za 100 dukatów pozyskać“. Ze swej strony ambasador francuski, który był wydał 1,830.000 liwrów podczas jednej sesyi, skarżył się, że „nie może dorównać swym dwóm głównym współzawodnikom, posłom angielskiemu i rosyjskiemu, sypiącym olbrzymie sumy, na jakie fundusze jego nie starczą“. Chcąc zaradzić złemu, traktuje ze znaczniejszymi duchownymi i mieszczanami z Tajnego Komitetu, usiłując zawierać tylko układy płatne *post factum*. Zbyt

często bywał już zawiedzionym, aby na niepewne ryzykować pieniądze.

Przytoczyliśmy niemal w całości ten ustęp umyślnie gwoli czytelnikom polskim, których wyliczenie pobieranych u nas jurgieltów wyprowadza z moralnej równowagi; niech widzą, że jeśli nie byliśmy lepsi, to i nie gorsi od innych.

Luiza Ulryka oczekiwała z pewną niecierpliwością śmierci starego króla, aby wraz ze zmianą na tronie przeprowadzić radykalną zmianę konstytucyi. Miała już nakreślony plan nowego rządu, do czego Fryderyk W. posyłał jej również własne projekta; co dziwniejsza, wypłacił jej bez krzywienia się zapisaną przez ojca sumę 30.000 tal., radził, aby się mieć w pogotowiu. W istocie gotowość była konieczną; stary król bowiem rażony był apopleksją w lutym 1748 r. i odtąd pozostawał na wjół przytomny. Lada dzień można się było końca spodziewać. Księżna czekała zatem bez zbytniej obawy; za pomocą bowiem Tessina i partyi „Kapeluszy“, za pomocą również mądrze rozdanych pieniędzy mogła liczyć na pozyskanie większości na sejmie. Tymczasem tygodnie płynęły, stary król nie umierał, a chwila pomyslna mijała: w ogólnej polityce świata niepomysłne zachodziły zmiany, wojna milkła, traktat w Akwizgranie rozwiązywał ręce Rosyi a Szwecyę czynił mniej potrzebnem narzędziem dla Francyi. Carowa, uprzedzona o nie dość tajnie trzymanych planach Luizy Ulryki, porozumiała się z Danią, aby przeszkodzić reformom rządu szwedzkiego. Poczęto znów mówić o wojnie z Szwecyą, hufce rosyjskie zgromadziły się u granic Finlandyi, wojsko duńskie poruszało się w Norwegii w sposób niepokojący — aż i sam Fryderyk II. się przeląkł i jał siostrę ostrzegać, a gdy ta odpowiedziała z oburzeniem, iż nie widzi, jakie prawo ma Rosya i Dania do mieszania się w kwestye wewnętrznego ustroju Szwecyi, przywiódł jej przed oczy postępowanie Rosyi w Polsce po elekcji Stanisława Leszczyńskiego. Stronnicy reformy ujrzeni się zmuszonymi do odłożenia swoich zamiarów; tak Rosya bowiem, jak Austria nie przestawały przeciwko nim intrygować w Sztokholmie, tak dalece, iż kanclerz Bestużew rozpoczął przeciw następcy tronu kampanię, dążącą do zmiany

dynastyi. Wojna zaś groziła nie tylko Szwecyi, lecz Prusom; zdawało się, że śmierć starego króla będzie hasłem do ogólnej burzy. Poczęto więc życzyć długich dni biedakowi, którego niedawno każdemu pilno się było pozbyć...

Strach był wielki, udało go się wszakże zażegnać. Fryderyk II. uzyskał pokojową interwencję króla angielskiego, z Francyi poczyniono przedstawienia w Petersburgu i w Wiedniu, poczęto sposobić w Turcyi zbrojną dywersję przeciwko Moskalom. Ze swojej strony Adolf Fryderyk usiłował uspokoić umysły uniwersalem, w którym zapierał się uroczyscie intencji zamachu na swobody narodowe Szwedów. Wkrótce też dowiedziano się o wyjeździe carowej na długi pobyt do Moskwy, a równocześnie postawa nowego jej posła, Panina nagle złaodniała w Sztokholmie. Burza na ten raz była odwrócona, z czego Fryderyk II. skorzystał, aby siostrę uraczyć wielką odą swojego pióra, a Tessin — aby się zbliżyć do Danii. Wechodząc w plan swego ministra, Ulryka musiała poświęcić hodowaną od urodzenia syna mrzonkę nowego związku z domem Hohenzollernów; przystać na zaręczenie małego Gustawa z młodszą jeszcze królewną duńską. Cóż było robić? Nadzieja dojścia do celu poczyniała się znów budzić w jej sercu, a że zależała od poparcia Tessina, trzeba mu więc było ustąpić. Ustępstwo to wszakże ciężkiem było Ulryce, upokarzało ją i gniewało — nie na Duńczyków, ale na faworyta. Od pewnego czasu stotunki ich, zawsze wyborne na pozór, uległy znacznej zmianie. Z wykwiutnego dworaka i oddanego sługi Tessin stał się był namiętym admiratorem księżnej, obejście jego wobec niej przybierało coraz bardziej ton, którego znosić ani była powinna, ani chciała. Ulryka odpowiadała mu wyniosłością i chłodem, co znów powodowało przykre sceny, groźby dymysyi, opuszczenia dworu i t. p. Co gorzej, on, który był ją sam natchnął myślą reformy państwowej, jął teraz, gdy się zbliżała chwila stanowcza, przedkładać jej przeróżne trudności, stawiać jej opór na każdym kroku, odwracać od niej stronnictwo „Kapeluszy“, którego był przywódcą. Władza królewska, o której dotąd marzył, stała się dlań teraz krwiożerczą zmorą.

Opuszczona przez przyjaciela, Ulryka chciała się oprzeć na Francyi, ale tu również spotkał ją zawód. Gabinet Ludwika XV. postanowił spróbować, czy nie uda się lepiej opanować Szwecyi za pomocą przeważnego w sejmie stronnictwa, niżeli rodziny królewskiej. Plan był niemądry, kraj bowiem rozdarty na partie tracił coraz bardziej swe siły, a więc i swą wartość w alian-sach. Miano to wkrótce zrozumieć w Wersalu — tymczasem jednak Ulryka ujrzała się sama. W marcu 1751 nowy atak powalił biednego króla — tym razem już na dobre. Śmierć zbliżała się szybko. O zamachu stanu nie było już co myśleć, Ulryka przeto naradziwszy się z kilku przyjaciółmi, na których czele stał obecnie hr. Liwen, postanowiła pozyskać przynajmniej tyle, aby nie dać na razie nowemu królowi się skrepować, a w „Poręczeniu królewskiem“ (rodzaju paktów), mającem według starego obyczaju być ogłoszonem na pierwszym zjeździe sejmowym, umieścić nowy regulamin. kształtujący nieco odmiennie stosunki króla, senatu i sejmu. Oto natomiast co według zapisków hr. Pipera, czerpiącego głównie wspomnienie z rozmów z Luizą Ulryką — zaszło w noc zgonu Fryderyka I. Stary król konał. Już się był pożegnał ze wszystkimi i przyjął pociechy religijne, główny lekarz Rosenstein mniemał jednak, że konanie może potrwać długo. Adolf Fryderyk z żoną powrócili byli do swego mieszkania i tu z hr. Liwenem odczytywali regulamin następstwa oraz tekst konstytucyi. Liwen twierdził, że księciu nikt już prawa do tronu zaprzeczyć nie może, radził w chwili śmierci króla zwołać gwardyę pod broń, zawrzeć bramy pałacu i tu zgromadziwszy głównych dostojników, oznajmić im rozpoczęcie nowych rządów. Ktoby się nie chciał zgodzić, miał być uwięziony. Ręczył za wojsko i za lud, iż z radością powita rząd niezawisły i silny. Gdy zaś książę przedkładał opór, jaki podobny zamach napotka w Tessinie, który już przygotował deklaracyę o republikańskiej barwie do podpisania przez nowego króla, Liwen zawołał, iż najlepszą na to radą odmówić podpisu i koniec. I tak nie Tajny Komitet, ale sejm miał prawo w tych rzeczach traktować. Postanowiono raz jeszcze spróbować pozyskać Tessina, i mimo jej niechęci wysłano doń księżnę. Kancelarz, który był

zarazem ochmistrem małych królewiczów, był się już usunął do swych pokoi, dotykających dziecinnej sypialni, gdy mu oznajmiono przybycie Ulryki. Ubrał się pospiesznie i wyszedł. Gdyby wtedy księżna była doń przemówiła pocziwe słowo, prosząc o pomoc przez pamięć na własne jego zasługi, byłby się zapewne dał zmiękczyć. Ulryka natomiast, cała drgająca bólem upokorzonej dumy, przystąpiła doń wyniosłe i niemal gniewnie, wymawiając mu otrzymane od następcy tronu dobrodziejstwa. Słowem, postąpiła tak, jak w podobnym wypadku byłaby uczyniła nasza Marya Ludwika, jak niestety nie jeden raz przemawiała do Lubomirskiego. Rezultat był oczywiście fatalny. Minister zamknął się w chłodnych ogólnikach, zawierających najzupełniejszą odmowę. Luiza Ulryka z sercem pełnem żalu i gromów powróciła do męża. „Skoro tak jest — zawołał Liewen — trzeba będzie uderzyć silnie i szybko!“

Wtedy obaj powrócili do chorego, przy którym z powodu stanu jej zdrowia nie dozwolano siedzieć Ulryce. Król jednak nie umarł tej nocy; dopiero nazajutrz o 8 wieczorem dano znać księżnie, że zaczęto odmawiać modlitwy za konających, a w godzinę potem, że już wszystko skończone i drzwi komnat królewskich zamknięte. Spędziła noc w niepokoju i trosce; zrana dowiedziała się, że senat był zebrany i obradował przy zamkniętych podwojach, że zażądano obecności księcia. Nareszcie Tessin przyszedł jej oznajmić, że za chwilę odbędzie się akt uroczystej proklamacyi króla i zapowiedzieć że jej da znać przez szambelana, kiedy będzie mogła przyjść, aby być obecną przy ceremonii. Księżna wysłuchiwała go w dumnym milczeniu; zaledwie jednak wyszedł, pobięła cichaczem bocznemi korytarzami na galeryę, krążącą ponad salą Rady. W sali jeszcze nie było nikogo. Po chwili wszedł Fryderyk Adolf, a za nim wszyscy członkowie senatu. Błady był i zmizerniały; zdawał się chwiać na nogach, gdy zasiadał u góry wielkiego, zielonego stołu. Pierwszy Tessin zabrał głos, oświadczając, że w nieobecności sejmu rada szesnastu gotową była przyjąć „Poręczenie królewskie“; oracyę tę zakończył, mówiąc, iż „minęły czasy, kiedy wola monarsza mogła ciężać nad wolnym narodem, ale że dlatego właśnie

naród, posiadający całą pełnię swobody, winien był okazać się gorąco oddanym ukochanemu monarsze“. Wieleż to podobnych mów musieli mniej lub więcej cierpliwie wysłuchać polscy królowie! Niech Bóg wybaczy naiwnym warchołom, co je wypowiadać śmieli.

Książę powstał, aby odpowiedzieć Tessinowi. Niepewnym głosem przeczytał przygotowaną dlań mowę, w której oświadczył, iż „z radością ponawia swe przyrzeczenia wierności wobec praw istniejących i swą obietnicę uszanowania konstytucyi, jaką kraj sobie nadał“. Zaledwie skończył, Tessin odczytał wśród głębokiego milczenia akt Poręczenia, a gdy takowy książę bez oporu podpisał, wzniósł okrzyk: Niech żyje król! — który cały senat za nim powtórzył. W tej chwili utworzono podwoje i tłum dworzan nappełnił salę witając nowego pana, poczem wszyscy z senatem na czele podnieśli rękę, składając przysięgę wierności. Ceremonia była skończona. Ulryka, widząc męża wychodzącego wśród głębokich ukłonów, uciekła z trybuny, aby w swem bolesnem zdumieniu schronić się do swego mieszkania. U drzwi jednak spotkała się z królem. Ten chwycił ją za rękę i wciągając ją do pokoju rzekł bardzo wzruszony: „Moja droga, proszę cię, jeżeli mnie kochasz, nie pytaj mnie nigdy, co się stało“. Istotnie Ulryka nie śmiała nigdy zapytać i nigdy nie zrozumiała dobrze, co jednak było jasnem jak dzień: podczas długiego czuwania przy umierającym pierwszy Liwen upadł na duchu i pociągnął za sobą księcia, który już nie miał siły stawiać się wobec Tessina. Opuszczony przez Liwena w chwili śmierci swego poprzednika, nie umiał się przez noc zebrać do czynu, a potem na pierwsze żądanie senatu ustąpił na całej linii. I tak nadzieja przywrócenia władzy monarszej chybiła; kraj miał trwać w dawnych swobodach, waśniach i nierzędzie. Nie dziw więc, iż pierwsze powinszowanie dla pary królewskiej przyszło od carowej Elżbiety. Adolf Fryderyk i Ulryka zostali ukoronowani 26 listopada 1751 r., nie już w Upsali jak dawni królowie, ale w katedrze sztokholmskiej.

Początek nowych rządów był cichy. Po sejmie koronacyjnym król wyjechał na objazd kraju, królowa zaś przeżuwała

swój zawód tęskniąc do własnej rodziny, do brata. Czuła się bardzo odosobnioną, tem bardziej, że z powodu Tessina znikła nawet dawna swoboda domowa. Tessin potrafił nietylko urzędy swoje zachować, ale nawet, przynajmniej pozornie do łaski króla po tegoż przyjeździe powrócić. Jego położenie u dworu stawalo się wszakże co dnia przykrzejszem, dawne zaufanie zniknęło. Między złe ukrytą podejrzliwością króla a pogardliwym obejściem królowej charakter jego dość słaby a błyskotliwy dochodził do chorobliwego stanu rozdrażnienia, aż wkońcu przyszło z Luizą Ulyką do skandalicznej sceny, po której wielki ochmistrz musiał się oddalić na zawsze. Wkrótce po dymisji przyszła w skutku szalonych wydatków eksfaworyta ruina majątkowa, z której Luiza Ulyka uratowała galerie obrazów Tessina, zakupując je dla Drottningholmu; on sam żył jeszcze długo na wsi zapomniany od ludzi. *Sic transit gloria mundi*. Raz tylko w życiu miał oglądać królowę i to po latach 20-tu, gdy sama nieszczęśliwa i samotna przybyła go odwiedzić na chwilę. Przyjął ją zalany łzami radości, żalu a może i wyrzutów sumienia.

Dwór stracił był w Tessinie swą najświetniejszą ozdobę. Potrafił on jednak nietylko bez niego się bawić, ale i nawiązać zerwaną sieć politycznego działania. Królowa pragnąc nową partyę monarchiczną wkoło siebie utworzyć, jęła działać na ludzi „papką, czapką i łapką“, bawić, olśniewać, poić i płacić. U dworu odbywała się uczta po uczcie, a wśród nich istne łowy na ambasadora francuskiego, który wywijal się jak węgorz walcząc zręcznością i sprytem z romantycznymi sztukami Ulyki. Życie tak wystawne, podszyte mnogością politycznych wydatków oraz zakupnem coraz to nowych dzieł sztuki, było zbyt kosztownem na dochody królowej: nie była to Polska, gdzie Cecylia Renata w przeciągu krótkiego pożycia na tronie kilka milionów zaoszczędzić zdołała. Luiza Ulyka nigdy nie umiała rachować; teraz zaś ratując pustki w swej kasie zastawiła bez namysłu w Berlinie klejnoty koronne, przywiezione jej do Prus przez Tessina: mieniła je swoją własnością, były bowiem wpisane do jej kontraktu ślubnego. O tej zastawie nie wiedział prawie nikt; natomiast jawnem było każdemu, iż na sejm r. 1755 gotują się za-

pasy pomiędzy partją dworską a władzą parlamentarną. Z obu stron sposobiono pilnie atak i obronę, to też tekst ze św. Pawła obrany przez króla na przedsejmowe kazanie, zalecający poszukiwania rzeczy do pokoju wiodących wydał się czystą ironią. Wynik walki zależał istotnie od wyboru marszałków poszczególnych Izb (każdy stan bowiem miał osobną Izbę) a raczej od wyboru marszałka dominującej Izby szlacheckiej. Nie dziw więc, że oba stronnictwa przyciągały ze wszystkich kątów ludzi mających prawo do głosu¹, nigdy takiego zjazdu szlachty nie widziano na sejmie. Kandydatem królewskim był marszałek nadworny hr. Eryk Brahe², człek miękki ale pan wielkiego rodu i fortuny; kandydatem sejmowym słynny Aksel Fersen, długo wojownik w służbie francuskiej, obecnie wódz stronnictwa Kapeluszy, śmiały, energiczny i rzutny. Walka nie długo trwała. Po chwili niepewności szala przechyliła się na korzyść Fersena, dwór był po raz drugi pobitym. Tryumf szlachty jak wszelkie tryumfy zbiorowe okazał się nielitościwym. Na królu — biernym jak zawsze — pomszczono się konstytucją skazującą go oficjalnie na ślepe podpisywanie uchwał senatu oraz wezwaniem przed sąd trzech głównych jego popleczników: hr. Brahe, Wrangla i Horna; na królowej — zrazu tylko odjęciem jej istotnej opieki nad synem. Zaczęto przez publiczne wyegzaminowanie królewicza w przytomności senatu, poczem odprawiwszy jego ochmistrza hr. Strömberg oraz nauczycieli jak hr. Bielke i poetę Dalin, wyznaczono samowolnie nowych — ludzi bardzo godnych i później znacznych urzędem i zasługą³, ale obcych królowej i wyjętych z przeciwnego obozu. Ubodło ją to srodze: „Obchodzą się z nami jak Anglicy z Karolem I.“, pisała do matki. Najgo-

¹ Tu znów wyższą była organizacya polskiego rządu, gdzie nie urodzenie i posiadanie ziemi, ale wybór sejmików nadawał mandat poselski.

² Z tejże samej rodziny co słynny astronom Tycho Brahe oraz kilku innych mężów znacznych, zwłaszcza w pracach dyplomatycznych. Rodzina Brahe istnieje po dziś dzień i posiada przepyszny zamek Skökloster, pelen arcydzieli i skarbów.

³ Baron Schoeffer, po nim zaś przyszły ambasador i minister spraw zagranicznych Creutz, poeta Gyllenberg inicjator t. zw. epoki Gustawiańskiej, dalej przyszły ochmistrz Gustawa IV. hr. Sparre i Sylfverhielm.

rzej na tem wyszedł mały Gustaw, szczerze przywiązany do hr. Bielke, zachorzał ze zmartwienia i znienawidził nowych dozorców, którzy też mu niechęć surowością płacili. Biedne dziecko czuło zawczasu brzemień politycznych niesnasek.

Fersenowi jednak nie było na tem dosyć. Łamał sobie głowę, aby odkryć źródło, skąd pochodziły fundusze Ulryki. Nie z Rosyi przecież ani obecnie z Francyi, ani też od króla pruskiego. Dopiero panna Strömfeld, należąca do fraucymeru królowej, a jeszcze gniewna o odprawę Tessina, odkryła marszałkowi sprawę klejnotów koronnych zastawionych w Berlinie. Zrobił się hałas podobny temu, jaki u nas wznieciło zastawienie opon z „Potopem“ przez Jana Kazimierza. Zapowiedziano u królowej z ramienia senatu rewizyę. Można sobie wystawić, jak wieść ta przyniesiona przez Fersena została przyjęta. Widząc słusznie w nagłej troskliwości o dobro koronne tylko osobistą szyskanę, Ulryka odpowiedziała z bardzo wysoka, że klejnoty ofiarowane jej przez sejm po narodzeniu następcy tronu odda natychmiast z radością, gdyż teraz już sama nie chciałaby ich nosić. Inne zaś były darem jej męża i przed nim tylko winna z nich zdawać rachunek. Duma ta wszakże kryła straszny niepokój: jeden goniec po drugim biegł do Berlina z blaganiem do braci o odkupienie i odesłanie nieszczęsnych klejnotów, aż Fryderyk II. ujął się głośno za siostrą i rzecz zakończyła się otwartym listem Ulryki, wystosowanym do króla. Panna Strömfeld odprawiona ze dworu dostała za uchwałą sejmową roczną pensyę 2.000 tal. za „ważną usługę krajowi“. Istotnie opozycja mogła się cieszyć: królowę upokorzono do głębi i poniżono w opinii narodu głosząc, iż chciała sprzedać klejnoty koronne.

(Dok. nast.)

T. W.



VASILE ALESSANDRI

KSIAŻE PIEŚNI RUMUŃSKIEJ.

(Ciąg dalszy).

V.

Utwory Alessandriego odzwierciedlają nam dwa czynniki, wpływające na rozwój jego talentu i na właściwy kierunek jego dzieł. Temi czynnikami była romantyka francuska i rumuńska poezya ludowa.

W czasie pobytu Alessandriego w Paryżu świeciła tam swoje tryumfy poezya romantyczna. Ten nowy a pocie całkiem nieznany kierunek nie pozostał bez wrażenia na jego młody umysł, tem bardziej, że naturalny popęd i przyrodzona wrażliwość ciągnęły go w tę stronę. Z całym też zapalem wziął się do badania nowego kierunku, a choć w pierwszych chwilach nie dobrze go pojął, to jednak w niedługim czasie zrozumiał dobrze całą jego ważność, piękność i charakterystyczne cechy. Z szczególnem zamięłowaniem studyował dzieła Lamartina, którego uważał za jednego z największych poetów Francyi i chlubę naszego wieku. „Medytacye“ i „Harmonie“ oczarowały go, uległ nieokreślonemu urokowi owych marzeń poetyckich, pełnych religijnej ekstazy, łagodnych uczuć i wdzięcznej, mistycznej melancholii; spokój i wypoczynek znajdował w jego dziełach, a tak się jego poezyami zachwycił, że jednym z najpierwszych jego utworów była „Oda do Lamartina“.

Obok Lamartina interesował go i Musset potęgą namiętności a Wiktor Hugo różnaitością tematów, pełnych fantastycznych pomysłów.

Choć zaś ten wpływ nie uwydatnił się jeszcze w pierwszych utworach, to jednak uwidaczniał się on powoli i krystalizował coraz jaśniej, tem bardziej, że wspomagały go widocznie zajścia w jego ojczyźnie, prądy dążące do odnowienia kraju, i walki, jakie staczać musieli koryfeusze nowych poglądów. Stąd też w poezjach Alessandriego nie znajdziemy więcej tak zwanych klasycznych motywów; wyrzucił on z swego repertoaru Olimp i całą lubieżną mitologię, jaką się często klasyczni poeci zajmowali; za to rzucił się cały bądź to na pole motywów patriotycznych, bądź też wrażeń zaczerpniętych z przyrody. Przedmiotem jego lirycznych i epicznych, a częściowo i dramatycznych utworów, jest przeszłość rzeczywista lub fantastyczna kraju. Bohaterami jego są mgłą tajemniczości lub zapomnienia owiani rycerze, romantyczni hajdacy, męczennicy za kraj, za wolność i obowiązek. Wielką rolę odgrywają siły nadprzyrodzone, natura żyjąca w ciągłej sprzeczności z rzeczywistością, zakończenia tajemnicze i mistyczne, nieraz trudne do zrozumienia. Często też czerpie on motywa z krajów oddalonych, ucieka na daleki Wschód, opiewa szybką barkę, roztaczającą białe żagle pod skałę Gibraltaru i podziwia marmury świecącej w jasnych nocach Grenady. Wpada i w ten wielu romantykom wspólny błąd, że idee swoje ubiera w tyle barwnych słów i obrazów, że trudno się potem tej idei dopatrzeć; czasami dostrzega się nawet, że pod nawalem tych słów idei wcale nie było.

Jaśniej jednak, dobitniej i w silniejszych zarysach objawia się nam w dziełach Alessandriego wpływ rumuńskiej poezji ludowej i to tak dalece, że często trudno orzec, gdzie się u niego kończy działalność romantyzmu francuskiego a zaczyna działalność pieśni gminnej. Ta poezja ludowa potrafiła utrzymać poetę na drodze rozsądnej i jego geniuszowi prawdziwie odpowiedniej i paraliżowała tym sposobem nie zawsze może dla niego dodatni wpływ romantyki francuskiej. Swą naiwną pięknnością i barwno-

ścią uczyła go, jak należy nie ulegać zupełnie wrażeniu, lecz umieć nad niem panować.

Okazywa do bliższego poznania tej nieznaney krainy nadarzyła się poezie zaraz po śmierci matki; w r. 1842 rozpoczął on, jakśmy wyżej powiedzieli, swe podróże po górach rumuńskich i w nich zapoznał się z owemi pieśniami ludowemi; poznaawszy zaś i odczuwszy od razu całą ich piękność, zabrał się do gorliwego ich zbierania a niedługo potem rozpoczął je drukować p. t.: „Balady zebrane i poprawione“. Poezye te, przetłumaczone wkrótce na angielski i niemiecki język, zrobiły wielkie wrażenie, które musimy w części i tej okoliczności przypisać, że udało się Alessandriemu zebrać takie właśnie pieśni, które ludową poezję rumuńską dokładnie cechują.

Rumun, spędzający swe życie przeważnie pod gołym niebem, żyjący na łonie przyrody, zidentyfikował się niejako z tą przyrodą; żyjąc zaś znowu w ciągłych walkach i prześladowaniach, narażony na najazdy cudzoziemców, zachował w swem sercu pamięć krwawej przeszłości, zapłonął nienawiścią do tych, którzy mu ojczyznę najeżdżali, i żył cały pragnieniem zmian na lepsze w szczęśliwszej przyszłości. Stąd też opiewał on w swej pieśni sielskiej chętnie miłość ojczyzny i ogniska domowego, a opiewał je z uczuciem człowieka, któremu zabrano wszystko, co miał drogiego na świecie. Wiadomości Rumuna mitologiczne, jakie odziedziczył po pogańskich przodkach, stopiły się powoli z chrześcijaństwem. Diana Olimpu przemieniła się w św. Zianę, Wenera w św. Winer, rozumie się w innym charakterze jak Diana lub Wenera starożytności pogańskiej. Z biegiem czasu ustępuje i ten na pół-chrześcijański, na pół-pogański świat, a jego miejsce zajmuje święta miłość ojczyzny, wyśpiewywana na najrozmaitszą nutę. Te więc potężne uczucia, ten cały dramat historyi rumuńskiej, odegrany w ludowej pieśni, nadaje jej charakter zupełnie odrębny od charakteru poezyi innych ludów i jak z jednej strony sprawił, że Alessandri mógł bez wielkiej przesady powiedzieć: „nasza poezya ludowa niema równej sobie u innych narodów“, tak z drugiej spowodował ten wielki rozgłos zbioru Alessandriego.

Wydając zebrane poezye popęlnił jednak Alessandri błąd, mały w jego mniemaniu, wielki w rzeczywistości; nie tylko bowiem poezye ludowe zebrał, ale je też poprawił. Zmysł jego artystyczny nie mógł znieść braków, jakie w tych poezyach się objawiały, a zapomniawszy, że ten rodzaj sztuki przeważnie dla tego nam się tak podoba, że zawiera on w sobie świeże, zdrowe myśli, oryginalne obrazy, pełne wiosennego wdzięku porównania, a zwłaszcza nieskrępowaną formułami swobodę, starał się te braki formy usunąć i dać nam utwór ludowy, nawet i pod względem formy zewnętrznej doskonały. Ten cel osiągnął, ale tem samem zbiorek ów nie jest już wiernym wizerunkiem utworów ludowych i chociaż od razu przedstawił się publiczności jako dzieło pod każdym względem skończone, to jednak wkrótce poznano się na błędzie i zaczęto z większą ostrożnością na podobne kolekcye innych autorów spoglądać.

Zajmując się zbieraniem i badaniem pieśni ludowych, odkrył w nich Alessandri tyle piękności i czarów, że często może bezwiednie pozwolił na swoje utwory własne wpływać tej poezyi, a ten wpływ przebija się u niego w daleko większej mierze, jak wpływ romantyki. Owe pół-mityczne, pół-rzeczywiste, pół-pogańskie, pół-chrześcijańskie figury ludowej poezyi, zjawiają się teraz od czasu do czasu w ramach dzieł Alessandriego, tylko jego talent robi z nich istoty doskonalsze, idealniejsze; postawi je w otoczeniu bardziej ujmującym. Obyczaje ludowe, jego baśnie, przypowieści i przysłowia, jego zabobony i sławne w Rumunii zażegnywania znajdują się w każdym prawie większem dziele naszego autora. Nawet forma jego utworów przypomina nam poezyę ludową. Stała formułka, tak bardzo pieśni rumuńskiej właściwa, że prawie jej nigdy w niej nie braknie, owo *Frunză verde*, „Liściu zielony“, zdobi często poezye Alessandriego, a ponieważ ma ona rzeczywiście w sobie coś świeżego, przedstawia bowiem symbol życia i nadziei, dlatego też przenosi nas natychmiast w sferę poetyczną. Naiwność wyrażenia ludowego, zdrobnienia wyrażań, jakieś powiedziałbym przekomarzanie się ze stylem, kwieciste obrazy, lekkie opisy, przedstawiające nam rzecz jasno a stroniące jednak od analizy, łatwy rym,

charakteryzujące poezję ludową, cechują też dzieła poety. Nawet ze stałe w rumuńskiej poezji ludowej znachodzącym się wierszem ośmioletkowskim, który przemienia się na siedmioletkowskim, gdy chodzi o rym męzki, spotkać się można od czasu do czasu u Alessandriego.

VI.

Po mniej udatnych próbach pierwszej literackiej czynności, zachęcony skarbami odnalezionymi w pieśniach ludowych, wystąpił Alessandri od razu w r. 1853 z tomikiem zatytułowanym: *Doine si lăcrămioare*, „Dumki i konwalie“. Aczkolwiek talent jego nie objawił się w nich jeszcze w całej pełni, to jednak utwory te, drukowane po rozmaitych czasopismach, a w wymienionym roku razem zebrane, wskazywały na wielkie zdolności i na potęgę słowa nowego poety.

Wiersze w tym tomiku zawarte, będące przeważnie treści lirycznej, rzadziej liryczno-epicznej, dadzą się podług zawartych w nich idei podzielić na trzy części: na pieśni patryotyczne, na pieśni natchnione podaniami i powieściami ludu, i wreszcie na erotyki, które przeważnie zbiorów wypełniają.

Poezje patryotyczne, które w doskonalszej formie później jeszcze się powtórza, cechuje gorąca, potężna i szlachetna miłość ojczyzny, tem szlachetniejsza, że nie jest dla innych narodowości wyłączna. Kiedy zgromadzenie narodowe Mołdawian postanowiło wreszcie wyzwolić cyganów, tych najnieszczęśliwszych niewolników europejskich w naszym wieku, to Alessandri, który zaraz po śmierci swego ojca wrócił wolność wszystkim w jego dobrach pańszczyznę odrabiającym, powitał ten dzień śpiewem: „Wyzwolenie niewolników“, w którym przewiduje przyszłą potęgę kraju, jako nagrodę za ten akt ludzkości:

Słońce dzisiaj jaśniej świeci
I świat jaśniej dziś się śmieje,
Serce silniej dzisiaj bije,
Życie strojne dziś w nadzieję.

Bo głos zabrzmiał, głos wolności,
I Mołdawia z snu powstała,

Ujarzmioną widząc ludzkość.
Nad nią głośno zapłakała.

Kiedy znów zapoznał się z dążnościami, mającemi za cel połączenie obu państw rumuńskich, wypłynęła z pod pióra jego pierwsza ogólnie-narodowa pieśń rumuńska „Taniec jedności“, wzywająca bratnie narody do braterskiego połączenia się, a taka potężna w swej ekspresyi, że trudno chyba wyłączyć z siebie więcej uczucia i gorącego patriotyzmu. Kiedy indziej, gdy obcy uczeni zaprzeczali Rumunii jej pochodzenia od Rzymu, wydzwonił „Straż rumuńską“. Widząc znowu Rosyę intrygującą w ojczyźnie, przedstawił w udatnej alegoryi „Ptaszek“ losy Rumunii i zdradę Rosyi. Rumunia — to biały, smutny, samotny ptaszek; gałąź drzewa, gdzie się gniazdko znajduje, oplata coraz ciśniejszemi kręgami dzika żmija — symbol losu; olbrzymi jastrząb wyciąga do gniazdkła drapieżne pazury — to Rosya. Powiewnościami uczucia, dobozem lekkich farb, odbijają od tych utworów dwa inne: „Pożegnanie Mołdawii“ i „Powrót do kraju“. Dwa te wiersze, jeden smutny, a drugi radosny, stanowią między sobą harmonijną antystrofę. Jak pięknym naprzykład jest ten kontrast, kiedy nam poeta w nich opowiada, że gdy opuszczał kraj, przyroda wiosenna czarowała oko, lecz w sercu jego była burza i rozpacz; kiedy powracał do ojczyzny, mrozy zimowe spętały ziemię i zakuły fale w biegu, lecz jego serce uczucie radości rozpierało. Sam opis powrotu do ojczyzny nie jest bez wdzięku.

Spieszyłem przez ciemne przepaście; po górach
Zimowe ja kruki w locie przeganiałem,
Ojczyzny mej gwiazdy szukałem gdzieś w chmurach,
Za krajem stęskniony, do kraju wracałem.

A w kraju mym słodkim kwiciste tam drogi,
Do łubej ojczyzny spiesz prędzej mój koniu;
Nas gwiazda zawiedzie w te święte nam progi;
Precz z serca boleści; — pędź strzałą po błoniu.

W drugiej części omawianego zbioru, z wyjątkiem kilku wierszy, odznaczających się podniosłością myśli, spotykamy się przeważnie z niezbyt sympatycznymi motywami, kreślącemi nam obrazy i zdarzenia wyjęte z życia i przesądów ludowych. Wi-

dzimy tu hajduków, którzy nas zadziwiają swą śmiałością, godną lepszej sprawy; widzimy czarownice, oddające się w służbę szatanowi dla osiągnięcia swych zamiarów, słyszeć się też daje i głos nienawiści dla cudzoziemców; rzadko tylko uderza poeta w delikatniejsze i szlachetniejsze struny duszy. Forma tu nawet słabsza od formy w innych utworach; słowa zbyt zdrobniałe wskazują na pewien jeszcze niewyrobiany smak, opisy zbyt częste trudzą czytelnika.

Jest jednak i w tej części kilka wybitniejszych utworów, jak to powyżej zaznaczyliśmy. Oryginalnością i harmonią wiersza zwraca na siebie uwagę dłuższe opowiadanie, zaczerpnięte z podań ludowych, a zatytułowane: *Mărioara Florioara zina muntilor*, „Rusalka gór“. Po udatnym opisie Mołdawii, gdzie życie płynie słodko i wesoło, opisuje nam poeta uroczą rusalkę, „kwiatów siostrzyczkę“, piękną, jak wiosna mołdawska, a chyżą, jak młoda sarenka. Cała przyroda uśmiecha się, gdy ją spostrzega, a stare Karpaty młodnieją. Do szczęścia niczego jej nie brak, a jednak nieokreślone jakieś pragnienia powstają w jej sercu i napędlają niepokojem. Pewnego razu spotyka ona na swej drodze rycerza, przelatującego na dzikim rumaku; srebrna gwiazda błyszczy nad jego czołem. Mărioara poznaje nieznanego, zostaje jego oblubienicą i razem z nim przebiega lasy i błonia. Lecz stare Karpaty, gdy ją teraz ujrzały, nie odmłodziły więcej; zielone liście ich lasów uschły, kryształowa woda strumieni zamęciła się, umilkły głosy ptaków, a kwiaty pospuszczały swe główki i powiędły. Rusalka nie widzi tego, szczęście przy niej się znajduje. Aż wreszcie trzeciego dnia nadlatuje duch ochronny gór, porywa rusalkę z rąk oblubieńca i znika z nią w dali — niebo spokojne i jasne, lasy cicho szumią i tylko o północy przynoszą skrzydła wiatru dziewczą skargę, w której słychać pragnienie szczęścia i spokoju.

Najliczniej pojawiają się w tym zbiorze pieśni miłosne. Na samym początku musimy z uznaniem zaznaczyć, że Alessandri pozostawił za sobą w tym rodzaju wielu innych poetów; jego wiersze są pod względem moralnym niewinne. Przedstawia nam się w tych wszystkich poezjach umysł swobodny, czysty

wiosenny, który na to uczucie nie zapatruje się tak, jak wielu adherentów naturalizmu. Radość z poznania narzeczonej, z jej wzajemności, tęsknota za nią, gdy dla poratowania zdrowia wyjechała za granicę, głęboki smutek, gdy w jego ramionach na morzu pod Konstantynopolem umarła — oto cechy tej poezyi, powstałej prawie wyłącznie pod wpływem narzeczonej jego, Heleny, która swym podziwem dla poety i jego utworów zachęcała go do dalszej pracy. Prawda, że uczucie to nie jest tak silnem, aby było zdolne stworzyć np. „Dziady“; jest ono z wyjątkiem jednego tylko wiersza łagodne i spokojne, ale w tej łagodności pewien wdzięk spoczywa.

Ostateczny sąd, jaki o tym zbiorze wydamy, będzie ten, że Alessandri nie wszedł jeszcze po tę chwilę na właściwą drogę. Wiele pięknych utworów znajdziemy w tych „Dumkach i konwaliach“, niektóre z nich przerażają nas prawie potęgą swego uczucia, ale takich pieśni jest bardzo mało. W innych widzimy wiele ozdób, często fałszywych; uczucie jest wogóle zbyt łagodne, a jeżeli chce być silnem, polega raczej na wyrażeniach, aniżeli na mocy rzeczywistej.

Lot doskonały rozwinał Alessandri w drugim zbiorze poezyj, w tak zwanych „Pastelkach“, *Pastelurŭ*. „Pastelki“ drukowano między rokiem 1868 a 1871 w *Pogadankach literackich*. Jest to szereg poezyj lirycznych, opisowych lub sielanek — przejrzyste obrazki, w których przebija tak delikatne i tak czyste zrozumienie natury, łączące się z tylu pięknościami formy, że są one bezsprzecznie największą ozdobą poezyi Alessandriego, i jak się wyraża Maiorescu, „pierwszą ozdobą literatury rumuńskiej w ogólności“. Teraz dobrze pojęta przyroda wystarczyła mu zupełnie, zastąpiła mu nawet miłość kobiety i miłości tej napróżno szukaliśmy odtąd w jego poezjach. To, co go otacza, niebo u góry i kwieciste blonia u stóp, wystarcza mu zupełnie. Z większem zrozumieniem i serdeczniejszem przywiązaniem będzie się teraz patrzył na swą łąkę w Mircești i jej też będziemy zawdzięczali najpiękniejsze „Pastelki“, jak „Wieczory w Mircești“, „Koncert na łące“, „Łąka w Mircești“ i wiele innych.

Jakżeż więc przedstawia nam się w ogólnych zarysach

treść tego nowego dzieła Alessandriego? Kiście traw, których tajemniczym szeptom się przysłuchuje, niebo unoszące się nad błoniami, rozległe pola, falujące zbożem, wspaniały zachód słońca, kładący różę i złoto na śnieżnych szczytach gór, lasy z cieniściami źródłami, zima z lodowymi kwiatami na oknach i stalaktytami na dachach domów, słodka i tęskna wiosna, jesień z łańcuchem żurawi, lato, gdy pod palącym słońca promieniem dojrzewają łany złociste — wszystko to pojawia się przed okiem czytelnika i wywołuje zachwyt. To znowu opuszcza on tę więcej martwą przyrodę i sięga do życia ludzkiego: w polu i na błoniu widzi robotników, rozmawia z żeńcami, przestaje z siewcami i opowiada nam o „świętej pracy pola“, o trudach i radościach rolnika. Dwie własności charakteryzują „Pastelki“; przebija w nich wszędzie wesołość i życie.

Poeta nie zbliża się do natury z żalem i smutkiem w duszy, ale widzi w niej jedynie urocze obrazy, wywołujące idealne wrażenia. Dlatego też źródła nie jęczą ani nie wzdychają u niego, księżyc nie płynie, jak martwy okręt. Kiedy nam opisuje zimę, widzi w niej tylko przyjemne strony; malując żniwa, dostrzega tylko idylę, pełną powabu, nie wspominając nie o ciężarach i przykrościach życia wiejskiego. Wszędzie światło i gwiazdy, wszędzie śpiew i szmer liści, wszędzie radość i wesele.

Drugą własnością dodatnią, to życie. Przyroda „Pastelek“ to przyroda żywa, swobodna, hałaśliwa. Wiatry silnemi ramiony obejmują wysokie drzewa i śnieżne góry i płasają po głębokich jarach i dolinach, płyną i tany zawodzą w powietrzu gwiazdki śniegu, sanie ślizgają się po jasnych drogach zimowych. Wszędzie uderza nas bogactwo kolorów i jakaś żywa ruchliwość.

Alessandri idzie w tym względzie jeszcze dalej: wody, lasy i błonia, ptaki, kwiaty i motyle żyją swoim życiem, kochają się i pieścą, smucą się, śpiewają i szepcą. W kwiatach doliny widzi on rusalki, ubrane w złoto i purpurę, oczekujące przyścia swego pana, słońca, które jaśniejszemi barwami ich lica ubierze, perły i rubiny na listkach osadzi, i ich pięknoscia oczy ludzkie oczaruje. Między niemi żyje Alessandri, jak mię-

dzy przyjaciółmi, zna ich nazwy, rozumie ich radości, cierpienia, tajemnice. Trudno o delikatniejsze a zarazem bardziej artystyczne zrozumienie otaczającej przyrody.

Weźmy dla przykładu „Koncert na łące“. Po ślicznym opisie ulubionej łąki, opisuje nam poeta, jak kwiaty i owady zgromadzają się wieczorem, aby się przysłuchać dźwiękom jakiegoś z daleka do nich przybyłego śpiewaka. „Cisza!... Wysoko gdzieś na drzewie, jakieś jakby westchnienie się odzywa; wszyscy oczekują w milczeniu, śpiewak przygrywa zwolna. Wiatr szumieć przestał a liść gęsty zwisnął bez ruchu, zdaje się, że pod zasłoną światła cała łąka drzemie. W ciszy nocnej płynie ponad liście boska melodia, jak technienie geniuszu, i rośnie coraz czystsza, coraz przyjemniejsza i piękniejsza, aż rozdźwiękiem harmonijnym całą łąkę napęlnia. Zadumany i milezący księżyc staje w biegu, a i dusza pogrąża się w głębokiej rozkoszy i zdaje się jej, że słyszy śpiew rajski, jakby na harfach aniołów perły się ślizgały. To wdzięczny słowik, który opowiada tajemnice swojego serca i swe marzenia szczęścia; cały świat jest zachwycony jego graniem, śpi tylko sam czerwony mak“.

W tem bogactwie dobrze nałożonych kolorów wderzy nas może, że wszystkie małe obrazki są równie piękne i równie doskonałe; obszerniejsze za to tracą wiele na swym uroku. Uczucie w nich jest blade, a zamiast pięknych, po mistrzowsku choć tylko kilku rzutami kreślonych obrazów, znajdziemy dużo niewiele mówiących słów, tak dalece, iż z wyjątkiem „Łąki w Mircesti“ i „Koncertu na łące“, wszystkie większe pastelki, których na szczęście jest zaledwie kilka, znacznie są słabsze od reszty i pozbawione zwykłego temu zbiorowi uroku.

Pojęcie życia w „Pastelkach“, jest też wogóle trochę za poziome. Ludzie z „Pastelek“, gdy się między sobą stykają, z sobą żyją i rozmawiają, znają tylko materialną stronę życia. Dlatego też, jeżeli któryś z krytyków rumuńskich ogólnie zawyrokował, że liryka Alessandriego nawet w „Pastelkach“ jest niewyraźną i miękką, to chyba z tego względu zdanie to byłoby słuszne, że nie dotyka ona wybitniejszych stron duszy ludzkiej.

Alessandri nie był filozofem, filozoficznych też teoryj u niego niema. Nie wyklucza to jednak, że siłą faktu musiał czasami swe zdanie wypowiedzieć, a te poglądy, które Alessandri przy tej okazji wygłaszał, są poglądami deisty. Patrzy się on na przyrodę, jak na cudowny, opatrnościowy klejnot; widzi w niej niejako przedłużenie i ozdobę rozumu i doskonałości Bożej. Czasami spotykamy się i z pewnym fatalizmem orientalnym; umysł jego nie zwracający się w stronę głębszych zagadnień, zadawałniam się tem, że tak być musi: „Niebo, gwiazdy, ziemia, namiętności, powtarzał często, wirują w jednym tańcu i poddają się taktowi śpiewu, którego nikt nie słyszy“.

Jeszcze raz uderzył Alessandri w swą strunę liryczną i wydał w r. 1877, pamiętnym roku walki pod Plewną zbiór liryczno-epiczny zatytułowany: *Ostasiŭ nostri*, „Nasi żołnierze“. Niektóre utwory tego zbiorku, jak np. „Oda do żołnierzy kraju“, „Bałkan i Karpaty“, „Sierżant“, *Penes Curcanul*, celują pięknoscia, inne są słabsze. Gorąca miłość kraju nie pozwoliła mu milczeć, kiedy słońce pomyślnie jego ojczyźnie zaświeciło, a że sam był głęboko wzruszony współudziałem rumuńskich szeregów w tej wojnie, potrafił więc wlać w swe wiersze wiele entuzjazmu wojennego; akcyja płynie nieustannie, uczucie jest nader silne, a staje się silniejszym jeszcze przez to, że podnoszą je kontrasty, uosobienia rzeczy nieżyjących, obrazy krótkie lecz porywające; przytem odpowiada prawie zawsze treści i forma męzka, dzielna, krótka.

Te wszystkie własności posiada w wysokim stopniu wiersz *Penes Curcanul*. Opisuje on nam historię dziesięciu żołnierzy, którzy przezwani *Curcanami* (Indykami), udali się na wojnę. Już to samo, że poeta przedstawia nam całe to zajście słowami ostatniego z tych żołnierzy, który z pola walki do domu powrócił, dodaje poezyi uroku.

Z Waslui dziewięciu wyszło nas,
Dziesiąty sierżant w drogę;
Przy pożegnaniu nie drżał nikt,
Ni w sercu uczuł trwogę.
Jak sokół, który wzbija się
Nad skały, hen! z pagórka

My skrzydła mieliśmy u nóg.
Na czołach nieśli piórka...

Indyków miano dał nam świat.
Bo niegdyś ludzie drwili!
Dziś ono chluba, odkąd my
Z Bałkanów powrócili.

Tak idą oni pod Plewnę w przekonaniu, że dla kraju wywalczą
szczęście i chwałę; idą dumni, pełni nadziei i ufności zwycięstwa
i powrotu.

Ach! komu wtedy po przez myśl	Boli, gdy topór w dumny dąb
Przelecieć mogło strzałą,	Uderza z hukiem w lesie,
Że z dumnej naszej garstki tej	Smutno, gdy siekier ostrzych zgrzyt
Powróci w dom tak mało.	W przestworza echo niesie.
Z dziewięciu zuchów — sierżant nasz	Lecz biada tej najgorszej z gwiazd,
W szeregu był dziesiąty —	Co ziemię kirem kryje,
Jam jeden — krew mi ścina mróz —	I bezlitośnie w ludzki las
W rodzinne wrócił kąty.	Toporem śmierci bije.

Dzieci! Podajcie wody kruż
Z pod skały, gdzie jej źródło;
Chcę, by w tym trunku świeżym znów
Cierpienie me ochłódło.
Mam pełno iskier w oku mem,
Mózg żal i rozpacz gniecie.
Gdy wspomnę drogą moją braci,
Poległą w życia kwiecie!

Doszli do Kalafatu, gdzie się przez Dunaj przeprawić po-
trzeba było; tam pierwszy z nich „dał w swój flet“, gdy

Nagle kartacza odłam padł
— Do piekła taką sprawę —
Z rozbitą czaszką Kobuz legł
I popsuł nam zabawę...

I już są pod Plewną; Grywicy groźne mury nieprzyjaźnie
na nich spoglądają.

Wyje i trzeszczy z tysiąc paszcz,
I ryje ziemię z hukiem,
Jak wicher, bomby niosą wtór
Ponurym swym pomrukiem.

Turczyn, jak niedźwiedź, ukrył się,
 Nie wylazł z swojej jamy!
 On w żywe ciało sypał strzał,
 Gdy my na mur strzelamy.

Coraz więcej wiernych towarzyszy ginęło, aż nadszedł wreszcie dzień strasznego szturmu, strasznych mordów, ale i zwycięstwa.

Więc po trzy krzyże każdy wzbił,
 Amen! Bóg wspiera butę,
 I w pełnym biegu każdy szedł
 Tę Turków brać redutę.
 Hura! ach jakże naprzód wciąż
 Waleczne dążą syny!
 Gdzie fosy i gdzie groźny wał,
 Tam nasze są drabiny.

Jesteśmy! Hura! Jeszcze krok,
 Niech każdy ima szczębli.
 Lecz w tejże chwili, ileż ust
 Śmierć naszym zuchom knebli.
 Z wnętrza reduty na kształt fal
 Straszliwy ogień praży,
 Gdy jeden szereg trupem legł,
 Już drugi jest na straży.

Zuguj, choć konał, jeszcze w łeb
 Pogański gromko bije.
 Na szanцу woła Szoim nasz:
 „Moldawia niechaj żyje!”
 Jaszanie, bracia w własnej krwi
 Pocięci się tarzali.
 Waleczni! oni życie swe
 Bez jęku oddawali.

Waleczny rotmistrz, choć mu skroń
 Pokryły krwi potoki,
 Woła: „Kto indyk, sepem bądź,
 Uderzaj w gór opoki”.
 Sztandaru nie wypuścił z rąk,
 I tak się piał na mury,
 A ja z sierżantem w jego ślad
 Dążyliśmy do góry.

Nie straszny ogień, szabla, dym,
 Bagnety, ni kul bicie,
 Kroczyliśmy naprzód! — oto już
 Jesteśmy tam na szczycie!
 Allah! tysięczna wrzeszczy pierś,
 Klębią się miecze, lance;
 Rumuński sztandar, niby strach,
 Zatknięty jest na szanце!

Hura! Z sztandarem igra wiatr,
 I słychać szum z daleka,
 Leżymy we krwi, pełni ran,
 A życie z nas ucieka.
 Wyśmiewa Turków sierżant zuch,
 W przedśmiertnej swej agonii,
 Nasz rotmistrz śmiechem wita zgon
 Wśród chrzęstu naszej broni.

Nim me powieki skleił sen,
 Gdy dłoń ma broń ścisnęła,
 Krzyknąłem: „Teraz umrzeć chcę,
 Ten dzień to nasza chwala!”
 Nocą, zbudzony, widzę tu,
 Przed sobą szczęścia czary,
 Na moich ranach błyszczy krzyż
Virtuti militari.

O Panie! Spraw niech chorą dłoń
 I ranną pierś znów wskreszę.
 I niechaj rzeźki, świeży znów
 Na boju plac pospieszę,
 Bo piękniejszego niema nic
 Na wszystkich ziem obszarze,
 Jak bohaterem módz się zwać
 I chrobrą śmierć mieć w darze¹.

¹ W tłumaczeniu Wł. Trampeczyńskiego, w „Obrazie literatury powszechnej“ (P. Chmielowski i E. Grabowski), tom II., str. 285 i nast.

Temi samemi zaletami odznacza się „Sierżant“, który zraniony pod Plewną, wraca do domu z krzyżem św. Jerzego na piersiach. W drodze spotyka żołnierzy rumuńskich, dążących pod Plewnę. Dowódca ich, ujrzawszy wyniszczoną postać żołnierza, dowiadyuje się, że wysokie to odznaczenie otrzymał za zerwanie sztandaru z reduty nieprzyjacielskiej i każe prezentować broń przed mężnym inwalidą. W „Bałkanie i Karpatach“ poznajemy nieprzyjazne stosunki dwóch narodów. Dewizą Bałkanu jest „niewola“, Karpat „niezależność“. Dwa orły wylatują do walki; orzeł Bałkanu pada, pióra jego rozplývają się na cztery części świata; zwycięża orzeł Karpat i „śpiewa pieśń wolności nad Dunaju brzegiem“.

Na tem kończy się ściśle liryczna działalność Alessandriego. Wprawdzie tak, jak w omawianych tomikach znajdowały się ustępy epiczne, tak i w następnych znajdują się liryczne pieśni, ale trafiają się one tylko wyjątkowo i w każdym razie do charakterystyki twórczości lirycznej Alessandriego, z wyjątkiem „Pieśni szczepu łacińskiego“, o której wspomnieliśmy już na początku, nie nie dodają.

Nagrodzona „Pieśń szczepu łacińskiego“ składa się z czterech zwrotek, uwydatniających nam historię, rozwój i zadanie romańskich ludów. Więc uczy nas natchniony poeta najpierw, że szczep ten idzie ciągle naprzód, zwyciężając wszelkie trudności.

Naprzód! wciąż naprzód! to jego hasło.
 Dumny też zawsze naprzód on spieszy,
 Przewodzi ludów olbrzymiej rzeszy,
 A światło jego jeszcze nie zgasło.

To swoje znaczenie w świecie zawdzięcza on oprócz innych i szczęśliwemu swemu położeniu, które ten rozwój i ten postęp ułatwia.

Z promieni słońca koronę wije,
 I szmaragdowe mórz fale pije.

Będąc tak dzielny i potężny, nie korzysta z tych darów jedynie dla siebie, ale niemi całą ludzkość uszczęśliwia;

jest strasznym w swym gniewie, uderza w tyranów i walczy za swój honor. Stąd też na zapytanie, w dniu sądu postawione, jak się właściwie na tej ziemi sprawował, będzie mógł słusznie odpowiedzieć, że jak długo na świecie istniał, tak długo w pełnych podziwu oczach tego świata Stwórcę przedstawiał. Ostatnia ta zwrotka najwięcej szale zwycięstwa na stronę Alessandriego przechyliła.

(Dok. nast.).

Wiktor Wiecki.



PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Księgi humoru polskiego. Zebrał, ułożył i objaśnił *K. Bartoszewicz*.
Wydanie ozdobione portretami i autografami humorystów i satyryków polskich. Petersburg. Nakład K. Grendyszyńskiego. 1897—1898. Cztery tomy.

Pojawienie się tego dzieła w obiegu księgarskim poprzedził wiele obiecujący program ruchliwego nakładcy, p. Grendyszyńskiego. W programie tym powiedziano między innemi: „Potężne i wyjątkowe znaczenie humoru w twórczości literackiej przypisać należy jego rzadkości. Mowa tu naturalnie nie o humorze zdawkowym, o dowcipkowaniu i płaskiej karykaturze, bo tego towaru mamy aż za wiele na targu czasopism i kalendarzy humorystycznych — ale mowa o humorze głębszym, pełnym miary estetycznej i przyodzianym w formę artystyczną“.

Dotychczasowe próby złożenia antologii humoru polskiego w jego objawach najbardziej estetycznych i artystycznych nie powiodły się; wydawcy bowiem — są słowa programu — „brali się do wydawnictwa bez żadnego przygotowania, bez żadnego programu, przedrukowywali, co im wpadło pod rękę, dawali rzeczy powszechnie znane..., zanieczyszczali czyste ziarno plewą bez wartości — jednym słowem, zamiast wyboru dawali tandetę“.

Aby ten dotkliwy brak zastąpić, firma rzeczona postanowiła wydać „Księgi humoru polskiego“ i powierzyła redakcyę p. K. Bartoszewiczowi — „jako najkompetentniejszemu bezwarunkowo znawcy naszego rodzimego humoru“. Wydawnictwo nie miało

ograniczyć się jedynie na przedruku utworów znakomitych naszych pisarzy, od Reya aż do dzisiejszej epoki, ale nadto zamierzyło podać:

- a) przedruki rzadkich, znanych tylko bibliografom broszur humorystycznych z XVI. i XVII. wieku lub cenniejsze z nich wyjątki;
- b) zbiór przysłów i aforyzmów humorystycznych;
- c) nieznanne, wybrane z rękopisów w. XVII. i XVIII. utwory humorystyczne;
- d) dowcipne utwory ludowe, zawarte w Kolbergu i t. d.;
- e) najcenniejsze utwory, pomieszczone w dawniejszych, a rzadkich dziś niezmiernie polskich pismach humorystycznych i satyrycznych;
- f) zbiór anegdot czysto polskich, zaczawszy od dowcipków Stańczyka, Smolika, — oraz anegdot, doszłych do nas z kazań, broszur politycznych i t. d.;
- g) niedrukowane nigdzie korespondencye humorystyczne, jak np. listy Wilkońskiego do Kraszewskiego, J. Bartoszewicza, redakcyi *Biblioteki Warszawskiej* i t. d.

Bogaty i wyczerpujący ten program kończył się obietnicą, że p. K. Bartoszewicz opatrzy powyższy materiał bibliograficznemi i rzeczowemi objaśnieniami, a wydawca ozdobi dzieło podobiznami autografów i pierwszych edycji, jakoteż portretami wybitniejszych autorów.

Oto wyznanie otwarte i jasne samejże firmy i redakcyi. Lecz co naprawdę wykonano z tego rozległego programu? o ile wydawcy wypełnili ponętne obietnice?

Cel wydawnictwa był popularny¹, a więc chodziło o dostarczenie lekkiej, ale estetycznemi i artystycznemi zaletami wybitnie odznaczającej się literatury polskiego humoru dla najszerszych warstw społeczeństwa inteligentnego.

Tak wyraźnie w programie zapowiedziano... Rzeczywistość atoli nie odpowiada wielkiemu ideałowi: bo np. cały tom I., w którym zebrano utwory humorystyczne XV., XVI. i XVII. wieku — a obejmuje on 338 stron! — jest w przeważnej części przepełniony właśnie „humorem zdawkowym, dowcipkowaniem i płaską karykaturą” — „nie wyborem, lecz tandetą”... Do takich płaskich, grubych dowcipów zaliczamy np. w tomie I., str. 23, 55 (od dołu), 99—113 („Peregryna cya”), 138—174 (większa część tych „Facecyj”), 250 („Stroje i bie-

¹ Por. przedmowę wydawcy do I. tomu.

lidła“), 257, 260 (od dołu), 261 (od góry i oba uciuki końcowe na tejże stronie), 267 („Platonowy rp. suppelex“ i „Odpowiedź ex tempore“). Jest to poprostu odrażająca, w najwyższym stopniu niesmaczna pornografia! albo najprostsza w świecie karykatura dowcipu! Czy to w ten sposób chciała redakcyja „Ksiąg“ zaradzić „dotkliwemu brakowi“ antologii utworów „o humorze głębszym, pełnym miary estetycznej i przyodzianym w artystyczną formę“?

Nadto cały ten tom, zawierający utwory staropolskie, ze względu na cel, w przedmowie wyrażony, wymagał wielu objaśnień przestarzałych wyrazów, a już co najmniej wierne przedruku i poprawnego. Tymczasem druk ten wypadł jak najfatalniej: często bowiem poprzekręcano wyrazy, źle odczytane, tak dalece, iż zupełnie nie dają sensu albo nabierają zupełnie innego znaczenia. Weźmy np. pod uwagę „Mięsopust polski“ Miaskowskiego, a to dlatego, że wydawca mógł w tym razie polegać śmiało na krytycznej edycji Rymarkiewicza (Poznań 1855). Ile tu nielitościwych łamańców w tekście i w interpunkcyach! Oto ważniejsze z nich: w. 11 niech zamiast niechaj (przez co popsuto wiersz); w. 13 płaszcz zam. pałasza!; w. 16 to zam. już; w. 20 pytańnik położono zamiast przecinka (przez co zatracono sens); w. 23 przecinka nie potrzeba, bo ma być:

usłyszysz o królu nowinę

Nie trefną —

a nie:

usłyszysz o królu nowinę,

Nie trefna, i to co ja przed wstydem pominę;

w. 49 nie zam. nic; w. 79 mu zam. że; w. 86 pobrażę zam. pobrażę; w. 99 na jesień zam. ma jesień; w. 104 Leje zam. Łaje; w. 121 pianką zamiast pijanką (tj. pijanicą); w. 125 na wierzchniey zam. na wierzchnicy; w. 145 dwuuchowego zam. dwuuchego; w. 147 z tym zam. wtem. A podobnych błędów jest w tym ustępie jeszcze więcej! Zresztą jedyny ten ustęp z Miaskowskiego jest dobrany najniefortunniej, bo, choćby go bez tych błędów wydrukowano, jeszczeby go było profanom trudno zrozumieć, a cóż dopiero w takim przepoczwazzeniu! O wiele bardziej nadawał się tu „List M. Lutra z piekła“, jeśli koniecznie coś z Miaskowskiego wydawca chciał pomieścić; poeta ten zresztą humoryście nie bardzo holdował.

Podobne niedbalstwa w druku powtarzają się na wielu innych miejscach, że jeszcze tylko dla przykładu zacytuję w tomie I., str. 228,

gdzie w ucinku Gawińskiego p. n. „Na jednego“ popsuto zupełnie sens. Wiersz ten powinien brzmieć tak:

Gębę zawsze masz w otworze: (= otwartą)
 Zamknij ją przynajmniej w dworze! (= na dworze)
 Za (= aza = czy) nie widzisz? ptacy lecą!
 Pewnieć czego w nią naniecą.

A w księgach wygląda on tak:

Gębę zawsze masz w otworze:
 Zamknij ją przynajmniej w dworze;
 Zaniewidzisz (= oślepniesz?!), ptacy lecą!
 Pewnieć czego w nią namiecą.

Albo w XI. sielance tegoż poety (Księgi“ I., 241, wiersz 27 i 28 od góry) jak strasznie połamano tekst, położywszy „prośni“ (czy od „prosieć“) zamiast próżni, jak to jest wyraźnie w wydaniu Akademii Umiej. krak. (Arch. do dz. lit. polsk. tom II., str. 80):

Króle, panowie wielcy, wzięwszy larw zasłonę,
 W swój czas powagi próżni (tj. bez powagi, gdy jej trzeba),
 mówią słowa płone.

Tego rodzaju błędy pojawiają się często i w dalszych tomach: oto np. w znanej wszystkim bajce Mickiewicza p. n. „Pchła i rabin“ (w „Księgach“ t. IV., str. 20) przekoszlawiono epitet „wytuczona“ na „wytoczona!“ Wogóle pod względem poprawności wydawnictwo całe pozostawia bardzo wiele do życzenia. Choć program nakreślony był dokładnie i wyczerpująco, to jednak samo redagowanie odbywało się dorywczo, gorączkowo i chaotycznie¹. Stąd też wyniknęło, że niektórych obietnic programu wcale nie dotrzymano. Tak np. pominięto zupełnie utwory humoru ludowego (punkt *d* z programu), nie podano korespondencyj humorystycznych Wilkońskiego z Kraszewskim i in. (punkt *g* z programu)...

Część ilustracyjna wypadła bardzo marnie: wiele portretów odbito szpetnie np. Drużbackiej, Bohomolca, Krasickiego, Trembeckiego; zresztą dano ich bardzo mało np. w tomie III. cztery tylko, choć wyjątki z trzynastu autorów w nim pomieszczone; obietnica wreszcie,

¹ W przedmowach do tomów dalszych usprawiedliwia się p. B., jako był zmuszony rozmiarami, zakreślonymi przez wydawcę, odstąpić od pierwotnego planu. To jednak nie zwalnia recenzenta od obowiązku wytknięcia powyższego niedostatku.

dotycząca autografów i podobizn pierwszych edycji, pozostała jedynie... obiecanką: boć przecie nie można uważać za wywiązanie się z niej odbicia kilku podobizn podpisów i *facsimile* karty tytułowej *Monitora*!

Przejdźmy w końcu do strony historyczno-literackiej „Książ”. Uwagi tej kategorii, jak to ogłasza program, wyszły z pod pióra p. K. Bartoszewicza. Ogranicza się w nich autor do podania dat urodzenia i śmierci pisarza, z którego czerpie; tu i ówdzie dodaje krótkie przypiski historyczno-literackie, niekiedy objaśnienia mniej znanych wyrazów — zwykle jednak brak wyjaśnień tam, gdzieby ich najbardziej było potrzeba! — a wreszcie od czasu do czasu polemizuje z innymi historykami literatury lub wypowiada skromne zeznania, zwrócone do czytelników, a w tych zeznaniach tłumaczy się, czemu tego lub owego wybryku humoru nie pomieścił... bo „nie chciał się zgorszenia”, a chciał „uchronić się przed zarzutami moralistów („Księgi“, t. III., str. 46 przyp.)¹. Wielka jeno szkoda, że szanowny wydawca zwykle tych skrupułów i obaw nie doznawał — np. przy drukowaniu (w t. I.) „Tańców i pieśni“, „Facecyj polskich“, „Statutu“ Dzwonowskiego; (w t. II.) pełnych wolteryańskiego ducha i cynicznego szydu z religii katolickiej „Organów“ Węgierskiego, „Sprzeczek“ Jasińskiego; (w t. III.) „Bibejdy“ R. Korsaka, wielu artykułów z *Wiedomości brukowych*, wielu grubo nieprzyzwoitych miejsc z „Eneidy trawestowanej“ F. Chotomskiego; lub wreszcie podając w całości wstrętne, płaskie, obrzydliwe „Kotlety“ Kraszewskiego... (w t. IV)².

Co się tyczy samych historycznych notatek p. Bartoszewicza musimy również, z obowiązku krytyka, na niejednen szczegół zwrócić uwagę. Naprzód podaje p. B. wiele dat błędnych; zestawiamy tylko najważniejsze:

Górnicki umarł r. 1603, a nie r. 1602 (ob. Czarnika „Żywot Łukasza Górnickiego“. Lwów 1883. Str. 66); datę śmierci J. S. Jabłonowskiego różni historycy różnie podają, ale Encyklopedia Orgelbranda, opierająca się na najlepszym życiorysie wojewody ruskiego, napisanym

¹ Por. też przypisek w t. II., str. 277, gdzie p. B. zaznacza, iż opuścił najdowcipniejsze utwory Węgierskiego, bo „mogłoby się nimi zgorszyć nasi siwi i łysi moralści“...

² Mnie się zdaje, że p. B. w wyborze utworów humorystycznych kierował się nie tyle obawą przed zgorszeniem, ile raczej humanistyczną zasadą J. Kochanowskiego, wygłoszoną we „Fraszkach“:

... ma być stateczny

Sam poeta; rym czasem ujdzie i wszeteczny.

przez Augusta Bielowskiego, i prof. Tarnowski (Wypisy t. I.) podają r. 1731, a nie 1732, jak p. Bartoszewicz („Księgi“, II., 11); nie mając pod ręką źródeł dokładniejszych, nie mogą tej daty sprawdzić. Niemcewicz, podług „Pamiętników czasów moich“ (wyd. Kaczurby, 1880, str. 3), urodził się 16 lutego 1758 r., a nie 1757 („Księgi“, III, 7). J. N. Kamiński ur. się r. 1777, jak to notują zgodnie Zdanowicz, Kulickowski i Peplowski („Teatr polski we Lwowie“, str. 47), a nie r. 1778 („Księgi“, III, 305). Konstanty Majeranowski ur. 1790. um. 1851 r. (ob. Kulickowski), a p. Bartoszewicz kładzie tylko datę śmierci, i to r. 1841. Kant. Tymowski ur. się r. 1790 (ob. Encykl. Orgel.), a nie 1890! Witwicki ur. 1800, czego wydawca nie zanotował. Niedokładności w datach rażą jeszcze bardziej, gdy chodzi o autorów, prawie współczesnych; a i w tej kategorii mamy do zaznaczenia błędy np. najobszerniejsze prace o Syrokomli jako datę jego urodzenia podają rok 1823, a nie 1822. Tak jest w monografii Kraszewskiego, tak u Zdanowicza, u Kulickowskiego, u Tarnowskiego (Wypisy, t. II.) i wielu innych. Wydawca „Książ“ (IV., 233) poszedł za Encyklopedyą Orgelbranda i podał jako datę urodzin autora „Dębora“ rok 1822. Na jakiej podstawie?! Siemieński umarł chyba z pewnością w r. 1877, a nie 1878 („Księgi“, IV., 248), skoro *Przegląd Polski* już w grudniu 1877 r. pomieścił o nim nekrolog. Wiemy zresztą na pewno nawet dzień jego śmierci — boć to nie tak trudno wybadać...

Przypomina nam się w tem miejscu jeden dopisek p. Bartoszewicza, mianowicie w t. II. „Książ“, str. 165 i 166. Mowa tam o satyrach ks. Gracyana Piotrowskiego, Pijara. Tak, ot mimochodem, nie wiedzieć po co, pod koniec tego dopisku powiada tamże p. Bartoszewicz: „Nawiasem (po co właściwie ten nawias?) dodamy, że p. S. Tarnowski w recenzji „Szkiców“ prof. Tretiaka znalazł ciekawy szczegół“, to jest „wiadomość o satyryku Piotrowskim“ — odkrywać go jednak nie było potrzeba, bo do wyjątków zapewne należy bibliograf lub badacz literatury, któryby go nie znał“. Gdyby prof. Tarnowski potrzebował obrony, tobyśmy naprzód w jego imieniu mogli odpowiedzieć, że — jak wiadomo i czego on zupełnie nie tai¹ — nie jest prof. Tarnowski bibliografem, lecz jeno „badaczem“ i dlatego nie dziw, że nie znał dzieła Piotrowskiego, boć i inni „badacze“, np. Julian Bartoszewicz (nawet w wydaniu przez syna zaopatrzonem w dodatki!),

¹ Ob. przedmowę do dzieła o „Pisarzach politycznych“, lub do „J. Kochanowskiego“.

Zdanowicz (najobszerniejsza dotąd kompilacya historyi liter. pol.), Kulickowski (w ostatniem wydaniu przeładowany bibliografią!) i t. p. nie wymieniają wcale nazwiska ks. Gracyana Piotrowskiego. O ile wiemy, prof. Tretiak w swych „Szkicach“ pierwszy zwrócił nań baczniejszą uwagę, boć przecie to, co o nim podaje Encykl. Org., jest bez wartości krytycznej¹. Więc po co tak bardzo oburza się szanowny wydawca „Ksiąg“ na ignorancję prof. Tarnowskiego, choćby nawet „nawiasem“... Gdybym chciał być złośliwym, tobym musiał podobny „nawias“ urządzić w tem miejscu ze względu na liczne i szpetne pomyłki w datach, dopiero co omówionych. Lecz dajmy temu pokój..

Chciałbym jeszcze zwrócić uwagę wydawcy, że poemat R. Korsaka tytułuje on w tekście: „Bidejda“ (III., 33), a w spisie „Bibejda“; ten ostatni napis jest jedynie prawdziwy. W tomie III., str. 178 niepotrzebnie znów rzuca się p. B. na biednego Odyńca, że gdzieś wychwala „piękne ody“ szubrawca, Ignacego Szydłowskiego, rzekomo drukowane w *Wiadomościach brukowych*. Sam zaś wydawca podaje kilka mów wierszowanych tegoż „szubrawca“, wziętych z *Dziennika* i z *Tygodnika wileń.* (a nie z ostatniego tylko, jak to *in der Hitze des Gefechtes* twierdzi w polemice z ś. p. Odyńcem w przypisku na str. 178). Posłuchajmy początku pierwszej z tych „mów“:

Precz stąd, precz niepoświęceni!
Precz stąd, jak było ze szkody,
A kiedy chcecie.. to w sieni..
Posłuchajcie mojej o dy. („Księgi“, III., 187).

Widocznie słabej pamięci Odyńiec „mowy“ te nazwał „odami“ — bo w istocie mają one formę ód i sam mowca „Gulbi“ tak jedną z nich zamianował — a pobredził tylko co do źródła, z którego je znał. I za ten niewinny wybryk, czy niedostatek pamięci dostały się biedakowi po śmierci takie surowe cięgi!

Przypomnę wreszcie szan. wydawcy, że tłumacz „Setnika przypowieści uciесznych“ (ob. „Bibl. pis. pol. krak. Akad. Um.“. 1897) zowie się Marcin Błażewski, a nie Błażowski („Księgi“, I., 83); pozostaje też i nadal jeszcze kwestyą wątpliwą, czy jest to ten sam autor, co tłumacz Kroniki M. Kromera, Błażowski, chociaż wydawca „Setnika“, dr. Bruchnański, gwałtem identyfikuje i w jedną zlewa postać

¹ Encykl. Org. nawet sam tytuł „Satyr“ przekręca nie do poznania.

historyczną dwa te nazwiska. Wszak świeżo w *Kwartalniku historycznym* poruszył prof. Brückner z Berlina szereg wątpliwości bardzo poważnych co do tożsamości tych dwóch nazwisk. Ostatnia część przypisku p. Bartoszewicza, dotycząca źródeł, z którego czerpał swe bajki Błażewski, po wydaniu Akademii Umiejętności traci swą historyczną wartość, bo okazało się, że Błażewski siedł niewolniczo za Verdizoti'ego zbiorem bajek p. n. *Cento Favole*.

Skończyliśmy żmudną i wcale niehumorystyczną wędrowkę po „Księgach humoru polskiego”. Wypowiedzmy o nich ostateczny sąd.

Otóż wydawnictwo to, zdaniem naszym (może mylnem), nie powinno było mieć za cel podobać się „warstwom szerokim”, bo właśnie wskutek tego wyniknęły wszystkie niedostatki. „Warstwy szerokie” szukają zazwyczaj lekkiej karmy w *Ananasach*, *Śmigusach*, w różnych *Schalk'ach* i *Ulk'ach*. Aby ich przepalone podniebienie zadowolić, w „Księgach” główny nacisk położono na dowcipy, szarpiące „piękną połowę rodzaju ludzkiego”; stąd powstała atmosfera duszna, często przepełniona najszkodliwszymi miazmatami. A że drwinki z religii, z zakonów, z ludzi pobożnych także dla „półświatka” nie złą bywają przyprawą, więc i tej strawy nie szczędzono¹. Wydawnictwo, tak jak jest, może jedynie jeszcze oddać jakąś usługę nauczycielom literatury polskiej w szkołach średnich, szczególnie na prowincyi, gdzie trudno o rzadkie przedruki. Zupełnie inną atoli miałoby ono wartość, gdyby było naprawdę zbiorem naukowym, jakby małą biblioteczką utworów polskiego humoru w całości! Musiałoby wtedy obejmować przedruki wszelkich znakomitszych dzieł i to zupełne, a nie dowolnie, jednostronnie, *ad captandam benevolentiam* paradyzu dobrane, pieprzne ustępy. Dla badań naukowych przedstawiałoby takie wydawnictwo rozległe pole, ale też przez to samo nie byłoby popularnem, a więc i bez zgorszenia dla „szerokich warstw”.

Wydawnictwo więc „Ksiąg” tak, jak je wykonano, uważamy za zupełnie bezcelowe, chybione, a nawet dla ogółu szkodliwe. Odnieśliśmy przy jego rozbiorze sumiennym i bezstronnym to smutne wrażenie, że „Księgi” są jednym więcej dowodem prawdziwości słów „księcia poetów” stanisławowskich:

¹ Por. np. I., 13, 56, 247, 300; II., 235 nast., 282 nast., 330 nast.; III., 33—61; IV., 64 (Nabuchodonozor) 170 nast., 319 i wiele innych.

„Rzadkim przywilejem
 Obdarzeni, gdy inni płaczą, my się śmiejem.
 (Satyra „Klatki“).

Lecz taki śmiech pewnie ani nie podniesie ani nie zbuduje naszego społeczeństwa!

Ks. Romuald Koppens.

Petőfi Aleksander, król poetów węgierskich w życiu i poezji. Przez *Plato v. Reussnera*. Warszawa. 1898.

Pan Plato v. Reussner wydawał dotychczas praktyczne gramatyki zagranicznych języków, tak zwane „samouczki“, lub jak on sam je nazywał: „najlepsza metoda do nauczania się bez nauczyciela“. Były to rzeczy i praktyczne dla społeczeństwa i z pewnością nie bez korzyści finansowej dla autora. Nagle stała się rzecz nieoczekiwana. Pan Plato, człowiek przedsiębiorczy, wziął się do niepopłacających literackich szkiców — ba, nawet do tłumaczenia węgierskich poezyj. Sprawdza się już nie po raz setny, jak krzywdzącym był aforyzm starego Apellesa, który chciał, by każdy człowiek pilnował swego rzemiosła.

Ale p. Plato i w literaturze zachował swoją praktyczność, dokładność gramatyczną i zdolność pedagogicznego uwydatniania ważniejszych momentów — swoją drogą nie zawsze w szczęśliwej formie. Ilekroć naprzykład zjawia się w książce nazwisko: „Petőfi“, lub jakiegokolwiek imię własne, albo nawet tytuł jakiejś poezji, uwydatnione jest zaraz grubemi, czarnemi czcionkami. A że w książce o Petőfim nazwisko „Petőfi“ ciągle wracać musi i że w ogólności w każdej książce literackiej dużo nazwisk przychodzi, więc cała książka p. Reussnera przedstawia się oku jako jeden wielki zbiór czarnych plam. Między kilku rycinami spotykamy dwa portrety Petőfi'ego. Wpada zaraz w oczy pewna różnica w rysach, ale nikogo nie uderzyłaby ta cecha — jaką wskutek swej dokładności p. Plato wielkimi czcionkami u dołu portretów zaznacza — że na jednym jest Petőfi z krawatem na szyi, a na drugim bez krawata. Na końcu literackiego szkicu podaje p. Plato tłumaczenie kilku poezyj Petőfi'ego i tu zmysł praktyczny autora najlepiej się uwydatnił. Píše, że tłumaczy tylko kilka z tych utworów na początek, bo nie wie, czy Polacy będą je czytać z takim zajęciem, jak inne narody. „A jeżeli szanowni czytelnicy — píše dalej p. Plato — zagustują w tych kilku pieśniach słowika węgierskiego, przystąpić możemy do wydawnictwa także i dalszych innych utworów tegoż“.

Są to tylko rzeczy czysto zewnętrznej natury, które naturalnie na istotną wartość książki wcale wpłynąćby nie mogły. W książce jednak samej głębszych refleksyj nie znajdziemy, ani nawet krytyki literackiej. Gdzieś tylko czasem w ciągłym łańcuchu anegdot potrafi się o jakieś zazwyczaj ogólne, niewiele mówiące zdanie, jak to np.: „Jest to niby wskrzeszona pieśń starożytnych truverów, odtwarzająca jakby w zwierciadle ducha szczerze narodowego“. Ale p. Platonowi szło widocznie tylko o napisanie zajmującego życiorysu poety, któryby znalazł jak najwięcej czytelników.

Ks. J. Pawelski.

Żywot Ojca Hermana, w zakonie Augustyna od Najśw. Sakramentu, Karmelity. Przekład z francuskiego. Kraków. Druk W. L. Anczyca i Spółki. 1898.

Słyszeliśmy może nieraz, o sławnym niegdyś w świecie muzycznym Żydzie, przyjacielu Liszta, który się nawrócił pod wpływem tajemniczej siły Najśw. Sakramentu, gdy grał na organach w czasie wystawienia — a porzuciwszy świat i sztukę, został Karmelitą Bosym i życie poświęcił szerzeniu czci Najśw. Sakramentu.

Otóż życiorys tej ciekawej i pięknej postaci przywłaszczony został naszemu językowi pracą i kosztem Matek M. B. Miłosierdzia. Doprawdy warto czytać tę książkę. Ma się w niej żywot świętego, na tle najnowożytniejszem, Roztacza się najprzód życie światowe młodego artysty. Potem zarysowuje się działanie łaski, dziwnie potężne, ale i potężne przeszkody piętrzą się w duszy przesyconego wrażeniami i swobodą szerokiej egzystencji artysty. Wreszcie zupełne porzucenie świata, pogrążenie się w życiu pokutniczem i życiu modlitwy Karmelu; a obok pokuty i modlitwy nieustanne prace apostołskie, ogarniające całą Francję i nieraz kraje sąsiednie.

Śliczną jest rzeczą, że ten sam wpływ Najśw. Sakramentu, który nawrócił Hermana, odbija się i później w całym jego życiu: najmilszym jego wypoczynkiem po trudach misyjnych są noce przeklęczane przed Najśw. Sakramentem; instytucją, którą najchętniej i najszczęśliwiej zaprowadza po miastach, poruszonych jego gorącymi kazaniami, jest to adoracja nocna przez mężczyzn Najśw. Sakramentu. Wszyscy go apostołem Eucharystyi nazywają.

Jeden z najrzowniejszych i dobrych do zapamiętania szczegółów tego życia, jest to śmierć matki Hermana. Rozumie się, że nawracając tylu innych, święty mąż starał się przedewszystkiem o nawrócenie swoich

najbliższych. I w istocie Bóg mu pobłogosławił: prawie wszyscy krewni się ochrzcieli. Jedna tylko, najbliższa jego sercu, matka, opierała się uporczywie wszelkim błaganiom syna — i umarła bez znaku pokuty. Sześć lat Pan Bóg zostawił pod tym najcięższym ze wszystkich krzyżów duszę syna; wreszcie pocieszył go hojnie. Uwiadomiony został przez pewną świątobliwą osobę, umierającą, że jego matka, za nadzwyczajną przyczyną Maryi, w ostatniej chwili konania cudowną łaską nawróconą została. Scenę tę trzeba czytać w samej książce.

Główny zarzut, jaki mamy do zrobienia temu żywotowi, jest ten, że jest za krótki, że zwłaszcza od chwili wstąpienia Hermana do zakonu, za mało nam mówi o jego życiu wewnętrznym, pokazuje nam tylko, jak przelatuje z miasta do miasta, z ambony na ambonę. Co prawda, nie jest to wielki zarzut dla książki, gdy o niej się mówi, że jest za krótką.

Ks. M. Morawski.

Wykład liturgii Kościoła katolickiego. Napisał *ks. Antoni Nowowiejski*. Tom I., poszyt pierwszy i drugi. Warszawa 1897—1898.

O pierwszym zeszytcie tego, częściowo wychodzącego dzieła była już mowa na tem miejscu dawniej. Był tam podany podział całej treści, którą autor podzielił na sześć części. Część pierwsza ma mówić o środkach rozszerzenia kultu. Mamy obecnie przed sobą następne 2 zeszyty tej części, razem już przeszło 1000 stron wielkiej czwórki, a mimo to ta I. część nie skończona; stąd można wnioskować, jak obszernym i wyczerpującym będzie cały ten wykład Liturgiki kościelnej.

Książka ta nie jest bynajmniej podręcznikiem szkolnym lub tylko pobieżnem opisaniem obrzędów, miejsc i naczyń świętych, ale jest to gruntowne studjum w tej treści, jakiegośmy dotychczas nie posiadali. W tych dwóch zeszytach mamy najprzód szczegółowy opis ołtarza i jego składowych części bliższych i dalszych, jak mensy, cyboryum, baldachimu, świeczników, światła i t. d. Znaczenie tak historyczne, jak również i symbolikę tych różnych przedmiotów, przy pomocy których zewnętrzna cześć Boża szerzyła się od pierwszych wieków Kościoła, stwierdza autor już to licznemi wyjątkami z Ojców i pisarzy kościelnych, już to wreszcie dekretemi świętej Kongregacyi Obrzędów. Historję każdego przedmiotu, o ile to możebne, wywodzi od czasów katakumb, a następnie ze stanowiska archeologa lub artysty malarza i znawcy sztuki chrześcijańskiej przypatruje mu się w okresach: bazylikowym, bizantyjskim, romańskim, gotyckim i odrodzenia. Podobnego

sposobu trzyma się, podając zasady ikonografii chrześcijańskiej, gdzie po wytłumaczeniu wogóle kościelnego malarstwa, mozaiki i rzeźby, przechodzi, od pierwszych wieków zaczawszy, wszystkie rodzaje sztuki we wszystkich krajach, nie zapominając i o nas, bo nawet obrazy religijne naszego Matejki i Styki umieścił.

W następnym rozdziale przechodzi autor do chorągwi, a opisawszy ich cel, historię i użycie, wylicza przeszło 50 chorągwi różnych zawodów i cechów rzemieślniczych, a między innymi podaje nawet opis chorągwi używanej w dawnych czasach przez aktorów.

Trzeci zeszyt kończy się wreszcie opisem różnych form i rodzajów krzyża i znajdujących się na nim rzeźb Chrystusa.

Całe te trzy zeszyty są urozmaicone bardzo licznymi figurami i rycinami, z których ostatnia ma już liczbę 573; szkoda tylko, że arcydzieła takich malarzy, jak Michała Anioła, Rafaela, Murilla, Leonarda da Vinci nie otrzymały staranniejszych i dokładniejszych rycin, aby nieznający ich w oryginałach, mogli o ich piękności mieć dokładniejsze pojęcie.

Prócz strony teoretycznej i naukowej posiada to dzieło jeszcze tę zaletę, że przekonywująco zachęca do szanowania i zachowywania przepisów Kościoła. Autor bowiem, wytłumaczywszy najpierw znaczenie historyczne jakiegoś przedmiotu, wykazawszy piękność symbolu w nim zawartego, zmusza nakoniec dekretem kongregacyi do posłuszeństwa w tym względzie. Takim np. jest rozdział o świetle kościelnem, ze względu na nadużycia wkradające się często, że na ołtarzach miejsce świec woskowych, jakie są przepisane, zajmują świece stearynowe. Ważną również jest uwaga co do miejsca przed wielkim ołtarzem a balustradą, gdzie prócz duchowieństwa i niezbędnej służby kościelnej, złożonej li tylko z mężczyzn, nikomu znajdować się nie wolno.

Tłumaczenie symboliki liturgii może w niektórych miejscach jest zbyt drobiazgowo, ale w każdym razie wykazuje bogactwo myśli, świętość, piękność i wspaniałość obrzędów Kościoła katolickiego, a z układu takiego nawet kaznodzieja wiele treści i myśli zaczerpnąć może.

Szczęście Boże szanownemu autorowi, aby pozostające części tej pracy również pięknie i gruntownie obrobił, a będziemy mieli dzieło pożyteczne i nader pouczające.

X. T. J.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Compendium historiae philosophiae. Usui scholastico aptavit *P. Eusebius Stateczny*, Ord. Fr. Min. S. Theol. et Philosophiae Lector Gen. Romae 1898.

Zwykła to piosenka wszystkich krytyków: na wstępie kilka miłych i dla autora pochlebnych słówek, a potem długa litania: ale niestety nieprzyjemnych mu zwrotów mowy.

Otóż na pochwałę O. Euzebiusza Statecznego powiedzieć trzeba, że zupełnie słusznie narzeka na całkowite zaniedbanie historii filozofii przy nauce filozofii, udzielanej młodym adeptom. Nie trzeba długo wykazywać, jak dalece historia filozofii jest nauką pożyteczną, skoro daje obraz dokładny wysiłków ludzkiego ducha, chcącego rozwiązać zagadnienia, obchodzące bardzo blisko każdego myślącego człowieka. Dodamy i to, że nauka dziejów filozofii chroni przed zasklepieniem się w jednym wyłącznie systemie filozoficznym, chroni przed pewną ciasnotą myśli. To też przyklasnąć tylko należy chęci O. Euzebiusza, by w adeptach filozofii obudzić żywsze zainteresowanie się jej dziejami. W tym właśnie celu napisał on swój podręcznik do historii filozofii. Bylibyśmy daleko wdzięczniejsi szanownemu autorowi, gdyby był pisał po polsku, bo dotąd prócz lichego tłumaczenia Schweglera, nie zdobyliśmy się na jakiś treściwy własny podręcznik; ale nie chcemy mu zgoda robić stąd zarzutu, iż pisał po łacinie, bo naprzód podręcznik ma daleko szersze pole zbytu, a powtórze niemniejszy brak podręcznika jak w polskim, czuć się daje i w łacińskim języku; jedyny podręcznik, jaki się nam po długiem szukaniu znaleźć udało, pisany przez Belgijczyka Van der Aa T. J., jest wprost niedostateczny.

Lecz aby się nie bawić w ogólnikowe uwagi, przystąpmy wprost do rzeczy, i przypatrzmy się, jak sz. autor wywiązał się z chlubnego zamiaru. Otóż wykonanie nie ze wszystkiem zasługuje na pochwałę.

Przedewszystkiem w samej definicyi historii filozofii, podanej na str. 2 (*Est igitur historia philosophiae consideratio philosophiae perennis secundum leges rationales, quibus spiritus humanus cursu temporum veritatem acquisiverit vel easdem usurpans in errorem incidit*“) do-datek: *perennis* — jest zupełnie niepotrzebny. Prawdą jest dalej, że religia posiada wiele punktów stycznych z filozofią, ale znów za wiele twierdzi szan. autor powiadając (str. 3): „nam fere semper religio et philosophia eundem evolutionis gressum tenent“; źle byłoby z reli-

gią nam objawioną, gdyby miała przechodzić te same zmiany w rozwoju, co filozofia; owszem nawet religie nieobjawione daleko częściej były w niezgodzie z filozofią, aniżeli w harmonijnej z nią łączności. Przy podziale na epoki dziejów filozofii starożytnej popełnił sz. autor kardynalny błąd przeciwko regule podziału logicznego; powiada bowiem (str. 9): „aevum iterum philosophiae paganae in quattuor epochas: orientalem, graecam, atticam et romanam distribuemus“. A przecież tak jońscy fizycy, jak i attycey filozofowie byli Grekami. Należałoby może zamiast wyrazu: *graecam*, wstawić: *ionicam* — ale w takim razie cóż sz. autor pocznie ze szkołą Pytagorasa? Przy filozofii indyjskiej szan. autor nie przytoczył ani jednego źródła, przez co przedstawienie rzeczy traci na wartości. Wogóle powiedzieć musimy, że autor jest niesłychanie skąpy w przytaczaniu źródeł bądź to bezpośrednich, bądź też pośrednich, co w książce jego nie nadaje z pewnością charakteru książki gruntownie i naukowo opracowanej. Właśnie dlatego, że autor tylko w bardzo rzadkich wypadkach powołuje się na źródła, powinien był zająć stanowisko zdecydowane w wielu kwestjach spornych, że wspomniemy pytanie, czy Arystoteles znał teorię sylogizmu Gotamy i czy z niej korzystał w swem *Ὀργάνον*. Tak samo nie odparł żadnym pozytywnym dowodem twierdzenia niektórych dziejopisarzy filozofii, jakoby Lao-tsen miał pojęcie Trójcy św. (str. 28). Rozdziały: *De Persarum religione*, *De Aegyptiorum sapientia*, *De Hebraeorum sapientia* — można było śmiało przedstawić daleko pobieżniej, a nie zapuszczać się ze szkodą rzeczywistych filozofów w teogonie pogańskie i dzieje ludu żydowskiego, dobrze każdemu z Biblii znane. Nie rozumiemy, co chciał autor wyrazić w zdaniu: „sed praeter Monotheismum... invenitur Mazdeismus, cuius auctor si non Magi Zoroaster utique fuit“; być może, że tylko brak interpunkcyi w zdaniu względnem czyni je zupełnie niejasnem. Podobnież rozdział: *De religione Graecorum*, uważamy za zupełnie niepotrzebny; autor byłby daleko lepiej zrobił przedstawiając w miejsce rzeczonego rozdziału w sposób obszerniejszy zasługi siedmiu mędrców bądź dla filozofii, bądź dla rozbudzenia życia politycznego. Nie można też, naszym zdaniem twierdzić, jakoby zdania owych mędrców nie były owocem filozoficznych rozmyślań (str. 51); gdyż np. zdania: *μηδὲν ἄγαν* lub *γῶνθι σεαυτὸν* wskazują, iż mogły powstać tylko jako owoc rozmyślań. Zdanie: *noli mentiri* — przypisuje autor Talesowi, gdy faktycznie jego twórcą jest Solon¹. Rok urodzenia Talesa (636

¹ Cfr. Überweg, *Geschichte der Philosophie*. Bd. I, p. 33, VII Aufl. 1886.

przed Chr.), podany przez autora, jest bezwarunkowo zawczesny; najprawdopodobniejszy jest rok 624, a przemawiają za nim obliczenia astronomów Airy i Zecha¹. Zdanie: „animam humanam finemque hominis alto praetergreditur Thales silentio“, chyba o tyle uzasadnione, że z całej filozofii Talesa pozostały nam tylko cztery zdania urywkowe, przytoczone przez Arystotelesa w *Met.* I, 3: *De eoelo* II, 13, a wszystkie te zdania mają jedynie kosmogoniczny pogląd Talesa na względzie. Co do Anaxymenesa zauważyć musimy naprzód, że data jego urodzenia (529 przed Chr.), zaczerpnięta z Apollodora, nie zgadza się z wiadomością, iż Anaxymenes zmarł wkrótce po zdobyciu Sardes przez Jonczyków (r. 500), gdyż w takim razie Anaxymenes żyłby był zaledwo 30 lat, to zaś nie zgadza się z innymi szczegółami jego żywota; powtórnie nie należało odrywać Anaxymenesa od jego nauczyciela Anaxymandra. Niepodobna bowiem przypuścić, żeby myśl Talesa, który nic nie napisał a żył o wiele wcześniej, wyrzuciła większy wpływ na Anaxymena, niżeli nauka Anaxymandra, z którym Anaxymenes znalazł się osobiście. Samemu zaś Anaxymandrowi wypadało poświęcić nieco więcej uwagi, ile że to umysł niezwykle na owe czasy, o których mowa. Dość wspomnieć, że pierwszy sporządził mapę geograficzną a nadto poglądem transformistycznym wyprzedził na wiele wieków Lamarcka i Darwina. Co do natury του ἀπείρου Anaxymandra poszedł sz. autor za zdaniem Rittersa i Lewesa, którzy ἀπείρον uważają za mieszaninę mechanicznym sposobem powstałą; daleko jednakże prawdopodobniejsze jest zdanie Zeller'a i Überwega, którzy poczytują ἀπείρον za substancję nieokreśloną, a z której dynamicznym sposobem wyłaniają się poszczególne rzeczy. Również podział na: *philosophi mechanici* i *dynamici* — jest jak na owe czasy niewłaściwy, skoro o jakimś dualizmie u filozofów jońskich niema mowy. Empedoklesa można było śmiało umieścić po Eleatach, skoro faktem jest, iż był uczniem Parmenidesa. Przy sofiście Protagorasie rok jego urodzenia (1444 przed Chr.) jest mylnie podany; jest to bowiem rok, w którym Protagoras otrzymał od ziomków polecenie napisania praw dla Thurii, niewielkiej kolonii greckiej, we Włoszech południowych; najprawdopodobniejszy rok urodzenia tego sofisty jest 480 przed Chr. Cieszy nas za to, że Platona należyte uwzględniono. Przy Akademii pierwszej godziło się wspomnieć o Heraklidzie z Pontu, a to dla jego zasług astronomicz-

¹ Por. Ks. dr. St. Pawlicki, „Historia filozofii greckiej“. Kraków 1890. Str. 82.

nych; pierwszy bowiem udowodnił obrót ziemi około własnej osi. Nie zgodzi się zaś chyba nikt, kto cokolwiek zna pisma Arystotelesa, jakoby sąd logiczny miał podług niego polegać jedynie na porównaniu dwóch pojęć, jak mu to szan. autor imputuje na str. 117: „iudicium est comparatio duarum notionum“. Nie wiemy również, co chciał autor powiedzieć twierdząc o Arystotelesie; „eum itinera dissolutionis causa suscepisse multi narrant“ (str. 115), bo wyraz: *dissolutio* ma swe ustalone znaczenie w medycynie; jeżeli zaś autor miał na myśli niemoralność Stagiryty, to trzeba to było jaśniej powiedzieć. Pomijając te dwie uwagi, przedstawienie systemu filozoficznego Stagiryty wypadło stosunkowo dobrze. Pierwszy po Arystotelesie kierownik lyceum Tyrtannus urodził się nie w 322, jak podaje autor, tylko w 373 r., a zmarł w 288. (Por. Diog. Laërt. L. V, 36, 40, 58). Może nie bardzo słusznie zarzuca mu autor wykoszlawienie nauki Stagiryty o stosunku duszy do ciała; stąd bowiem, że duszę uważa za motor odnośnie do ciała, jeszcze nie wynika, by Tyrtannus miał brać powyższe wyrażenie w znaczeniu mechanicznem. Przy Androniku z Rhodus wypadało bodaj kilku słowy uwzględnić jego zasługi około zachowania pism Arystotelesa i ich ułożenia położone. Autor poświęcił osobny rozdział filozofii rzymskiej; może poradniejszą było rzeczą nie traktować rzymskich filozofów osobno, tylko przyłączać ich do odpowiednich działów filozofii greckiej, bo wiadomą jest rzeczą, że Rzymianie nie stworzyli oryginalnych systemów filozoficznych, tylko żyli dorobkiem myśli greckiej. Taki układ zemścił się na autorze, który nie chcąc powiększać zbytnio rozmiarów swej książki, zmuszony był traktować filozofię najnowszych czasów zupełnie po macoszemu. Przejście od filozofii pogańskiej do chrześcijańskiej zaznaczył autor kilku cennymi wprowadzie uwagami, ale za długimi w stosunku do rozmiarów książki i materiału. Orygenes zasłużył bezsprzecznie na lepsze nieco opracowanie, aniżeli to autor uczynił; a tę samą uwagę musimy zastosować i co do Tertulliana. Zarzucić też musimy sz. autorowi, że niejednokrotnie się zapomina; i miasto pisać dzieje filozofii, pisze raczej historię kościelną; tem się tłumaczy, że w katalogu filozofów pomieścił autor nazwiska Euzebiusza z Cezarei, św. Chryzostoma, Cyrylla Aleks., Teodoreta, Grzegorza W., św. Bonifacego i wiele, wiele innych. Natomiast Boëcyuszowi poświęca sz. autor zaledwo kilkanaście wierszy, nie wspominając ani słówkiem o jego definicyach: wieczności, osobnika osoby i t. p. lub o innych jego zasługach dla filozofii, gdy tymczasem św. Atanazego i Hieronima daleko obszerniej przedstawił. Mija się też z prawdą twierdzenie

autora: „at Boëthius quoque universalium solutionem ad altio rem remittit philosophiam“ (str. 263). Lubo z nieśmiałością zabierał się Boëcyusza do rozwiązania kwestyi pojęć ogólnych, poruszonej mimochodem przez Porfiryusza w jego εἰσαγωγή, to jednakże tem większa zasługa Boëcyusza, że pierwszy rozwiązał kwestyę pojęć ogólnych zupełnie trafnie w myśl umiarkowanego realizmu. Wspomina autor o zarzucie ze strony niektórych protestanckich pisarzy podniesionym przeciwko Boëcyuszowi, jakoby tenże wcale nie był chrześcijaninem, a od-piera go taką uwagą: „quodvis vero dubium, quin paganus fuerit (może *utrum*, a nie *quin*), amovendum est, nam genuina veritatum naturalium (*sic*) doctrina eum christianum fuisse sufficienter commonstrat“ (str. 239). Wszelka zaś wątpliwość co do tego pytania upada wobec faktu, że Kongregacya Obrzędów odpowiedziała w grudniu 1883 na pytanie: „An sententia lata a N. D. R. Episcopo Papiensi sit confirmanda in casu (co do czci oddawanej Boëcyuszowi jako męczennikowi) et ad affectum, de quo agitur“ twierdząco.

Wątpliwość zaś sz. autora: „utrum Boëthius in theologica scientia christiana excultus fuerit“ nie ma najmniejszej podstawy wobec faktu, iż między pismami Boëcyusza znajduje się także dziełko: *De Trinitate*, do którego św. Tomasz napisał komentarz.

Rok zdobycia Konstantynopola jest podług autora raz 1466 (str. 248), raz 1451 (str. 277). gdy tymczasem *virtus in medio* (1453); niemniej rok odkrycia Ameryki (1495) jest fałszywie podany. Trzeba przyznać, że co do dat autor niewiele zadawał sobie trudu, by tylko należycie sprawdzone przytaczać. Wierzyć się nie chce, że z Alkuinem autor rozprawił się w 4 wierszach, a chluba X. w. papież Sylwester II. (Gerbert) zaledwo na 5 wierszy sobie zasłużył. Ośmielamy się również zapytać sz. autora, dlaczego filozofów XII. w. nazywa: pseudo-scholastykami; nie treść dyskusyi filozoficznej, lecz metoda rozstrzyga, czy ktoś ma być nazwany scholastykiem, lub nie; racye szan. autora na str. 262 przytoczone, nie są przekonywujące. Z Abelardem obszedł się autor nieco za ostro; był to co prawda duch bardzo niespokojny, ale heretykiem formalnym nigdy nie był; jego dzieło; *Sic et Non*, zawiera tylko materiał, którym Abelard się posługiwał przy wykładzie każąc uczniom rozwiązywać sprzeczności pozorne przy każdej z licznych kwestyi, tamże nagromadzone. Filozofia arabska wypadła bardzo dobrze; za niepotrzebny uważamy tylko rozdział: *De religione Arabum* (str. 279). Na str. 303 porównywa autor Aleksandra z Hales z Albertem W. i wbrew wszelkiemu oczekiwaniu przenosi Aleksandra nad Alberta.

Również w sposobie przedstawienia systemów filozoficznych trzech filarów scholastyki XIII. w. przebija się pewna predylekcyja dla Szkota z lekką ujmą dla św. Tomasza. Nie chcemy zgoła brać za złe szan. autorowi, że stanął w obronie Szkota, rzeczywiście niedość uwzględnianego w rozmaitych podręcznikach do historii filozofii, zwłaszcza z przeciwnych mu obozów pochodzących; ale trzeba było tem więcej starać się o to, by przedstawienie rzeczy nie było stronicze; niech samo dzieło chwali swego mistrza. Broni autor, i naszym zdaniem słusznie, Szkota przed zarzutem panteizmu, ale w takim razie należało jaśniej wyłożyć, co Szkot rozumia przez: *materia primo prima* (str. 355). Przy antropologii św. Tomasza, zapewne tylko *per lapsum calami*, przypisał autor św. Tomaszowi podział duchów na: *corporei* i *incorporei* (str. 338). Wątpimy również, jakoby św. Bonawentura miał nauczać, że możebna jest dyspenza w przepisach drugiej tablicy dekalogu (str. 353). Nie-wielu, zdaje się, pójdzie za radą szan. autora: „si licet indigitare, truderemus theologos, versus s. Bonaventuram, philosophos autem exclusive versus Scotum“ (str. 388), bo obecnie inny panuje kierunek. Wreszcie i to musimy zauważyć, że należało się wprawdzie obszerniej przedstawić systemy trzech najwybitniejszych scholastyków XIII. w., ale przytem należało też baczyć na rozkład materyału, bo tylko stracenie z oka całości materyału mogło sprawić, że sz. autor poświęcił trzem wymienionym myślicielom aż 39 kartek, a filozofii niemieckiej od Kanta do Nitzschego tylko 21 kartek.

Wilhelma Duranda zrobił autor skończonym materyalistą, przypisując mu, jakoby nauczał, iż: „res cognita immediate per suam praesentiam in cognoscente cum intellectu coniungitur“ (str. 405). Durandus był wprawdzie sensualistą, ale tak nedorzecznego twierdzenia nigdzie nie wypowiedział. Należało przytem zaznaczyć, iż odrzuca różnicę rzeczową między rozumem a wolą, a w kwestyi współdziałania Boga z wolną wolą człowieka, zajął stanowisko zupełnie fałszywe. Przy Janie Burydanie nie zawadziłoby może wyłożyć jego pogląd na wolną wolę człowieka; był on deterministą i jemu też przypisują słynny przykład o osle, który zdechł z głodu, dlatego, że był postawiony między równemi wiązkami siana i nie mógł się zdecydować na wybór jednej z nich. Mówiąc o mistykach XIV. w. mógł być autor potrącić o Petrarkę (1304—1374), który napisał: *De contemptu mundi, de suiipsius et multorum ignorantia* i t. d. Gersona etyka nie została uwzględniona, a godziło się przecież zaznaczyć jego mniemanie wspólne z Okkamem, Puffendorfem i Kartezyuszem, że czyny ludzkie jedynie z ustanowienia

woli Bożej, a nie z istoty własnej są dobre lub złe. Raymund z Sabunde został nazwany: Raymundus de Sabaudio; Sigbart wydał w r. 1853 jego *Theologiam naturalem*, ale w tytule nie odważył się napisać: de Sabaudio, tylko: de Sabunde. Cieszymy się, że szan. autor uwzględnił także polskich filozofów, ale czyni to, ilekroć mu się do tego nadarza sposobność, w sposób niesłychanie zwinny tak, iż obcy z pewnością nie nabędą z książki autora jakiegoś dokładniejszego pojęcia o stanie filozofii w Polsce bądź w czasie panowania humanizmu, bądź w czasach późniejszych.

Radzimy skorzystać przy nowem wydaniu książki z dość bogatej literatury, nagromadzonej przez prof. Struvego w jego „Logice“, t. I. Że szan. autor tracił dość często z pamięci, iż pisze podręcznik do historii filozofii, a nie historią Kościoła, pokazuje się znów z tego, iż trzy rozdziały, wprawdzie niedługie, poświęca Wikleffowi, Hussowi, Wesselemu, Lutrowi, Zwinglemu i t. d. Z głośniejszych reformatorów chyba Melancthon zasłużył na wzmiankę. Wieki XVI., XVII. i XVIII. wypadły stosunkowo dobrze, brak niestety wszelkich źródeł. Teorya poznania Leibnitza nie dość wiernie przedstawiona; powiada bowiem autor na str. 513: „Iam illa lineamenta idearum ad instar schematis in anima contracta atque repraesentationem totius universi continentia evolvuntur gratia obiectorum extra animam positorum“. Tymczasem Leibnitz przeciwko niczemu tak bardzo się nie zastrzegał, jak przeciwko działaniu jednych monad na drugie, a potwierdza to sam szan. autor, kiedy o jeden wiersz niżej od przytoczonego zdania dodaje: „hinc omnes ideae etiam rerum sensibilium non proprie ex materia sensuum et intellectus actione, sed ex actione exclusiva animae oriuntur“. Każdy widzi, że między jednym a drugim twierdzeniem istnieje oczywista sprzeczność. Przy monadologii Leibnitza nie wypadało pominąć milczeniem Boscovitscha T. J. U Baumgartena (1714—1762) wyraz: estetyka nie tyle oznacza naukę o pięknie, ile raczej teorię poznania (αἰσθητική, spostrzegać), i w tem też znaczeniu powyższy wyraz znajdujemy u Kanta, który, jak wiadomo, całą terminologię w „Krytyce czystego rozumu“ zapożyczył właśnie od Baumgartena. Co do Reimarus († 1768), powiada autor na str. 522, iż należy do obozu deistów angielskich i jest przeciwnikiem wszelkiego porządku nadprzyrodzonego; tymczasem na str. 526 czytamy o tym Reimarusie: „ultimus ex his defensoribus ordinis supernaturalis est Reimarus, post quem omnis theologia (sic!) et philosophia cadit in humanismum Lessingii et Herderi“. Gdzież więc prawda? Kategorie Kanta dobrze przed-

stawione; tylko przy podziale sądów należało zrobić po słowach: „*quattuor existunt iudiciorum species*“, dodatek: „*et quidem ratione: quantitatis etc.*“. Autor zbywa Kantowe sądy syntetyczne *a priori* uwagą: „*nihil dicimus de iudiciis syntheticis a priori, quorum contradictio patet*“. W oświeceniu tych sądów, przez Kanta zrobionem, sądy syntetyczne *a priori* zdają się być uzasadnione; dlatego właśnie należało niezbicie wykazać ich sprzeczność, i to tem bardziej, że właśnie te sądy są kamieniem węgielnym całej „Krytyki czystego rozumu“. Zresztą sam system Kanta jasno i zrozumiale wyłożony. Jacobi wywierał w swym czasie wielki wpływ nawet na Polaków, należała się mu więc obszerniejsza wzmianka, aniżeli wiadomość w 11 słowach zawarta. Ten sam zarzut musimy zrobić i co do Herbarta, który do dziś dnia posiada zwolenników i to licznych. Że Hertling, odznaczony orderem Grzegorza św., uprawia spirytyzm, o tem dopiero od autora się dowiedzieliśmy. Ciężkiem uchybieniem jest nie wspomnieć, gdy mowa o Fechnerze, o jego zasługach na polu psychofizyki, a już wprost nie można darować autorowi, że Wundta raczył tylko wymienić, gdy tymczasem niedorzecznej teorii Galla poświęca niezasłużenie wiele słów. Podług autora sobór watykański odbył się przed rokiem 1861, gdyż na str. 600 czytamy taki dopisek: „*Iam tempore concilii vaticani postulatum fuit, ut thesis ontologorum... damnaretur. Sed demum contigit die 18 sept. 1861, quo congregatio s. inquis. decrevisset(?) propositiones Ontologismum enuntiantes tuto tradi non posse*“. Na str. 630 chce autor dać obraz najnowszej filozofii w Rosyi; na swe nieszczęście przytacza tylko poetów lub powieściopisarzy, a między filozofów rosyjskich zalicza jakiegoś Sekoskiego i Biełńskiego, bez przytoczenia jakichkolwiek ich prac filozoficznych, poczem autor bezpośrednio wylicza głośniejszych nihilistów. Ponieważ w następnym paragrafie autor mówi o filozofii w Polsce, stąd wniosek, że tak Sekoski (*sic!*), jak Biełński muszą być rodowitymi Moskalami. Z filozofów polskich Trentowski wymaga gruntowniejszego przedstawienia, a Bochwic zupełnie pominięty. „Ojciec nasz“ Cieszkowskiego nie jest zwykłą egzegezą modlitwy Pańskiej; ze słów autora: „*Eius ‚Pater noster‘ est pulcherrima expositio exegetica orationis dominicae*“ możnaby łatwo wysnuć wniosek, że Cieszkowski był teologiem. Kremera „Listy z Krakowa“ przetłumaczył autor przez: *Litterae Cracovienses*; wątpimy, by się łaciniacy na to zgodzili. Przy wyliczaniu żyjących filozofów polskich pominięty został Twardowski Kazimierz; Zdziechowski jest literatem i nie uprawia zawodowo filozofii; zaś Wit. Rubczyński nie jest profesorem Uni-

wersytetu Jagiellońskiego. Z niemieckich autorów: Scheeben, Heinrich i Hurter nie są filozofami, tylko teologami; jakiem zaś prawem Schwetz zasłużył na miano filozofa, doprawdy nie wiemy.

W końcu wytknąć musimy grube nieraz usterki przeciwko czystości języka łacińskiego. O łacinie kościelnej od dawna istnieje opinia wyrobiona; ale też uderzmy się w piersi i przyznajmy, że sumiennie na tak nieprzychylny sąd zapracowaliśmy. By nie być rozwekłymi, na kilka tylko wyrażenń zwrócimy uwagę. I tak na str. 17 czytamy, że *Brahma est rationalis et liberatus* zamiast *liber*; str. 72: Zeno Eleus zamiast Eleates; str. 112: *triangulus aequilaterus* zamiast *aequilaterans*; str. 211: *aetate minor* zamiast *natu minor*; str. 343: „capita de infinitate Dei sunt classica et optima, quae Scotus producere potuerit; str. 381; „Scoti ethica non est in altitudine eius metaphysicae (*sic!*); str. 559: „Schopenhauer erat mortalis eius (Hegelii) inimicus“ i t. d., i t. d., a już o tak zwanej *consecutio temporum* w książce O. Euzebiusza wolimy zamilczeć.

Czy wobec tych braków książka zasługuje na odrzucenie? Uchowaj Boże, bo ma z drugiej strony wiele zalet, które nie pozwalają na tak ostry sąd; musi atoli przy drugim wydaniu (a życzymy, by to jak najprędzej nastąpiło) być gruntownie przejrzana i przerobiona, przede-wszystkiem zaś musi być więcej źródłowo opracowana. Niech szan. autor będzie najmocniej przekonany, że powyższe uwagi zostały poddyktowane nie *ira et studio*, tylko życzliwością tak dla autora, jako też jego książki, gdyż naprawdę szczerze nas to cieszy, że i polscy synowie św. Franciszka chwytać poczynają za pióro, które przez tak długi czas zostawione było przez nich odłogiem. Na korzyść autora przemawia i to, że książkę swą pisał w Rzymie, gdzie rzeczywiście dość trudno o wszystkie źródła, potrzebne przy pisaniu rozpraw filozoficznych, jak o tem z własnego wiemy doświadczenia.

Ks. dr. Fr. Gabryl.

Halma. *Perez Galdos.* Casa Editorial: La Guirnalda. 1896. Str. 354.
Misericordia. *Tenże.* 1897. (Str. 398).

Zamykając tom, zawierający opis przygód, wędrówki i pojmania „dziwnego świętego“ Nazarina, można było przewidzieć, że to nie koniec, że z tym nieco fantastycznym ascetą spotkamy się jeszcze. Istotnie Perez Galdos postąpił tu według swego zwyczaju, rzeczy prawie można, manieri; nakreśliwszy w pierwszej powieści główne założenie

dramatu, w następnej ukazuje nam znów swego bohatera, ale jak zwykle już na drugim planie: należy się spodziewać, że wkrótce zjeździe na trzeci, aż tak błędąc i drobniejąc powoli zniknie zupełnie z oczu czytelnika. Niema tu co tać: *Halma*, druga z kolei powieść o Nazarinie, jest utworem nieco od pierwszego słabszym, dlatego że mniej jednolitym a może i mniej konsekwentnym pod względem psychologicznym. Treść oryginalna jak zawsze, ale przeprowadzona mniej zręcznie, koloryt czasem może do zbytku jaskrawy.

Główną ozdobą pierwszej części jest nowy, szeroko opisany typ kapłana. Zda się, jakoby autor chciał nam całą galeryę portretów duchownych przedstawić. Lecz i ten również nie jest pierwszą osobistością obrazu. Jest nią D. Catalina de Artal, siostra bogatego markiza de Ferramor, dama tak szlachetnego rodu, iż autor czuje się w obowiązku podać nam jej genealogię, zdobną w imiona monarchów, wielkich ludzi a nawet i świętych. Rodowód ten wszakże nie przeszkadza, iż Catalina wyszedłszy wbrew zdaniu rodziny za ubogiego dyplomata niemieckiego, hr. von Halma-Lautenberg, opuszcza z nim Hiszpanię, a gdy mąż zmuszony jest dla zdrowia porzucić służbę, towarzyszy mu na wyspę Korfu i tu wśród coraz cięższych materialnych warunków, pielęgnuje go aż do śmierci. Z Hiszpanii słabe bardzo dochodzą ją posiłki pieniężne, tak że w końcu cierpi głód, zmuszona być mężowi i sobie jedyną sługą. Znosi jednak wszystko — nawet zgon męża z bohaterskiem podniesieniem ducha; ów młody Niemiec, obdarzony niewielkim rozumem ale szaloną dążą wyobraźnią i sentymentalizmem, trafił był na czułą strunę jej ducha i zaszczerpił weń własną egzaltację, która spotęgowana gorącością jej południowej natury, dąży do wprowadzenia w życie i w czyn tego, co u nieboszczyka pozostało było zawsze w dziedzinie marzeń. Owidowiawszy, Catalina pragnie powrócić do kraju; przechodzi jednak przez taką seryę przeszkód, przykrych awantur, upokorzeń i bied wszelkiego rodzaju, iż czytając ich opis, ma się wrażenie złego snu, z którego przebudzenie następuje dopiero w Madrycie, dokąd nieszczęsna hrabina przybywa obdarta, zagłodzona, ledwie żywa. Musi wymienić nazwisko, aby być poznaną przez brata. Ten przygarnia ją w swoim domu, odziewa i karmi; czyni to jednak z pewnym chłodem, po części pozostałością z dawnego żalu do siostry, a po części wynikłym z oziębłości charakteru, modelującego całą jego osobę na wzór szablonowego typu angielskiego, takiego jakie się spotykało w dawnych powieściach i karykaturach francuskich. Żona zaś jego, to dobrze wychowana lalka, na obraz i podobieństwo męża stwo-

rzona. Oboje irytują się na siostrę, która przyjąwszy od nich tylko najskromniejsze żałobne ubranie, zamyka się w swoim pokoju i ani z nimi jadać nie chce ani widzieć nikogo z dawnych znajomych. Jedynym odwiedzającym ją często jest stary ksiądz, dawny nauczyciel Ferramora, D. Manuel Flores.

„Niepodobna iść dalej w opowiadaniu — pisze Perez Galdos — bez zaznaczenia, że D. Manuel Flores był księdzem niezmiernie sympatycznym, że jego osobliwe zalety jednały mu zarówno mir wśród klas najwyższych, jak popularność u prostych ludzi. Umiał obracać się między wszystkimi i zawsze, czy ocierając się o arystokrację, czy o największą nędzę, znaleźć najwłaściwsze, najłatwiejsze do zrozumienia wyrazy. Bardziej jeszcze od wielkich, duchownych cnót, były w nim godnemi podziwu cnoty zewnętrzne, widome, bo choć nie brak mu było prawości i surowości zasad, przecież najwięcej uderzającą w nim była niesłychana schludność jego osoby, łagodność, życzliwość, sposób mówienia serdeczny, przekonujący, w niektórych razach nieco kaznodziejski a nigdy przesadny. Złość ludzka usiłowała parękroć go splamzić, obrzucając go błotem ulicznym, on jednak umiał zawsze z podobnych napaści wyjść nieskalany, dzięki samej pogardzie i lekceważeniu, jakimi nań odpowiadał.

Na dostojęstwa duchowne nie piał się nigdy. Byłby mógł nie jeden raz zostać biskupem za wpływem znacznych osobistości politycznych, z którymi w przyjaźni lub zażyłości przebywał. Sądził jednak, że lepiej, niż w zarządzaniu dyecezą spełni swą misję kapłańską użyciem ku służbie Bożej daru, który w wysokim stopniu od Boga posiadał: umiejętności w obejściu z ludźmi. A była to umiejętność niesłychana, cudowna, której owoce objawiały się co chwila. Nie polegała ona tylko w słowie to wesołem, to wymownem, poufałem lub poważnem według potrzeby — ale w twarzy, w oczach, w ruchach, w duszy giętkiej i wylanej, przelewającej się w duszę przyjaciela, penitenta, brata w Bogu lub nawet zatwardziałego grzesznika i wroga. Zdawałoby się, że podobna zaleta najświetniej zabłyśnie na ambonie. Tymczasem nie. W młodości próbował być kazać ale z niewielkim skutkiem. Kaznodzieja tużinkowy, poznał wkrótce, że na tej drodze niewiele zdziała. Narzędziem jego apostołstwa była rozmowa, a stosunki społeczne szerokiem polem, na którym miał działać, walczyć i zwyciężać.

D. Manuel Flores żył niezależnie, z dochodów dwóch pięknych wsi, odziedziczonych po ojcach. Nie potrzebował uganiać się za powszednim chlebem, Pan Bóg był mu go dał dożywotnio, stawiając go

przez to w możności wykonywania obowiązków swego urzędu ze spokojem i siłą jakie daje... zapewnione a dobre pożywienie. Niezależność ta ułatwiała mu nawet zachowanie się w niezachwianej wierności, w doskonałym zjednoczeniu z duchem i literą wszystkiego, co Kościół naucza. Ubierał się, przy całej skromności stroju kapłańskiego, starannie i niemal z elegancją, chociaż bez śladu pretensyi: staranność i piękny układ były mu tak przyrodzone jak poprawność w mowie i dobroć w uczynkach. Był wytwornym dla tej samej przyczyny, dla której ptaszki nucą a ryby pływają...

Paradnym jest opis sceny, w której ów ksiądz miły a mądry walczy z margr. Ferramor o należyty Catalinie dział dziedzictwa, z którego brat chce odtrącić zapomogi, jakie jej za życia męża na Korfu porysował. Tu łagodny zazwyczaj głos starca przybiera tony dziwnej energii i siły, znać w nim drgające uczucie rycerskości, którego zabrakło w sercu zangielszczonego Granda. Jest też i pewna doza humoru: jeszcze bowiem nie dobił targu, gdy widząc wchodzącą Catalinę, każe jej dziękować bratu za jego wspaniałomyślność i dobroć. Ferramor krzywi się, ale się wstydzi zaprzeczyć. Wkrótce jednak przychodzi mu pożałować uległości dla księdza; pierwszym bowiem użytkiem, jaki hrabina robi ze swego majątku jest zapłacenie długów kuzyna José Antonio de Urrea. Jest to wprawdzie towarzysz jej lat dziecińczych, a matka jego i jej za matkę służyła; odtąd wszakże stoczył się na samo dno hultajstwa: krewni i znajomi zapraszają go jeszcze na obiad, ale unikają z nim samotnego spotkania z obawy przed niechybną a bezwstydną prośbą o zapomogę. Wydobyć upadłego grzesznika z przepaści, staje się jednym z celów życia Cataliny. Ma prócz tego i cele inne, większe, o których długie konferencje z D. Manuelem odbywa.

W tem miejscu dopiero widzimy wchodzącą w grę osobę Nazarina. Znajduje się dotąd w szpitalu więziennym, kędy go przyniesiono w gorączce. Obecnie wyzdrowiał i zajmuje osobną celę, do której pomimo, że sprawa jego jeszcze jest w toku, władze otwierają wstęp licznej publice ciekawych. „Waryat, zbrodniarz czy święty?“ — zapytują jedni drugich czekający na swoją kolej audyencji reporterzy, powieściopisarze, roznerwowane damy i znudzeni światowcy. Biedny więzień znosi ich natręctwo ze zwykłym spokojem, na zapytania odpowiada krótko ale łagodnie; zdrowie jego wszakże zaczyna się znów chwiać od zmęczenia i braku powietrza. Szczęściem dla niego, ale nie dla siebie, trafia do jego celi D. Manuel, spowiada go, pociesza i wzmacnia, broni jak może, przed światowym natłokiem. Oprócz księdza trafia

i José Antonio Urrea posłany przez Catalinę. Odwiedzając ubogich poznała przypadkiem nawróconą przez Nazarina Beatrycę, przez jej usta zaczerpnęła część nauki mistrza i zapalała pragnieniem poznania go osobiście. Wypytywany D. Manuel, odpowiedział, że stanowczo nie orzec nie może, ale że nie dostrzegł w więźniu żadnej oznaki szaleństwa. Ani miarkują oboje, stary kapłan i młoda, egzaltowana wdowa jak przykład dobrowolnego ubóstwa i dziwnych cnót „wędrownego samotnika“ poczyną na nich działać. Catalina tworzy plan zabrania ze sobą Beatryxy i kilku innych ubogich, wyjechania z nimi na wieś do starego pół-dworu, pół-zameczyska, wchodzącego w skład jej dziedzictwa i założenia tam coś nakształt przytuliska o nowych zupełnie regułach i formach. Rodzina dziwuje się jej i gani: czemuż nie wstępuje do którego z istniejących klasztorów? po co wyprawiać dziwactwa? Jeden D. Manuel, dotąd zawsze wzór rozsądku, daje się porwać zapalowi swej penitentki, błogosławi jej piękne zamiary, wychwala pod niebiosa jej świętość — z pasterza staje się owieczką. Ależ bo w duszy jego dziwna zaszła zmiana: promienny spokój sumienia, czystego jak łąka, został nagle wzburzony. Postać Nazarina stała się dlań żywym wyrzutem, przeciwstawia doń własne, zbyt wygodne życie: „Gdzież moje ofiary, moje zaparcie, moje cierpienia? Cóżem ja Bogu poświęcił?“ — pyta ustawicznie sam siebie, aż w końcu skrupuł całą istotę jego ogarnia, a ciało zaczyna się słać pod brzemieniem myśli. Postać, dotychczas silna i prosta, garbi się, twarz czerstwa okrywa zmarszczkami; w parę tygodni przychodzi śmierć. Nad chorym czuwają Catalina i wierny przyjaciel, także ksiądz, kolega z lat dziecińczych. Ten również dobry i zacny a bardzo ubogi, zarabiający na życie lekcjami, opowiada hrabinie ze łzami, jakim skarbem gasnący dziś Flores był dla biednych kolegów, dla których serce i rękę zawsze trzymał otwarte. „A te jego wysokie stosunki, wieleż on za ich pomocą czynił dobrego!“ D. Manuel tymczasem męczy się wciąż i bije w piersi na swem łożu boleści: „Święty salonowy“ (*un santo de salón*) — powtarza o sobie z ironią. Już ziemskimi dobrami rozrządził, ale raz jeszcze zmienia testament, aby przyjacielowi spokojną starość zapewnić. Przyjęcie Sakramentów św. przynosi rozżalonemu parę godzin ochłody; Komunia św. zamienia chmurny niepokój w bezmierne morze miłosnej pokory. Wkrótce jednak choroba znów bierze górę a z nią i niepokój, którego wyrazy przerywane natchnieniami modlitwy płaczą się na ustach konającego aż do ostatniej chwili. Autor przypuszcza, że żal ten towa-

rzyszył może D. Manuelowi na tamten świat i na całą wieczność: nam jednak zda się, że ma o miłosierdziu Bożem słabą opinię...

Za to José Antonio Urrea nie wątpi o niem wcale i ma za co dziękować. Wczoraj stracony, dziś uratowany i posiadający przy uczciwej pracy sposób do życia, podnosi się powoli z głębin swego upodlenia; szlachetne niegdyś serce wyrzuca z siebie kroplę po kropli brudny jad grzechu, w którego miejsce wpływa ogromne, dzieciune niemal uwielbienie dla wybawicielki. Pomiędzy nią a Nazarinem, którego często odwiedza, wczorajszy cynik staje się naiwnym, łagodnym, niewolniczo potulnym. Wyrok w sprawie Nazarina już wydany: niewinność jego uznana, ale za to podniesiona pewna wątpliwość co do jego stanu umysłowego. Zamiast więc puścić go na wolność zupełną, władza duchowna daje mu do wyboru umieszczenie w Przytułku dla księży lub też oddanie pod opiekę prywatną. Nazarin wybiera drugie, zaczem hrabina zgłasza się o niego i sprowadza do siebie na wieś, gdzie mniemany chory ma pozostać pod dozorem i władzą miejscowego proboszcza. Pierwszym zaś aktem tej władzy jest rozkaz przybrania się napowrót w szaty duchowne i rozpoczęcia długiej i żmudnej pracy umysłowej, do czego Nazarin skłania się z pokorą i zwykłym swoim anielskim uśmiechem.

Instalacya hrabiny Halma w zamku Pedralba nie jest do żadnej innej podobną. Nasamprzód wyjechała z Madrytu na drabiniastym wozie; w starym, niezamieszkałym od dawna domu poczyniła tylko najkonieczniejsze naprawy, zachowując wkoło siebie najsurowsze ubóstwo. Beatryxie, z którą dzieli strój i najniższe posługi w kuchni i pralni, każe się po imieniu nazywać. W domu zresztą służby żadnej nie ma; wszyscy członkowie improwizowanej rodziny jadają wspólnie, na głos dzwonka zgromadzają się do modlitwy lub rozchodzą na spoczynek, Catalina co wieczór każdemu osobną pracę naznacza. Reguła niemal surowsza niżli w klasztorze: przygarnięty muzyk i kompozytor nosi wodę i zamiata dziedziniec. Przytem role stoją odłogiem, a pastwiska bez bydła; hrabina bowiem mówi, że nie przysłała tu myśleć o spekulacyach świeckich, ale o nich zapomnieć. Sąsiedzi dziwią się i kręcą głowami, ale to jeszcze pół biedy; wkrótce zjawia się w Pedralba uratowany kuzynek, zebrząc nie już pieniędzy, ale widoku swej pani. Catalina nie odtrąca go; każe mu zamieszkać z Nazarinem i orać ziemię w ogrodzie pod kuchenne jarzyny, przytem widuje go tylko chwilami i nie rozmawia z nim nigdy. Urrea poddaje się ciężkiej próbie, zapatrzony nietylko w „świętą“ kuzynkę, ale i w Nazarina. Ten, jak na

rozkaz proboszcza tłumaczył łacińskie teksty, tak obecnie na rozkaz hrabiny rąbie pokornie drzewo, kopie, podlewa sadzonki i ziemię oczyszcza z gruzu. Cichy i skromny nie odzywa się, chyba zapytany, ale wtedy odpowiada z prostotą i śmiało, czas wolny od pracy spędza na gorącej modlitwie. Wkoło siebie nie krytykuje nic, w głębi duszy jednak wydaje słuszny sąd o całym zakładzie, przypominającym raczej chorobliwi-sielankowe pomysły Tołstoja, niż instytucję duchowną. Urrea za to ani krytykuje, ani sądzi; kapie się, choć z daleka w promieniach swojego słońca i tyle. Obecność jego wszakże nie może ująć bez uwagi i komentarzy. W Madrycie opowiadają niestworzone rzeczy; w okolicy zaczynają się niepokoić: proboszcz, lekarz miejscowy i dawny rządcą, a obecnie sąsiad Podralby wybierają się do hrabiny z wezwaniem, aby plotkom położyła koniec.

Trzeba odesłać kuzyna, a zakładowi nadać jakąś męską głowę, na którą każdy z doradców ofiaruje się z osobna. Catalina odprawia ich na razie z niczem, ale w gruncie bardzo wzburzona i zakłopotana prosi Nazarina o radę; jest to również sposób przekonania się na dobre, czy jest zupełnie przy zdrowych zmysłach, czy nie. Nazarin wszakże, dotąd tak posłuszny i cichy, naraz podnosi głowę: skoro go pytają o radę, to ją da szczerą i zupełną, nie patrząc, czy nią obrazi lub zgniewa. W długiej rozmowie, w której wszechwładna hrabina czuje się przed nim maleńką, jak dziecko przed nauczycielem, wykazuje jej jasno jak na dłoni, że powołania żadnego nie ma, że mistycyzm jej ma źródło nie w sercu, lecz w głowie, że dążąc do świętości na skrzydłach wyobraźni, gotowa nie tylko chybić celu, ale i najprostszą cnotę utracić. Lekarstwo na to widzi w zwinięciu rzekomego zakładu, a raczej zamienieniu go na dwór prywatny, rodzinny, gdzie będzie mogła spełniać uczynków, wiele dusza zapagnie, a wreszcie — w poślubieniu nawróconego kuzyna... Na te ostatnie słowa Catalina pada zemdlona; przyszedłszy jednak do zmysłów, poznaje, że Nazarin miał słuszość, czuje to, czego jej nie dopowiedział, to jest, że przywiązanie osobiste, a nie gorliwość w nawróceniu grzesznika była pobudką jej czynów. Że zaś jest dobrą i rozumną, więc przyznaje się do pomyłki. Opowieść kończy się cichym ślubem w Pedralba, poczem Nazarin, wolny już dzięki staraniom młodej pary, uszczęśliwiony, że mu znów wolno Ofiarę św. odprawiać, odjeżdża do Alcalá de Henares, gdzie za nim w kryminalne wzdychają nawrócony łotr i Andara i gdzie tak im, jak innym więźniom może wielkie oddać usługi.

Jak już powiedziano we wstępie, *Habna* słabszą jest od *Naza-*

rina. Zawiera różne błędy w konstrukcyi i charakterystyce, choć i tu nie brak oryginalności i tezy moralnej. Rzec można, iż tu dopiero Nazarin wydaje się prawdziwie świętym; być może nawet, że trzymanie postaci jego w półcieniu potęguje jeszcze wrażenie...

Misericordia — inna powieść Galdosa, zawierająca 398 stron druku, a chwalać się na okładce wydaniem 4.000 egzemplarzy, ukazała się równocześnie, tj. w tymże 1897 r., jak *Halma*. Ludzie znający mało literaturę hiszpańską, nazwaliby tę książkę typową powieścią hiszpańską; w niej bowiem obracamy się niemal wyłącznie w świecie żebraków, a przecież wiadomo, że torreador i żebrak są dla ogółu śmiertelników przedstawicielami ojczyzny Cervantesa i Cyda. Główną postacią w tem opowiadaniu Galdosa jest Benina, stara sługa zubożałej szlacheckiej rodziny. Pani jej, Donna Paca, owdowiawszy z dwojgiem dzieci, nie umiała ani oszczędzać, ani rachować, to też stoczyła się w ostatnią nędzę i dawno byłaby umarła z głodu, gdyby nie owa Benina. Za dobrych czasów była ona tylko kucharką i to wyśmienitą, ale dosyć drogą, bo praktykującą na wielką skalę system zysku „koszyczkowego”. Po dwakroć oddalono ją za nieuczciwość, ale po dwakroć znów przyjęto w dom, gdyż nietylko w służbie, ale i w poświęceniu nikt jej wyrównać nie zdołał. Z czasem stała się jedyną sługą; ona utrzymywała porządek, gotowała jedzenie, pielęgnowała panią, pilnowała dzieci, pakowała rzeczy przy częstych zmianach mieszkania (zawsze w pościgu za tańszem), ona potykała się z wierzycielami, oblegającymi nieszczęsną wdowę. Dzieci kochała jak swoje własne, choć kłopotu sprawiały nie mało; chłopak, ostatni urwisz, uczyć się nie chciał i kradł matce pieniądze, a gdy dorósł, ożenił się bez pozwolenia z jakąś szwaczką; dziewczyna zaś Obdulia, całe życie cierpiąca na dziwne choroby nerwowe, wyszła za syna przedsiębiorcy pogrzebów, urwisza podobnego jej bratu, który też opuszcza ją bez litości i zostawia całkowicie na łasce matki, a raczej — na łasce Beniny. Od kilku lat ona żywi ich wszystkich własnym — wyżebranym groszem. Nie znalazłszy długo poszukiwanego zajęcia, pewnego poranku, gdy w domu kawałka chleba nie stało, zdecydowała się wmieszać w poczet ubogich u wrót kościoła św. Sebastjana i odtąd staje tam co dnia przez czas nabożeństwa, aby potem uzyskane groszówki oddać *a conto* kupcom, dostarczającym artykułów żywności dla państwa. Wszelako obok bohaterskiego poświęcenia nie może się pozbyć swych „koszyczkowych” nawyczek i nigdy prawdziwej ceny zakupionych przedmiotów nie poda. Jeżeli przypadkiem swej pani ubierane pieniądze oddała, a ta jej po-

tem część z nich na kupno udziela, Benina regularnie jakiś miedziak urywa i chowa skrzętnie na potem. Pani swej zresztą nie przyznała się nigdy, że żebrze. Natomiast wymyśliła całą historią o księdzu D. Romualdzie, do którego wynajęła się rzekomo jako kucharka przychodnia; że zaś Donna Paca była ciekawa i wypytywała ją o różne szczegóły, musiała brnąć z kłamstwa w kłamstwo, opisywać mieszkanie księdza i jego siostrzenicy, wyliczać potrawy, które rzekomo miała co dnia gotować, wynajdywać to zasłabnięcie księdza, to nagle przybyłych mu gości, dla wytłumaczenia swej nieobecności, gdy ją konieczność do dwukrotnego żebrania na dobę zmuszała. Pani wierzyła wszystkiemu i słuchała coraz chciwiej, osamotniona i znudzona w swych ubogich izdebkach. Pracować nie umiała nigdy, więc i dziś nie umie a nawet nie może z powodu przeróżnych chorób, trapiących wszystkie części jej ciała okrom niestety — żołądka. Nie może prawie chodzić, cierpi bezustannie, po nocach nie sypia, a posiada apetyt rozpaczliwy, domagający się wykwintnego jada, ale od biedy kontentujący się i lichą strawą, podniesioną mistrzowską ręką Beniny. Jest to biedne, stare, zepsute dziecko, lgnące do swej karmicielki, jak niemowlę do łona matki, ale kapryśne przytem i nieraz dręczące tę ziemską opatrność długimi wybuchami gniewu i niesłusznych zarzutów. Benina znosi wszystko i wszystko przebacza, a gdy paroksyzm złości kończy się, spazmatycznym płaczem tuli szlochającą, pociesza i do snu układa. Oprócz pani pielęgnuje i karmi również słabującą a głodną Obdulję, błakającą się w różowym, splamionym ale powłóczystym szlafroku wśród obdartych mebli i dwóch białych, pięknych, równie jak ona wygłodniałych kotów. Obok kotów pożywia się niekiedy i D. Frasquito Ponte, stary kawaler, niegdyś w wielkim świecie oywały a dziś podupadły na równi z krewnemi paniami, w których towarzystwie pociesza się nieco wspomnieniami dawnych czasów i dawnych stosunków. U tego nieraz surdut zapięty wysoko, aby brak bielizny zasłonić, ale ubranie zawsze czyste, wąsik ufarbowany na czarno, a kwiatek nieodstępny u boku. Pocziwie zresztą człeczysko pomimo swojej próżności; on jeden patrzy na Beninę ze łzami wdzięczności i powtarza o niej: To anioł!

Benina, a raczej Nina, jak ją poufale zowią, posiada drugiego jeszcze wielbiciela: jest nim Mordejai Almudena, ślepy żebrak, z którym koleguje u drzwi kościoła i którego odprowadza co dzień kawał drogi po mieście. Żebrak ten, Żyd marokański, zaledwie łamaną hiszpańszczyzną mówiący, a przytem trochę narwany, przygnany został

do Madrytu długą seryą przygód, które wschodnia jego wyobraźnia w fantastyczne przybiera barwy. Wdzięczny za dobroć i opiekę Niny, tak różnej w obejściu od reszty ubogich, widzi ją w myśli piękną i młodą dziewczyną, błaga, aby go zechciała poślubić, poczemby razem powędrowali na Wschód, daleko, do kraju słońca i palm. Próżno Benina tłumaczy mu, że jest starą, że może mu tylko być matką, biedny Almudena nie przestaje uwielbiać ją i czcić jak bożyszcze, słucha we wszystkim i potulny jak dziecię oddaje jej nieraz własne wyżebrane szelągi. Raz, gdy razem z innymi czekali u wstępu kościoła, mężczyzna dostаточно ubrany, rozdawszy w koło jałmużnę, zatrzymał się przed Niną i kazał jej przyjść nazajutrz do swego mieszkania. W pośród żebraków powstał szmer i zaciekawienie wielkie; serce Niny także zadrgało. Ten pan bowiem był krewnym jej pani, bogatym i skąpym. „Kto wie? — pomyślała — Może od śmierci żony, za którą płacze, zbudziło się w nim serce? Może przypomniał sobie, że on i żona dawniej całemi dniami korzystali z „naszego“ powozu, zjadali „nasze“ obiady“. Nic tedy nie mówiąc w domu, dnia następnego stawia się na oznaczoną godzinę i wpuszczona do gabinetu bogacza, słucha długiej oracyi o enocie oszczędności i wyrachowania, w końcu której mówca z wspałałomyślną miną wręcza jej dla jej pani „najpotrzebniejszy“ dar: książkę rachunkową z ołówkiem do zapisywania wydatków!... Ustęp ten jest tak wysoko komiczny, iż żal bierze, że się go nie widzi na scenie. Zawiedzioną w nadziei Ninę pociesza Almudena, proponując jej czarowne środki do zyskania skarbów, jakich świat nie widział, a biedna kobieta tak jest otumaniona troską, że mu przez chwilę wierzy i walczy z pokusą, aż wreszcie rozsądek bierze górę, wykazując jej niororzeczność sprawy. Pieniędzy jednak trzeba jej koniecznie, bo i w sklepach wyczerpał się kredyt i z mieszkania chcą wyrzucić jej panią. Chodzi tedy po znajomych; odwiedza właścicielkę nocnego przytułku, gdzie parę razy zapłaciła nocleg staremu Frasquito — wszędzie napróżno. Wreszcie udaje się do obskurnego szynku, gdzie dawniej przez nią wspomagana szynkarka wywdzięcza się obecnie, pożyczając jej żadaną sumkę, a raczej oddaje jej do zastawienia własne kolczyki. Idąc po nie do wewnętrznej izby Benina spostrzega na podłodze ciało nieprzytomnego człowieka i z żalem poznaje Frasquita. Tknętego paraliżem przeniesiono tutaj z ulicy i ot już całą noc tak przeleżał... Benina zdjęta litością usiłuje go otrzeźwić, a potem pozwala sobie na zbytek, najęcie doróżki, aby go przewieźć do mieszkania swej pani. Tu oddaje dlań własne łóżko, rada, że chory poczyna zwolna do życia

powracać. Ten czyn miłosierdzia ma jednak złe skutki. Almudena, dowiedziawszy się, że Benina „eleganckiego pana“ powiozła do domu, wpada w śmieszny szal gniewu; Beninę, przypominającą mu znów, że ma lat sześćdziesiąt, okłada kijem, poczem oprzytomniawszy zalewa się łzami i jak pień żębrze przebaczenia. Nina jak zawsze przebacza pod warunkiem, że już będzie „grzeczny“. Nazajutrz jednak nie znajduje go na zwykłym miejscu i w obawie nowego szaleństwa zaczyna go szukać po mieście — oczywiście po najuboższych dzielnicach, co daje autorowi sposobność zapoznania nas z kątami stolicy, o jakich żaden turysta nigdy nie pomyślał. Nie znalazłszy ślepego Maura, Benina wraca do domu, gdzie o mało nie pada ze zdumienia. Donna Paca oznajmia jej, że przed chwilą był u jej wrót D. Romualdo, ale z powodu jakiegoś nieporozumienia nie został przyjętym. Powiedział, że na kilka dni wyjeżdża do Guadalaxy, poczem obiecał powrócić. Na zapytanie Beniny, jak wyglądał, córka stróża podaje rysopis absolutnie taki sam, jaki ona o swoim wymyślonym D. Romualdzie zwykła była dawać swej pani. Nie śmie zdziwienia swego objawić, a wiedząc, że ksiądz ma wkrótce powrócić, postanawia czekać w milczeniu, aż ujrzy własnymi oczami urzeczywistnienie wywołanej przez siebie mary.

Tymczasem nazajutrz przyszło puścić się znów na poszukiwanie Almudeny. Pchało ją do tego czyste miłosierdzie; że jednak ludziom miłosiernym zdają się z pod nóg wyrastać sposobności do dobrych uczynków tak, jak ludziom chciwym sposobności do zysku, przeto i Benina trafiła po drodze na biedę większą od swojej. Spotkała starca płaczącego, z wynędzniałem dziecięciem na ręku. Zapytany o przyczynę smutku, odrzekł, że gdy doszedłszy lat 80 mniemał, że już mu tylko zostało położyć się gdzie pod murem i spokojnie zamknąć oczy na wieki, nagle umarła mu córka, zostawiając na jego opiece sierotki, tę i drugie, ciężko chore biedactwo. Wczoraj wprowadzie pewien poczciwy ksiądz przyrzekł mu, że sieroty w jakimś przytułku umieści, ale dziś, gdy stary do niego się zgłosił, dowiedział się, że ksiądz zrana wyjechał do Guadalaxy. „Jak się nazywa?“ — spytała Benina. „Don Romualdo — brzmiała odpowiedź. — Jest wysoki w średnim wieku, przystojny“. Beninie zrobiło się znów jakoś dziwnie na sercu, ale nie miała czasu na przemyśliwania. Biedny starzec od trzech dni nie miał nic w ustach prócz darowanego od przekupki kawałka surowego sztokfisa i odrobiny suchego chleba, którą musiał rozmaczać w wodzie. Odkąd na św. Józef przestano w Bractwie Najśw. Serca zupę rozdawać już nie było dla niego ratunku; ani go niebo, ani ziemia przy-

jać nie chciała, a przecież ze swych 82 lat życia dwanaście spędził w służbie królewskiej, a przez czterdzieści pięć pilnie i uczciwie tłukł kamienie przy drogach. Słuchając jego skarg, Benina kazała się zaprowadzić do chorego dziecka. „Weszli tedy do ponurej izby, gdzie za trzy pesety miesięcznie żyło pospół pół tuzina biedaków — niektórzy z dziećmi. Wszyscy prawie dnia tego byli na mieście, w pogoni za świętym groszem; w izbie znajdowała się tylko staruszka wyschła, drżemiąca widocznie w skutku gorzałki, druga młodsza, ale cała opuchła, z twarzą nabrzmiałą; o skórze naciągniętej i lśniącej, jak dojrzały pomidor. Na podłodze, okryta różnokolorowemi szczątkami odzienia, leżała chora dziewczynka wybladła i sina, przyciskając do ust zaciśnięte pięści. „To dziecko po prostu głodne“ — rzekła Benina i wyszedłszy spieszenie zakupiła wszystko, co było potrzebne na zupeł., a oprócz tego kilka jaj, trochę sztokfiszka i węgli. Benina nigdy nie przez pół nie robiła... W godzinę potem już ci biedacy byli nasyceni, a inni, zwabieni zapachem jadła, cisnęli się do izby. I Pan Bóg wynagrodził miłosierdzie Beniny, gdyż między nędzaczami, którzy się zeszli na resztki biesiady znalazł się żebrak bez nóg, który jej dał narreszcie wiadomości o Almudenie“. Zdawał się powątpiewać o jego zdrowych zmysłach i nie dziw: ślepy Afrykanin od dwóch dni siedział na szczycie wielkiego rozwalonego muru, nie jedząc nic i przygrywając na jakimś nieznanym instrumencie, śpiewał w niezrozumiałym języku pieśni dziwnie żałosne. Benina z trudnością wydrapała się po kamieniach do niego, powitana, gdy głos jej dosłyszał, wielkim wybuchem radości. Po owej gwałtownej scenie egzaltacja jego przybrała inny kierunek: teraz Almudena płakał i czynił pokutę za swój gniew, a tak upartym był w swoim zamiarze, iż Benina wymógłszy tylko na nim nieco pożywienia, musiała odejść, zostawiając go rozśpiewanego na murze. I tak przemawiał do niej tylko w przenośni, urywkami zapamiętanemi z Biblii; gruzi zaś, na które się był wspiał po omacku, wydały się ślepemu skałami i przypomnieniem dalekich stron ojczystych.

Z tem wszystkiem pieniądze pożyczzone od szynkarki topniały w woreczku Beniny. Na dobitek wracając do domu zastała wieści o cięższem zasłabnięciu Obdulii; trzeba było znowu biedz do niej pielęgnować, dostarczyć lekarstw i strawy. „Weź skąd chcesz — mówiła jej pani — ale musisz jej ponieść butelkę dobrego wina“. Nazajutrz czekała ją nowa pielgrzymka do Almudeny; zaledwie jednak pokazała się na horyzoncie, zastąpił jej drogę beznogi kaleka na czele całej gromady żebraków wołając, że nie jest słusznem, aby wspomagała je-

dnych a drugich nie; dodając, że na próżno się kryje, gdyż oni dobrze wiedzą, że jest wielką panią chodzącą umyślnie w ubogiem przebraniu. Próżnemi były protestacye Beniny, obdarte i wynędzniałe dzieci wieszaly się u jej sukni i chustki, stare baby wrzeszczały pod niebiosy. Zwróciła się tedy do pobliskiej przekupki, kupiła kilka bułek, po które naraz mnóstwo wychudłych rąk sięgnęło tak chciwie, że nie chcąc być przez nie rozdarta, musiała kupić więcej i jeszcze więcej. Po chwili uwolniła ją od obłężenia znajoma żebraczka, ale na to tylko, aby ją pociągnąć do własnej nory i tam dla ginącej z nędzy rodziny ostatni grosz wyciągnąć. Gdy zaś Benina nareszcie swobodna dostała się na szczyt gruzów do swego biednego Maura, wnet nowa gromada motłochu zebrała się u stóp muru i grad kamieni przy orkiestrze najdzikszych wrzasków posypał się wokoło. Poczęli uchodzić pospiesznie o ile dozwalały ciemne źrenice i słabe nogi Almudeny; Benina czuła niejednen cios bolesny odbijający się na jej odzieży, ale dopiero zaszedłszy na bezpieczne miejsce, zauważyła, że każdy krok jej towarzysza znaczony jest krwią płynącą mu ze skroni. Z biedą znalazła jakieś litościwe dusze, które zechciały przyjąć w opiekę rannego, i powróciła do miasta na dalszy trud i męczarnie. Pani swej nie zastała w domu; wyszła była do córki, a przez ten czas właśnie po raz drugi zapukał do wrót daremnie zagadkowy Don Romualdo... Widocznie z interesem przychodził.

Benina nie miała już nic, po sklepach już na kredyt brać nie mogła a tu trzeba było wyżywić trzy chore osoby prócz siebie. O sobie wprawdzie nie pomyślała nigdy, chyba aby załatać jaką dziurę w ubraniu, lub jeszcze co z własnych potrzeb ująć dla drugich. Teraz już przychodziło jej trzy razy na dzień wybierać się po prośbie; czasem w towarzystwie nawpół wyleczonego Maura, czasem samej zwłaszcza, gdy szła w bogatsze dzielnice. Wtedy czasem wieczorem nakładała ciemne okulary i coś z odzienia swej pani, stanawszy oparta o ścianę, wyciągała dyskretnie rękę, udając zubożałą i ociemniałą damę. Zdarzyło się, że pewien młody ksiądz, biegły w językach wschodnich i dlatego lubiący od czasu pogawędzić chwilę z Almudoną, przyszedł z innym kapłanem wysokim i bardzo przystojnym. Począł namawiać Beninę, aby przestawszy żebracę, co w jej wieku i ciężko i nie przystoi, raczej podała się do Dobroczynności. Dodał, że D. Romualdo zechce jej to ułatwić... Benina spjrzała niemal ze strachem na stojącego przed nią żywego człowieka: miała ochotę przeprosić go, iż go wymyśliła, onieśmienie jednak zamknęło jej usta...

Nie wiadomo, czy Don Romualdo począł czynić lub nie na korzyść Beniny starania. Bądź co bądź zanim przyszedł do urzeczywistnienia, stało się, iż policya madrycka urządziła wielką obławę na żebrzących po głównych częściach miasta nędzarzy i Beninę pospołu z innymi zapędziła do miejskiego aresztu. Tonąca we łzach, drżąca pod ulewnym deszczem zimowym rozmakującym do reszty jej podarte obuwie, biedaczka myślała jeszcze o swojej pani, która na nią czekać będzie niespokojna i głodna, bez obiadu, bez obsługi, bez ognia... Almudena dostał się też do policyjnej sieci i niedbały o własny los usiłował ją pocieszać swym łamanym, nawpół dziecinny a nawpół obrazowym językiem. Przez ten czas istotnie Donna Paca i Trasquito nie widząc swej sługi i dobrodziejki trapił się srodze. Zapomnieli prawie o obiedzie a noc strawili bezsennością. Niepokój powiększył się, gdy rano nie przywiódł Beniny; nie dziw też, że oboje poskoczyli ku drzwiom słysząc nagle odzywający się dzwonek. Nie była to jednak Benina. W progu stał ksiądz wysoki, przystojny — Don Romualdo. Rad był, że nareszcie zastaje ich w domu, gdyż z dobrą wieścią przybywał. Wspólny ich krewny zmarł przed kilku tygodniami na wsi i większą część majątku między swą ubogą rodziną podzielił. Obdułia i jej brat mieli dostać dobrze zagospodarowaną włość, a Donna Paca i Trasquito Ponte dożywotnie renty dość znaczne, aby im bardzo wygodną starość zapewnić. Słuchali zrazu jakby we śnie, patrząc czy im się postać księdza w oczach nie rozwieje; gdy jednak po paru godzinach powrócił z notaryuszem, który dopełniwszy formalności, wręczył im dwumiesięczną zaległą już rentę, biedakom nagle przewróciło się w głowie. Donna Paca od czasu do czasu jeszcze wzdychała wspominając Beninę, niemniej przeto kazała przynieść z restauracyi parę butelek wina i suty obiad, na który sprowadziła córkę, syna i nawet szwaczkę-synową. Ta szwaczka, imieniem Julianna, okazała się być taką kobietą. Pod jej żelazną ręką mąż przyszedł był wreszcie do ładu, przestał pić, począł pracować i chwilami tylko ze strachem wymykał się do bilaru. Teraz wobec zmienionej fortuny, załagodziły się nagle stosunki między synową i matką. Julianna oświadczyła, że jej samej zostawić nie może i tego dnia jeszcze przeprowadziwszy się do niej, najęła dwie nowe służące i objęła rządy domowe. O Beninie nie było już mowy. Tylko stary, wymuskany kawaler, kryjący szlachetne serce pod kwiecistą wymową, nie zapomniał doznanych dobrodziejstw. Od kilku dni był już tak zdrowym, że do zwykłych swych zajęć powrócił. Teraz zaś namówiwszy Antonia (męża Julianny) wybrał się z nim

na poszukiwanie Beniny. Wynaleźli ją wreszcie i zabrali z aresztu, zbolełą, wylęknioną o dziesięć lat zestarzałą. Gdy jednak wraz z nimi dostała się napowrót do domu, ujrzała we drzwiach postać Julianny, która zaparła jej przejście. Bez brutalności, ale stanowczo, kazała jej iść precz, wciskając jej nieco pieniędzy do ręki, kazała codziennie przychodzić po resztki obiadu, ale oświadczyła, że się jej służba skończyła. Benina osłupiała, zwróciła się do swej pani stojącej w głębi pokoju, lecz ta poczęła się wymawiać nieśmiało: „Rozumiesz moja droga... radabym ale nie mogę... niema miejsca... a zresztą tak cię czuć więziennym brudem, że niepodobna... Powalałabyś dywan i meble... Później — zobaczymy...” Benina wyszła nie wyrzekłszy słowa, lecz na ulicy przysiadłszy na progu, niewymownym wybuchnęła płaczem. — „Co ci jest Amri? — zapytał ślepy żebrak, który tu przywłókł się za nią — nie płakać ty... pójść ze mną, daleko, do słońca!...”

Istotnie poszli wprawdzie nie do Marokko lub Jerozolimy, jak chciał Almudena, ale na dalekie przedmieście nająć ubogie mieszkanko. Almudena był chory na rodzaj bolesnego a zaraźliwego wyrzutu, którego niczyja ręka prócz starej jego opiekunki dotknąć nie śmiała. Tu powoli serce Beniny powróciło do równowagi i spokoju. Ogromne, całkowite poddanie się woli Bożej, jakie było cechą i pobudką jej bohaterskiego życia, dozwoliło jej przezwyciężyć wszelaki żal i gorycz, myśleć o swej dawnej pani z politowaniem jedynie. Tylko że nie chodziła do jej nowego mieszkania po resztki jedzenia. Nadto Pan Bóg zgotował jej tryumf: Julianna trapiona ukrytym wyrzutem sumienia za swój czyn niegodny, a przytem i fizycznie chora, wpadła w rodzaj melancholii. Zdawało jej się, że dzieci jej muszą umrzeć, jeśli ją stara sługa nie rozgrzeszy, jeśli z ust jej nie usłyszy zapewnienia, że będą żyć. Poszła tedy i wyszukała mieszkanie Niny; zdziwiła się zastając ją schludnie odzianą, ze spokojnem, odpoczętem obliczem. Musiała się zdziwić bardziej jeszcze nie słysząc z ust staruszki ani słowa wymówki, doznaną uprzejmego, iście chrześcijańskiego przyjęcia. Wytoczyła zatem swą sprawę a otrzymawszy upragnione pociechy i dobre wróżby, ośmieliła się podać Beninie nieco pieniędzy, zapytując czemu nie przychodzi po jadło? Benina przyjęła pesety, aby niemi zapłacić dług zaciągnięty dla wyżywienia swej pani; za jadło jednak podziękowała, mówiąc, że ma zawsze zapewniony obiad z łaski Don Romualda, „nie tego, któremu była wymyśliła — dodała z uśmiechem — ale prawdziwego, który mnie nie wypuści z opieki”. Gdy zaś Julianna w końcu rozmowy raz jeszcze prosi ją o zapewnienie, że dzieci nie umrą i otrzy-

mawszy je, poczyną we łzach tonąć z rozrzewnienia i mówić jej, że jest świętą.

„Nie, nie jestem świętą — odpowiada dobra kobieta — ale bądź spokojna, twoje dzieci są zdrowe i nic im nie grozi... No nie płacz już... a teraz powrót do domu i nie grzesz więcej“.

Trzebaby książkę przetłumaczyć w całości, chcąc istotnie dać do poznania ciekawe szczegóły rzewnej a oryginalnej powieści, jakiej w żadnym języku prócz hiszpańskiego nie znajdzie. Jest to odrębny zakrój, odrębne typy i obyczaje, tak jakby ludzie pod innym niż w reszcie świata obracali się słońcem. Jedno tylko: istota dobrego lub złego czynu pozostaje też sama wszędzie i zawsze, jak to już inny Hiszpan, Calderon, wykazał w swoim dramacie: „Życie jest snem“.

T. W.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

KATOLICKIE
INTERESA
W PALESTYNIE. Cesarz niemiecki rozpocznie w tym miesiącu swą podróż do Palestyny. Od czasu Fryderyka II. nie było niemieckiego cesarza, któryby się był udał w pielgrzymkę do Ziemi św.

Niezaprzeczoną zasługą Wilhelma II. jest, że wszystkich oczy znowu się zwracają do tej ziemi, zroszonej krwią i potem Boga-człowieka a prawie zapomnianej od czasów wojen krzyżowych.

We Francyi przedewszystkiem wiadomość o podróży cesarza niemieckiego wywarła znaczne wrażenie, wywołała niejedną obawę. *Revue des deux mondes* poświęciła pielgrzymce cesarskiej obszerny artykuł. Autor zajmuje się nią ze stanowiska politycznego i widzi w niej mądrze obrachowany krok naprzód w najnowszej „ekspansywnej polityce“ Niemiec. Jak głęboko pielgrzymka cesarza poruszyła katolików francuskich, łatwo poznać z listu jednego z najwybitniejszych i najczynniejszych w życiu społecznem biskupów, kardynała Langénieux, do Ojca św. Nie wspominając o pielgrzymce Wilhelma, kardynał z widocznym zaniepokojeniem błaga Ojca św., by dopomógł Francuzom do utrzymania swego protektoratu nad katolikami na wschodzie,

i prosi o błogosławieństwo dla powstającego komitetu narodowego celem bronienia francuskiego protektoratu w Ziemi św. Katolicy niemieccy wręcz odmawiają podróży cesarskiej charakteru politycznego, a przecież ze swojej strony energicznie o to się starają, by i oni w niej mieli godnych przedstawicieli, aby, jak się biskup Schmitz wyraził, na Wschodzie nie sądzono, że Niemcy są tylko protestantami.

Mając przed oczyma ostatnie wypadki w Chinach i cały nowy kierunek niemieckiej polityki na Wschodzie, zdaje nam się, że ani na chwilę o politycznych celach pielgrzymki wątpić nie można. Stąd też nadzwyczajne przygotowania do podróży, stąd starania, by cesarz niemiecki okazał się na Wschodzie w największym przepychu. Wilhelm II. pragnie widocznie dać ludności w Palestynie sposobność przypatrzenia się majestadowi dworu niemieckiego i dlatego wylądowawszy w Kaifie nie pojedzie do Jerozolimy koleją, lecz podąży do świętego miasta jak za dawnych czasów gościńcem przez całą Samaryę i Judeę. Już ten jeden szczegół świadczy, o co cesarzowi chodzi i że mądrze wszystko skierował ku osiągnięciu swego celu.

Nie wchodzimy w zawiłą kwestyę, w jakich granicach przysługuje Francyi protektorat nad wszystkimi katolikami, także obcymi poddanymi, na mocy traktatów międzynarodowych i orzeczeń Stolicy św. Ostatnia międzynarodowa ugoda w tym względzie zawiera artykuł 62 traktatu berlińskiego (1878), omawiający prawne stosunki państw na Wschodzie. Zawiera on jednak dużo niejasności, powiedziałbym sprzeczności, co się tyczy oznaczenia prawa Francyi, a dekret Propagandy z r. 1888, na który Leon XIII. w odpowiedzi do kard. Langénieux się powołuje, powiada także z niedokładnem określeniem, że „protektorat francuski ma być wszędzie, gdzie istnieje sumiennie zachowany“. Jakkolwiekby się jednak miała kwestya prawna, uważamy Francyę za przeznaczoną przez Opatrzność opiekunkę interesów katolickich na Wschodzie a w szczególności w Ziemi św.

Przy powstaniu zjednoczonych Włoch w r. 1870 Włosi pokazali wielką chęć, by objąć protektorat nad katolikami w Syryi i Palestynie. Sprzyjała im ta okoliczność, że Franciszkanie

strzegący Ziemi św. i zajmujący się prawie wyłącznie szkołami katolickimi w Lewancie, byli wszyscy Włochami i skutkiem tego włoski język był najbardziej rozszerzony. Rządowi masonskiemu zabrakło jednak i sił i błogosławieństwa Bożego do przeprowadzenia swych zamiarów. Obok szkół franciszkańskich powstały szkoły misjonarzy różnych narodowości: „Braci szkół chrześcijańskich“ (Francuzi), Jezuitów (Francuzi), Lazarystów, (Niemcy), które odebrały językowi włoskiemu swe panujące znaczenie.

O katolickiej Austrii nie ma nawet co mówić; ona ani nie myśli współubiegać się z żadnem państwem o protektorat katolicki na Wschodzie. Mogłaby ona była dużo dla wiary katolickiej zrobić; nieraz misjonarze, jak nasz Ojciec Ryłło T. J., błagali ją o opiekę, ale Austria jak wszędzie tak i na Wschodzie, ani swego, ani katolickiego interesu nie rozumiała.

Z natury rzeczy wykluczone też jest z protektoratu katolickiej sprawy na Wschodzie państwo prusko-protestanckie, jakim *de facto* są teraz Niemcy. Rząd pruski zajmuje się katolikami, dopóki jemu są potrzebni do celów politycznych, ale gdzie i jak tylko może, stara się wyprzeć katolickich misjonarzy przez protestancką propagandę. Również nie można liczyć na protektorat Anglii; — i tak pozostaje jedyna Francya, jako obrończyni wiary na Wschodzie. I ona wprawdzie daleko odbiegła od starych katolickich tradycji, i jej rządy nie są katolickie, ale zawsze w duszy francuskiego narodu wiele katolicyzmu zostało. Panuje chwilowo we Francyi straszny indyferentyzm, lecz nie ma tam religii państwowej w prostem do katolickiej religii stojącym przeciwieństwie.

Rządy francuskie rozumiały też częściowo swe zadanie; uciskając u siebie wszystkie szkoły wyznaniowe, miały tyle roztropności, by nie przeszkodzić ich rozwojowi na Wschodzie, wypędzając Jezuitów z własnego kraju, nie wahały się nawet wyznaczyć im znacznych rządowych subwencyj dla utrzymania uniwersytetu w Bayrucie. Dzięki temu, a jeszcze bardziej prywatnej dobroczynności Francuzów, szkoły katolickie dość się rozwinęły. W samej Ziemi św. jest ich obecnie dziewięć: Instytut

św. Piotra w Jerozolimie dla wyrobienia dobrych rękodzielników, liczący 70—80 uczniów; 5 szkół ludowych i średnich Braci szkolnych w Jerozolimie, Jaffie, Kaiffie, Nazarecie i Betlehemie z blisko 900 uczniami wszystkich religii i narodowości; instytut narodowy św. Anny w Jerozolimie nader wielkiej doniosłości dla całej przyszłości tych krajów, gdyż biali Ojcowie przygotowują w nim koło 120 krajowców do stanu kapłańskiego; mała szkoła w Betlehemie; nareszcie wyższa szkoła teologiczna, ciesząca się wielką sławą i wśród protestantów, pod kierownictwem OO. Dominikanów w klasztorze św. Szczepana w Jerozolimie. Oprócz tego jest jeszcze 5 szkół, którei zawiadują francuskie zakonnice.

Anglicy i Amerykanie nie szczędzą żadnych ofiar pieniężnych, by zyskać grunt pod nogami w Ziemi św., zakładają także wielkie szkoły protestanckie, a w ostatnich latach i protestanci niemieccy zaczęli rozwijać swą propagandę. Ale ni jednych ni drugich obawiać się nie potrzeba, gdyż zimna indywidualna religia protestancka, bez zewnętrznej okazałości religijnej, wcale nie odpowiada charakterowi i potrzebom religijnym tamtejszego ludu. Podróż cesarza może wyrzucić chwilowe wrażenie, ale religia protestancka nigdy się w Ziemi św. nie zakorzeni; tak twierdzą znawcy Wschodu.

Innego za to Francya na Wschodzie ma wroga, wroga potężnego i niebezpiecznego, przeciw któremu jednak nie śmie otwarcie występować — to Rosya. Tak, Rosya najbardziej zagraża interesom katolickim i oraz francuskim w Ziemi św. i Syryi całej; przyznają to sami Francuzi, trzeźwo na sprawy się zapatrujący; czytamy to w listach misyonarzy, słyszeliśmy to niedawno temu z ust francuskiego misyonarza, który lata całe przebył na Wschodzie.

Trzy są główne środki, których propaganda rosyjska używa: pielgrzymki, szkoły, gwałt i intryga. Na wyżynie, opuszczonej lat temu jeszcze 40, które panuje nad Jerozolimą, Rosya za zezwoleniem Turcyi wybudowała ogromne gmachy, przeznaczone dla biednych pielgrzymów, szpital, konsul, katedrę. W Jaffie są podobne gmachy dla pielgrzymów, a w drodze między Jero-

zolimą i Jaffą, Rosyanie rozpoczęli budowę nowego klasztoru, którego wykończeniu Turcy się jednak sprzeciwia, gdyż zbyt wielkie ma podobieństwo do twierdzy, a zarazem tak wysoko jest położony, że z jego wieży komunikować można z wieżami w Jerozolimie i Jaffie. Pielgrzymi rosyjscy wsparci przez rząd, śpieszą setkami do miejsc świętych, budując lud swą wiarą i nabożeństwem, i dając poznać krajowcom potężną, świętą Rosyę. Jeszcze skuteczniej czynią to szkoły rosyjskie. Towarzystwo dla szkół i instytutów w Syrii i Palestynie z główną siedzibą w Moskwie, rozporządza rocznie 3—4 milionami rubli. Za główny punkt oparcia wybrano Nazareth, zakładając tam nie zwykle szkoły ludowe, jak to inne narodowości czynią, ale szkołę kształcącą 40 młodych Syryjczyków na nauczycieli ludowych. Podziwiać naprawdę trzeba i tu przezorność i roztropność rosyjską. Kierownikiem szkoły jest Syryjczyk, który 10 lat przepędził w Rosyi i jej całą duszą jest oddany, inni nauczyciele są Moskalami¹. Z tego zakładu nauczyciele się rozchodzą po rosyjskich szkołach normalnych w kraju, których liczba dochodzi do 17, i wpajają w lud kult dla Rosyi. Wyższe władze rosyjskie zachowują ciągłą styczność z nimi, a wysokie płace, wynoszące 60—100 fr. miesięcznie, czynią ich powolnemi narzędziami w rękach Moskwy. W Hems w Syrii szkoły ich liczą do 500 uczniów, w Tripoli 300.

Nareszcie Rosya pracuje intrygą. Patriarchaty Antyochii i Jerozolimy podlegają ekumenicznemu patryarsze konstantynopolitańskiemu i używają rytu arabskiego. Cały niższy kler ubogi, wzgardzony, pochodzi z ludu, nawet po grecku nie umie; wyższe posady duchowne dzierżą wyłącznie Grecy wykształceni i bogaci. Jak Słowianie nad Dunajem, tak tu Arabowie nienawidzą Greków i znowu Rosya przyjmuje na siebie rolę oswobodzicielki Arabów od jarzma greckiego. Jeszcze swego nie dopięła, bo Grecy wszystkie siły do obrony wyteżają, ale jej stronnictwo rośnie, a Grecy ustępują. Przed rokiem, w dzień rocznicy śmierci Aleksandra III, biskup grecki w Jerozolimie

¹ *Les Russes en Syrie, Correspondant* 10 mars, 1898.

ostatnie modlitwy po rosyjsku odmawiał. Był to podobno pierwszy wypadek tego rodzaju.

Przeciw misyonarzom katolickim, którzy w północnej Syryi tysiące nawracają do unii, tak, że w Tripoli powstała nowa dyecezya grecko-unicka dla nowonawróconych, Rosyanie walczą przemocą, prześladując i uciskając nawróconych wszelkimi sposobami, jakimi w obcym kraju rozporządzają. Biedni misyonarze z trwogą patrzą w przyszłość. — Co będzie z katolicyzmem w Syryi i Palestynie, jeśli wpływ Rosyi weźmie górę? — Każdy katolik widząc, co świętym miejscom grozi, cieszyć się musi nowem zajęciem, które się wśród katolików francuskich budzi dla Ziemi św. „Sprawy katolickie w Palestynie — jak Ojcie św. pisze w liście do kard. Langénieux — źle stoją, wielkie niebezpieczeństwa im grożą“, stąd czujność i energiczna praca wszystkich katolików dla tak świętego celu bardzo na czasie. Podróż cesarza protestanckiego jest nowym dla niej bodźcem, ale nie skutków tej szumnej podróży obawiać się trzeba, lecz cichej, a głęboko nurtującej pracy mocarstwa rosyjskiego.

ŻYWOTNOŚĆ
KATOLICYZMU.

Straszna klęska, którą Hiszpania poniosła w wojnie amerykańskiej, podaje żydowskim i protestanckim czasopismom nową sposobność, by wskazać z jednej strony na upadek państw katolickich, z drugiej na kwitnący rozwój innych mocarstw i ukuć z tego broń przeciw samemu katolicyzmowi. Już nieraz od Balmesa odpowiedziano na ten z pozoru silny zarzut, ale wobec nowych dowodów, wypada na nowo go roztrząsać. Nie wchodzi to wprawdzie w nasze na tem miejscu zadanie, a jednak sądzimy, że krótki rzut oka na kościelno-społeczne stosunki w Europie, którym te sprawozdania są poświęcone, nie mało przyczynić się może do wykazania fałszywości powyższego zarzutu.

A naprzód co się tyczy samej Hiszpanii, to chyba nie katolicyzmowi przypisać można wewnętrzny rozstrój, który ją doprowadził do takiego upadku i zewnętrznego upokorzenia. Rządy hiszpańskie oddawna już odstąpiły od zasad katolickich. Od połowy przeszłego wieku aż do naszych czasów rządy

albo wprost uważały za swój obowiązek gnębić wolny rozwój Kościoła, albo przynajmniej nie poczuwały się do obowiązku rachować się z jego zasadami. W ludzie jeszcze żyje głęboka wiara, ale wyższe sfery są po większej części zgangrenowane strasznem zepsuciem, a teraźniejsza królowa choć z przekonania jest gorliwą katoliczką, przedewszystkiem jako obca pochodzeniem, nie zdolna jest nadać swym rządom katolickiego charakteru.

Sąsiedniemi Włochami od prawie 30-tu lat rządzą najwięksi wrogowie Kościoła, obiecywali oni przywieść naród włoski do niebywałej świetności, uwalniając go od wpływów ciemnego papiestwa, a tymczasem doprowadziły naród do rozpaczliwej nędzy i pierwsze początki odrodzenia wychodzą wśród powszechnego zamętu, z łona katolickiej organizacji. Wewnętrzne brudy, które szkalują rządy trzeciej Rzeczypospolitej, ogromny wzrost socyalistów, którzy dążą do przewrotu rządów we Francyi i w całym świecie, to chyba także nie skutki katolicyzmu, ale właśnie owoce powszechnego we Francyi odstępstwa od Kościoła. Także co do Austrii każdy bezstronny sędzia przyzna, że zajmowałaby zupełnie inne stanowisko wśród państw europejskich, gdyby była miała odwagę podnieść wysoko sztandar katolicki. To, co wycieńczyło jej siły i grozi podkopaniem jej bytu, to właśnie ta chwiejność przekonań, która się wstydziła otwartego wyznania wiary katolickiej i zasad katolickich, i ciągle ustępowała prądom liberalnym.

Nie katolicyzm, ale właśnie ta niekonsekwentność jest i musi być przyczyną upadku państw katolickich, które jej ulegają, a odwrotnie cała potęga Rosyi i Niemiec nie wpływa ani ze schizmy, ani z protestantyzmu, jako takiego, ale z konsekwentnego zastosowania zasad wszechwładztwa państwa i wyniesienia siły nad prawo. A jednak mimo pozornej potęgi tych państw, już teraz widać, że złe zasady zły owoc wydają.

W Rosyi — nie mówiąc o szerokich masach ciemnych, ale w dobrej wierze żyjących — indyferentyzm religijny klas wykształceńszych, toruje drogę zepsuciu, któremu i kler swoją drogą bardzo mało oświecony, zupełnie podlega. W Niemczech,

mimo całego wojska urzędników i wzorowej organizacji, państwo pokazuje się zupełnie bezsilnem wobec rozkładowych agitacyi.

Jedynie państwo katolickie z rządami zupełnie katolickimi, Belgia, cieszy się nietylko świetnym rozwojem życia ekonomicznego, ale zwalcza także aż dotąd skutecznie socjalizm, właśnie w tym kraju może najsilniej rozwinięty. Katolicyzmowi w całej Europie odmówiono wszelkiego wpływu na sprawy państwowe i stąd opłakane stosunki. Teraz zaś, kiedy we wszystkich krajach — o Hiszpanii może najmniej to powiedzieć można — powstało odrodzenie katolickie, właśnie się pokazuje, że w nim jedynie tkwi siła żywotna, siła zdolna podjąć walkę z najgroźniejszym wrogiem religii i sprawiedliwego porządku społecznego — z socjalizmem. Czy katolicy w starciach z nieprzyjacielem będą mogli zwyciężyć go — to wielkie pytanie. W Niemczech katolicy dobrze zorganizowani stanowią tylko trzecią część ludności państwa, składającej się w dwóch trzecich z protestantów, którzy rokrocznie nowemi zastępami socyalistów zasilają. We Francyi, w kraju od wieku katolickim, akcyja katolicka na szerszą skalę dopiero od lat kilku się rozpoczęła, ale i tu znacznie większa część ludności do indyferentyzmu się przyznaje. Czy się uda katolikom błędzących braci do Kościoła napowrót wprowadzić i wciągnąć w swe szeregi? Trudne to bardzo zadanie, trzebaby do tego nadzwyczajnych sił i nadzwyczajnego poświęcenia. A jeśli się nie uda, to katolicy ulegną przed przemocą wroga. Niespodziewane postępy katolików we Włoszech, usprawiedliwiają może nadzieję, że w chwili krytycznej katolicka partya okaże się najmocniejszą. W Austro-Węgrach, gdzie prawie cała ludność do katolicyzmu się przyznaje, organizacya jest bardzo wadliwą i słabą, a w niektórych krajach ledwie pierwsze kroki w tym kierunku zrobiono.

Rzut oka na Europę teraźniejszą wykazuje statystyką najdokładniej stwierdzony szybki wzrost partyi przewrotu, świadczy o niedołęstwie i bezsilności najzupełniejszej wszystkich partyj i rządów niekatolickich, choćby niemi kierowali mężowie stanu jak Bismarck, wskazuje nareszcie na katolicyzm, jako na jedyną siłę,

która dotychczas coś przeciw socyalistom zdziałała. Od narodów katolickich zależy przyszłość Europy, stąd na nich ciąży święty obowiązek, by się ocknęli ze swej bezmyślnej oziębłości i w imię religii i miłości ojczyzny, jak najspieszej do walki stanęli ze wspólnym wrogiem. Inaczej — niema się co ludzić — partye antyreligijne i antynarodowe i nas i braci katolickich innych narodowości, które tylko po części zachowały katolicyzm, niechybnie opanują.

WIECE
KATOLICKIE.

Wiece katolickie z ostatnich miesięcy, świadczyły na nowo o sile, a przynajmniej o przebudzającym się duchu katolicyzmu. Najświecniejszym bez wątpienia był wiec w Krefeldzie, w diecezyi kolońskiej. Liczba uczestników przewyższyła nie tylko liczbę przeszłorocznych wiecowników w Landshucie, ale doszła do wysokości dotąd niebywalej. Kart dziennych wydano do 10.000, kart dla stałych członków wieców do 3.500. W sam pierwszy dzień przyjechało kolejną przeszło 27.000 osób. Sala nie mogła pomieścić tłumów, które tysiącami ją oblegały. Różnicę głębszego znaczenia między wiecem w Krefeldzie a przeszłorocznym, spostrzeżliśmy w tem, że gdy na wiecu w Landshucie dawały się dostrzegać pewne znaki niezgody w samym głównym obozie katolików, tegoroczny zjazd okazał jedność, na ciężkie próby w ciągu przeszłego roku wystawioną, wzmocnioną i poczucie wewnętrznej siły spotęgowane. Ks. biskup Schmitz dał wyraz tym myślom we wspaniałej mowie, entuzyastycznie przez wiecowników przyjętej, a czasopisma liberalne i protestanckie wszystkich odcieni, zmuszone były oddać hołd organizacyi katolików. Zdaniem liberalnej *Post*, tak wzorowej dyscypliny i jedności z niczem porównać nie można, chyba z organizacją wojskową. Ale jakaż wyższość jedności katolickiej nad jednością wojskową! Organ protestancki *Reichsbote* stara się wprawdzie osłabić potężne wrażenie, które wiec wywarł w całych Niemczech przez to, że nazywa jedność katolicką jednością przez nietolerancję wymuszoną, a nie wynikającą z jedności przekonań; dostał jednak już świetną odprawę ze strony nie podejrzanej o stronniczość, od socyalistycznego organu *Vorwärts*.

Nie chceć uznawać znaczenia partyi, która tak liczne i potężne daje dowody swej żywotności i siły, to doprawdy — pisze *Vorwärts* — jest śmiesznem; dla socyalistów wiec jest tylko nową pobudką, by z podwojoną energią dalej walkę prowadzić przeciw katolikom.

Drugą charakterystyczną cechą wiecu w Krefeldzie był wielki udział klasy robotniczej. Rozpoczął się wiec tym razem uroczystem nabożeństwem, w którym blisko 7.000 robotników w uroczystych strojach wystąpiło. „Nawet zimny ateista — pisze *Kölnische Zeitung* — nie byłby mógł odmówić podziwu tej manifestacji katolickiego ducha robotników... kiedy uroczyste przysięgali wierność tronowi i ołtarzowi“. W licznych mowach zajmowano się też kwestyą robotniczą i w imieniu siedmiu tysięcy robotników wysłano osobny telegram do Papieża.

Z przemówień na publicznych zebraniach zasługuje na szczególną uwagę mowa ks. biskupa Schmitza o świętopietrze. Mowca widocznie najdokładniej poinformowany, stwierdził, że od dwóch lat świętopietrze z całego świata ledwie wynosi pół-trzecia miliona. Dla rządów Kościoła Ojciec św. potrzebuje mniej więcej siedm milionów, trzy miliony ma zabezpieczone skądinąd, a przeszło cztery miliony dostarczało mu aż dotąd świętopietrze. Skutkiem zmniejszenia się datków, Ojciec św. znajduje się w bardzo przykrem położeniu i zwrócił się już dwa razy w tym roku do biskupów niemieckich, prosząc o wsparcie. Biskup Schmitz wznosiłemi i głębokimi słowami wzywał wszystkich katolików niemieckich do hojnych datków na świętopietrze, kładąc szczególny nacisk na to, że bez tego swoboda i wolność głowy Kościoła, niezbędna dla dobrych rządów, istnieć nie może. Ze smutkiem podniósł dostojny mowca, że najmniej ze wszystkich krajów daje katolicka Austria. Mowa gorliwego biskupa głęboko wzruszyła słuchaczy, czego najlepszym dowodem, że już kilka dni po zamknięciu wiecu, rozpoczęły się składki na ten cel.

Mniej więcej w tym samym czasie, co wiec niemiecki, odbył się II wiec czesko-słowiańskich katolików w Pradze. Wielka sala na Zofijskiem Ostrowie przepelniona była gośćmi z Czech,

z Morawii i także z innych krajów słowiańskich, przedewszystkiem ze stanu duchownego. Każdy wiec katolicki jest pocieszającym zjawiskiem, bo pokazuje, że są ludzie dobrej woli i pozwala ich policzyć. Wiec czeski na nowo nam przypomniał, że katolicyzm w Czechach dość poślednie zajmuje miejsce. Znaczącem było, że marszałek książe Lobkowitz w swej mowie powitalnej, wyraźnie zaznaczył, że nie został upoważniony do przemówienia w imieniu korporacyi, na których czele stoi. Ludzi z inteligencyi wogóle było mało; sprawozdania stowarzyszeń katolickich wykazały także, że większość ich członków składa się z duchownych. Między skargami na brak katolickich zasad, jeden z mowców trafnie podniósł, że gdy w blizkiej Galicyi uroczystości narodowe zawsze od nabożeństwa się rozpoczynają, w Czechach tego zwyczaju nie ma. Pochodzi to niestety stąd, że jak u nas tradycye narodowe ściśle są związane z religią, tak że się nieraz obowiązki religijne spełnia tylko z poczucia narodowego, tak u większej części Czechów, uczucie narodowościowe, łączy się z nazwiskiem nieszczęśliwego Husa. Husytów w ścisłym tego słowa znaczeniu już nie ma, ale Hus stał się ideałem patriotów czeskich i stąd tkwi w nich pewna niechęć do Kościoła, któryby chcieli zamknąć w murach kościelnych, oświadczając, jak pisze poważny miesięcznik czeski, za *casus belli*, każde w mieszanie się Kościoła do spraw społecznych i politycznych.

Silniej już rozwiniętą jest katolicka akcja na Węgrzech, choć i tam dopiero od bardzo niedawna się rozpoczęła. Zrodziła się ona z walk kościelno-politycznych, przez żydowsko-liberalną partję z taką zaciętością prowadzonych. Mimo tego, że rząd nieustannie rozwojowi tej akcyi przeszkadza, mimo to, że gwałci przemocą prawa obywatelskie katolików podczas wyborów i utrudnia powstanie i działalność stowarzyszeń katolickich, mimo tego wszystkiego czuć, że w młodej partyi tkwi siła, która z pewnością przełamie wszystkie zapory, stawiane przez partje liberalne, wewnątrz już zgniłe. Dnia 24 sierpnia zebrali się delegaci wszystkich stowarzyszeń katolickich, pod przewodnictwem Mikołaja hr. Esterhazego, by radzić nad

podniesieniem ducha religijnego i skupieniem wszystkich sił we wspólnej dążności do jednego celu. Mężowie katolicy z całych Węgier zebrani, stwierdzali ze smutkiem zupełny prawie zanik ducha religijnego we Węgrzech, jaki biskup z Kosszyc Bubicz, w ostatnim swym liście opisał. Ale poważne narady i praktyczne uchwały powzięte przez mężów wybitnych i — jak z rozpraw widać było — z całym ogniem węgierskiej duszy do wiary przywiązanych, pozwalają rokować lepszą przyszłość. Dnia 12 września zebrał się też na nowo kongres autonomiczny, o którego pracach już obszernie składaliśmy sprawozdania, a w przyszłości jeszcze złożymy. Ważną też dla Węgier jest z Rzymu podjęta reforma zakonu Franciszkańskiego, który niestety we Węgrzech bardzo podupadł ku wielkiemu zgorszeniu ludu, a teraz do dawnej doprowadzony być ma świetności.

Ks. Wł. Ledóchowski.

List o stosunkach religijnych w Anglii.

W r. 1833 rozpoczął się w Anglii rozgłośny „ruch oxfordzki“. Na czele jego stanęli, jak wiadomo, Henryk Newman i Edward Bouverie Pusey. Za zadanie, które sobie postawili, było zwalczać luteranizm, jako wielką „herezyę śmierci“, której nieodzownem następstwem jest racjonalizm. Od tego zaczęli, a wiadomo na czem skończyli: Newman, przeszedłszy wszystkie stopnie, po których szczerzy protestant angielski dziś wstępuje do Kościoła Wysokiego, nie zatrzymał się na rozstajnych drogach błędu, lecz z odwagą i zarazem pokorą, które świat cały zdumiały, uczynił krok — jedynie pozostający. Pusey, a z nim Keble i tylu innych — mężowie wielkiej nauki, wielkiej szczerości — pozostali w tyle... Im się zdawało, że pozostając w anglikanizmie skuteczniej i łatwiej podniosą go z martwoty, ochronią od racjonalistycznego zalewu. A więcej, niż wszystkie względy, ten jeden mieli na widoku: że pozostając w anglikanizmie, urzeczywistnią pręcej połączenie się jego z Kościołem apostołskim¹. Że ten взгляд istotnie góro-

¹ *Life of Pusey*, by Canon Liddon, 1890—1897 (*passim*).

wał nad innemi, przyznają dziś jednomyślnie biografowie Pusey'a i jego towarzyszków.

Przedmiotem nieutrudzonej pracy Newmana i Pusey'a, Keble'a i Whateley'a, Manninga i Wilberforce'a nie było zwalczanie racjonalizmu (bo nie było tego potrzeby podówczas jeszcze), lecz rozbudzenie duchowego życia, duchowej siły w Kościele anglikańskim, jako jedy-nych i najważniejszych zapór przeciwko filozofizmowi, wkraczającemu z katedr niemieckich. Zasadniczym zaś środkiem ku temu mienili być — i to fakt wymowny — nie reformę dalszą anglikanizmu, ale przywrócenie mu wierzeń i praktyk, które miał przed schizmą: *not to reform, but to restore*¹. W słynnych *Tracts for the Times* („Uwagach na czasie“) usiłowali uprzytomniać ludziom myślącym i szczerym ideę Kościoła, jego Boskiego założenia, jego dzieła i względem ludzkości przy-sługi, jego Sakramenta i artykuły wiary, jego dzieje i wreszcie przy-kłady najświętobliwszych żywotów, jakie w minionych pokoleniach na-technął i rozwinął. Usiłowali sprawić, by ten nowoczesny Kościół an-glikański objawiał swoje życie na zewnątrz, wobec świata — tak, jak je objawiał Kościół przedreformacyjny w Anglii. Jeszcze zanim New-man opuścił swoich towarzyszków, widoczne były w Oxfordzie, w pa-rafach londyńskich i w kilku diecezjach skutki „ruchu“: w kościo-łach ukazały się na krzyżach wizerunki Ukrzyżowanego; na ołtarzach zaczęto stawiać świeczniki, na których niebawem miały się ukazać zdumionym parafianom zapalone świece; pastorowie wstępowali na ambony w komżach, które jednak, dla odróżnienia ich od katolic-kich, a najwięcej ponoś dla zażegnania gwałtownych protestów, były z początku długie, sięgające poniżej kolan, nieozdobione haftem; ka-znodzieje zaczęli głośno i publicznie od znaku Krzyża św. Wszyscy zwolennicy Newmana i Pusey'a — z wątpliwym wyjątkiem Whateley'a — przyjęli bezwarunkowo wiarę w obecność rzeczywistą Zbawiciela pod sakramentalnemi postaciami chleba i wina... choć, o ile zbadać mogłem, tylko Newman i Pusey głosili od samego początku, iż obecność ta jest nie tylko subiektywną, lecz bezwarunkowo obiektywną. Zatem poczęły pojawiać się znaczące zmiany w anglikańskiej liturgii — a potajemnie przywrócono i spowiedź. Nakoniec bardzo nieśmiało zrazu — zaczęły powstawać żeńskie „zgromadzenia Sióstr“ (*sisterhoods*), za nimi i z nich wywiązały się żeńskie zakony (*nunneries*), aż w końcu na ulicach Li-

¹ Artykuł „Pusey“ przez Rev. J. C. Johnston'a, w *Chamber's Encyclopaedia*, t. VIII, str. 498.

verpoola, Manchesteru i (zupełnie świeżo, pod koniec listopada z. r.) w Londynie ukazali się „bracia“ i „zakonnicy“ anglikańscy, w sukniach grubych, przepasanych... z różańcem u pasa.

Czytelnik pojmuje, iż stopniowym tym zmianom, wprowadzanym sporadycznie i nieśmiało to w jednej, to w drugiej dyecezyi, towarzyszyła od początku wzmagająca się proporcjonalnie wrzawa protestów, lamentów i oburzeń — ze strony tak duchowieństwa anglikańskiego, jak ludzi świeckich. Biskupi wytaczali „rytualistom“ i „romanistom“ dyscyplinarne procesy, karali (gdzie mogli, tj. gdzie sami byli nadawcami beneficjów) „nowinkujących“ beneficjantów pozbawianiem ich licencji pastoralnej, oddawaniem w ręce sprawiedliwości świeckiej, reprezentowanej przez kościelnego prokuratora królowej. Z drugiej strony, sekciarstwo okrzykiwało wzdłuż i wszerz kraju swój tryumf nad sacerdotalizmem, episkopalizmem, nad resztkami romanizmu!

Już od samego początku reakcyi okazało się, iż najwałniejszą potrzebą anglikanizmu była — potrzeba istotnej nauki, nauki jednej, jednolitej, a dzisiaj pomimo gremialnych konferencyj episkopatu, wewnętrzne swary państwowego Kościoła bezustannie się powiększają. Dzieją się bowiem między anglikanami rzeczy, jakim niebędący ich ciągłymi świadkami może nie zdołają uwierzyć. W dyecezyi londyńskiej są liczne kościoły, w których duchowieństwo anglikańskie odprawia mszę z zachowaniem absolutnie każdej formy i ceremonii katolickiej — tylko w języku krajowym; w których wierni przystępują do Komunii z wiarą w obecność obiektywną; w których są pokazywane relikwie świętych i gdzie płonie lampa wieczysta przed ołtarzem. A są obok nich — często w bliżutkiem sąsiedztwie — kościoły anglikańskie, w których, przed liturgią niedzielną, wszyscy obecni „przyjmują sakrament“, jako symbol; gdzie kaznodzieja piorunuje przeciw „bałwochwalczym praktykom“ sąsiedniego rektora. Tu odmawiają różaniec — tam potępiąją „Maryolatryą“. Jest też w pobliżu ulicy Piccadilly kościół, uczęszczany przez wiernych ze sfer najwyższych, w którym po mszy i po wieczornem błogosławieństwie (monstrancją), dwukrotnie każdej niedzieli odmawia pleban modlitwę na uproszenie zjednoczenia Kościołów, zawierającą te słowa: „Polecamy Ci również wszechpasterza chrześcijaństwa, naszego Ojca świętego, Leona XIII.“.

Fakta te znane w Anglii najszerszemu ogółowi, bo publikowane *ad nauseam* i z zacieklą nienawiścią „sacerdotalizmu“ przez specjalne czasopisma sekt niezliczonych i organizacyj anglikańskich w łonie

Kościółów Niższego i Szerokiego. Żeby to choć można wiedzieć, gdzie szukać tych Kościołów! Mówi się o tym i o owym biskupie, iż ten jest usposobienia Nizkiego, tamten Szerokiego: nie wynika stąd, by Nizki biskup nie ordynował równocześnie, w ciągu jednej i tej samej liturgii, wierzącego w obecność obiektywną, wierzącego w subiektywną, w symboliczną... i niewierzącego w Bóstwo Chrystusa Pana! Słynnym jest w całej Anglii klasztor mnichów anglikańskich w Cowley, pod Manchesterem, istniejący od lat kilkunastu. Zakonnicy należą do Kościoła... ogromnie Wysokiego, zachowują trzy śluby i regułę bardzo surową. W początku stycznia t. r., rektor jednego z największych Kościołów londyńskich, biskup (misyjny niegdyś) Barry, zaprosił jednego z tych „ojców“ (*the Cowley Fathers* — jak ich tu nazywają) do wygłoszenia seryi kazań. Zaraz po pierwszym kazaniu niepodobalo się kilku gorliwym słuchaczom, że zakonnik nawoływał do nabożeństwa do N. M. Panny. Założyli protest przed rektorem i zażądali odprawienia mnicha. Rektor im na to: „Musieliscie panowie nie zrozumieć kaznodziei... wiercie mi, że, gdybym zmiarkował coś podobnego, nie pozwoliłbym temu panu dokończyć kazania“. Następstwem tej odpowiedzi było, że... nazajutrz nie było kazania. Zakonnik odjechał. Wtedy ci parafianie, którzy nie protestowali, wniosli zażalenie przeciw rektorowi do sądu ordynariusza dyecezyi. Biskup Londynu odmówił interwencyi swojej wobec rektora, oświadczając, iż tenże postąpił zgodnie z duchem nauki anglikańskiego Kościoła. A w końcu tegoż samego tygodnia, doniosły pisma kościelne i dzienniki stołeczne, iż... na zaproszenie biskupa londyńskiego, d-ra Creighton'a, Ojcowie z Cowley zakładają w dzielnicy Westminsteru stałą misję, że przystąpią niebawem do przebudowania kilku domów na klasztor i że biskup spodziewa się doniosłych owoców z ich przyszłej pracy!

Chaotycznie w swem łonie zamącony, czepia się anglikanizm, jako ostatniej deski ratunkowej, „Kościoła historycznego“ — a raczej pojęcia o nim, jakie sobie w nowych dopiero czasach urobił. Teorya ta, szerzona przez piśmiennictwo angielskie, da się streścić w następujący sposób: Św. Augustyn, przysłany przez św. Grzegorza W. do Anglii, znalazł w niej lud pogański, pochodzenia nietubylczego (saskiego), a na pograniczach kraju — w Walii przedewszystkiem — kryjących się w górach przedstawicieli chrześcijaństwa celto-brytońskiego, w osobach kilku biskupów-opatów i pewnej liczby mnichów obrządku wschodniego. Po nawróceniu króla Etelberta i większości możnych, św.

Augustyn, otrzymawszy sakrę biskupią z rąk biskupa Eteriusza, arlezyjskiego (Arles), wyniesiony równocześnie przez św. Grzegorza na stolicę metropolitalną w Canterbury, zwołał był biskupów celtyckich na synod. Gdy przybyli, metropolita przedłożył im zarys ustanowienia Kościoła Chrystusowego w kraju, polecił jedność i stawił te same warunki: 1) obchodzenie Wielkanocy w czasie naznaczonym przez Kościół Zachodni; 2) zachowywanie przy sakramencie chrztu św. obrządku tegoż Kościoła i 3) współdziałanie około nawracania mieszkańców wysp brytańskich. Biskupi celtyccy, przejęci może dużo głębiej duchem narodowym, aniżeli religijnym i apostolskim, skłaniali się do przyjęcia dwóch pierwszych warunków, lecz odmówili stanowczo przyłożyć rękę do nawracania kraju najezdźników — potomków tych, którzy ziemię brytańską zalali krwią tysięcy celtyckich męczenników. Wrócili w góry swoje, gdzie też, wymarłszy, bodaj rzadkie pozostawili ślady pierwotnego, gallo-wschodniego Kościoła. Atoli — jak słusznie zauważył Lingard — istota trzeciego warunku dowodzi, iż nie różniła się nauka celtyckich biskupów od tej, jaką szerzył Augustyn z towarzyszami, inaczej nie byłby legat papieski żądał owego współpracownictwa. A jednakże woli dziś anglikanizm widzieć w nim „intruza“ i nawiązywać swoje ogniwo nowożytne do owych resztek pierwotnego chrześcijaństwa, raczej, aniżeli uznać w św. Augustynie narzędzie troskliwej gorliwości papieża Grzegorza o zbawienie Anglów i Sasów, prawą jego rękę i apostolskiego pełnomocnika! Czepiając się tradycji celtyckiej, a odrzucając zwierzchność papieża nad celtyckimi biskupami, stoi anglikanizm na stanowisku, niemającym podstawy zgoda żadnej — ani faktyczno-historycznej, ani logicznej.

Wśród anglikanów znaleźli się ludzie szczerzy, którym i chaotyczne sprzeczności nauki i ono niedorzeczne anglikanizmu stanowisko dziejowe wskazały obowiązek ratowania Kościoła narodowego od ostatecznej zagłady; są to zwolennicy t. zw. Wysokiego Kościoła z lordem Halifaxem na czele. Kłótnie i niesnaski prowadzą jednostki coraz liczniejsze z szeregów anglikańskich do zupełnego sceptycyzmu. Dygnitarze i inkumbenci bogatych kanonij i probostw, duchowni wreszcie obarczeni rodziną, nawykli do spokoju, zwiększają codzień owo ciało nieokreślone, zwane „Kościołem Szerokim“ — a będące w samej rzeczy stekiem kompletnego indyferentyzmu. Wiadomo, jak usilnie starał się lord Halifax (prezes Unii kościelnej, towarzystwa anglikanów „wyższych“) o znalezienie w Rzymie zachęty do przekonania swych ziom-

ków o gotowości Stolicy Apostolskiej do „ustępstw“. Rzym powtórzył i do dziś dnia powtarza nieugięte *non possumus*, jeżeli żąda się ustępstw, które równoznaczają z negacją nauki dwudziestowiekowej. O t. zw. „unii“ mowy być nie może, gdzie do organizmu żywego chce się wprowadzić organizm zatruty. Bulla *Curae Apostolicae* położyła na razie koniec zabiegom Unii kościelnej.

Odosobniony, w sobie rozdzielony i zagrożony — z jednej strony przez nonkonformizm, żądający odjęcia mu opieki państwowej i finansowej podpory, z drugiej strony przez obłudny i sceptyczny indyferentyzm — czepia się Wysoki Kościół ostatnich słomek ratunkowych. Szuka więc przez swych dostojników, arcybiskupa Yorku i biskupa Wordsworth'a (z Shrewsbury), zewnętrznej przynajmniej unii z „innymi Kościołami“ Zachodu lub Wschodu. Spotykają się ci najprzewielebniejsi mylordowie z zawodami, nad wyraz upokarzającymi! Starokatolicy biskupi niemieccy, szwajcarscy i amerykańscy, broniąc swego własnego charakteru, odmówili im przyznania apostolskiego następstwa. Podobnej odmowy doznają w Moskwie, ku której ześrodkowali wszystkie ambicje i westchnienia, gdzie atoli, poza bardzo wyraźnemi przeszkodami dogmatyczno-historycznemi, istnieją potężne racje stanu, uwidoczniające daremność tych... niestety, aż komicznych zabiegów.

A jakimże jest stanowisko, zajmowane przez katolików wobec ruchu, który, windykując charakter Kościoła Piotrowego, zdawał się przyspieszać ustanowienie jednej owczarni w kraju? Pod tym względem dużo jest, niestety, mylnych i złudnych wyobrażeń na stałym łądzie, gdzie panuje przekonanie, iż katolicyzm w Anglii robi łatwe i szybkie postępy. Tak nie jest. Katolicyzm robi postępy — niewątpliwie; przyznają to anglikanie i sekciarze. Lecz zewnętrzna wartość tych postępów nie zaznacza się o tyle liczbą nawróceń, o ile wagą tychże i doniosłością. Stanowisko i zakres pracy katolicyzmu wynikają w Anglii z bardzo specjalnych warunków. Czuję się mało zdolnym do zwięzłego, a treściwego ich przedstawienia — a jednakże spróbować muszę, inaczej obraz stosunków religijnych, jaki chcę dać, byłby niewyraźny.

Katolicyzm w Anglii jest religią, znaną najprzewrotniejszemu, mało lub wcale niezaną warstwom najliczniejszym. Brutalnie tępiony, uciśkany i społecznie ostracyzowany do końca zeszłego wieku, doznający upokarzających wyróżnień przez pierwszą ćwierć wieku bieżącego — wyznawany był do (stosunkowo) niedawna przez szczupłą liczbę rodzin,

których przodkowie opierali się statecznie i prześladowaniu i wyrazowi publicznej opinii. Z natury rzeczy ludzkich, opór ów — nigdy nie łatwy — był w jakiś sposób możliwy dla rodzin i jednostek, materyalnie niezależnych, umysłowo zaś uzdolnionych do przechowania skarbu wiary. Wolno może powiedzieć, że w pierwszej połowie naszego stulecia, katolicyzm był w Anglii „arystokratyczny“, był nim uderzająco; dziś dopiero jest, po światowemu się wyrażając, „arystokratycznym“ i „ludowym“, wzmagając się na siłach obustronnie, w sferach najwyższych i najniższych, nie mogąc atoli wyrażnie przedostać się do sfer pośrednich. Powody są liczne i łatwe do zrozumienia: Nasamprzód, te właśnie warstwy średnie, przemysłowe, handlowe, zawodowe i obywatelskie, wychowane przez bezpłodny protestantyzm długich wieków, wiodą byt materyalny nader pomyślny i bezpieczny, zadowalający ich bezpośrednio potrzeby przyrodzone — umysłowe i artystyczne. Zajmują się polityką, mechaniką, naukami ścisłymi — kwestyę religijną traktują z głębokim szacunkiem wprawdzie, ale z szacunkiem, który, jeśli nie jest niedzielnym tylko, to jest mglisto uczuciowym i przygniecionym zjadliwą propagandą sekciarstwa z jednej, kłótniową publicystyką anglikanizmu z drugiej strony. Drugi powód leży w okolicznościach wychowawczych. Szkolnictwo w Anglii było do niedawna całkowicie, jest dziś jeszcze w bardzo szerokim zakresie bez inicjatywy i kontroli centralnej, rządowej. Młodzież warstw średnich kształciła się i dziś się jeszcze kształci w szkołach „denominacyjnych“, t. j. w zakładach, zostających pod kierunkiem wyznań poszczególnych. Proszę dodać szczegół ważny, iż właśnie średnie warstwy społeczne mało przywiązują wartości do szkoły akademicznej, a bardzo dużo do praktycznej szkoły życia: młodzież, wdrożona wcześniej w tę ostatnią, zachowuje swoje wyobrażenia religijne w peryodzie nowych wrażeń i wszechstronnego rozwoju i wytężonej pracy — odświeża je raz w tygodniu u pierwotnego źródła. W późniejszym dopiero wieku — i zależnie od okoliczności zewnętrznych — krystalizują się te wyobrażenia pod akcyą wpływów najrozmaitszych: wtedy to świadoma swej duchowości jednostka próbuje zazwyczaj wielu form wyznaniowych, zanim obierze stanowczą... jeżeli, zniechęcona doświadczeniami, prawdy szukająca a prawdą nieoświecona, nie rzuci się w indyferentyzm lub sceptycyzm, albo w budaizm, teozofizm, spirytystyczny spirytualizm i t. p.

By tem lepiej zrozumieć, dlaczego katolicyzm nie wzmagą się licznie w Anglii w tym samym stosunku, jak się wzmagą wpływem

i potęgą moralną, należy uwzględnić rażącą niewystarczalność jego środków. Brak mu duchowieństwa — przedewszystkiem ¹. Nie wiem, jak stosunek liczebny duchowieństwa do ludności katolickiej w Anglii i Walii (1,600.000) wyda się w porównaniu ze stosunkami w Galicyi i w Księstwie lub Królestwie — ale to śmiało powiem, że praca, ciężąca na duchowieństwie angielskiem, świeckiem i zakonnem, przechodzi jego siły więcej, jak w czwórnasób. Jest przedewszystkiem ogromna rozległość parafij, jest mnogość i różnaitość najkonieczniejszych obowiązków — i jest mnogość i różnaitość obowiązków, wynikających z poczucia gorliwości lub choćby współzawodnictwa, czy też oporu. Sekciarstwo i anglikanizm, rozporządzające olbrzymimi zasobami materialnemi, a uwięzione na katolicyzm z zaciekłością, o jakiej może żdom dać wkrótce trochę pojęcia, wyęzają wszystkie siły, by *per fas aut nefas* pochwilić się zdobyczą „nawróconych z obozu rzymskiego“. Proszę sobie uprzytomnić położenie, odpowiedzialność i pracę proboszcza katolickiego w parafii londyńskiej, liczącej (biorę przykład aktualny) dusz około 3.000, i mającego jednego tylko pomocnika... i to tylko na niedziele i święta uroczyste! Oprócz tego w żadnym kraju europejskim nie jest katolik wystawiony na tak uparte próby, jak w Anglii — na próby tak codzienne, intelektualne i przebiegłe, jak

¹ Oto szematyzm katolicki z roku bieżącego:

Archidiecezya i dyecezye	Biskupi	Kapłani zakonnii i świeccy	Kościół, kaplice, »stacje«
1. Westminster (archid.)	1	364	133
2. Birmingham	1	226	131
3. Clifton	1	109	46
4. Hexham i Newcastle	1	171	115
5. Leeds	1	115	86
6. Liverpool	1	404	161
7. Middlesborough	1	70	59
8. Newport i Menevia	1	76	67
9. Northampton	1	59	61
10. Nottingham	1	118	88
11. Plymouth	2	97	52
12. Portsmouth	1	115	76
13. Salfort	1	245	117
14. Shrewsbury	2	110	79
15. Southwark	1	334	133
Ogółem na Anglię i Walię .	17	2613	1404

codziennem jest z konieczności jego obcowanie z ludźmi, jak intelektualnie wzniesiony jest poziom społeczności, jak przebiegłą jest metoda, szukająca z różnych pobudek i z różnym arsenalem erudycyi — usprawiedliwienia jednej pozycyi, obniżenia drugiej. Ów proboszcz w owej parafii pamięta o tem! Dlatego odwiedza swoich parafian — nie dla rozrywki, nie dla odpoczynku i miłej pogawędki! Króciutkie są, „na postoju“, wizyty jego u parafian niezachwianych; z innymi podejmuje nietatwą pracę wyjaśnienia trudności, umacniania, a jeżeli sam jej podolać nie jest w stanie, szuka pomocy i takową znajduje u konfratrów, w specjalnych stowarzyszeniach, w publicznych konferencyach, w książkach, wreszcie w modlitwie. Nic zwyklejszego, jak słyszeć proboszcza, zapowiadającego z ambony, że na uproszenie pewnej duszy światła i łaski Bożej w trudnościach wiary, wzywa się ochotne osoby do odprawienia z proboszczem publicznej nowenny w kościele o takich a takich godzinach — lub Drogi krzyżowej, lub ścisłego postu i t. p.

Proboszcz ma na głowie wszystkie sprawy parafialnej szkoły. Bez jego zabiegów nie mieliby najbiedniejsi rodzice gdzie posłać dzieci na przymusowy kurs nauki — musieliby je posyłać do szkoły rządowej, bezwyznaniowej, co w Anglii jednoznaczny z wystawieniem dziecka na prozelityzm nauczycieli anglikański lub sekciarski, czasem antyreligijny. Proboszcz opłaca lokal szkolny, nauczyciela, książki, nieraz odzienie dziatwy, często posiłek południowy podczas zimy, sam uczy wielu przedmiotów — zostawiając katechizm na niedziele. Proboszcz poza zwykłą rutyną swych obowiązków kapłańskich, czuwa nad utrzymaniem i rozwojem kilku stowarzyszeń religijnych, jest najczęściej jedyną na ziemi opatrnością ubogich w parafii, jest kapelanem zakonnic jednego, czasem dwóch i trzech klasztorów, bierze z obowiązku udział we wszystkich publicznych kontrowersyach katolików swojej parafii z niekatolikami, oraz udział w comiesięcznych konferencyach dyecezyalnych i t. d. Długo mógłbym jeszcze dodać wyliczenie koniecznych zajęć katolickiego księdza! Do późnej nocy słucha spowiedzi dwu lub trzykrotnie w tygodniu; w niedziele odprawia dwie msze we własnym kościele (o 8-mej i o 10-ej), odprawivszy już wcześniejszą w klasztorze, którego jest kapelanem; podczas sumy (o 11-tej), odprawianej przez pomocnika niedzielnego, proboszcz wygłasza kazanie; o 3-ciej po południu uczy dziatwę szkolną katechizmu; o 5-tej odbywa modlitwy z jednym lub drugim bractwem; o 7-ej nakoniec daje ostatnią naukę,

odmawia z wiernymi różaniec i udziela błogosławieństwa Najśw. Sakramentem.

Zakony żeńskie, oprócz specjalnego celu swoich reguł, mają również wielki ciężar zadań posiłkowych — w szkołkach żeńskich, w zaulkach, gdzie ich miłosierdzie i poświęcenie się odnajdują dusze zaniedbane, w szpitalach, gdzie bez ich troskliwości brakłoby pociech religijnych niejednemu umierającemu — w fabrykach, w więzieniach i w owych olbrzymich instytucjach protestanckiej filantropii, które jak np. słynne Ochrony d-ra Barnardo — zapuszczają sieci daleko i głęboko po otchłaniach nędzy, by znaleźć w nich działwę, religii nieświadomą, choć nierzadko katolicką, irlandzką lub obconarodową pod sztandary zaciągnąć protestantyzmu. Zakony męskie, nader jeszcze liczne i obarczone parafiami, zakładają szkoły wyższe, uczą w nich, podejmują misye kolonialne — wreszcie one to przeważnie kształcą opinię publiczną w czasopismach i dziełach specjalnych, prostują fałszy i wiodą walkę z wysokimi szkołami anglikanizmu i sekciarstwa.

Brak duchowieństwa opóźnia rozwój katolicyzmu w Anglii i z tej jeszcze przyczyny, że opozycya, z jaką się Kościół św. spotyka, rozporządza niewyczerpalnemi środkami materyalnemi, i że kler protestancki, zwłaszcza anglikański, składa się w największej części z ludzi najwyższego wykształcenia. Jednem słowem — po stronie fałszu jest ogromna liczba wyznawców, olbrzymia potęga materyalna, kwiat narodowej inteligencji, są bogato wyposażone katedry specjalne i instytucje, jak kilkudziesięciotysięczny zastęp najzdolniejszych nauczycieli, są dźwignie propagandy — publicystyczne, filantropijne i towarzyskie — o najszerzej potencji działania, są nakoniec półczwartawiekowe przesady, potwarze i uprzedzenia antykatolickie; po stronie zaś Prawdy... jest szczupła liczba wyznawców, nikła garstka pracowników, są najmizerniejsze środki materyalne, najuboższe jest wszechstronne uposażenie do walki otwartej — a za to jest najwyraźniej cudowna moc, opieka, pomoc Boża. Te się uwidaczniają, jeśli nie z dnia na dzień, to bezsprzecznie z tygodnia na tydzień, przedewszystkiem w rozgłosnych nawróceniach; a zaraz obok, w objawie, który już nie powiem, każdy katolik, ale każdy rozumnie myślący człowiek musi przyjąć za decydujący stanowczo. Tym objawem jest chaotyczne zamieszanie, panujące w angielskim akatolicyzmie — zamieszanie kłótlive, wzmagające się bezustannie i mające ten rezultat nieukrywany, bo ukryć się niedający przed publicznością, że wszelka powaga istniejąca, uosobiona, jest

przedmiotem pośmiewiska, wzgardy, w najlepszym tylko razie przedmiotem litości — a sama zasada powagi jest wystawiona na wielkie niebezpieczeństwo w ustroju ogólnospołecznym.

Edmund S. Naganowski.

~~~~~

Jeszcze o monstrancyi gotyckiej z r. 1474.

Podając opis tego cennego zabytku katolickiej sztuki średnio-wiecznej w zeszycie marcowym *Przeglądu Powszechnego*¹, zaznaczyliśmy tamże na str. 482 i 484, że profesor byłej wszechnicy dorpackiej, dr. Ryszard Hausmann, odszukał drukowane katalogi z lat najrozmaitszych, dotyczące gabinetu sztuki, założonego niegdyś w Petersburgu przez Piotra Wielkiego pod nazwą *Kunstkamiera*, i śledził za ich wartością aż do pierwszej ćwierci XVIII. stulecia, w którym to czasie poczęto je wydawać. Zaznaczyliśmy także:

1) że w tym długim szeregu katalogów dała się wszędzie odnaleźć wzmianka o tem, iż ową gotycką monstrancję wywiozły z Dorpatu, jako zdobycz wojenną, zwycięskie wojska cara Iwana Groźnego;

2) że wydaje się nietylko możebnem ale prawdopodobnem, iż ten okazały zabytek przemysłu artystycznego pochodzi z tumu dorpckiego i że liczne wydania katalogów Piotrowego gabinetu sztuki mogą mieć słuszość zaznaczając jak najwyraźniej, że ową olbrzymią monstrancję wywiozły wojska Iwana Groźnego;

3) że o tem, gdzie ten wspaniały okaz sztuki złotniczej przechowywał się w ciągu wieku XVII., braknie po dzień dzisiejszy wiadomości, które obecnie są przedmiotem pilnych poszukiwań niezmordowanego szperacza, d-ra R. Hausmana.

Tymczasem, przed kilku tygodniami odnaleziono w księgach kościelnych parafii św. Mikołaja w Rewlu, notatkę opiewającą dokładnie „jako wykonana w r. 1474 przez miejscowego złotnika Hansa Ryssenbercha monstrancya odebrana została ze skarbcza kościelnego w r. 1711 przez radę miejską rewelską i że, pomimo protestu ówczesnej administracyi kościoła, ofiarowano ją w imieniu miasta księciu Menszykowowi“. Dalsze poszukiwania w tychże księgach kościelnych wykazały, że na wykonanie olbrzymiej monstrancyi poczęto zbierać pieniądze

¹ Tom LVII, na str. 479—484.

składkowe już od roku 1471, a trwały wciąż na ten cel kolekty aż po roku 1475. Następnie odnaleziono tamże szczegółowe rachunki złotnika Ryssenbercha z lat 1476 i 1477, które nie pozwalają wątpić ani chwili o tożsamości tego dzieła złotniczego, po którego całkowitem opłaceniu w r. 1477 musiano je wysłać na konsekrowanie do biskupa dorpackiego, gdyż miejscowy biskup, Jan Stoltefot, przeniósł się był do wieczności na samym początku r. 1477, następca zaś jego, Szymon Borch, zaledwie w końcu tegoż roku zatwierdzony został przez Stolicę Apostolską na rewelskim tronie biskupim.

Inwentarz kościoła św. Mikołaja z r. 1488 wspomina obok małej monstrancyi także wielką, mającą u dołu dwa masywne uszka, przez które przeciągano sznury dla jej umocowania podczas obchodów przy procesjach. Zaznaczono bowiem wyraźnie w inwentarzu, że oprócz małej monstrancyi posiada kościół św. Mikołaja tę wielką¹.

W czasie obrazoburstwa — na które wszystkie inne kościoły w Rewlu były narażone w dniu 14 września 1524 roku — skarbiec kościoła św. Mikołaja szczęśliwie został uratowany przez przytomność umysłu administratora kościelnego, Henryka Bus'a, przechowującego wraz z innemi kosztownościami i ową olbrzymią monstrancję w skarbcu oddzielnym od zakrystyi przez ciężkie drzwi żelazne. Roztropny ten mąż rozkazał bowiem zalać ołowiem zamki wszystkich drzwi kościelnych, widząc na jaką burzę się zanoszą, i dla tego, dzięki jego przeczności, nie dostały się do skarbcza rozbastwione tłuszcze rozfanatyzowanych heretyków, niszczące zapamiętałe wszystkie dzieła sztuki katolickiej.

Losu innych kosztowności kościelnych rewelskich, które w ciągu XVI. stulecia — w czasie wojen moskiewskich — na wielkie były narażone niebezpieczeństwa, nie dzieliła wcale monstrancya Ryssenbercha i pozostawała stale w swoim bezpiecznem ukryciu. Raz jeden tylko — w r. 1600 — wyrwano ją chwilowo z tego zacisza, by jej wagę dokładniej oznaczyć, poczem spoczywała ona spokojnie w tymże skarbcu kościelnym aż do r. 1711.

Co się tyczy zniszczenia i roztrwonienia innych cennych dzieł sztuki tegoż kościoła, to i o tem znaleziono obecnie w dawnych księgach rewelskich parafii św. Mikołaja wzmianki równie dokładne jak

¹ „Und dazu die grosse Monstranz, zu welcher er (zakrystyan) auch den Schlüssel hat. Noch eine Schnur mit 2 silbernen Hacken, womit man die Monstranz zu tragen pflegt“.

pouczające. Okazuje się, że rada miejska rewelska, przywłaszczywszy sobie prawa zwierzchności biskupiej (*jus episcopale*) nad kościołami miejskimi i ich kosztownościami, używała tych ostatnich w ciężkiej dobie do pokrycia niezbędnych wydatków administracyi miejskiej. W księgach kościoła św. Mikołaja znaleziono obecnie i o tem wzmianki nader ciekawe, które podajemy dosłownie w przypisku ¹.

Ale i monstrancya Ryssenbercha, stanowiąca ostatni a najcenniejszy okaz skarbcza św. Mikołaja, nie uszła smutnych kolei losu, zgotowanego drogocенnościom kościelnym przez akatolików. Nie uległa ona wprawdzie, jak inne, całkowitemu zniszczeniu, i dlatego po dzień dzisiejszy istnieć nie przestała — niemniej jednak ze skarbcza odwiecznego wyrwaną została, by powędrować nad Nową.

Datkiem tym cennym pragnęła rada miejska dobrze usposobić dla Rewla księcia Menszykowa, który z Narwy miał przybyć dla przyjęcia miasta w imieniu Piotra Wielkiego.

Ujęty tak wspaniałym darem obiecał istotnie książę wyrobić u cara zatwierdzenie wszelkich dawnych przywilejów rewelskiej rady miejskiej. Odnosna notata w ówczesnych księgach kościoła św. Mikołaja w Rewlu, mieści w sobie ustęp, który niech nam będzie wolno przytoczyć tutaj dosłownie: „Anno 1711 den 3 März wurde durch den Herrn Bürgermeister Johannes Lanting die silberne, in- und auswendig vergoldete, nach catholischer Art sehr künstlich gemachte Monstranz, der St. Nicolaikirche gehörig, welche Anno 1474 angefertigt worden und an Gewicht hielt 676 Loth, nach Narwa an S. fürstl. Durchlaucht Prinz Menzikoff überbracht in Hoffnung, dadurch

¹ „Die St. Nicolai-Kirchenbücher berichten darüber Folgendes: Ein schönes silber-vergoldetes Marienbild, welches von armen Frauen und Dienstmägden im Jahre 1503 der Kirche gestiftet worden war, wurde auf Verfügung des Raths am 28 September 1560 umgeschmolzen, um den Sold der Stadtknechte im Russenkriege damit zu bestreiten. Dasselbe Schicksal traf ein silbervergoldetes, 1 1/2 Ellen hohes Bild des heiligen Nicolaus, das von einem Diederich Basedow für die Kirche im J. 1506 zu Antorp bestellt und im J. 1508 über Lübeck pr. Schiff nach Reval gebracht worden war. Eine wunderschöne silbervergoldete Monstranz welche die Kirchenvorsteher Hans Rotgers und Heise Patiner 1509 durch den Meister Andreas Soteflesch in Lübeck hatten anfertigen lassen, die, 21 Mark löthig an Gewicht, 640 Mark Rig. gekostet hatte, wurde kurz vor der zweiten Moskowiterbelagerung mit Einwilligung des Kirchensprengels am 6 Juni 1576 zerbrochen und der Erlös als Gage den Prädicanten vertheilt“. (Pisownię oryginału dozwoliliśmy sobie zamienić na tegoczesną niemiecką).

was Gutes für die Stadt zu negotiiren“. W tejże księdze zaznaczono także, iż administracya kościelna założyła protest formalny z powodu, iż monstrancję zabrano nie wniósłszy za nią pieniędzy.

W lecie i w jesieni tegoż roku 1711 zwiedzał Menszykow Rewel dwukrotnie. W dniu 20 października 1711 roku wręczyła mu deputacya rady miejskiej suplikę o formalne zatwierdzenie wszystkich punktów (czyli artykułów) kapitulacyi, a tę prośbę przyjął książę nader łaskawie. To też na dniu 13 marca 1712 r. podpisał Piotr I. dokument zatwierdzający wszelkie przywileje Rewla na wieczne czasy.

W jaki sposób trafiła monstrancya Ryssenbercha do Piotrowej *Kunstkamiery*, wyjaśnić obecnie nader łatwo. Przypuścić należy, że Menszykow to dzieło sztuki złotniczej chętnie do zbiorów Piotrowych ofiarował, wiedząc dobrze jak wielką wagę przywiązywał car-cywilizator do nowoutworzonego przez siebie gabinetu sztuki.

Gustaw Manteuffel.



DWA TYGODNIE W PETERSBURGU.

I.

„Wie cały świat, że Rosya w ostatniem pięcioleciu uczyniła olbrzymie postępy w rozwoju swej zewnętrznej potęgi“. Tak pisał niedawno wrogi całej słowiańszczyźnie dziennik wiedeński *Neue fr. Presse*. Często kłamliwy — miał tym razem słuszość. Regulacja waluty dokonana i cena rubla za granicą ustalona, znaczny rozrost obrotów przemysłowych przy częściowej pomocy obcych kapitałów, dziesięć tysięcy wiorst dróg żelaznych, w tej liczbie 3 tysiące wielkiej linii syberyjskiej, zdobycie niemarzącego portu u wybrzeży oceanu Spokojnego, przymierze z Francją a wraz z niem decydujący niemal głos w koncercie europejskim, — oto szereg ważniejszych zdobyczy, osiągniętych bez trudu, po cichu i bez wysiłku.

Któryż Polak nie pragnie poznać tego mocarza Północy w jego własnym domu, w jego codziennem życiu i powszedniej szacie?

Taką myślą i takim nagłony pragnieniem, podążyłem w pierwszych dniach lipca b. r. na dworzec Petersburski, opuszczając bez wielkiego żalu Syreni gród, owe miasto publicznych posłańców i rewirowych, łatanych i różnorakich bruków, marnych tramwajów i od wieków kończonej a niekończącej się kanalizacyi. Już na dworcu zmienia się charakter i urządzenie drogi, a nawet otoczenie: czuć inne życie, inny naród. Stoi pociąg, złożony z dużych, wygodnych wagonów, naokoło słychać głośną mowę rosyjską i przyciszony, nieśmiały szept polski, wi-

dać niezliczoną ilość mundurów, uniformowych czapek, nawet szabel i orderów. Mimowoli tracisz połowę pewności siebie, milkniesz i radbyś porozumiewać się na sposób niemych mimiką i ruchami.

Pociąg pędził przez okolice tak każdemu sereu polskiemu znane i drogie. W Grodnie zjawił się w głębokim dole Niemen, „domowa rzeka“ wielkiego poety, a na wybrzeżach rozrzucone miasto: stare kościoły, domki i cerkwie z niebieskimi i zielonymi dachami. Jeszcze parę godzin jazdy, długi tunel, poza nim miejscowość coraz bardziej malownicza, pocięta jarami, najeżona garbami, okrytymi lasem — wychyla się Wilno. Za Wilnem, kiedy minie się stację Wilejkę i srebrzystą wstęgę poetycznej rzeki, zwłaszcza od Dwińska, stanowiącego jakby granicę między Litwą a Rosyą, bodaj aż do samego Petersburga nie spotka się już nie godnego szczególnej uwagi.

Zmienia się kraj, zmieniają się i ludzie.

Oko nie spotka ni miasta ni góry,
Żadnych pomników ludzi, ni natury,
Ziemia tak pusta, tak niezaludniona,
Jak gdyby wczora wieczorem stworzona *Mickiewicz*.

Z początku piaszczysta równina, potem zarosłe krzakami pustynne błota i tundry, rozpostarte na przestrzeni setek wiorst. Znikają ślady życia ludzkiego, znikają większe stacje: lasy i lasy lub błota i błota. Lasy te jednak — jakie jednostajne! Nie masz naszej sosny i drzew szpilkowych, gęściej pojawia się brzoza, przeplatana olchą i osiczyną. Drzewa cienkie, wątłe, najtęższa ich grubość łokieć w obwodzie. Łąki zielone bez żadnego ubarwienia: nigdzie kwiatka, nigdzie owocu. Jedna jedyna jarzębina zwiesza tu i owdzie swe czerwone kiście. Wśród tych suchotniczych i anemicznych lasów nierzadko widzi się całe wiorsty pogorzelsk. Chłód się zwiększa, wiatr wieje ciągły i przykry. Na stacyjkach zabudowania drewniane z okrągłaków, jedno-barwne, pod jedną miarę i kształt. Ani zwierząt, ani ptactwa, ani owoców, ani barw, ani pól uprawnych, ani ludzi nawet. Dwie te sąsiadujące ze sobą gubernie — witebska i pskowska — należą do najuboższych w Rosyi. Ludność ostatniej trudni się

przeważnie uprawą lnu, ale daje się nielitościwie oszukiwać t. zw. bułyniom, osobliwego rodzaju przemysłowcom, którzy korzystając z nędzy ludu kupują za marne ceny partye lnu na pniu i wyzyskują biedę. Już to nie osobliwej sławy zażywają te gubernie — co do swojej umysłowej tężyzny. Znane jest u nas przysłowie: „jakaś głowa kiepska, musi być z Witebska“, ten sam epitet zdobyli sobie „Pskowicze“ u Moskali. Opowiadają, że kiedy raz cesarz Aleksander II. podczas rewii spytał niefortunego szeregowca, z jakiej jest gubernii, ten odpowiedział: „niema się czem pochwalić — ze skobskiej“¹. Nawiasem mówiąc — z witebskiej szlachty pochodzi rodzina Hurków, których osławiony potomek dał się nam dobrze we znaki.

Tymczasem pociąg wciąż mknie naprzód; towarzysze podróży jacyś smutni i milezący, zapewne pod wpływem długiej podróży i niesłychanie smutnych krajobrazów. Smutek i milczenie ogarnia cię, jak fala. Oto jeszcze parę godzin takiej jazdy i zbliża się Petersburg. Stacya Gateczyna — letników moc, stacya Aleksandrowska — letników jeszcze więcej, wagony się wypełniają, ruch się zwiększa — ale oznak wielkiego miasta w pobliżu niema: ani ogrodów, ani willi podmiejskich, ani fabryk nie widać; gdzieniegdzie rozrzucone drewniane domki, drewniany parkan od zarośniętego karłowatemi drzewami cmentarza — oto cała ozdoba. Nagle pociąg wjeżdża w całą sieć kolejową i ciemną wielką halę — i za chwilę jest się już w Petersburgu. Miasto ma być w tym czasie wyludnione z powodu lata, ale ruch jest znaczny. Ulice szerokie i widne, domy duże, malowane barwami przeważnie brudno-żółtemi. Co krok spotyka się wielkie jakieś, o kilkudziesięciu oknach frontu, kilkupiętrowe gmachy. Zazwyczaj są to albo pałace cesarskie albo gmachy rządowe. Pałace i gmachy rządowo-administracyjne lub naukowe — oto i Petersburg. Duch despotycznego, scentralizowanego rządu tak dalece bije z tych murów, że wszelkie inne znamiona okazują się zdrobniałemi: państwo wielkie, rząd potężny, władza jego nieograniczona — więc też i gmachy, gdzie się skupia i skąd płynie

¹ Нечѣмъ хвалиться — Сробскою.

moc władzy na całe niezmierne przestrzenie państwa także kolosalne. Jednostka, do rządu nienależąca lub też obca w tym kraju, czuje się wobec tych wielkich murów, zamykających siłę rządzącą — prochem, drobnouchną okruszyną.

W 1713 r. ukazem Piotra W. stał się Petersburg stolicą państwa. Błotnista, nędznym lasem okryta równina poczęła się szybko zaludniać. Spędzano corocznie dziesiątki tysięcy rzemieślników, ściągano kupców, polecono szóstą część towarów z Rosyi całej wysyłać za granicę przez Petersburg — słowem gród rósł i męźniał. Ale jeszcze w 1740 wewnątrz 92 wiorst kwadratowych przestrzeni, zajętej dziś przez miasto, istniały pasy, obsiane żytem i owsem, zarosłe gęstwiną leśną. Carowa Anna kazała łowić i strzelać łosie, pojawiające się na ulicach miejskich. A dziś? „Sto lat minęło i gród młodzieńczy, ozdoba i dziwo północnych krain, z głuszy leśnej, z topieli błotnych dźwignął się pyszny i dumny. Gdzie niegdyś rybak fiński, smętny syn przyrody, sam jeden u niskich wybrzeży zarzucał w nieznana głębiny wątył niewód — teraz przy bulwarach kipiących życiem, tłoczą się rzędy wież i pałaców; okręty tłumem dążą do bogatych przystani z różnych krańców ziemi; Newa się ustroiła w granitową szatę, nad wodą zawisły mosty, wyspy się okryły ciemnozielonemi parkami“¹. Zatem pierwsze wrażenie, jakie

¹ Прошло сто лѣтъ и юный градъ
Полночныхъ странъ краса и диво,
Изъ тьмы лѣсовъ, пзъ топи благи
Вознесся пышно, горделиво:
Гдѣ прежде финскій рыболовъ,
Печальный пасынокъ природы,
Одинъ у низкихъ береговъ
Бросалъ въ невѣдомыя воды
Свой ветхій неводъ, нынѣ тамъ
По оживленнымъ берегамъ,
Громады стройныя тѣнятся
Дворцовъ и башенъ; корабли
Толпой со всѣхъ концовъ земли
Къ богатымъ пристанямъ стремятся.
Въ гранитъ одѣлся Нева:
Мосты нависли надъ водами;
Темнозелеными садами
Ея покрылись острова. (Пушкинъ).

czyni stolica Rosyi, jest niewątpliwie imponujące. Ale wystarczy rozejrzeć się bliżej wśród ludzi i rzeczy, aby się przekonać, że tu — w Petersburgu — Rosyi bardzo mało. „Wszakże wszystko, stanowczo prawie wszystko, co u nas jest — z rozwoju, nauki, uobywatelenia, humanizmu, wszystko, wszystko stamtąd, z owej krainy świętych cudów! Wszak całe życie nasze ułożyło się od samego zarania wedle europejskich składników. Czyżby ktokolwiek z nas zdołał się oprzeć temu wpływowi, nawoływaniu, naciskowi?“¹. Tak mówi Dostojewski, Moskal, który całe niemal życie spędził w stolicy. I tak jest — na prawdę. Na milion dwakroć tysięcy mieszkańców połowa przypada ludu roboczego, a ten przeważnie pochodzi z Finlandyi: rozrosłe barki, duży wzrost, tęgie stopy i dłonie, głowa o długim włosie, równo podciętym, szeroka twarz, wydatne kości policzkowe, małe oczy — taki typ spotyka się co krok na Siennym rynku, Sadowej i pobrzeżach Fontanki, a zwłaszcza na wyspie Wasilewskiej.

Pierwszego dnia pobytu, gdy się już rozejrzał po mieście, wybraliśmy się z przyjacielem około 9 wieczór do ogrodu zoologicznego. Jest to ulubione miejsce letnich rozrywek dla klasy średniej i niższej. Oprócz kilku lwów, niedźwiedzi i tygrysów. staruszką słonia, nędznego dromadera, hippopotama, którego całą wiązką buraków nie mogą się doprosić, aby wylazł z wody, oprócz kilkudziesięciu ptaków i kilkunastu małp, co wszystko razem stanowi bardzo mizerną całość, dają w tym ogrodzie przedstawienia. W dużej sali na estradzie gra niemiecka orkiestra, publiczność słucha pobożnie gry, popijając czaj i zmiatając obfite przekąski, wśród których niemałą rolę gra t. zw. kulebiaka, rodzaj zimnego pieroga z ciasta, nadzianego łososiem i jesiotrzną. Muzyka się kończy, sala opróżnia, wszyscy spieszą pod otwarte niebo, gdzie na ogrodowej scenie japońskie i amerykańskie linoskoki, francuscy żonglerowie i niemieccy akrobaci bawią niewybredną publiczność, otrzymując w zamian rześiste oklaski i sporą zapłatę. Potem znowu na muzykę i przekąski

¹ Полное собрание сочинений Достоевскаго. Т. 3, cz. 2. str. 10. Зимнія замѣтки о лѣтнихъ впечатлѣніяхъ. Petersburg. 1894.

do hali, i znów po muzyce na łamane sztuki europejskich, amerykańskich i azyatyckich artystów. Tak się powtarza aż do godziny 1 z północy. Słyszę naokół języki obce, muzykę obcą, ludzi obcych — gdzież tu Rosya? A — przepraszam. Około północy, gdyśmy już trzeci czy czwarty raz wędrowali przez część ogrodu z koncertu na przedstawienie — zapowiedziano ludową komedijkę ruską. Nie pamiętam tytułu, ale mniejsza o tytuł: był to może „Fiłatka i Miroszka“, może coś innego. Cóż za ludzie! Czerwone, okryte pryszczami od nadużycia spirytualiów chłopskie postacie wykonują szereg tańców z niemалą zręcznością i wysiłkiem muszkułów, ale pod względem estetycznym wprost potwornych. Dyalogi szpikowane zdaniami przysłowiowymi, mówiącemi o enocie i uduchowionym etycznie człowieku, ale pozostają w jaskrawej sprzeczności z karykaturalnym wyglądem i ruchami tych sztucznych wieśniaków. Idylla ta czy sielanka całą swoją powierzchownością sprawia na widzu wrażenie poprostu odrażające i wstrętne. Rzecz dziwna, że inteligentny luddek petersburski z upodobaniem słucha i przygląda się tym obrazom z życia ruskich nizin społecznych, — i coby powinno budzić litość i współczucie, to widocznie wywołuje śmiech i bawi. Ale oto północ, jeszcze prawie widno, bo noc dopiero zwolna zapada na dwie godziny; wtem poczyną rosić deszczyk. W tym klimacie to nie rzadkość, więc widzowie zapatrzeni i zasłuchani nie wstają z miejsc, tylko otwiera się coraz więcej parasoli. Jednakże zasłaniają one scenę dalszym rzędem, słychać więc wołania: *Zóntiki dałój!* (Precz z parasolami). Parasoli mimo tego coraz więcej, wołania coraz upartsze i głośniejsze. Tłumią one przedstawienie, stają się gniewnemi; wściekle wrzeszczy za nami jakiś czerkieski porucznik w olbrzymiej czapie i długim bałachonie z rzędami srebrnych łądownic na piersiach. Sytuacya staje się i śmieszna i niedorzeczna. To ruski żywioł występuje na scenę. Nie czekając końca obu przedstawień, na scenie i pośród widzów — uciekamy do domu.

W domu zapuszcza się najszczelniej wszystkie story, bo około pół do drugiej świta — i śpi się kamiennym snem do ósmej zrana.

II.

Po spożyciu śniadania, złożonego z kawioru, smacznego sera kaukazkiego, słodkiego chleba, bardzo przypominającego piernik, i doskonałej herbaty, jaką tylko w Petersburgu dzięki najodpowiedniejszej wodzie się pije, postanowiłem sam odbyć przegląd kościołów i soborów, gdyż mój przyjaciel, który jest wyższym urzędnikiem państwowym, musiał się udać do biura. Trzy kościoły rzymsko-katolickie w Petersburgu nie odznaczają się ani piękną architekturą na zewnątrz, ani ozdobami wnętrza. Najwięcej uczęszczanym jest kościół św. Katarzyny przy Newskim prospekcie. Marmoryzowane ściany, staranne kopie dobrych obrazów w ołtarzach, schludne posadzki i wygodne ławki wypełniają nawę; czystość i ład utrzymują się zapewne i dzięki temu, że publiczność modląca się należy do sfery inteligentnej. Ubogich bardzo mało; u stopni przedsionka spotyka się parę staruszek, hojnie obdarzanych przez publiczność. W czasie mszy św. zauważyłem wśród modlących się szczególną parę: on stał nieruchomo i rozglądał się po kościele, nie żegnał się, nie klękał; ona modliła się gorąco i z przejęciem przez czas nabożeństwa. U wyjścia zeszliśmy się znowu. Mówili po rusku, ona prosiła go o pieniądze, które dał chętnie i bez rachuby. Widziałem, jak obdarzała srebrnymi pieniędzmi staruszki. Zwiedzając kościół, spostrzegłem na uboczu szczupłą kapliczkę z prześlicznym posągim Matki Boskiej z Lourdes w ołtarzyku i mnóstwem marmurowych białych tabliczek naokół, stwierdzających po rusku lub po francusku cuda. Jeden ruski napis brzmi: „Bądź pochwalona, Maryo! Uratowałaś córkę naszą Maryę, którą doktorzy uznali za nieuleczalną. Bądź pochwalona“¹. Kapliczkę tę urządziły — jak się dowiedziałem — panie ruskie — i szczerą pobożność szuka sobie przystani w katolickim kościele.

Katedralny kościół znajduje się przy t. zw. pierwszej rocie, zaludnionej rodzinami polskimi i litewskimi. Dom Boży nie-

¹ Слава Тебѣ, Марія! Ты спасла дочь нашу Марію, uznанную врачами за нецѣлную. Слава Тебѣ.

wielki, nizki, dość ubogi, ale również schludny. Niegdyś był pono ulubioną świątynią katolików, ale brak księży, opróżnione fotele kapituły, coraz mniej uroczyste nabożeństwa ochładzały zwolna zapal wiernych. Za kościołem — ogród i dawny pałac poety Dierżawina, obecne mieszkanie arcybiskupa i siedziba nieznaney na Zachodzie instytucyi, niechętnie tolerowanej przez Watykan — kolegium katolickiego, które składa się z przedstawicieli różnych dyccezyi królestwa i cesarstwa. W duchu i myśli prawodawcy mieli oni być dla kościoła rzymskiego czemś analogicznem do tego, czem jest „święty synod“ dla prawosławia, w rzeczywistości zajmują się przeważnie kwestyami gospodarczymi i funduszów kościelnych.

Prawosławny kazański sobór, który uderza podobieństwem do bazyliki św. Piotra w Rzymie, jest rodzajem panteonu ruskiego. U wstępu kolumnady dwa posągi: Kutuzowa i Barkłaja de Tolli. Wewnątrz wielkiej nawy skonstruowanej w kształcie krzyża, olśniewa po prostu przepych i blask złota i srebra. Każda ikona obłożona złotą lub srebrną blachą. Srebrny lity ikonostas waży 48 pudów (768 kilogramów) — jest to dar kozaków dońskich, którzy srebro mieli odjąć Francuzom w 1812 r. Za ikonostasem najcenniejszy skarb wierzącej Rosyi — Matka Boska Kazańska, przewieziona w XVI. wieku do Moskwy a w XIX. do obecnej stolicy. Sklepienie soboru opiera się na kilkudziesięciu granitowych kolumnach o brązowych podstawach i głowicach. Kolumny, boczne ściany, narożniki obwieszane trofeami oręża ruskiego: pęki chorągwi w strzępach, znamiona i orły, laska marszałka Davoust, klucze miast zdobytych, między innymi złote klucze Warszawy i Gdańska, chorągwie i orły polskie — oto cenne ozdoby soboru. I tu na ustroni kryje się obraz naszej Częstochowskiej w drogocennej perlami i drogiemi kamieniami sadzonej złotej sukience — podobno dar którejś królowej polskiej. W soborze właśnie kończy się nabożeństwo. Basowe, ponure i groźne tony napełniają nawę. Małe gronko niewiast skupiło się przed otwartym ikonostasem, za którym biały jak gołąb pop odprawia służbę Bożą. Powietrze nasiąknięte dymem duszących kadzideł. Co chwila widzisz chylące się w pas

kobiety, które szybkimi ruchami ręki znaczą od prawego ramienia ku lewemu biodru ukośne krzyże. Inne kupują u stragana tuż w cerkwi cienkie woskowe świeczki, zapalają je i lepią na szerokich świecznikach. Wszystko to cokolwiek odurza i nastroja niewesoło. Opuszczasz progi świątyni. U wyjścia dwa szeregi ciemno ubranych od stóp do głowy zakonnic czy Sióstr miłosierdzia w grobowem milczeniu pochylają się przed przechodniem do pasa z niemą prośbą o datek.

Sobór Isakiewski leży w pobliżu Aleksandrowskiego parku i ministerjum wojny, a przedstawia się nader okazale. Trzy razy rozpoczynali carowie budowlę: dwakroć spłonęła, trzeci raz ją zdemolowano. Sobór zainicjowany przez Piotra I., rozpoczęty wedle planu Monferranda w 1818, skończony został dopiero w 1858. Jest to składkowa robota różnych czasów, stylów, gustów i ludzi. Aleksander I. i II. oraz Mikołaj I., wspomniany Monferand i Vitali, Brulov, Szebujew, Bruni, Clodt, Basin, Siemiradzki i wielu, wielu innych składali tu skarby grosza, wiedzy i sztuki. Doryckie kolumnady, renesansowa ornamentyka, romańskie zręby i bizantyńskie kopuły składają się wszelako na całość, może nietyle imponującą artyzmem, ile kolosalnością swoją. 112 potężnych granitowych kolumn utrzymuje gmach cały, oparty na granitowych, terasami ułożonych bazach. Zewnątrz i wewnątrz ściany wykładane marmurami; posadzka również z różnobarwnego marmuru. Główne drzwi brązowe — wypukłorzeźby wedle wzoru Vitali'ego — podobno co do wielkości i ceny materiału nie mają równych sobie na świecie. Barreliefy nad portykami, posągi ewangelistów i apostołów na pierwszym dachu świątyni, olbrzymie mozaikowe obrazy, drogocenny wielki srebrny model soboru w części zaprestolnej, bogato oprawne relikwie i ikony przed carskimi wrotami — wszystko to imponuje i zdumiewa. Jako osobliwość pokazują przewodnicy sześć pięciosząźniowych kolumn, okładanych malachitem i dwie także, obłożone *lapis lazuli* — jedyne w świecie. Jako osobliwość też dowiadujesz się, że wypukłorzeźba Vitali'ego „Św. Isakij i cesarz Teodozy“ zawiera sportretowane postacie Aleksandra I., carowej, Wołkońskiego, Olenina, Monferranda. Za

ikonostasem, dokąd nie wchodzi wojskowi i kobiety, olbrzymie, 30 stóp wysokości mające, malowane okno. Wyobraża ono Chrystusa zmartwychwstałego, wedle Rafaela. W groźnych i surowych oczach Boga-tryumfatora wielka siła działa wstrząsająco przy odpowiednim oświetleniu. Lęk mimowolny ogarnia duszę i do głębi przenika. Dodajmy do tego posępną całość świątyni, ponury mrok, wzmocniony wpływem chłodnych, ciemnych marmurów, woń kadzideł i ładanu, właściwą cerkwiom wschodnim, głuchą ciszę, wśród której każde stąpienie odzywa się jakimś jękiem złowrogim, dodajmy tajemnicze szepty niezliczonych zwiedzających, surowe malowidła, cały ten przepych ogromny, ale zimny jakiś, nieserdeczny, nielitościwy, niesłodki, a zrozumiemy, w jaki smutek spłyną te wrażenia, jaki zasieją niepokój, i jaką uczuwa się ulgę, gdy się nareszcie opuści wspaniałe grobowiec a po kilkuset żelaznych schodach wspina na górę, ku kopule. Bez tchu, z kroplistym potem na czole staje się o 330 stóp nad miastem. Tam rozległa galerya, a z niej widok na miasto. Ludzie jak mrówki, powozy jak dziecinne wózekzki, domy jak szkatułki. Nawa tylko stalowo-srebrną wstęgą snuje się, rozwiewając od siebie drobne wstażki w różne strony, w głąb miasta: Mojkę, Kanały, Fontankę, a za Nową bezbrzeżne morze szarą plachtą ginie na widnokręgu. Gęsto pomykają po tych taflach wodnych statki, sterczą nieruchome maszty, naokół zaś pełza, krząta się i zabiega mrowie ludzkie. Ani jeden głos z dołu nie dochodzi, a te milczące, skwapliwe ruchy drobiazgu ludzkiego stąd, z góry wobec silnego, chwiejącego z lekka ogromem kopuły wichru, jeszcze bardziej maleją i dusza napelnia się uczuciem małości życia, człowieka i dzieł jego wobec natury i Boga.

III.

— Powiedz mi — pytałem po powrocie do domu swego przyjaciela, pijąc zwolna poobiednią herbatę — czy słusznem jest wrażenie, jakie odniosłem dzisiaj? Patrząc na bogactwa, skupione w świątyniach, na surowe, czasem groźne oblicza Boga i Świętych, słysząc basowe, stłumione dźwięki śpiewów, czytając napisy takie, jak na kazalnicy soboru kazańskiego: „Słu-

chajcie mnie, bojaźni Bożej was nauczę“¹ — myślałem, że w tej religii i obrzędach dużo powagi, przepychu, dużo smutku i grozy, ale miłości i przebaczenia brak.

— Masz słuszność; stąd może choć w drobnej części płynie szukanie nowych dróg i nowych zasad w religii, stąd płynie wcale rozpowszechniona w Rosyi niewiara. Podczas gdy nasze kościoły w dni świąteczne tak przepełnione, że rzesze nabożnych przelewają się poza mury, w cerkwiach i soborach skupia się szczupła garstka kobiet i ludu. Ale w dni galowe i urzędowe uroczystości stroją się zamożni we wszystkie oznaki i ordery, a wielkie nawy soborów świecą się od udekorowanych i lśniących panów. Rząd popiera prawosławie, a urzędnik czy dygnitarz zależy od rządu i boi się go: idzie więc wówczas, gdy ma być widzianym. Wiara w Boga zresztą jest w Rosyi obecnie otwartą raną, która zatruwa soki i kazi mózgi. Już w 1848 r. najznakomitszy krytyk ruski Bieliński czynił Gogolowi gorzkie wyrzuty, że ten wierzy w „jakiegoś tam Boga“. Rusecy socjaliści różnych odcieni, rządy synodu, który essencyonalnie łączy religię z polityką i systemem państwowym, małe wykształcenie duchowieństwa, wpływ literatury — wszystko to kopie otchłań między wiarą, jako potrzebą dusz szlachetnych a wiarą, jako podporą systemu rządowego. „U nas, w Rosyi — mówi Rogożyn — takich, co w Boga nie wierzą więcej, niż w innych krajach razem wzięwszy“. „Ateistą tak łatwo stać się może ruski, łatwiej, niż każdy inny na świecie“ — potwierdza książę Myszkini. „A nasi nie żeby tak sobie stawali się ateistami, ale w ateizm uwierzą, jakby w nową religię, nie bacząc, że uwierzyli w nicość“². Najtęższe głowy nowożytnej Rosyi trzęsą się i chwieją jak liść osieczyny wśród tej rozpaczliwej agonii: jest Bóg, czy go niema? Znamienną w tym względzie jest powieść Dostojewskiego „Bracia Karamazowy“, gdzie tej kwestyi wiele stronic się poświęca. A czy t. zw. tołstoizm nie jest rezultatem męki duszy, znękaney wątpliwościami, „Ja, jak zbrodniarz. wiedziałem, że m żył i żyję

¹ Слушайте меня, страху Божию научу васъ.

² Dostojewskij u. s. „Idyota“, str. 586.

haniebnie, widziałem, że większość ludzi naokół tak samo żyje. Tak samo jak zbrodniarz wiedziałem, że jestem nieszczęśliwy i cierpię, i że naokoło ludzie cierpią i są nieszczęśliwi... I na wzór zbrodniarza wyglądałem strasznego mroku śmierci. A wtem dały mi się słyszeć słowa Chrystusa, zrozumiałem je — i życie i śmierć nie wydały mi się złem, a zamiast rozpaczcy poznałem wesele i szczęście życia, nie tknięte przez śmierć“¹.

Ba -- ale ten pisarz podsuwa nauce Chrystusa cel inny, jakoby ona zalecała ludziom dążenia do szczęścia ziemskiego przez rozum; nie wierzy w zmartwychwstanie ciał, lecz mniema, iż ci, którzy powstaną z martwych, będą synami Bożymi, zleją się z Bóstwem². A zresztą cały tołstoizm, jak to już nieraz podnosiła kompetentna krytyka, jest zlepkiem niezliczonych dogmatycznych błędów, prześrubowanych pojęć moralnych i skrajnych filozoficznych systemów. Jakie główne jest tego źródło? Oto prawosławie w dzisiejszej formie zamąca jasny pogląd na rzeczy i nie daje duszy zadowolenia i spokoju. Jedni idą do kościoła katolickiego i modlą się do Niepokalanej, inni toną w odmęcie błędów.

— Tak, prawda, że óma, której jest około stu milionów, wierzy ślepo; jednak Rosya — to nie jest ów tłum stumilionowy. Rosya — to właśnie tych kilka milionów inteligencji, która wszechwładnie rządzi, kieruje, ma w swej dłoni wojsko, bogactwa, ziemię, góry i lasy — niepodzielnie. A zresztą religijność mas ma swe źródło w potędze i grozie Boga przedewszystkiem. Pewnie — bać się Boga dobrze jest. ale kochać Go jeszcze lepiej. Jest tu w Kronsztadzie pobożny i dobry pop, Jan Kronsztadzki. Ten ostatniemi czasy udziela tłumom spowiedzi zbiorowej. Gromadzi się tysiąc lub więcej ludu; on przemawia, wymienia grzechy, oni biją się w piersi i żałują. Synod patrzy na to krzywym okiem, zbyt wiele bowiem taka praktyka daje pola miłosierdziu Bożemu.

Widuje się też często na ulicach robotników zwróconych

¹ Толстой: В чем моя вера. str. 4.

² Tamże str. 8, 195, 196.

w stronę soboru i bijących wśród żegnania się pokłony. Lud łąknie wiary.

Sfery interesowane drżą formalnie z gorącej chęci utrzymania tego ludu w ślepej wierze w prawosławie. U pisarzy, w gazetach znajdziesz nieraz kłutwy i zjadliwe odezwy o katolicyzmie. A przytem z jaką zawiścią i trwogą mówią i piszą Moskale o powodzeniu propagandy katolickiej ¹.

Ot, ustępek *à propos*. Rzecz w Londynie, autor Moskal nocą zabrnął do Gay-Market, gdzie tłumy upadłych kobiet szukały zdobyczy. „Wtem zauważyłem — powiada — niewiastę z pośpiechem przesuającą się w tłumie. Ubrana czarno, w kapeluszu, prawie zakrywającym twarz; nie zdążyłem się rozpatrzyć, pamiętam tylko oczy. Odezwała się niewyraźnie łamaną francuzczyzną, wetknęła mi kartkę w rękę i szybko się oddaliła. U okna kawiarni odczytałem kartkę: był to maleńki kwadratowy świstek; na jednej stronie wydrukowano: *Crois-tu cela?* Na drugiej po francusku: „Jam jest zmartwychwstanie i żywot“... i t. d. Prawda, to dość oryginalne? Mnie wyjaśnili potem, że to propaganda katolicka, myszkująca wszędy, uparta, ciągła. Rozdają się te papierki po ulicach, książeczki, złożone z wyjątków Pisma św., dają się darmo, natrętnie, wciskają do rąk. Propagatorów — mężczyzn i kobiet — bez liku. Propaganda sprytna i dowcipna. Ksiądz katolicki sam wyszuka i wcisnie się do ubogiej rodziny jakiego robotnika. Znajdzie np. chorego, leżącego w łachmanach na wilgotnej podłodze, otoczonego dziećmi z głodu dziećmi a często i pijaną żoną. Nakarmi ich, odzieje, ogrzeje, zacznie chorego leczyć, kupi lekarstwo, staje się przyjacielem domu — i w końcu nawraca wszystkich do katolicyzmu. Niekiedy po wyzdrowieniu pędzą go, klnąc i bijąc. Ale on nie ustaje i idzie do drugich. Pędzą go i stamtąd: on wszystko zniesie, byle tylko kogo nawrócić“ ². Prawda, że to niezłe świadectwo w ustach zaciętego Moskala a przytem wroga katolicyzmu.

¹ Ob. *Nowoje Wremia*, r. VI, nr. 8.029.

² Dostojewski, „Pisma“, t. III, cz. II, str. 37—38.

IV.

Wieczór nadchodzi, więc czas w dalszą drogę. Wybierajmy wyspy, teatr czy Pawłowsk? Za chwilę pruliśmy parowcem fale Fontanki, potem Newy — ku wyspom i morzu. Mijamy wyspy: Krestowską, Kamienną, Jełagina. Na pierwszej niezliczona ilość letnich domków; ostatnia jest własnością domu panującego i przechodziła różne koleje. Niegdyś były tu błota i moczary.

Jełagin, marszałek dworu Katarzyny II., otoczył wyspę wałami, zalesił, wytrzebił aleje, słowem uczynił ją wdzięcznym ustroniem, w którym latem jachtami, zimą saniami licznie zbierała się rozbawiona arystokracja. Tak zw. „pikniki“ ich uwiecznił poeta Dzierżawin. Tu w rozległych podziemiach pałacowych wywoływał duchy i czynił swe praktyki Cagliostro, tu po przejściu wyspy z początkiem wieku na własność dworu, mieszkał nieraz Aleksander I., II. i III. Tu i dziś, zwłaszcza około t. zw. Strzałki, zazwyczaj rojno i gwarno. A Strzałka ma swoje dzieje. Około r. 1830 hrabina S-wa, lwica i królowa petersburskich salonów, spędzając letnie miesiące w Sławiance w pobliżu Carskiego siola, tak dalece umiała znęcić do siebie arystokrację, że Carskie siolo pustoszało. Mikołaj polecił jej sprzedać Sławiankę. Uległa, ale pewnego razu oczarowana ślicznym widokiem ze Strzałki na fińską zatokę, zachwycona śpiewem słowików i tęskną pieśnią rybaka, postanowiła zamienić wysunięty w morze wiszar na letni salon. Odtąd rzesze wielbicieli, a za nimi cały wyższy świat stolicy zaludniał i dotąd zaludnia wyspę — osobiwie Strzałkę. Podziwialiśmy także z niej dal szklistą, poczem wsiadłszy do łodzi wypłynęliśmy na morze. Wieczór był cichy, fala gładka, niebo czyste, zaćmione niekiedy chyba stadami kaczek, które się niosły z wyspy na wyspę. Z oddali dochodziły nas rzadkie nawoływania rybaków, zarzucających wielki niewód na łososie, niekiedy ukazał się na widnokręgu punkt ciemny mknącego statku — zresztą jakoś dobrze i spokojnie i prawie wesoło. Po godzinie jazdy wróciliśmy i przybili do wyspy Krestowskiej. Tu ludek letniczy ma ogród, pełen niespodzianek. Podążamy za innymi na *gulanie*. W ogrodzie parę

tysięcy ludzi już się bawi. Zupełnie jak w zoologicznym: na odkrytej scenie ogrodowej jakaś mizerna komedyjka, na uboczu orkiestra, kolej dyabelska, strzelanie do celu, bufet, a w oddzielnym budynku i za dopłatą znów dwie orkiestry — wojskowa i węgierska, znów bufet, wielka sala, której ściany oblepione pornograficznymi litografiami — i t. zw. *divertissement*. Tancerki, śpiewaczki i jongleurzy — wyłącznie prawie francuscy, zmysłowe ruchy, bezwstydnne stroje, balet, pobudzający zmysły, śpiewki lubieżne i ohydne — i na to patrzy, tego słucha kilkuset ludzi z lepszego towarzystwa petersburskiego do 1 w nocy. Dla estetyki, dla piękna i prawdziwej sztuki niema nic.

W następnych dniach bywaliśmy i w innych teatrach letnich: w Nemetti, Akwarium — wszędzie tos amo z małą różnicą. Tu operetka niemiecka, tam choreograficzne popisy podkasanej muzy, owdzie sztuki magiczne. Dramat, salonowa komedia, repertuar narodowy i klasyczny jakby nie istniały. Ale to w lecie. W zimie dają się poważne przedstawienia opery i dramatu. W lecie zaś rozpasanie takie bywa po części wynikiem nieszczerzonych obyczajów, po części wpływem warunków klimatu. Trzeba wiedzieć, że t. zw. białe noce petersburskie i połączona z nimi bezsenność szalenie rozstrajają nerwy. Miasto pozornie czynne, wesołe, rozbawione w istocie cierpi na setki chorób, pośród których szal nerwowy, rozmięczenie mózgu, klikuszki i t. p. zabierają mnóstwo ofiar. Stąd ochota do widowisk lekkich a unikanie sztuk posępnych. Więc też śpiewaczki i ekwilibryści z całego świata zbiegają się tu w sezonie letnim i mają swoje eldorado. Zmęczeni, przesyleni i znudzeni opuszczaliśmy po północy ogród.

Ludność na Krestowskiej i Wasilewskiej wyspie przeważnie robotnicza, a robotnikami głównie Finnowie. Kraik ich z 8 gubernij złożony stanowi jedyną część europejskiej Rosyi, która zachowała samorząd, a dodać należy — warta tego, bo umie go obronić i utrzymać. Wielkie księstwo posiada swój sejm, swój senat, swój bank, swój uniwersytet, własnego generał-gubernatora, nawet własnego ministra, który sprawy kraju bezpośrednio przedkłada carowi, swoją własną monetę, swoje

prawo państwowe, nawet hymn narodowy: *Vårt land*. Ma ono uczonych, jak Mechelin, Palmen, Hermanson, Montgomery, Skallon, Wrede, Danielson, poetów jak Runeberg i Topelius, a co najważniejsza — ma dużo wybornych szkół, powszechny dobrobyt, świetnie rozwinięty przemysł i handel, rozmiłowaną w pracy ludność, wysoką kulturę roli, doskonałe bydło i konie, nie mówiąc już o kupieckiej marynarce. Do tych wszystkich *habet* dodać trzeba jeszcze jedno: brak socyalistów i Żydów. Ludność Wyborga np. syta, zadowolona, na ulicach porządnych i czystych nigdzie pijaka, nigdzie żebraków, dorożkarz — niepozornie ubrany, przy obrachunku — pewną, nawykłą ręką wyjmuje złoty zegarek na złotym łańcuchu. Petersburg korzysta z dzielnych sąsiadów, a i oni, jak to mówią, nie w ciemną bici. Sprzedają drogo doskonały zresztą nabiał, służą jako żeglarze i sternicy, pośredniczą w handlu między kupiectwem finlandzkim a petersburskim, na czem obie strony dobrze wychodzą, gdyż kupcy petersburscy nie potrzebują płacić słonych cel, a finlandcy — zbywając *en gros* mogą zarabiać dużo nawet przy nieznacznym procencie zysku¹.

A gdy się widzi cały dobrobyt kraiku, jaka budzi się ciężka i bolesna dla Polaka myśl, żeśmy niegdyś te same posiadali przywileje, żeśmy je stracili w Królestwie, w znacznej części dzięki nienawyknieniu do wytrwałej i nieustannej pracy. Nie zawadzi wszelako pamiętać, jak znaczną rolę w rozwoju kraiku odegrał helsingforski uniwersytet, założony w 1640 r. Stał on się w bieżącym wieku nie tylko wyższym zakładem naukowym, lecz i ogniskiem uczucia narodowego, sercem kraju. W łonie jego zaczęła się agitacja, dążąca do zaprowadzenia sejmów, z jego łona wyszła w 1848 r. myśl zastąpienia hymnu ruskiego narodowym. Wprawdzie od 1828 polecano nieraz, aby przy uniwersytecie byli lektorowie języka rosyjskiego, historii i prawa, ale grono profesorów umie się tak urządzić, że egzamina obchodzą się bez rosyjskiego, katedry prawa i dziejów

¹ O stosunkach kupieckich *Nowosti i Birżewaja Gazeta* z 7 sierpnia 1898 — fejeleton.

nie obsadzone, a historia Rosyi stanowi dodatek do historii kraju ojczystego. Moskale wiedzą o tem, gazety często piszą, gniewliwie i ostro krytykują jako stanowisko państwa w państwie¹, lecz niewiele mogą szkodzić, gdyż zbyt głośno car Mikołaj zatwierdził Finlandczykom ich przywileje. Tak to pod samym Petersburgiem żyje szczęśliwy i zadowolony ludek, którego srogie jarzmo ucisku skruszyć nie zdołało — dla nas przedmiot zazdrości i wzór do naśladowania.

V.

Nazajutrz wybrałem się w godzinach porannych zwiedzić bibliotekę i zakłady naukowe. Cesarska biblioteka leży przy Newskim. Budowla ogromna zajmuje 20.000 stóp kwadratowych przestrzeni, ale bez jednolitego stylu, gdyż od r. 1812 dobudowywano kilkakrotnie różne rzeczy w miarę potrzeby. Za to wewnętrzne urządzenia zupełnie odpowiadają wymaganiom dzisiejszym: czytelnia wielka, widna, dobrze ogrzewana, oświetlona elektrycznością, otwarta cały dzień do 9 wieczór. Zbiór ksiąg ogromny. W roku 1867 liczyła biblioteka 1,044.405 tomów, 34.178 rękopisów, 85.691 rycin. Ostatnie sprawozdanie z r. 1894 stwierdza, że wciągu roku powiększyła się biblioteka o 37 tysięcy tomów. drogą darów i zakupna. Podstawie księgozbioru służyła, jak wiadomo, wzięta w 1795 roku z Warszawy księżnica Załuskich. Nie było to jedynem dziełem gwałtu: każda część zbiorów ma swą historię. Oto półki, które się tu znalazły dzięki oblężeniu Bastylli, oto inne zdobyte po szturmie Achańczy, te znów zagrabiono z klasztorów, kościołów, meczetów lub zakładów naukowych. Mauzolea, kurhany, ołtarze składały swą daninę, aby powiększyć całość. Ukazują księgozbiór Woltera, liczący 7.000 tomów i rękopisów, księgozbiór zgasłego niedawno ministra Delianowa i inne. Oprócz ksiąg i rękopisów posiada biblioteka swoje osobliwości, zwłaszcza wśród drogocennych wydawnictw. Takim jest przepyszne wydanie *Il tesoro di san Marco in Venezia* i drugie

¹ Ob. np. *Nowoje Wremia* r. 1898 z dnia 16 sierpnia, albo dodatek do tegoż pisma z 13 lipca b. r.

dzieło prof. Kondakowa: „Dzieje i pomniki bizantyńskiego emaliowania“, które kosztowało wydawcę 120 tysięcy rubli, albo też 9 poematów w kształcie książki, wyszytych jedwabiem.

Ruch dość znaczny: przez ciąg 1894 r. pracowało w czytelni 14 tysięcy ludzi i wydano 327 tysięcy tomów¹. Moskale dumni są z bogactw książkowych: obliczają miliony rubli, zamknięte w murach, wyrachowali nawet, że gdyby półki, mieszczące księgi, wyciągnąć w jedną linię, długość tej ścieżyny wynosiłaby 15 wiorst.

Próżność rachunku świadczy wyraźnie o dorobkowiecu. Zwiedziwszy bibliotekę, nająłem „wańkę“ na czas dłuższy i kazałem się wieźć do zakładów naukowych. Spędziłem kilka godzin w pracy tantalowej zaprawdę. Obszedłem z góry do dołu kilkanaście gmachów potężnych, na teraz pustych, bo czas wakacyjny, nie mniej przeto pomimo ciszy i pewnego otręwienia, zdumiewających mnogością środków, za pomocą których wtłacza się wiedzę w głowy studentów. Oprócz dwóch akademii duchownych — katolickiej i prawosławnej — ma stolica akademie wojenne: medyczną, głównego sztabu, mikołajewską, inżynierską, michajłowską, artyleryjską, morską i wojenno-jurydyczną. Nadto: Uniwersytet, instytut inżynierów komunikacyi, technologiczny, górniczy, budowniczy, leśny i historyczny. Niezależnie od tego jest liceum prawowiedów, (prawoznawstwa), liceum aleksandryjskie i szkoły paziów — dwa zakłady przeznaczone dla rodowej szlachty i przygotowujące urzędników ministeryum sprawiedliwości i spraw wewnętrznych, t. z. administratorów, trzeci zaś oficerów gwardyi. Razem tedy dwadzieścia wyższych zakładów naukowych w jednym mieście, a we wszystkich corocznie kształci się około 10 tysięcy młodzieży. Każdy zakład posiada duży gmach, obszerne i dobrze oświetlone sale, liczne grona nauczycieli i — własne muzea. Ponad wszystkim góruje akademia umiejętności z biblioteką, liczącą $\frac{1}{2}$ miliona tomów i gabinetami: zoologicznym, mineralogicznym, anatomicznym, etnograficznym, egipskim, numizmatycznym

¹ Jagiellońska wypożyczyła w r. 1897 6.000 dzieł, a z czytelni korzystało 2.332 ludzi.

i azyatyckim. Osobliwością jest nader cenne muzeum instytutu górniczego, gdzie ukazują sztuczną kopalnię uralską, a wśród kolekcji minerałów akwamaryn $\frac{1}{2}$ łokciowej długości, dziesięciopuntową grudkę platyny i odłam malachitu, ważący 1.600 klg. Niewątpliwie interesującym jest muzeum intendentury, zawiera bowiem ogromny zbiór wzorów społecznego umundurowania i uzbrojenia; dalej nowy arsenał, gdzie są składy broni, dawny i społeczny oręż, różne znamiona i trofea. Każda sala nosi nazwę jednego z monarchów. W sali Piotra wielkiego widzę jego broń, skórzaną koszulę, kabriolet i inne drobiazgi. Całości dopełniają mundury chińskie i japońskie, tureckie tarcze, szable polskie, chorągwie i orły podbitych ludów, jedwabne tureckie sztandary, plany zajętych fortec, nareszcie zbiór mundurów i butów wszystkich carów od Piotra do Aleksandra III. Podobnem do arsenału jest t. z. artyleryjskie muzeum Aleksandra w petropawłowskiej fortecy. Są tu zebrane przedmioty, które służyły do uzbrojenia rosyjskiego wojska od czasów najdawniejszych do społecznych. Spotykam więc łuki — samostrzały, kusze i proce, pociski do kamieni, pierwszą ognistą broń z 1389 roku, piszczele o nazwach najosobliwszych, jak nosorożec, wilk, lew, nawet Achilles z emblematami zwierząt, ptaków i ludzi. Jest między innemi działo Jermaka, zdobywcy Syberyi, jest działo Mazepy, Pugaczewa, działo z pod Plewny i z Szyпки. Zajmujące są szybkostrzelne organki i działka gwintowane z 16 wieku, nadto mnogość łuków, strzał, kopii, toporów, rohatyn, halabard, łat, koleczug, napierśników, naramienników, nagolenników, szyszaków, hełmów i t. p. I tutaj jak w soborze kazańskim lub arsenale widzę polskie chorągwie, proporce i orły. Mój cicerone wskazuje mi mundur Fryderyka Wielkiego, jakąś starożytną chińską armatę, żelazne strzały pierzaste, a także działo miedziane z czasów Michała Fiedorowicza z napisem łacińskim. Napis brzmi: *Magno domino tzari et magno duci Michaeli teodrowits omnium ursorum*. (Zapewne miało być: *omnium rusorum*). Wyborne jest to „wielkiemu narodowi wszystkich niedźwiedzi“ — jako żart jakiegoś zagranicznego mistrza.

Kiedy wreszcie około 5 godziny po południu, śmiertelnie

strudzony chodzeniem i oglądaniem tylu przedmiotów, jechałem do domu, myśl moja zwracała się uparcie do ojczyzny. Czemu u nas takie ubóstwo środków, taka niechęć do muzeów i zbiorów, takie zamykanie pamiątek przeszłości w stolikach i gablotkach pokojowych. A tutaj zdumiewa urządzenie i zaopatrzenie wyższych zakładów, chociaż co prawda wojskowość nad miarę przeważa. Nie omieszkalem po powrocie podzielić się tą uwagą ze swym przyjacielem. Rozmowa nasza zesła na oświatę w Rosyi, znalazły się pod ręką niektóre daty, a ponieważ kwestya zajmująca, streszczyć wyniki, przepraszając z góry czytelnika za trochę cyfr. Wyższe zakłady naukowe w Rosyi, a specyalnie w Petersburgu, gdzie ich najwięcej, są istotnie świetnie uposażone.

Uniwersytet petersburski otrzymuje corocznie 407 tysięcy rs., wojenna akademia medyczna 530 tysięcy rs., moskiewski uniwersytet 945 tysięcy rs. Na rozszerzenie i wewnętrzne urządzenie lokalów technologicznych instytutów w Petersburgu, Charkowie i Moskwie asygnował rząd w r. 1897 półtora miliona rubli, dając niezależnie od tego $\frac{1}{2}$ miliona rubli dodatkowo na utrzymanie do sum już przeznaczonych. Właśnie obecnie organizuje się takż instytut w Kijowie. Preliminarz wydatków, pokrywających tę organizacyę jest taki:

w r. 1899	520.000	rs.	
„ 1900	103.000	„	
„ 1898	50.875	„	na utrzymanie zarządu,
„ 1899	147.937	„	
„ 1900	229.325	„	
„ 1901	297.612	„	
„ 1902	346.700	„	

Prócz tego na przygotowanie profesorów w obrębie tych pięciu lat co rok 72 tysięcy rs. i na stypendya dla studentów corocznie 15 tysięcy rs. Z tego rachunku wynika, że całkowita organizacya politechniki będzie kosztowała 2,130.449 rs. czyli około 3 milionów złotych rs.

Rząd hojnie sypie groszem, aby zapewnić instytucyom wygodę i należyłą renomę. Dość powiedzieć, że każdy kończący

kurs w r. 1896 kosztował w petersburskim uniwersytecie 930 rs., w charkowskim 1.928 rs., w moskiewskim 1.442 rs., w instytucie komunikacyi 1.634 rs., w górniczym 3.766 rs., w wojenno-medycznej akademii 4.315 rs., a wreszcie w instytucie historycznym w Petersburgu 10.664 rs.

Przy takim szczodrem wydzielaniu grosza na zakłady naukowe — rzecz dziwna — nie prosperują one, jakby należało mniemać. Akademia duchowna prawosławna zacieśnia się coraz bardziej w sferze ortodoksyjnej wyłączności, a najczęściej konkursowym jej tematem bywa traktat o błędach kościoła rzymskiego. Akademia medyczna miała swoje świetne czasy; ale te minęły. Część profesorów wymarła, jak Botkin, Czudnowski, Danilewski, część zamieniono, protegując nie siły wybitne, lecz „blagonadiożnych“ Moskali. Toż samo stało się ze znakomitym niegdyś uniwersytetem petersburskim. Wymarli lub przeszli na inne stanowiska: Mendelejew, Mienszutkin, Butlerow, Czebyszew, Niezielonow, Spasowicz, Ternier, filozof Sołowiow, a grono profesorskie odnawia się często i zasób zdolnych sił nie łatwo się kompletuje. Obecnie jednym z najzdolniejszych jest podobno Sochocki, wykładający wyższą matematykę.

Napływ młodzieży do wyższych zakładów jest niemały, jednak utrudnienia w przyjęciu liczne. Wyznacza każdy zakład z góry ilość wolnych miejsc, a ponieważ zgłoszeń bywa zazwyczaj dwa razy tyle, następuje przeto egzamin konkursowy, który zapewnia wstęp do szkoły tylko najzdolniejszym lub protegowanym. Za to ci, co pokończyli wyższe nauki, zwłaszcza w specjalnych instytutach — szybko awansują: zostają w 30 roku pułkownikami lub „poczotnymi sowietnikami“, w 40 radcami stanu — i idą „w generały“. Jestto zresztą rajskie marzenie każdego Moskala; piastunki kołyszą do snu niemowlęta uroczą piosenką: „w złocie chodzić będziesz, generałem zostaniesz“¹. A być w Rosyi generałem — to znaczy należeć do faworyzowanej przez cara i przyrodę klasy ludzi, która związana ze sobą i z carem w ścisły i nierozzerwalny sojusz. Jeden za wszystkich i wszyscy za je-

¹ Будешь въ золотѣ ходить, генеральскій чинъ носить.

dnego — zawsze i wszędzie bez względu na okoliczności. Są to jednym słowem podpory rządu, a szkody powyższe są dalszą gałęzią rządu, kolebką ducha despotycznego — i tem się właśnie tłumaczy ich pyszne urządzenie. Oświata ogółu właściwie niema z kształceniem i forytowaniem narzędzi kliki nie wspólnego. Na sto dwadzieścia milionów ludności istnieje w Rosyi zaledwie 200 średnich szkół, tzn. jedna szkoła na 600.000 mieszkańców. Zajmującą jest następna tabliczka:

W rygskim okręgu naukowym przypada 1 szkoła średnia:

	na	250.000	mieszkańców
w petersburskim	„	291.700	„
w odeskim	„	450.009	„
w warszawskim	„	476.000	„
w kijowskim	„	750.000	„
w moskiewskim	„	760.000	„
w kaukazkim	„	1,000.000	„
w wileńskim	„	1,100.000	„
w kazańskim	„	1,500.000	„
w orenburskim	„	2,000.000	„

Liberalne pisma wołają ciągle o podniesienie oświaty ludowej, o wyższe wykształcenie popa i nauczyciela, o poprawienie bytu tych dwóch kategorii ludzi, a jak dotąd wołają nadaremnie. „Obecne życie dowodzi — pisze *Nowoje Wremia* — że wyrwać ludowe masy z wiekowego mroku — staje się rzeczą nieodzownej konieczności. Jeśli na zachodzie bez względu na wysoki poziom i ciągly postęp oświaty szlachetni myśliciele przerażają się wobec rozbratu inteligencji i mas ludowych, to tem większa obawa rozbratu zachodzi u nas, gdzie lud dotąd znajduje się jak gdyby w epoce Gostomysła, a inteligencya bardzo spieszenie podąża za postępem zachodu. Jeżeli gdzie można i trzeba mówić o intensywności oświaty szkodliwej dla spojni, w przeciwstawieniu do jej ekstensywności, to mianowicie u nas, gdzie wkrótce może nastąpić, a kto wie, czy już nie nastąpił, stan, że wyższe klasy ogółu swem wykształceniem, sposobem życia, nawyknienniami tak odbiegają od mas ludowych, iż przy najszeccerszej woli utraci się wszelką możliwość podtrzymania wzajemnego stosunku po-

między tą dziecą a inteligencją, oddzieloną od pierwszej niemal całą przepaścią postępu ludzkości. Każdy krok naprzód naszych sfer wyższych staje się tem samem krokiem wstecz ludowego tłumu, rozstęp się coraz powiększa i tak będzie dopóty, dopóki siły i środki naszych akademii będą wyprzedzały rozwój sił i środków elementarnego wykształcenia ludu. Czyż potrzeba wyjaśniać całą zgubność otchłani między ludźmi, tego błędzenia wykształconych jednostek pośród tłumu wychodźców z epoki kamiennej“. Pisma liberalne wołają o sto milionów na oświatę ludową. Ale zdaje mi się, że wezwania te pozostaną długo jeszcze głosem na puszczy, gdyż podniesienie oświaty musiałoby obudzić u ludu świadomość własnej siły, musiałoby wzniecić potrzeby i pożądania, nie wiele wspólności mające z olbrzymim apetytem a jeszcze większem gardłem klasy rządzącej.

A zatem wyższe zakłady naukowe w Petersburgu — to nie oświata; dla niej robi się mało, a rząd — jakby świadomie — odgradza się murem chińskim od ludu, jakby umyślnie nie wiele się nim zajmuje; nie szczędzi grosza na najwyższe zakłady, gdyż one dostarczają nowych zastępów potężnej armii rządzącej. Pośród niej oczywiście pewnym monopolem władzy cieszą się wojskowi, co tłumaczy taką mnogość wojskowych akademij.

(Dok. nast.)

A. Mazanowski.

VASILE ALESSANDRI

KSIAŻE PIEŚNI RUMUŃSKIEJ.

(Dokończenie).

VII.

Alessandri próbował swych sił i w poezji epicznej. Kilka-
naście mniej lub więcej ważnych utworów epicznych wydał
w tomiku zatytułowanym ogólnie: „Legendy“.

Legendy te, powieści męstwa i wielkości, wyjęte są z życia
i przeszłości narodu; w nich pokazuje się on przeważnie pa-
tryotą, gorącym wielbicielem wieków minionych i zgasłych cnót.
W przeszłości wojewodów, w dzikich czasach Stefana V. lub
Michała, zawsze i wszędzie znajduje sposobność do sławienia
ukochanego kraju, często rozumie się kosztem subiektywnej
bezzstronności.

I te legendy możemy na dwie części podzielić: do pierw-
szej, więcej lirycznej, należą wszystkie utwory wyjęte z baśni
ludowych i podań, jak np. „Legenda jaskółki“ lub „Legenda
skowronka“; w drugiej znajdziemy odmalowaną historję kraju.

W legendach części pierwszej odgrywają podobnie jak
w „Dumkach i konwaliach“ wielką rolę przemiany istot, czarno-
księstwo, los i t. p.; w każdym razie są one wyższe od tam-
tych pięknoscią języka i przeprowadzeniem podjętej myśli.
W „Legendzie jaskółki“ darowuje rusalka młodej dziewczycy, Ja-
skółce, suknię utkaną z gwiazd i światła, przestrzegając ją za-

razem, że jeżeli się tylko na chwilę z suknią rozstanie, spotka ją wielkie nieszczęście. Lekkomysłna dziewczica porzuciła jednak kiedyś swą szatę; w tej chwili nadleciał smok i porwał dziewczynę, która w jego ramionach przemieniła się w jaskółkę. Z sukni z gwiazd i promieni powstała roślina, którą jeszcze dzisiaj lud rumuński nazywa *rochita rinduneli*, sukienką jaskółki (powój polny).

Ważniejszymi dla naszego studium są poezye epiczne, których przedmiotem jest przeszłość narodu. Pominawszy kilka mniejszych balad lub powieści, odznaczających się szlachetnością idei, jak „Księżniczka Anna“ lub „GruŃ-Sânger“, w którym syn-rozbójnik, co zabił ojca, po wielkich doświadczeniach w niebie przebaczenie znajduje, mogą nas najwięcej zainteresować dwa utwory: „Czerwona dąbrowa“ i „Dan, król gór“. Z treścią „Czerwonej dąbrowy“ zaznajomiliśmy czytelnika już dawniej¹; przypatrzmy się Danowi.

Dan, jeden z starych rycerzy, słyszy jak dęby wieczorem szepcą między sobą o napadzie Tatarów, którzy w krwi chrześcijańskiej się pławią a dziewice mołdawskie w sroższą od śmierci niewolę uwodzą. Rozgniewany starzec przywdziewa zbroję, woła swego przyjaciela, dzikiego Ursana, i obaj wsiadłszy na konie, które im córka Ursana, Fulga, ze stepu przywiodła, wyruszają przeciw wrogom. W groźnej walce, w której obaj Rumuni cudów męstwa dokazują, ginie Ursan a Dan dostaje się do niewoli. Han Giraj obiecuje mu wolność i życie, byle się wyrzekł wiary, ale Dan ani słyszeć o tem nie chce. Poganin podziwia jego stałość i na prośby rycerza pozwala mu przed dożywotnią niewolą udać się jeszcze do granic Mołdawii i ucałować ziemię ojczystą. Tak też czyni wierny swojemu słowu szlachetny mąż, lecz kiedy wrócił do hana, skonał u progu jego namiotu.

Jak w pierwszym tak i w drugim tem dziele znajdują się pojedyncze, prawdziwie po mistrzowsku wykończone ustępy. Postać Dana, żyjącego wspomnieniami przeszłości, przedstawia nam się jak żywa, wykończona w każdym szczególe: „Stary

¹ *Przegląd Powszechny*, t. LVI, str. 333 i nast.

Dan żyje jak samotny sokół w skalistej grocie na lesistej górze i patrzy z radością, jak słońce wschodzi i daje życie świetlane ciepłym pocałunkiem i patrzy ze smutkiem, jak słońce zachodzi... tak i on gaśnie po dniach wielkich i szczęśliwych". Wiecznie samotny, ostatni z lat dawnych jak odosobniona skała na górskich stokach, widzi on gdzieś w dali obraz minionej młodości i tęskni za nią, a pobielone góry jak i on pochylają się w cierpieniu.

A jakiż to dzielny charakter! Ledwo posłyszał, że Tatarzy wkraczają, a już do walki spieszy i prosi tylko Boga o to, „aby stara ręka pałasza wtenczas dopiero udźwignąć nie mogła, gdy serce bić przestanie, a serce wtenczas bić przestało, gdy już nieprzyjaciół będzie pogiębiony". Samowtór z Ursanem, nie licząc szeregów nieprzyjacielskich, rzuca się na Tatarów, walczy zacięcie i dopiero gdy Ursan padł i jego samego strzała zraniła, dostał się do niewoli. Ta walka tak wspaniale opisana, że i u największych poetów trudno o piękniejszy ustęp. A jaką siłę ducha pokazuje nam Dan, kiedy wezwany do zmienienia wiary, odpowiada bez zastanowienia się: „Karpaty przed burzą nie uginają się — ja Dan, przed burzą losu ugiąć się nie myślę. Hańba, to rdza na zbroi mężnego, to robak, który z kory soki wysysa. Kto się shańbić pragnie, niech się shańbi; ja nie chcę plamy na mej zbroi ni na mej twarzy. Wiek cały żyłem czysty na ojczystym błoniu i spokojny, z jasną twarzą zgasnąć myślę. Mnie uczył Stefan — odpoczywanie rącz mu dać Boże — abym wiódł życie bez hańby i nagany". A i ostatnia prośba Dana, o której mówiliśmy powyżej, objawia nam w tej potężnej postaci umysł szczery i serdeczny.

Są więc pojedyncze ustępy niezrównanej piękności, a jednak całości wiele zarzucić trzeba. Dan i Ursan napadają sami na całe wojsko tatarskie, setki Tatarów ściele się u ich nóg, a nikt się nie odważa walczyć z nimi. Dan zostaje nawet sam jeden zraniony, bronią władać nie może, a całe wojsko wrogów stoi przed nim i lęka się go. Jestże to możliwe? Z prawdopodobieństwem Alessandri nigdy się nie liczył, piękno znachodzi się u niego zawsze w granicach niemożliwości i jest w sprzecz-

ności z prawami natury. Wprowadza też poeta w ciąg swego dzieła i Fulgę, córkę Ursana. Dziewczyna ta o jedwabnym włosie i żelaznej ręce, przylatuje na dzikim koniu na plac boju i porywa ze środka nieprzyjaciół zwłoki swego ojca, a nikt jej nie przeszkadza. Czyż i to jest możliwem? Czy ostatecznie Fulga jest potrzebną w pieśni? Mimo więc dobrego rozwinięcia i akcji, mimo silnego i pięknego języka i precyzyjnych, pojedynczych ustępów, całość pozostawia wiele do życzenia. A nie trzeba sądzić, że ten zarzut da się zastosować jedynie do niniejszego utworu; przeciwnie, błędy te powtarzają się we wszystkich epicznych dziełach rumuńskiego poety.

Uderza nas w tych samych utworach dalej wszelki brak symetrii i rozłożenia pojedynczych części. Weźmy np. „Czerwona dąbrowa“. Stefan zwycięża Olbrachta i do pługą wprężonymi Polakami orze ziemię, w którą zasiewa żołądziej. To jest krótka treść poematu, składającego się z ośmiu pieśni. Tymczasem aż w pięciu pieśniach widzimy przygotowania do walki i przysłuchujemy się wyliczaniu wojska, w szóstej widzimy szturm, w siódmej toczy się sama walka, a dopiero w ostatniej wychodzi na scenę oranie. Jest to szczyt dysharmonii i braku kompozycji. Gdzie się więc poeta porywa na dzieła obszerniejsze, tam zawsze ściera się z techniką i wychodzi, niestety, zwyciężonym.

Błądzi Alessandri również w szkicowaniu charakterów. Charaktery historyczne są u niego zupełnie chybione, bo stoją w sprzeczności z prawdą historyczną. Czasami nawet, mimo tego że chce jakiś charakter w najlepszym świetle przedstawić, każe mu popełniać czyny wcale niebohaterskie. Że tu wspomnimy tylko z „Czerwonej dąbrowy“ o scenie, w której Stefan znajduje się w bezpiecznem oddaleniu od pola walki — w chwili gdy wojsko polskie zostało pokonane i rozbite, rzuca się on wraz z bojarami na pobitych i po części rozbrojonych już Polaków. I zamiast nam dalej te charakterystyki rozwijać w czynach i działalności ich w akcji pokazać, to całą ich wartość zasadza na słowach — za wiele epitetów, za wiele aureoli, za mało czynów, życia i natury ludzkiej. Te niedostatki są tak rażące, że

na prawdę trudnoby było czasami powiedzieć, kto jest bohaterem poematu, gdyby się tego już skąd inąd nie wiedziało. Stąd mógł zupełnie słusznie zauważyć jeden z profesorów jasskich, że na zapytanie, kto jest bohaterem w jakimś dziele, trzebaby koniecznie odpowiedzieć: widzę tylko postacie, ale nie widzę bohatera.

Wreszcie zbyt wiele jest w tych utworach sprzeczności, wiele niedokładności, brak jedności; cudowność, której bynajmniej nie odmawiamy prawa bytu w literaturze, odgrywa tu jednak rolę zbyt wielką a wcale nie umotywowaną, bo pełno w poematach upiórów, błyszczących krzyżów, tajemniczych znaków, tak, że prawdopodobieństwo jest zupełnie pominięte.

Na terenie więc poezji epicznej, z wyjątkiem jednego może „Dana“, nie pozostawił Alessandri nic pomnikowego.

VIII.

Historya teatru rumuńskiego, dla którego Alessandri pracował nietylko piórem, ale także i bezpośrednio, obejmując około 1844 roku dyrekcję amatorskiego teatru w Jassach, rzuca nam wiele światła na zrozumienie dzieł dramatycznych poety.

Pierwsze początki teatru rumuńskiego miały charakter zbyt ciasny; w przedstawieniach występowali jedynie amatorzy, przeważnie dzieci wysokich i poważnych familij; sztuki przedstawiano w salonach książąt lub bojarów, gdzie nie dla każdego wstęp był otwarty. Przy owych pierwszych próbach teatr nabrał dużo cech cudzoziemskich, bo dawano w nim przeważnie dramaty francuskie a czasami i niemieckie. Brakowało jednak organizacyi i jedności, stąd też teatr nie podnosił się, ale upadał. Chcąc temu zapobiedz, mianował książę Sturdza Alessandriego, C. Negruzziego i Cogălniceana kierownikami teatru. Kierownicy byli zmuszeni starać się o widzów, o pomoc materialną, a przede wszystkim o sztuki oryginalne, jeżeli teatr miał stać się instytucją narodową. Ta okoliczność skłoniła Alessandriego bezpośrednio do spróbowania swych sił i na tem, w Rumunii aż po jego czasy zupełnie odłogiem leżącym, polu.

W tej działalności poety dla teatru krajowego, musimy

koniecznie rozróżnić dwie epoki; pierwsza sięga od r. 1844—1879 i jest to epoka komedyi, wodewilów, fraszek scenicznych; druga obejmuje czas powstania tak zwanych dramatów historycznych, od r. 1879—1884.

Będąc zmuszonym w pierwszym peryodzie tworzyć prawie na komendę, nie mógł naturalnie poeta stworzyć arcydzieł. Już w jednym z pierwszych opowiadań prozaicznych: „Historya dukata i grosza“, spostrzegliśmy w nim żyłkę satyryczną; ponieważ zaś w ogólności warunki sceniczne satyrze sprzyjają, było prawie jasnem, że z pewnością po wytkniętej drodze dalej kroczyć będzie. I rzeczywiście w przedmowie do zbiorowego wydania swych dzieł przyznaje się Alessandri otwarcie: „Chodziło mi przedewszystkiem o to, aby w moich utworach dramatycznych chłostać złe obyczaje i śmieszne naleciałości naszego towarzystwa“. Mając przed oczyma tę moralizującą działalność teatru, do niej ciągle dąży i w żadnem z swych mniej więcej pięćdziesięciu dzieł dramatycznych pierwszej epoki o niej nie zapomina.

Chłoszcze on kastowość, uznającą jedynie urodzenie nie zaś zasługę, chłoszcze zarozumiałość szlachty i mieszczaństwa rumuńskiego, ich ciasny konserwatyzm, który wszystko co stare uważał za dobre a gardził postępem, i tak zrobił więcej, aniżeli w podwójnym nawet czasie byłaby zrobiła szkoła lub wychowanie. Przytem nie chcąc może zbyt narazić sobie swoich współziomków, staje się czasami bardziej uniwersalnym; już nie wytyka błędów towarzystwu, w którym żył, ale ośmiesza błędy ogólne ludzkości: chciwość, oszustwo, szarlatanizm mają w nim wroga nieubłaganego.

Jeżeli znów mimo to wszystko dramaty Alessandriego się podobały, to przeważnie dlatego, że wymagania publiczności były skromne. Całkowitej jednak wartości artystycznej tym utworom nie możemy odmówić.

Owe komedye cechuje przedewszystkiem rozmaitość pomysłów. Trudności np. z jakimi Rumun wstępował do wojska, przedstawia nam w komedyi „Waleczny Szoldan“; wiarę w zabobony i gusła w „Matka Angelusza“; chciwość i na-

ture żydowską w „Herszku Bocegiu”; uderza tak samo w demagogów, reakcyonistów, miejskich i wiejskich polityków, chytrych cyganów, oficerów „z epoletami tak szerokimi, jak ich wartość moralna”; dorobkiewiczów i t. d. Lecz chociaż chłoszczę bez miłosierdzia, jak np. w seryi komedyi: „Jejmość Kirica w Jassach“, „Jejmość Kirica na prowincyi“, „Jejmość Kirica w podróży“, stwarzając typy w swoim rodzaju oryginalne i doskonałe, to również często przedstawia nam inne typy ze stanowiska sympatycznego. Tęskne ale malownicze postacie dawnych lautarów lub pocztowych przywodzą nam z pewnym pietyzmem chwile minione na pamięć.

Dla niższych sfer społeczeństwa ma wogóle więcej uznania i sympatyj, niż dla arystokracji. Typy dziewcząt wiejskich są bardzo pięknie i serdecznie kreślone; dużo w nich uczucia, dużo uroku, dużo nawet poezyi. Koło tych postaci kobiecych odgrywa się często cały dramat; pełno tam miłości, śpiewów, tańców, uroczystości wiejskich, wszędzie spokój tak, że i w tych dramatach często w liryzm wpada, a to połączenie satyry z pewnem serdecznem uczuciem sprawia, że istotnie niektóre z tych komedyj dość się podobają.

To są, zdaje nam się, jedyne dodatnie strony tej dramatycznej czynności Alessandriego; niesłychanie więcej błędów, które całą prawie wartość literacką tych utworów znoszą.

Brak przedewszystkiem akcji; najwięksi nawet wielbiciele Alessandriego wśród wykształconej publiczności rumuńskiej stawiają mu ten zarzut, boć ostatecznie na słowach i dowcipach akcja dramatyczna nie polega. Brak tym dziełom inwencji, dlatego też zapożycza się on często u autorów francuskich, jak np. Scribe, Labiche, Augier i innych. Z wielkiem atoli uznaniem dla otwartości Alessandriego musimy tu zaznaczyć, że z tem się bynajmniej nie tań, lecz owszem przy tytule albo dodał, z jakiego autora zaczerpnął tych kilka ogólnych rysów, albo też wypisał, że utwór ów jest do miejscowych warunków zastosowany.

W dziełach zaś oryginalnych treść jest tak prostą, zawiłanie tak pojedynczem, że staje się wprost banalnem. Tak

„Chłopskie wesele“ przedstawia nam wesele na wsi i zabawkę na huśtawce — „Cinel-Cinel“ opowiada nam losy młodego chłopaka z Mołdawii, który się żeni z Floriką, dziewczyną z Multan; „w Nowym królu“ uprowadza młody Leonasz córkę naczelnika gminy, dwa dni kryją się w lesie i wreszcie zaręczają na scenie, we „Florin i Florika“ młodzieniec i dziewczyna zajądają, rozmawiają i wreszcie się żenią.

Z wyjątkiem może „Kirycy“ nie znajdziemy w tych komediach żadnego charakteru, lecz same typy, a tych typów oryginalnych tak mało, że dadzą się one zredukować do czterech lub najwyżej pięciu postaci: stary, zacofany bojar, śmieszna i kokietująca jejmość, dowcipny albo niesłychanie głupi młodzieniec, wieśniak i wieśniaczka i wreszcie cudzoziemiec, Żyd, Niemiec lub Grek. Te typy powtarzają się w wszystkich komediach i są do siebie tak podobne, jak dwie krople wody; Alessandri nie chciał nawet czasami zmieniać ich nazw.

Jakiż jest komizm tych utworów? Komika jest tylko okolicznościową, brak w niej wszelkich głębszych pierwiastków. Komiki szlachetnej, wypływającej z sytuacji i samej rzeczy, lub też polegającej na dobrych i zdrowych dowcipach albo choćby na udatnej grze słów, będziemy szukać napróżno. Komika Alessandriego polega na przekręcaniu i fałszywej wymowie słów, wkładanych w usta Greków, Ormian, Żydów; polega na sytuacjach, które jedynie niewykształconej publiczności spodobać się mogą, a więc na bijatykach, na oszukiwaniu Żydów, na chowaniu się niefortunnego kochanka pod łóżko lub zamknięciu go w szafie i tym podobnych scenach. Jeżeli do tego dodamy jeszcze dyalog słabo przeprowadzony, w którym przez całe akty mowa o konfiturach, o ubiorach i o toaletach, to stwierdzić należy, że owe komedye od dawna swą wartość straciły i dzisiaj chyba „posłużą do napisania historii sceny rumuńskiej“, jak się sam poeta słusznie i bezstronnie wyraził.

IX.

W utworach dramatycznych, powstałych po roku 1878, chciał Alessandri stworzyć arcydzieła, albo jak się najlepszy

jego przyjaciel, książę Ghika wyraża, „chciał wpleść dyamenty w swój wieniec poety“. Dlatego zarzucił pole komedyi, szukał natęchnienia w wyższych sferach i stworzył nam trzy piękne dzieła historyczne, które mimo swych braków dotychczas w Rumunii nie równego nie mają. *Despot Vodă*, „Książę Despota“, *Fântâna Blanduziei*, „Źródło Blanduzyi“ i *Ovidiū*, „Owidyusz“ są pod niejednym względem arcydziełami. Dlatego też przyjęto na scenie te dramaty, szczególnież zaś „Owidyusza“, z entuzjazmem, z jakim się scena rumuńska dotychczas jeszcze nie spotkała. Tryumf ten literacki uczynił Alessandriego w Rumunii bardziej sławnym, aniżeli wszystkie przedtem wydane utwory, choć te dramaty bez porównania niżej stoją, aniżeli np. „Pastelki“ lub „Nasi żołnierze“.

Jakaż jest przyczyna tego rozgłosu? Trzy te utwory poruszają motywy, sympatyczne narodowi. Już nie chłoszcze, ale chwali. W dramacie „Książę Despota“ przedstawia nam męstwo, wierność, wiarę i przeszłość rumuńską, w „Źródle Blanduzyi“ i „Owidyuszu“ zapoznaje nas z potęgą rzymską, z jej życiem i dąży zarazem do tego, aby wykazać łączność między Rzymem a Rumunią. Jeżeli zaś dawniejsze komedye stały nadzwyczaj nisko, to w tych posunął się Alessandri o wiele naprzód na drodze techniki i zewnętrznej formy dramatu. Wiersz tych utworów jest tak piękny, jak w żadnym innem dziele Alessandriego, nie wyłączając i „Pastelek“; jest to niezrównana muzyka słów. Wykwintnych obrazów pełno, a jednak nie za wiele, uczucie szczere i serdeczne, niektóre charaktery idealnie piękne. Począwszy od naiwnego, sielankowego charakteru Sarmizy z „Owidyusza“, a skończywszy na tragicznym charakterze „księcia“ Ciuber z „Despoty“, przechodzimy przez całą skalę silnych i łagodnych uczuć. To są, zdaniem naszym, te własności, które dramatom Alessandriego zgotowały tak świetne przyjęcie.

A jednak ustępują one dzisiaj coraz więcej z desek teatralnych, spotykają się coraz częściej z surową krytyką i coraz ogólniej wytykają im błędy, jakich przedtem nikt nie spostrzegł. Nieprzywykła do podobnych dzieł publiczność, oczarowana harmonią słów, olśniona różnaitością i wielkością typów, rozgąszczona uczuciem, przejęta ideą wielkości swego narodowego

poety, przychodzi powoli do równowagi i nie pozostaje więcej ślepą na rażące błędy, które niestety wiele wartości tym dziełom ujmują. Uchybienia wykażemy poniżej, oceniając szczegółowiej te prace; obecnie zwrócimy tylko uwagę na usterki wspólne wszystkim tym dramatycznym dziełom Alessandriego.

Musimy więc przedewszystkiem zaznaczyć, że te utwory są utworami raczej do czytania, jak do przedstawienia, nie są one bowiem bynajmniej dramatami historycznymi, ale raczej jakąś seryą historycznych malowideł; każde z tych malowideł jest czarującym, lecz wszystkie razem źle z sobą połączone.

Brak akcyi, tym dramatom odpowiedniej, uderza każdego; osoby i bohaterzy opisują nam wprawdzie swoje czynności i dzieła, ale nie działają, a jeżeli czasem działają, to coś takiego, co się raczej do opisu, aniżeli do czynu nadaje.

Żywotności tej akcyi przeszkadza przedewszystkiem język, język cudownie piękny, lecz warunkom dramatu bynajmniej nie odpowiadający. Ten język liryczny, o pełnych, płynnych zwrotach, malujący nam tęczowemi barwami precudne obrazy, w których ludzie przedstawiają się nam jak jakieś istoty rajskie, nadpowietrzne i nadprzyrodzone, żyjące jedynie w sferze idealnej, odrywa naszą uwagę od samego dzieła, a przykuwa ją całą do poety, stwarzającego tę harmonię gwiazd. Słusznie też ktoś zauważył, że ten, który nam tak uroczu odmalował szept kwiatów i gwarę motyli, nie mógł umieć przedstawić nam rozmowy ludzi, których nie potrafił po ziemsku określić.

Z tego błędu języka wypływa logicznie drugi, jeszcze ważniejszy, bo brak prawdy życiowej w szkicowaniu charakterów. Niewolnicy, jak Getta lub Gallus, dzikie dzieci przyrody, jak Sarmiza, przemawiają do nas w sposób, który stoi w zupełnej sprzeczności z ich wychowaniem i otoczeniem. W ich usta wkłada poeta swoje wieszcze marzenia, swoje ekstazy, tak, że znowu mamy do czynienia z półbogami, z istotami eterycznymi, lecz nie z ludźmi.

I jak poeta błądzi w prawdzie życiowej, tak samo błądzi w prawdzie historycznej. W dramatach swych wprowadza nas w przeszłość, i to, jak w „Owidyuszu“ lub „Źródle Blanduzyi“,

w przeszłość oddaloną — chcielibyśmy więc mieć obraz tej przeszłości, chcielibyśmy żyć jej życiem, działać jej czynami, czuć jej sercem, lecz te epoki minione są u Alessandriego czasem dzisiejszym, a owe postacie historyczne, jak Owidyusz, Horacy, August, Julia i inni, nie tylko nie są prawdziwymi, jako ludzie, ale jeszcze mniej jako znane historyczne osobistości. Pomijając już błędy, popełnione w datach historycznych, są te postacie jedynie o tyle dziejowe, o ile noszą nazwiska historyczne i występują w zewnętrznym otoczeniu rzymskim.

Z temi wytkniętymi brakami łączy się ostatecznie jeszcze jeden, a tym jest brak przyczynowości, brak logicznego związku między przyczyną a skutkiem. Dawni pisarze posiadali jeden potężny środek, służący zawsze za powód takiego a nie innego działania — *fatum*. My *fatum* nie znamy, a działanie nadprzyrodzone nie zawsze i nie wszędzie przyjmujemy, dlatego też żądamy, aby wszystkie czynności były dobrze umotywowane i odpowiadały własnościom osoby, którą autor przedstawia. Na tem polu błędzi Alessandri bardzo często, a brak ten prawdopodobieństwa tak się zwykle łączy z błędami historycznymi charakterów, że trudno naprawę jedno od drugiego odróżnić.

Po tym ogólnym poglądzie na dramaty Alessandriego, na ich błędy i zalety, przypatrzmy im się szczegółowiej.

W r. 1879 przedstawiono po raz pierwszy dramat „Książę Despota”. „Despota przybywa do Mołdawii i dostaje się na dwór księcia Lepuszniana, jako domniemany krewny księżnej Roksandry. Pozyskawszy sobie bojarów, zaczyna spiskować przeciwko księciu. Ten stara się go otruć, ale gdy się to nie udało, więzi go; uwięzionego odwiedza „książę Ciuber“, oddaje mu swe suknie, a przebrany Despota ucieka z kraju. W Polsce zapoznaje się z Łaskim, zbiera wielkie wojsko, zwycięża Lepuszniana i zostaje panem Mołdawii. Tyrania jego zmusza kraj do rewolucyi, bojarzy powstają, a Despota, oblężony w Suczawie, opuszczony od Łaskiego, którego żonę, Karminę uwiódł, oddaje się sam w ręce wrogów. Bojarzy mu przebaczą, lecz Ciuber zabija zdrającą”. To jest krótka treść pięcioaktowego dramatu.

Poeta gubi się cały w gromadzeniu wypadków, dlatego

znajdziemy w dramacie wiele epizodów pobocznych, które bieg akcyi tamują. Pomijając jednak to wszystko, przypatrzmy się charakterom. Despotę, znanego w historyi awanturnika, przemienienia Alessandri w istotę wyższą, idealną. W Mołdawii, którą awanturnik ten grabi, niszczy i rujnuje, nie szuka on, jak mówi, bogaetw i znaczenia. „Marząc o niezawisłości, chciałem przez ręce Rumunów zadać cios śmiertelny pogańskim Osmanom. Zwalczając los zawistny, chciałem szablą chrześcijaństwu do powstania pomódz...” Poddaje mu więc poeta myśli, o jakich rzeczywiście Despota ani śnił, i wskutek tego nawet jego sceniczny charakter stawia w sprzeczności z działalnością. Jest on idealistą, który oszukuje wszystkich i którego wszyscy oszukują, jest fałszywym jako osobistość historyczna, jest nawet fałszywym jako charakter, boć przecież sam najlepiej musiał wiedzieć, że słowami, sprzeciwiającemi się czynom, niczego nie dowiedzie.

Fałszywym również i nielogicznym jest Łaski. Choćbyśmy go nawet z historyi nie znali, to widząc rolę jego w dramacie, musielibyśmy przecież powiedzieć, że człowiek, mający przed sobą takie zadanie, nie może z jednej strony myśleć tylko o niewiastach i o winie, a z drugiej strony, że nie będzie on tak naiwnym, by nie podejrzyswać Despoty wobec stosunków jego z Karminą. I ten charakter nie jest umotywowany.

Piękniejszym, czasami potężnym, lecz jednak nielogicznym charakterem jest „książe” Ciuber, figura tragi-komiczna. Wspomaga on Despotę, ratuje go z więzienia, lecz kiedy Heraklid zostaje księciem, staje się Ciuber naturą groźną, tajemniczą, mistyczną, burzy lud przeciwko nowemu księciu i wreszcie sam go zabija. Co spowodowało ten sposób postępowania Ciubera, na to nam poeta nie odpowiada.

Chociaż więc dramat ten zawiera w sobie istotnie wiele piękności, nie możemy jednak się zgodzić na zdanie pewnego krytyka rumuńskiego, że „forma zakrywa błędy tła, a wiersz zmniejsza braki idei”, bo tych braków i błędów jest za wiele.

Dłużej trzeba nam zabawić przy „Źródle Blanduzyi”. Piękną sielanką rozpoczyna się akt pierwszy. Znajdujemy się u źródła; na horyzoncie widać wzgórze i łąki. Getta, młoda niewolnica,

zbiera kwiaty i zioła na kąpiel dla swego pana, Scaura. „Ileż to kwiatów wyrasta na drodze mej około Tyburu, zdaje mi się, jakby piękna bogini Flora, zbudzona przez Aurorę, porzuciła swe pałace i razem z nią kąpała się w Anio, mając za jedynych świadków mnie i gwiazdę. Ja tymczasem zebrałam te wonne skarby, a na skronie włożyłam wieniec zroszony i zanadrze niemi wypełniłam, aby uspokoić uczucia i myśli moje. Hej! drogie siostrzyczki, zapominając o niewoli, przegladnijmy się w wodzie źródła. Mówią, że w jego zwierciadle objawia się w ciągu dnia drogi wybawca“. Przypadkowo przychodzi tam sekretarz Horacego, niewolnik Gallus. Zaledwie się z Gettą poznali, a już wyznają sobie wzajemną miłość, gdy wtem zjawia się Horacy, piszący wiersze. Ujrawszy dziewczynę, zbierającą kwiaty, staje zachwycony: „przecudny obraz, wieszczę zjawienie. Czy jest Rzymianką, czy cudzoziemką?“ Getta, która знаła Horacego, klęka przed nim, zdejmując z głowy koronę, podaje ją wieszczowi i znika. Zachwyt poety przerywa sławna śpiewaczka, Neera, która pierwsza narzuca się Horacemu z swą miłością. „Neera i Horacyusz mają w swej wysokiej sferze prawo czynić wszystko, co im się podoba. Z pomiędzy wszystkich wieszczów ciebiem wyróżniła, chciałabym powiedzieć: przyszłam, ujrzałam i zwyciężyłam“. Dalszym wylewom tych uczuć przeszkadza Mecenasa, który na Horacego gniewa się, że dla swego zacinza porzucił życie w Rzymie, i wzywa go, aby, czytając Augustowi swój nowy utwór „List do Pisonów“, wyprosił u cesarza uwolnienie Owidyusza z wygnania¹. Horacyusz skłania się do tego, lecz nie może znaleźć rękopisu.

W drugim akcie jesteśmy w pałacu Scaura. Ten ostatni wydaje ucztę dla Mecenasas, Horacyusza, Neery i innych, sądząc, że bogactwem swem olśni gości tak, że do samego monarchy dojdzie rozgłos jego sławy. Zoil, przyjaciel Scaura, wyjawia mu wielką tajemnicę, tę mianowicie, że Horacyusz nie jest żadnym poetą i że wszystkie jego wiersze wyszły z pod pióra pewnego

¹ Kiedy Owidyusz bawił na wygnaniu, Horacyusz już od lat czterestu nie żył.

niewolnika. Ucieszony Scaur chce skompromitować Horacyusza przed Neerą i wzywa go do improwizacji, obiecując w zamian wszystko, czegokolwiek zażąda. Horacyusz skłania się, improwizuje odę do Heby, a jako nagrodę żąda Getty, którą mu Scaur rad nie rad oddaje, wypędziwszy wprzód z domu Zoila.

Getta i Gallus (akt III.), snując plany szczęśliwszej przyszłości, wychodzą szukać zaginionego rękopisu. Scaur, który Getty żałował, ofiaruje Horacyuszowi wysoką cenę za nią, lecz ten nie chce i słyszeć o tem i w bardzo idealnych słowach wyznaje Gecie swą miłość. Getta zapewnia go o wdzięczności, ale zarazem dodaje, że życie już inaczej nią pokierowało. Horacyusz, widząc Gettę i Gallusa razem, domyśla się ich tajemnicy, z szpadą rzuca się na Gettę, aby ją przebić — ale reflektuje się i wyzwala oboje: „bądźcie wolnymi podług zwyczaju ludu rzymskiego, świat odtąd stoi dla was otworem“. Sam się zadawalnia radością z odszukanego przez Gettę manuskryptu i sławą poety.

Nie wytykając błędów historycznych, polegających na fałszywym podaniu faktów, a jest ich wiele, musimy znowu powiedzieć, że akcja jest zbyt rozwodnioną, a często tak dalece słabiej, że tracimy ją zupełnie z oczu. Pogląd na epokę jest zbyt jednostronny; wszystko się ostatecznie zasadza na miłości, a przecież w rzeczywistości tak nie było. Getta, Gallus, Scaur, Mecenas, Horacyusz, wszyscy oni są ludźmi naszych dni, a nie przedstawicielami starożytności.

Horacyusz, poeta niemoralny, zepsuty, którego filozofia jedną tylko wyznawała zasadę: rozkosz i przyjemność, przemienił się w dramacie w marzyciela, idealistę, melancholika, który swą miłość ku Gecie całemu światu ogłasza. Ten sam Horacyusz, który śpiewał: *odi profanum vulgus* i *mihi parca dedit malignum spernere vulgus*, ten sam Horacyusz zabawia się z wyzwolenkami i niewolnikami. Jak on w tem wszystkim jest śmieszny, jak na przykład nienaturalny w scenie, w której chce zabić Gettę, lecz naraz wraca jej wolność. U Horacego chyba takie rycerskie porwy nie były możliwe. Że już nie wspomnimy o wstrętym charakterze Neery, zalotnicy, i pominiemy Postuma, starca 65-le-

tniego, którego Alessandri nazywa mimo to młodym pretorem, a dla którego niewolnicy i libertyni nie mają najmniejszego uszanowania, jak przedstawia się mecenas w dramacie? Mecenas pierwszy człowiek epoki, umysł arystokratyczny, powszechnie ceniony i uwielbiany, jest w dramacie człowiekiem nader pospolitym, jakimś zaściankowym niewykształconym rumuńskim bojarem.

Te uwagi dadzą się zastosować i do ostatniego dramatu „Owidyusz”. Dramat ten to anachronizm w całym tego słowa znaczeniu. Zepsuty autor *Artis amandi* jest u Alessandriego tak idealnym i czystym, jak Westalka, a mężnym jak rycerz średniego wieku; miłość Owidyusza i Julii, najbardziej może zepsutej Rzymianki, jest u Alessandriego platonieczną. Nie podoba się ona tylko Augustowi, który w długich przemowach wskazuje Julii na niestosowność takiego uczucia. Na wygnaniu w Tomi Owidyusz walczy z Sarmatami, zwycięża ich i tak się bohatersko sprawuje, że aż dziki kwiat północy, Sarmiza, zakochała się w nim bez wzajemności. Zbliża się śmierć poety. Julia go odwiedza, przyjaciele przynoszą mu wyrok Augusta, uwalniający go z wygnania — w tej chwili Owidyusz umiera.

W każdym razie ostatni ten dramat jest jeszcze najlepszym z trzech utworów Alessandriego. W piękności języka, w doborze nieprzewidzianych chwil, efektów, przewyższył Alessandri samego siebie. Ostatnia scena, w której Owidyusz przewiduje upadek Rzymu i powstanie nowego państwa na Wschodzie, jest sama w sobie wspaniała, psują ją tylko trochę niektóre momenta melodramatyczne.

Owidyusz umiera, w tem zjawiają się jego przyjaciele z wyrokiem uwalniającym.

COTTA.

Gdzież jest Owidyusz?

SARMIZA (*powstając*).

Ostatnia jego godzina już wybija.

JULIA.

Jego przyjaciele w Tomi? Owidyuszu powstań! Patrz Roma Cezara pozdrowić cię przychodzi.

OWIDYUSZ (*budząc się*).

Roma!...

JULIA.

Z snu śmiertelnego zbudziło go słodkie ojczyzny imię. (*Owidyusz wspiera się na łożu i patrzy na przyjaciół*).

COTTA.

Ty wielki Rzymianinie, Owidyuszu, chwało Romy i potężnego narodu, nieszczęśliwa ofiara okrutnego losu! Dziś Roma z radością do siebie cię wzywa. Przyjm te wience, przez nas ci je przysyła. Sława i cześć tobie, geniuszu ty wieszczy!

OWIDYUSZ.

Na głos Romy śmierci się wydzieram; mówicie, że Roma mnie wzywa? Za późno! Ośm lat wygnania, ośm lat długiego żalu zawiodły mnie na ciemną wieczności drogę... brama życia dziś dla mnie na zawsze zamknięta, a to co jeszcze widzę, widzę jak przez sen. Ach widzę i rozpaczam — z biegiem czasu rozwała się święta Romy wielkość w straszną ruinę a zdala zlewa się potok barbarzyńców i niszczy bogów ołtarze... Roma już kona... Biada! Romy już niema. Potęga jej? legenda! Historia jej? powieścią!... Była — znikła jej nazwa, chwała, wszystko... Wiele, wiele widzę, lecz mówić nie mogę... ciemności mnie otaczają i głos się urywa... (*Krótką pauzą*). Lecz oto — ciemna chmura się rozjaśnia, światło rośnie... Mijają wieki, o cudo! Tu na wschodzie, latorośl, Romy córa, rozwinęła się w dęba, a Dniestr odziedziczy chwałę Tybru... Nowa Roma powstaje, nowy świat wyrasta, grób mi swe tajnie otwiera. (*Z entuzjazmem*). Excelsior! nie, szczep łaciński nigdy nie umiera. (*Chwieje się i pada*). Ach! oto noc! ach! umieram! ach! słońca... słońca... (*Umiera*).

JULIA (*zrozpaczona*).

Umarł... umarł...

(*Wszyscy padają na kolana*).COTTA (*podając wieniec*).

Żegnaj geniuszu wielki, na zawsze nieśmiertelny.

JULIA.

Żegnaj duchu szlachetny, miłujący i umiłowany.

(*Zastona spada*).

Trzeba czytać ten ustęp w dzwicznym języku Alessandriego, ażeby zrozumieć i ocenić wrażenie, jakie on wywoływał.

Reasumując krótko nasz sąd o Alessandrim, dojdziemy do przekonania, że nie był on ani wybitnym poetą epicznym, ani też dramatykiem. Choć na tych polach stworzył pojedyncze ustępy o niepośledniej wartości, to jednak całości nie potrafił nigdy opanować i stąd też wypływają rozmaite, wytknięte wyżej

błędy. Prawdziwie wielkim artystą był on na terenie poezji lirycznej. A i tu nie wszędzie jest panem sytuacji; czytając prawie wszystkie jego „Dumki i konwalie“, nawet niektóre części z „Naszych żołnierzy“, odnosi się to wrażenie, że poeta nie czuje się na tem polu zupełnie swobodnym. Śpiewa, bo wewnętrzny jakiś popęd do tego go zmusza, ale ten śpiew jest śpiewem ptaka, przeniesionego z kwiecistych łąk i ciemnych lasów do złoconej klatki. Dopiero kiedy wszedł na właściwą swą drogę, na drogę obiektywnej poezji lirycznej, to znalazł na łonie przyrody tyle niewyczerpanych motywów, tyle uniesień i wrażeń, że stworzył nam arcydzieło w swoim rodzaju. Rozlał on w tych „Pastelkach“ tyle światła i życia, rozrzucił tyle kwiatów, pereł i klejnotów, objawił tak delikatne zrozumienie przyrody, i oprowił te misterne obrazki w tak cudne ramy, że słusznie mu się należy tytuł, jeżeli już nie księcia poezji, to przynajmniej księcia pieśni rumuńskiej.

Wiktor Wiecki.

KARTKA Z DZIEJÓW NASZYM PODOBNYCH.

(Dokończenie).

Cios jednak był zbyt dotkliwym, aby nie wywołać reakcyi; kamarylla dworska a raczej młodzież otaczająca uwielbieniem swoją królowę, postanowiła ją pomścić a zarazem zdobyć prze-mocą to, co się nie dało osiągnąć na drodze legalnej: przywrócić rząd, jaki był za Gustawa Adolfa. Na czele spisku stanęli znowu Brahe, Horn, Wrangel a z nimi Hard i Puke, którzy w r. 1747 dopomogli byli w Holandyi do przywrócenia Stadthonderatu. Jedni z nich mieli pozyskać pułki gwardyi i artyleryi pod pozorem, że sejm chce zrzucić z tronu króla i królowę. Hard pod tą samą osłoną miał uzbroić marynarzy i robotników i wraz z nimi otoczyć pałac królewski, czekając aż gwardya zaaresztuje członków senatu wraz z marszałkiem sejmowym. Sejm miał być rozwiązany i zebrany dopiero po roku. Plan był prosty i mógł się udać, tak jak się później udał zamach stanu Gustawa. Pomimo to Fryderyk W. ostrzeżony o nim, jak zresztą o wszystkim, odradzał z całych sił i niezupełnie napróżno. Osiągnął tyle, iż król zawsze słaby, począł się namyślać i wahać, co widząc starsi z pomiędzy spiskowców, odłożyli zamach na później. Liczyli jednak bez gorącej krwi młodych. Pewnego dnia, bez poprzedniej umowy, lud w Sztokholmie począł pod kierunkiem kilku z nich skupiać się w imię króla i królowej. Do hr. Brahe dano znać, że o północy staną wszyscy pod bro-

nią. Daremnie już Brahe i Hard usiłowali ich powstrzymać; nie pozostało jak przestrzedz króla, zaklinając, aby stanął na czele powstania. Działo się to 21 stycznia 1756 r. Dwór był w teatrze, gdzie trupa francuska śpiewała sztukę *Rosette et Raton*. Siedziano, jak zwykle, obozami: królewscy osobno a opozycya naprzeciw, gdy naraz niepokój powstał wśród widzów. Fersen wstał i wyszedł pospiesznie a za nim wnet inne, znaczniejsze figury sejmowe. Królowa tylko pobladła, król wysłał na zwiady szambelana, który powrócił nie dowiedziawszy się nic. Udając tedy spokój zupełny, para królewska, a za nią dworzanie, doczekali zakończenia sztuki. Ulryka drżąca z niecierpliwości, powróciła do zamku. „Zastaliśmy króla — pisze Hard, jeden z przywódców — w jego gabinecie z królową i dwoma z naszych, którzy go już byli objaśnili o wybuchłem powstaniu. Błagaliśmy króla, aby siadł na koń i wyjechał naprzeciw ludu. Królowa chciała mu towarzyszyć... ale podczas gdyśmy mówili, oznajmiono nam, że nieprzyjaciele nasi zbierają się, że ich patrole krążą po mieście i że lud zostawiony bez wodzów, rozproszył się. Prosiłszy króla, aby pomimo to zeszedł, pokazał się, aby stanął na czele zamkowej gwardyi. Było jej 150 ludzi i byliby poszli za królem; po nocy łatwo było opanować główne posterunki. Usiłowaliśmy ale na próżno wlać w serce króla choćby część naszego zapалу“...

Tymczasem Fersen nie tracił czasu. Skonsygnowawszy wojsko do koszar, obsadził był artyleryą pozycye górujące nad miastem. Równocześnie gromady młodej szlachty przebiegały zbrojno ulice miasta, rozpraszając zbiegowiska. Kilka osób aresztowano, między innymi Pukego i Stalsvärda, których po wstępem badaniu zaprowadzono do t. zw. „Komnaty róż“, gdzie ich wśród tortur wzięto na konfesatę. Nazajutrz sejm kazał śpiewać dziękczynne *Te Deum*, i mianował pod prezydencyą namiętnego przeciwnika dworu barona Wrede, Komisję inkwizycyjną. Za jej wyrokiem Brahe, Wrangel, Hard, Puke, Stalsvärd i trzech pomniejszej rangi spiskowcy, zostali skazani na śmierć i pomimo rozpaczliwych wysiłków królowej, poszli pod miecz. Egzekucya odbyła się publicznie na Ridderholmie przed samyr

kościółem, zawierającym groby królów i bohaterów Szwecyi; podzielono ją na dwa razy, nie chcąc przez dość oryginalny skrupuł „zmieszać krwi szlacheckiej z krwią plebejuszów“. Jeden Hard zdołał być przed aresztowaniem ratować się ucieczką — Brahe i Horn mogli, ale nie chcieli...

Króla nie ścięto i — dzięki Fersenowi — nie złożono z tronu ani zmuszono do rozwodu z królową. Sam Fersen bowiem przestraszył się rozmiarami, jakie przybrała inkwizycja. „Obawiałem się — pisze — iż się rozciągnie na cały kraj“. Pod jego wodzą wszakże wysłano do króla uroczyste poselstwo, niosące mu wyrok trybunału sejmowego. Biedny Adolf Fryderyk musiał wysłuchać w milczeniu aktu oskarżenia, w którym mu przypomniano, że „monarcha jest dla państwa a nie państwo dla monarchy“ i zarzucono zgwałcenie przysięgi. Akt ten miał pozostać w tajnym archiwum do rozporządzenia sejmu. Do królowej wyprawiono arcybiskupa z surową reprimendą w imieniu Kościoła; ze swojej strony Fryderyk II. nie odmówił sobie lichiej satysfakcyi powiększenia jej cierpień, pisząc w innych wyrazach: A widzisz! nie mówiłem?...

Nigdy jeszcze królewskość nie była tak nisko upadła. Zbołała, zrozpaczona Luiza Ulryka uciekła do Drottningholmu, szukając samotności i ciszy. Tych jednak nie było jej danem długo zażywać. Nasamprzód przyszła wieść o śmierci jej matki, potem o powaśnieniu się z Fryderykiem II, a potem i śmierci ukochanego brata Wilhelma, i gorszy może nad wszystko wybuch wojny siedmioletniej, w której Szwecya, za wolą senatu, stanęła na żądanie Francyi przeciwko Prusom, wysyłając 30.000 wojska na pruskie Pomorze. Królowa widząc w tem postanowieniu jedynie nowy manewr stronnicy, nie przerwała tajnej korespondencyi z bratem, żaląc się na niepotrzebną, i co prawda, niepopularną w kraju, bo źle prowadzoną kampanię. Przy końcu jej miała wprowadzić godzinę tryumfu: panowie radni zmuszeni byli prosić ją o pośredniczenie pokoju z Fryderykiem; nadto car Piotr III., który był świeżo po śmierci Elżbiety nastąpił, porozumiawszy się ze swym kuzynem Adolfem Fryderykiem, zażądał od króla pruskiego, aby tenże pracował w Szwecyi nad

przywróceniem władzy monarszej. Piotr znów potrzebował Szwecyi silnej, aby mu pomogła odebrać Danii jego dziedziczne księstwo Holsztyńskie. Rzecz charakterystyczna, że Luiza Ulryka, która się oburzała na poprzednie wmieszanie się Rosyi w sprawy szwedzkie, przestała się gniewać, gdy interwencya ta wystąpiła na korzyść jej planów. Radość wszakże niedługo trwała. Zanim jeszcze rozpoczęto akcyę, Piotr III. znikł z tronu carów, na którym zasiadła Katarzyna. Ta nie myślała już o wojnie z Danią, a choć wkrótce porozumiała się z Fryderykiem II., nie było to już na korzyść Szwecyi lecz przeciw Polsce. Oba kraje przedstawiały dziwnie podobny obraz: te same instytucye pseudo-republikańskie, ten sam bezrząd i nieład, który tu i tam należało sąsiadom podniecać i pielęgnować, czekając, aż owoc dojrzeje. Następnie Polska miała paść pierwsza, po niej zaś Szwecya, szczęśliwsza położeniem geograficznym, niemniej przeto przedstawiająca pastwę łakomą — Finlandyę dla Rosyi i resztę Pomorza dla Prus. Nie dziw więc, że traktat zawarty między Fryderykiem a carową 31 marca 1764 r., zawierał paragraf tajny uznający „konieczność utrzymania w Szwecyi istniejącej formy rządu za pomocą Stanów i sprzeciwienia się przywróceniu władzy monarszej“. Pięć lat później (1769) obaj alianci mieli dodać jeszcze do swej piekielnej umowy klauzulę stanowiącą, że wszelka zmiana konstytucyi szwedzkiej, dążąca do przyznania królowi praw, jakie dzierżył przed rokiem 1720, ma być uważana za hasło do rozpoczęcia przeciwko Szwecyi kroków wojennych.

Wszystko to było tajemnicą przed Luizą Ulryką, którą brat śmiał jeszcze pocieszać listownie nadzieją, że cierpliwością zdoła z czasem odzyskać grunt utracony. Królowa jednak czuła instynktem, że już niema co na jego pomoc rachować, zamiast tedy wiązać się z Prusami, odwróciła się znów ku partyi francuskiej, ratując ją od skutków niepopularności, jaką na nią nie-szczęśliwa kampania w wojnie siedmioletniej była ściągnęła. Prusy niegdyś liczone do aliantów Francyi, stały dziś w przeciwnym obozie; łatwo sobie tedy wyobrazić złość Fryderyka, jego intrygi, perswazye i przestrogi; groził siostrze gniewem carowej, zupełnie jak gdyby Szwecya była gubernią rosyjską.

Ulryka odpowiadała chłodno, nie zrywając przytem z bratem przyjaznych stosunków. Czuła teraz pod nogami pewniejszy grunt, we Francyi bowiem przekonywano się z dniem każdym, iż opieranie się na jakimkolwiek parlamentarnem stronnictwie jest złudzeniem kosztującym bardzo drogo a nie przedstawiającem rękojmi. Poczęła się tedy na nowo pod kierunkiem księcia de Choiseul podziemna robota francuska w Szwecyi, skwapliwe zasypywanie rosyjskich min, podkopujących resztę powagi tronu i sił narodu. Nie było wprawdzie co liczyć na króla, który od chwili nieudanego zamachu stał się niemem narzędziem w rękach senatu czyli Rady szesnastu, jak go powszechnie zwano. Za to oczy poczynaly się zwracać na następcę korony, wychowanego i trzymanego w cieniu przez matkę. Wyrosły wśród waśni stronnicych, zmuszony do uszanowania względem ojca, którego niecoś pojmował i do ciągłego politykowania wobec popędliwego charakteru matki, Gustaw nauczył się był od młodu milczeć, obchodzić, lawirować, aby dojść do celu, unikając gwałtownych starć. Jednym z objawów jego dojrzałości przedwczesnej była odmowa ofiarowanego mu przez Fersena krzesła w senacie: „Nie mogę przyjąć — odpowiedział — gdyż nie chciałbym uchybić królowi, występując przeciw jego zdaniu, ani też okazać się służalczym, działając przeciw własnej myśli“. I dobrze zrobił — wiedział bowiem, że matka widząc w nim przyszłego monarchę, była już wobec niego zazdrosna. Mogli się byli jednak pod niejednym względem zrozumieć i choćby na polu literackiem napotkać. Gustaw z czasem nauczył się był cenić swych surowych, przez sejm narzuconych ochmistrzów; dziś byli mu przyjaciółmi i pośrednikami w stosunkach z umysłowym światem zagranicznym. Jeden z nich, poeta Gyllenberg, miał wkrótce w sztuce szwedzkiej rozpocząć epokę znaną pod nazwą epoki Gustawiańskiej. Zaledwie królewicz doszedł pełnoletności, tj. 19 lat, pomyślano dlań o małżeństwie. Był wprawdzie od dzieciństwa zaręczony z królewną duńską, ale królowa miała zawsze nadzieję, że związek nie przyjdzie do skutku i szukała gorliwie synowej wpośród własnych siostrzenic, księ-

źniczek pruskich. W senacie poczęły znów ostro rysować się stronnictwa, gdy Gustaw nie chcąc dopuścić do nowych niesnasek, stanął stanowczo przeciw żądaniu matki, oświadczając, że słowa danego niegdyś królowi duńskiemu dotrzyma. Stąd długi gniew Ulryki i niezasłużona antypatya do młodej księżnej, które stanęły murem między Gustawem a matką. Gustaw żony nie kochał, dzieci długo z nią nie miał, uważał swój związek jako czyn polityczny, potrzebny dla kraju. Nie mógł wszakże patrzeć bez oburzenia na ciągle objawy niechęci wobec istoty cichej, łagodnej i miłej, wysiłającej się daremnie na rozbrojenie mateczynego serca. Luiza Ulryka była wzorową małżonką i wielką królową; cnota jej wszakże musiała być ufundowaną nie na podwalinie miłości, lecz pychy, skoro nie umiała wytrzymać tyłu matkom znajomej próby: chwili, gdzie dziecko budząc się do samoistności, poczyną działać własną swą wolą i myśleć własnymi myślami.

W polityce Gustaw dążył do tego samego celu, co matka, ale różnił się w zdaniu co do sposobu osiągnięcia mety. Królowa łudziła się znowu, że zdoła zgrabnemi manewrami opanować Izby; Gustaw widział, że tylko przemoc pomoże. Fryderyk II. nie przestawał odstraszać ich od wszelkiego czynu, wskazując im ustawicznie los Polski, niedość, zdaniem jego, potulnej wobec żądań Rosyi. Nie potrzebował wskazywać; oczy dworu szwedzkiego były wciąż na Warszawę zwrócone, tylko że z widoku tego czerpana nauka, była wręcz przeciwną radom króla pruskiego: „Los Polaków — pisał królewicz Gustaw — wskazuje nam nasze przyszłe losy. Król polski przekona się z doświadczenia, że przed obowiązkiem cofać się nie trzeba, że najpoddąnszy naród oburza się i buntuje, gdy do wewnętrznej jego słabości przymiesza się hańba obcego ucisku. Już mu korona chwieje się na głowie, już poddani jego spiskują, przyjaciele opuszczają go, a Rosya grozi mu wojną. Gdyby Stanisław August ściągnął był na siebie tę burzę swą stałością w obronie praw swego kraju — zazdrościłbym jego losu; upadek jego opromieniłby go chwałą a pałace królów-obywateli (*sic*) Europy otwarłyby się

na jego przyjęcie. Ale on nie nie robi a wszystko znosi; ścigając na siebie pogardę zagranicy i nienawiść własnego ludu“¹.

Dalej zaś pisze znów pod datą 18 kwietnia 1768. „Wiadomości z Polski donoszą o wielkiej konfederacyi w Kamieńcu dla zmiany uchwał ostatniego sejmku. Dwie rady odbyto w Warszawie, król i senat Rzpltej mają prosić o pomoc cesarszowej rosyjskiej dla utrzymania dawnych rezolucyj. Co za niegodziwość!... O hrabio Poniatowski jakżeś mi się wydawał wielkim! O Stanisławie Augustie wieleż stracił w mych oczach! Nie jesteś ani królem ani obywatelem. Umrzej, jeśli potrzeba dla zapewnienia niepodległości twej ojczyzny, ale nie rzucaj się pod jarzmo dla zachowania cienia potęgi, który może zniknąć za lada skinieniem z Moskwy“.

Nie dziw, że przerażony stanem Polski i postawą Stanisława Augusta, młody książę patrzył z litośnem niedowierzaniem na połowiczne próby przedsięwzięte na gruncie parlamentarnym przez rodziców. Zażądali zwołania nadzwyczajnego sejmku dla rewizyi konstytucyi a gdy senat się wzbraniał, król podniecony przez żonę, zagroził abdykacyą, zwalając na Radę odpowiedzialność za wszystko złe, jakie bezkrólewie za sobą pociągnąć może. To mówiąc złożył na stole akt abdykacyi i wyszedł. Senat istotnie przeląkł się i ustąpił; sejm został zwołany na kwiecień następnego roku 1769. Na to wkrótce posypały się groźby z Berlina i Petersburga. Katarzyna wezwała pomocy Fryderyka „dla odwrócenia burzy, mogącej przyspieszyć nieszczęsny los biednych Szwedów“. Fryderyk zaś list ten posłał do siostry, przypominając, że jest ściśle z Rosyą związany, że zatem ani myśli Moskalom przeszkadzać, gdy „nie zadowoleni jeszcze panowaniem w Polsce, zechcą tę samą rolę w Szwecyi odegrać“... Termin zwołania sejmku był dość oddalonym, aby dozwolić obu mocarstwom przygotować swe szyki. Dzięki im przecucia Gustawa sprawdziły się. Sejm w Norköping był burzliwy i długi; partya rewizyi podzieliła się na różne frakcyje i zapomniawszy głównego celu, uzyskała tylko osobiste zmiany

¹ „Pamiętnik króla Gustawa“. Bibl. w Upsali.

w ministeryum, do których dążyła. Tron po raz trzeci widział się zwyciężonym. Wtedy to i w skutku tych zająć, Katarzyna i Fryderyk wzmocnili dotyczącą Szwecyi umowę, postanawiając że każda zmiana w rządzie miała być dla obojga hasłem do wkroczenia w ziemie szwedzkie; hr. Panin mógł być w Sztokholmie powtórzyć to, co do króla pruskiego pisał o Polsce: „W interesie WKMcI leży, aby w tym kraju zawsze pewien nieład panował“.

Podczas gdy Rosya tryumfowała, Choiseul, który był wiele na poprawie konstytucyi budował, okazywał swe niezadowolenie stanom szwedzkim odwołaniem ambasadora p. Breteuil i co gorsza odcieciem subsydyów. Nie opuszczając wszakże sprawy zwrócił się z nią całkowicie do następcy tronu – zapraszał go do Wersalu na poufną rozmowę z Ludwikiem XV. Gustaw nie mógł od razu wyjechać, natomiast brat jego Karol ks. Sudermanii (późniejszy Karol XIII.) wybrał się za granicę dla zdrowia, po drodze rozpoczął w Berlinie zabiegi matrymonialne, z których potem nie mógł się wywinąć jak za pomocą swego rządu; w Paryżu zaś, według żartobliwych pochlebstw Grimma zawrócił zupełnie głowę 71-letniej pani Geoffrin, która „gotowa była podążyć za nim do Sztokholmu, podobnie jak w roku poprzednim do Warszawy jeździła“. Przez ten czas w Szwecyi przyjmowano z wielkimi honorami brata królowej, księcia Henryka pruskiego. Wraz z nim przybywał Hard, jedyny ze spiskowców r. 1756, który był zdołał ucieczką ujsć kary śmierci a teraz zostając w służbie pruskiej, chciał skorzystać z amnestyi ogłoszonej w r. 1762. Zdarzyło się, iż właśnie Fersen, który go był skazał, musiał go teraz przyjmować. Tak więc sędzia i skazany znaleźli się naprzeciw siebie. Fersen umiał wszakże śmiałą prostotą wydobyć się z trudnego położenia; w chwili gdy książę Henryk przedstawiał panów swojej świty, podszedł wprost do Harda i śmiejąc się podał mu rękę. Luiza Ulryka nie posiadała się z radości mienia u siebie pierwszy raz od ślubu kogoś z własnej rodziny. Wkoło niej za to podejrzrywano w tych odwiedzinach jakiś cel polityczny. Istniał on rzeczywiście, ale nie dotyczył Szwecyi: książę przepędziwszy pewien czas na fe-

stynach i ucztach, wyjechał do Petersburga — układać rozbiór Polski. Że negocyacye się udały, wiemy aż nadto: Henryk powróciwszy do brata dostał „za fatygę“ 40.000 talarów... Prócz tego Fryderyk okazywał mu zawsze wdzięczność za to arcydzieło zręczności.

W tydzień po wyjeździe księcia Henryka, t. j. 8 listopada 1770 r., królówicz Gustaw wyruszał do Francyi. Tym razem najlepsze życzenia matki miały towarzyszyć jego podróży: wszak przedmiotem tejże był ten sam cel, o który ona przez całe życie walczyła! Zstępując z wielkich schodów zamkowych, aby się udać na okręt, królówicz wyrzekł te słowa: „Spodziewam się, iż zanim napowrót wejść na te stopnie, nie będzie już u nas tego rządu krzykaczy! (*braillards*). Niestety! Wyjeżdżał za późno: jeszcze nie był dotarł do stolicy francuskiej, gdy główna podpora jego nadziei, książę Choiseul, wypadły z łaski, wygnany, opuszczał dwór. Wszystko zatem zdało się chybione i królówicz musiał się zadowolnić serdecznem, ale z razu bezowocnem przyjęciem starego króla. Pocieszało go nieco nawiązanie stosunków z umysłowym światem Paryża, z uczonymi i z kobietami, pełnemi rozumu lub sprytu, obchodzącemi się bez dzisiejszej „emancypacyi“ do odgrywania ważnej roli w swoim społeczeństwie. Siedział właśnie w teatrze w łoży jednej z tych pań, pięknej hrabiny Egmont, gdy mu przyniesiono niespodziewaną wieść o śmierci ojca. Pierwsza hrabina Egmont ucieła go tytułem królewskim.

Adolf Fryderyk rażony apopleksją skonał był nagle, wychodząc od stołu, 12 lutego 1771 r. Rozpacz królowej była straszna. Wraz z mężem, którego szczerze kochała, w którego przyzwyczaiła się wlewać swoje uczucia i wolę, zapadał się dla niej dotychczasowy jej świat, znikало pole działania. Teraz Gustaw był królem, a jej rolą było usunąć się w cień. Syn jej czuł trudność położenia i pragnął czempredziej uspokoić ją, ugłaskać czułością swą i uszanowaniem. Ani on wszakże, ani czysty rozsądek, wiejący tym razem z listów Fryderyka II., nie zdołały rozbroid zgorzkniałej duszy królowej. Dziwny to był zaiste charakter: w głębi serca kochała syna, ale miłość ta była przywa-

lona grubemi pokładami egoizmu; były chwile, gdzie jej płomień przedzierał się w górę, ale niknął wnet pod falami urojonych żalów i krzywd.

Fersen w swych Pamiętnikach oskarża ją o projekta re-jencyi, niemal o chęć uzurpowania tronu. Bądź co bądź, chęci te nie zamieniły się w czyn, a postępowanie młodego monarchy świadczyło głośno, że nie potrzebował mentora. Gustaw III. nie zaraz po śmierci ojca powrócił był do kraju; korzystając ze swej świeżej królewskiej godności, rozpoczął z Ludwikiem XV. tajne układy, zakończone równie tajnym traktatem, warującym Szwecyi regularne subsydia oraz 75.000 liwrow, płatnych do rąk samego króla, na rozpoczęcie działania... Niechaj wszyscy Polacy (a jest ich teraz dużo), gorszący się układami Sobieskiego z Ludwikiem XIV., nadstawiają uszu i umysłu: wprawdzie świetniejszym jest zwykle położenie tego, co daje pieniądze, od tego co je przyjmuje; nieraz jednak, jak np. tu i z Sobieskim, podobny układ jest prostem zawarciem spółki, w której jedna strona daje środki materyalne, a druga inteligencyę i pracę lub krew. W takiej spółce często ta ostatnia strona więcej daje niż bierze, a zresztą choćby i tak nie było — czemuż nie jest hańbą przyjąć od przyjaciela pomoc w ludziach, broni, żywności i t. p., a tylko hańbą jest przyjąć je w pieniądzach, które wszystko to razem przedstawiać mogą? Co innego jest wynająć się jak kondottier dla prowadzenia wojny, obcemu tylko korzystnej, a co innego uzyskać poparcie dla uwolnienia kraju swego od wroga (np. Sobieski od Turków), lub wydzwignięcia go z śmiertelnej anarchii, jak to Gustaw III. uczynił... Z Paryża powrócił był na Berlin, gdzie usiłował odwrócić od swych zamiarów czujną uwagę Fryderyka II., a wraz z nim i Rosyi, okazać się naiwnym ale rozsądnym młodzieńcem, pragnącym przedewszystkiem spokoju. Nie darmo był jego siostrzeńcem, skoro potrafił nawet starego lisa oszukać! Wylądował w Szwecyi dopiero 30 maja 1771 r.; zaraz jednak na sejmie koronacyjnym wziął się do dzieła, nie przystając do żadnej partyi (jak to dotąd bywało), ale spraszając do siebie wybitne osobistości wszelkich odcieni, wmawiając w nich konieczność zjednoczenia i koncentracyi władzy. Praca

jego atoli wywoływała ironiczny śmiech z ust królowej matki. Przepowiadała mu najsmutniejsze wyniki, powtarzała, że władza królewska nie na jedności stronnictw, ale na ich rozbiciu zasa-
dzać może swą siłę. Gustaw starał się ją przekonać, ale widząc że jego łagodność nie nie wskóra, począł matki unikać; zos-
tawiając ją w zamku sztokholmskim, sam z żoną przesiadywał
to w Ekolsundzie, to w ponurym a wspaniałym Gripsholmie,
którego grobowe ściany rozbrzmiały wkrótce dźwiękami we-
sółści młodego dworu. Dziś jeszcze widok urządnego tam
przez Gustawa III. teatru zadziwia i niemal razi. Za przykła-
dem króla oddalili się od Ulryki dworacy, młodzi synowie po-
częli też od niej stronić, żaląc się przed królem na jej poryw-
czość i dasy — pozostała tedy sama z jedyną córką, Zofią Alber-
tyną, ze swą goryczą i smutkiem.

Wtedy to objawiła żądanie wyjazdu do Prus dla odwie-
dzenia rodziny. Gustaw przychylił się doń z radością; kontent,
że odetchnie swobodnie, otoczył znowu matkę objawami czu-
łości, które Luiza Ulryka przyjęła ozięble. Z drogi jeszcze na-
pisała doń list bardzo przykry, a dowiedziawszy się, iż król był
nim zrażony, wydała się bardzo zdziwioną, twierdząc, że nie
pojmuje, co go tak mogło wzburzyć. Towarzyszący jej Szwedzi
żalili się, że ich traktuje „z pogardą i dumą, jakoby ostatnich
z ludzi“. W Prusach za to wszystko zdało jej się cudnem. uprzej-
mem, kochającym i mądrym. Przyjęta serdecznie przez krew-
nych, witana przez członków uczonych akademij przemówie-
niami pełnemi pochlebnych słów, uczczona festynami bez końca,
zdawała się bujać po złocistych obłokach, a listy jej posyłane
do Szwecyi zawierały w każdym wierszu pogardliwe porówna-
nie tego kraju z brandenburskim rajem. Prócz tego nie było
listu do syna bez najprzykrzejszych uwag, nieosłodzonych ża-
dnym wyrazem miłości: jeśli się przypadkiem jakie cieplejsze
słówko trafiło, Gustaw zapominał o reszcie. Raz gdy siedział
przy obiedzie w bardzo ścisłym kółku, przyniesiono mu pocztę;
począł przebierać między listami aż znalazł, co szukał: „To jest
od mamy!“ — rzekł wesoło. Lecz zanim listu doczytał, pobladł

i wstał od stołu, a zapytany, czy co złego matce się stało, odrzekł zniecierpliwiony: „Nie — jest tylko złego humoru!“

Fryderyk II. nie miał czasu długo bawić się z siostrą; zajęty był świeżo dokonaniem podziałem Polski i żądny zwiedzić naocznie owe „nowe“ Prusy (Królewskie), które mu padły w udziale. Luiza Ulryka pisała w tonie tryumfującym o „pięknej zdobyczy“ brata, wyrzucając jako wstyd Gustawowi, że on sam do tak wielkiego dzieła niezdolny. Ale tu, nad Mälarem nikt tryumfować nie myślał; upadek Polski rozległ się był złowieszczym gromem po umysłach i sercach. „Zepsucie i rozpamiętanie parlamentaryzmu znużyło i przestraszyło opinię publiczną. Zrozumiano, iż rozwiążność obyczajów politycznych i zrodzony zeń nierząd w publicznych sprawach wiodły w przepaści, które ukazywały się nagle, oblane ponurem światłem zachodzących w Polsce wypadków“. W tej chwili i pod tem wrażeniem Gustaw III. wykonał dnia 19 sierpnia 1772 r. swój zamach stanu; za jednym rzutem, bez kropli krwi wylanej, zwałił parlamentarny ustroj państwowy i przywrócił władzę monarszą. A choć wielki ten czyn później własnem życiem przypłacił, nie mniej uratował na razie swój kraj od podobnego jak w Polsce nieszczęścia. Oto jak sam dnia następnego opisał, co zaszło, w liście do matki: „Byłem zmuszony wszystko rzucić na kartę. Plan, który przysposabiałem, został był odkryty. Miałem tej nocy być uwięziony i zamordowany. Zdecydowałem się natychmiast. Wyowiedziałwszy przemowę do mojej gwardyi, kazałem w samo południe zaaresztować senat i opanowałem armaty. Cała gwardya okazała się wierną; nawet synowie i siostrzeńcy senatorów poszli za mną. Posłałem delegacyom stanów rozkaz rozejścia się i usłuchano mnie. Lud z dziwnym zapalem oświadczył się za mną, wszędzie wokoło siebie słyszałem krzyki radości i entuzjazmu. Wszystkie dostępy są strzeżone i spokój wszędzie przywrócony. Braciom moim, których byłem wysłał, aby podniecili prowincję, wyprawilem rozkaz objęcia głównego dowództwa, Karolowi dzielnic północnych, a Fryderykowi dzielnic południowych. Błagam drogą moją matkę, aby zechciała wziąć w rękę moje prowincye niemieckie i pozwolić, aby hr. Sinclair rządził

tam pod jej zwierzchnością. Mam nadzieję, iż król pruski dobrze się namyśli, nim mnie zaczepi. Gdy ujrzy Pomorze pod władzą swej siostry, nie będzie śmiał ściągnąć nań ręki, dlatego też głównie polecam je matce“.

Luiza Ulryka była już opuściła Berlin, gdy ją doszły te wieści. Z serca jej dobył się wielki krzyk radości. Toż wielki cel jej życia był osiągniętym, tron szwedzki wyzwolony, waśnie stronnictw stłumione, niepodległość kraju zapewniona! I to wszystko zdziałał jej syn... Nie dziw, że w onej chwili miłość wzięła górę, że napisawszy doń list pełen zapалу, prawdziwie szlachetny i piękny, pospieszyła wykonać polecane sobie zadanie. Gustaw zasługiwał obecnie na wszelkie pochwały. Dnia 22 sierpnia pisał znów: „Nowa forma rządu została wczoraj przyjętą i zaprzysiężoną przez wszystkie stany państwa z największą jednomyslnością. Miałem władzę absolutną w ręku wskutek poddania się każdego stanu z osobna; ale uważałem za szlachetniejsze, wyższe, zgodniejsze z tem, com był mówił poprzednio, a zresztą i bezpieczniejsze dla moich rządów, ograniczyć samemu królewską władzę, zostawiając narodowi najistotniejsze prawa wolności, a zachowując dla siebie prawa, potrzebne do zapobieżenia swawoli...“

Wiść o zamachu stanu w Sztokholmie padła na Fryderyka II. jak grom z jasnego nieba. Zdumiony był i wściekły, że się dał podejść przez siostrzeńca i z takim przekonaniem ręczył za niego w Petersburgu. Więc znowu na Luizę Ulrykę ze strony obu braci posypał się gęsty grad wyrzutów i gróźb, które ona odparła z godnością; nieustraszona i na pozór spokojna czekała na Pomorzu na wkroczenie wojsk pruskich. Obecność jej wszakże była Fryderykowi na rękę: w gruncie rzeczy obawiał się Katarzyny, sądził wszakże, iż nawet w myśl wykonania wiążącej ich umowy carowa nie zażąda od niego, aby przeciw własnej siostrze wojował. Istotnie carowa nie zażądała tej ofiary, chociaż nie przez uczciwość lub względność: po prostu tak była zajęta zaborem Polski, że jej nie starczyło uwagi na Szwecyę. Wiedziała, że po Finlandyę sięgnie, kiedy zechce; odłożyła więc ten smaczny kąsek na później. Stało się więc, że

tym razem jeszcze zagłada Polski stanęła tarczą między nie-szczęściem a ojczyzną ostatnich jej dynastycznych królów. Tutaj p. Heidenstam zatrzymuje się na chwilę, aby wykazać, jak ze współnietwa przy rozbiórce Polski, który dosadnie nazywa *la curée polonaise*, wyrosło dzięki Fryderykowi II. dzisiejsze trój-przymierze między Rosją, Prusami i Austrią, którego doniosłość on jeden dokładnie pojmował. Natrząsał się z biernych skrupułów Maryi Teresy, która, jak powiadał: „płakała a przecież brała”: *Elle pleurait et elle prenait toujours!* „Przymierze to — powtarza autor po Albercie Sorel — zrodzone nie ze wspólności interesów, ale z przeciwnością żądz, zrywało się parękroć, aby się napowrót nawiązać, żądza bowiem jest nienasyconą i zaostrza się w miarę, jak się zaspakaja“.

Niestety Luiza Ulryka nie mogła wiecznie na Pomorzu pozostać. Gdy niebezpieczeństwo minęło, wróciła do kraju, gdzie syn przyjął ją serdecznie, wyznaczył roczną prowizję 400.000 liwrów i oprócz przyznanej własności zamku w Drottningholm, inny piękny zamek, Fredrickshof odnowił i na jej użytek przeznaczył. Udziału w rządach wszakże nie dał jej żadnego, a o ten głównie chodziło królowej. Rządy wprawdzie nie były trudne; w kraju wszyscy, nawet Fersen i inni przywódcy opozycyi korzystali się u stóp restauratora tronu, z zagranicą był spokój, który chcąc bardziej jeszcze zapewnić, Gustaw przyjął z rąk Katarzyny II. małżonkę dla brata swego, Karola, księcia Sudermanii, co prawda, swą siostrę stryjeczną, księżniczkę holsztyńską, Szarlottę. Tym razem Katarzyna spełniła dobry uczynek, wprowadzając do królewskiej rodziny w Sztokholmie istnego aniołka dobroci, wesołości i zgody. Nawet Ulryka, która znów czego innego pragnęła, nie mogła się oprzeć dzieciennym wdziękom swej nowej synowej. Szarlotta robiła, co mogła, dla łagodzenia rodzinnych kwasów, a było ich nie mało, gdyż nietylko mąż własny ją zaniedbywał, nietylko matka sprzeczała się z synami, ale jeszcze między królem a młodą królową panował najzimniejszy stosunek. Nie było w tem winy Zofii Magdaleny, istoty cnotliwej a cichej, ale zastygłej wobec obojętności i głośnych szyderstw. Nie wiedzieć dobrze, czy pod wpływem bratowej, czy

z własnej inicjatywy, teraz dopiero, po dziesięciu latach małżeństwa, Gustaw III. zbliżył się nieco do żony, która natychmiast ożyła. On sam poczuł się szczęśliwym, co też na wszystkich w rodzinie podziało kojąco: nigdy pono nie widziano u dworu tak wesołego czasu, jak zima z r. 1775 na 1776. Tak u króla, jak u królowej matki bawiono się na zabój: karuzele, turnieje, bale, śpiewy, balety, a zwłaszcza przedstawienia amatorskie, w których król namiętnie brał udział, następowały po sobie bez przerwy. Dopiero podróż Gustawa do Petersburga położyła koniec uciechom.

Za jego powrotem chmury znów ciężły na niebie. Zastał matkę w najgorszym usposobieniu, podnieconą przeciwko niemu zapewne przez księcia Sudermanii, któremu szczęście brata stało solą w złośliwym oku. Chodziło o najdrażliwszą ze spraw ludzkich — sprawę pieniężną. Ulryka, nieumiejąca się rządzić, popadła była w nieskończone długi, Drottningholm był obciążony ponad miarę, klejnoty w zastawie. Królowa mówiła, że nie pojmuje, jak się to stało, zrzucała winę na zbyt skromną prowizję, żądała od skarbu państwowego zapłacenia jej długów. Gustaw odmówił wręcz; oświadczył jednak, że skarb gotów odkupić od niej Drottningholm, a cenę kupna użyć na pokrycie należitości, co też się stało. Ulryka musiała z gniewem i goryczą w sercu opuścić ukochaną siedzibę, kędy młodzi królestwo dosyć niedelikatnie wprowadzili się natychmiast. Matce i siostrze Gustaw przeznaczył inny zamek, Svartsjö, wzniesiony podobnie jak Grips-holm, Drottningholm i Ulricksdal, na wodami Mälaru. „Transakcyja ta — pisze autor — nie czyni zaszczytu ani synowi, ani matce“. Ulryka opłakała swój wyjazd „gorzkimi łzami, których nie przebaczyła nigdy“.

Na tem chmurnem tle miała waśń stokroć gorsza jeszcze wyrosnąć. Tym razem Ulryka i Gustaw padli oboje ofiarą machinacyi ks. Karola. Dotąd wobec bezdzietności brata uważany za następcę tronu, nie mógł on znieść spokojnie nie już pojednania w stadle królewskim, ale nadziei, którą w r. 1778 Pan Bóg stadło to pobłogosławił. W bezsilnym a długo tajonym gniewie począł na młodą królową najohydniejsze oszczerstwa

miotąć przed matką. Ta mimo swej niechęci zrazu wierzyć nie chciała, gdy jednak syn na poparcie słów swoich przytoczył rzekome, przez siebie odkryte dowody, w końcu dała mu wiarę i namówiła nawet, aby dalsze prowadził indagacye, badając Muncka, wielkiego koniuszego dworu. Ten oburzony, poszedł z całą historią do króla, który natychmiast wezwał brata przed siebie. Wobec królewskiego, nazbyt słusznego gniewu Karol uląkł się i wszystką winę złożył na matkę, tak dalece, że Gustaw, przebacząc jemu samemu, cały swój żal przeciwko niej obrócił. W największym jeszcze wzburzeniu kazał się powieźć do Fredrickshofu i tu wobec królowej tak głośnym wybuchnął gniewem, że aż służba w przedpokojach zadrżała. Oświadczył jej, że już miejsca dla niej w królestwie niema, że jej każe natychmiast opuścić Szwecyę i osiąść w zamku gubernatora w Stralsundzie, pokrywając jej wygnanie przed światem polityczną potrzebą obecności jej na Pomorzu. Ulryka nie mniej wzburzona, odpowiedziała, że rada bardzo odjedzie; zbyt była szlachetną, aby chcieć się uniewinnić, wyjawiając podłość Karola, zbyt dumną, aby przyznać, iż jej istotnie było żal, że uwierzyła oszczerstwu. Gustaw odjechał, przypomniawszy matce, że tego wieczora miał się odbyć bal dworski, na którym, chcąc uniknąć skandalu, obecność całej królewskiej rodziny była konieczną. Przyszli tedy wszyscy, ze sztucznym uśmiechem na ustach i odegrali swą rolę do końca — jeden książę Sudermanii nie śmiał z oczami matki się spotkać...

Wyjazd Ulryki był zatem rzeczą postanowioną. Gustaw, tracąc zwykłą swą miarę i panowanie nad sobą, działał tak, iż skandal, którego się zrazu obawiał, rozległ się po całym kraju. Jął też pisać do króla pruskiego z żalami na matkę. Fryderyk zbyt był przemyślny, aby otwarcie stanąć po stronie siostry; przyznając zatem jej winę, poczał niby troszczyć się o jej przyszłość, ofiarując się, iż sam poręczy za jej oprawę. Propozycya ta dała do myślenia Gustawowi; za żadną cenę nie można było przypuścić tego wuja do wmieszania się choćby w prywatne sprawy szwedzkie, skąd było mu łatwo przejść do publicznych. Jeszcze nad tem rozmyślał, gdy księżna Szarlotta, czyhająca

na każdą sposobność przywrócenia zgody, przywiodła doń całą rodzinę z gorącym wstawieniem się za matką. Każdy z nich, dwaj bracia, siostra i bratowa przemawiali z kolei; król jednak zamiast odpowiedzi zwrócił się surowo do księcia Karola, przypominając mu własne jego słowa. Na to brat młodszy, Fryderyk wpadł w gniew okrutny, jął Karola obrzucać groźbami i obelgami (bardzo zresztą zasłużonemi) i już chwycił za szpadę, gdy król powagą swoją zapaśników rozdzielił. „Scena stawała się tragi-komiczną; księżne zanosily się od płaczu, księżęta się lżyli“. Nareszcie Zofia Albertyna oświadczyła, że chce widzieć królową: „Jeżeli ona przebaczy, to i WKMość będziesz musiał przebaczyć“. Poszła tedy z Gustawem, ale królowa młoda okazała się twardą, i nie dziwo — toż mąż był jej bardzo niedorzecznie zagroził, że jeżeli pogodzi się z matką, to on w oskarżenia uwierzy. Wywinęła się tedy, mówiąc, że tylko jako chrześcijanka przebacza, ale że królowej matki widzieć już chyba nigdy nie będzie mogła. Z tem wrócili do sali, gdzie Karol perorował, oskarżając się, to uniewinniając kolejno. Zofia Albertyna, zarzucawszy królowi ręce na szyję, szlochala na jego piersi na pół zemdlona, aż Gustaw również zalany łzami nakoniec ustąpił: Niech już sobie matka jedzie lub zostaje, byle jej nie widywał ani on, ani jego żona, byle mu dała na piśmie odwołanie swych oszczerstw!...

Istotnie w parę dni później Gustaw w wielkiej pompie udał się do Fredrickshofu, gdzie cała rodzina zgromadzoną była wkoło królowej i gdzie w obecności w. kancelerza, siedmiu członków Rady przybocznej oraz całego dworu podpisany został żądany akt. Następnie król zebrawszy w Sztokholmie swą Radę, oddał solennie w ręce marszałka Fersena niefortunny dokument do złożenia w królewskim archiwum. Trudno było niezręczniejszemu postąpić: dając tyle wagi rozgłosu niecenotliwej plotce, Gustaw stawiał jakoby monument rzeczy, która przytłumiona w milczeniu byłaby się z wiatrem rozwiała.

Przyszedł wszakże dzień urodzenia upragnionej dzieci, i radość przepelniająca wszystkie serca, zmiękczyła i serce króla. Napisał serdeczne słówko do matki, czekając niecierpliwie od-

powiedzi. Odpowiedź przyszła w następujących wyrazach: „Jestem matką i to święte znamię nigdy z serca mego nie zniknie. Zawsze też wezmę szczerzy udział w pomyślności WKMei. Czekam aż czas zetrze zaslonę zakrywającą oczy WKMei; wtedy oddasz mi sprawiedliwość i pożałujesz sposobu, w jaki się ze mną obeszłeś“.

List ten zdający się zawierać powtórzenie dawniejszego oszczerstwa a w niem zaprzeczenie prawości następcy tronu, sprawił okropne wrażenie. Wesołość, jaka otaczała kolebkę, zamieniła się w smutek, król wpadł w pochmurny gniew, Fryderyk dostał spazmów, z każdych oczu toczyły się łzy.

Tymczasem Ulryka, która pisząc myślała tylko o nieporozumieniu zaszłem z winy Karola, wsiadła do powozu, obłożona podarkami dla wnuka, pełna nowowzbudzonej czułości matczynej. Na nieszczęście spotkała w drodze swego ochmistrza dworu wracającego ze Sztokholmu. Ten kazał nazad zawrócić i przerażonej opowiedział co zaszło. Napróżno już biedna matka usiłowała listownie tłumaczyć się przed synem; Gustaw odpisał tylko, że mu zatrula najpiękniejszy dzień w życiu, że woli uniknąć nowych scen, na któreby mu sił nie stało, że i tak matka może się nacieszyć swą zemstą. „Ale na miłość Boską — dodawał — proszę się nie narażać na zemstę publiczną. Nie chcę się wystawić na to, aby mój lud przez miłość dla mnie, miał zeliżyć mi matkę“.

Tym razem zerwanie było ostatecznem, zupełnem. Wprawdzie Gustaw usiłował w r. 1779 za pośrednictwem króla pruskiego do matki się zbliżyć, ona jednak nie dowierzając mu odmówiła. Żyła cicho, samotnie, w towarzystwie jedynej a nieodstępnej córki i wiernego Szwajcara Beylona, który z prostego lektora, stał się był przyjacielem i powiernikiem nietylko jej ale całej rodziny. Z ust jego tak król jak i dumna Ulryka znosili prawdy, za któreby każdy inny śmiertelnik pokutować musiał. Nareszcie w lipcu 1782 r. dano znać Gustawowi, że matka jego ciężko zaszła — na influenżę. Przybył pospiesznie do Svartsjö, z wielkimi ostrożnościami zbliżył się do jej łoża i tam wysłuchawszy całogodzinnej burzy ostrych wymówek,

został nareszcie ze łzami przyciśnięty do matczynego serca. Najajutrz wrócił przywożąc czteroletniego swego chłopaczka; Ulryka kazała go sobie posadzić na łóżku, okryła go pieszczotami i podarunkami, temi właśnie, które mu wiozła w dzień urodzenia. Był to ostatni wysilek gasnącego życia; zaledwie król się oddalił zapadła w sen letargiczny, z którego zbudziwszy się około 4-tej z rana, pożegnała wszystkich obecnych i w godzinę potem skonała dnia 16 lipca 1782 r. Liczyła lat 62. W 10 lat później Gustaw III. upadał wśród balu od kuli mordercy.

Ów mały królewicz, na którego kołyskę padł cień tak złowieszczy, miał później jako Gustaw IV. przesunąć się na ojcowskim tronie, wyzuty zeń przez tegoż samego księcia Sudermanii, którego podłość była zatrula ostatnie lata Ulryki. Tenże książę posiadłszy nareszcie tron, obłany krwią brata miał ustanowić w Szwecyi order — jedyny w swoim rodzaju — przeznaczony wyłącznie dla masonów wysokich stopni.

Ale powróćmy jeszcze do Luizy Ulryki. Po trzydziestu ośmiu latach spędzonych w Szwecyi a z tych lat dwadzieścia na tronie wśród płonnej a nieustannej walki o znaczenie i niepodległość kraju, umarła na wygnaniu, w niełasce, nie żałowana przez dzieci, ani przez lud, ani przez własną rodzinę. Czemu? Czyż tylko dla tego, że duma jej wyrosła ponad inne zalety? Nie — boć dumnym był i Ludwik XIV. i brat jej Fryderyk W., którym się przecież lepiej poszczęściło w życiu. P. Heidenstam powiada, że „współczesna Katarzyny i Maryi Teresy, łącząc w sobie cnoty domowe jednej z męskim duchem i śmiałością w intrydze drugiej nie posiadała ich głównej zalety, ich zdrowego chłopskiego rozsądku“. Zda się, że jej mąż, cichy i nieśmiały Adolf Fryderyk, posiadał go więcej od rządzącej nim żony, to też z jego śmiercią Ulryka, zda się, straciła w życiu ster, równowagę i miarę. Przy wielkim rozumie nie posiadała taktu, owej subtelności czucia w dotknięciu moralnem, potrzebniejszej nieraz od promiennych błysków umysłu. Miała wiarę głęboką i żywą, jak świadczą dwa piękne listy pisane do księcia Wilhelma, ale, o ile sądzić można, wiara ta nie uprawiana i nie pielęgnowana pozostała gdzieś w kącie duszy, nie przelewając

się w serce, a przeto i nie wylewając w czyny. Sądono ją różnie w historyi, raz zwąc ją plagą Szwecyi, raz wynosząc pod niebiosą; nam wolno powiedzieć tyle, że dostrzegłszy chorobę toczącą organizm kraju, pracowała usilnie, wytrwale, aby ją wykorzenić, że choć sama tylekroć zwyciężona, przygotowała tryumf odniesiony przez syna. Gdyby nie ona, nie zasady i atmosfera, w której go wychowała, pytanie, czyby Gustaw był sam przyszedł na myśl, że Szwecya ginie z braku silnego rządu, że jej trzeba posłuszeństwa na wewnątrz, aby zachować niepodległość zewnętrzną? Gdyby u nas, synek Maryi Ludwiki nie był umarł w kolebce, kto wie, jakiby z niego był wyrósł monarcha? Sobieski byłby i tak pod jego berłem bronił ojczyzny i wiary a może i dopomógł do zamachu stanu, tak jak pomagał Janowi Kazimierzowi w walce z Lubomirskim i jego rokoszem... Ale dość tego. Na cóż się marzenia przydadzą? Chyba na wywołanie jednej łzy więcej, gdy ich się już tyle wylało, a oczy mamy dane nie na płacz, ale do pracy. Raczej przypatrzmy się jeszcze temu ludowi, który w podobnej naszym pogrążony niemocy a przerażony widokiem naszego konania, zrywa się z łoża boleści i powraca między żyjące...

Książka Oskara Heidenstam czyta się jak zajmująca powieść, jak dramat. A jednak to czysto historia. Dokumentów tam sporo, a raczej krótkich wyciągów, ustępów z listów i pamiętników współczesnych, najwięcej z papierów Fersena, z korespondencji królowej, z dziennika księżny Szarlotty. Książka ta, zda się, niewinna — niepodobna przypuścić, aby mogła obrazić kogokolwiek z żyjących. A jednak przez cały przeszły rok szalała przeciwko niej burza w części prasy niemieckiej. Źródłem zaś tej nawałnicy, którą zresztą autor przetrzymał w milczeniu, było niezadowolenie pewnego archiwisty Prusaka, który udzieliwszy p. Heidenstamowi sporządzone przez siebie wyciągi, począł się skrzywdzonym, widząc wyciągi te wyzyskane bez wymienionego nazwiska. Że p. Heidenstam nie miał zamiaru nikomu ująć należytej mu chwały, że przygotowaną przezeń naszpikowaną wyrazami wdzięczności przedmowę wydawcy w ostatniej chwili zamienili na bardziej nęcający dla Francuzów

wstęp wyszły z pod pióra p. Millet, to tych jedynie z naszych czytelników zająć potrafi, którzy się w dziennikach niemieckich z napaściami na Heidenstama spotkali. Zarzucono mu między innemi „fałszowanie tekstów“. „Istotnie — pisze autor — zdarzyło mi się gdzieniegdzie w starych listach ortografię lub jakie niejasne wyrażenie poprawić — nie miałem jednak nigdy intencji podawać paleografii, tylko po prostu historię“... Że zaś nam wszystko jedno jest wiedzieć, o ile Luiza Ulryka źle lub dobrze po francusku pisała, wolno nam nie mieszać się do sporu, zostawiając, jak to p. Heidenstam czyni, samemu dziełu obronę pracy autora.

T. W.

O WĄTPLIWOŚCIACH PRZECIW WIERZE.

(Ciąg dalszy).

II.

Ze względu na szerzący się dziś sceptycyzm i chwiejność przekonań religijnych, rozpoczęliśmy przed paru miesiącami¹ pracę niniejszą o wątpliwościach przeciw wierze. Przystąpiliśmy do niej ze świadomością, że poruszamy kwestyę trudną, ale zarazem bardzo doniosłą, bo dotyczącą samych podstaw życia duchownego i moralnego, nie tylko klas wykształconych dzisiejszego społeczeństwa, ale i ludu prostego.

Z umysłu nie zwróciliśmy uwagi na pozytywne trudności z rozmaitych dziedzin nauki przeciw wierze podnoszone; raz dlatego, iż istnieje już wiele obszernych dzieł rozwiązaniu tych trudności poświęconych, bardziej jeszcze dlatego, że potrzebniejszą do wyjaśnienia kwestyi wydawała nam się praca roztrząsająca samą naturę wątpliwości przeciw wierze, i odnośną do nich naukę Kościoła. — Często się zdarza, że pojedynczych, pozornie luźnych trudności rozjaśnić sobie nie można tak długo, póki się nie dotrze do wspólnego źródła.

W przeszłym artykule rozpatrzyliśmy się nasamprzód w tych wątpliwościach, które się narzucają umysłom, przed stanowczem przyjęciem wiary. Odnośnie do nich stwierdziliśmy, że nauka Kościoła, już w pierwszych wiekach jasno określona, żadnej nie robi różnicy między temi wątpliwościami a wątpliwościami

¹ Zeszyt lipcowy, str. 1.

sfery czysto rozumowej. Niewierzący był i jest, według orzeczeń Kościoła obowiązany przed przyjęciem wiary uporać się na drodze rozumowej ze wszelkimi przeciw niej trudnościami i wątpliwościami. — Przeszliśmy dalej do wątpliwości metodycznych, mogących mieć miejsce po przyjęciu wiary i widzieliśmy, że teologia katolicka i wobec nich to samo zajmuje stanowisko, co inne nauki, uważając je za środek skuteczny do głębszego zrozumienia wiary i do naukowego jej rozwoju. Na ostatek wreszcie wspomnieliśmy, że metodyczne wątpliwości w naukowych badaniach łatwo przechodzą w wątpliwości rzeczywiste i obalają dawne przekonania. Tutaj dopiero, jak zaznaczyliśmy, teologia i filozofia rozchodzą się daleko.

O tem to przejściu z wątpliwości metodycznych do rzeczywistych dzisiaj nam mówić wypada.

Aby jednak dyskusja mogła być wszechstronną musimy wciągnąć w nią jeszcze inny rodzaj trudności przeciw wierze dość zbliżony do wątpliwości metodycznych. Wątpliwości metodyczne, w ścisłym słowa znaczeniu, to jest wątpliwości przez nas samych świadomie wywołane, w celu głębszego utwierdzenia się w prawdzie, są rzeczą zwłaszcza w codziennym życiu dość rzadką, o wiele częściej się zdarza, że trudności przeciw wierze mimowoli się nam nasuwają, lub że rozmowa albo lektura nam je narzuca. Trudności te w pierwszej chwili, kiedy się umysłowi naszemu przedstawiają, zazwyczaj nie obalają od razu naszej pewności; silnie tylko niepokoją umysł trwający jeszcze przy dawnym przekonaniu. Wzięte pod uwagę w tem pierwszym swem stadium, mają one wiele podobieństwa z wątpliwościami metodycznymi, przechodzącymi w rzeczywiste, a co do doniosłości praktycznej znacznie je przewyższają, dlatego z korzyścią łącznie traktować tu będziemy jedno i drugie.

Wykluczając tedy z dyskusyi naszej dokonany fakt zupełnego zachwiania przekonań, stawiamy sobie pytanie, wedle jakich zasad kierować się winien człowiek niepokojony wątpliwościami bądź takimi, które początkowo sam wywołał, bądź takimi, które same przez się w nim powstały lub zostały z zewnątrz narzucone. — Pytanie, skąd wątpliwości pochodzą, ma

wprawdzie pod innemi względami wielką praktyczną doniosłość, nie wpływa jednak na zasadnicze rozwiązanie kwestyi, jak wobec wątpliwości racjonalnie postąpić należy. Kwestyę tę rozstrzygnąć powinien rozum, a to, co on wskazuje, ma być absolutną normą naszego postępowania, bez względu na zewnętrzne okoliczności lub jakiegokolwiek przeciwne pozory.

Zaczynamy od określenia ogólnych zasad rozumowych, któremi w zakresie nauki i filozofii kierować się mamy wówczas, gdy przechodzimy z wątpliwości metodycznych do rzeczywistych. Zasady te uprzytomnić tu sobie musimy częścią dlatego, że niektóre z nich, jak zobaczymy, i przy wątpliwościach we wierze mają zastosowanie; częścią dlatego, abyśmy w tych wypadkach, w których wiara nakłada nam zasady odmienne, mogli lepiej uwydatnić i uzasadnić ich różnicę, przez zestawienie z zasadami nauki i filozofii.

Pierwszą zasadą, na którą, sądzimy, wszyscy bez wahania się zgodzą, jest ta, że wobec rozumu nie da się usprawiedliwić, lekkomyślne odstępianie od istniejących przekonań, albo choćby tylko zachwianie się w nich, pod wpływem pierwszej lepszej trudności. Mówimy najogólniej „odstępianie od istniejących przekonań“ bez względu na to, czy to przekonanie jest absolutną pewnością, czy tylko uznaniem prawdopodobieństwa. Obejmujemy nawet i tych, którzy o znalezieniu prawdy w tym lub owym kierunku zwątpili i bez zastrzeżenia twierdzimy, że ani sceptykowi sceptycyzmu, ani pozytywście pozytywizmu, ani wierzącym w jakąś objawioną religię tej religii lekkomyślnie odrzucić rozum nie pozwala.

Już instynktowo ludzie we wszystkich czasach gardzili tymi, co jak kameleon co chwila zmieniali swe przekonania. W rodzinnem życiu najgorętsi nawet zwolennicy sceptycyzmu żądają od tych, z którymi obcują, pewnej stałości zdania. Inaczej wszelkie wzajemne zaufanie byłoby niemożliwe, niemożliwe życie społeczne na zaufaniu oparte. Swobodnie z przyjaciелеm obcuje dlatego, że mam przekonanie, iż mnie nie zdradzi, nie zaszkodzi mi, planów nie pokrzyżuje; ufam jednym słowem stałości jego etycznych przekonań. Etyczne zaś przekona-

nia, które życiem naszym kierują i całemu społeczeństwu swój charakter nadają, wynikają właśnie z ogólnych bardziej teoretycznych poglądów na porządek świata. A swój pogląd filozoficzny na świat ma każdy i najprostszy człowiek, jeżeli tylko rozumem włada. Jeden wierzy w rządy i sądy Boskie, drudzy w jakieś ślepe fatum, inni w ustawiczny postęp ludzkości ku ideałowi doskonałości. Zachwianie tych przekonań musi się odbijać i na życiu praktycznym człowieka. Kto z wiary w Boga i wieczność przeszedł do nagiego materjalizmu, z wiary w ciągle zbliżanie się ludzkości do ideałów w beznadziejny pesymizm i odwrotnie, w tego życiu znajdują się niechybnie i ślady tej teoretycznej zmiany przekonań. Zbyt może mało na tę etyczną stronę kwestyi zwraca się uwagę, kiedy się sceptyczne poglądy jako wykwit mądrości ludzkiej wychwala i szerzy.

Ale można też wprost wykazać, że lekkomyślną zmianę przekonań, którą powszechny sąd ludzki, jako coś zgubnego i pogardliwego potępia, i rozumowi się sprzeciwia. Wynika to bowiem z zasady przyczynowości, która leży na dnie każdego rozumowania. Tę zasadę nie myśmy wymyślili, ona nad nami jak i nad całym światem panuje, a my jesteśmy obowiązani jej się poddać.

Każde rozumowe przekonanie człowieka, prawdziwe czy nieprawdziwe, ma swą podstawę; nie tylko te przekonania, któreśmy już z naukową ścisłością poznali, ale także i inne, do których nas rozum doprowadził, zanimeśmy jeszcze refleksją jego czynności sprawdzili. Rozumie się, że przekonania nie zawsze wynikają z wewnętrznego poznania prawdy. Wskazaliśmy już w pierwszym artykule o wierze, że wiedza nasza po większej części opiera się na świadectwie i powadze drugih; albowiem rozum jednostki nie ma wystarczającej energii i przenikliwości, by nam własną pracą dostarczał potrzebnych do życia codziennego i naukowego wiadomości, i dlatego jesteśmy siłą natury wskazani na wzajemną pomoc. Można nawet bez przesady powiedzieć, że wiedza każdej jednostki jest więcej owocem zbiorowej pracy całej ludzkości, aniżeli jej samej. Ale właśnie z tego powodu, że tyle czerpiemy ze świadectw drugih, rozum

nam nie pozwala bezmyślnie z niego korzystać; musimy i tu mieć pewne kryteria do ocenienia wiarygodności świadectwa. Zasada ta, od wszystkich rozumnych ludzi przyjęta, że każde przekonanie musi mieć swą przyczynę, zawiera w sobie i drugą zasadę, że bez odpowiednich powodów od przekonania odstąpić się nie godzi.

Z tego najprzód wynika, że wogóle wątpliwości, niezawierające żadnych racyj, ale proste tylko przeczenie naszych przekonań, nie mogą być dostatecznym powodem do zmiany sądu. A przecież często niemi się powodujemy skutkiem sugestyi otoczenia, której słabsze albo ambitne umysły łatwo ulegają. — Czy nie spotkaliśmy już nieraz młodych ludzi, którzy w przeciagu nader krótkiego czasu prawie zupełnie wyzuli się z dawnych przekonań. Ani mowy u nich nie było o głębszem zastanowieniu się nad tak prędką i radykalną nieraz zmianą poglądów; przedstawali z osobami wybitniejszymi wiedzą, sławą, stanowiskiem społecznem, widzieli, że nowe otoczenie ich przekonania uważa za przestarzałe przesady, niezgodne z postępem czasu, usłyszeli kilka razy stanowcze zaprzeczenie, może i drwinki o rzeczach, o których jeszcze nigdy ani wątpić nie śmieli — i to wystarczyło, by się zastosowali w myślach i w przekonaniach do nowego środowiska. Tego rodzaju asymilacja jest widocznie powierzchowna i nierozumna: proste przeczenie, niedowodzące niczego, nie osłabia ścisłego związku między przekonaniem a jego racją, a stąd żadnego nie daje upoważnienia do zmiany sądu.

Atoli i wobec wywodów, które wprost usiłują podkopać nasze przekonanie, zaczepiając dowody, albo zmniejszając powagę, którejsmy zaufali, nie godzi się lekko myślnie od wyrobionego raz sądu odstąpić. — Szerzyciele tak zwanych postępowych teoryj cieszą się powszechnie większem powodzeniem wśród sfer wykształconych, niż u ludu. Zwalają to zwykle na ciemnotę i z niej wynikający upór ludu, ale przecież ten upór, choć nieraz przesadny, nie jest tak bezrozumny, jak się na pozór wydaje. Prosty umysł żadną miarą nie zdoła pochwycić szybko wątku i siły obcego sobie rozumowania i stąd trwa przy swoim rozumowaniu, które albo rzeczywiście jest ro-

zumne, albo jako takie mu się przedstawia. I nie mamy prawa czynić mu z tego jakiegokolwiek zarzutu. Albowiem ogólną dla wszystkich zasadą jest, iż rozumowanie, którego siły nie pojęliśmy, rozumnym sposobem na nas działać nie może.

A więc, zarzuci nam ktoś, według wyluszczonych zasad, prości ludzie spokojnie trwać mają przy swoich fałszywych poglądach. Nie; i lud powinien dążyć do oświaty i ludzie nauki powinni ułatwić jej wstęp do najszerszych warstw, ale swoją drogą nikt nie powinien swego zdania porzucać, ani obcego przyjmować, póki powodów nie zrozumie.

Zasada ta zabezpieczy prawdzie ostateczne zwycięstwo, gdy tymczasem lekkomyślna zmiana sądu na oścież otwiera wrota wszelkiemu fałszowi i pomieszaniu pojęć. Weźmy np. chłopą, wierzącego w istnienie osobistego Boga. Rozmówmy się tylko z nim, wchodząc w jego sposób myślenia, a zobaczymy, że to przekonanie wcale nie jest ślepem, ale że się opiera na prawdziwie filozoficznych rozumowaniach. A przecież ten sam chłop najczęściej nie będzie w stanie zdać nam sprawę ze swych rozumowań, jeżeli się wprost o nie zapytamy, nie będzie też w stanie wprost odpowiedzieć na zarzuty jakiegoś materialisty albo panteisty. Miałby się przez to dać zachwiać w swem przekonaniu? Biedny! musiałby wtenczas wierzyć nie raz w najsprzeczniejsze między sobą zdania, szerzone przez samozwańczych oświecicieli ludu w imię nauki i oświaty. — Zbyt wielka zaś łatwość, z jaką ludzie inteligentni naszych czasów swe zdania zmieniają, jest jednym dowodem więcej, jak prości ludzie o wiele zdutniejsi są do prawidłowego myślenia niż wielu z klas wykształconych. W nowożytnych naszych mózgach różnorodne pojęcia i teorye nieprzetrawione zbyt łatwo się gmatwają i przeszkadzają logicznemu myśleniu. Nie też dziwnego, że przedewszystkiem tacy ludzie, przeciążeni wiadomościami ze wszystkich dziedzin wiedzy ludzkiej, skłonni są wobec pierwszego lepszego zarzutu do natychmiastowej zmiany zdania, gdyż nie przyzwyczaili się wogóle do opierania swych zdań wyłącznie na gruntownych podstawach.

Przypomnieliśmy sobie więc dotąd, z jaką stanowczością ro-

zum się sprzeciwia przedwczesnej i bez zastanowienia podjętej zmianie sądu; atoli i z drugiej strony przeczyć nie możemy, że zmiana przekonania wobec powstających wątpliwości może czasem być koniecznym postulatem rozumu. Wiedza ludzka postępuje, odkrywa myłki swych poprzedników, uprzęta raz na zawsze dawne przesady, ale dobrze też wie, że późniejsze wieki i w niej dużo jeszcze zmienia i poprawia. Dla każdego uczonego, który z początku tylko dla głębszego zrozumienia poznanych już prawd podjął się naukowego ich roztrząśnienia, przyjść może chwila, w której powiedzieć sobie racjonalnie może i musi: już dalej w swoim przekonaniu dotychczasowem trwać nie mogę, muszę od niego odstąpić albo przynajmniej sąd o niem zawiesić, póki nie znajdę silniejszych niż dotąd dowodów. A w tem samem położeniu znaleźć się może i każdy inny człowiek nawet co do najdroższych swemu sercu przekonań. Tak jak czasem bolesne doświadczenia zmuszają nas do uznania najwierniejszego, jak sądziliśmy, przyjaciela za zdrajcę, z którym wszelkie stosunki zerwać trzeba, tak i w życiu umysłowem zdarzyć się może, iż przekonania, w których wychowaliśmy się i z którymiśmy wzrosli, rozum odrzucić nam każe jako złudzenia i fałsze. Poddanie się temu rozkazowi rozumu nie przychodzi naturalnie z łatwością.— Ile to ciężkiej pracy kosztowało kardynała Wisemana oderwanie się od Kościoła anglikańskiego. Szlachetny ten umysł pokochał całem sercem swój narodowy Kościół i wierzył, że w nim się zachowało prawdziwe objawienie Chrystusowe. Poświęcał życie krzepieniu ducha tego Kościoła; a tu badania nad wiarą pierwszych wieków chrześcijaństwa jawnie mu wykazały, że Kościół anglikański już ducha Chrystusowego nie ma, gdyż w podstawniczej kwestyi od nauki Pana Jezusa i Apostołów odstąpił. Sam o sobie powiada, że w pierwszych chwilach, kiedy mu jasno stanęło przed oczyma, że anglikanizm jest herezyą, czuł się jak gdyby zmiażdżonym strasznym ciosem, mimo to, że już wiedział, gdzie szukać ma prawdziwej nauki.

Ciężkie te walki i trudności stąd pochodzą, że przekonania głęboko w nas zakorzenione nie w samym tylko umyśle mocno tkwią. Nietylko rozum niemi się przejmuje i do nich, jeżeli to

są prawdy podstawnicze, cały swój sposób myślenia stosuje, ale nadto wyciskają one swe piętno na wszystkich innych władzach człowieka: na wyobraźni, na woli, na uczuciu, wytwarzając przytem cały szereg przywyknień, od których się wyzwolić prawie niepodobna. Poznałem we Włoszech nauczyciela ludowego, człowieka sprytnego i nadzwyczaj zdrowego sądu nawet o rzeczach, które znacznie przechodziły jego wykształcenie, a który mimo to nie dał się przekonać, że ziemia koło własnej osi się obraca. Nie pochodziło to widocznie z przyczyn naukowych, ale stąd po prostu, że system Kopernika nie umiał pogodzić z pewnemi poetycznemi wyobrażeniami, w których się szczególnie lubował. Przykład ten jest może rzadkim okazem, ale bynajmniej nie dlatego, że dowodzi wyjątkowej ograniczoności: często ludzie bardzo wysoko wykształceni nie zmieniają przekonania mimo najoczywistszego poznania jego bezpodstawności. Cały człowiek tysiącznemi węzłami upodobania, interesu, przywyknienia z tem przekonaniem się związał i skutkiem tego powiada sobie: niepodobna by ono było fałszywe. Tak więc i w tym wypadku *stat pro ratione voluntas*.

I właśnie dlatego, że zmiana przekonań napotyka u nas raz po raz na tak ciężki opór, leży w interesie prawdy i prawdziwego postępu, który tylko przez dobre użycie rozumu uskutecznić się daje, byśmy jasno określili zasady, które nam przy zmianie przekonań przyświecać powinny. Postawiliśmy już dwie zasady, raczej negatywne, chroniące nas od dwóch ostateczności, jakimi są: przerzucanie się lekkomyślne z jednego poglądu w drugi, lub uporeczywe obstawanie przy swoim. Z nich wyłania się sama przez się trzecia, najważniejsza zasada, którą tak streścić można: kiedykolwiek powstające wątpliwości albo też poszukiwania naukowe odkrywają nam widoczne błędy w dotychczasowych naszych rozumowaniach, wykazując, że fakta, na których się dotąd opieraliśmy, są bezpodstawnemi tylko przypuszczeniami, lub że świadectwa, którym zawierzyliśmy, nie są wiarogodnemi — wówczas musimy odstąpić od naszego sądu. W razie znowu, gdyby wątpliwości nie obalały wprawdzie samych podstaw naszych przekonań, ale wykazywały jednak słabe

ich strony lub przeciwstawiały im dowody równej siły, wtedy musimy rozumieć zawieszać nasz sąd. Jasne jest bowiem, że w tym wypadku mamy do czynienia z wątpliwościami rzeczowymi.

Temi zasadami kierowali się wielcy geniusze, jak Galilei. Proces, jakim umysł św. Augustyna odczepiał się od Manichejczyków i przechodził do katolicyzmu jest konkretną tego ilustracją.

Co do prawdy Manicheizmu nigdy nie był św. Augustyn zupełnie przekonany. Czytanie Hortenzyusza, zaginionego nie-stety dziełka Cicerona, zapaliło go do szukania prawdy „nie tej lub owej sekty“, ale prawdy jakąkolwiekby ona była. Przejąwszy się od młodości wielką czcią dla osoby Chrystusa, nie jako Boga ale jako największego z ludzi, sądził że w szkole chrześcijańskiej najprędzej znajdzie prawdę. Od katolickich szkół odstraszała go wiara wymagająca poddania rozumowi; Manichejczycy głosili, że u nich w to tylko się wierzy, co się rozumem poznało, a więc do nich się przyłączył. Odstępowały go równocześnie od katolików, zarzuty podnoszone przeciw księgom Starego Zakonu a przede wszystkim kwestya o początku zła, na którą nie mógł znaleźć odpowiedzi, nie przyjmując z Manichejczykami oprócz Boga dobrego, drugiego jakiegoś pierwiastku złego. Poważne zaś wątpliwości przeciw Manicheizmowi budziły w nim widoczne sprzeczności między tem, co Manichejczycy pisali o astronomii i kosmogonii, a tem co nauka wtenczas głosiła. Zdawało mu się, że nauka ma słuszość, ale wstrzymał się od stanowczego sądu dla powagi biskupa Manichejczyków Faustusa, słynnego nauką i świętością życia, od którego się spodziewał wyjaśnienia. Po dziewięciu latach, przez które Augustyn „błąkającym się umysłem (*animo vagabundus*) ich słuchał“, napotkał wreszcie Faustusa — ale po to tylko, by się przekonać, iż ten człowiek nie jest w stanie uzasadnić swej nauki. To jeszcze bardziej zachwiało¹ w nim zaufanie do Manicheizmu. Nie odstąpił

¹ Przytaczamy dosłowny ustęp z Wyznań św. Augustyna, który nam odkrywa, jak logicznie w tej ewolucyi swego sądu postępował. — „Posteaquam ille (Faustus) mihi imperitus earum artium, quibus eum excellere

ich jednak nie widząc, gdzie szukać prawdy. Od Kościoła katolickiego oddalały go coraz bardziej fałszywe pojęcia, które sobie u Manichejczyków o tym Kościele wyrobił; logicznie więc zaczynał skłaniać się ku sceptycyzmowi. Z tem usposobieniem umysłu przybywszy do Medyolanu, usłyszał na kazaniach wielkiego Ambrożego, na które tylko dla oratorskiej jego sławy uczęszczał, trafne odpowiedzi na zarzuty Manichejczyków i prawdziwy wykład nauki Kościoła. Zbliżył się znowu o krok do katolicyzmu, ale słuchajmy jak rozumnie. Zawstydził się najprzód bardzo, że przyjął od Manichejczyków zarzuty przeciw katolikom jako pewne, o których się teraz przekonał, że nie są pewne. „A przecież sądziłem — pisze — że to jeszcze nie jest racją, żebym szedł do katolicyzmu, bo może i katolicyzm ma mądrych obrońców, którzy wymownie i nie od rzeczy na zarzuty odpowiadają... Katolicyzm przedstawiał mi się już nie jako zwyciężony, ale jeszcze nie jako zwycięzca“. Szukał więc dalej i znajdował coraz więcej dowodów na prawdę katolicką. „Ale jak zwyczajnie ten, który wpadł w ręce złego lekarza i dobrego się boi, tak było ze zdrowiem duszy mojej, która tylko przez wiarę mogła być uleczoną, ale uzdrowieniu się sprzeciwiała, z obawy żeby we fałsz nie uwierzyć“. Przedewszystkiem kwestya o pochodzeniu zła dużo mu sprawiała trudności. Przekonawszy się nareszcie o fałszywości Manicheizmu porzucił go i został katechumenem Kościoła katolickiego, w nadziei, że na tej drodze znajdzie prawdę, do której jego umysł tak tęsknił. Znikły na końcu wszystkie rozumowe wątpliwości — i Augustyn św. rozumem przyjął prawdę katolicką, ale dopiero później poddał się jej sercem, kiedy wola przestała się sprzeciwiać ze względów moralnych. — Wogóle rola woli i serca w zmianie przekonań św. Augustyna, jest bardzo ciekawa do badania, ale na razie ona nas nie obchodzi. Zwróciliśmy głównie uwagę na jego umy-

putaveram, satis apparuit, desperare coepi, posse eum mihi illa, quae me movebant aperire atque dissolvere; quorum quidem ignarus posset veritatem tenere pietatis, sed si Manichaeus non esset. Libri quippe eorum pleni sunt longissimis fabulis, de coelo et sideribus, et sole et luna“.. *Conf.* l. v, c. 12.

słową ewolucyę i widzieliśmy, jak nieprzeparta siła rozumu dążącego szczerze do prawdy i stosującego się w walce do zasad rozumowych zwyciężyła. — Z tego naszkicowanego pokrótce przebiegu nawrócenia św. Augustyna widzimy, jak wielki ten umysł nie odstępował z jednej strony lekkomyślnie od swego zdania, choć obiektywnie fałszywego, z drugiej zaś nie opierał się bezwarunkowo przy nim; ustąpił wątpliwościom widząc, że są uzasadnione, poddał krytyce swe dawne przekonania, narreszcie przejrzawszy jasno ich fałszywość, odrzucił je i przyjął poznaną prawdę.

W powyższy sposób określone zasady zdolne są doprowadzić każdego niepokojonego wątpliwościami pewną drogą do prawdy, byleby tylko zastosować się do nich w całej ich rozciągłości. Żadnej niema obawy, by te zasady doprowadzić miały do zupełnego sceptycyzmu, gdyż właśnie tego od nas się domagają, byśmy nigdy na seryo nie wąpili jak tylko rozumnie — a rozum do powątpiewania o prawdach oczywistych doprowadzić nas nie może. Przyznajemy wprawdzie, że kto powyższemi zasadami kieruje się w filozoficznych i naukowych badaniach, ten często dojdzie do zachwiania pewnego przedtem sądu: nie będzie się jednak temu dziwił, jeśli nie jest mu obcą ograniczoność władz naszych poznawczych, które skutkiem wewnętrznych niedostatków i pod wpływem tak wielorakich zewnętrznych przeszkód, z wielkim tylko mozółem dotrzeć mogą do niepodzielnej prawdy. — Owocem tych zasad będzie ostrożność i przezorność w wydawaniu stanowczych sądów, a to jeszcze nie jest sceptycyzmem.

Musimy też zwrócić szczególniejszą uwagę i na to, że powyższe zasady stosują się do wszystkich przekonań bez względu na to, czy one się odnoszą do prawd wyłącznie spekulatywnych, czy praktycznych. Ze względu na uciążliwe komplikacye życiowe, jakie zmiana praktycznych przekonań za sobą pociąga, chciałoby się dość powszechnie wyjmować te ostatnie z prawideł rozumu. Nie brak ludzi wcale zresztą nie ciasnych, którzy np. zmianę religii uważają za rzecz co najmniej nieodpowiednią; lepiej, wedle ich zdania, trwać we wierze, w którejśmy się wy-

chowali. Nie brak też filozofów, popierających te poglądy twierdzeniem, że kwestyi o zmianie praktycznego przekonania nie można na podstawie ogólnych zasad rozwiązać, jako subiektywnej kwestyi sumienia¹.

Żadną jednak miarą zgodzić się na to nie możemy. Rozumie się, iż o zmianie przekonania subiektywne poznanie rozstrzygnąć musi a nie obiektywna prawda. Jeżeli moje przekonanie, choć w sobie błędne, wydaje mi się wszechstronnie oczywistem, to zmienić go nie mogę. Obiektywna prawda lub fałsz, póki przezemnie nie są poznane, żadnego racjonalnego na moje przekonanie wpływu wywrzeć nie mogą. Ale jak każdy przyznaje, że ogólne prawa myślenia stawiać trzeba obiektywnie, mimo że poznanie zależy od subiektywnego stanu umysłu, tak też uznać trzeba uprawnienie ogólnych obiektywnych zasad przy zmianie przekonań.

Wykazaliśmy powyżej ze ścisłego związku między etyką a teoretycznem poznaniem, że nie wolno zbyt prędko zmieniać przekonań — a teraz odwrotnie z tej samej zasady wyciągamy wniosek, że i praktyczne przekonanie podporządkować trzeba przy ich zmianie ogólnym zasadom rozumu. Sumienie i moralność nie są przecież czemś oderwanem i niezależnem od rozumu, ale na niem się opierają. Rozum wydaje sąd o tem, czy rzecz jest dobra lub nie, a wola, o ile we wolnym swym wyborze stosuje się do wskazówek rozumu, działa moralnie lub niemoralnie. Kiedy więc rozum stanowczo orzeka, że przekonanie jakieś jest fałszywe, człowiek w każdym wypadku do tego orzeczenia stosować się jest obowiązany.

Nie chcemy przez to powiedzieć, że na wypadek kolizyi między wyrokami naszych własnych badań a prawdami powagą drugich stwierdzonemi, koniecznie trzeba iść za tem, cośmy sami pracą rozumu poznali — byłoby to często w wysokim stopniu niedorzeczne. — Dajmy na to że ktoś, nie będąc zawodowym matematykiem czasami z amatorstwa nad rozwiązywaniem problemów matematycznych pracuje; jeżeli uczony matematyk

¹ Schmid, *Erkenntnislehre* I, 98; *Wissenschaft u. Auctorität*.

zareczy mu, że rozwiązanie, do jakiego doszedł, jest fałszywe, to rozum wymaga oczywiście uwzględnienia takiej powagi, choćby się nie mogło dostrzedz błędu w rozumowaniu. Tak samo w kolizyi między wynikami nauk a przekonaniami moralnemi lub religijnemi (mówię tu jeszcze ogólnie o wszystkich religiach), zdarzyć się może, że rozum tym ostatnim większą wagę przyznać każe. Chętnie i na to się zgadzamy. Bronimy tylko zasady, że rozum zawsze i wszędzie w kolizyach między przekonaniem i wątpliwością ma być najwyższym sędzią.

Mogłoby się na pozór zdawać, że zasada ta jest niemożliwą w zastosowaniu do życia, bo jak sami przyznajemy, rozum rzadko i dopiero po ciężkich pracach do zupełnej pewności nas doprowadza a w życiu praktycznem trzeba się raz po raz doraźnie decydować. Lecz tu musimy wziąć na uwagę różnicę zachodzącą między rozumem i wolą. Jak z jednej strony rozum, aby prawdę przyjął, musi koniecznie jasno o niej się przekonać, tak z drugiej strony wola jest ściśle obowiązana działać według tego, co w danym razie po bezstronnem rozumowem zastanowieniu się zdaje się być dla niej dobrem, choćby się do pewności i jasności dojść nie mogło. Nawet wątpliwości rzeczywiste co do obiektywnej prawdy zasad etycznych, któremi się kierujemy, czy wogóle, czy w danych wypadkach, nie są przeszkodą w rozumnem i moralnem działaniu, bo działając według najlepszego naszego rozumienia, mamy pewność zupełną, że subiektywnie dobrze działamy, zgodnie z etycznym wymaganiem naszej natury. Gdybyśmy zaś odwrotnie przyznali, że częsta potrzeba decydowania się sama z siebie racjonalnie wpłynąć może na uznanie lub odrzucenie potrzebnych do działania zasad, wpadlibyśmy tem samem w oportunizm, najoczywiściej przeciwny naszej rozumnej naturze.

A jednak istnieje w razie powstania wątpliwości różnica między prawdami, bezpośrednio naszym życiem kierującemi, a prawdami bardziej abstrakcyjnemi, różnica rzadko kiedy należyce uwzględniana, a przecież nader ważna. Tyczy się ona obowiązku uwzględnienia i gruntownego zbadania wątpliwości.

Każdy rzemieślnik stara się, by te narzędzia były w naj-

lepszem stanie, które mu najbardziej do pracy są potrzebne, każdy uczony dąży do stwierdzenia tych zjawisk, które częściej wchodzą w zakres jego pracy; tak też rozum każe nam zajmować się w pierwszym rzędzie temi prawdami, które częstsze mają zastosowanie w życiu naszym i ogólniejszy na nie wpływ wywierają. Kto się stale kieruje tą najszlachetniejszą żądzą prawdy, ten mimowoli usilnie starać się będzie o gruntowne wyświecenie zasad, z któremi ciągle w życiu musi mieć do czynienia, czy to idąc za niemi, czy od nich odstępując. Inaczej musiałby być w nieustannej obawie, czy jego życie nie opiera się na ciągłym fałszu — sama myśl dla szlachetnego człowieka bolesna i wstrętna.

Takie są, zdaje nam się, główne przepisy, które rozum dyktuje w chwilach umysłowej walki między wątpliwościami a przekonaniem. Widzieliśmy, że bezwzględne ich zastosowanie — a powinniśmy je bezwzględnie zastosować — nadaje szerokie prawo obywatelstwa wątpliwościom rzeczywistym w dziedzinie filozofii i nauki. Dużo tam ciemności, a absolutnej pewności mało. — Gdyby te ciemności były zupełne, pozostałoby nam tylko zwątpienie. Ponieważ jednak w nauce i filozofii są tu i ówdzie jasne punkta, a gdzieniegdzie widać w oddali przebijającą światłość, przeto poczucie ciemności budzi jeszcze gorętsze pragnienie dostania się do światła; wątpliwości rzeczywiste są w naukach silnym bodźcem do poszukiwania prawdy.

*

*

*

Wiara powyższym zasadom najzupełniejszą słusność przyznaje dopóki one się tylko do nauk odnoszą. Kiedy jednak chodzi o oznaczenie zasad, kierujących w wątpliwościach przeciw wierze, wiara znacznie odstępuje od prawideł, które rozum nam wyżej wskazał. Podnosi ona wprawdzie z naciskiem, że lekkomyślnie przekonania swego zmienić nie można, ale nie w tem przypuszczeniu, jakieśmy to czynili w rozbiorze filozoficznym kwestyi, że kiedyś zmiana może być usprawiedliwioną, lecz ze stanowczem twierdzeniem, że o takiej zmianie w wierze mowy

być nie może; stąd też wiara żadnych nie stawia przepisów o przejściu z wątpliwości metodycznych do rzeczywistych.

To dla wielu wystarcza, by wiarę uważać za doktrynę niezgodną z rozumem; o więcej nikt zwyczajnie się nie pyta. — Ciekawy to objaw psychologiczny, że gdy chodzi o wiarę katolicką, rzadko kiedy się znajdzie, ktoby choć z czysto naukowej ciekawości chciał głębiej zbadać naukę wiary o wątpliwościach, dowiedzieć się, jak ona się przed rozumem tłumaczy. Bez bliższego roztrząśnienia kwestyi zarzuca się nauce katolickiej, że prawa rozumu depce, gdyż nie chce pozwalać na rozumny rozbiór trudności i wątpliwości przeciw wierze. Tylko bardzo liberalni katolicy — powiadają — na to się odważają, ale i oni przy rozbiorze trudności religijnych nie są szczerzy. Rozumowemi argumentami do muru przyciskani, wykręcają się najsubtelniejszymi wywodami, a wobec sprzecznych z wiarą wyników nauki uciekają się do figur, metafor, symbolicznych tłumaczeń, aby tylko wiarę obronić. „W tem rozbiciu wiary, — pisze Renan — z której się zrobiło punkt środkowy całego swego życia, przyczepia się człowiek raczej do najbardziej nieprawdopodobnych środków ratunku, zanimby miał pozwolić, aby wszystko, co kochał, ciało i mienie, zginęło“. — Ogół wierzących katolików nawet wykształconych według powyższego zdania, ani nie śmie porównać między sobą wyników nauki i wiary i nigdy się nie odważyła wyciągnąć z nauki lub z wiary konkluzyj rozumowych.

Podobne zarzuty tyle razy się powtarzają w gazetach, powieściach, dziełkach popularnych i naukowych, że pewna kategoria katolików z niemi już całkiem się oswoiła i bierne tylko względem nich zajmuje stanowisko. Myślących jednak katolików zarzuty te zawsze boleśnie dotykały i słuszną w nich budziły obawę, że one kiedyś się przyczynią do zachwiania wiary nawet w najszerszych warstwach społeczeństwa katolickiego. Obawy te dzisiaj się spełniają.

W przeciągu wieków próbowano różnemi sposobami obronić wiarę od tych zarzutów, że tak powiem, nienaukowości, które wedle umysłowego charakteru czasów rozmaite przybierały formy. Spostrzegamy najprzód przedewszystkiem dwa skrajne

kierunki. Jeden racjonalistyczny, który wszystkim wątpliwościom na oścież drzwi otwierał, znosząc różnicę między wiarą i wiedzą, drugi przesadnie supranaturalistyczny, który wszelkie rozumowe badanie w rzeczach wiary potępiał i tak z góry przed wątpliwościami zamykał podwoje, prowadzące do świątyni teologii i wiary.

Pierwszy kierunek występuje już silnie w pierwszych czasach chrześcijaństwa u różnych odcieni gnostyków, którzy przyjmując objawienie, obiecywali wybranym umysłem, że już tu na ziemi wiara ich się przemieni w wiedzę; Manichejczycy zaś chcieli czynić rozum sędzią w rzeczach wiary. Są to widocznie pierwsze próby, by w celu obrony wiary wprowadzić do niej krytycyzm filozoficzny, który wówczas w sceptycyzm zwyrodniał i wszystkie prawie umysły pogańskiego świata opanował. Ale te pierwsze próby się nie udały; oparli się tym prądom zwyciężko Ojcowie św., którzy przyswoiwszy sobie z wielkim naukowym zapalem skarby filozofii grecko-rzymskiej i oczyściwszy ją z fałszów, starą filozofię z nową wiarą w jedną przepyszną całość złączyli¹.

Po ostatecznem utrwaleniu się wiary w całym imperyum rzymskiem ucichły głosy chrześcijańskich racjonalistów; za to sama wiara wewnętrzną siłą i pod wpływem zewnętrznych heretyj coraz bardziej się rozwijała, coraz konkretniejsze i wyraźniejsze przybierała formy i zarazem powoli podbijała barbarzyńskie ludy środkowej Europy.

Ledwie jednak życie naukowe nieśmiało budzić się zaczęło wśród nawróconych narodów, a już objawiły się na nowo racjonalistyczne kierunki choć z początku w mistyczne szaty ubrane. Tak już Scotus Erigena, sławiony ojciec filozofii niemieckiej, bawiący od r. 843 na dworze Karola Łysego, przyznawał wierze tylko podrzędne wobec rozumu znaczenie; wiara podaje prawdę, rozum dopiero ją przenika: co rozum udowodnił to nie potrzebuje potwierdzenia wiary. Jako właściwego

¹ Klasycznym dziełem w tym kierunku są *Stromata* św. Klemensa Aleksandryjskiego.

jednak inicjatora zgubnego dla wiary racjonalizmu przedstawia się nieraz¹ Abaelarda, francuskiego teologa (raczej filozofa) z pierwszej połowy dwunastego wieku, przypisując mu, iż wątplenie czynił punktem wyjścia dla teologii. Sądzymy, że sąd ten za surowy. Z dzieł jego pokazuje się umysł świetny, ruchliwy, pełen krytycznego zmysłu, śmiały, Różnicę między poznaniem czysto rozumowem a wiarą Abaelard zgodnie z dawną nauką Kościoła pojął; w życiu najzupełniej do niej się stosował, poddając się zawsze bez wahania sądowi Kościoła; w pismach swych nieraz dobrze go określił, tylko że naturalną skłonnością porwany często zbyt daleko się posunął w rozumowych dociekaniach dogmatów i skutkiem tego i o wierze niedokładnie się wyrażał.

Większe i rzeczywiste niebezpieczeństwo utonięcia w racjonalizmie groziło wierze przez zetknięcie się z końcem XII. w. z arabską i żydowską filozofią. Najwybitniejsi jej przedstawiciele, Maimonides i Averroës rozwiązali kwestyę sporu między wiarą i rozumem w ten sposób, że mędrzec nie powinien przeciw religii ludu występować, ale tylko oczyścić ją dla siebie od fantastycznych i fałszywych naleciałości. — Świat chrześcijański średnich wieków rzucił się z prawdziwą chciwością wiedzy na nowe filozofie, i podobnie jak Ojcowie pierwszych wieków, przyswoił je sobie tylko na swą korzyść; powstała scholastyka, wnikająca rozumem wiarą oświeconym coraz głębiej w dogmata, ale nienaruszająca mimo swej czei dla rozumu w niczem powagi wiary. Wzajemny stosunek tych dwóch źródeł poznania, już wiek przed scholastyką przez św. Anzelma z głęboką precyzją oznaczony, coraz dokładniej się naznaczał; rozum według scholastyków do wiary ma prowadzić; zadaniem rozumu jest roztrząsać treść dogmatów, ich znaczenie, ich związek wewnętrzny, rozum ma bronić wiary przeciw niewierzącym; ale rozum wierzącego obowiązany jest poddać własny swój sąd orzeczeniom wiary.

² Zob. Denzinger, *Vier Bücher von der religiösen Erkenntnis*, t. I, str. VII, 321, 322.

Po raz więc drugi nie udało się racjonalizmowi wtargnąć do wiary.

Reformacja XV. i XVI. wieku nie wyszła od ludzi, racjonalizmem przejętych ani, jak się często sądzi, nie czerpała swych zasad ze szkół racjonalistycznych. Wręcz przeciwnie wyrosła ona z fałszywej mistyki XIV. i następnych wieków i od niej wypożyczyła sobie podstawniczą swą zasadę przesadnego indywidualizmu, który jednostkę i w rzeczach wiary czyni sędzią najwyższym. Podkopując wiarę prawdziwą, reformacja pośrednio przyczyniła się do racjonalizmu, przygotowując grunt dla niego. Sami jednak jej twórcy skłaniali się wprost do przeciwnego kierunku, hypernaturalizmu¹ i stąd też wierzący protestantyzm stworzył mnóstwo sekt fideistycznych i pietystycznych, które o wątpliwości nie wiele się troszczały i siłę wiary w uczuciu pokładają. Cała wreszcie nowsza teologia protestancka, idąc w ślady Schleiermachera, odcięła wiarę od rozumu, określając ją jako wewnętrzne doświadczenie, jako poczucie, które samo sobie wystarczy, a o rację się nie pyta (Ritschl).

Nowe kierunki racjonalizmu objawiły się dopiero przy schyłku przeszłego stulecia. Teologia od drugiej połowy XVII. wieku ciągle upadała i przy wystąpieniu encyklopedystów w opłakanym stanie się znajdowała. Za to inne nauki się rozwijały, których teologia prawie nie uwzględniała, choć już wtenczas zaczęto z nich kuć broń przeciw wierze; za to filozofia sceptyczna z Anglii po kontynencie się szerzyła.

Uniwersytety uczyły nareszcie potrzebę ożywienia studyów teologicznych z uwzględnieniem postępów innych nauk. W r. 1774 reformowano fakultet teologiczny w Wiedniu, za nim poszły prawie wszystkie inne wszechnice niemieckie. Pokazało się wkrótce, że ta reforma, sama w sobie najpotrzebniejsza, była już zarażona duchem racjonalizmu. Krytycyzm Kanta wywołał i między teologami katolickimi dążność do zupełnego przewrotu w teologii i do zerwania ze wszystkimi zdobyczami teologicznymi scholastyki, zresztą już tylko z imienia znanej.

¹ Denzinger, l. c., str. 122 i nast.

Wtenczas powstał katolicki teolog, który radykalniej od wszystkich swych poprzedników krytycyzm do wiary zastosował, żądając, by teolog dopiero przez rzeczywiste wątpliwości — i w teologii do ostatnich granic posunięte — wzniósł się do silnej rozumem oświeconej wiary. „Przy wszystkich moich pracach (także odnoszących się do dogmatów) — pisze Hermes — sumienie wypełniłem postanowienie wątpić o wszystkim, jak długo będę mógł, i dopiero wtenczas stanowczo rozstrzygnąć, kiedy mię rozum do tego zmusi. Musiałem dlatego z wielkim mozółem przedostać się przez labirynty wątpienia, do których nigdy nie wejdzie, kto się nie zdobędzie na seryo na powątpiewania...”¹ Hermes nie koniecznie od wszystkich wymagał, by weszli na drogę wątpienia religijnego, ale żądał tego koniecznie od tych, co się kształcą na księży; ci szczególnie według niego są obowiązani przejść przez labirynt wątpliwości, aby kiedyś módz towarzyszyć wątpiaćemu w jego drogach. Pierwszym więc krokiem kandydata teologii ma być zrzeczenie się wszelkich religijnych i teologicznych przekonań naukowo przez niego nie stwierdzonych. Niech nikt tego kroku się nie obawia — mówi — możemy być przekonani, „że według sumienia dobrze i święcie postąpimy, idąc za wskazówkami rozumu, skoro on jest jedynym przez Stwórcę naszego jestestwa nam danym wodzem, który potężnym wewnętrznym głosem nam każe iść za sobą, dokądkolwiekby nas zaprowadził”¹. „Tą drogą — powiada Hermes o sobie — doszedłem do przekonania... że Bóg jest... że chrystyanizm jest Boskiem objawieniem i katolicyzm prawdziwym chrystyanizmem”². Przytoczyliśmy obszerniejsze z Hermesa ustępy, by dać czytelnikowi obraz tego pomieszania fałszu z prawdą, o którym jeszcze nieraz w ciągu naszej pracy mówić nam wypadnie, a które Hermes w tak jasną na pozór ujął formę.

Mimo tego zamiary Hermesa były dobre, pragnął pogodzić wiarę z krytycyzmem filozofii i przez to wyjednać jej uszanowanie u przeciwników. Ale niestety choć był profesorem teo-

¹ *Positive Einleitung*, str. 31.

² *Philosophische Einleitung*, str. xi.

logii w Monasterze, później w Bonn, posiadał sam tylko bardzo słabe wykształcenie teologiczne, przedewszystkiem w stosunku do głębszej znajomości najnowszej filozofii niemieckiej. Skutkiem tego wpadł w sprzeczność z całą tradycją katolicką i jego nauka została potępioną przez Grzegorza XVI.¹, a później również przez Piusa IX. w liście do arcybiskupa z Kolonii (25 lipca 1847 r.) gdy jego zwolennicy sądzą, że liberalny papież do ich zasad się skłoni. Po Hermesie i Güntherze (semiracyonalista) jeszcze Frohschammer w dziele: *Über die Freiheit der Wissenschaft* (1861) chciał semiracyonalizmem wierze się przysłużyć, stawiając zasadę, że nie władza kościelna, ale jedynie nauka ma rozstrzygnąć w wątpliwościach nie tylko naukowych ale religijnych.

Zbyt jednak jaskrawe były racjonalistyczne zakusy tych doktryn, by mogły między wierzącymi znaleźć zwolenników. W oczy wpadało, że ta nauka nie podnosi wiary wobec wymagań filozofii, ale wprost ją podkopuje. Kto się nią przejął, po prostu porzucił wiarę. Po raz trzeci próby zracyonalizowania wiary pokazały się niemożliwe. Wiara kościelna XIX. w. została ta sama co wiara Apostołów; ale w trzeciej tej od czasów Chrystusa utarczce między racjonalizmem i wiarą, prowadzonej ze strony przeciwników z zasobami energii, wytrwałości i pracy jak jeszcze nigdy przedtem, Kościół poniósł straty nader wielkie. Walka jeszcze trwa i wzywa wszystkich katolików łącznemi siłami do udziału.

Drugi skrajny kierunek dla wytłumaczenia kolizyi między wiarą i rozumem i stąd powstających wątpliwości, polega, jakśmy już powiedzieli, na przesadnym supranaturalizmie. Wprost może mniej ludzi oderwał od wiary, ale za to trwalszy i szkodliwszy wpływ wywarł na samą wiarę między katolikami. Już Klemens Aleksandryjski wspomina o sekcjarzach, którzy na widok zgubnego dla wiary racjonalizmu gnostyków i sprzeczności między filozofią pogańską i wiarą wprost przeczyli wszelkiej łączności między teologią a filozofią. Tej samej broni chwycili

¹ Denziger n. 1487, 1662.

się także monofizyci dla utwierdzenia obrony swej sprzeczej z rozumem nauki.

Głębsze korzenie teorye te zapuściły w teologii katolickiej dopiero w czasach następujących bezpośrednio po najwyższym rozkwicie scholastyki. Sławny założyciel wielkiej szkoły franciszkańskiej, Duns Scotus, zrażony może zbyt niemiernym wywyższeniem rozumu przez scholastyków, poddał argumentacye ich najsubtelniejszej krytyce, dochodzącej często w kwestiach filozoficznych do rezultatu sceptycznego; niepewność tę rozstrzygnąć może wedle niego tylko wiara, korne poddanie się pod powagę boską. Cechą charakterystyczną geniuszu Szkota była dążność do analizy i stąd też mniej ufał wrodzonym siłom rozumu, niż wielu ze współczesnych mu teologów i filozofów; fałszywy jednak jest zarzut, powtarzany nawet w poważnych dziełach, jak w historii dogmatów profesora Schwanego ¹, jak gdyby już sam Szkot sceptycznie zapatrywał się na pogodzenie nauki z wiarą i nawet się posuwał do twierdzenia, iż coś może być prawdziwem we filozofii i zarazem fałszywem w teologii. Dopiero niektórzy z jego uczniów i zwolenników, jak wódz nominalistów XIV. wieku, Occam, nie przenikając myśli wielkiego mistrza, zaczęli zbyt niemiernie poniżać naturalne zdolności rozumu i przez to wierze nie mało zaszkodzili. Kopali przepaść między nauką i wiarą, aby tę ostatnią wywyższyć, a tem samem torowali drogę do oddalenia się nauki od wiary, które się teraz jeszcze tak srogo mści.

Formalne systemy, głównie oparte na zasadach przesadnie supranaturalistycznych, wytworzyły się nareszcie z początkiem naszego wieku. Na widok oddalającego się coraz bardziej od wiary społeczeństwa ludzie dobrej woli, ale bez gruntownych teologicznych wiadomości, Bonald, Bautain, po części i Lamennais i inni, sądzili, że pozyszczą świat dla wiary, oddzielając ją zupełnie od rozumu; postawili więc zasadę, że rozum w prawdach religijnych i moralnych nigdy do pewności dojść nie może. Wiarę wedle nich trzeba tylko biernie, niezachwianie

¹ *Dogmengeschichte*, tom III., str. 77 i 78.

przyjmować; rozumowe dociekania tych prawd do niczego nie doprowadzają. — Na dnie ich systemów leżało zwątpienie o siłach rozumu, w szczególności o możliwości skutecznej obrony wiary przeciw niezliczonym trudnościom i wątpliwościom nowoczesnym.

We Francyi, w Belgii, w Niemczech i Włoszech szkoła ta znalazła zwolenników. A choć główne jej zasady zostały również jak racjonalizm przez Kościół potępione¹, przecież sądzimy, że one jeszcze teraz w wierzącym społeczeństwie nurtują i większą w niem wyrządzają szkodę, niż racjonalizm. Tradycjonalizm niby wierzącego we wierze utwierdza, wiarę wywyższa nad wszelką inną wiedzę; ale odcinając ją od rozumu, sprawia, że wiara traci jeden ze swych najważniejszych korzeni w duszy. Wiara ta boi się zstąpić ze swego piedestału i wchodzić w szranki z trudnościami, które nauka i filozofia przeciw niej podnoszą; przez to traci wszelki wpływ na życie umysłowe, a skutkiem tego i na całe życie społeczne. Ukrytym wpływom tych teoryj po części przypisać należy, że wielu katolików wcale się nie poczuwa do obowiązku zdawania sobie i drugim sprawy ze swej wiary.

Żaden ze skrajnych kierunków nie zdołał więc w zadawalnijący sposób rozwiązać sprzeczności między poglądami filozofii i katolickiej teologii na wątpliwości. Jeden zniósł wszelką różnicę między wątpliwościami obu tych dziedzin i przez to sam wpadł w sprzeczność z wiarą; drugi wątpliwości przeciw wierze chciał wyjąć z pod praw rozumu i przez to stanął w przeciwieństwie i do rozumu i do wiary. W czasach najżywszej wiary rozum najgłębiej się zapuszczał w dogmata, nie zmieniając ich istoty, najśmielej w oczy patrzył podniesionym przeciw wierze zarzutom i stąd czerpał światło dla zrozumienia wiary i dla jej obrony; i my na tej drodze szukać będziemy racjonalnego a zgodnego z wiarą wytłumaczenia wątpliwości przeciw wierze i dotyczącej ich nauki Kościoła.

(C. d. n.)

Ks. Wł. Ledóchowski.

¹ Denzinger, n. 1496 i nast.

JERZYK, KRÓL CZECHÓW.

(CHARAKTERYSTYKA).

I.

Sądy historyków o Jerzyku. — Klucz do odgadnienia charakteru. — Przy sięga koronacyjna. — Związki z Huniadem i opozycją. — Kierunek przeciwko cesarzowi i papieżowi. — Plany d-ra Maira. — Cele Jerzyka i znaczenie jego związków.

Żadnym z wielkich faktów historycznych, żadną z wybitnych postaci XV. wieku nie zajmowano się z takim zapalem naukowym i gruntownością, jaką poświęcono królowi Czechów, Jerzykowi Podjebradowi. Od czasu Palacký'ego, gruntowne i zdolne, pełne siły lub polotu, śmiałe w ujęciu przedmiotu i przedstawieniu rzeczy pióra takich, jak: Jordana, Höflera, Voigta, Frinda, Grünhagena, Hubera, Bachmana lub Ludwika Pastora, starały się wyjaśnić bądź epizody, bądź też całokształt panowania władcy Czech. Starano się z niemiecką gruntownością, połączoną z wdziękiem formy, podnieść zalety dzielnego rządcy, miłośnika pokoju i kraju, sumiennego sędziego i szczęśliwego wreszeie wodza, męża o wielkiej sile woli, o wysokich aspiracyach i szerokim poglądzie na sprawy współczesne, a liczne te przymioty złożyły się na wieniec hołdu ze strony świata naukowego wszystkich niemal stronnictw i obozów. Współczesne przekazy takich historyków jak Eschenlohera, Długosza, Bonfiniego, oceniono jako opisy stronnictwą przejęte zawiścią z powodów nacjonalnych lub wyznaniowych, podnoszono zarazem dą-

żenie Jerzyka skierowane dla idei państwa i poświęcenie jego w tym kierunku, które to przymioty zbliżają go poniekąd do nowożytnych ideałów, mężów oddających się w zupełności idei państwa i widzących w państwie, rozwoju jego i sile, ostateczny cel ludzkości.

Prócz wielu istotnych zalet zdolnego rządcy, których Podjebradowi trudno nie przyznać, przyczyniły się do hołdu i do tego zajęcia się osobistością czeskiego króla, któremu współcześni pisarze odmawiali zalet prawdziwie wielkiego męża, inne jeszcze powody, dla których wyniesiono króla Jerzyka na piedestał wielkości historycznej. Powodami temi są: wybitna nacyonalność tego męża, a co bardziej jeszcze podbija pióra dzisiejsze i zniewala do czci przesadnej: walka podjęta przez Jerzyka przeciwko Rzymowi. Jeżeli bowiem nacyonalność, nadająca znamię szczególne, bardziej indywidualne, wyróżniające osobistość historyczną od innych współczesnych postaci dziejowych, już tem samem podbija umysły, zniewalając pióra badaczy do szczególniejszego uznania, to w nierównie większej mierze podbija umysły dzisiejszych historyków ta, jakbyśmy dziś powiedzieli, walka o zasady, walka o przekonania. Już Palacky wypowiedział myśl, że Jerzyk był bojownikiem o zasady, o prawdę, co większa że był męczennikiem w tej walce, jednym z wielkich przesłańców tych przemian dziejowych, jakie miały miejsce w XVI. wieku!

Należy jednak dodać, że ten bezwarunkowy hymn pochwalny czeskich historyków uległ pewnej zmianie, i to dzięki sumienności i wielkiej dokładności w badaniach niemieckich historyków. Nie narodowość jednak Jerzyka jest powodem pewnej rezerwy w sądzie, pewnego umiarkowania w pochwałach ze strony niemieckich uczonych. Na pochwałę niemieckiej nauki orzec należy, że dążenia do podniesienia własnego narodu na wyższy poziom cywilizacyjny oceniają oni jako jedną z wielkich zalet króla; jeżeli zaś umniejszają stopień wielkości, nadany mu przez narodowych historyografów, to dzieje się to dla tego, że w sumiennych badaniach dostrzegają pewnego rozdźwięku pomiędzy czynami a celem dążeń i rezultatami pa-

nowania Jerzyka, pewnych znamion ujemnych w charakterze i rysów opacznych, niezgodnych z wymogami prawdziwej wielkości historycznej, do jakiej wynieść usiłowała czeska historyografia króla Jerzyka. Jeszcze i dla niemieckiej historyografii nie przestaje być Jerzyk wielkością, chociażby *minorum gentium*, jeszcze sławią jego wielkoduszność, jego potęgę woli, niemniej jednak spostrzedz można wiele zastrzeżeń, wiele ale. Trzeźwy, poważny ten sąd, pogłębiany badaniami archiwalnemi, zwłaszcza gdy dodamy znakomite w rezultaty badania ks. Jana Pastora, zachwiał wielce jednostronne przedstawienie historyografów nacyonalnych Jerzyka. Należałoby się wreszcie zapytać po czyjej stronie leży prawda. Jakim był Jerzyk, jakimi jego dążenia i jakim jest dziejowe znaczenie króla Czechów¹.

W chwili kiedy Kalikst III. wysłał legata swego, kardynała Św. Anioła do Czech, gdzie miało się odbyć wesele króla Władysława z Małgorzatą francuską, siostrą króla Ludwika XI., kiedy oczekiwano w stolicy Czech wielkiego zjazdu królów, na którym i król polski z żoną Elżbietą a siostrą Władysława mieli być obecni, kiedy to w dniu związku dwóch potężnych domów miano ostatecznie uchwalić sposób obrony od Turka, szeregającego z nowej stolicy swej, Konstantynopola, w Europie swe panowanie, w tej chwili rozlega się jak grom wieść o przedwczesnym zgonie króla Władysława. Trzy trony w jednej chwili zostały osierocone, jedyna podówczas nadzieja obrony wielce podupadłego na duchu chrześcijaństwa runęła; najważniejsza placówka od muzułmańskiej potęgi, Węgry, zostały zagrożone; Czechy, dzięki królowi z domu Habsburgów, skłaniające się ku katolicyzmowi i ku współpracy w wielkich dziełach Zachodu napowrót wtrącone w wir walk wewnętrznych. Niebezpieczeństwo było o tyle większe, o ile żaden z potężnych książąt sąsiednich, żaden z królów nie mógł w tej chwili skutecznie poprzeć swych starań o osierocone korony. Cesarz Fryderyk walczy z opo-

¹ Bibliografia dotycząca tego przedmiotu podana jest dokładnie przez prof. Alfonsa Hübera w trzecim tomie jego *Geschichte Österreichs*.

zycyą zarówno w dziedzicznych państwach jakoteż i w Rzeszy Niemieckiej, król Kazimierz zajęty nieszczęsną wojną pruską, inni książęta okoliczni jak np. sascy znienawidzeni dla swej narodowości w Czechach. Względy te ułatwiają w Czechach zarówno jak i w Węgrzech obiór królów narodowych, jak w Polsce mówiono Piastów; w Węgrzech wypłynął Maciej Huniady, w Czechach Jerzyk Podjebrad.

Kluczem do poznania charakteru króla Jerzyka, jego dążeń, zadań i działalności dziejowej jest jego pierwsze wystąpienie, pierwsza jego działalność przy koronacyi. Było to bowiem arcyważnem pytaniem, jak postąpi sobie mąż, dotąd uważany słusznie za głowę husytyzmu, jakie zajmie stanowisko wobec kierunków skrajnych, którym dotąd sam sprzyjał a nawet wyznaczał kierunek.

Kim bowiem był Jerzyk przed swą koronacją? Ani rodem, ani talentem nie należał wszakże do najpierwszych w Czechach. Syn Bočka z Podjebradu, owego jawnego z 1410 r. wroga Polaków, pochodził z rodu rycerskiego w Morawach, oddanego husytyzmowi. Sam Jerzyk jako 14-letni młodzieniec bierze udział w bitwie pod Lipanami po stronie wyznawców kielicha przeciwko Prokopom i odtąd nie opuszcza szeregów utrakwistów, staje się ich głową; dokonuje w nocy wrześnieowej 1448 r. rewolucyi w Pradze i oddalając katolików tak od rządu jak wogóle z Pragi, sprawia, że odtąd stolica Czech staje się ogniskiem husytyzmu. Kto nie uznał Rokieczany i kompaktatów musiał uchodzić z miasta. Kapituła uciekła do Pilzna; magistrowie i studenci, kupcy i niemieccy mieszcianie opuszczają miasto.

Odtąd Jerzyk całą duszą i właściwą sobie wytrwałością oddaje się sprawom rządów nad Czechami. I wrzaskliwe sejmy i walczące stronnictwa i król młodzieńczy Władysław uginają się przed jego wolą. W chwili śmierci króla istotnym królem Czech, był wódz utrakwistów, Jerzyk.

Nie wchodzimy w pytanie, co do przyczyn śmierci Władysława Pogrobka, stwierdzam tylko, że wnet po śmierci tegoż tak na dworze wiedeńskim jakoteż i krakowskim posądzano

Jerzyka jako sprawcę tejże, a co najmniej, wiadano, że nie zginął król śmiercią naturalną. Nowsze badania podały w wątpliwość prawdziwość tych wieści o zejściu Pogrobka skutkiem trucizny, to atoli stwierdzono, że równocześnie ze śmiercią wieść rozszerzana, jakoby umierający polecić miał Jerzykowi opiekę nad państwem, mogła mieć na celu przygotowanie opinii dla przyszłego króla.

Łatwiejszem atoli było osiągnięcie korony aniżeli jej utrzymanie na swej głowie. Wobec silnego stronnictwa katolickich panów czeskich, wobec krajów korony czeskiej, jak Moraw, Łużyc i Ślązka, gdzie wszędy znaczeniem i wpływem przeważali Niemcy, wobec zagranicy i sąsiadów, z których wszyscy niemal, jako krewni zmarłego króla, mieli uprawnione pretensye do korony, pretensye — co dla Jerzyka stanowiło niebezpieczeństwo — które każdej chwili mogły być poparte siłą miecza; wobec takich przyczyn Jerzyk postanowił porzucić stanowisko wodza utrakwistów. Ażeby utrzymać koronę na swych skroniach, daje Jerzyk tak katolickim baronom jakoteż i Kościołowi rękojmię swej prawowierności, odprzysięga już przy swej koronacyi utrakwizm.

Jakże, zapytamy, odbyła się ta zmiana przekonań w umyśle i sercu króla, który z wodza utrakwistów staje się w jednej chwili katolikiem. Wszakże nie pod wpływem duchowieństwa, gdyż to było i pozostało w Czechach w większości pod wpływem Rokiczany i obawiało się Jerzyka, nie pod wpływem otoczenia, w którym nie było katolików. Stosunki zresztą były tego rodzaju w Czechach, że trzeba było sprowadzić węgierskich biskupów, gdyż w kraju nie było go, do spełnienia obrządku koronacyjnego. Otóż wobec tych biskupów z Jaworzyna i Wacowa (Raab i Waitzen) i kilku świadków, złożył Jerzyk nie tylko przysięgę obojętną papieżowi, ale nadto przyrzekł naród swój od wszelkich błędów, schizmy i kacerstwa, wogólności od wszystkiego, co prawej wierze Kościoła się sprzeciwia, odwodzić i do jedności z Kościołem w wierze i obrządkach doprowadzić. Odprzysiężenie to utrakwizmu — jak badania Bach-

mana dowodzą¹ — nie stało się publicznie, a także i nie na piśmie, lecz ustnie wobec biskupów i świadków zostało złożone, przyczem Jerzyk obiecał całą siłą poprzeć obronę zagrożonego przez Turków Krzyża.

Już tajemnica, jakiej z łatwych do odgadnięcia powodów zażądał Jerzyk od biskupów przy złożeniu przysięgi, wskazuje, że był on świadom całej doniosłości i skutków tego czynu. Z drugiej znowu strony nie był też skępowanym uroczyście złożoną przysięgą koronacyjną, gdyż prawo, jakie zaprzysięgali królowie czescy, odnosiło się do złotej bulli, w której wszakże przepis o wierności i o obronie Kościoła odnosić się mógł jedynie do katolików. Wobec tego nie można poczytywać Jerzyka za takiego, któryby w sumieniu swem miał czuć całe brzemie dwuznaczności z powodu podwójnie złożonej przysięgi, raz na kompaktaty i znowu wobec biskupów papieżowi — przysięgi obie nie sprzeciwiały się wzajem, nie wykluczały się; Jerzyk przystąpił formalnie na łono katolicyzmu z całą świadomością... lecz w tajemnicy². Cały kierunek prac jego zależał od wytyczonego sobie celu; jeżeli nim była korona tylko sama, jako cel ambicji, natenczas nie było wątpliwości, że Jerzyk nie-

¹ *Thronbesteigung K. Georg v. Böhmen.*

² Margraf w pracy swej: *Ueber Georgs Project eines Fürstenbundes w Sylbels Hist. Zeitsch.* XXI, wątpi aby przysięgę Jerzyka wobec biskupów można było poczytać za przejście na łono Kościoła katolickiego, jakim było np. przejście Augusta Mocnego Saskiego, a to z tego powodu, że utrakwizm podówczas nie stanął był jeszcze w takim przeciwieństwie do nauki Kościoła, w jakim pozostawała augsburska konfessya, i że utrakwiści uważali się za prawych katolików. Na to chyba odpowiedź, że wszystkie sekty uważają się za wyznawców prawdziwego Kościoła; a że Jerzyk świadom był, iż utrakwiści odcięli się od Kościoła, dowodzi jego przysięga co do nawrócenia tychże na łono Kościoła. Zresztą sam Jerzyk mówi: Mam religię mych kapłanów za prawą (słowa te cytuje Sylwiusz jako odpowiedź Jerzyka daną kapłanowi, który chciał się przekonać o wierze jego); gdybym zechciał za twoją pójść wiarą, odniósłbym szkodę na duszy, a Boga, który na dno serc patrzy, nie zdołałbym oszukać. Jeżeli tedy przed koronacją Jerzyk w głębi przekonania był husytą, ze świadomością różnicy nauk husytyzmu a rzymskiego Kościoła, a przysięgnął nawrócenie swoje i swego narodu przy swej koronacji, natenczas stanowcze przejście Jerzyka na katolicyzmu nie może ulegać wątpieniu.

tylko że odczuje rozdźwięk pomiędzy obydwoma przysięgami, ale że nadto da świadectwo, że złożył pierwszą tylko celem odebrania widoków na koronę swym współzawodnikom, nad którymi skutkiem przysięgi odniósł tryumf, — słowem, że da świadectwo krzywoprzysięstwa. Jeżeli korona była tylko środkiem do wyższych celów, natenczas nie było wątpienia, że Jerzyk nietylko że nie odczuje nigdy brzemienia dwuznaczności, lecz nadto że pomiędzy jego czynami a dążeniami zapanuje zgodna harmonia. Jedną tylko drogę szeroką, otwartą, jeden cel miał Jerzyk jasny i wielki przed sobą, jeżeli chciał w myśl przysięgi złożonej pójść śladami Karola i tylu zachodnich królów chrześcijańskich, jeżeli chciał spełnić to, co uroczyście ślubował, jeżeli korona miała dlań stanowić symbol dążeń, stanowiących ideał chrystyanizmu.

Którą drogę miał wybrać Jerzy, król Czechów, na to pytanie dają odpowiedź wszystkie trzy okresy jego panowania, które z kolei przebieść należy. Zadanie, jakiego się podjął, nie było łatwe; całą swą siłę zawdzięczał husytom; utrakwiści, na których barkach się wyniósł, stanowili jego potęgę — skutkiem danej przysięgi, powtórzonej na koronacyi, musiał on wszystkie swe starania, myśli, dążenia skierować celem nawrócenia zbłąkanych na drogę prawą. Czechy podówczas, jak trafnie podnosi gruntowny znawca tej epoki¹, były narodem, wprowadzającym mnóstwo zgubnych nowatorstw w stosunki państwowe, w wierze zaś usiłującym być katolickim narodem, nie chcąc atoli być weale rzymskim.

Dodać należy, że Jerzyk zdawał sobie całkowitą sprawę z zadania i że w pomysłowej swej głowie znalazł dość środków trafnych do ułatwienia go sobie. Zaraz na wstępie panowania umiał on ponawiazywać z sąsiednimi książętami, z książętami Rzeszy stosunki przyjaźni w taki sposób, że wrogów i dawnych współzawodników rozbrajał, obojętnych czynił wiernymi przyjaciółmi, przyjaciół zobowiązywał do ścisłej wzorowej przyjaźni. W taki sposób szeregiem stosunków przyjaznych, zadzierzgnię-

¹ Bachman w *Archiv für oesterreichische Geschichte*, B. LIV, p. 127.

tych z sąsiadami, opasał utrakwistyczne Czechy tak dalece, że ułatwił sobie znacznie zadanie reform wewnętrznych.

I z innych jeszcze powodów miał Jerzyk zadanie to ułatwione. Pierwszym był stosunek cesarza do nowego króla Czech, będącego zarazem członkiem Rzeszy Niemieckiej i elektorem państwa, stosunek pełen względów dla świeżo nawróconego, pełen życzliwości dla czeskiej korony, dający możność zupełnie swobodnego rządzenia narodem w kierunku, obowiązującym księcia Rzeszy Niemieckiej. Jeszcze względniejszym, jeszcze bardziej ojcowskim był stosunek dworu papieskiego, bardziej aniżeli cesarski, pojmującego trudną rolę nowonawróconego króla, usuwającego wszelkie zapory, jakie Jerzykowi bądź ze strony sąsiadów, bądź też ze strony gorliwych katolików, poddanych korony czeskiej stawały na przeszkodzie. Skoro dodamy do tego przyjaźń z Węgrem Huniadym, który już jako król tak samo narodowy, tak samo z rzędu szlachty na najwyższą w chrześcijaństwie wyniesiony godność, tem samem widział w Podjebradzie niejako towarzysza doli, a nadto już w r. 1458 zaręczył się z córką czeskiego króla, dalej sąsiedztwo z Polską, już z powodu pokrewieństwa języków pozostającą w dobrych z Czechami stosunkach, wtenczas będziemy mieli szereg istotnych faktów, dzięki którym Jerzyk, i bez większego współudziału ze swej strony, zadanie wobec swej ściślejszej ojczyzny, przy koronacyi ślubowane, miał wielce ułatwione.

Jerzyk atoli ponad królestwo swe uzyskał jeszcze wspomniany tytuł, wielce zaszczytny, elektora Rzeszy Niemieckiej, godność, dającą mu nietylko głos w najpoważniejszym areopagu chrześcijańskich książąt, ale nadto i wpływ na sprawy Rzeszy, wpływ na losy najpotężniejszego państwa w chrystyanizmie. Jaki zasób nieprzebrany środków cywilizacyjnych dla dobra swego narodu mógł zaczerpnąć od wyższych cywilizacyjnie Niemców najpotężniejszy nowy elektor Rzeszy, łatwo można zrozumieć, przywołując sobie na pamięć, że Jerzyk żyje w epoce wielkich wynalazków w Niemczech, wielkiego wzrostu sztuki i nauki, w epoce narodzin literatury niemieckiej, W jak łatwy sposób można było upadających wśród usterek sekciarskich ro-

daków podnieść na duchu przez zaszczepianie pojęć i środków odrodzenia, zacierzwionych w jednostronnym oporze i zasklepionych w swem sobkostwie narodowościowym, skierować ku pracom Zachodu, słowem, podźwignąć naród z upadku, w jakim już od czasów Husa pozostawał! Ponad to wszystko Opatrzność dała cały szereg papieży, z których każdy wymownie wskazując na wielkie niebezpieczeństwa, grożące chrystyanizmowi z powodu zajęcia Konstantynopola, zachęcając do obrony chrystyanizmu, dawał otwarte pole książętom i ludom do zasług i chwały, do osiągnięcia najwyższych zaszczytów, do odrodzenia ludów i skierowania ich na drogę prawych obowiązków.

Zobaczmy, o ile z tych dobrodziejstw i ułatwień, jakie sama Opatrzność nastręczała, skorzystał Jerzyk w pierwszym okresie swoich wielbionych rządów.

Kierunek obrany przez Jerzyka poznać najlepiej można ze stosunku, zajętego wobec cesarza i Rzeszy Niemieckiej.

Że Jerzyk będzie się starał o zbliżenie, było jasnem i naturalnem, jako król wszakże Czech był członkiem państwa rzymskiego. Wszystko zależało od pytania, w jaki sposób zawiąże Jerzyk stosunki i od kogo je rozpocznie. Cesarz bowiem podówczas zwalczał opozycję w Rzeszy, która z uporem zarówno przeciwko głowie państwa zwróconym, jakoteż i przeciwko Stolicy apostolskiej, broniła swych partykularnych celów i dążyła do rozbicia Rzeszy a do zwiększenia władzy książąt. Jeżeli Jerzyk nasamprzód zwracał się do opozycji, jeżeli nadto w związkach swych popierał obiecywał cele tejsze, jeżeli solidarność swą okazywał, natenczas było jasnem, że przysięga koronacyjna była tylko środkiem do uzyskania korony.

Jakby w przeczuciu, że w nowym królu czeskim wielkie grozi niebezpieczeństwo dla cywilizacyi zachodniej, która już tak silne pozycye zdobyła w Łużycach, na Morawach i na Śląsku, zajęto w tych krajach korony czeskiej wyczekujące wobec Jerzyka stanowisko. Nietylko Niemcy, ale i Czesi i Polacy nie myśleli o bezwarunkowym uznaniu Jerzyka, oczekiwali raczej, aż Jerzyk stanie jawnie po stronie katolicyzmu. Już celem zabezpieczenia się od takiego stanowiska krajów korony czeskiej,

musiał Jerzyk oglądać się na Rzeszę. Stając po stronie cesarza, jawną dawał im wskazówkę co do celu ich wyczekiwań.

Jerzyk jednak rozpoczął od książąt Rzeszy, od opozycji, skierowanej przeciwko domowi cesarskiemu, a nadto nacechowanej schizmatyckimi dążeniami wobec Kościoła. Rozpoczęcie przeto i zawiązanie stosunków z takimi przewódcami nosiło na sobie piętno nieprzychylności i wobec Kościoła i Stolicy apostolskiej.

Z wielką zręcznością, korzystając ze swej pozycji króla Czech, rzuca Jerzyk całą sieć kabały na sąsiednich książąt niemieckich. A zaznaczając zgodność swą z ich dążeniami, a zarazem przynależenie i wierność ku Rzeszy, rozbraja wettyńskich Sasów i skłania ku sobie Brandenburczyków. Rozwija on przytem niezmierną pomysłowość, zdradza wielki talent dyplomatyczny, podbija nim nawet najzręczniejszych książąt Rzeszy, przyczem jednak w gruncie rzeczy zdradza, że cel tych zabiegów rozbiega się z zadaniem, ślubowanem przy koronacyi. Nie zręczniejszego, jak owe zawiązanie stosunków przyjaźni z Saksonią, przeciwko której zręcznie użył niechęci ku niej Albrechta Brandenburczyka. Na licznych zjazdach w pierwszej połowie 1459 r. przychodzi do zgody Jerzyka z Saksonią, Brandenburgią, z palatynatem. Co bardziej, na zjeździe w Chebie Wilhelm Miśnieński nie tylko że zrzekł się pretensyi do tronu czeskiego, ale nadto zaręczył się z córką Jerzyka, poczem nastąpiło zawarcie traktatów pokojowych Jerzyka z elektorem brandenburskim Fryderykiem i jego braćmi.

Jakkolwiek znaczenie króla czeskiego skutkiem zawartych traktatów niepomrotnie wzrosło, jakkolwiek zaczęto się oglądać na niego z całej Rzeszy Niemieckiej, a nawet z dalszych stron chrześcijaństwa, jakkolwiek imię króla było na ustach całej opozycji zarówno przeciwko cesarzowi, jakoteż i papieżowi zwróconej, na ustach uczonych, prawników i pisarzy tego obozu opozycyjnego, to jednak Czechy na tem nic nie skorzystały.

Że jednak Jerzyk nie dołą i dobro narodu, lecz własną osobę miał na względzie, tego dowodem stosunki, zawiązane przez niego z uczonym prawnikiem, d-rem Marcinem Mairem, na zje-

ździe z książętami opozycyi w Chebie. Doktor Mair, rodem z Norymbergi, był rzecznikiem opozycyi, był — potocznie się wyrażając — wędrownym dyplomata, jednym z wielkiej liczby owych o których kardynał Carvajal twierdził, że zarówno „ziemi jako też i drzewom są szkodliwymi“, a jednak, jak w dalszym ciągu obaczmy, zrobił on miejsce na praskim dworze jeszcze szkodliwszym od siebie dyplomatom. Otóż do tych drzew zbliża się Mair; on narzuca się rozmaitym książętom Rzeszy z naukowo uzasadnionym projektem, by ci książęta sięgnęli po rzymską koronę, gdyż tylko tym sposobem zdołają pokój w Rzeszy ustalić. Atoli w pośród opozycyi, czy się spostrzeżono na charakterze Maira i jego awanturniczych pomysłach, czy też dla zawiści książąt wzajemnej, nie znalazł się jednak nikt, ktoby poważał się sięgnąć po rzymską koronę, ów symbol zwierzchniczej władzy sądowniczej i wojennej całego chrystyanizmu. W Chebie, w marcu 1460 r., stara się Mair przekonać Jerzyka, że „uginający się pod nawalem zajęć olbrzymiej Niemieckiej Rzeszy cesarz, zaniepokojony równocześnie w dziedzicznych swych państwach, nie nie będzie miał przeciwko temu, jeżeliby Jerzyk sięgnął po rzymską koronę, że raczej przyjmie fakt taki, jako ulgę w trudnych swych obowiązkach“. Teraz nadarza się najlepsza sposobność uzyskania zezwolenia od cesarza na rzymską koronę. Zresztą jeżeliby nawet cesarz sprzeciwiał się zamiarowi, to z powodu niesnasek, pośród których pozostawała Rzesza, zwłaszcza habsburskie dzierżawy, łatwo było Jerzykowi zmusić cesarza do dania zezwolenia.

Już sam sposób ofiarowania i miejsce wskazywało na odrzucenie projektu wędrownego dyplomaty, jeżeli Jerzyk chciał pozostać wiernym przysiędze, wiernym obowiązkom chrześcijańskiego króla. Jakby jednak na dowód, że o swem wyłącznie wyniesieniu myślał, wzbity w dumę z powodu nawiązanych z opozycją przyjaznych stosunków, chwytą się Jerzyk projektu i czyni za pośrednictwem tejże opozycyi próbę osiągnięcia rzymskiej korony. Nie będziemy tutaj przedstawiali fazy, jakie przechodził pomysł d-ra Maira, żywo popierany przez Jerzyka, w jaki sposób zdobył on dla swego dążenia palatyna Renu, księcia

Ludwika Wittelsbacha z Monachium, Dytryka Izenburga wreszcie, owe filary opozycji,—wystarczy nam podać naukowo uzasadnioną i dowiedzioną przyczynę, że z powodu Brandenbureczyka, silnie stojącego przy cesarzu, runął cały projekt, zbudowany na opozycji, aby powziąć wyobrażenie o kierunku i charakterze zabiegów Jerzyka. Dwa jeszcze inne względy przemawiają za tem, że Jerzyk tylko o sobie myślał, o swem własnem wyniesieniu; pierwszym jest podanie pomocnej ręki opozycji w dzierżawach habsburskich, drugim ścisły związek z Huniadem przeciwko cesarzowi; były to znamiona aż nadto wybitnie wskazujące, że Jerzyk na gruzach porządku zachwianego w chrystyanizmie szuka li tylko własnego wyniesienia.

Gdyby jednak dążenie Jerzyka miało być środkiem do celów najwyższych, do naprawy rzeczypospolitej chrześcijańskiej, natenczas postępowanie jego, jakkolwiek pełne rysów wątpliwych mogłoby liczyć na zupełne usprawiedliwienie w oczach historyków. Na zakończenie rozdziału zapytajmy tedy, czy istnieje jaka wskazówka, pozwalająca wnosić o jakowychś wyższych celach przyświecających królowi czeskiemu, aniżeli niem było własne jego wyniesienie...

Zaiste trudne to pytanie, na które odpowiedź uzyskać można dopiero po wyczerpaniu wszystkich rysów charakteru króla, po przejściu trzech epok jego publicznej działalności. Już teraz atoli dały się dojrzeć pewne wskazówki, że wyniesienie przez Jerzyka upragnione, nie mogło być środkiem do najwyższych celów. Gdyby te bowiem przyświecały istotnie dążeniom jego, natenczas byłby Jerzyk nie popierał tego, co stanowiło prawdziwe niebezpieczeństwo Czechów, co ich dzieliło od Zachodu, od Rzymu, byłby szukał raczej i popierał te myśli, które mogły stanowić podstawę do nawiązania nowych a silnych węzłów z chrystyanizmem. Kompaktaty Bazylejskie, przy których już zawarciu tak Czesi jak koncyliarzyści w Bazylei chytrze postępowali,—szło bowiem drugim o uzyskanie jakiejś korzyści w walce przeciwko papieżowi,—były tą chwiejną podstawą, na jakiej żadną miarą ani zgoda z Kościołem, ani pokój z chrześcijańskimi państwami i książętami nie mogły być zbudowane.

One bowiem zawierały koncesye dla kierunku w każdym razie wrogiego Kościołowi, dla kierunku powstałego z husytyzmu, a nadto nie były przez Czechów dotrzymywane, lecz raczej pod każdym względem przekraczane. Już przy ogłaszaniu artykułów kompaktatów na sejmie w Ihlawie 1436 r. powstał spór pomiędzy Rokiczaną a legatami podczas rozdzielania Komunii. Nawet pod względem formalnym nie było zgody; jak bowiem powszechnie wiadomo, rozdzielali utrakwiści komunię zarówno dzieciom jak i pozbawionym rozumu, co się wręcz sprzeciwiało naukom Kościoła. Jednem słowem sobór udawał jakoby Czechów pogodził i pojednał z Kościołem, Czesi zaś jakoby odnieśli tryumf w walce z Kościołem, jakoby herezya ich została zatwierdzoną, tak dalece, że nawet zaniedbali dopełniać warunków kompaktatów bazylejskich, jak np. pouczać przy rozdzielaniu *sub utraque*, o obecności Chrystusa pod każdą postacią; co więcej poczęli wprost uczyć odmiennie od Kościoła i ganić tak pożyteczność modlitwy za zmarłych, jak i naukę o odpuszczeniu i o obrazach Świętych, a magistrat praski zabronił nawet rozdzielania Komunii *sub una*, pouczając przytem, że pozostaje w zgodzie z kompaktatami.

Otóż Jerzyk jakkolwiek musiał postępować ostrożnie, zwłaszcza gdy wyniesienie swe na tron głównie zawdzięczał utrakwistom, to jednak, gdyby był istotnie dążył do zgody, byłby niewątpliwie usuwał wszystko to, co stanowiło i co powiększało rozdział Czechów z Zachodem. Tymczasem jak pod względem polityki podawał on rękę schizmą tchnącej opozycyi, tak pod względem kompaktatów pozwalał na objawy wprost z niemi niezgodne, a sprzeczne z nauką Kościoła. W taki to sposób wnet po zawarciu owych związków z opozycją (w r. 1459) ogłoszono w niektórych utrakwizmu się dzierżących powiatach kilka dekretów, skutkiem których nikt, ktoby nie przysiągł, że do śmierci pozostanie przy kielichu, nie mógł ani dziedziczyć, ani dóbr zakupować, ani też ślubu otrzymać, co więcej nie mógł liczyć na utrzymanie obywatelstwa praskiego ani nawet na pogrzeb „katolicki“. Przez tolerowanie tych edyktów wydanych za wpły-

wem potężnego Rokiczany, edyktów stanowiących w gruncie rzeczy zerwanie z katolicyzmem, dawał Jerzyk prawie namacalny dowód, że nie myśli o dopełnieniu zobowiązań przysięgą koronacyjną stwierdzonych, lecz że raczej zatwierdza dotychczasowy kierunek w Czechach, kierunek zerwania z Zachodem i jego cywilizacją.

II.

Stosunek Jerzyka do cesarza. — Podawanie ręki opozycji w Austrii. — Projekt zmuszenia cesarza do ofiarowania rzymskiej korony. — Dążenie do korony przez Rzym. — Projekta zaniechane. — Warunek obedyncyi. — Demonstracyjne wystąpienie Jerzyka. — Groźby katolików czeskich. — Projekta Mazinięgo. — Nadzieja w Polsce. — Tryumf Piusa II. — Powody dążeń Jerzykowych do rzymskiej korony.

W Niemczech, gdzie za przykładem domu saskiego nazywano Jerzyka *der uffgeruckte, rex praelentis*, w którego prawo-wierność nikt zgola nie wierzył, nikt też nie dawał wiary owym związkom i przymierzom Saksonii, Brandenburgii, Palatynatu i Bawaryi z krolem Czechów. Bardziej jeszcze nieprawdopodobną zdawała się być wieść, jakoby król Jerzyk miał sięgnąć aż po rzymską koronę. Historycy dzisiejsi również nie umieją, odkryć właściwej przyczyny, która króla kacerzy, jakby na ironię losu, jakby na pośmiewisko przodujących w dziełach cywilizacyi Niemiec, spowodowała sięgnąć po urząd najwyższego sędziego w sprawach katolickich Niemiec, po urząd wodza w walce o postęp cywilizacyi chrześcijańskiej. Dzisiejsi historycy usiłują objaśnić ten fakt trzykrotną zmianą panującego, a dwukrotną domu panującego w Niemczech w przeciągu lat kilkunastu dokonaną, nie przypuszczając wcale, żeby dążenia opozycji, osłabiające siłę wiary i rozluźniające silny węzeł Rzeszy z Rzymem, doprowadzić miały Rzeszę do tego stopnia osłabienia, iż powszechnie za kacerza uważany król Czechów mógł marzyć o pozyskaniu korony rzymskiej.

Dwaj tylko współcześni mężowie wcale nie okazali zdziwienia z powodu niesłychanego w dziejach cywilizacyi faktu, a tymi mężami byli cesarz Fryderyk i papież. Obaczmy jakim był stosunek Jerzyka do przedstawicieli cywilizacyi chrze-

ścijańskiej, do duchownego i świeckiego zwierzchnika świata. Odpowiedź na to pytanie wyjaśni nam zarazem cały drugi okres panowania Jerzyka Czeskiego i charakter jego dążeń, a zarazem wskaże nam istotne przyczyny niepojętych i trudnych do odgadnięcia sięgań Jerzykowych po rzymską koronę.

Obaj przedstawiciele chrystyanizmu znaleźli się w trudnych niezmiernie stosunkach wobec ówczesnych dążeń, wobec osłabienia węzłów, które państwa chrześcijańskie łączyły w jeden zastęp, w jeden związek ludów, wreszcie wobec upadku Konstantynopola. Cesarz Fryderyk, jak już kilkakrotnie wspomniano, nie tylko że w domu, w dziedzicznych państwach miał do zwalczenia upór i bunt, ale nadto miał ręce związane przez walkę z opozycją w Rzeszy. Nadto król Węgier, Huniady pozostawał z cesarzem w napiętych stosunkach, a nawet w wojnie, a sąsiedztwo blizkie ułatwiało mu sposobność zaburzenia dzierżaw rakuskich. Zdradzony przez książąt Rzeszy, przez członków własnego domu, niepokojony przez dumnego Huniadego, cesarz Fryderyk miał do zwalczenia trudności, jak rzadko który z jego poprzedników, jak żaden z współczesnych książąt w chrześcijaństwie.

Postępowanie Jerzyka, związanego węzłami przyjaźni z Huniadem i z opozycją, które oznaczało, nie już nieposłuszeństwo, ale zrywanie z cesarzem, zwłaszcza gdy tym przymierzom towarzyszyły zabiegi o koronę rzymską, nie uszło bacznej uwagi cesarza. Pomimo to cesarz nie tylko że niczem nie dał poznać słusznych podejrzeń co do prawomyślności króla Czechów wobec głowy Rzeszy, ale nadto postępowaniem swym wyrozumiałem i przyjaznem dawał mu często sposobność do ukorzenia się przed swym majestetem. Jerzyk też nie omieszkiał skorzystać z tej pozornej dobroduszości cesarza, i nie zdoławszy osiągnąć celu, „korony rzymskiej przez opozycję“, zbliża się w tymże celu do samego cesarza.

Na zjeździe w Bernie przyszło do skutku przymierze Jerzyka z cesarzem. Jerzyk obiecywał wierność cesarzowi, przylumienie husytyzmu, przyrzekał nieść pomoc cesarzowi przeciwko wszystkim wrogom, w szczególności przeciwko własnemu

zięciowi, Maciejowi Węgierskiemu za wynagrodzeniem 30.000 dukatów.

Cesarz zyskiwał w Jerzyku sprzymierzeńca przeciwko opozycji, atoli więcej dawał skutkiem zawarcia przymierza, aniżeli na razie zyskiwał; przez nie bowiem dawał publiczne uznanie królestwa Jerzykowego, jemu zaś ułatwiał zaprowadzenie katolicyzmu w Czechach, ustalenie stosunków dobrych z Zachodem, podniesienie ziomek na szczebel cywilizacyjny, na jaki dźwignął ich był Karol IV. Luksemburezyk, a z którego strąciła Czechy epoka husycka.

W taki to sposób cesarz wskazywał Jerzykowi drogę obowiązków a zarazem ułatwiał mu wielce zadanie. Jasną bowiem jest rzeczą, że zgoda z cesarzem wpłynęła znacznie i na polepszenie stosunków z papieżem, względem którego, jak zaraz obaczymy, Jerzyk bardzo dwuznacznie zajmował stanowisko. Zgadzałą się historycy, że wskutek zawarcia tego przymierza, nadarzała się Jerzykowi najlepsza sposobność do zgody z Kościołem, od której zawisł był pokój całej niemal środkowej Europy. Dodać i to należy, że równocześnie prawie i ze strony papieża, mądrego Piusa II. (Eneasza Sylwiusza) doznał Jerzyk zachęty i ułatwienia do tej zgody, przez zaproszenie go na kongres w Mantui.

Że jednak Jerzyk, nie o Czechach, swych ziomekach, nie o odrodzeniu swej pieczy powierzonego ludu, lecz o sobie jedynie i o swem wyniesieniu myślał, tego najdowodniejszym świadectwem jest fakt, że skoro tylko cesarz odsunął był prośbę jego wyniesienia na godność rzymskiego króla, natychmiast wbrew zawartemu przymierzowi zaczął łączyć się z wrogami cesarza. Zamiast w myśl uroczystych zobowiązań z całą swą potęgą stanąć przeciwko nieprzyjacielowi cesarza, Huniademu, Jerzyk w tym właśnie czasie ofiarowuje cesarzowi pośrednictwo pomiędzy nim a zbuntowanymi pod Einzingerem stanami Austrii, i to w taki sposób, że, jak to dokładny badacz owych stosunków stwierdza, widać było rękę jego w tym całym związku przeciwko cesarzowi¹. Jest to wielce charakterystycznym, że

¹ Bachman, *Böhmen*, 184.

buntownicy zwracają się do króla Czech o pośrednictwo, a to jak mówili dla tego, że Jerzyk w pokoju i przy prawach kraj swój utrzymuje, tudzież że zgasły król Władysław powierzył przed śmiercią Jerzykowi opiekę nad swemi krajami, szczególnie nad Austryą. Gdyby cesarz nie zechciał przystać na sąd rozjemczy Jerzyka, natenczas stany będą się starały siłą obronić swego życzenia. Słusznym też jest wniosek, że narzucone pośrednictwo miało zniewolić cesarza do wypełnienia zamiarów Jerzyka, które cesarz, nie urażając zresztą osoby jego, był usuwał. Nie dość na tem. Jerzyk widząc, że wszystkie zakusy zostania królem rzymskim za pomocą cesarza są bezskuteczne, wraca do projektu presyi za pośrednictwem opozycyi. Nieudana próba uzyskania korony, naraziła go tymczasem tylko na utratę znaczenia, co bardziej, podniecała nadzieje katolików, domagających się od króla, by wstąpił na drogę obowiązków, ślubowanych uroczyscie przy koronacyi, a którym Jerzyk nie myślał uczynić zadość... to były przyczyny, że Jerzyk z zaciętością i uporem chwyta się projektu, który w gruncie rzeczy był owocem poronionym awanturniczego doktora-dyplomaty.

Dr. Mair krząta się od dworu do dworu pośród książąt Rzeszy, pozyskuje dla projektu wyniesienia Jerzyka najzaciętszych wrogów cesarza: Dytryk z Izenburga, Zygmunt z Tyrolu Palatyn Renu, Ludwik Bawarski obiecują poparcie; z królem Polski, z naszym Kazimierzem Jagiellończykiem w Bytomiu zawiera przymierze zaczepno-odporne przeciwko wszystkim wrogom — z wyjątkiem jedynie papieża — słowem, cały arsenał środków, podanych przez uczzonego prawnika, kieruje przeciwko cesarzowi. W lutym 1461 r. nastąpił powtórny zjazd w Chebie... i tu projekt upadł. Dzięki Brandenburezykowi, honor Rzeszy Niemieckiej został uratowany... inaczej groziło, że nawet nie w Rzeszy, we Frankfurcie, lecz w czeskim Chebie król utrakwistów osiągnąłby imperyum rzymskiego państwa. Dzięki Brandenburezykowi, na sejmie w Norymberdze wszyscy elektorowie przychodzą wreszcie do przekonania, że Jerzyk na tronie rzymskiego imperyum jest niemożliwym. Już żaden z gorliwych popieraczy wyniosłych zamiarów nie popiera ich — przeciwnie

wszyscy radzą gorliwie nad sposobami ochrony przed zemstą Jerzyka. Albowiem dr. Mair, uczony rzecznik powierzonej sobie sprawy, dokumentami w rękę dowodzi, że elektorowie, jak moguncki, jak palatyn, dali uroczyście zezwolenie na wyniesienie Jerzyka. Elektorowie zdobywają się na odwagę i oświadczają, że jakkolwiek we wszystkim chętnie ofiarowują usługi swe Jerzykowi, to jednak na koronę nie dają zezwolenia. Z groźbą na ustach odchodzą czescy posłowie.

Jeszcze jedną próbę czyni zaciekle w uporze Jerzyk. Postrawia on przy pomocy ligi złożonej z arcyksięcia Albrechta, Ludwika Wittelsbacha i Macieja Węgierskiego, a nadto przy pomocy rot braci czeskich zmusić cesarza orężem do ustąpienia upragnionej korony imperyum. Także niespokojny Zygmunt z Tyrolu miał przystąpić do związku tego, skierowanego przeciwko cesarzowi. Zawarto przymierze, ale widocznie i temu jeszcze nie ufał Jerzyk; i ten środek presyi był dlań niedostatecznym. Nie porzucając przeto przymierza z buntującymi się przeciwko cesarzowi książętami jego rodziny, postanawia — co dziwne — uzyskać cel swych marzeń przy pomocy papieża. Za pośrednictwem uczonego, oddanego najwyższemu celom swego wysokiego posłannictwa Piusa II., przyjaciela Niemców, zapragnął Jerzyk uzyskać niemiecką koronę. Jest to fakt zasługujący na dokładniejszy rozbiór. Sam przebieg rokowań, stanowiących znamienity rys tego drugiego okresu panowania Jerzyka, posłużyć może jako objaśnienie tej tak trudnej psychologicznej zagadki, dlaczego król z zaniedbaniem swych obowiązków królewskich, z zaniedbaniem domagających się w państwie reform, chwytając się tak upornie, z taką namiętnością myśli podsuwanych mu przez awanturniczych dyplomatów wędrownych.

Chociaż Jerzyk, dzięki swym istotnie bardzo zręcznie zawiązywanym stosunkom, zyskał uznanie swej królewskości zarówno od Rzeszy jakoteż i od cesarza, uznanie to nie było zupełnem, jak długo nie nastąpiło zatwierdzenie tego uznania przez Rzym, przez duchownego zwierzchnika chrystyanizmu. Jak długo papież nie orzekł ostatecznego słowa co do korony Jerzyka, tak długo chwiała się korona na skroniach czeskiego

króla, tak długo nie był pewnym wiary nie tylko licznych niemieckich poddanych w samychże Czechach, ale nadto wiary poddanych trzech ziemi korony czeskiej: Moraw, Łużyc i Śląska. Wszystkie związki dotychczasowe, wszystkie zabiegi upadały z chwilą, w której Rzym odsądziłby Jerzyka od korony.

W Rzymie dokładnie znano zabiegi Jerzyka około pozyskania przyjaciół, wiedzano też o stosunkach jego z opozycją, wreszcie i o staraniach o koronę. Niemniej przeto tłumaczono wszystkie te kroki w przychylny dla Jerzyka sposób, przypisywano je zamiarom pokoju, uważano jako środki zręcznie dobrane celem usunięcia trudności wśród jakich się Jerzyk znajdował. Pomimo to nie uszła bacznej uwagi dworu papieskiego ta gra, jaką już z Kalikstem wiodł Jerzyk ze złożeniem publicznej obojczywości Głowie Kościoła. I papież Pius II. oczekiwał cierpliwie wypełnienia obowiązku uroczystości ślubowanego przez Jerzyka. Uroczyste jednak poselstwo celem dokonania Unii Czechów z Kościołem oczekiwane od lat w Rzymie i teraz jeszcze nie przybywało, jakkolwiek je przyrzekł był Jerzyk już Kalikstowi. Zawsze jeszcze usiłował Jerzyk przez gołosłowne obietnice zwlekać, wogółności uniknąć każdego kroku, któryby go wobec husytów mógł kompromitować.

Papież Pius II. nie szczędził Jerzykowi sposobności do trwałego pojednania czeskiego narodu z Kościołem i postanowił ułatwić mu nawet trudne zadanie. Kongres, mający być zwołany do Mantui, celem obrady nad środkiem obrony Krzyża wobec olbrzymiej przewagi Turków, miał nastrożyć i Jerzykowi dogodną sposobność do uczynienia trwałej zgody z Kościołem.

Ambitny król czeski zamierzał wziąć udział przez wysłanie uroczystego poselstwa w kongresie w Mantui i uzyskać w ten sposób uznanie swego królestwa przez papieża i cały Zachód europejski. Nie sprzeciwia się temu zamiarowi papież, żąda atoli, aby Jerzyk imieniem swym i swego narodu publicznie złożył papieżowi obojczywość. Tymczasem Jerzyk w przyjaźnych podówczas pozostających stosunkach z opozycją, nie myślał wcale spełnić żądania papieskiego. W lutym 1459 r. wysłany odeń do Rzymu Jan z Rabsztynu miał złożyć posłuszeństwo tylko w imie-

niu króla i jego rodziny, nie zaś imieniem państwa i czeskiej korony; co nadto kanclerz miał złożyć obedyencyę na tajnym konsystorzu. Natenczas Pius pozostał przy tem, że nie uzna Jerzyka wcześniej, aż mu publicznie swoim i swej korony imieniem nie złoży obedyencyi.

Jak stosunki przyjazne z opozycyą i z książętami austryackimi stanowiły broń Jerzyka przeciwko cesarzowi, tak znowu kongres w Mantui dający mu sposobność trwałej zgody z Kościołem, był przezeń wyzyskany jako broń przeciwko papieżowi, a co nadto jako środek do własnego wyniesienia. Im obojętniejsi byli książęta Rzeszy na głos papieski, wzywający do obrad nad ratunkiem chrześcijaństwa, tem więcej gorliwości o krucyatę okazywał Jerzyk. Złożył on w Rzymie przez posłów swych oświadczenie, że chciałby przez udział w krucyacie, zarówno pychę poskromić husycką, jakoteż kacerstwo z Czech wykorzenić. Papież i teraz wierzy w szczerość intencji króla, ażeby mu zaś otworzyć na ozcież bramę wiodącą od słów i przyrzeczeń do czynów, od obietnic do spełnienia danego słowa, postanawia z wysokości tronu papieskiego usunąć mu zapory z drogi. W tym celu mianuje papież w *breve* Jerzyka królem i miłym synem, zaprasza go by przez posłów lub osobiście wziął udział w obradach kongresu, i z uprzejmością uprasza, by nie brał sobie do serca, że kanclerza Jana z Rabsztynu przyjął na prywatnem posłuchaniu, skoro tenże w tajemnicy się był do papieża zgłosił. Natomiast polecił legatom swoim, arcybiskupowi kreteńskiemu Hieronimowi, tudzież Franciszkowi z Toledo, ażeby pośrednictwem swem zawarli pokój pomiędzy Jerzykiem a Wrocławianami, którzy nietylko że podówczas zaprzeczyli mu tytułu królewskiego, ale nadto wiedli z nim wojnę. Dzięki staraniom legatów przyszło do skutku trzechletnie zawieszenie broni, po upływie którego to czasu mieli Wrocławianie uznać Jerzyka królem.

(C. d. n.)

Dr. Antoni Prochaska.



PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Byron i jego wiek. Studya porównawczo-literackie. *M. Zdziechowski.* Tom I. Europa Zachodnia. W Krakowie. Skład główny w księgarni Spółki Wydaw. Polskiej. 1894. (Nakład autora). (W 8-ce, str. X. i 447). Tom II. Czechy, Rosya, Polska. W Krakowie 1897. Nakładem Akademii Umiej. (Str. VII. i 686).

Wpływ Byrona na poezję europejską był ogólnie uznany, ale w szczegółach mało zbadany. Pan Zdziechowski podjął się zadania niezmiernie wdzięcznego, ale też niesłychanie trudnego. Miał on już w literaturze naszej poprzednika na tem polu, a to w osobie bystrego krytyka i niezmordowanego badacza, Włodzimierza Spasowicza, który w szeregu studyów zapowiadał powolne opanowanie olbrzymiej dziedziny bajronizmu. Znakomite odczyty warszawskie p. t.: „Byron i niektórzy jego poprzednicy“ (r. 1884) kończył Spasowicz taką uwagą: „Brakło mi czasu, wypełniłem tylko część zamierzonego w myśli programu; kiedyś może zaczęte dokończyć w związku z losami bajronizmu na Wschodzie; kiedyś może pokażę, jakie z ręki tego siewcy pod wpływem ducha czasu wyrastały kłosa: u nas Malczewski, Mickiewicz, Słowacki, w Rosyi Puszkina i Lermontow“. W myśl tego programu pisał p. Spasowicz o bajronizmie Mickiewicza, wygłosił w r. 1888 w Petersburgu odczyt o bajronizmie Puszkina, gdzie jeszcze dosadniej określił obszary i trudności zadania: „Historia literatury zajmuje się wciąż nieopracowaną ostatecznie kwestyą co do odbicia się poezji Byrona w utworach innych poetów, co do uskutecznień przez nich zapożyczeń i odtwarzania przez innych

jego idei artystycznych, chociażby w odmiennych formach. Rzut oka wstecz na bajronizm i na samegoż Byrona mógłby oświecić twórczość poety i charakter jego epoki. Zadanie to zbyt wielkie dla jednej osoby, wymaga bowiem przestudyowania kilkudziesięciu albo kilkuset autorów; lecz jest to praca nęcająca; przytem można składać się na dokonanie pracy, przygotowywać pojedyncze cegiełki do budowy. Od dawnego czasu zajmowała mnie myśl zaczęcia studyów porównawczych nad bajronistami od zestawiania dwóch par pierwszorzędných poetów z dwu rasowo spokrewnionych narodowości, polskiej i rosyjskiej, pisarzy należących do jednej i tejże samej epoki romantyzmu: Mickiewicza i Puszkina, Lermontowa i Słowackiego¹. Spasowicz dokonać mógł tylko połowy zadania, zbadał bajronizm rosyjski w poezjach Puszkina i Lermontowa.

P. Zdziechowski nie uląkł się ciężaru przechodzącego siły jednego człowieka; najoczywiściej poszedł za hasłem poety, mierzył siły swe na zamiary i po długoletnich studiach dał nam dwa wielkie tomy o Byronie i jego wieku. Z krótkiej oceny treści czytelnicy *Przeglądu* niech nabędą przekonania, o ile autor sprosttał zadaniu.

W tomie I. p. Zdziechowski przedstawia owoc swych badań nad poprzednikami bajronizmu, Byronem i objawami bajronizmu w Europie zachodniej czyli ściślej się wyrażając we Francyi, Niemczech i Włoszech. W pierwszych rozdziałach znać silny wpływ Spasowicza, bądź to rozprawdzenie i uzasadnienie krótkich a stanowczych tez jego, bądź też chęć zajęcia stanowiska odmiennego i ostrożna polemika z zapatrywaniami krytyka z nad Newy.

Charakterystyka samego Byrona i jego utworów zajmuje sporo miejsca w dziele p. Zdziechowskiego (od str. 27 do 156), a przecież nie jest wystarczającą, nie rysuje się w silnych liniach w umyśle czytelnika. Jest to największy, zdaniem mojem, błąd w tej książce poświęconej bajronizmowi, że sam Byron jest tu niewyraźny, mglisty. Charakterystyka, dana przez Spasowicza, nie jest wprawdzie wyczerpującą, skoro Don Juan nie doczekał się tam analizy; wszakże w porównaniu z rozwiewną charakterystyką, zawartą w dziele p. Zdziechowskiego, mamy w studyum Spasowicza portret olejnymi farbami wykonany. Obaj autorowie mieli też same materyały biograficzne pod ręką, a jakże nierówny z tych materyałów użytek! Przedewszystkiem brak w książce p. Zdz. określenia temperamentu fizycznego i psychologicznego Byrona.

¹ „Pisma“, tom v. Petersburg 1892. Str. 256 i 228.

Autor stara się być sprawiedliwym dla Byrona, ale nieraz staje się tylko pobłażliwym. Znamienny stosunek Byrona do matki zaledwie dotknięty, ważne autobiograficzne rysy i zwierzenia poety pominięte (por. np. u Spasowicza, „Pisma“ II, str. 135—136, 139), cały stosunek fatalny Byrona do żony trochę jednostronnie określony. Wystarczy powiedzieć, że zaledwie dotknął p. Zdz. następującego epizodu, który podaje Spasowicz; jest to niewątpliwie ważny rys do charakterystyki Byrona, jako człowieka: „Smutne było położenie kobiety (lady Byron) w ostatnich dniach przed połogiem, kiedy jej męża napastowali woźni i komornicy, a mąż ten strzelał w jej pokoju z pistoletu, a ze złości roztrzaskał raz swój zegarek o podłogę¹. W książce p. Zdz. złagodzone to w następujący sposób: „W chwili uniesienia cisnął kiedyś zegarek o ziemię, innym razem miał (!) wystrzelić z pistoletu“ (gdzie? inna rzecz strzelać z pistoletu w lesie, a inna w pokoju żony brzemiennej). Niefortunne znajduję takie określenie stosunku Byrona do kobiet: „Nietylko uporczywa i zimna lady Byron, ale kobieta z taktem największym i sercem najoddańszem nie mogłaby mu nigdy dopaść“ (str. 98).

Autor kreśli równocześnie życie Byrona i analizuje jego twórczość. Takie współrzędne traktowania życia i twórczości jest doskonałe w monografii wyłącznie jednemu przedmiotowi poświęconej. Ale autorowi powinno było przede wszystkim zależeć na utworach Byrona, bo one głównie wpływ wywarły na literaturę powszechną i na t. zw. bajronizm literacki. Należało więc poprzestać na zwięzłej i jędrnej charakterystyce samego Byrona, a następnie szczegółowo rozebrać jego poezję i skreślić jej ewolucję. Zamiast tego mamy niezawsze jasną mieszaninę biograficznych szczegółów i literackich spostrzeżeń. Rozpoczyna się charakterystyka od słów: „Byron, przejawsz się majestatem postaci Napoleona“ i t. d. — tymczasem czytelnik nie wie, jak i kiedy Byron przejął się tym majestatem.

Rozdział II. „Krytycy Byrona“ znowu wyprzedza wiedzę czytelnika o Byronie samym i psuje układ. Rozdział III. mówi o przełomie w twórczości poety; nie słyszeliśmy nic jeszcze o jego dzieciństwie i latach szkolnych, a już czytamy na czele tego rozdziału: „Rozwód z małżonką“ i t. d. Chaos chronologiczny panuje w tych pierwszych rozdziałach, poświęconych Byronowi. Podobny brak precyzji widzę w króciutkich, niedostatecznych rozbiorach poematów Byrona; rzeczy ważne nie wrażają się nam w pamięć i giną w natłoku błahych szczegółów; sposób pisania jest monotony, obrazy przesła-

niają się nawzajem, szare, jak chmury jesienne; rysunek przypomina wyrażenie niemieckie: *grau in grau*. O Manfredzie, który przecież zdaniem autora jest „najznakomitszym utworem Byrona w pierwszych latach jego pobytu w Wenecyi“, zwłaszcza pod względem wpływu i wrażenia, jakie wywarł „na całym pokoleniu bajroni...“ o Manfredzie napisał p. Zdz. niecałe 4 stronicie, przetłumaczył tam kilka zdań Taine'a i streścił poemat, ale swego zdania o nim nie dał, albo raczej zbył utwór tej miary kilku pospolitemi uwagami. Należało zaś zająć wyraźne stanowisko wobec krytyki Spasowicza, który z racyi Manfreda wygłosił następujące zdanie:

„Byron nie posiadał głowy filozoficznej, nie umiał i nie nauczył się nigdy dociekać, co jest poza pozorem symbolem, dogmatem — upostaciowaniem... Byron podaje sieczkę zamiast ziarna, gdy znakomity dwuwiersz Mefistofelesa (*Grau, teurerer Freund, ist jede Theorie, Und grün des Lebens goldner Baum*) parafrazuje w ten sposób: „Smutek jest wiedza; kto najwięcej umie, ten najwięcej boleje nad fatalną prawdą, że drzewo wiedzy, nie jest drzewem życia. Idei Fausta Byron nie zgłębił!“ („Pisma“ II, 180—182).

Słowa powyższe domagały się przytoczenia, uzuania lub sprostowania. Autor zeszedł im z drogi. — Kończowa charakterystyka Byrona (I, 155) jest znowu jednostronna, nie podaje odwrotnej strony medalu, rozplywa się w ogólnikach: dowiadujemy się, że Byron jest poetą negacyi i buntu, ale negacya ta i popędy buntownicze i niszczytelne „płynęły z żądzy prawdy i sprawiedliwości...“ „Politykę moją — pisał Byron — uprościłem do szczerej nienawiści wszystkich istniejących rządów“. Autor przyznaje, że Byron „określonego i ścisłego poglądu na świat nie wyrobił sobie nigdy“ — ale zaraz potem wynajduje dziwny powód uroku Byrona „właśnie w tej niewyraźności ideałów, połączonej z potęgą natchnienia w walce ze złem“. Jednakże, aby skutecznie walczyć ze złem, trzeba mieć właśnie bardzo wyraźne ideały i dążyć do nich statecznie całe życie. Zamiast „tajemnicy uroku Byrona“ mamy właściwie do czynienia z organicznym brakiem poezyi bajrońskiej. Brak ten określił znakomicie Spasowicz w następujący sposób: „Nurtując, a raczej świdrując kwestyę religijną, Byron budził tylko wątplenia, nie próbując nawet skleić dogmatu po rozwiązaniu wątpliwości... utworom jego najbardziej wpływowym i poruszającym brak było skupienia, jedności, plastyczności. Tak też i w polityce, o którą wciąż i bezustanku zaczął, objawiało się prężenie do oderwania, nieokreślonej wolności, namiętne rozkochanie się w pojęciu we-

wnętrz pustem, wszelkiej treści pozbawionem, bez najmniejszego przeczuwania tej prawdy, że wolność ma się urzeczywistniać nie w powietrzu, lecz w stosunkach, że te stosunki zależą od warunków, i że na warunki zarabia każde społeczeństwo krwawą i codzienną pracą“...

Dla scharakteryzowania epoki literackiej, na której tle działał Byron, daje nam autor sylwety dwu przeciwnych biegunów poetyckich Shelley'a i Lamartine'a. Poczem przechodzi do bajronizmu francuskiego, zastrzegając się, że pod miano bajronistów podciąga nietylko naśladowców poety, ale i następców (?) jego, czyli kontynuatorów“ (str. 263). Za „następców“ Byrona uważa autor tych, co mieli pokrewny z nim nastrój ducha i „jak on, przejęci bolem nad sprzecznością pomiędzy pragnieniami swojemi i ideałami, a światem rzeczywistym, szli w wytkniętym przez mistrza kierunku“. Definicja „następców“ Byrona jest bardzo nieściśła i skutkiem tej nieściśłości dostaje się epitet „bajronistów“ ludziom, którzy z pewnością ani sami się za bajronistów nie uważali, ani przez historyków literatury do „następców“ Byrona nie są zaliczani. Jestem przekonany, że np. A. de Vigny byłby i bez Byrona tem czem był; sam autor wykazał cały szereg faktów psychologicznych wyróżniających A. de Vigny od Byrona, ale w czem tkwią podobieństwa, gdzie „pokrewny z nim nastrój“, któryby świadczył niezbicie o tem, że A. de Vigny „kontynuuje“ Byrona?

Czytelnik nie wytoczy oczywiście swych pretensyj o „bajronistów“, póki autor kreśli sylwetki tak zajmujących figur literackich, jak Mikołaj Lenau, H. Heine lub Leopardi. Ale skoro w drugim tomie zaczynają się „następcy (!) Machy“ nawet, nietylko Byrona, to czasem przesył ogarnia po tym mdłym bajronizmie czeskim. Na domiar konfuzji mamy w tomie drugim odmienne określenie bajronistów, nie słyszemy już o następcach: natomiast pole badań zdaje się być bardziej ograniczone: „bajronistami w ścisłym znaczeniu wyrazu mogą być nazwani ci tylko poeci, którzy, przejąwszy się twórczą potęgą wielkiego mistrza, naśladowali go, używając w utworach swoich formy epicznej lub dramatycznej“ (str. 69). Autor zadał sobie bardzo wiele trudu, aby dokładnie i sumiennie zdać sprawę z różnych objawów bajronizmu w literaturze powszechnej, ale nie wydzielił najważniejszych, najbardziej charakterystycznych rysów bajronizmu czeskiego, polskiego i rosyjskiego, chciał wyczerpnąć do dna najlichsze rawet

i najsłabsze jego objawy, skutkiem tego jasnego, przejrzystego obrazu nie dał: *vor lauter Bäume sieht man den Wald nicht!*

Nieraz wydaje się, że sam autor nie był zdecydowany, czy ten lub ów poeta rosyjski może uchodzić za bajronistę; w takich razach wystarczyło krótkie wymienienie cech bajronicznych bez wdawania się w długie biografie, które z jednej trzeciej dzieła p. Zdz. robią podręcznik historii poezji rosyjskiej, oczywiście niekompletny, bo książka ma inny cel: bajronizm! Tymczasem dowiadujemy się, że np. Rylejew „bajronistą w ścisłym znaczeniu wyrazu nie był, ale wspólny miał z Byronem — temperament bojownika!“ Sam autor przyznaje, że „więcej niż Byron wpłynął na Rylejewa — Niemcewicz“, a przecież Rylejew zabiera jedenaście stron w dziele o Byronie i bajronistach! Podobnie „Puszkiniści z bajronizmem jako kwiatyści, albo żadnej nie mają wspólności, albo bardzo małą“ (str. 213), mimo to mamy osobny rozdział o „Puszkiniście“ od str. 213 do 240.

Autor sam zniechęca czytelnika: „Niewdzięczną było rzeczą mówić o bajronizmie Puszkina, który niekiedy przeistaczał się w parodię Byrona, ale stanowczo mniej jeszcze godził uwagi bajronizm Baratyńskiego“ (str. 223). Podobnie ma się rzecz z Grybojedowem. „Za trzęźwym jest Czacki (w komedyi: *Gore ot umà*) aby go zaliczyć do bajronistów czystej krwi; więc dlaczego autor o nim pisze? Posłuchajmy: w „melancholicznem zakończeniu komedyi, tak zgodnem z wiekiem, który najgłębiej uczuł przepaść między ideałem a rzeczywistością, czuć (!), jeśli nie bezpośredni wpływ Byrona, to w każdym razie powiew romantyczno-byronowskiego ducha czasu“. (Nawiasem zaznaczam, że nigdzie autor nie określił stosunku romantyzmu w literaturze powszechnej do bajronizmu). Wreszcie zmuszony jest sam autor wyznać: „Rzecz jasna, że są to wszystko dowody dość słabe na rzecz wpływu Byrona na Grybojedowa“ (str. 257). Podobnie ma się rzecz z Poleżajewem; czytamy o nim kilkanaście karetek, aby się w końcu dowiedzieć, że niektóre jego poematy „nie mają z bajronizmem nic wspólnego“, i że w późniejszej jego twórczości „nie znajdujemy zgoła żadnych śladów żywszego przejścia się poezją Byrona“ (272).

Do najlepszych rozdziałów należą charakterystyki Puszkina i Lermontowa; nie wytrzymują one jednak porównania ze studjami Spasowicza, a sam p. Zdz. z godną uznania otwartością mówi (str. 363): „Kto chce istotnego zrozumienia i oceny twórczości Lermontowa, niech tego szuka u Spasowicza“. — Część trzecia drugiego tomu kreśli roz-

wój bajronizmu polskiego. Autor słusznie zaznacza, że r. 1831 wywołał „przełom w natchnieniach poezji polskiej“. Wyróżnia p. Zdz. trzy odrębne działy w dziejach naszego bajronizmu: 1) przed r. 1831, 2) poezja emigracyjna, 3) poeci mniejszego polotu. I znowu określenie nieścisłe. Jakiem prawem można poezję emigracyjną zaliczyć w czambuł do bajronowskiej, jest to dla mnie przynajmniej zagadką. Autor mówi: „Dział drugi to poezja emigracyjna, snująca na tle cierpień narodu byronowskie bole (!) i wątplenia „i karmiąca się mesyanizmem“... Za wiele zaszczytu dla Byrona i jego „bolów!“ Poezja emigracyjna miała inne źródło swych natchnień: cierpienia ojczyzny. Te chyba nie mogły być tylko tłem dla „byronowskich bolów, ale były zaiste same w sobie dostateczną aż nazbyt i niewyczerpaną treścią emigracyjnej poezji.

Ocena poetów polskich jest staranna, pracowita. Wszędzie widać obszerne rozczytywanie się autora, ale przytem mało samodzielnego sądu. Wchodzenie w szczegóły zaprowadziłoby nas za daleko, tem bardziej, że autor wciąga w zakres bajronizmu nawet „Nieboską kome-dyę“ i „Irydyona“, przeciw czemu zaprotestowałby Zygmunt Krasiński. Rozwlekłością grzeszą ustępy dotyczące „Konrada Wallenroda“. Najniepotrzebniej podaje autor na jedenastu stronicach treść „Wallenroda“, a zbyt krótko i pobieżnie załatwia się na kilku kartkach z III. częścią „Dziadów“. Przytem trafiają się niedokładności chronologiczne: „Grażyna“ napisana została nie po IV. części „Dziadów“ (str. 423), ale przed nią. Mickiewicz nie znał ks. Lamennais w Rzymie r. 1829 (str. 442); poznał go w r. 1831 w Paryżu. Dowiadujemy się na str. 447, że Mickiewicz „przestał myśleć o dalszym ciągu ulubionego poematu“ (III. cz. „Dziadów“). Wiadomo z korespondencji poety, że było całkiem przeciwnie, że nie tylko nie przestał myśleć o III. cz. „Dziadów“, ale że go równocześnie z pisaniem „Pana Tadeusza“ „duch porywał“ do III. cz. „Dziadów“, których urywki dalej „mimojazzem pisał“. Jeszcze w r. 1840 w Lozannie Mickiewicz tworzył sceny do I. części „Dziadów“. Dowód najlepszy, że myślał ciągle o wykończeniu całości.

P. Zdziechowski z góry traktuje Mickiewicza za to, że wywyższył Garczyńskiego; ale motywy tej pomyłki estetycznej są zanadto wyśrubowane: „namiętna stronniczość wielkiego wieszczą, pozbawiona wszelkiego (!) poczucia sprawiedliwości i miary, a stanowiąca jedyną skazę na pięknej jego duszy“. Powtarza się tu znany zarzut, że Mickiewicz „miał czoło (!) ignorować najpotężniejszego ze współzawodników swoich“... Nie zgadzając się ze sposobem, w jaki autor zbyt po-

chopnie wciąga w zakres bajronizmu utwory niemające nic z nim wspólnego, pospieszam zaznaczyć, że rozbiory poezyj Krasińskiego i Słowackiego są przeważnie dobre, staranne, świadczące o wielkiej pracowitości.

Pracowitość ta nie zraża się ani suchością i bezbarwnością omawianego drobiazgu poetyckiego (epigonowie polskiego bajronizmu), ani niepochwytnością bajronizmu w niektórych czeskich, rosyjskich lub polskich utworach: wszędzie ściga nieublaganie nawet cień trzeciorzędnych, z drugiej ręki przejętych bajronistycznych lub pseudobajronistycznych sytuacji. Zyskały na tem rozmiary książki, ale stanowczo straciła poczytność i wartość dzieła.

Styl p. Zdz. nie może przyczynić się do ułatwienia czytelnikowi drogi wśród tych przepastnych krain bajronizmu. Styl to przeładowany, przerysowany, że się tak wyrażę, upstrzony wstawkami niepotrzebnymi, psującymi wrażenie i zaciemniającymi pierwotny obraz. Oto kilka dowodów: kilkunastowerszowy okres, bez średnika nawet, z czterokrotnem ale: „Z następców Byrona Vigny najbardziej zbliżył się do pesymizmu, *ale* uznawszy, że życie jest złe, starał się oprzeć na tem przeświadczeniu nową filozofią życia, aby z jej pomocą osłabić (?) ciężkie brzemie istnienia, a te usiłowania jego świadczą, iż pesymistą był, jak zresztą wszyscy rozumni pesymiści począwszy od Buddy, tylko w zapatrywaniu na niezawisłe od woli człowieka warunki istnienia, *ale* ufał w siły nasze, wierzył, iż zdołamy, jeśli nie uchylić, to przynajmniej osłabić ciosy i uderzenia zawisłej nad nami złowrogiej, miazdzącej siły, *ale* Macha był w swoim pesymizmie fatalistą, w tym względzie nie wiemy nawet z kim go porównać, może z Szewczenką, może z Lenau'em, gdy pisał „Albigensów“, *ale* skojarzenie fatalizmu z pesymizmem było u Lenau'a nastrojem chwilowym, u Machy — stałym“ (II, str. 42). Okres taki mieści w sobie tyle treści, że dziesięć zdań możnaby z niego utworzyć; autor nie używa wogóle średników i nie daje wypocząć myśli zmordowanej ciągłemi ewolucjami pesymizmu, sceptycyzmu i wogóle bajronizmu. Podobną gmatwaninę stylu mamy na str. 64 (t. II): „Nietylko z przygód życia, ale i ze swej miłości ku ojczyźnie przypomina Fricz naszych poetów, w Czechach zaś ówczesnych, mamy na myśli epokę między 1846 a 1858 r., w której powstał „Upiór“, oraz najładniejsze utwory liryczne, wreszcie (!) staraniem poety wydane zostały „Lada Niola“ i „Maj“, stanowiące zwrot w literaturze czeskiej, zajmuje on miejsce odosobnione“. Póki własną pracą możemy powiązać należące do siebie części okresu, nie

możemy jeszcze bardzo narzekać; ale gorzej już, kiedy w ulewie szumnych abstrakcyj tonie myśl wszelka: „Z miłości wszystkich, których doznał (Puszkina), wryły mu się w duszy właśnie te równie nagle, jak chwilowe wybuchy niepojętego uniesienia, gdy czar wiejący z postaci kochanej, z jej oczu, lub głosu, lub kształtów zaklinał (?) poetę w jasnowidzeniu (?), i gdy zatopiony w błękitnych przepaściach jej duszy przez nie (!) przenikał tam, gdzie świeciło piękno, wlewające w dusze wybrane upojenia górnych przeczuć“ (II, 209). Porównania są przeforsowane, skutkiem tego nieraz dziwaczne; nie mogę dla braku miejsca przepisywać niefortunnego zestawienia melodyi arabskiej z pieśnią Lermontowa o aniele, gdzie to „jednostajna pieśń pustyń z cichej piszczałki przelewa się w osłupiałą duszę widza“ (II, 283). Nie mogę wyliczać tu wszelkich nieudatnych zwrotów lub wyrażeń; ale kto pisze: „nie dopiął pogody“ (II, 389), „zamyślane utwory“ (287), „peckające się w błocie“ (25), „zapełnionej nieokreśloności“ (325), „służące probierzem“, „sądy się przeczą“ (I, 31), „cichych kryształach“ (161), — ten mógłby się skromniej wyrażać o stylu „Maryi“ Malczewskiego, który ma jakoby być „niewprawnym, stąd często zawilym, a niekiedy zupełnie niezrozumiałym!“ (II, 395). A jednak jest to utwór zajmujący, „jedno z najzaszczytniejszych miejsc w poezji naszej“; więc chyba geniusz poezji polskiej podyktował „Maryę“ niezdarnemu Malczewskiemu, skoro on sam „w oniesławionym domu rodzicielskim nie miał sposobności (!) nauczania się mowy ojczystej!“ Biedny Malczewski!

Ogólne wrażenie, jakie nam pozostawia dwutomowe dzieło p. Zdz., dałoby się może tak sformułować. Mamy przed sobą olbrzymi materiał przygotowany: mnóstwo świadków prawdziwego i fałszywego bajronizmu. Ale właściwy proces jeszcze nie przeprowadzony. Uznajmy niezmordowaną pracowitość autora, któremu długie lata upływały na zbieraniu materiału dowodowego. Ten materiał zasypał go niejako ze wszech stron, znużył i wyczerpał siły, zanim do planu i budowy mógł przystąpić. „Zadanie to zbyt wielkie dla jednej osoby“ — ostrzegał przed 10 laty W. Spasowicz. Ktokolwiek po p. Zdz. przystąpi do kreślenia dziejów bajronizmu, znajdzie w jego książce wielką pomoc, wiele cennych i pożytecznych wskazówek, znajdzie przedewszystkiem stwierdzenie tej naukowej prawdy, że do syntetycznej oceny bajronizmu musimy powoli dochodzić na podstawie wyczerpujących opracowań monograficznych. Aby gmach był trwały, powinny przedewszystkiem cegły być starannie dobrane i umiejętnie użyte. Nic dziwnego

zatem, że pierwsza próba ujęcia bajronizmu w całokształt naukowy nie może być uważaną za ostatnie słowo w tym zawiłym i skomplikowanym psychologicznym objawie. Jakkolwiek bądź pozostanie przy p. Zdz. zasługa, że literaturze naszej przysporzył dzieło bajronizmowi poświęcone, że dał rzadki jeszcze u nas przykład niezmordowanej pracowitości w obranym kierunku i szczerego przejścia się wielkimi prądami filozoficznymi i społecznymi z początku bieżącego stulecia. Krytyk ma przykry obowiązek wykazywania braków i niedostatków dzieła, ale minąłby się z prawdą, gdyby nie dodał, że książka ta, owoc długoletnich studyów, mieści wiele ustępów, wywołanych głębokiem odczuciem piękna i szlachetnym zapalem dla klejnotów europejskiej poezyi.

Dr. Józef Kallenbach.

Gramatyka języka polskiego przez *Adama Antoniego Kryńskiego*, czł. koresp. Akad. Umiej. w Krakowie, Warszawa 1897.

Gramatyka nie nauczy mówić dobrze jakimś językiem; tem bardziej nie nauczy mówić językiem ojczystym. Stądby się zdawało, że w takim razie gramatyki, mające na oku cel praktyczny, są niepotrzebne, że szkoda je pisać i szkoda czytać. Po części prawda. Ale z drugiej strony język literacki, książkowy, w bardzo wielu razach różni się od tej mowy, której używamy w życiu codziennem, od gwary, którą zwykle mówimy. Możliwoby wprowadzić używać tej gwary zawsze, ale w takim razie znikłaby jedność językowa, która ma bardzo wielkie znaczenie w życiu narodu.

Więc gramatyki, które uczą, jak należy mówić i pisać w języku wykształconym, są potrzebne. Tylko powinny się zawsze opierać na podstawie jak najwięcej naukowej, inaczej zamieniają się w pole doświadczalne fantazyi swych autorów.

W ostatnich czasach wyszło dużo podręczników do nauki języka polskiego, zwłaszcza w Warszawie, gdzie stosunki polityczne każą czuwać nad językiem. Niestety z wielkiej ich liczby bardzo mało jest dobrych. Stanowczo najlepszą jest i największą ma wartość gramatyka prof. Kryńskiego.

Ze wszystkich dotychczasowych jest ona najwięcej naukową. W książce, której cel jest przedewszystkiem praktyczny, nie chodzi o ów ciężki aparat naukowy, nie byłby on zresztą w tem miejscu stosowny; ale właśnie ta praktyczność wymaga, aby pewne prawidła i reguły, które taka gramatyka podaje, były zarazem wyrozumowane i wytłumaczone — inaczej uczący się będzie jakby zawieszony w po-

wietrze, w umyśle jego nie będzie dla tych prawideł podstawy. W gramatyce, która uczy, jaka forma, jaki zwrot w danej chwili jest najlepszy, trzeba także wytłumaczyć, dlaczego tak jest. A są na to różne sposoby.

Jednym jest historia języka. Jeżeli autor pokaże, jak forma pewna wyglądała w całej historii języka aż do dzisiejszych czasów, wtedy uczącemu będzie zupełnie jasne i zrozumiałe, dlaczego dzisiaj mówi się tak a nie inaczej. Gramatyka prof. Kryńskiego od pierwszej strony zwraca pilną uwagę na fakta językowe z dawnych wieków; nad starszymi gramatykami ma jeszcze i tę wyższość, że kiedy tamte rozpoczynają od wieku XVI., ta sięga do najstarszych zabytków, do wieku XIV. Szczególniej bogate są przykłady z dawnych wieków przy deklinacji rzeczowników i w konjugacji.

W mniejszej mierze znajdują się porównania z innymi językami słowiańskimi (najczęściej ze starosłowiańskim). To także pomaga do wyjaśnienia form. Ponieważ jednak książka ma cel głównie praktyczny, więc nie można było tych właśnie porównań używać bardzo często, bo w takim razie żądałoby się od uczącego znajomości więcej języków, co trudno przypuścić.

Gramatyka prof. Kryńskiego jest wzorem dobrego i jasnego pisania. Poprzedzona bardzo ważnym i ciekawym wstępem, pierwszą tego rodzaju rzeczą w polskich podręcznikach; wstęp ten zawiera ogólne uwagi o językach aryjskich, o językach słowiańskich, wreszcie o języku polskim, jego narzeczach dzisiejszych, jego zabytkach dawnych i o jego historii. Dalej krótkie a doskonałe wyjaśnienie, co to jest gramatyka i jak się dzieli, i o dwóch czynnikach, powodujących zmiany w języku. Tego nie mieliśmy dotąd w żadnym podręczniku.

Właściwą rzecz podzielił autor na trzy części: głosownię, naukę o odmianach czyli deklinację i konjugację, i pisownię. Głosowni poświęcił najmniej miejsca, wychodząc zapewne z tego założenia, że w podręczniku praktycznym byłoby niepotrzebne szeroko się nad tem rozwodzić. W każdym razie najważniejsze kwestye są omówione dosyć wyczerpująco, a przedewszystkiem nadzwyczaj jasno i zrozumiale.

O deklinacji rzeczowników (po świetnym wstępie) przyjął autor za zasadę podziału stan dzisiejszy, co jest w zasadzie słuszne, ale w szczegółach spotyka się z pewnemi niedogodnościami. W konjugacji dzieli czasowniki na sześć klas, o jedną za dużo, bo szósta (czasowniki typu: kocham, znam, działam) mieści się wybornie w trzeciej, należy tylko wytłumaczyć, skąd się wzięło — *m* w końcówce. Za to do-

skonale jest wytłumaczenie wszystkich form czasownikowych, a w szczególowym przeglądzie klas jest mnóstwo przykładów z historii języka.

O pisowni dałoby się dużo mówić, ale to daremne. Pisownia, którą popiera filolog, powinna być obowiązującą, a jednak faktem jest, że niektóre sposoby pisania (tym dzieckiem, w dobrym dziecku) nie przyjęły się prawie nigdzie, inne zaś są wątpliwe (historia — historia). Powiedziałbym tylko, że pisowni poświęcono stosunkowo za dużo miejsca.

Za wielki brak książki należy uważać brak składni. Jeżeli gdzie, to w podręczniku praktycznym nie powinno jej brakować. Jeżeli deklinacja i konjugacja uczy o pojedynczych formach, to składnia wskazuje, jakie są zwroty języka polskiego, jakie zdania, jak się w nim wyraża myśli, jednym słowem składnia dopiero może uczyć mówić po polsku (o ile wogóle gramatyka może nauczyć mówić). Że więc prof. Kryński składnię pominął, wielka szkoda.

Pomimo tych braków, (które zresztą mogą być usunięte w drugim tomie albo w drugim wydaniu) jest to książka bez zaprzeczenia wielkiej wartości. Treść doskonała, na stanowisku zupełnie naukowem, sposób przedstawienia nader jasny i przystępny, sprawiają, że dzieło prof. Kryńskiego przeczyta z ogromnym pożytkiem każdy, kto się językiem polskim interesuje. Przedewszystkiem zaś należy gorąco pragnąć, aby tego rodzaju podręcznik dostał się do galicyjskich szkół średnich.

Dr. Stanisław Dobrzycki.

Wspomnienia Jenerała Klemensa Kołaczkowskiego. Księga I. Od 1793 do 1813 r. W Krakowie. Spółka Wydawnicza Polska.

Pod koniec wieku, zachodzącego bez chwały, zbudziła się w duszach jakaś dziwna tęsknota za gromką pobudką, co wykołysała pierwsze lata naszego stulecia. Szara powszedniość obecnej chwili nam nie wystarcza, zwracamy się więc ku minionej, bohaterskiej historii. Nie w samej tylko Francji literatura Napoleńska rośnie, jest jej też sporo w Anglii, a i Polska, jak niegdyś złożyła haracz krwi bohaterowi wieku, tak dziś z zapyłonych rodzinnych archiwów wydobywa pamiętniki uczestników owych tytanicznych walk, które, zerwawszy się niby orkanem nad całą Europą, oczyściły powietrze. Zналиśmy jeszcze spory poczet napoleońskich żołnierzy, podziwiając u wszystkich tęgość charakteru, siłę woli i jakąś prostotę heroizmu, owoc bujnej młodości, ukształtowanej w niepowszednich warunkach. Pokolenia, rosnące w fi-

listerskiej gnuśności i szarej mgie dni obecnych, bodaj życie będą mieć takie, nie rozwiną skrzydeł do lotu, nie uderzą nigdy w pean zwycięzki, nie będą święcić żadnych tryumfów, ani też sięgać po żadne wawrzyny. Na nasze dzieciństwo padał jeszcze odblask dni chwały, stali między nami, jak drogoskazy, mężowie oręża i czynu, dziś tego wszystkiego zabrakło.

Znaliśmy już w części pamiętnik, którego pierwszą księgę Spółka Wydawnicza Polska dziś nam w ozdobnej podaje szacie, a dodatnie wrażenie, niegdyś odebrane przy czytaniu rękopisu, nie zawiodły i w druku, owszem, porównywając wspomnienia generała Kołaczkowskiego z zapiskami np. marszałka de Castellane, odnoszącemi się do tej samej rosyjskiej wyprawy, wyżej nam przyszło polski stawić pamiętnik.

Po krótko zbywa on lata dziecinne, rychło skrócone przedwczesnem zaciągnięciem się w szeregi. Mniej może wówczas rozprawiano o wychowaniu, więcej się o nie starano, a napływ emigrantów francuskich oddziaływał cywilizująco na domy i rodziny polskie. Zabawny szczegół znajdujemy w opisie ówczesnego porządku wychowania: pełno różnorodnych lekcyj, metrów, ćwiczeń wszechstronnych; między innemi pisze Kołaczkowski, że, „aby mu lepiej rozum otworzyć, przychodził przez sześć miesięcy każdej niedzieli stary Żyd, który go gry szachów nauczał!“

Obraz rozluźnienia karności w sławnem do niedawna wojsku pruskim pozwala przeczuwać Jenę. Kołaczkowski widział wychodzące z Wrocławia pułki w r. 1806 i drastycznie opisuje tych żołnierzy „smutnych, źle ubranych, bez płaszczy, wyższych oficerów zgrzybiałych, żegnających z płaczem familie, młodszych, tryumfujących nadzieją niechybnych zwycięstw; kolumny przeciążone bagażami, wozy napełnione łózkami oficerskimi, po boku kojce z kurami i indykami“. Nie dziw, że rychły pogrom nastąpił, że Francuzi niebawem Wrocław zajęli, dając polskim chłopiętom kosztować przedsmaku wojny.

Jeżeli dziś życie przyspieszonym zdą się pędzić tętnem, chyba wówczas wcześniej się ono zaczynało. Szesnastoletnie pachole, oddane do szkoły aplikacyjnej artylerji, praktyczne niebawem przechodzi ćwiczenia, uczestnicząc w kampanii z r. 1809, gdy po bitwie pod Raszy-nem zwycięzki oręż polski rozszerzał szczupłe granice Księstwa Warszawskiego.

Nawet aplikanci inżynjerji czynny brali udział w walce, wracając z nowym animuszem do studyów przerwanych rykiem armat.

A misye zaufane, które nierzadko powierzano młodzikom, wyrabiały w nich poczucie odpowiedzialności, honoru i cnoty.

Rok 1812 miał atoli być główną szkołą wojskową Klemensa Kołaczkowskiego, a górując nad innemi wspomnieniami siłą groźnych wrażeń zagarnął lwią część niniejszej księgi. Historyk tego niebywalego w dziejach pogromu, Albert Vandal, uważa, iż pamięć „straszego roku“ tak pozostała żywą wśród następnych pokoleń, iż dziś jeszcze krew nam się ścina w żyłach, mróz ubezwładnia członki i odczuwamy bodaj fizyczne, materyalne wrażenie tego zimna, które wówczas wielką pokonało armię. Autor pamiątnika od początku zauważył złe rozporządzenia w marszach, które fatalnie zaciężyły na losach kampanii. Sam Napoleon zapomniał o własnem niegdyś złotem słowie: *La guerre, c'est un calcul d'heures!*

Prawidło to poszło w niepamięć i stał dezorganizacya, która wkradła się bodaj od pierwszych zaraz dni w szeregi wielkiej armii, specjalniej zaś w polskie szeregi. Tu autor wielokrotnie pomawia o nadmierną słabość ks. Józefa Poniatowskiego, pod którego miękką ręką rozluźniała się karność wojskowa. Szef sztabu, generał Fiszer, do pewnego stopnia równoważył surowością swoją zbytnią łagodność naczelnego wodza, który nie umiał utrzymać w pożądanym karbach swego korpusu, malejącego i topniejącego przy każdej sposobności mnóstwem oderwańców. Tym bowiem trafnym a czysto polskim wyrazem Kołaczkowski nazywa maruderów, stanowiących plagę owej kampanii. Wogóle z jego zapisków odnosimy wrażenie, iż Polacy bili się tego, rozwijali bohaterską waleczność w walce, aby natomiast w pochodach ulegać rychłemu, tradycyjnemu rozprężeniu, smutnemu dziedzictwu piławieckiej sromoty. To też nie ulegając szowinizmowi narodowemu, Kołaczkowski wytyka nasze wady, nieokupione bohaterstwem chwil zapалу, i przeciwstawia im zalety rosyjskich szeregów. Już wtedy „wojsko to w karności, w znoszeniu znojów, w wytrwałości przewyższało francuskie nawet, a nasze bardzo w tyle zostawiało za sobą. Co się tyczy inteligencji, zapewne rosyjski żołnierz, prosta machina wykonywująca, o tej nic nie wie, lecz za to fanatyzm religijny i duma narodowa są to dwa bodźce, których wódz nie napróżno używa dla zapalenia umysłów. Żołnierz rosyjski nigdy nie bywa głuchy na te dwa głosy i w tem wszystkich innych przewyższa, iż w szczęściu i nieszczęściu zawsze równy, nie da się łatwo zdemoralizować“.

To też opisawszy bitwę pod Możajskiem (nad Moskwą), „najkrwawszą może bitwą od czasu wynalezienia prochu“, autor pisze, iż

wszystkie bataliony rosyjskiej piechoty były rozprężone, i gdyby nie karność nadzwyczajna, najokropniejsze stąd dla Rosyi skutki nastąpićby mogły: „Francuskie wojsko tak ciężkiej próby nie byłoby wytrzymało: dowodem przegrana pod Waterloo. A tymczasem kilka dni po bitwie piechota rosyjska do należytego przyszła porządku, z równą jak pierwiej potykając się stałością“.

Snują się polskie nazwiska, polskie bohaterskie czyny pod piórem autora. Wspomina on rycerską w ogniu postawę ks. Józefa, jego taktyczne winy, wspomina szalone natarcie jazdy polskiej pod Borodynem, opisuje barwnie to pole chwały, gdzie tyłu naszych legło, a około sto tysięcy ludzi z obu stron padło. Przerzedzone bataliony strzegły zwyciężkich orłów, błyszczących jakoby nowym blaskiem po zapasach krwawego dnia walki.

Kołaczkowski należał do tych, co poza Moskwą jeszcze walczyli, zagłębiając się w niegościnną i zniszczoną krainę. Zaczynają się snuć coraz groźniejsze obrazy, coraz smutniejsze wspomnienia. Głód i chłód rozprzega armię, której niedobitki nad Berezyną ostatecznej ulegają klęsce. Po tylu strasznych opisach tej okropnej przeprawy, uplastycznionej artystyczną panoramą, która pozwala ogarnąć okiem „upadek dumnego“, oraz rozmiary pogromu. kartki pamiętnika generała Kołaczkowskiego, przenoszące nas do Studzianki i nad Berezynę, uzupełniają wszystko, co wiemy o tej straszliwej dobie, a grozą prostego opowiadania potęgują wrażenie, gdy np. wśród masy zdeorganizowanej i bezbronnej autor nam wskazuje „maszerujące pojedyncze plutony, pilnujące orłów swoich. i te nazywano korpusami 1, 3, 4 i 5 wielkiej armii!“ Kołaczkowski zaznać miał wszystkich trudów i cierpień tej strasznej potrzeby, życie swe po części zawdzięczał uniesionej z Moskwy wilczurze, dalej zaś przyjaźni dawnego kolegi i rówieśnika, późniejszego generała Prądyńskiego. Ciężkie przejścia potęgowały u jednych egoizm, u drugich poświęcenie, uwydatniając naczelne rysy poszczególnych charakterów.

Szkoda, iż tak ciekawy i barwny pamiętnik nie został staranniej przejrzany przez znawcę epoki, choćby dla poprawienia wadliwej pisowni niektórych nazw miejscowych lub rodowych. Czytelnika, spoufalonego z czasami napoleońskimi, drażni np. niepojęcie stałe przerażanie nazwiska sławnego dowódcy jazdy, generała Lefebvre Desnouettes na Lefebre Decenotte, powtarzającym się błędem druku; dalej twórcy mostu na Berezynie, Eblé na Elbé, bitwy pod Eylau na Ellau i tym podobne. Rażące to usterki, szpecące staranne skądinąd wy-

dawnictwo. Zresztą tylko chwalić nam przedsięwzięcie, które skapą naszą pamiętnikową literaturę wzbogaciło wydaniem tylu barwnych, ciekawych i zajmujących zapisków Kołaczkowskiego. Wyglądamy niecierpliwie dalszych ksiąg „Wspomnień“, dających nam odetchnąć rycerską przeszłością i zapalem owych niezapomnianych dni, co niestety nie wróciły nam ojczyzny, lecz nad inne nauczyły nas ją miłować, bo patriotyzm, w nowoczesnem pojęciu tego szczytnego uczucia, dojrzał u nas niezawodnie i rozgrzał się w okresie wojen napoleońskich. Rzekłbyś, orzeł nasz biały do górnieszego wzbił się lotu za przykładem francuskiego ptaka zwycięstwa.

M.

W górach olbrzymich. *Stanisław Bełza.* Wydanie drugie. Kraków. G. Gebethner i Spółka. 1898. (Str. 188).

Autor zwiedziwszy i opisawszy już dużo świata, wprowadza nas w niniejszej książce w bliżej nas leżący, chociaż mniej u nas znany teren gór olbrzymich. Zaznaczymy to od razu, że dziełko to nie zadowolni zupełnie czytelnika, któryby może był się spodziewał pewnego raczej wyczerpującego studjum, a znajdzie w niem więcej wrażeń i subiektywizmu; i za to może czytelnik będzie czuł pewien żal do pisarza, że stronę czeską gór przedstawia nam zbyt pobieżnie, bo jedynie w ostatnim rozdziale, a z myśli w tym właśnie rozdziale narzucanych, z opisów tam zawartych, można wyciągnąć zupełnie słuszny wniosek, że więcej chyba dałoby się o tej części gór powiedzieć.

Mimo jednak tych dwóch braków zaciekawia książka czytelnika. Autor zapoznaje nas z pięknnością owych gór, a opisując czy to dziki, czy też sielankowy urok tych olbrzymów ziemi, zaznajamia nas zarazem z legendami ludowymi, które się łączą z jakąś skałą, z jakimś szczytem, z jakimiś ruinami, potknie czasami i o historię sławnych a prawdziwie zacnych rodów, porównuje nasze Tatry i ich warunki z warunkami i położeniem przebieganego przez się świata. I opisy przyrody wiele na tem zyskują, że wprowadza je w połączeniu z człowiekiem. Czasem spotkać się można w tej książce z piękną refleksją. I tak np., kiedy na Schnee-Koppe obserwuje niezwykle zjawisko przelewania się mgły i kiedy mu się wydaje, „że wszystko się porusza i że nie tylko on, marny punkcik na świecie, ale cała ta kolosalna skalista góra, na której stoi, porwaną nagle została w dziki taniec, która jego śmiercią i jej zagładą skończyć się musi“, wtenczas „dopiero widok krzyża, który na szczycie kaplicy stoi nieruchomy, utwierdza go w wierze,

że ani jemu, ani tej gorze nie zostało jeszcze osądzonem zginać“ (str. 174). Te i tym podobne uwagi i refleksye, choć niekoniecznie zawsze wyraźne, dodają dziełku wiele powabów. Jeżeli jeszcze dodamy, że wydanie książki jest bardzo staranne, a ryciny objaśniające nam najbardziej interesujące miejsca wcale udatne, sądzimy, że wcale nie trudno kilka przyjemnych chwil tej książce zawdzięczać.

Wiktor Wiecki.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Causal-Nexus zwischen Leib und Seele und die daraus resultierenden psychophysischen Phänomene. Von Dr. Heinrich Metscher. Druck und Verlag von Fr. Wilh. Ruhfus, Dortmund. (W 4-ce, str. 177).

Kwestya o związku między duszą a ciałem i o wypływających stąd zjawiskach jest podstawą w psychologii oraz w gałęziach wiedzy, z nią w łączności stojących. To też przy dzisiejszym ruchu umysłowym na polu badań zjawisk psycho-fizycznych w człowieku, nic dziwnego, że raz po raz ukazują się prace poważne, starające się rozświecić ciemnie tego tajemniczego labiryntu. Nadzieja taka przyświecać musiała również berlińskiemu profesorowi d-rowi Metscherowi, z którego niedawno wydanem dziełem zapoznać obecnie pragniemy naszych czytelników. Książka obejmuje w pierwszej części ocenę najważniejszych systemów, kwestyę ową obrabiających; zaś we wstępie do drugiej części, zapowiedź nowych, widniejszych i prawdziwszych poglądów na tę materję.

Wszystkie opinie, usiłujące rozwiązać kwestyę związku przyczynowego, pomiędzy duszą ludzką i ciałem, zdaniem autora dadzą się zredukować do czterech głównych systemów, którymi są: Dualizm, Materyalizm, Spirytualizm i Paralelizm. Lecz jakkolwiek każdy z tych systemów wiekową cieszy się przeszłością, o żadnym z nich powiedzieć nie można, by się z zadania swego wywiązywał.

A najpierw dualizm (str. 7—25) — przez który autor rozumie system t. zw. platoński lub kartezjuszowski — już przez założenie swoje w konflikt wpada z celem, do którego dąży. Przyjmuje bowiem za punkt wyjścia wszelkich swych wywodów rozdział zupełny, odrębność istotną duszy i ciała, a odrębność tego rodzaju, że dusza ma się

tak do ciała, jak żeglarz do łodzi, którą kieruje, jak więzień do celi więziennej. w której jest zamkniętym. Mając takie dane, rzeczywiste: bo z dzieł Platona, Kartezjusza i Okazyjonalistów zaczerpnięte, nie trudno było naszemu autorowi udowodnić, że ich twierdzenia nietylko uniemożliwiają jakiegokolwiek wyjaśnienie związku duszy i ciała, ale wprost w sprzeczności stają ze zjawiskami doświadczalnymi, których źródłem jedynie jedna jakaś przyczyna, materyalna i duchowa zarazem być może. W zasadzie przeto zapatrywania autora na ten system spokojnie podzielać możemy. Dziwi nas tylko, jakim sposobem, zaraz na następnych stronicach (str. 34) materyalizmowi pierwszeństwo przed dualizmem przyznawać może. Bo jeżeli materyalizm (str. 26—55), który duszę za pierwiastek równie materyalny jak ciało, albo raczej za sam ruch organiczny cząstek żyjącego ciała uważa, również sprzeciwia się, zdaniem jego, doświadczeniu, o ile ono namacalnie wykazuje, iż w człowieku prócz akcyj czysto materyalnych, akcje niematerialne miejsce znajdują (str. 31), a nadto, jeżeli wszelką moralność z gruntu niszczy i obala (str. 36) — toć z porównania obu tych systemów ten tylko wniosek wyprowadzić możemy, iż żaden z nich kwestyi omawianej nie rozstrzyga. Żadną miarą zaś uprawnionymi nie jesteśmy do upośledzenia systemu filozoficznie może błędnego, ale w każdym razie nie poniżającego rozumną naturę człowieka, na korzyść tego, który do rzędu martwej, bezrozumnej materji, wszystko zredukować pragnie.

W szczegółach jednakowoż argumentacya autora przeciw materyalistycznym mrzonkom, słuszną jest i prawdziwą. Za to milczeniem pominąć nie możemy kilku przynajmniej błędów logicznych, jakich się pan profesor dopuszcza w ocenie dualizmu. I tak czytamy na str. 9 co następuje: „Dualiści wychodząc z zasady, że odrębne skutki domagają się esencyalnie różnych przyczyn sprawczych, wyciągają wniosek, iż dusza i ciało muszą być dwiema zgoła różnemi i oddzielnemi od siebie istotami: dusza jako przyczyna zjawisk niematerialnych, ciało zaś — materyalnych w człowieku. Tymczasem ta zasada bynajmniej nie jest prawdziwą, gdyż i słońce dla jednych istot jest przyczyną życia, podczas gdy dla innych promień jego jest przyczyną skonu“. Mniejsza już o to, o ile to dowodzenie zwalcza istotnie opinie, których bronić nie zamierzamy — to jednak pewne, że związku logicznego w niem niema. Zapomina bowiem widocznie autor, że co innego twierdzić, iż jedna i ta sama przyczyna działająca w dwóch lub kilku przedmiotach na zewnątrz niej będących, równocześnie wprost przeciwnych skutków wywoływać nie może, a co innego utrzymywać, że jedna i ta sama

przyczyna wewnętrzna, czyli jeden element składowy istoty jakiejś rzeczy, w tej właśnie rzeczy, wzajemnieznoszących się skutków lub zjawisk, źródłem być może — jak to ma miejsce w istocie ludzkiej, gdy z przyczyn wewnątrz istniejących do materyjalnej równocześnie i niematerjalnej akcyi jest zdolną. Podobnie chybionym logicznie jest dowód na zgodność pojęć istoty złożonej i pojedynczej (10). Formuluje go bowiem autor, czerpiąc porównanie ze związku, jaki zachodzi pomiędzy mnogością osobników mogących być przedmiotem abstrakcyi, a pojedynczością samychże idei ogólnych, któremi równocześnie liczne indywidualia obejmować możemy. Lecz tu znowu przypomnieć chyba należy znaną zasadę filozoficzną, że przeskok z porządku idealnego do realnego, lub na odwrót jest nie dozwolonym. Stąd mówiąc o zgodności pojęć istoty złożonej i pojedynczej, możemy mieć jedynie na myśli złożoność realną i realną pojedynczość i w ten sposób dopiero orzekać, czy istota jakaś może być równocześnie obiema temi własnościami obdarzoną. Żadną miarą zaś nie wolno nam mieszać ze sobą dwóch tych porządków, twierdząc np., że ponieważ rzecz jakaś może być w porządku przedmiotowym mnoga, czyli podzielna, a w porządku przedmiotowym jedną, czyli pojedynczą, przeto jedność realna nie wyklucza w jednym i tym samym przedmiocie równie realnej złożoności.

Z kolei napotykaemy ustęp traktujący o spirytualizmie (55—78). Mianem tem obejmuje dr. Metscher owe systemy filozoficzne, które w przeciwieństwie do materjalizmu duszy tylko przyznają właściwy byt w człowieku, ciało zaś zależnem od niej czynią. Już to uważając je za czysty wytwór, iluzję ducha, jak to czynią idealiści; już to przyznając mu wprawdzie byt rzeczywisty, ale w takiej zależności od duszy, że dusza jest właściwym pierwiastkiem życia i ruchu jego organicznego. I pod tą to ostatnią rubryką znajdujemy nareszcie scholastyczne opinie o związku między ciałem naszym i duszą. Autor jednak w polemice swej ze spirytualizmem nie zaznacza należyte różnicy, jaka zachodzi między mrzonkami niemieckiego idealizmu a filozofią Augustynów, Tomaszów, Suarezów. Dwa wiersze wzmianki o wielkich tych geniuszach (71) — oto wszystko, czem niemiecki profesor prace ich uczył. Reszta ustępu to tylko cześć powtórzenie zwykłych zarzutów przeciwko utopiom Berkeley'ów, Fichte'ów, Schoppenhauer'ów i t. p.

Z największą jeszcze względnością wyraża się dr. Metscher o systemie paralelistycznym, przez który pojmujemy panteistyczno-monistyczne teorye Stoików, Giordana Bruno, Spinozy, Leibnitza, Wolffa, Schellinga, Hartmanna, Herbarta, a przedewszystkiem Wundta. (78—95)

Lecz i tutaj wyrokiem ostatecznym; potępienie. Zaczawszy bowiem od pochwał i unoszeń się nad łatwością, z jaką ten system harmonię zjawisk psychofizycznych w człowieku ze zjednoczenia ciała i duszy we wszechobecnym absolutie wyprowadza, kończy całą ocenę orzeczeniem, że cała ta uczona kombinacja jest czystym metafizycznym hombong'iem, obmyślanym w celu uzasadnienia jakiejś z góry już wyidealizowanej zgody wszelkich życiowych fenomenów, która ze strony doświadczenia najmniejszego poparcia nie znajduje (str. 83 i nast.).

Po tak surowej ocenie systemów, bądź co bądź w części przynajmniej, wysokie w dziejach filozofii miejsce zajmujących, spodziewały się należało ze strony autora, jeżeli już nie stanowczego rozwiązania kwestyi związku przyczynowego pomiędzy duszą i ciałem, to przynajmniej nowej o tej kwestyi hipotezy. Tymczasem czytelnik nadzieją tą się cieszący, przerzucając dalsze karty niniejszego dziełka, w których autor własne, prawdziwsze od poprzedzających zapatrywanie przedłożyć obiecywał, niemiłego doznaje zawodu. Bo oto zaraz na wstępie drugiej części rozprawy znajdujemy następujące zastrzeżenie: „pominąwszy przeto wszelkie starania o zbadanie ostatecznych przyczyn, wywołujących połączenie duszy i ciała w jedną przyczynę działającą: człowieka, oraz o wykrycie ostatecznych prawideł, na mocy których wrażenia cielesne na duszę, a poruszenia ducha na ciało wpływ wywierać mogą, zadowolnimy się w tej części naszej pracy samem tylko skonstatowaniem faktu połączenia obu tych pierwiastków ze sobą, oraz analizą pojedynczych zjawisk psychofizycznych, które w tym związku źródło swe znajdują“ (str. 101). I odtąd autor prawie na tem tylko się ogranicza, by według najnowszej metody empiryczno-psychologicznej przedstawić i ocenić zjawiska psychiczne, dowodzące wewnętrznego związku między duszą i ciałem, nie dając żadnej stanowczej odpowiedzi na zasadniczą kwestyę tego problemu.

G. Fihouser.

Actes du I. Congrès Antimaçonique international. XXVI—XXX Septembre 1896. Trente. Tome premier. Tournai. 1898. (W 8-ce, str. XV i 358).

Mamy przed sobą świeżo wydany w bieżącym roku spory tom sprawozdania z przebiegu I. kongresu antymasońskiego. Gdy przed dwoma laty liczne rzesze rozmaitych narodów spieszyły z najodleglejszych stron do Trydentu, aby po raz pierwszy przez osobistą wymianę myśli porozumieć się co do podjęcia wspólnej akcyi antymasońskiej,

umysły katolików zbyt były zajęte rozwiązaniem pytania dotyczącego istnienia wrzekomej miss Dyany Vaughan. Zdemaskowanie Taxila i wykrycie jego oszustw na temat „nawróconej masonki“ ogół społeczeństwa uznał za wielką zasługę kongresu. Lecz czy tylko w tem główna jego zasługa? Wyżej przytoczone dzieło daje nam na to odpowiedź.

Pierwszy tom dzieli się na 3 części. Część jego pierwszą poprzedza *breve* Leona XIII. do prezydenta ligi antimasońskiej. Następnie jest mowa o organizacyi i przygotowaniach do kongresu: w drugiej części są sprawozdania z posiedzeń plenarnych; w trzeciej rezolucye czterech sekcji kongresu zatwierdzone na plenarnem posiedzeniu. Zapowiedziany tom II., który niebawem wyjdzie z druku, będzie zawierał autentyczne dokumenta, na których opierano się w pracach sekcyjnych, niemniej jak cały tychże przebieg.

Wśród mów przytoczonych na pierwszym plenarnem posiedzeniu znajdujemy najdłuższy ze wszystkich odczyt „O Papieżach i Masoneryi“ ks. prałata dr. Smoczyńskiego, który nawet przewodniczył kongresowi na czwartem generalnem zebraniu. Treść odczytu znana jest skąd inąd polskim czytelnikom¹; to tylko dodać można, iż ks. prałat zgrabnie skorzystał ze sposobności, aby przypomnieć wybitnym słuchaczom stosunki naszego narodu do Stolicy św. i nasze boleści. Jeszcze lepiej, iż taki głos jest drukowany w obcym języku i w takiej książce.

Nader interesującym i pouczającym jest referat d-ra A. Schwarza z Ottenbachu w Württembergii o masoneryi w Niemczech. Mistrzowską ręką jakby w obrazie maluje nam cel masoneryi przedewszystkiem w Niemczech, a prawie każde zdanie stwierdza autentycznym dokumentem masońskim. Przesuwają się tutaj przed nami tacy dygnitarze masonscy jak ambasador bawarski De Kry, prof. uniwersytetu Ludwik Hoffmann, pruski minister v. Haugwitz, wreszcie koronowane głowy z domu Hohenzollernów z kielnią i fartuszkim: Wilhelm I., Fryderyk III. Sposób walki niemieckich masonów z chrystyanizmem różni się od tejsze we Włoszech lub Francyi; jest bardziej zastosowany do usposobienia narodu.

Nie występują oni w imię szatana, lecz w imię prawa „czystej natury“ lub ludzkości, scierając wszelki charakter chrześcijański w rodzinie, szkołach, urzędach.

Na ruinach tronów, a przedewszystkiem Stolicy św., chcą oni zbudować federacyjne państwo na wzór Stanów Zjednoczonych Ame-

¹ Był drukowany w *Czasie* i *Gazecie Kościelnej* w r. 1896.

ryki. Czemu więc należą do masoneryi koronowane głowy? Ach! to są tylko marynetki o wysokich tytułach, lecz należące do niższych stopni massoneryi. W rzeczywistości służą one tylko dla reklamy sekretnego stowarzyszenia.

Ważnym i również interesującym jest referat hr. Paganuzzi prezydenta stowarzyszenia dla kongresów i komitetów katolickich we Włoszech. Dowiadujemy się z niego, że w tym kraju istnieje potężna liga katolicka, złożona ze 100 komitetów dyecezalnych, przeszło 2.000 komitetów parafialnych i 300 stowarzyszeń katolickiej młodzieży. Cała ta falanga ożywiona jednym duchem miłości Chrystusa podjęła rękawicę rzuconą przez liczne włoskie loże. Hr. Paganuzzi krótko a dobitnie wykazuje etykę masońską, a zarazem przeciwstawia środki zaradcze: broń i sposób walki. Nie ograniczając się do ogólnych zasad schodzi do szczegółów i punkt za punktem przedstawia niezmordowaną pracę masońską na rozmaitych polach życia katolickiego, aby podkopać moralność, wiarę i wpływ Kościoła na społeczeństwo. Ścisłe wykonywanie zasad moralności wiary chrześcijańskiej w życiu i pismach, podejmowanie się trudów pracy w tym kierunku, utrzymywanie jedności najściślejszej wszystkich katolików ze sobą i z Głową Kościoła, a wreszcie silna ufność w pomoc Bożą — oto środki — któremi walczyć należy. Czy można wątpić o zwycięstwie? Czytając referat hr. Paganuzzi przypomniały się piszącemu słowa Leona XIII, słyszane z ust Jego przed 14 laty na audyencyi. Wręczając łaskawie kilkanaście egzemplarzy swej, świeżo wówczas wydanej encykliki *Humanum genus*, dotyczącej sekty masońskiej, rzekł Ojciec św.: „Jakżesz bezrozumnie wypowiedział sekta masońska walkę Kościołowi, zapominając na nieomyślne słowa Chrystusa *et portae inferi non praevallebunt adversus eam*“. A wypowiedział je z taką stanowczością i wiarą, iż się odczuwało, że to Namiestnik Chrystusowy wypowiada.

Z dalszego ciągu aktów kongresu dowiadujemy się, jak silne wrażenie na słuchaczach zrobiły słowa adwokata Joachima Respini, reprezentanta kantonu Tessyńskiego, opisującego śmierć z rąk masonów swego przyjaciela Ludwika Rossi w r. 1890 i ich attentat na własne życie prelegenta: jedynie dlatego, iż wystąpił z Rossim w obronie praw Kościoła katolickiego.

W trzeciej części dzieła znajdujemy rezolucye i definicye dotyczące doktryny masońskiej, jej działalności, również akcyi antimasońskiej, co było przedmiotem dyskusyi na zebraniach sekeyjnych. Wszystko co się w tych rezolucyach i definicyach zawiera zostało dokładnie stwier-

dzonem autentycznymi dokumentami. Wprawdzie kongres niema dogmatycznej powagi synodu w swoich orzeczeniach, pomimo tego twierdzenia określone na niem przedstawiają doniosłą wartość naukową. Tak np. znajdujemy odpowiedź na interesujące pytania: jaka jest doktryna religijna masonów, jaki jej stosunek do szatana, jaki jej cel, jaka jej działalność i na jakim polu.

Ci, których interesuje dzisiejszy ruch anarchiczny, socyalistyczny, feministyczny, czysto filantropijny — znajdą cenne wskazówki w orzeczeniach kongresu.

Ks. Marcin Czerminski.

Historická mluvnice jazyka českého. Napsal *Jan Gebauer*. (Historyczna gramatyka języka czeskiego. Napisał Jan Gebauer). Díl I. Hláskosloví. V Praze a ve Vidni. 1894. Díl III. Tvarosloví, č. 1. Skloňavání. 1896. (T. I. Głosownia. T. III. Morfologia, cz. 1. Deklinacya).

Filologia czeska zaczęła się od Dobrowskiego z końcem XVIII. wieku, nieco później niż u nas (Kopczyński). Od razu weszła na dobrą drogę, na drogę badania porównawczego: Dobrowski pisze gramatykę języka starosłowiańskiego i czeskiego. Po nim przychodzi cały szereg pracowników w pierwszej połowie XIX. wieku, znowu jak u nas, a pomiędzy nimi sławny Jungmann ze swoim Słownikiem języka czeskiego, ułożonym na wzór Lindego. Ale gdy u nas po Lindem nauka ta stała a raczej cofnęła się w tył, u Czechów szła ciągle naprzód, pracowników nigdy nie brakło, i tym sposobem stało się, że dzisiaj mają gramatykę, na którą my jeszcze dobrze poczekamy. Wogóle filologia znalazła w Czechach grunt nader dobry, a Czesi uchodzą za naród filologów *par excellence*. Pochodzi to zaś stąd, że przy odrodzeniu narodowem, które się zaczęło z początkiem XIX. wieku, pierwszorzędne znaczenie miało odrodzenie języka. Patryoci czescy, którzy się zabrali do budzenia narodu, spostrzegli, że najsilniejsza broń, język, jest trudna do użycia. Nie było języka literackiego. O staroczeskim mało kto wiedział, nowy był wyłącznie ludowy, niezdolny do wyrażenia wszystkiego, co się chciało powiedzieć. Chcąc nie chcąc tedy musiano się zwrócić naprzód ku językowi i ten kształcić; do tego zaś miało posłużyć badanie staroczeszczyzny a zarazem innych języków słowiańskich. Wielu z tych ludzi, którzy w ruchu narodowym brali silny udział, otrzymało wychowanie w języku niemieckim; jeszcze w połowie naszego wieku nie należało to do rzadkości. Otóż ci ludzie, skoro się

poczułi Czechami, chcieli też po czesku mówić i pisać. Że zaś tego dobrze nie umieli, musieli się uczyć. Tak różne powody złożyły się na to, że językiem zajmowali się niemal wszyscy, którzy pracowali na polu literackim, tak że bardzo wielu poetów było gramatykami (zajmowali katedrę języka czeskiego i literatury na uniwersytecie praskim) a wielu gramatyków poetami.

Prof. Jan Gebauer (ur. w r. 1838) zajmuje katedrę języka i literatury czeskiej na uniwersytecie praskim. Panuje tu jeszcze ten nie-dobry dawny zwyczaj, że do jednej katedry przywiązana jest nauka i języka i literatury. Połączenie nieroztropne, bo rzadko się znajdzie człowiek, któryby naraz w obu zajął wybitne miejsce. Na uniwersytecie praskim jest trzech profesorów do tak zwanej filologii słowiańskiej: jeden ma języki i literaturę starosłowiańską, drugi język i literaturę czeską, trzeci język i literatury słowiańskie wogóle. Że zaś wszyscy trzej są specjalistami we właściwej filologii, w gramatyce, więc nauka literatury zbyt wysoko nie stoi. Za to cieszy się wziętością gramatyka. Prof. Gebauer zaś ma dar wykładania zwięzłego i jasnego w stopniu bardzo wysokim, wskutek tego można się od niego bardzo dużo nauczyć; ten sam przymiot ma także w kierowaniu ćwiczeniami seminaryjnymi. Gramatykę, o której mówimy, przygotowywał od dawna. Przed dwudziestu kilku laty powstało czeskie pismo *Listy filologické*. W tem piśmie od początku spotykamy prace prof. Gebauera, będące przygotowaniem do gramatyki i obrobieniem danego materiału z grubsza; oprócz tego wyszukał on i wydał cały szereg nieznanych zabytków staroczeskich.

Drugą pracą jego życia był „bój o rękopisy“. Wiadomo, że w początkach naszego wieku znaleziono niby i ogłoszono t. zw. rękopis królowodworski i zielonogórski, zawierające rzekomo resztki dawnej poezji ludowej czeskiej i wiersze w tym duchu i kierunku pisane. Już wtedy podniosły się zarzuty przeciw autentyczności znalezionych rękopisów; ale że krytyka naukowa nie była tak bystrą, jak dziś, więc udało się przekonać wszystkich, że to są rzeczy prawdziwe. Przed kilkunastu laty wybuchła wojna na nowo. Jeden z uczonych zauważył, że w rękopisach są rażące błędy historyczne, których nie mógł popełnić pisarz współczesny, tylko ktoś żyjący w naszym wieku; innemu wydawały się dziwne niektóre fakta z zakresu socjologii; wreszcie prof. Gebauerowi, który dawniej sam w autentyczność wierzył, w miarę dokładniejszego poznawania języka staroczeskiego zaczął się język rękopisów wydawać jakimś dziwnym, niezwykłym: to nie były formy staro-

czeskie. Podał więc język ich bardzo dokładnemu badaniu, a wyniki tych badań były jednym z najsilniejszych argumentów przeciw autentyczności.

Ale też były dla prof. Gebauera powodem mnóstwa nieprzyjemności i zgryzot. Rękopisy owe odegrały w ruchu odrodzenia bardzo wielką rolę i bądź co bądź oddały mu wielką przysługę. Stąd zaś poszło, że uważano je za pamiątkę, za rodzaj relikwii narodowej. Kto więc przeciwko nim występuje, grzeszy przeciwko narodowi. Taka była logiczna konkluzja. Stąd przeciwko uczonym, dowodzącym nieautentyczności, zerwała się burza, powstał „bój o rękopisy“, prowadzony z wielką zaciętością i nieoszczędzanie przeciwnika. Uczeni mieli początkowo za sobą bardzo niewielu zwolenników; stąd też zażyli wielu przykrości. Prof. Gebauer w liście do p. Zawilińskiego wspomina o „interdykcie narodowym“, który nań rzucono. Że niesłusznie, nie potrzeba dowodzić: nawet gdyby się mylił, postępował z dobrą wolą, szukał prawdy. Wśród młodszego za to pokolenia coraz bardziej utrwała się przekonanie, że rękopisy są podrobione, a że prawda nigdy narodowi na złe nie wyjdzie. Analogię do tego boju mamy i u nas. Przypomnijmy sobie, jakie gromy padały na „historyczną nową szkołę“, a dzisiaj patrzylibyśmy z niedowierzaniem i ze zdziwieniem na człowieka wykształconego, któryby jej nie przyznawał w zasadzie słuszności.

Dzieło, którego tytuł wypisaliśmy powyżej, wzbudza w Polaku zazdrość, a chociaż to uczucie niechrześcijańskie, jednakże nie można się mu obronić. Książki zresztą takiego znaczenia i tak wielkiej wartości może Czechom zazdrościć każda literatura naukowa, choćby najbogatsza.

Tych kilka słów niech zarazem posłuży za obronę przeciwko możliwemu zarzutowi, że o książce tak specjalnej podajemy sprawę w czasopiśmie, niepoświęconem wyłącznie gramatyce. Jeżeli jakieś dzieło wychodzi po za granice powszedniości, to w każdym razie dowiedzieć się o niem warto, tem bardziej, że przecież nie podamy recenzji specjalnej, filologicznej, ale będziemy się starać wytłumaczyć, w czym leży znaczenie książki prof. Gebauera.

Mamy przed sobą dotąd dwa tomy. Każdy z nich liczy po sześćset kilkadziesiąt stron wielkiej ósemki. Takich tomów będzie jeszcze prawdopodobnie cztery. Otrzymamy tym sposobem dzieło, któremu równego co do rozmiarów trudno będzie znaleźć w piśmiennictwie naukowem w ogóle. Nie dlatego wspominamy o tym szczególe, ażeby grubość uważać za dowód dobroci, ale jeżeli mamy przed sobą dwa dzieła

naukowe (a jeszcze tak ściśle naukowe jak gramatyka), równie dobrze napisane a o różnych rozmiarach, to oczywiście to większe będzie miało dla nas większą cenę, bo poruszy i objaśni więcej kwestyj i poda większą ilość szczegółów.

Tych zaś w gramatyce prof. Gebauera nie brak. Pierwszy tom np. dzieli się na kilka części. We wstępie mówi autor o dawniejszych pracach z tego zakresu, o obszarze, jaki zajmuje język czeski (dokładniej: czesko-słowacki) i o podziale na narzecza. W pierwszej części właściwej pracy jest mowa o tem, jakie głoski języka prasłowiańskiego odpowiadają głoskom języka pierwotnego aryjskiego, a następnie jakie są odpowiedniki głosek prasłowiańskich w języku praceskim t. zn. w najdawniejszej, w najpierwszej epoce tego języka, u jego kolebki i w tej chwili, kiedy ten język wyodrębnił się od innych słowiańskich. Ta część pracy ma interes dla badaczy nie tylko języka czeskiego ale i innych języków słowiańskich. Teraz następuje największa część książki: historia tych głosek praceskich aż do naszych czasów. Bez przesady można powiedzieć, że tej części mógł autor zupełnem prawem dać motto: *exegi monumentum*. Mamy tam wyświetloną historję języka czeskiego z taką dokładnością, że aż czasem przechodzi w pedanterję. Od chwili, w której pierwsze słowo czeskie zostało zapisane aż do ostatnich dni, widzimy jak na dłoni wszystkie przemiany, jakim te głoski ulegały, wykazane są prawa, które temi przemianami rządzą i wytłumaczona ich przyczyna, objaśnione są też pozorne wyjątki. Każde twierdzenie jest poparte całym szeregiem przykładów i to nie wyłącznie z historii języka, z języka dawnego, ale i z dzisiejszych narzeczy. Wyzyskane jest z największą jaka może być dokładnością wszystko; z epok dawniejszych, w których zaszły przemiany decydujące a co do których często jeden drobny fakt rozwiązuje cały szereg pytań, nie pominięto ani jednego zabytku, choćby najdrobniejszego; w czasach późniejszych (wiek XIX zwłaszcza) takiej dokładności nie dało się zachować, jest to niemożliwe, ale co tylko gdzie było godnego uwagi, wszystko zużytkowano. Te same uwagi odnoszą się także do drugiego tomu w którym jest przedstawiona historia form deklinacyjnych. Tym sposobem mają Czesi gramatykę swego języka na długie lata. Nielatwo będzie książkę prof. Gebauera zastąpić czem innem. Dzieło to jest zamknięciem jednej epoki czeskiej filologii, jest uwięzieniem i koroną tego wszystkiego, co filologia czeska przez sto lat zrobiła. Nie jest łatwo taką książkę sobie przyswoić, zapamiętać wszystko, co w niej jest; ale kto choć przez połowę to robi, będzie miał nad-

zwyczaj pewną i silną podstawę, na której oparty będzie mógł pracować dalej i dalej naukę posunąć. Na tem właśnie polega ogromne znaczenie gramatyki prof. Gebauera; to, co Polak musi szukać po różnych dziełach, a jeszcze wszystkiego mieć nie będzie, Czech znajdzie zebrane wszystko razem w jednym dziele, zaoszczędzi moc czasu i pracy i będzie mógł już pracować nad czemś dalszem, nad czemś, co stanowić będzie znowu jeden krok naprzód.

Główna wartość książki jest w jej treści. Ale i ułożenie materiału i przedstawienie go znaczy ogromnie dużo. A właśnie pod tym względem gramatyka prof. Gebauera jest po prostu idealna. Cały olbrzymi materiał jest rozłożony tak umiejętnie, tak dobrze, że w jednej chwili znajdzie się rzecz, o którą chodzi.

Wszystko, co dotąd mówiliśmy, to były same hymny pochwalne. Stąd mogą powstać powątpiewania. Aby temu zapobiec, musimy zaznaczyć, że i gramatyce prof. Gebauera można robić pewne zarzuty. Te zaś są dwójakiego rodzaju. Pierwsze dotyczą szczegółów: tutaj można się spierać co do objaśnień niektórych zjawisk; można ubolewać nad zbytnią niekiedy ostrożnością, z jaką autor wygłasza jakieś tłumaczenie; można żałować, że niektóre partye są w stosunku do innych mało opracowane (tak na przykład cały rozdział o iloczasiu, t. zn. o krótkości i długości samogłosek). Te szczegóły jednak są za małe, aby mogły obniżyć wartość całego dzieła; należą one zresztą do pisma fachowo-gramatycznego, dlatego mówimy tu o nich tylko mimochodem.

Daleko ważniejszym byłby drugi zarzut, gdyby się okazał prawdziwym, a zarzut ten nasuwa się zaraz przy pobieżnem przejrzeniu dzieła.

Na pierwszy rzut oka gramatyka prof. Gebauera robi wrażenie pewnej — jeżeliby to nie był wyraz zbyt silny — ciasnoty pojęć. Do takiego monumentalnego dzieła przystępuje się z tem wrażeniem, że się w niem znajdzie głębokie filologiczne poglądy na mowę ludzką w ogóle, że ono nas wzniesie na taką wyżynę, z której zobaczymy te najdalsze przyczyny, *causae intimae*, mowy, że jednym słowem książka taka pokaże nam, co to jest mowa ludzka. Tego wszystkiego w gramatyce prof. Gebauera nie ma. Szczegół za szczegółem drobnostka za drobnostką, tak że przypatrując się im po kolei, zapominamy o całości. Z tego możnaby tej „mównicy“ zrobić poważny zarzut.

Tylko — pytanie, czy się będzie miało słusznosc? Uważmy, że prof. Gebauer pisał dla fachowych, dla filologów. Mógł więc z góry przypuszczać, że mniej więcej te zasadnicze rzeczy znają. Mógł z umysłu owe ogólne poglądy pominąć, aby mieć więcej czasu i miejsca dla

szczegółów, które także są konieczne potrzebne. Od czasu do czasu znajdzie się i w jego książce jakaś mała uwaga, jakaś drobna wzmianka, która najwyraźniej świadczy, jak głęboko autor swoje zadanie pojmuje, jak dobrze rozumie owe najdalsze przyczyny rzeczy.

Kończąc jeszcze raz wypowiadamy gorące życzenie, abyśmy nie potrzebowali zbyt długo czekać na taką gramatykę polską, jaką dał Czechom prof. Gebauer. U kolebki naszej literatury stała i pomagała jej starsza i bogatsza wtedy czeska. Dzisiaj w wielu kierunkach jesteśmy dalej, ale też w wielu, zwłaszcza naukowych, zostaliśmy w tyle. Obowiązkiem naszym jest pracować tak, abyśmy przynajmniej się zrównali.

Dr. Stanisław Dobrzycki.

Mon chevalier. Par *Gabriel Franay*. Paris. Armand Colin et Co.

Do rzędu płodów, świadczących wymownie o dokonywującej się ewolucyi w literaturze francuskiej, zaliczyć należy powieść, której tytuł wypisujemy powyżej. Osnowa jej bardzo zwyczajna i prosta. Dorastająca dziewczynka, ukończywszy lat szesnaście, odczuwa w sobie pewne rozszerzenie serca, w którym się nagle znajduje jakowaś próżnia, wymagająca wypełnienia. Ślicznie opisane i określone to zbudzenie się do życia, ta tęsknota za jakimś rwącym, gorącym uczuciem. W najzwyczajniejszych warunkach i okolicznościach zjawia się — nie Pigmalion, zdolny senną obudzić Galatę — lecz młodzian krzepki i rośli, jak galicyjczy jego przodkowie, łagodny jak baranek, a dzielny jak rycerz średniowieczny, którego nazwa doń przystaje i zostaje mu do końca. Typ ten rodzimy, a ginący dziś we Francyi i w innych krajach, pięknie tu został przedstawiony. Nowoczesne wymagania i warunki życiowe nie starły z rycerskiego młodziana właściwego, indywidualnego piętna. Ale bo i młodości swej nie zszargał on w stolicy, pozostając na ojcowskim zagonie, a raczej w ojcowskich lasach, które go osłoniły przed wszelkiem złem i zepsuciem. Po krótkiej, wstępnej idyli, młode małżeństwo odnajduje się w samotni Morvanu, tej środkowej części Francyi, kędy się przechowuje stary obyczaj i dawne stosunki życiowe.

O kilka wieków bodaj cofać się przychodzi w tych ramach tak odmiennych od stołecznego waru i gwaru. Nawet książki rzadkim tu gościem, a stare legendy i baśnie, rycerskie opowiadania i pieśni niepodzielnie panują. Wiejskie to, bodaj wieśniacze stosunki, młody dziedzie pospołu z kmiecią rzeszą pracuje w pocie czoła, dni spędza w kniei, która niemal wzbudza zazdrosne w młodej żonie uczucie: a nużby las

zabrał jej męża, pragnąc go niepodzielnie u siebie zatrzymać? Ten niepokój nie przeszkadza dziecinnej niemal oblubienicy cieszyć się po prostu z małżonkiem czarami leśnych dolin, potoków, ustroni. Atoli nie omyliło przecucie, raz po raz ponurem odzywające się tętne. Wybrawszy się raz na łowy, młody rycerz pada, śmiertelnym ugodzony strzałem, umiera na ulubionej polanie, na rękę tak bardzo a tak krótko miłowanej żony.

Na razie złamana i osłupiała, niebawem do nowego budzi się życia, czując, że zostanie matką. I na tem się kończy autobiografia bohaterki. O sobie już nie ma co pisać, skończone jej życie, zgaszone szczęście, natomiast zaczyna się przy jej sercu inne szczęście, inne życie, tego rycerzyka małego, którego wypadnie chować na chwałę Bożą i pożytek bliźnich, aby się stał jak najpodobniejszym do nieznanego już sobie rodzica, śpiącego w grobowcu, zdobnym w rycerską, spiżową postać, z wymownym a jednosłownym napisem: *Credo*.

Osnowa tedy nienowa, prosta bardzo, jak proste są dzieje miłości i bólu ludzkiego. Cóż tedy skłoniło Akademię do przyznania niniejszej, krótkiej powiastce najwyższej nagrody, wynagradzającej książkę, której wartość i doniosłość z dobrym uczynkiem bywa zrównana? Zapewne, wszystko, co odnawia zerwane śluby z przyrodą, co wstrzymuje emigrację ze wsi do miasta, co opromienia rolników i leśników trudem i urokiem wyższego zadania, co uwydatnia piękność przedziwną łąków i borów ojezystych, przez to samo już jest zasługą. Aliści nie sam autor niniejszej opowieści wybiega poza ramy sztucznego, cieplarnianego życia, mnóstwo dziś pisarzy uprawia podobnie świeże szlaki przyrody i wiejskich przeznaczeń pole. Co tedy ściągnęło na utwór Gabryela Franay to osobne i osobliwe odznaczenie? Oto nuta przewodnia, rozbrzmiewająca od początku do końca rzadkim dziś, niknącym we Francyi dźwiękiem. Tą nutą, to macierzyńskie uczucie i przecucie, to tęsknota za własnem dziecięciem, silniejsza nad własną miłość dla ukochanego. Bohaterka nad życie wielbi i kocha „swojego rycerza“, co nie przeszkadza, iż od pierwszej chwili wygląda z gorączkowem upragnieniem najwyższego uwieńczenia szczęścia swego i miłości. Dopóki kolebki w domu nie zoczy, ognisko domowe wyda się jej pustem i ogołoconem, niby świątynia, w którejby ołtarza zabrakło. W dziecięcej niecierpliwości swojej, zaledwo na ślubnym ukłękła kobiercu, już pokryjomu zakupuje koszulki, powijaki i pieluszki dla wymarzonego, upragnionego gościa, już kołyskę ukradkiem mieści wśród sprzętów własnej sypialni. Tą myślą żyje jedynie, nie przeczuwając, jakim my-

tem przyjdzie jej opłacić opóźnione zrazu szczęście. A nawet, gdy grom w jej serce i ognisko uderzył, wraca od razu do życia, wraz z błogiem przeświadczeniem, że niebawem matką zostanie. Otóż to piętno macierzyńskie, właściwe przeznaczeniom kobiety, to uczucie, górujące nad całym jej życiem, to postawienie dziecięcia u szczytu wszystkich ziemskich pociech, rozkoszy i zaszczytów, stanowi wyjątkową wartość i rzewność słusznie uwiecznionej nagrodą Akademii powieści. Dość nam opisów szalów, zbaczających z prawej drogi obowiązku, dość obrazów nieposkromionych zachcianek i nieokiełznanых kaprysów mózgu raczej, aniżeli serca. Czas nam odnaleźć prawdę i rzeczywistość życia, ludzkiej istoty i przeznaczeń — czas nam potrafić o te struny nieśmiertelne, co drgały w duszach dawnych pokoleń, rycerskością u mężów, macierzyństwem u niewiast.

M.

Judas. Das fünfte Evangelium. Eine dramatische Dichtung von *Heinrich Driesmans*. Dresden und Leipzig. 1898. E. Pierson's Verlag.

Ludzkość go znienawidziła i jego imieniem piętnuje najhaniebniejszą zdradę. Dante wtrącił go do środka piekła, niesłusznie dając mu za towarzyszyów Brutusa i Kassjusza; Sasza Schneider jego rysunkiem wstrząsnął do głębi widza i grozę w nim obudził. Potępiający wyrok widział potworność zbrodni Judasza, widział zapłatę tej podłości i wzrok ze wstrętem od niej odwracał. A jednak ten i ów czytając Pismo św. a wierząc w wrodzoną szlachetność ludzkiej duszy, pytał się, co skłoniło Ischaryotę do wydania Mistrza w ręce wrogów, czyż te trzydzieści srebrników jedynym były motywem? To pytanie, ta ciekawość za pierwszym momentem genezy dramatu, którego tytuł powyżej wypisano. Do tej pobudki czysto ludzkiej, przystąpiła inna właściwa nowszym czasom. Dzisiaj tak bardzo lubi się wyzybywać wszelkich „przesądów“ niewolniczego powtarzania tradycyjnych sądów. A więc co historia i tradycja przekazały w aureoli wzniosłości, strąca się chętnie do błota i na odwrót, co ojcowie nasi za szpetne, złe, niskie i marne uważali, dzisiejsze pokolenie ogłasza za piękne, dobre, wysokie i cenne. A tak nieraz mniemany krytycyzm i obiektywizm prowadzi do... fałszu. Że współczesny pisarz chce psychologicznie umotywować zbrodnię Judasza, to jest może trudnem, ale nie zdrożnem, że jednak zbrodniarza rehabilituje, owszem za najgodniejszego wśród apostołów go uznaje, to jest już fałszem zupełnie bezpodstawnym i bezecną profanacją wielkiej i świętej tradycji.

P. Driesmans, autor nikomu zresztą nieznanemu, podsuwa w pierwszych scenach Judaszowi cały chaos najrozmaitszych pobudek: raz Judasz nienawidzi Chrystusa dlatego, że On każe ślepo wierzyć, to znowu dlatego, że potężną osobistością Mistrz krępuje i przygniata go — coś jakby przyjęty przez pewnych krytyków motyw Juliusza Cezara Szekspira — wreszcie wysuwa się naprzód inna myśl, decydująca o konflikcie tragicznym. Judasz wydaje Chrystusa w ręce Żydów nie z nienawiści, lecz aby Go zmusić do zdziałania wreszcie wspaniałego, walego cudu. Poco uzdrawiać tu głuchoniemego, tam trędowatego i przez to garstkę wyznawców zyskiwać, raczej raz zadziwić świat cały majestatem swej boskości, a wtedy cały świat się nawróci. Nie chce Mistrz sam koronować się na króla żydowskiego, a więc on Go wyda, zmusi by pojmany złożył nareszcie dowód swej Boskości, rozbijając w puch nieprzyjaciół. Nie wiedział nasz początkujący dramaturg a bardziej jeszcze początkujący egzegeta, że podobny właśnie cud Chrystus zdziałał długo przed zdradą Judasza, i o tym cudzie Ewangelia dość szeroko pisze. Na chwilę Judasz wydaje się w tym utworze dramatycznym, gdy po zdradzie widząc męczeństwo Chrystusa poznaje, że popełnił szalone zuchwalstwo usiłując Boga zmusić, wyzywając go w szranki, lecz ten dramatyczny moment wejścia w siebie, ukorzenia się przed wszechmocą Boga trwa bardzo krótko. Zaraz potem Judasz oświadcza wobec przeklinających go apostołów, że powinni zamilknąć, bo on właśnie jest najwierniejszym uczniem; wszak wszyscy inni opuścili Go, wszak Piotr trzy razy się Go zaparł, podczas gdy on nawet na chwilę nie zwątpił w Jego Boskość, a chciał tylko, by cały świat o tem się przekonał. I to mówiąc rzuca się ze skały. Najprzód, pomijając już prawdę historyczną, jedno pytanie: poco Judasz się zabija? Samobójstwo miałoby rację, byłoby dramatyczną katastrofą, gdyby nastąpiło zaraz po owym przyznaniu się do winy, że on, robak ziemski chciał zniewolić Przedwiecznego. Ale teraz? Jeżeli Judasz ma mocne przekonanie, że jest najlepszym uczniem Chrystusa, co więcej jedynym wiernym, to trudno o psychologiczne wytłumaczenie samobójczego kroku. Z dramatycznego więc stanowiska zakończenie dramatu jest fałszywe. Gorszą jest ta rehabilitacja zdrajcy z moralnego punktu widzenia, bo sofizmatami krzywi sąd, czarne każe białem nazywać. A kto wie, może szanownemu autorowi chodziło nie tyle o wywyższenie Judasza, ile o poniżenie św. Piotra, nie tyle o oryginalną fabułę dramatu, ile o wylanie swej złości na papieżstwo, na następców św. Piotra? Są miejsca w dramacie, które dają prawo do zrobienia

takiego przypuszczenia; szkoda, że w ramach krótkiego sprawozdania nie można ich przytoczyć.

Takim jest główny zrab dramatu. Jest w nim i osoba samego Chrystusa; widocznie jednak autorowi zabrakło tego delikatnego poczucia artystycznego, które okazał inny protestant, Sudermann, gdy zamknął dramat (*Johannes*) w tej właśnie chwili, kiedy na ulicach Jerozolimy ma się zjawić Jezus. Jest w sztuce p. Driesmans'a Marya i Marta, przyczem oczywiście autor poprzekręcał biblijną opowieść a imię Boga we wstrętnej zuchwałości połączył węzłem erotycznym z Maryą. Całość tu i ówdzie tylko świadcząca o jakimś talencie, nie mogła być pominiętą milczeniem, bo należy walczyć przeciw wszystkiemu, co spekulując na sensacyjność szerzy fałsz i bezecność.

J. Flach.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Ostatnie miesiące przyniosły nam szereg smutnych wieści o położeniu katolików pozostających pod berłem rosyjskiem. Rozwiała się na razie nadzieja, że liberalniejsze prądy pozwolą braciom naszym odetchnąć swobodniej i usuną ucisk religijny, ucisk ze wszystkich najdotkliwszy, gdyż człowieka pozbawia najpotężniejszej wśród walki i krzyżów dźwigni duchowej. List cesarski do Pobiedonoscewa dał słuszość tym, którzy znając potęgę generalnego prokuratora św. Synodu, od dawna zło przewidywali. Przemówienia młodego cara do obcych monarchów, uderzają powszechnie zimną powagą i miarą, w której się przebija świadomość własnej wyższości; inny całkiem duch wieje z listu carskiego do Pobiedonoscewa. Wszechwładca Rosyi staje się serdecznym, ze czcią prawie synowską i wdzięcznością przemawia do starego sługi, z którego doświadczenia jeszcze najdłużej korzystać pragnie. Dla obcych końcowe ustępy pisma carskiego były tylko zwykłym frazesem; z nas każdy odczuwa, ile goryczy i bóleści te słowa w sobie mieszczą. Wogóle za granicą mało o tem wiedzą, co się dzieje pod zaborem rosyjskim, a nawet kiedy fakta są wiadome prawie nikt ich znaczenia i doniosłości nie rozumie.

Naturalnie, że ta nieznajomość stosunków polsko-rosyjskich zawsze wychodzi na naszą niekorzyść. Winę niezgody kładzie się za granicą powszechnie na nasze barki, opinia świata zachodniego widzi coraz częściej w nas niepoprawnych wichrycieli, gdyż Rosya usilnie o to dba, by w swoim świetle każdy wybitniejszy fakt przedstawić w łamach większych gazet europejskich: francuskich, angielskich, niemieckich i włoskich.

Nawet do gazet katolickich trafiają sprawozdania rosyjskie. Tylko kilka przykładów: Kiedy przeszłego roku wywieziono ks. biskupa Symona do Odessy, już po nadejściu nominacyjnego *breve* z Rzymu, *Univers* wystąpił w obronie Rosyi przeciw szowinistycznym zarzutom polskich katolików, jak gdyby Rosya wszczęła nowe prześladowanie księży katolickich. Nastąpiło nieporozumienie — tak *Univers* sprawę przedstawiał — między rządem carskim a biskupem Symonem; skutkiem tego proszono biskupa, by się jeszcze nie udał do Rzymu ale do Odessy, a całą sprawę przedłożono papieżowi do rozstrzygnięcia. „Gdzie tu prześladowanie?“ — pyta się *Univers*. — Wiedeński *Vaterland* podał pierwszą wiadomość o tej samej sprawie przytaczając ustępy z artykułu z *Polit. Corresp.* Artykuł ten wyraża się z wielkiem uszanowaniem dla ks. biskupa, zaznacza jednak, że w tym wypadku biskup wykroczył przeciw ostatnim układom Stolicy św. z Rosyą, na co, rozumie się, Rosya już w interesie Rzymu pozwolić nie mogła. Jedno i drugie pismo umieściło później sprostowania, które jednak w czytelnikach z pewnością nie zatarły wrażenia wywołanego przez pierwsze artykuły.

Trudno uwierzyć jak sympatycznie jedna z najpoważniejszych katolickich gazet belgijskich wyraziła się o ostatnim ukazie carskim o Unitach. „Wysokie zadowolenie — pisze *Le bien publique* — Leona XIII. z powodu carskiego projektu rozbrojenia, jest tem zupełniejszem, że manifest ten uprzedził akt pacyfikacyi religijnej. Mamy na myśli ukaz Mikołaja II., który Unitom polskim pozwala wyznawać wiarę katolicką (*sic!*). Ten akt zadośćuczynienia, ogłoszony krótko przed wydaniem manifestu do mocarstw w sprawie pokoju międzynarodowego, dobitnie wykazuje szczerłość intencji rosyjskiego monarchy“.

Nie dziwnego, że na podstawie takich wiadomości katolicy za granicą tworzą sobie pojęcia o stosunkach naszych z gruntu fałszywe. Oburzamy się na nie, narzekamy na niesprawiedliwe o nas sądy, na obojętność, z którą nawet u katolików się spotykamy; ale czyż nie nasza w tym wina? Jeżeli wrogowie mogą szerzyć kłamliwe o nas wieści, tobyśmy i my mogli pouczać Europę zachodnią o prawdziwym stanie rzeczy. Próżno tu mówić, że opinia Europy nie wpłynie na dolę naszą. Najlepszym dowodem, że ta opinia coś znaczy, jest fakt, że potężna Rosya dba o jej omamienie; nierozważnemby było z naszej strony ją lekceważyć.

Tajne dokumenta, ogłoszone przez socyalistów w Londynie, rzuciły i za granicą trochę światła na nasze stosunki. *Times* rozpisał się w obszernych artykułach o sprawie polskiej pod zaborem rosyjskim, jak sam powiada, zupełnie w Anglii zapomnianej; przypomniano sobie znowu, że Polacy w Rosyi jeszcze są prześladowani dla wiary swej i narodowości. I francuskiej prasie tajne dokumenta nieco oczy otworzyły. Bardziej nas jeszcze pocieszyły znakomite korespondencye *Universa* o ukazie w sprawie unickiej. Prasa rosyjska, nieprzyzwyczajona aż dotąd usłyszeć słowa tak gorzkiej prawdy z ust francuskich, uczuła się żywo niemi dotkniętą. *Nowoje Wremia* gorzko narzeka na kampanią, podjętą przez francuskie pisma przeciw Rosyi, i stara się zbijać albo przynajmniej osłabiać zarzuty w polskiej korespondencji zawarte. Cześć *Universowi* za to, że się nie dał zbić z tropu. W znakomitym artykule *Les Grecs-unis* odpowiada w numerze z 12-go października na wywody rosyjskiego czasopisma. „Jeżeliśmy — pisze między innemi — krytykowali politykę (rosyjską) względem unitów i polskich katolików, to czuliśmy się do tego zmuszeni poczuciem sprawiedliwości⁴. Żywiliśmy do ostatnich czasów nadzieję większej wolności religijnej w Rosyi, „ale powtarzane skargi i prawdziwy krzyk bóleści zachwiały nas w tej ufności⁴. Wspomniawszy krótko o sprawie ks. biskupa Symona i wprowadzenie rosyjskiego języka do seminariów katolickich, zwraca się autor artykułu do sprawy unickiej i wykazuje krótkimi ale trafnie dobrane dowodami

krzywdy unitów, wyrządzone od początku Unii aż do ostatniego ukaz. „Nie jest to — pisze *Univers* — katolik fanatyczny, jest to M. Anatole Leroy-Beaulieu (liberał i znawca stosunków rosyjskich), który powiedział: „Między duchowieństwo (unickie) wprowadzono zdrajców, kościoły zamknięto użyto knuta i Syberyi“. *Nowoje Wremia* zna przywiązanie unitów do swej wiary i swego obrządku. Czy 300.000 unitów w Polsce jeszcze raz pójdą pod knut?... Pan Pobiedonoscew pisze w swem dziele *Kwestye religijne, socyalne i polityczne* z dziwnem wzruszeniem o „łzach, które płynęły skutkiem odwołania edyktu z Nantes“. Ale odwołanie edyktu z Nantes jest tylko idylą w porównaniu z historją unitów od dwóch wieków“. Na zarzut stronnicych zapatrywań *Univers* z wielkim taktem się zapytuje, czy może *Nowoje Wremia* nie ma przesądów względem chrześcijan, poddanych papieżowi. Artykuł podpisany przez współredaktora *Universa*, E. Taverniera wskazuje na gruntowne obznajomienie ze stosunkami rosyjskimi. Nie wiemy, od kogo autor te wiadomości czerpał, pragniemy tylko gorąco dla dobra Kościoła prześladowanego i współbraci naszych, by więcej takich się znalazło, coby zagraniczne czasopisma o naszych stosunkach oświecali. Sądzimy, że nie brak takich, którymby i stanowisko i wykształcenie ułatwiały spełnienie tego, dla społeczeństwa naszego tak pożytecznego, zadania.

DEMOKRACJA
KATOLICKA
W BELGII.

We wszystkich krajach zachodniej Europy utworzyły się w ostatnich mniej więcej dwudziestu latach nowe stronnictwa katolickie pod nazwą partii chrześcijańsko-demokratycznych i chrześcijańsko-socyalnych. Sama już nazwa niemiłe brzmiała w uszach starszych konserwatystów katolickich. Ze słowem i pojęciem demokracji łączyło się pojęcie buntu i rewolucyi, jakich prawie cała Europa była świadkiem w roku 1848, i stąd powstała naturalna nieufność do demokratów chrześcijańskich. Nie widziało się w nich nowych towarzyszy broni, ale raczej tem niebezpieczniejszych wrogów, że głośno nazywali siebie partją chrześcijańską. Młode partie demokratyczne popełniały nadto niejeden błąd, który mógł i tak już z góry źle usposobionych konserwatystów utwierdzić w swych

sądach niekorzystnych. Zdarzało się nawet, że demokraci chrześcijańscy zrażeni przez konserwatystów zbyt się zbliżali do partii przewrotu, w wyborze członków postępowali nieostrożnie przyjmując ludzi z prawdziwie skrajnemi dążnościami, niezgodnemi z zasadami chrześcijańskimi. — Tak było w Belgii, gdzie ks. Daëns i towarzysze usiłowali przetworzyć młodą partię chrześcijańsko-demokratyczną na partię rewolucyjną. Niepodobna jednak, by prawdziwy charakter partii mógł długo się ukrywać; można chwilowo nadać jakiemuś stronnictwu zabarwienie katolickie, ale wkrótce prawdziwe usposobienie odkryć się musi, gdyż nauka Kościoła wpływ swój rozciąga i na całe życie społeczne.

Stwierdziliśmy już dwa razy, pisząc o francuskich i belgijskich demokratach, zbliżenie się ich do konserwatystów. Ci ostatni jednak nie wszyscy w możliwość tegoż zbliżenia się wierzą; za to przyznać muszą, że ruch ten wszędzie się wzmaga i dużo dobrych sił dla siebie pozyskuje. Nie ulega więc wątpliwości, że w interesie sprawy katolickiej rachować się trzeba z tym ruchem i pilnie go śledzić.

Obszerne sprawozdania z ostatniego wiecu belgijskiej ligi demokratycznej, które nas doszły, zawierają dużo materiału dla wyjaśnienia teraźniejszego położenia i ducha młodej partii. Wiec zwołano na 18 i 19 września. Dzień przedtem urządzono wieczorek na cześć prezydenta unii demokratycznej z Liège hr. Karola de Ponthière. W wielkiej sali, którą Jezuita wiecownikom na czas ich zebrania odstąpili, zgromadziło się blisko 3.000 osób, by uroczyście wręczyć prezydentowi oznaki komandora papieskiego orderu Grzegorza wielkiego, zaczem delegat robotników witał komandora serdecznemi słowy; robotnicy z Liège, kończył mowca, szczycą się, że na ich czele stoi wielki i dobry Karol de Ponthière.

W niedzielę rano odbyło się otwarcie wiecu w obecności ks. biskupa Doutreloux. Prezydent ligi M. Verhaegen roztoczył obraz dotychczasowych prac, celów i nadziei na przyszłość. Liga liczy blisko 100.000 członków, powołała do życia znaczną liczbę instytucyj społecznych, owianych duchem katolickim, dąży do

tego, by robotników socjalistycznych do siebie przyciągnąć. Jako pierwszy cel ligi, mowca oznaczył pokój społeczny, do którego tylko połączenie wszystkich partyj katolickich doprowadzić może. Nieprzyjacielem, przeciw któremu liga walczy, są nieprzyjaciele Boga i ludu, „ci, którzy gonią za chimarami i chcąc przeobrazić ziemię na raj materyalnych pociech, do tego chyba doprowadzą, że ona będzie piekłem rozhukanych namiętności ludzkich“. Do walki wspólnej zaprasza liga wszystkich ludzi dobrej woli, bez względu na różnicę zapatrywań, którzy chcą oprzeć społeczeństwo na Bogu i pracować nad duchowem i materyalnem podźwignięciem ludu“. Biskup w swej przemowie również stwierdził, że liga „w swem powstaniu, w swych celach, w swych środkach i sposobie działania jest z istoty swej katolicką“ i zachęcał do wytrwania w tych uczuciach. Z głośnemi oklaskami przyjęto mowę socjologa i posła M. Carton de Wiart. Bronią ligi od zarzutów skrajności, jest to — mówił de Wiart — że właśnie ona prawdziwą demokrację przeciwstawiła demagogii. Demagodzy z nich drwią i także niektórzy z ich przyjaciół rzucili na nich kamieniem. Ale mowca cieszy się nadzieją, że wkrótce wszyscy katolicy złączą się w jeden wielki obóz.

Oprócz publicznych zgromadzeń, cztery sekcye pracowały nad kwestyą o święceniu niedzieli (te szczególnie rozprawy są piękne i praktyczne), alkoholizmu, ustawy szkolnej (domagając się energicznie zmiany ułatwiającej rozwój katolickich szkół) i pracy kobiet. Rezolucye oznaczają się wielką trzeźwością i są najzupełniej zgodne z zasadami wiary. Ks. Winterer, poseł *Centrum* niemieckiego, wystąpił także na wiecu z mową o socyalizmie i anarchizmie. Duchowieństwo z Liège licznie uczestniczyło w obradach.

Większość prasy katolickiej także nienależącej do ligi demokratycznej wyraziła wielkie zadowolenie z przebiegu wiecu. I w istocie, jeżeli jakaś partya zupełnie przyjmuje nauki Ojca św. jako swój program a nadto — co w praktyce jest jeszcze ważniejszym, — oświadcza, że w wyborze środków i taktyki zupełnie się poddaje kierownictwu biskupów, to katolicy już żadnej nie mają przyczyny do nieufności, dopóki czyny z obietnicami się zga-

dzają. Ton w przemowach był też o wiele spokojniejszy aniżeli w zebraniach przed kilku jeszcze latami a wielką rękojmnią wytrwania belgijskich demokratów chrześcijańskich na dobrej drodze, jest zaciśnięcie węzłów między nimi a biskupem Doutreloux. „Walcze — powiedział Ojciec św. sześć miesięcy temu do prezydenta Unii — walcze bez wytchnienia. Macie w Liège wielkiego, świętego biskupa pozostającego w zupełnej łączności ze Stolicą św.“.

Nie jest więc niemożliwem, że podana w *Patrie* myśl o przyszłorocznym wspólnym wiecu starej federacyi asosyacyj katolickich z demokracją chrześcijańską się urzeczywistni. Byłby to wielki tryumf dla sprawy katolickiej. Kończąc nie chcemy jednak zamileczeń, że część partyi konserwatywnej jeszcze trwa w swej nieufności do demokratów. Wyrazem tych poglądów był artykuł w *Courrier de Bruxelles*, który chwając pojednawczą mowę M. Carton de Wiart odmawia większości partyi tego samego ducha pokoju i zgody.

ANGIELSKIE
TOWARZYSTWO
APOLOGETYCZNE.

Bardzo ciekawym był przebieg tegorocznego zebrania katolickiego towarzystwa apologetycznego (*Catholic Truth Society*) w Nottingham, o którym *Tablet* z 3 września doniósł. Głównem zadaniem tego stowarzyszenia jest obrona wiary i ułatwienie anglikanom powrotu do katolicyzmu. Ponieważ żywe spory o ważności anglikańskich święceń kapłańskich orzeczeniem Rzymu zostały zakończone, a przez to jasno wskazana jedyna prawdziwa droga do połączenia się z Kościołem, przeto towarzystwo zwróciło swą uwagę na kwestyę socyalną. Wychodziło ono z przekonania, że naukowe i praktyczne rozwinięcie wielkiej siły społecznej Kościoła będzie w tych czasach najskuteczniejszą apologią katolicyzmu. Trzy referaty odnosiły się do czysto religijnych kwestyj, pięć do socyalnych. Między ostatnimi odznaczały się odczyty ks. biskupa Bagshawe „O sprawiedliwych zasadach przy wydzierżawianiu ziemi“, Dom Gasqueta „Demokracja chrześcijańska przed Reformacją“ i M. Devasa „Znaczenie i cel chrześcijańskiej demokracji“. Autor przewidując zarzuty, wypiera się z góry wszelkich rewolucyjnych

myśli. „Walka klas, buntowanie robotników przeciw chlebowcom, ubogich przeciw bogatym, system okrzykiwania wszystkich panów za tyranów, wszystkich posiadających za wampiry, to wszystko są metody niwelacji zupełnie obce demokratom angielskim“. Zetknąwszy się bliżej z ludem robotniczym, sądzą, tak samo jak belgijscy demokraci, że będą w stanie przyciągnąć do siebie masy, które nie śmieją się zbliżyć do konserwatywnych partyj. Zapatrywania M. Devasa są może aż zbyt optymistyczne. Mniema on, że między socyalistami angielskimi 90 procent tylko nieco więcej światła potrzebuje, by zostać znakomitymi demokratami chrześcijańskimi. Względem zaś wielkich stowarzyszeń robotniczych, tak zwanych *Trade unions*, angielska demokracja zajmuje stanowisko wprost przyjaźne. „Może to być twardem powiada Devas, dla tych, którzy już od 30 lub 40 lat mają pewne wyrobione pojęcia, ale ponieważ *Trade unions* żadną miarą nie są ogniskami ateizmu lub rewolucyi, prosty rozum każe katolikom korzystać z tak potężnej dźwigni dla reformy, która jest w ich rękach“. Znany francuski pisarz Leon Grégoire obszernie omówił znaczenie tego zjazdu w *Association catholique*¹ i wielkie mu przypisuje znaczenie. Jest on w każdym razie jednym dowodem więcej, jak bardzo idea demokracji chrześcijańskiej się rozpowszechnia.

Ks. Wł. Ledóchowski.

Statystyka konwersyj i apostazj w Wiedniu.

Pracą zamieszczoną w sierpniowym zeszycie *Przeglądu Powszechnego* z r. 1891 (tom XXXI. str. 294) wstąpiliśmy po raz pierwszy na nieuprawiane ani wówczas, ani dziś pole statystyki, podając liczby odnoszące się do międzywyznaniowego ruchu ludności miasta Wiednia, objawiającego się w zmianach wyznania i małżeństwach mieszanych,

¹ 15 Octobre 1898, str. 355—373.

a to wraz z uwagami, które nasunęły się nam po zestawieniu odnośnych dat z przydłuższego okresu czasu, mianowicie z dziesięciolecia od r. 1880—1889. Daty te były niezupełnie dokładne, bo *Statistisches Jahrbuch der Stadt Wien*, który służył nam za źródło, zaczął wychodzić dopiero od r. 1883, a pierwszy rocznik tylko co do liczb najogólniejszych sięgał wstecz aż do r. 1880, a nadto w rocznikach następnych zmieniał się schemat czyli formularz, skutkiem czego niektórych dat szczegółowych wypadło nam dochodzić sposobem obrachunku przybliżonego. Mimo to uwagom naszym, wówczas wypowiedzianym, w ogólności dziś także nie mielibyśmy ani co dodać, ani czego ująć. To też przystępując do przedstawienia owego ruchu międzywyznaniowego, jak się rozwinał po r. 1889 aż do końca r. 1896, którego sięga świeżo wydany ostatni rocznik wydawnictwa miasta Wiednia, komentarza prawie już dodawać nie potrzebujemy.

Nie może jednak praca niniejsza być prostym dalszym ciągiem naszej pracy pierwszej, nie może ograniczyć się na lata od r. 1890 do r. 1896; albowiem od początku r. 1891 nastąpiła w Wiedniu, czyli raczej z Wiedniem, nagła a wielka przemiana: kilka wielkich nie przedmieść, lecz podmieść, stanowiących osobne gminy, liczące po kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców, przyłączono od dnia 1 stycznia r. 1891 do gminy wiedeńskiej, której do dawnych dziesięciu przybyło przez to dziewięć nowych dzielnic. Mamy przeto sprawę z sześcioma laty nowego, rozszerzonego Wiednia, a w prostym dalszym ciągu pierwszej pracy naszej, zakończonej na roku 1889 mielibyśmy sprawę z jednym tylko rokiem starego Wiednia, tj. z r. 1890, przez co byłaby stracona nieodzowna w studyach statystycznych równość miary pod względem okresów czasu. Wypada nam więc, aby tę równość miary uzyskać, cofnąć się aż do początku roku 1885. To znaczy, że materiał liczbowy z lat kilku, objętych już pierwszą pracą naszą, będzie zużyty także w pracy niniejszej. Spowiadamy się z tego z góry wobec ewentualnej krytyki formalistycznej; rzecz sama i zorientowany tą spowiedzią czytelnik nie zgoda na tem nie straci.

W pierwszym z dwu sześcioloci, które są przedmiotem pracy niniejszej, a więc w starym jeszcze Wiedniu zmiany wyznania doszły sum następujących¹:

¹ *Statist. Jahrb. der St. Wien* wykazuje sumy nieco większe, niż tu podajemy, co pochodzi stąd, że w pracy niniejszej nie zaliczamy do zmian wyznania przejścia katolika obrządku łacińskiego do obrządku grecko- lub

w roku 1885 było ich	617
„ 1886 „ „	697
„ 1887 „ „	732
„ 1888 „ „	640
„ 1889 „ „	729
„ 1890 „ „	724

a więc ogółem w całym sześcioleciu 4.139, czyli po 690 na rok.

Ponieważ ludność Wiednia (starego) na początku roku 1885 wynosiła w okrągłej liczbie 748.000 dusz, a w końcu roku 1890 817.000 dusz, przeto średnia liczba ludności tego sześciolecia była 782.000 dusz; a więc na każde 100.000 ludności przypadało rocznie średnio 88 osób zmieniających wyznanie. Tę pozornie bardzo małą liczbę uznamy natychmiast jako niepospolicie wielką, gdy sobie wyobrazimy, że wedle tej samej miary musiałoby np. w Krakowie co rok 70 osób zmieniać wyznanie, w całych ziemiach polskich zaboru austriackiego (t. zw. Galicyi z Krakowem) około 6.000 osób, a w całej Austrii (bez Węgier) co rok około 21.000 osób. Nawet już porównanie z nowym Wiedniem przekona nas o anormalnym stanie starego Wiednia.

W drugim bowiem sześcioleciu tj. w nowym, w rozszerzonym Wiedniu, porządkują się sumy zmian wyznania jak następuje:

w roku 1891 było ich	989
„ 1892 „ „	925
„ 1893 „ „	1116
„ 1894 „ „	1127
„ 1895 „ „	1187
„ 1896 „ „	1224

czyli ogółem 6.568. Liczby te są większe, znacznie większe od liczb pierwszego sześciolecia, ale zważyć trzeba, że wskutek sztucznego po-

ormiańsko-unickiego, lub na odwrót, ani też przejścia protestanta wyznania helweckiego na wyznanie augsburskie, lub na odwrót. Oprócz tego zebrałiśmy neoschizmatyków (tj. samozwańczych starokatolików), prawosławnych greckiego i ormiańskiego obrządku, anglikanów, menonitów i innych w jedną gromadę pod nazwą „sekty“ i zachodzących w łonie tej gromady zmian także nie uwzględniamy w liczbach naszych. Tak samo zaliczyliśmy „niezdeklarowanych“, tj. tych, którzy wypisując się przed magistratem z jednego wyznania, nie mówią, na które przechodzą, poprostu do kategorii bezwyznaniowców. Uczyniliśmy to dla uniknięcia zbytnej szczegółowości, która równa się drobiazgowości. W ten sposób zamiast siedemnastu stworzyliśmy sobie dla uproszczenia rzeczy tylko pięć rubryk wyznaniowych, mianowicie: katolików, protestantów, „sekt“, Żydów i bezwyznaniowców.

większenia miasta Wiednia liczba mieszkańców przez noc Sylwestrową, przez noc z dnia 31 grudnia r. 1890 na dzień 1 stycznia r. 1891 podskoczyła o blisko 525.000 dusz, podniosła się z 817.000 na blisko 1,342.000 dusz. Aż po koniec roku 1896 wzmogła się ta pierwotna ludność rozszerzonego Wiednia do liczby 1,519.000 dusz (wedle *Statist. Jahrb.*), a więc średnia ludność tego sześćdziesiątka lat wynosi 1,430.000. Suma 6.568 zmian wyznania tegoż sześćdziesiątka lat daje średnio po 1.093 na rok, a ta średnia liczba zmian wyznania, rozłożona na średnią ludność, po 76 zmian na każdą setkę tysięcy rocznie.

Stają tedy naprzeciwko sobie liczby 88 starego a 76 nowego Wiednia. Cóż wypływa z ich porównania? Pozór przemawia za tem, że Wiedeń stał się nagle stateczniejszym pod względem przywiązania do wiary; ale jest to właśnie tylko pozór. W rzeczywistości bowiem świadczy zmniejszona liczba zmian wyznania o tem, że nawet najbliższe otoczenie starego Wiednia nie jest jeszcze roztoczone indyferentyzmem religijnym w tym stopniu, co samo jądro stolicy austriackiej. Ale doczekajmy się tylko nowych sześciu lat Kroniki Wielkiego Rycywołu nad Dunajem, a przekonamy się, jak zgubnie odbijają się na dawnych podmieściach przemiany dokonane w nich wskutek połączenia z starym Wiedniem. Wszakże już dziś w podanych powyżej liczbach z lat od r. 1891 do r. 1896 widzimy ogromną progresję z 989 na 1.224 zmian wyznania, a ta progresja odnosi się niewątpliwie nie tylko do starych, lecz i do nowych dzielnic miasta Wiednia.

Zanim przyjdziemy do szczegółów ruchu międzywyznaniowego, podamy obraz liczebnych stosunków wyznaniowych w ludności starego a nowego Wiednia w tabelce następującej:

Dn. 31 grudnia r. 1890 było w starym Wiedniu	Dn. 1 stycznia r. 1891 przybyło z podmieść	Suma z dnia 1 stycznia z r. 1891
ludności wogóle (bez wojska)		
817.299	524.598	1,341.897
a mianowicie katolików		
683.462 = 83·62%	494.035 = 94·17%	1,177.497 = 87·75%
protestantów		
29.451 = 3·60%	10.840 = 2·07%	40.291 = 3·00%
wyznawców innych sekt		
3.177 = 0·39%	757 = 0·14%	3.934 = 0·29%
Żydów		
99.410 = 12·16%	18.409 = 3·51%	117.819 = 8·78%
bezwyznaniowców		
1.638 = 0·20%	493 = 0·09%	2.131 = 0·16%
islamitów i innych		
161 = 0·02%	64 = 0·01%	225 = 0·02%

Z tabelki tej warto zanotować, że liczebny stosunek katolików do innych wyznań był w przyłączonych do Wiednia podmieściach o wiele pomyślniejszy, niż w starym Wiedniu, a natomiast uderza w niej stosunkowo mały procent Żydów podmiejskich. Jakże tabelka ta wyglądać będzie za lat kilka lub kilkanaście?

Porzucmy już różnicę między starym a nowym Wiedniem, przypatrzmy się całości w jej szczegółach.

Suma zmian wyznania z całego dwunastolecia wynosi 10.707; a suma ta nie jest zupełna, gdyż statystyka obejmuje tylko osoby, w wieku wyżej lat czternastu. Dzieli się suma ta jak następuje:

	Ubyło	Przybyło	Zysk (+) lub strata (—)
Kościółowi. . . .	5.361	3.213	— 2.148
Protestantom	1.095	3.450	+ 2.355
Sektom innym . .	282	475	+ 193
Żydom.	3.969	806	— 3.164
Bezwyznaniowcom	—	2.764	+ 2.764

Pierwszą i ostatnią liczbą tej tabelki wiedeński ruch międzywyznaniowy najdosadniej się charakteryzuje: Kościół, instytucja Boska, owczarnia Chrystusowa wydaje najwięcej odszczepieńców, których liczba (5361) stanowi większą połowę wszystkich zmian wyznania (10.707), a głównym wynikiem całego ruchu międzywyznaniowego jest to, że śmietnik wyznaniowości ma najwięcej nowych adeptów. Dwa te objawy są tem więcej charakterystyczne i niebezpieczne, że nie stanowią czegoś nowego, lecz są ciągłemi; albowiem już w pierwszej pracy naszej zaznaczyliśmy zupełnie to samo, tylko w mniejszych niż dziś liczbach ¹. Kościół siłą przewagi swej, ogromnej przewagi swej nad wszystkimi innemi wyznaniem, reprezentowanemi w Wiedniu, przewagi spotęgowanej jeszcze siłą faktu, że znajduje się tu na wyłącznie swoim gruncie historycznym, powołany jest wchłaniać w siebie i asymilować wszystkie obcowyznaniowe żywioły napływowe ludności wiedeńskiej. Przypuśćmy nawet, że i te żywioły miałyby wedle pewnego prawidła fizykalnego prawo wywierania wpływu atrakcyjnego na Kościół, prawo odrywania mu członków; przypuśćmy, że liczba 5.361 odszczepieńców byłaby całkiem normalnym skutkiem tego prawidła; w takim razie Kościół powinienby tę stratę wetować sobie nabytkiem 38.400 konwertytów i neo-fitów a bilans powinienby wykazywać 33.040 dusz czystego zysku.

¹ Zob. *Przegl. Pow.* tom xxxi., str. 297.

Cóż natomiast widzimy? Liczba konwertytów i neofitów wynosi tylko 3.213 dusz, zamiast czystego zysku ma Kościół 2.148 dusz czystej straty! I tak w tabelce powyższej wszystko dzieje się na opak. Protestantyzm, blisko trzydzieści razy liczebnie słabszy od Kościoła, ma więcej prozelitów niż Kościół, ma w bilansie nie stratę, lecz ogromny zysk. Nawet bardzo słabe liczebnie sekty, które wobec Kościoła prosto znikają, mają stosunkowo bardzo wielki zysk. Szeregi bezwyznaniowości pomnażają się niepomniernie, nikogo już z gardzieli nie wypuszczając, chyba na łożu śmiertelnem. Jedno tylko żydostwo ulega, przynajmniej pozornie, przeznaczeniu swemu zlauią się z społeczeństwem, do którego się wciska; ale jest to znowu objawem wielce znamionym dla społeczeństwa wiedeńskiego, że i żydostwo, któremu prozelityzm z natury jest obcy, daje prozelitów, stosunkowo nawet bardzo wielu. Nasuwają się tu uwagi o katolicyzmie wiedeńskim i w ogóle o austriacko-niemieckim, które wolimy przedstawić własnej domyślności czytelnika.

Od szczegółów wyższych przejdźmy do niższych. Jak w pierwszej pracy naszej, tak i tu pytamy: co stało się z 5.361 apostatów katolicyzmu i skąd wziął Kościół swoich 3.243 konwertytów i neofitów? W studyum naszym z r. 1891 nie mogliśmy odpowiedzieć na te pytania całkiem dokładnie, bo wyszły aż podówczas roczniki publikacji statystycznej miasta Wiednia nie pozwalały zebrać materiału na dokładną odpowiedź. Dziś inaczej; dziś mamy dokładny materiał z całego dwunastolecia. Otóż sumy powyższe dzielą się jak następuje:

Liczba apostatów	Liczba konwertytów a względnie neofitów	Czysty zysk (+) lub strata (—)
w odniesieniu do protestantyzmu		
2.661	781	— 1.880 dusz
w odniesieniu do wszystkich innych sekt		
433	201	— 232 dusz
w odniesieniu do żydostwa		
666	2.231	+ 1.565 dusz
w odniesieniu do bezwyznaniowców		
1.601	—	— 1.601 dusz

A więc w bilansie suma czystych strat Kościoła wynosi 3713 dusz, naprzeciw której staje czysty zysk 1.565 dusz neofickich z żydostwa. Ile ten czysty zysk i wogóle cały nabytek z żydostwa wart, powiedzieliśmy już w pierwszej pracy naszej. Na neofitach, któ-

rzy ze zmiany wyznania czynią sobie *Geschäft*, nie Kościołowi za-
leżeć nie może.

Przypatrzmy się także szczegółowym liczbom odstępców i pro-
zelitów innych wyznań.

Protestantyzm ma w odniesieniu:

do Kościoła	781	odstępców,	2.661	prozelitów,	= +	1.880	dusz
„ sekt	13	„	27	„	= +	14	„
„ żydostwa	124	„	762	„	= +	638	„
„ bezwyznaniowców .	177	„	—	„	= —	177	„

a więc w bilansie ma czystych zysków razem 2.532 dusze, za które
oddaje tylko 177 na rzecz bezwyznaniowców. Czy strata protestan-
tyzmu wobec jego *freie Forschung* rzeczywiście jest stratą, o tem je-
szcze wątpić wolno.

Sekty mają w odniesieniu:

do Kościoła	201	odstępców,	433	prozelitów,	= +	232	dusz
„ protestantów	27	„	13	„	= —	14	„
„ żydostwa	15	„	29	„	= +	14	„
„ bezwyznaniowców .	39	„	—	„	= —	39	„

czyli razem 246 dusz czystych zysków, 53 dusze czystych strat.

Żydostwo ma w odniesieniu:

do Kościoła	2.231	odstępców,	666	prozelitów,	= —	1.565	dusz
„ protestantów	762	„	124	„	= —	638	„
„ sekt	29	„	15	„	= —	14	„
„ bezwyznaniowców	949	„	—	„	= —	947	„

a więc w bilansie same tylko czyste straty w sumie 2.164 dusz.

Bezwyznaniowcy zaś bez wszelkich strat mają same tylko naj-
czystsze zyski: od Kościoła 1.601, od protestantyzmu 177, od sekt 39,
od żydostwa 947, razem 2.764 dusze.

Z liczb powyższych jasno wypływa, że największą siłą atrakcyjną
i asymilacyjną ma w Wiedniu zupełna próżnia religijna, t. j. bezwy-
znaniowość, a tuż po niej idzie to wyznanie, które najmniej wymaga
od człowieka prawdziwego przekonania religijnego i najmniej praktyk
religijnych, t. j. protestantyzm. Rozumie się wprawdzie samo przez
się, że ta siła bezwyznaniowości i protestantyzmu, a nawet i sekt in-
nych, nie jest siłą pozytywną, prawdziwą, bo polega jedynie na młodości
katolicyzmu wiedeńskiego; ale ta bezsilność właśnie czynnika powoła-

nego do zdobywania serc, a oddającego się na łup bezwyznaniowości, jest objawem niewymownie smutnym.

Wszystkie przytoczone dotychczas liczby obejmują obie płcie. Dzieląc sumę 10.707 zmian wyznania wedle płci, widzimy w niej 4.861 mężczyzn, 5.846 kobiet. Że kobiety wiedeńskie wogółności skłonniejsze są do porzucenia swego wyznania, niż mężczyźni, zaznaczyliśmy to już w pierwszej pracy naszej; dziś na nowo to zaznaczając, stwierdzamy zarazem smutny postęp u kobiet. W studyum naszym z r. 1891 liczba kobiet zmieniających wyznanie przewyższała liczbę mężczyzn o niespełna $\frac{1}{7}$, czyli ściślej o 14·15%, dziś przewyższając kobiety mężczyzn o więcej niż $\frac{1}{3}$, czyli o 202·6%. Do Wiedenek stosuje się rzeczywiście: *Quid levius pluma? Pulvis. — Quid levius pulvere? Ventus. — Quid levius vento? Mulier. — Quid levius muliere? Nihil.* — Jak w r. 1891, tak i tu znowu pokazuje się, że Żydówki jako tako jeszcze ratują reputację Wiedenek; albowiem stanowią one wyjątek z reguły i wchodzą do sumy kobiet, zmieniających wyznanie w liczbie mniejszej, niż Żydzi do sumy mężczyzn. Żydów-odstępców mamy 2184, Żydówek zaś tylko 1.785, podczas gdy w sumie apostatów Kościoła mamy odwrotnie 2.127 mężczyzn, a 3234 kobiety, t. j. o 52% więcej; mężczyzn występujących z protestantyzmu mamy 411, kobiet 684, t. j. o 66% więcej; co do sekt liczba mężczyzn-odstępców 139 prawie się równa liczbie kobiet 143.

W kierunku odwrotnym tj. pod względem wyboru nowego wyznania, rzecz ma się jak następuje: W liczbie osób wracających (chrześcijan) i przechodzących na łono Kościoła (żydów), widzimy 1.473 mężczyzn, 1.740 kobiet, tak, że po strąceniu liczby konwertytów i neofitów z liczby apostatów czysta strata Kościoła w mężczyznach wynosi 654, w kobietach 1.494. Prozelitów protestantyzmu jest męskich 1.380, żeńskich 2.070; stąd czysty zysk protestantyzmu w mężczyznach 969, w kobietach 1.386. Wszystkie inne sekty chrześcijańskie nabywają 215 mężczyzn, 260 kobiet; czysty ich zysk wynosi 76 mężczyzn, 117 kobiet. Żydostwo ma 269 prozelitów męskich, 536 żeńskich; czystej straty w mężczyznach 1.915, w kobietach 1.249. Bezwyznaniowość (nie mająca ubytku żadnego) ma w najzupełniej czystym zysku 1.525 mężczyzn, 1.239 kobiet. Że pod względem skłonności do bezwyznaniowości Wiedeńki przedstawiają się w świetle lepszym niż Wiedeńczycy, to zawdzięczają one znowu żydówkom, z pomiędzy których tylko 291 przeszło na bezwyznaniowość, podczas gdy bezwyznaniowców

z żydostwa płci męskiej mamy 656, a bezwyznaniowców z Kościoła liczymy 771 mężczyzn na 830 kobiet i podobnie z protestantyzmu 74 mężczyzn na 103 kobiet.

I na nowo, jak już w r. 1891 nasuwa się nam uwaga, że w chrześcijaństwie, a szczególnie w katolicyzmie, żywiołem destrukcyjnym są przeważnie kobiety, w judaizmie przeważnie mężczyźni.

Liczyby statystyczne, odnoszące się do zmian wyznania, nie przedstawiają nam całej szkody, jakiej stąd doznaje duch religijny w ogóle, a szczególnie katolicyzm. Główną bowiem pobudką do zmiany wyznania są niewątpliwe względy matrymonialne; więc zmiana nie tylko sama w sobie stanowi uszczerbek i przykład zaraźliwy, lecz stanowi szkodę także *pro futuro*, tj. w odniesieniu do potomstwa. W wielu razach szkoda sięga i wstecz, mianowicie gdy zmiana dzieje się nie przed ślubem, lecz już wśród pożycia małżeńskiego; wtedy bowiem dzieci, chodzące już po świecie, są także tą zmianą dotknięte, ale statystyka nie zajmuje się dziećmi, które nie skończyły jeszcze czternastego roku życia.

Osób, które zmieniły wyznanie w wieku od skończonego 14-go do skończonego 20-go roku życia, wykazuje statystyka 600 płci męskiej, 745 płci żeńskiej, czyli razem 1345, w której to liczbie braknie właśnie dzieci w wieku niżej lat czternastu; w wieku od skończonego 20-go do skończonego 40-go roku widzimy 3.415 mężczyzn, 4.349 kobiet, razem 7.764 osoby; reszta, 1.598 osób przypada na wiek późniejszy i niewiadomy.

Osób, zmieniających wyznanie w stanie wolnym było 3.561 płci męskiej, 4290 płci żeńskiej, razem 7851; w stanie owdowienia 171 mężczyzn, 380 kobiet, razem 551; rozwiedzionych 107 mężczyzn, 166 kobiet, razem 273 osoby; w stanie małżeńskim 800 mężczyzn, 884 kobiety, razem 1684. Reszta, 348 osób, była stanu niewiadomego.

Do spustoszeń, zrządzonych zmianami wyznania, przybývają te, które są wpływem małżeństw mieszanych. W okresie, objętym pracą niniejszą, było w Wiedniu małżeństw katolików z innowiercami 4777, a mianowicie:

katolików z protestantkami .	1.944	z sekciarkami	63
katoliczek z protestantami .	2.626	z sekciarzami	144

Z wyjątkiem jedyne go wypadku, w którym Żyd połączył się z sekciarką ślubem cywilnym, nie spotykamy się w statystyce z małżeństwami formalnie chrześcijańsko-żydowskiemi, ale są one niewątpliwie rzeczywiście zawarte w liczbie tych, w których jedna strona była

żydowska, druga bezwyznaniowa, jako też w liczbie tych, w których obie strony były bezwyznaniowe. Tych było:

Żydów z kobietą bezwyznaniową . . .	360	małżeństw	
Żydówek z bezwyznaniowcami	252	„	
Obu stron bezwyznaniowych	385	„	(770 osób)

Było więc 637 mężczyzn i 745 kobiet, razem 1.382 osób bezwyznaniowych, których niewątpliwie przeważna część nie na gruncie bezwyznaniowości wyrosła, lecz dla małżeństwa swą wiarę zmieniła.

W pierwszej pracy naszej z r. 1891 zapuściliśmy się w przypuszczenia co do związku, zachodzącego może między zmianami wyznania w stanie małżeńskim a małżeństwami mieszanemi; ale próżno to łamać sobie głowę nad kombinacjami, które prowadzą do nierozwiązanych zagadek.

Józef Glinkiewicz.



Z KORESPONDENCYI BOHDANA ZALESKIEGO.

Listy, które niżej podajemy, zawdzięczamy w przeważnej części uprzejmości zarządu Muzeum Polskiego w Rapperswyłu z wyjątkiem listów do Czosnowskiej i Paulina Stachurskiego, które znajdują się obecnie w zbiorach biblioteki im. Ossolińskich we Lwowie w rękopismach nr. 2865 i 4012 (karty 12—14), jako też do Siemieńskiego i Szajnochy — stanowiących własność prywatną d-ra Augusta Łozińskiego, adwokata krajowego we Lwowie, a udzielone zostały nam łaskawie, kiedyśmy zaczynali — dziś już wykończoną zupełnie, monografię poety. Ogłaszamy je z tem większą skwapliwością, że poeta ten, czwarty z rzędu w plejadzie mistrzów wielkiej naszej poezyi XIX. wieku, dotychczas nie doczekał się wydania korespondencyi. I rzeczywiście zbyt mało listów jego dotąd wydrukowano — w *Kłosach* bowiem tylko z roku 1886 wydał Wł. Mickiewicz listy Zaleskiego do K. Wodzińskiego i Adama Mickiewicza; poza tem od lat dwunastu nic więcej się nie pojawiło. I chociaż wiele listów, które ogłaszamy, tyczy się tych lat, w których twórczość na polu poetyckiem niemal że wygasła — to przecież nie wątpimy, iż znajdzie się w nich wiele rysów nadzwyczaj ciekawych do charakterystyki Zaleskiego, jako poety; korespondencya ta prócz tego odsłania nam i inną stronę duszy poety — stosunku jego z przyjaciółmi lat młodych, rzuca wreszcie wiele światła na poglądy jego polityczne, które bądź co bądź są w stanie wytłumaczyć nam i pewne punkta twórczości. Nakoniec niech nam

wolno będzie złożyć na tem miejscu nasze podziękowanie zarządom obu bibliotek, jak nie mniej W. Panu d-rowi A. Łozińskiemu za udzielone nam pozwolenie ogłoszenia tej wiązanki listów poety.

Stanisław Zdziarski.

1. Do Joachima Lelewela.

Sévres, d. 19 maja 1834 r.

Czeigodny i kochany mój panie Joachimie!

Onegdaj w Paryżu na sesyi komisyi funduszków¹ czytałem list rodaka, którego nie pomnę dziś nazwiska — pracującego przy panu Jottrand i z niektórych jego ekspresyi widzę, iż cię uraził dawniejszy nasz postępek. Nie wiem, co Karski, sekretarz komisyi napisał w odezwie do Polaków brukselskich — bom jej nie czytał; ale pospieszam usprawiedliwić przed tobą komisję, a najbardziej siebie samego — bo zawsze pragnąłem i pragnę zasłużyć na twój szacunek.

Rzecz stała się jak następuje: Z gazet i listów prywatnych powzięliśmy byli wiadomość o ciężkim niedostatku braci naszych w religii, o cofnięciu pensyi przez rząd, o prześladowaniu i t. p. Najbardziej nas przeraził okólnik Berthelsa, obwieszczający głód Polaków; i dlatego w skok i co najspieszniej postanowiliśmy posłać nasz zasilek. Nie wiedzieliśmy, do kogo adresować naszą ekspedycję, bo lubo dzienniki upewniły o wstrzymanym rozkazie wyjazdu dla ciebie, szerzone przez niechętnych pogłoski wciąż brzmiały, iż jesteś już w Londynie. Nie chcieliśmy komisem naszym obarczać obojętnych, bo obawialiśmy się zgubnej przewłoki; tak więc radzi nieradzi, musieliśmy nasze 500 fr. przesłać p. Jottrand, którego nam komitet jako gorliwego przyjaciela Polaków zalecał. Sekretarz nasz podobno napisał w odezwie, że chcemy, abyście zawiązali radę, któraby rozdzieliła jednorazowy nasz zasilek między najbardziej potrzebujących

¹ Komisya funduszków emigracyi polskiej, założona dnia 23 kwietnia 1833 roku, miała oznaczyć wysokość podatku, jaki miał być składany przez emigrantów do wspólnej kasy „dla niesienia pomocy pieniężnej rodakom w potrzebie“. Por. „Kalendarz na rok 1834“. Paryż, str. 62.

rodaków. Przypominam sobie: była o tem mowa na sesjach — ale sprzeciwiałem się, bo wiem, do jakich hałasów i waśni krok takowy byłby dał pochop. Koledzy nasi postanowili widać inaczej, a przynajmniej, źle się wysłowili. Komisya odpisze wkrótce p. Jottrand i do was urzędownie: i zapewne znów niedorzecznie. Nieświadomi oni naszego położenia, ani miejscowych okoliczności, łatwo możemy pobłądzić. I dlatego na gwałt prosimy szanowny Joachimie, nie odmawiaj nam twojej rady. Przedewszystkiem jednak, cheiej wierzyć, że nie mieliśmy myśli uchybić w czemkolwiek, ani tobie, ani żadnemu z rodaków, bawiących w Brukselli.

... O kraju szczegółowych ... wiadomości znikąd nie mamy. Przybyło tu wprawdzie trzech młodzieńców z Krakowa, ale wierutne cieleśa; nie umięją o niczem dokładnie powiedzieć. Odebraliśmy kilka biletów z Galicyi, także mało znaczących. Jadą tu Henryk i Bogusław — i od nich spodziewamy się dopiero ważniejszych nowin, które ci nie omieszkamy zaraz zakomunikować. W tych dniach odbierzesz listy od Antoniego i Karola¹ — może ten ostatni ma jakie świeże relacye. Straszewicz chwali się tu, że zakupił numizmatyczne dzieło twoje, i że dobrze zapłacił: tem lepiej! Dzięki Bogu! mniej bieda dokuczy. — Niedawno Słowaczyński spominał mi o artykule w gazetach warszawskich, z powodu uroczystości, jakąście wyprawili w Brukselli ... Pisarz ... szczególnie na ciebie wpada z największą zajadłością. Nie umiał mi Słowacz. opowiedzieć dobrze treści, ale zdaje mi się że to będą owé zarewolucyjne, stare zarzuty Sękowskiego względem Rusi i Litwy, a które Paszkiewicz ze świeżą przyprawą kazał odgrzać w Warszawie z *Tygodnika Petersburskiego*. U nas tu w Paryżu pasye wrą po staremu. J. O. Pan² ze swymi domownikami, dworzany i czeladzią nie szczędzą intryg wewnątrz i zewnątrz emigracyi. Wichrzą, ile sił starczy i na wszystkie strony. Słowy i drukiem nie przestają szkodzić powszechnej sprawie ludzi. Niedawno marzyli o wysłaniu całej emigracyi do Algieru — a teraz usiłują namówić najzacniejszą

¹ Hłuśniewicz, Różycki.

² Ks. Adam Czartoryski.

częstkę t. j. braci będących w Portsmouth. Jak niegdyś Portugalia, tak dziś Algier jest oną obiecaną ziemią naszych starozakonnych. Komisya funduszków bardzo im z tego powodu nie na rękę; i stąd to choć sami nie przyczyniają się do składek — niedosyć! wydali już hasło *Kronice* do ataku na nas. *Kronika* wydawana przez ludzi dobrze urodzonych i wychowanych w tych słowach świeżo odezwała się do J. B. O.:¹ „Łżej bazgrało“ i t. d., możemy się więc spodziewać grzecznej reprimendy. Mniejsza z tem wszelako!!! Dyabeł swoje — ksiądz swoje — a w końcu obaczym.

...och! co najmutniejsze — że Francya upadła na duchu. Ostatnie niepowodzenia pomieszały szyki na długo. Zwyciężeni w popłochu uciekają do zwyczajnej chorągwi. Zdaje się, iż nowe elementa potrzebne będą do wydobycia nowej siły. Tu i ówdzie wynurzają się już nowe idee — a w łonie czasu podrzuca się jakiś płód, który — Bóg tylko wie, czy dojrzeje, lub będzie poroniony... Ale! — komitet² się rozwiązał — niewiadomo, co się natomiast zjawi, bo nie wiem, czy nasze wybory przyjdą kiedy do skutku. Najdemokratyczniejsza nawet część emigracyi, mimo dobrych chęci, posiekana dziś na coraz słabsze grupy, wątpię, aby zdołała coś stworzyć. Na pociechę więc arystokratom, grozi nam zupełna anarchia — jeżeli jakiś nieprzewidziany wypadek nie przyjdzie nam na pomoc — i nie zjednoczy choć na chwilę rozstrzelonych sił naszych. ...Na ręce panny M... pod twoim adresem posłałem list do Józefa Tetm...³ nie wiem, czy doszedł? i dlaczego mi nie odpisuje? Gdzie się obraca Worcel? i jaki do niego adres? Także twój adres p. Joachimie? Mój i Józefa⁴ zawsze ten sam, t. j.: à M-r. Damiron Proprietaire à Sévres (Seine et Oise) Place Royale. Hotel du Nord.

Pozdrowienie braterskie

Bohdan.

I ja łączę obywatelowi pozdrowienie braterskie *Józef.*

¹ Jozafat Bolesław Ostrowski.

² Komitet Dwernickiego. Zaleski t. r. został wybrany posłem na sejm emigracyjny 827 głosami. Por. „Nowa Polska“. Paryż, 1834, str. 62.

³ Tetmajer.

⁴ Zaleski, brat stryjeczny poety.

2. Do Lucyana Siemieńskiego.

Monsieur, Monsieur Lucian Siemieński à Strasbourg Cas Rhin) Rue de l'arc-en-ciel. N. 5.

Fontainebleau, 3 kwietnia 1843 r.

Kochany Lucyanie!

Dopiero co odjechał stąd Mickiewicz. Poruczyłem mu twój interes, i chociaż nie ma za sobą pleców przy teraźniejszym ministeryum, a zwłaszcza spraw wewnętrznych, obiecał przecież dołożyć wszelkich starań. Polecilem już Sewerynowi¹, aby twoją prośbę odesłał do Adama. Powody twego długiego milczenia doskonale pojmuję; bo to samo słowo w słowo dzieje się ze mną. Ustawiczne troski, niepowodzenia, zgryzoty tak jakoś opustoszą w duszy, że człowiek czuje się zawždy nie swój, opadają ręce nawet do korespondencyi z przyjaciółmi. Niesłychanie ciekawy jestem twoich „Trzech wieszczb“; zaraz po Wielkiej Nocy będę w Paryżu, to je u Seweryna przeczytam. Jakiego to Lewisa tłumaczycie wspołem? Jest sławny pisarz angielski tego nazwiska; zdaje się jednak, że nieznamy mi Francuz. Powątpiewam nieco o rozumie tego cudzoziemca, a wierzę z całej duszy, że wy obydwa z własnych głów, z własnych serc waszych coś lepszego o literaturze wysnuć jesteście w stanie. Zresztą, kto wie, czy w tej chwili stanowisko nasze literackie nie jest najwznioślejsze między narodami europejskimi? Przynajmniej u nas więcej szczerości i zapału, niż gdzieindziej. Europa ostygła i omdlała w sceptycyzmie: najznakomitsi pisarze angielscy, niemieccy, francuscy, sami się dziś do tego przyznają. Od Bielowskiego ani słówka nie miałem i trapi mię to niepomału, bo spodziewałem się nowinek z kontraktów kijowskich. Coś tam znowu złego stało się na Ukrainie, ale nie mogę się dowiedzieć szczegółów. Pani Rostowska ma powrócić do Paryża w końcu maja, to zapewne przez nią nadeszłe nam Bielosz książek i nowin wszelakich. Ściskamy cię obydwa z Józefem.

Bohdan.

¹ Goszczyński.

O kursie Mickiewicza dużo trzebaby pisać, a nie mam dziś /noty. Czytałem noty stenografów i ani słówka o tem, co mi pisałeś i co czytałem sam po emigranckich żurnalach. Wierzaj mi, wszystkoć to plotki ludzi, nierozumiejących rzeczy sobie nieswojskich, a chcących przecie o nich wyrokować. Mickiewicz, jako Litwin, nie wierzy nawet w Słowiańszczyznę, ale w nową jedną Polskę, z którą zjednoczyli się ongi jego prze-sławni Olgierdowicze. Ale poradźże Polonii! Dla nich Ruś ki-jowska, Nestor i Bojan — to Moskiewszczyzna. Ani chcą wie-rzyć, że tam wcześniej rozwinęła się poezya dumorodna i t. p. A cóż dopiero mówić o Czechach, Serbach? Sam to wiesz, z wła-snego doświadczenia. Polityka u nas, przedewszystkiem poli-tyka — i dla lada jakiego widzimisię tej lub owej partyi trzebaby i trzebaby wcióż poświęcać prawdę.

3. Madame, Madame la Comtesse Czosnowska.

Mam prośbę i arcyważną dla mnie. Jeśli pani Kalerdże bawi w Dreźnie, proszę do niej napisać, aby raczyła się tam wy-wiedzieć o panią Konstancję Rzewuską. Co się z nią dzieje? Czy wyjechała do domu? albo też może chora? — Ja i mój brat wieleśmy niespokojni o naszą korespondentkę — od kilkunastu już dni nie mamy o niej ni wieści, ni słyhu. Polecam ten interes gorliwości mojej kochanej pani — a upraszam zarazem o wszelką ostrożność. Nie trzeba czynić w liście żadnej wzmianki o nas.

Życzliwy

J. B. Zaleski.

12 maja 1846r.

4. Do Karola Szajnochy.

Fontainebleau, 6 sierpnia, 1857.

A witajże nam, witaj miły i serdeczny panie Karolu! Praw-dać niestety, że nie wszystkie nowe książki i nie wszystkich autorów polskich znamy na emigracyi; ależ ciebie i twoje pisma pokochaliśmy dawno i wielbimy chórem wszyscy — ilu nas tu jest literatów. W tej chwili czytam: „Jadwigę i Jagiellę“ z lu-bością — ucząc się rzeczy swojskich na czużynie. I z poezyi

twojej znam coś — zaledwie kilka luźnych zwrotek — ale arcy-podniosłych i niewolących.

O tem, że cierpisz na oczy, wiem dawno. Właśnie z Karolem Sienkiewiczem zabierałem się pisać do Augusta Bielowskiego, aby cię namawiał w nasze strony. Istotnie, kochany Karolu, pobyt w Paryżu jest dla ciebie niezbędny: postaramy się też po bratersku, że nie będzie za kosztowny. Oprócz rozgłoszonych paryskich okulistów, mamy tu jeszcze rodaka ks. Kowalskiego, wielce słynnego kuracyami oczu. Rodakowski malarz, opowie ci o skuteczności leków tego ostatniego.

Napisz mi, co postanowisz?... W Ostendzie pozna cię doktor Gałęzowski, poważany tu powszechnie, a mój szkolny przyjaciel, przyniesie ci on zaprosiny od nas. — Mam słówko i do Augusta — ale o tem — potem.

O podróży do Spa, ani mi się śniło. Dzięki Bogu, jestem zdrow, obowiązki przytem ojca drobnych dzieci, przykuły mnie na długo do domu: zazdroszczę dziś jednakże swobody naszym paniczom turystom — zazdroszczę jedynie dlatego, że tam w Spa przeżyłem z tobą poufale kilkanaście dni. Zbliżenie się do ziomka takiego, jak ty, panie Karolu, rzadkie to gody dla emigranta! Pomimo tego kochajmy się!

. Ściskam rękę, życząc zdrowia z całego serca.

J. B. Zaleski.

5. Do Leonarda Chodźki.

Sèvres, 30 grudnia 1838.

Szanowny Ziomku!

W roztargnieniu, jak to się zdarza, nie spostrzegłem się, że „Pamiętniki“ Niemcewicza zapakowane są między książkami, które mam na prowincyi. Rad nie rad, odwołać muszę onegdajszą obietnicę. Przypadkowo znalazłem tu u Januszkiewicza tom VI, który z prawdziwą wdzięcznością ci zwracam. Świętej pamięci E. Wodziński miał tak przed laty postąpić — ale przyjmuję na siebie całą winę — i po tysiąc razy jak najserdeczniej przepraszam. Daj Boże odsłużyć się czem nawzajem po literacku

życzliwy

B. Zaleski.

6. Do tegoż.

Fontainebleau, d. 16 marca 1859 r.

Szanowny Ziomku!

Ochotnie biorę udział w literackim upominku na rzecz pana Tomaszewicza. Patryota i pisarz ociemniały, ma wszelkie prawo do braterskiej naszej usługi — i do spółczucia publiczności polskiej. Posyłam drobnostkę, starzyznę lichą, ale z koleżeńską uprzejmością. Sądzę, że cenzura nie upatrzy nie zdrożnego w moich wierszach. Odeślijże je, panie Leonardzie, co rychlej wydawcom „Pisma zbiorowego“. Osobno proszę tych panów odemnie, aby dopilnować raczyli jak najstaranniej korekty. W poezyi, jak w muzyce, jeden fałszywy ton może sprawić haniebne *fiasco*. Kartki tu załączone są ręki mego 11-toletniego syna; nie bardzo kaligraficzne, ale czytelne i należyście poprawne co do rytmu i punktacyi.

Dziękując za sposobność, jaką mi podałeś, szanowny panie Leonardzie, usłużenia tyle godnemu rodakowi — łączę zapewnienie o mym dla ciebie szacunku, braterskie pozdrowienie.

J. B. Zaleski.

7. Do tegoż.

Poniedziałek, 4 lipca 1864 r.

Szanowny Ziomku!

Śmiem ci polecić rodaka zasłużonego w powstaniu, p. Karosińskiego. Potrzebuje on jednorazowej zapomogi z komitetu francusko-polskiego. Ma już zajęcie u p. Gonin, ale brakuje mu funduszu na pierwsze wstępne sprzęty i robotnicze odzienie.

Łączę wyrazy poważania i koleżeńskiej życzliwości.

J. B. Zaleski.

Przy sposobności wstawiam się zarazem za p. Hoffenblumem, który w tych dniach miał zamiar kołatać do ciebie o podobną pomoc. Znam p. Hoffenbluma z najlepszej strony i z dawien dawna.

J. B. Z.

8. Do tegoż.

Paryż, d. 26 maja 1866 r.

Szanowny Ziomku!

Com ci przyobiecał — spełniłem. Egzemplarz o biskupie doręczyłem pp. Poniatowski. Gościłem w Heyères niedługo. Książeczkę twą widziałem wciąż leżącą na stoliku w salonie, — ale z powodu świeżego powrotu matki, wśród rozmów o kraju i o domu nie było czasu na czytanie. Nie mogłem więc przywieźć zdania państwa P. Zresztą w czerwcu oni wyjadą już do Vichy — to listownie lub ustnie powiedzą co myślą. Zapewne wezmą i coś egzemplarzy książki, ale nie dużo — bo jak to sam wiesz, panie Leonardzie, stosunki ich nie szeroko sięgają we Francyi.

Łączę uprzejme braterskie słowa.

J. B. Zaleski.

Dawno chciałem napisać, ale niestety nie wiedziałem adresu — to zwlekałem do widzenia się z Królikowskim.

J. B. Z.

9. Do Paulina Stachurskiego.

Paryż, 19 czerwca 1866 r.

Szanowny Ziomku!

Potrzeba doprawdy fatalności. Na dobę przed odebraniem odezwy waszej wyprawilem właśnie do Lwowa „Poezye“ Szewczenki; wyprawilem je na zaniesioną już dawniej do mnie gorącą prośbę jakiejś „gromady rusińskiej“¹, trudniącej się wydaniem pism ukraińskiego piewcy. Oczywiście, byłbym wolał posłać je bojującej redakcyi *Sioła*, a osobiście tobie, Panie, jako autorowi ślicznej, świeżej powiastki², którą przeczytałem kiedyś

¹ Owa „rusińska gromada“, której Zaleski posłał nieco autografów Szewczenki wraz z listem drukowanym w *Siole*, 1866, I, 178—179, dokonała rzeczywiście tegoż roku wydania dwutomowego *Kobzara*.

² Jej tytuł: „Przed laty“. *Sioła* gorliwie drukowało utwory Szewczenki, w każdym bowiem poszycie musiał być przynajmniej jeden większy utwór tego poety. Por. *Kateryna*, I, 1—30; *Topola*, *Kałyna*, *Pustka*, *Tryszlachy*, II, 3—14; *Najmyczka*, III, 3—21; *Neofity*, IV, 3—24.

z lubością. — Otóż nie czytuję teraz dzienników lwowskich, to nie słyszałem zgoła o *Siole*, — a do tego i „Paulin Stachurski“ uchodził u nas tu za pseudonima.

Stało się. Poezye Szewczenki posłałem do Lwowa, należą do znajomszych, do ostatnich. Co lepsze rozbiegły się dawno po rękach rodaków — i nie wróciły do mnie. Kolega z kijowskiego uniwersytetu, doktor Bernatowicz, posiada zbiór ich bodaj najzupełniejszy. Kędy się dzisiaj B. obraca? i czy żyje nawet? nie wiemy tutaj za granicą.

Listów Szewczenki, Szanowny Panie, chowam jeno parę na pamiątkę. Podarował mi je kiedyś z pakietów swoich Bronisław Zaleski, oremburski druh Tarasa i korespondent jego przez wiele lat. Korespondencya między nimi nie tyle jest ważna pod względem literackim, co budująca szczegółami pożycia dwóch wygnańców na kirgizkim stepie. — Bronisław niedawnyć to nasz towarzysz w Paryżu. Niema jeszcze pod ręką swoich papierów. Skoro się uda sprowadzić je, postaram się, aby wam posłał do *Siola* — wyjątki z listów Szewczenki.

Dziękuję, Panowie, za uprzejme zaprosiny do *Siola* waszego. W czasach wojennych literatura niestety nie popłaca — umysły i serca wciąż roztargnione czemś innem. Szkoda. — Z tem wszystkim szczęść wam Boże w zamierzonej pracy! Błogosław Boże miłosnem, natchnionem słowem, — ku zakłęciu waśni bratniej, ku zażegnaniu burzy, co grozi gradobiciem strasznem obydwom ziemiom polańskim! Duszą i sercem, Panowie, jestem z wami, z rozjemcami tam ukraińskimi w Galicyi, ale wiek mój, stan tułacki trzymają mnie zdala, jakby na uwięzi. Zresztą dawnom już pożegnał Ukrainę, — dużom zapomniał o niej, że stałem się bodaj cudzy między młodszem pokoleniem.

Ongi, Panie Paulinie, przed 50-cioma blisko laty kolego wałem ze Stachurskim w szkole humanśkiej, kto wie, czy to nie z ojcem twoim? albo może z dziadem, Stachurski ten miał zda mi się na imię Józef — ale zapewne pamięta o nim lepiej Goszczyński.

Przyjmij, Panie, dla siebie i dla kolegów twoich pozdro-

wienie rodackie i zapewnienie przychylnych uczuć i życzeń od nieznanego.

J. B. Zaleski.

Załączam dwa luźne hymny¹. Jeśli duchem swoim nie będą raziły redaktorów *Sioła*, możecie drukować je w 1-ym zeszyście.

Adres mój: Paris, Batignolles — 2 Plan de la Promenade.

J. B. Z.

10. Do tegoż.

Paryż, 18 sierpnia 1866 r.

Szanowny Ziomku!

Niemal jednocześnie odebrałem *Sioło* i dwa twoje listy. Pierwszy list cały długi miesiąc okrążał na żółwiu bojowiska. Dziękuję uprzejmie za serdeczność waszą dla mnie, tudzież za pokorne synowskie uczucia. Zaprawdę niepotrzebnie doraźne poufne pisma drukowaliście w *Siole*². — Stało się. Oceniam zresztą uczciwą pobudkę ku tej niedyskrecyi. Nie taję się też przed nikim, że wam dusznie sprzyjam — i ucieszę się wielce, gdy poszczęści się patriotycznej waszej propagandzie. — Skądinąd podejrzycie bodaj mój wiek podeszły o chłód, o wsteczne dążenia i t. p. Chowaj Boże! osamotniałem i osmutniałem nieco na cudzej ziemi, alem jeszcze nie złodowaciał ku wszemu, co wielkie, co dobre, co piękne. I krew takż ukrainska po dawnemu krąży w żyłach.

¹ Wiersz p. n. „Wielkanoc“, drukowany w temże piśmie, I, 181—182.

² Aluzya do ogłoszenia urywku listu do redaktora. Wogóle stosunek ten cały Zaleskiego był bardzo przyjazny: rozumiał to dobrze i redaktor *Sioła*, który w swoim czasopiśmie w te słowa odezwał się do poety: „Dzięki ci, Wieszczu! Przekonałeś dowodnie, żeś duchem rzeczywistym, którego ni troski życiowe, ni lata starości przygnieść, lotu jego osłabić nie zdołały. — Wiej ku nam, Piewco dumy stepowej, któryś nas pieśnią twą wykarmił! wiej słowem zachęty do pracy dla ukochanej tej Ukrainy naszej.. Za tobą, Bojanie, pójdziemy na przebój! zastarzałe przesady z drogi nam ustąpią, bo wśród nich ciasno duszy kozackiej! Na Ukrainę, Duchu stepowy. Piskłeta twe wiedz za swym przewodem! Niech się zasłuchamy w pieśń twoją, aż zrozumiemy stepu tajemnicę i mogli wysokich mowę!“ (I, str. 177).

Ongi kupili się przy mnie Ukraince. Posiadam po nich dużo rękopisów, jako to: po Michale Grabowskim obszerny o literaturze galicyjskiej i t. p., po Fiszu i Lewińskim strzeliste artykuły na Kostomarowa i Kulisza, których nie mogli drukować w kraju. Mniemam, że te pisma przydałyby się do *Siola*, choć na surowy materiał do nowej polemiki z Rusinami. Może zdarzy się tu jaka dobra okazja do Lwowa. Tymczasem załączam dumę Zołotarenki¹ — na temat pospólny młodym głowom ukraińskim.

Posyłam wam, Panie Paulinie, pozdrowienie moje rodackie z czużyny w uczuciu pobożnem staropolskiem. Poza tem uczuciem wierzaj mi, Ziomku, czechość i niestwo wszędzie — literatura i życie jałowe i nijakie. Życzliwy wam

J. B. Zaleski.

Kiedy niekiedy dostaję luźny numer *Słowa* lwowskiego i za każdym razem gorszę się niepomału. Tyle tam nieprawdy i niechrześcijańskiej zaciętości na Lachów. Ku takim rusińskim zapamiętałcom wołajcie za hetmanem Mazepą:

.....	Bez żadnoi polityky!...
Nema szczaścia, nema zhody;	Wozmite sia łysz za ruky!
Od Żowtoji wziawszy wody	Nedopustit hirkij muky
Prez nezrodu wsi propały, —	Mateci swojij bilsz terpity,
Sami sebe zwojowały.	Nute wraha, nute byty
Oj panowe pora znaty,	Samopały nabywajcie!
Szczo ne wsim nam wseje znaty.	Ostrych szabluj dobuwajcie!
.....	A za wiru choť umrite!
Hej panowe jenerały!	I wolnosti boronite!
Czemu jeste tak ospały?	Nechaj wieczna bude sława,
I wy państwo połkownyky,	Szczo prez szablu majem prawa!

Cytuję te wiersze z pamięci, jakem się ich wyuczył na Ukrainie w 17-ym roku życia. Wydrukowane są w historii Ban-tysza Kamińskiego i w zbiorze Maksimowicza.

Proszę o przesyłanie i nadal *Siola*. Nie wiemy tu jak? i gdzie? prenumerować można.

J. B. Z.

¹ Drukowana w *Siole*, II, 165—166,

11. Do tegoż.

Paryż, 28 października 1866 r.

Szanowny Ziomku!

Wakacyonowałem z moimi synami u morza, to korespondencye zaległy mi na stole.

Napomknąłem ongi w liście o rękopisach Ukraińców, — ale zastrzegłem, że zdadzą się chyba na surowy materiał. Widzę, żeście nie zauważyli na zastrzeżenie i nastąpiło stąd niemile *qui pro quo*. Znaczyło się, że papiery nietknięte od wielu lat, potrzebują najpierwej przejrzenia. Zabrałem się do tego temi dniami. Otóż spostrzegłem się zaraz, że sposób zapatrywania się na sprawę ruską dawnych polemików całkiem się zestarzał; i owszem, wręcz się sprzeciwia nowszym wyobrażeniom redaktorów *Siola*. I nie dziw! Nad krajem przebrzmiało tyle burz. *Osnowa* runęła. Wszędzie rumowiska... Mam takż obawę w sumieniu, abym drukując po niewczasie artykuły, nie zaszkodził komu, lub nie nadużył dyskrecyi osób, które mi zaufały. — Co do „Rysu literatury galicyjskiej“ p. M. G., spotkała mnie smutniejsza jeszcze niespodzianka. Dowiaduję się z pewnością, że rozprawę tę napisaną przed 30-tu laty, przerobił był później autor i ogłosił w odcinkach *Dziennika Warszawskiego*. Drukuje się zresztą na nowo w edycyi kompletnej dzieł M. G. — Nie wiedzieliśmy o tem zgola na emigracyi.

Przykro mi bardzo, miły Ziomku, że niechęący — Bóg wi-
dzi — zawiodłem wasze oczekiwanie. Dlatego też, choć mam skądinąd obietnice artykułów ciekawych i stosownych dla *Siola*, nie wdam się już w szczegóły — aż autorowie się z nich uiszcza. Wierzajcie, że na różne strony kołatam, bo spółczuję położenie wasze.

Łączę pozdrowienie pełne szacunku i życzliwości Rodak

J. B. Zaleski.

W tych dniach widziałem się z p. Duchińskim i zachęca-
łem do wzięcia udziału w pracach waszych. W tej chwili od-
bieram od niego list, z którego wypisuję, co się was tyczy:
„Ponieważ ja pozawczora pisałem do Lwowa, a wy macie pisać

teraz, czy nie mógłbym prosić was o dołączenie z mej strony zapewnienia gotowości mej dla współpracy. Jabym uważał za bardzo pożyteczne dla sprawy naukowej, aby Redakcyja sformułowała punkta, w których nie zgadza się ze mną; ja na te punkta odpiszę, — a taka dysputa wprowadziłaby rzecz w Galicyi w sposób najwłaściwszy. Jeżeli nasz list wyjdzie dziś lub jutro, to odpowiedzą mi i na mój list i na tę propozycyę, bo chodzi i o pośpiech⁴. Odpiszcież p. Duchin. w tym sensie. Nie czytał on jeszcze *Sioła* i chce je zaraz zaprenumerować.

Radujemy się tutaj namiestnictwem Gołuchowskiego. Świętojurecy są zapewne tem zwaśnieni. Dużo nowych nadziei stąd i t. d.

J. B. Z.

Miałem pieczętować list, kiedy mi doręczono Pański ze Lwowa. Odpowiedź nań w dzisiejszym. Listy odebrałem i *Sioła*, które obiega dziś po rękach spółtulaćców. Dedykacyę nowej powieści przyjmuję ukraińskiem sercem. Pamięć młodszych pokoleń, jako świadectwo, że szanują podania po ojcach — rozrzewnia mnie i napełnia wiarą i dobrą otuchą o przyszłości. Daj Boże odwdziżyć się wam! Gości tu u nas świeży Galicyanin (*sic*) J. I. Kraszewski.

B. Z.

12. Do Ludwika Nabelaka.

Villepreux (Seine et Oise), d. 12 marca 1881 r.

Kochany mój stary Ludwiku!

Ani zdołam wysłować, ile mnie rozżaliło w głębi duszy wasze domowe nieszczęście. Seweryna¹ cenilem wielce od zarażenia jego lat. W chrześcijańskiem ukorzeniu się wyszlochałem: „Święć się wola Twoja Panie!“ — ależ jakież to piekący zastrzał w sercach biednych sędziwych rodziców!... Na taki, och, zastrzał ani szukać nawet pociechy u ludzi. Bóg sam ucieczką i mocą i wspomózycielem w uciskach tego rodzaju. Wierzajcie, moi drodzy, że modłę się za duszę ś. p. Seweryna i za was także oboje z rzewnem braterskiem spółczuciem.

¹ Syn Nabelaka.

Mileżałem kilka dni, myśląc, że nie znam waszego nowego adresu, aż dziś trafunkiem znalazłem adres w sprawozdaniu instytucji „Czei i chleba“¹.

Bóg z wami, zbolali rodzice, i Matka Najświętsza! Pozdrawiam i ściskam w pełni uczucia,

przyjaciół stary

J. B. Zaleski.

13. Do Zofii Nabelakowej.

Villepreux, d. 15 grudnia 1883 r.

Droga ukochana Pani!

Niestety! Zapóźno odebrałem tu zawiadomienie. Zapłakałem na prawdę. Wieczny odpoczynek przeacnej duszy naszego zacnego Ludwika. Modliłem się za nią od dawna i nie przestanę się modlić. Łączę się z Tobą droga Wdowo! współczuciem najserdeczniejszym.

Bóg cię pociesz droga przyjaciółko

stary wierny wasz

J. B. Zaleski.

14. Do tejsze.

Villepreux, d. 15 marca 1884 r.

Łaskawa Pani Zofio!

W ostatnich miesiącach znacznie osłabłem na siłach, że podróż nawet do Paryża niepomału mnie nuży. Oprócz tego z powodu wzmagającej się ślepoty potrzebuję tam przewodnika, a synowie moi w niedzielę tylko są na swobodzie.

Otóż jutro w niedzielę będę w Paryżu. Między drugą a trzecią popołudniu z cmentarza wstąpię do kochanej Pani na pogadankę choć krótko. P. Wł. Zawadzki wyborny na żywotopisarza dla ś. p. Ludwika, znał go i kochał od najmłodszych lat². Ściskam rękę po przyjacielsku.

Stary życzliwy wasz

J. B. Zaleski.

¹ Nabelak był członkiem rady tego Towarzystwa.

² Biografia Nabelaka została wydrukowana w *Przewodniku naukowym i literackim*. Lwów 1885.

15. Do Władysława hr. Platera.

Paryż, d 14 lipca 1870 r.

Szanowny Kolego!

Wiedziałem już dawniej z boku o patryotycznym krzątaniu się twojem względem inauguracyi Muzeum Polskiego, a wczoraj i wprost od ciebie odebrałem wymowne w tej mierze wezwanie i objaśnienia. Niestety, jak zacny Królikowski dla swej choroby, — tak i ja dla podeszłego wieku i przeróżnych dolegliwości rodzinnych na niewiele możemy ci się przydać w Paryżu. Królikowski właśnie dopiero co wyjechał do Fontainebleau na kurację, — ja zaś za kilka lub kilkanaście dni z niedomagającą moją córką udam się kędyś do morza. Spodobała mi się wasza odezwa, — ale do zbierania podpisów pomiędzy tutejszymi rodakami potrzebaby młodej ochoczości i młodych nóg, bo, jak to wiesz kolego! nie mamy tu nigdzie spólnego ogniska ku porozumiewaniu się wzajemnemu. Ja przynajmniej żyję w głuchem odosobnieniu opodał od środka miasta i nie sposobny już całkiem do konnej, ni pieszej służby. Podpiszę atoli odezwę waszą — i chętnie nakłonię do podpisania jej kilku jeszcze przyjaciół i znajomych, co raczą mnie odwiedzać co niedzielę. Na razie wszyscy bodaj koledzy sejmowi rozpierchli się po świecie, Ordega, Januszewicz i Bronisław Zaleski są także poza Paryżem. Młodych generałów i dygnitarzy nowej emigracyi nie znam zgoła... Nie wiem, czy masz, kochany kolego, jakie stosunki z Elżanowskim, Rustejką, Gadonem i t. p., którzy, jako młodszy, żwawszy, a przytem wpływowi na emigracyi, najlepiejby dopogli do zbierania podpisów.

Z wymienionych wyżej pobudek osobistych i familijnych, żał się Boże! nie będę mógł uczestniczyć i przy odsłonięciu pomnika w Rapperswil.

Raduję się szanowny kolego, żeś nareszcie znalazł wedle myśli swojej strażników dla Instytucyi — to jest konserwatora i odzwierne go. Ażaliby i dla poczciwego Lenartowicza nie udało się przy Pomniku wydumać jakie zajęcie? Dowiaduję się w tej chwili o śmierci jego żony w Miłosławiu. Biedak uko-

chany, co on teraz pocznie ze sobą. Jako wiesz, poeci i artyści niezaradni są w drobnych interesach osobistych. Dla p. Teofila potrzebaby koniecznie przytułku i bratniej opieki przy jakim instytucie — inaczej w smutku, co go przygniata, upadnie całkiem na duchu i sponiewiera się owdowiały we Florencyi.

Podziwiam zawsze, kochany panie Władysławie, twoją obywatelską czujność i czynność w rzeczach narodowych. Masz po temu zdolności, zdrowie i środki wszelkie moralne, jak i materialne. Szczęść Boże i ku dobru publicznemu i ku zasłudze a chlubie osobistej!

Łączę upewnienie poważania i koleżeńskiej życzliwości
sługa i rodak

J. B. Zaleski.

Nie obowiązuję się na więcej nad dziesiątek podpisów między znajomymi — to komuż mam złożyć 13-ty numer odezwy litograficznej ku dalszym zachodom? Proszę mię o tem zawia- domić co rychlej. Mam już podpis Królikowskiego. Sądzę, że uzyskam od Żarczyńskiego, Kamińskiego, Gałęzowskich i t. p. A tymczasem może przyjedzie z Aix-les-Bains Bronisław, któremu poruczę rzecz między jego takż przyjaciółmi. Myślę, że nie odmówi nam tej usługi.

Przeniosłem się za Sekwanę na odludzie dla dogodności synów moich uczęszczających do szkół specjalnych. Adres mój nowy: Paris, 6, rue Mizières.

O wojnie znowu tu przycichło. Z wielkiej chmury mały deszcz. A byliśmy parę dni rozgorączkowani.

J. B. Z.

16. Do tegoż.

Paryż, d. 9 sierpnia 1870 r.

Szanowny kolego!

Porażki niespodziane wojsk francuskich przygnębiły bardzo nas Polaków. Żyjemy w zamęcie i wirze paryskim rozgorączkowania do najwyższego stopnia. Bezmierna buta krzyżacka jeszcze się wzmoże i pogrozi światu. Katolicyzm uciśnie... protestantyzm.

W opałach dzisiejszych darmo i myśleć o zbieraniu pod-

pisów pod waszą odezwę. Komu ją tylko pokazać z rodaków wzdrygają się od biernego nawet udziału. Odsyłam więc listę moją z pięcią jeno podpisami. Może księżna Gedrojcziowa i L. Chodźko będą w tej mierze szczęśliwsi odemnie. Miałem jednak jak najlepsze chęci. Bronisława i wielu innych, na których liczyłem, albo niemasz w Paryżu, albo niepodobna nigdzie napotkać.

Łączę wyrazy poważania mego i życzliwości rodackiej

sługa

J. B. Zaleski.

17. Do tegoż.

Paryż, d. 12 października 1871.

38 rue St. Sulpice.

Szanowny Panie!

Niepomału na razie zakłopotaleś mię zaprosinami do swego Albumu. Śród straszliwych przygód, zawodów i szkód politycznych, jakie w ostatnim roku dotknęły Kościół i Francję, oniemiałem był w bólu, toż i tekę moją poetycką z innemi niepotrzebnemi ruchomościami bez żalu zostawiłem w Paryżu. Za powrotem z Prowancyi odnalazłem tekę srodze opyloną — że wstrętno i zaglądać do niej: bo zresztą wiem dokładnie, co w sobie zawiera. Zawiera luźne, niesklejone urywki pieśni przeżytych już, zwietrzałych, tyle dziś wartych, co wiązka zwiędłego wczorajszego kwiecia. Na czasy nowe, trzebaby nowego nastroju w duszy. Ale czy starczy nań tehu?... Smutno wyznać — aleć nieomylna prawda, że starość nie radość, że doba to za mroźna i wielce jałowa. Natchnienie i twórczość nie służą już na zawołanie — a bez tych wyższych przymiotów poezya jest pustą jeno rozrywką, niegodną wieszcza, osobliwie polskiego. Adam Mickiewicz przed czterdziestym rokiem życia pożegnał się raz na zawsze z Muzami. Dlatego i ja za przykładem wieńconocy dawno nie obcuję z niemi; usunąłem się za sławnymi nieboszczykami w cień elizejski, w duchowe kędyś *regna inania*. Jeżeli czasem jeszcze rymuję, to dla siebie jeno samego, lub dla przy-

szłego edytora kompletnego zbioru moich wierszów. Dając teraz w antyliterackim czasie i usposobieniu ladajakie ramoty, nie ozdobiłbym niemi całkiem mojego Albumu, a naraził się — i naraził słusznie na urąganie publiczności. Wypowiadam oto niemoc moją i nieudolność w prostocie i w całej szczerości — jak to się godzi przed starym sejmowym kolegą. Jak widzisz tedy kochany panie Władysławie, mus tylko, mus nieodzowny z wewnątrz skłania mię do uchylenia się od współudziału pomiędzy licznymi pisarzami twego Albumu.

Dla mnie starca, poetycka wiosna przeminęła niepowrotnie — ale za to kwieci się w pełni dla młodszej braci po lutni. Nie brak Polsce utalentowanych śpiewaków, znajomych mi i nieznajomych. U nich teraz blask i woń i ciepło ku rozgrzaniu serc w narodzie. Do nich na razie potrzeba kołatać natarczywie. Nie wątpię, że chętnie przyczynią się do wzbogacenia Albumu, mającego cel piękny i podniosły podpierania instytucji Muzeum polskiego.

Co podziwiam i uwielbiam w tobie, szanowny kolego! to niezrażone poświęcenie się, czynność i niespożyty hart woli w zabiegach około dobra publicznego. Podobnych ludzi nie wielu naliczyćby można w Polsce... Muzeum — to dzieło twoje własne — mniejsza, że znojne i za kosztowne na jednego obywatela, ale użyteczne, okazałe i trwałe na pokolenia. *Exegisti monumentum..*

Przyjmij panie zapewnienie poważania mego i stałej życzliwości koleżeńskiej.

J. B. Zaleski.

Druk Albumu przeciągnie się. Gdybym w tym czasie uczuł wenę i natechnienie choćby na jedną godzinę użyję ich na upominek dla albumu. Życzę tego — lubo się nie spodziewam skutku.

Likwidujemy sukcesyę po ś. p. Królikowskim, który, jak na emigranta, znaczny zostawił majątek. Reorganizujemy także osieroconą instytucyę „Czei i chleba“. — Dużo zmieniło się u nas w Paryżu między rodakami. Wielu wymarło, wielu rozproszyło się po świecie, a reszta, co zostaję na miejscu, posiwieliśmy

i bardzo posmutnieli. Koledzy Barczykowski, Morawski i Żarczyński widocznie upadli na siłach. Ty panie Władysławie, bodaj wszystkich nas przeżyjesz.

J. B. Z.

18. Do tegoż.

Villepreux, d. 15 listopada 1880 r.

Szanowny kolego!

Niemal jednocześnie odebrałem twój zacny list i medal pamiątkowy. Dziękuję za nie uprzejmie. Medal, o ile biednym moim wzrokiem i w szarym dniu rozpatrzyć się zdołałem, wydał mi się piękny.

Brodzę tu w ciemnościach, z powodu koczującej u nas bez przerwy mgły — w zaćmieniu tem i przy niedołęstwie starości, jestem co dosłownie do niczego, a mimo tego, z różnych stron odbieram zaprosiny na uczestnika, na mówcę, na prezesa obchodu. Z obowiązku przewodniczyć muszę na uczcie, jaką wydaje weteranom zarząd Instytucyi „Czci i chleba“. Towarzystwo historyczne prosi także o zabranie głosu. Nie wiem, czy podołam wymaganiom? a upokarzającym byłoby to dla listopadowca.

Inspiracya mnie całkiem opuściła w tym czasie — to cieszę się, że Lenartowicz bodaj i Ujejski uświetnią jubileusz i godniej, niżbym to zdołał uczynić, nawet w młodszym wieku.

Życzę wszelkich powodzeń obchodowi w Rapperswyłu — i pamiętać tu będę o nim.

Racz przyjąć, kolego jedynaku, upewnienie poważania i życzliwości.

J. B. Zaleski.

19. Do Seweryna Goszczyńskiego.

Paryż, d. 4 marca.

Mój drogi Sewerynie!

Wczoraj niechący Bronisław wymówił się przed Łaskowiczem o naszym obiedzie we środę. Otóż naparł się zaraz, że

i on z Bońkowskim przyjdą, aby cię wespół z nami uczestować wedle dawnej obietnicy—ale proszą, aby zamiast we środę, w dzień postny, obiad mógł się odbyć we czwartek. Oczywiście rad nie rad, musiałem się zgodzić na tę przyjacielską ich propozycję. Kochany Sewerynie we czwartek bądź łaskaw przyjdź o godzinie 4 i pół a o 5 i pół wyjdziem, lub wyjedziem do Palais Royal, kiedy w Galerie d'Orleans zbierze się reszta naszej kompanii. Jeszcze raz do widzenia się, we czwartek

twój stary

J. B. Zaleski.



DWA TYGODNIE W PETERSBURGU.

(Dokończenie).

VI.

Kilka dni już spędziłem w stolicy Rosyi i należało się wybrać do Ermitażu, zwłaszcza że miał być niebawem na parę letnich miesięcy zamknięty. Powstanie swe i nazwę zawdzięcza słynny zbiór *mátusze* Katarzynie, która urządziła dysputy i lubiła w gronie uczonych i artystów w rodzaju szkoły ateńskiej odpoczywać po trudach politycznego życia. Dawny budynek zastąpił Mikołaj I. pałacem w stylu greckim; front podpierają olbrzymie karyatydy, główna klatka wchodowa oparta na 16 monolitach z szarego marmuru o karraryjskich głowicach. Ściany sal wyłożone marmurem albo sztukaterią; w salach pełno obelisków, waz i drogich kandelabrow. Najpierw sala asyryjska i egipska. Owiewa cię mrok i chłód przeszłości: rzędami stoją olbrzymie sarkofagi, mumie w części skruszone, potwornych kształtów posągi. Ruszam dalej: siedm sal rzeźby greckiej i rzymskiej nie budzą zachwyty i nie rozgrzewają duszy. Były może niegdyś ładne te boginie, ale dziś w marmurowem ciele dziury i rysy, członki spękane i odłupane: tu brak ręki, ówdzie policzka. Wyobraźnia musi silnie pracować, aby odtworzyć pierwotną krasę. Zazwyczaj pośród strzępów i złomków dawnej świetności musi przechodzić wytwarzać w sobie sztuczny zapal i uwielbiać. Chcę być szczerym: nieraz zwiedzałem europejskie glyptoteki —

ale nigdy i nigdzie nie budziły we mnie entuzjazmu pokruszone i podarte szczątki ziemisto-szarych ciał starożytnych. Nie wzbudziła go nawet we mnie — o zgrozo — ogłoszona *urbi et orbi* za niezrównaną Wenus Ermitażu, bo zaprawdę kto jedną widział czy kapitolinską czy medycejską — dosyć widział. Dalej idzie, podparta 20 kolumnami, sala, mieszcząca wykopaliska z kolonii greckich nad morzem Czarnem i Azowskiem. Zbiór cenny i bogaty: dużo drobiazgów sztuki greckiej z III. i IV. wieku przed Chr.; część ich dostała się do kolonii z grodów macierzystych, część wykonana w koloniach przez greckich sztukmistrzów, świadczy o rozległym wpływie kultury greckiej, która dosięgła krainy Scytów i wyrzyła tam niezatarte ślady. Takie drobiazgi, jak amfory z głowami Erosa i Meduzy, róg do napoju w kształcie łba byczego, naszyjnik, spięty postumencikami konnych Scytów, duże złote kolczyki z główkami Pallady, dwie złote maski zdjęte z martwego oblicza, — godne są wyróżnienia pośród mnóstwa innych przedmiotów. Nie bez zajęcia oglądałem też w następnych salach bogaty zbiór waz polichromicznych, a zwłaszcza kilka waz o pięknym rysunku z wypukłorzeźbą, niestety najczęściej uszkodzoną. Rysunki, miedzioryty, biblioteka Ermitażu, sala z induskimi i mongolskimi starożytnościami wypełniają resztę dolnego gmachu. Wstępujemy po wspaniałych schodach na górę do galerii obrazów. Rzędy komnat pełne dzieł sztuki, ułożonych szkołami. Kto zna pinakotekę, galerię drezdeńską, Louvre i zbiory włoskie, ten nie potrzebuje suszyć sobie głowy nad wyszukiwaniem słów zachwytu. Pomiedzy dwoma tysiącami obrazów — wyłącznie zachodniej starej sztuki — znajdzie się 40—50 dzieł osobiłej ceny i ze względu na piękność i ze względu na twórców. Rafaela Madonna i Przenajświętsza Rodzina; Zdjęcie z krzyża Pawła Veroneze, włoski bandyta Rozy, Madonna Correggia i druga Leonarda da Vinci, Perseusz i Andromeda Rubensa, piękny portret polskiego magnata Rembrandta, Toaletta Wenery i Danaë Tiziana, Ucieczka do Egiptu Reni'ego, św. Sebastyan Ribeiry, św. Wawrzyniec Zurbarana, Innocenty X. Velasqueza, Wniebowzięcie i Niepokalane Poczęcie N. M. P. Murilla, sporo obrazów Teniers'a, Pous-

sina, Ostade'go, Ruysdaela — wszystko są dzieła niewątpliwie zdobiące galeryę, nabyte drogą podbojów, krwi, łupu — i za pieniądze. Ale obok tego dużo zbieraniny, niemało kopii, sporo prac, noszących nazwiska sławne a wykonanych przez uczniów nie mistrzów. Należy też położyć na szalę uszkodzenia, które spowodowały, że np. Danaë Tiziana lub św. Rodzina Rafaela straciły blask pierwotny, należy dodać natrętny, podejrzliwy wzrok legionu carskich lokai, ścigających cię na każdym kroku, a także zupełny brak ruskiej sztuki i nowożytnego malarstwa wogóle: czujesz się tu w odległym czasie, jakby w jakichś obcych krainach i jedynie argusowe oczy sług przypominają ci, że to Petersburg. Pragniesz się wreszcie dowiedzieć, czy w Ermitażu niema czego ruskiego i pytasz lokaja... A — jest, jakże nie — trzeba tylko wziąć bilet, bo drogocenne przedmioty zamknięte na cztery spusty. *Balczysz* dopomaga: otrzymujesz bilet, otwierają się zamki i jesteś w galerii Piotra W., oraz w skarbcu carów. Sala Piotra W. teźnie surowym, pracowitym duchem wielkoluda. Pełno maszyn, robót z drzewa, modeli i pamiątek, związanych z jego imieniem. Ale Moskale wszystko popsuć umieją. Na straży pod baldachimem w jedwabnym niemieckim stroju siedzi potworna figura woskowa' Piotra: żółta cera, sztuczne włosy, spłóviały jedwab ubrania czynią przykre, nieledwie wstrętne wrażenie. Uzupełnia się ono widokiem pośmiertnych masek, wypchanego konia monarchy...

Skarbiec carów celuje bogactwem niezliczonej ilości fra szek: pełna szafa brylantami sadzonych zegarków, parę szaf brylantami zdobnych wachlarzy a na nich ładne obrazki francuskich mistrzów, mnóstwo szkatulek, puharów, waz, talerzy, kubków, dzbanów, broni, pierścieni, tabakierek, przycisków i t. p. Na środku olbrzymia, parę metrów wzdłuż i metr wszereż mająca, waza czy czara, kuta ze srebra, w drugim końcu sali bardzo bogaty i bardzo brzydki zegar w kształcie naturalnej wielkości drzewa z kogutem, kurą i pawiem złotym. O godzinie 12-tej, paw rozkłada skrzydła i krzyczy, kogut pieje, kura gdacze, a widzowie zatykają uszy.

Osobliwością Ermitażu są jedyne w swym rodzaju łoże

Rafała: najdokładniejsza co do wymiarów, barw i piękności kopia rzymskich. Zachwycąłem się cudownymi pomysłami ornamentacyjnymi tego artysty, ale podziwiałem też szczodrość nakłady i pracę wykonawców. Cudowna wyobraźnia mistrza z Urbino pogodziła mię z brzydkim manekinem Piotra i ze szkaradnym pawiem i z ukośnymi rzutami oczu stróżów. Opuściłem pałac z myślą, że może i dlatego niema w Ermitażu żadnego ruskiego dzieła sztuki, bo znawcy-zbieracze nie chcieli psuć harmonii i wnosić dysonansów pośród dzieła Zachodu. Dowiedziałem się w domu, że sztuka ruska ma swą przystań w nowym muzeum Michałowskim i chciałem zaraz nazajutrz złożyć jej hołd swój, ale mi przyjaciel oznajmił, że ma dzień wolny i musimy pojechać do Kronsztadu. Trzeba tedy było wypocząć i zebrać siły.

Nazajutrz rano udaliśmy się do malej przystani. Parowce, idące do Finlandyi, Oranienbauma, Kronsztadu oczekiwały już pasażerów. Ruch wszędzie, gwara różnojęzyczna naokół, przeważa atoli język angielski. Olbrzymie kupy towarów leżą pod gołym niebem pod opieką straży. Opodał kołyszą się zlekka wojskowe pancerniki, gdyż niedaleko znajdują się doki okrętowe. Z pośród towarowych statków najwięcej angielskich: Anglia przywozi do Rosyi corocznie towaru za kilkadziesiąt milionów rubli. Codzień przychodzą i odchodzą duże kupieckie okręty angielskie, a jednak zwykle odpoczywa kilkanaście. Nawet w niedzielę praca tu kipi jak zwykle.

Niebawem wypłynęliśmy na morze, mijając co chwila wielkie barki z drzewem, małe „jaliki“, przewożące ludzi, i duże kupieckie okręty. Wiatr dał chłodny, powierzchnia falisto marszczyła się i drgała silnie, ciemno-stalowa toń przeświecała zielonawymi połyskami, na wierchołkach fal tworzyły się białe pienne czuby, ale parowiec pruł wodę śmiało, posuwał się rążno i za trzy godziny dobijaliśmy do brzegu. Spodziewałem się spotkać lichą miejscinę, a znalazłem duże, czyste miasto o kilkadziesiąt tysięcy ludności. Ma ono kościół katolicki, kilka cerkwi, wielki park, port wojenny, ładną przystań, w której po obejrzeniu miasta najęliśmy łódkę, celem zwiedzenia fortów

i morza. Przewoźnik okazał się człowiekiem dziarskim i rozmownym. Jakież było nasze zdziwienie, gdy mijając okręty angielskie czytał napisy zupełnie poprawną wymową. Umie zatem po angielsku? Oczywiście — tak jak po niemiecku i po francusku. Utrzymuje częste stosunki z marynarzami i nie potrafiłby się z nimi porozumieć. Płyniemy koło fortów. Całe z brył granitowych sterczą te potężne masy na odległość strzału armatniego od siebie i na kilkanaście wiorst zamykają wstęp do kraju. Nasz przewoźnik żywi przekonanie, że forteca niezdobyta. Może ma słuszność, bo jest istotnie wybornie położoną. W porcie wojennym za specjalnem pozwoleniem, wyjednanem szlifami mego przyjaciela, zwiedzaliśmy jeden z najnowszych i największych pancerników rosyjskich „Riuryk“. Pudło obite u dołu miedzią, u góry stalową blachą lśni się w słońcu jak pieścidełko. Po eleganckiej drabince wdrapaliśmy się na pokład, oddali swe karty dyżurnemu oficerowi i pod jego przewodnictwem zwiedzili od góry do dołu gmach trzypiętrowy. Okręt ma 700 ludzi załogi i 20 oficerów. Na pokładzie oprócz masztów, kominów maszyn, zwojów lin i przyborów żeglarskich mieści się 48 błyszczących smukłych dział, stosy kul i szafy z karabinami. Na dolnem piętrze kajuty — po jednej stronie dla żołnierzy, po drugiej wytwornie urządzone salony i kajuty oficerskie. We wspólnym salonie fortepian, kwiaty, południowe owoce, herbata, utrechtem obite sofy. Dalej łazienki, a po obu stronach kurytarza pokoje oficerskie z równym komfortem i wygodą zaopatrzone we wszystko. Na drugim dolnem piętrze kuchnie i magazyny, nabite zapasami, ponieważ załoga była na okręcie. Na trzecim wreszcie — piece, kotły, maszyny. Uprzejmy oficer nie taił przed nami, że Rosya powiększa i urządza ze zdwojoną siłą swą marynarkę. Francuska firma „Forges et Chantiers“ ma wykonać jeden pancernik, jeden krążownik i trzy torpedowce, a niemieccy fabrykanci Krupp, Schichau i fabryka „Vulkan“ otrzymały zamówienia na trzy krążowniki i 8 torpedowców. Za kilkanaście miesięcy państwo, wyciągające z łagodnym pokojowym uśmiechem rękę do zgodnego rozbrojenia, będzie miało znacznie powiększoną flotę — od wypadku...

Pożegnaliśmy grzecznego marynarza, dopłynęli swą łódką do brzegu i jeszcze raz podążyli na miasto, aby zwiedzić sławny kronsztadzki „dom pracy“. Założył go 1882 r. pop Jan Siergiew, znany powszechnie pod imieniem Jana Kronsztadzkiego. Kapitał zakładowy wynosił sto rubli. Dziś całość składa się z 7 pięknych, dużych domów, żelazny fundusz dosięga 350 tysięcy rubli, a obrót roczny kilkudziesięciu tysięcy. „Dom pracy“ posiada liczne oddziały. Przerabianiem konopi na towar trudni się rocznie 25 tysięcy ludzi — i to jest główny rodzaj rękodzielnictwa. W pracowni obuwia codziennie kształci się 15 chłopców; szwalnia daje zarobek 50 dziewczętom prócz kobiet; szkołka normalna wychowuje 200 dzieci; rękodzielnictwem zajmuje się codziennie 15 chłopców i 90 dziewcząt. Istnieją nadto szkoły rysunków, gimnastyki, szkoła niedzielna. Z czytelników korzystało w przeszłym roku około 10 tysięcy uczestników; księgarnia sprzedaje corocznie do 5 tysięcy książeczek. Tania kuchnia udziela 200 tysięcy porcji w połowie darmo. Dodać trzeba schronisko nocne, przytułek dla staruszek, szpital, ochronę dla 50 sierót, szkołkę freblowską, tanie mieszkania dla 15 rodzin. Jeszcze nie koniec. „Dom pracy“ daje ubogim odzież, jednorazowe i ciągle zapomogi, pośredniczy w zarobkowaniu, w dni świąteczne urządza odczyty i zabawy, które ściągają masy ludu. I pomyśleć, że taki świetny rozwój, taka różnostronna działalność zawdzięcza się niespożytej energii, serdecznej trosce jedyne go człowieka, którego wprawdzie lud darzy uwielbieniem i uważa za wyższą istotę, ale który dla siebie nie nie pożąda, żyje jak anachoreta a ze swej rozległej popularności wcale nie jest dumny. Za jego przykładem od r. 1882 poczęto w całej Rosyi zakładać domy pracy. Dziś istnieją one w Petersburgu, Pskowie, Smoleńsku, Moskwie, Kijowie, Tambowie, Orłowie, Grodnie, Czernihowie, Chersonie, Witebsku, Wiatce, Wilnie i Warszawie. Ten ostatni rozwija się podobno równie dzielnie.

Zanim zdołaliśmy obejrzeć cały zakład, słońce pochyliło się ku zachodowi, należało się więc spieszyć do statku. Około 9-tej byliśmy w domu i krzepili siły z wrażeniem pożytecznie spędzonego dzionka. Nazajutrz wstępowałem do pięknego, w stylu

empire gmachu muzeum ruskiej sztuki, t. zw. Michajłowskiego. Jest ono młode: powstało w myśli Aleksandra III., a otwarte staraniem obecnego cara, który polecił $\frac{1}{2}$ miliona rubli wydać na odnowienie i adaptację dawnego pałacu cesarskiego. Odnowiono z przepychem, przy współudziale najlepszych artystów ruskich. Marmur i granit, metal i dąb były materiałem budowlanym. Ogrzewa się budynek za pomocą pary, światło pada z góry przez latarnie świetlne, które skupiają promienie na ścianach, ponurzając środek sal w lekkim półmroku. Ściany pokryte pompejańską barwą, sufit freskami, obrazy wiszą na szyszkach ananasowych, misternie spojonych z żelaznemi drążkami, wmurowanemi w ściany. Wszystkie drobiazgi budynku, jak posadzki, kolumny, balustrady, kominki, fryzy i architrawy, karyatydy, nawet klamki i główki wieszadeł są dziełami sztuki. A obrazy? Pomyliłby się chyba ten, ktoby chciał wydawać sąd o rosyjskiej sztuce na podstawie okazów tutaj zebranych, jakkolwiek ma ono być czemś w guście narodowego muzeum w Paryżu lub British Musaeum. Sal jest kilkadziesiąt, obrazów kilkaset, ale arcydzieło bezwarunkowo jedno tylko — i to Polaka. Dobrych dzieł jest sporo. Do takich należą: „Ostatni dzień Pompei“ Brüllowa, „Miedziany wąż“ i „Sąd ostateczny“ Bruni'ego, „Chrześcijańscy męczennicy w Kolizeum“ Flawickiego, obrazy Basina, „Dziewiąta fala“ Ajwazowskiego, Makowskiego „Obrzęd pocałunku“, szkice Orłowskiego, dzieła Petersa, Gagarina, Świerczkowa, Szczedrina, Worobiewa, Mordwinowa, Kipreńskiego. Ale Wereszczagina wisi tylko jeden widok Sebastopola i to niecharakterystyczny, Kotarbińskiego dzieła, zbyt przechwalone przez Moskali, zajmują miejsce najwybitniejsze, a najnowszych kierunków, impresjonistycznego i symbolicznego, niema wcale. Nie twierdzę, żeby muzeum wiele traciło ze swej piękności, jednakże przez brak najstarszej i najmłodszej ruskiej sztuki całość nie wydaje się zupełną. Akademia sztuk pięknych obfituje również w zbiory dzieł klasycznych, ale i tam nie mogłem się doszukać tego najnowszego malarstwa, zwłaszcza że studenckich prac i szkiców nie chcieli pokazać. Petersburg posiada oprócz Ermitażu, Muzeum Michajłowskiego i Akademii sztuk pięknych je-

szcze jedną ostoję sztuki — istny unikat w tem carskiem mieście — mianowicie muzeum barona Stiglitza. Ukryte w głębi Solnego zaułka zajmuje ono cały pałac hojnego bogacza. Niestety i w tym przepysznym zbiorze sztuki stosowanej zabytków ruskich bardzo mało. Klucze, szafy, szkatułki, szczyty ikonostasów, kute kratki, skrzynie i zamki — najczęściej dość prymitywne — stanowią całą okrasę. Natomiast zbiory sewrskiej i mejsseńskiej porcelany, angielskich fajansów, porcelany z XVI. wieku, nawet kilka sztuk Palissy'ego, prześlicznych kryształów i szkła, a następnie haftów, wzorów i próbek różnorodnych tkanin, wyborowych gipsów i rysunkowych ornamentacyj — są nieocenione i za zdrości godne. Wracając po południu, myślałem, że prywatna inicjatywa w Petersburgu mało uczyniła. Jeden gmach piękny i pełen cennych rzeczy, ale jeden tylko. Wszędy, gdziekolwiek się obrócisz, carski nakład, carska wola, carskie pieniądze. Oddano wszystko do użytku publicznego, jednakże każą palić kadzidła czei przed carem, nawet gdy go niema. I dzisiaj, jakim zdziwionym, nieufnym wzrokiem obrzucała mię służba i publiczność w muzeum Aleksandra III., gdyż nie ustroiłem się w czarny ubiór, jak wymaga etykieta tutejsza.

VII.

Warto się z blizka przypatrzyć potędze samowładcy, wejść do jego domu, poznać jego upodobania i troski. Chęć moja miała się spełnić, bo właśnie po powrocie dowiedziałem się, że mój przyjaciel otrzymał pozwolenie zwiedzenia pałaców cesarskich, o ile są obecnie niezamieszkane. Godzina była 4 popołudniowa, zjedliśmy przeto szybko objad i podążyli do Carskiego Sioła. Od Petersburga o wiorst parę leży miasteczko znaczne, zamożne i handlowe, z cerkwią, kościołem i dwoma cesarskimi pałacami. Diarlewo, Carskie Sioło i Pawłowskoje, razem wzięte, tworzą kompleks przepysznych parków, ciągnących się alejami w obrębie wiorst 20. Dlatego też słyną jako ulubione miejsca wycieczek i pobytu na daczach w lecie bogatszej i arystokratycznej ludności stolicy. W Carskiem Siole stary pałac zajmowali w czasie naszego pobytu ministrowie, jakiś wielki książę

skiego „Lohengrina“. Kapelmistrz Gałkin z brawurą sygnalizuje batutą swoją wybitniejsze ustępy, doborowa publiczność w przyzwrotnym, prawie uroczystym skupieniu upaja się melodyjnymi akordami. Co jest tedy Pawłowskiem: czy park i pałac, szumiący do przechodnia głosami przeszłości, czy sala koncertowa, rozbrzmiewająca gwałtownymi lub namiętnymi tonami Wagnera, Mascagni'ego i Leoncavalla? Angielscy turyści przepadają za pierwszym i błędzą z nocami ku wierzchołkom drzew podniesionymi w sentymentalnem rozmyślaniu po parku; ale kwiat petersburskiego towarzystwa¹ woli słuchać muzyki i obmawiać wykwintne toalety pań i panów. Zresztą — co prawda — jest to jedyne miejsce wieczornej letniej zabawy, gdzie nie bywa kawiarnianych produkcji i podejrzanej enoty kobiet. Wracaliśmy też do domu wprawdzie późno, jak zwykle, ale bardzo zadowoleni z dnia, który nam przyniósł sporą wiązaną wrażeń.

Na drugi dzień — że była niedziela — udaliśmy się po mszy św. do pałacu Zimowego. Przedstawia się on jako kolosalny czworobok, zamykający wewnątrz obszerne podwórze, zbudowany nad brzegiem Newy, ku której zwraca się północną stroną. Front trzypiętrowy, podparty jońskimi i korynckimi kolumnami, wychodzi na wielki plac Dworcowy, głębi którego zajmuje długi i poważny budynek głównego sztabu, przerzucający się prześlicznym łukiem przez Wielką Morską ulicę. Zewnętrzny wygląd obu gmachów i barwą i architektoniką uzupełnia się, jak gdyby oba stanowiły jedną całość, a rdzeń i treść ich zlewała się w nierozłączne braterstwo. Wnętrze pałacu Zimowego jest ogromem, którego kilkogodzinne zwiedzanie nuży, a nawet pobieżna znajomość wymaga skupionej uwagi i czasu. Przez półtora sta lat gromadzili tu carowie pamiątki swej władzy, zwycięstw, hołdów swego ludu, aby siedzibę swą ozdobić i przejąć zwiedzającego poczuciem potęgi. Stałego mieszkania nie mieści w pałacu ani obecny Mikołaj, ani mieścił ojciec jego. Natomiast nie gdzieindziej odbywają się uroczyste przyjęcia,

¹ W stolicy mówią, że koncerty pawłowskie gromadzą: „самое fashionable общество Петербурга“.

dworskie bale i ceremonialne wystąpienia; na nie też przygotowano mnóstwo ogromnych komnat. Wszystkie dwupiętrowe, w dwa światła. Sala tronowa św. Jerzego, okrażona żłobkowanymi z marmuru słupami; w głębi wznosi się na stopniach tron, poza którym na ścianie rozpięty olbrzymi herb carski, dwugłowy orzeł, wyszyty złotem na czerwonej materii i otoczony 8 herbami księstw moskiewskich — podobno zabytek z czasów Elżbiety Piotrówny. Druga sala tronowa, t. zw. Piotra Wielkiego, jeszcze większa. Na obrazie Piotr trzyma za rękę Rosyę w postaci młodej dziewczyny. Na ściennych makatach orły haftowane złotem. Drzwi i posadzka inkrustowane, na drzwiach i pilastrach ścian emaliowane obrazy. Piękny też jest pawilon z wysokimi żłobkowanymi kolumnami z szarego marmuru. Na środku ogrodzona mozaikowa posadzka wyobraża głowę Meduzy, dokoła której podzielone na *panneaux* mitologiczne nereidy, trytony i delfiny. Podobna mozaika znajduje się w muzeum Laterańskim w Rzymie; tu jest jedną z najpiękniejszych ozdób pałacu. Od pawilonu wiodą drzwi do zimowego ogrodu — ze wszystkich stron oszklonego, napełnionego masą palm i egzotycznych paproci — z wodotryskiem po środku. Niestety powietrze w cieplarni tak wilgotne, że wątpię, aby nawet w zimie mógł on służyć ku czemu więcej, niż ku ozdobie.

Niemalby interes przedstawia dla zwiedzających sala portretów rodziny carskiej. Wiele portretów Piotra I., wiele też Katarzyny II. Niektóre wizerunki Semiramidy północnej widocznie podobniejsze wyobrażają oblicze z wysuniętą dolną szczęką niemieckiego typu; jeden portret jej z mężem — Piotrem III. — niewątpliwie w pierwszym roku pożycia malowany: on mężczyzna okazały, ona z wyrazem dziwnie zimnym, ustami zaciśniętymi, uróżowana, wcale niesympatyczna. Następują długim rzędem Aleksander i Konstanty Pawłowicze, Aleksander I. z żoną — dzieło Lebrun'a, Mikołaj I. i synowie i t. d. Sala portretów z 1812 roku wyobraża ogromny szeroki, dwupiętrowy kurytarz, mieszczący 250 wizerunków rycerzy t. zw. *obléczestwiennoy* wojny. W głębi dwaj cesarze i król pruski na koniach; naokoło generałowie. Spotykasz masę nazwisk polskich: twarze

marsowate, o rysach spokojnych, uczciwych. Inny widok przedstawia galerya z wojny tureckiej 1877 roku. Są to roboty różnych współczesnych artystów, którzy dbali więcej o grę światła i cieniów, niż o wierność przedmiotu lub ideę. „Przejście przez Balkany“ może być równie dobrze zadymką w górach kaukaskich lub przejściem Suworowa przez Alpy. Osobną salę mają marszałkowie Rosyi. Z jednej strony wiszą duże portrety Dybieza, Kutuzowa, Potiemkina, Rumiancowa, Paszkiewicza i Suworowa, z drugiej „Bitwa pod Wolą“ i „Zwycięstwo nad Węgrami“. Dybiez podobny do aktora: niski wzrost, twarz ogolona, włosy długie, rozwiane — wogóle postać nie okazuje wybitnych zdolności militarynych. Potiemkin — młodzieniec olbrzymiego wzrostu i rzadkiej urody; przy męskich, pełnych siły rysach maluje się brak woli i pochop do rozkoszy. Jeśli prawda, że był małżonkiem Katarzyny, to wesołe oblicze wyobraża chwilę osiągnięcia celu i świadczy o niepoślednim guście carowej. Paszkiewicz — także młody: twarz różowa, wzrok niepewny, dusza jeszcze uśpiona, ale lisie zawstydzenie tchnie z całości i dozwala przeczuwać w głębi krwawe seree. Wreszcie Suworow — prawda, że śmieszny, podobny do upudrowanej lalki lub poliszynela — a jednak przebija się przez tę maskę pewnością siebie, szczerość, coś niezwykłego, jakieś poczucie własnej wyższości. Z obrazów prawej strony zajęło mnie „Wzięcie Warszawy i okopów pod Wolą“. Widać masę wojsk ruskich; na czele generał Lewaszow w szyneli przyjmuje deputację wojskową Polaków. Z boku wieśniacy polscy zbili się w gromadkę z zafrasowanymi minami. Jeszcze mniej wyrazu ma „Zdobycie Woli“. Z rowu wdiera się na wał kilku żołnierzy ruskich. W głębi geometryczne rysunki okopów, garści wojsk, gdzieś białym dym. W środku kościół góruje nad obiema armiami; obok pop, prawie takich rozmiarów jak kościół, wznosi oczy do nieba i żegna żołnierza, któremu jakoś nie spieszo do boju. Bitwa potrwa niedługo, trudność jedynie w tem, iżby się z fosy wygrzebać. Jeśli w istocie cała Polska ówczesna zdobyła się na taką garstkę wojska, to klęska nieuchronna, a tryumf i zasługi wodzów i armii ruskiej — niewielkie.

Może za długo rozwiódłem się nad obrazami, ale też one są znamioną cechą pałacu, są jakby jego duszą. Zresztą od przepychu wielkich komnat wieje chłód przeraźliwy i smutny. Brak tutaj niezliczonych artystycznych drobiazgów łazienkowego lub wilanowskiego pałacu. Ludzie — pomimo tendencyjnych obrazów — nie miłują sztuki w najbliższem swem otoczeniu, odsyłając ją do Ermitażu. Meble przeważnie stylu *empire*, piękne, stoły wspaniale mozaikowane, czary z cennych marmurów — malachitu i *lapis lazuli*, kryształ potwornie duże, świeczniki i kandelabry, posadzki układane misternie z różnobarwnego drzewa, na ścianach sztukaterye i gipsatury, na innych setki srebrnych talerzy, ofiarowanych carom przez ludy, ale to wszystko takie bezduszne, martwe, sztywne i urzędowe, jakby po całym pałacu rozlany był jeszcze lęk, jaki po sobie zostawiła gwałtowna śmierć ostatniego mieszkańca — Aleksandra. Lubił on przemieszkiwać w Zimowym pałacu i miał w nim wygodnie acz skromnie urządzone kącie, z kilku pokoi złożony. Wszystkie komnaty wyścielone grubemi kołderkami i obite materją. W pierwszej zwraca uwagę wśród posągów statua św. Barbary i Pana Jezusa. W sali sypialnej — żelazne łóżko, ubiory, na stole podręczny modlitewnik, Pismo św., kilka strategicznych dzieł, fotografie rodziny, biusty Grzegorza XVI. i Napoleona, nożyczki, skórzany neseser, garstka drobnych pieniędzy, pomada, chusteczka do nosa. Obok za szkłem drzewko sosnowe, misternie ze srebra wykute, a na gałązkach wiszą miniatury rodziny: dar cesarzowej w 25-letnią rocznicę małżeńskiego pożycia. W pokoju tym nic się nie zmieniło od chwili śmierci, niczego nie tknięto. Aleksander II. był z zamiłowania żołnierzem, wytresowanym w tym kierunku przez wojowniczego ojca; pełno też tu śladów żołnierszczyzny — broni, modeli, planów i map. Ale był widocznie niezłym człowiekiem. Jeśli prawda, że zginął w przeddzień ogłoszenia konstytucyi, to może i prawda, co opowiadają o rozmowie z arcybiskupem Felińskim. Kiedy objął w 1855 r. rząd, miał mówić do arcypasterza: „Jestem dla Polaków jak najlepiej usposobiony — oznajmij to pan swym rodakom. Jednakże dodaj pan wyjaśnienie. Jam „samodzierzec“ — tak —

ale tylko co się tyczy złego. W dobrem jestem mocno ograniczony. Niechże siedzą cicho — a powoli zrobi się niejedno“.

Stąd wiodą nas do cerkwi zamkowej. Ładna. Prócz obrazów stoją posągi rzeźbione i Chrystus na krzyżu, co jest niezgodne z obrzędem wschodnim. Z rzeczy drogocennych zauważyłem: prawą rękę św. Jana, drzewo Krzyża św. od kawalerów maltańskich, obraz Matki Bożej pędzla św. Łukasza, miarę wzrostu Bogarodzicy, sukienkę cielisto-brunatnego koloru Pana Jezusa, której cząstki wkładają książętom do medalików.

Wyszliśmy wreszcie z pałacu tylną bramą, czujnie oglądani przez mnogą służbę w carskiej liberyi, łakomie przyjmującą datek; wyszliśmy nieco ogłuszeni i przytłoczeni ogromem i przepychem, z uczuciem chłodu i ziębiącej urzędowości gmachu. Pomimo wszystkiego nie chciałbym tu mieszkać, nie chciałbym nieustannie mieć za świadki życia ścian, ozdobionych bitwami, postaci, które mówią o krwawych czynach, miłostkach, intrygach, całego ogromu potęgi i sławy jednostek, okupionej nędzą i niedolą milionów. Nigdzie w Petersburgu, nigdzie chyba w Rosyi ten przerażający kontrast nie uświadamia się tak wyraziście i z taką siłą. Któż wie, jaka myśl i jakie uczucie czyni Zimowiy pałac niemiłym dla obecnego cara?

VIII.

A jednak kult caryzmu — taki jaskrawy właśnie w tym domu — w całym Petersburgu aż razi oko widza z Zachodu. Jak już na wstępie zauważyłem, najpiękniejsze i największe gmachy w stolicy są albo pałacami carów, albo budowlami administracyi carskiej, albo szkołami systemu rządowego. Prócz Zimowego, w którym śmierć dotknęła Katarzynę i Aleksandra, są jeszcze pałace: Aniezkowski, Marmurowy, własność Konstantego Mikołajewicza, miejsce klauzury i zgonu króla Stanisława, pałac księcia Michała Mikołajewicza, pałac taurydzki, pałac Mikołaja Mikołajewicza, maryjski, pałace Aleksego, Włodzimierza i Sergiusza Aleksandrowiczów — i wiele innych. Każdy niemal członek panującej rodziny posiada oddzielny swój gmach w stolicy, na każdym wybitniejszym punkcie miasta opiera się

oko i myśl o przystań caryzmu. Oprócz pałaców każdy car od stu lat posiada swój potężny pomnik. Najstarszy opisany przez Mickiewicza.

Posłano wyrwać z finlandzkich nabrzeży
Wzgórek granitu; ten na pani słowo
Płynie po morzu i po lądzie bieży
I w mieście pada na wznak przed carową.
Już wzgórek gotów; leci car miedziany,
Car knutowładny w todze Rzymianina,
Wskakuje rumak na granitu ściany,
Staje na brzegu i w górę się wspina.

Opis zupełnie wierny; dodałby chyba, że „wzgórek granitu“ składa się z dwóch złomów, że koń oparty o zbyt duży ogon gniece węża przesądów i ciemnoty, a cały pomnik, ważący 100.000 pudów, pomysłu i roboty Francuza Falconneta, nosi skromny lecz wymowny napis: *Petro primo Catharina secunda 1782 an.*

Aleksandrowi I. wzniósł kolumnę Mikołaj I. Kolumna na placu Dworcowym bardzo przypomina *la colonne de Juillet* w Paryżu. Różni się tem, że jest monolitem granitowym, wyższym od niej. Na szczycie postać skrzydłata z obliczem cara depcze węża, prawą ręką dzierży krzyż wschodni, lewą zaś wskazuje niebo. Płaskorzeźby boczne wyobrażają Niemen, jako starca lejącego wodę, Wisłę, jako piękną niewiastę o urnę opartą, nadto figury symbolizujące zwycięstwo i pokój, sprawiedliwość i miłosierdzie, mądrość i hojność. Całość ładna, ale skazana na śmierć. Granit finlandzki wietrzeje i kruszy się: szpary i pęknięcia skrzętnie zalepiają się cementami, lecz przyjdzie czas... Brzydszy jest pomnik Mikołaja: na kamiennym okrągłym słupie konna figura cara. Niezliczona ilość posągów i wypukłoścób otacza cokół: są tu znów symboliczne prawo, siła, mądrość, wiara, są sceny i epizody z carskiego życia. Materyał stanowi i bronz i granit i marmur: szary, czarny, brunatny, czerwony. Przeładowanie ornamentami, sztywna postać jeźdźca, szablonowy koń, słowem wszystko razem bardzo *grotesque* i niesmaczne. Za to znowu pomnik Katarzyny charakterystyczny. Na granitowej podstawie stoi carowa w płaszczu gronostajowym; w jednej ręce

berło, w drugiej wawrzynowy wieniec. Naokół u stóp jej Potiemkin, a niżej „stado orłów Katarzyny”: Rumiancow, Suworów, Czyczagów i t. p. Pośród nich Dierżawin czyta swoją służalczą odę: „Boska królowo, której niezrównana mądrość“...¹ Ale patos apoteozy bywa obluźgany gorzką ironią czasu. Oto niewinne gołębie upodobały sobie liczne załomy i szczeliny pomnika: gęsto się doń zlatują i zostawiają na pysznych „orłach” i na ich władczyni brzydkie ślady. A skoro już mowa o pomnikach carów, trzeba wspomnieć i o najnowszym dla Aleksandra II. Prawie na ukończeniu wznosi się na Ekaterynskim kanale, gdzie zamordowano cara, wspaniała świątynia. Półtora miliona rubli i niezliczoną ilość ikon zebrano z przymusowych składek, resztę daje skarb państwa z rozkazu Aleksandra III. Całość zbudowana z granitu finlandzkiego, marmurów uralskich i labradoru kijowskiego. Wszystkie obrazy wewnątrz i zewnątrz mają być mozaiką, co dotąd można podziwiać tylko w kościele św. Marka w Wenecyi. Dziewięć kopuł budowli — chram ma styl moskiewskich cerkwi XVII. wieku — będą emaliowane. Carские wrota — dar kupców Petersburga — całe srebrne.

Nietrudno sobie z tych kilku szczegółów wyobrazić prze-pych pomnika, jeśli się doda, że wszystkie drobiazgi będą do głównych części zastosowane. Jakichże czynów olbrzymich a do-broczynnych dla ludzkości dokonał ten, którego pamięci stawia się podobne pomniki? Przywodzą mi one na myśl piramidy Egiptu lub wielkie budowle zwyrodniałego cesarstwa rzymskiego. Są to widome znamiona władzy jednego rodu. Ale czy obok tych mocarzy z rodu byli w dziejach Rosyi wielcy ludzie? Czy na sto milionów ludu zawsze tylko carowie zasługują na uwiecz-nienie w żelazie, spiżu i granicie? Gdzie są ślady geniuszów, mocarzy nie złota i siły, ale ducha? Długo trzeba szukać w Pe-

¹ Tak się zaczyna jedna z licznych ód tego panegirysty carowej:

Богородица царевна
Киргиз-кайсацкая орды,
Которой мудрость несравненна!
Мурзамъ твоимъ не подражая. i t. d.

tersburgu, aby je znaleźć. Oto w Letnim ogrodzie w cieniu i na uboczu niewielkie popiersie Kryłowa, a na zboczach bazy sceny z jego bajek: żóraw wydobywa z gardzieli lisa kość ugrzęzłą, małpa nakłada okulary, łabędź, szczupak i rak wprzęgły się do wozu i t. p.

Na skwerze Aleksandrowskim koło Admiralicji na kamiennym piedestale popiersie Przewalskiego, a w różnych punktach ogrodu biusty kilku poetów: Puszkina, Zukowskiego, Gogola. Wszystko dopiero w ostatnich latach postawione kosztem zarządu miejskiego. Jakże mało śladów narodowej dzielności i siły, jak to nie nie znaczy w porównaniu z ogromem carskich monumentów! Ileż milionów rubli, ile krwi i potu ludu utonęło w tych murach i granitach carskich. Jakież uczucia i myśli kipieć muszą w łonach poddanych, gdy widzą nieprzebrane bogactwo w rękę jednego rodu, a sami oddają czasem ostatni kęs chleba na nie. Wyobrażam sobie, że jeśli serce cara jest szlachetne, to Petersburg ze swą apoteozą caryzmu na każdym kroku musi go wstydzić i mierzić; myślę, że radby on zstąpił nieraz z podniesienia, na którym więzi go ceremonial klik, aby okazać ludziom, że i on tylko człowiekiem.

IX.

Mikołaj II. bawi w Peterhofie. To niedaleko. Jedziemy tam na pięknym parochodzie „Carewicz“. Wiatr mierny, morze zlekka się pieni, ale „kaczeli“ niema. Dopływamy. Dzień powszedni, car odpoczywa w pałacu, ale wszędy pełno ludzi. Chodzimy po pałacowych korytarzach, pod oknami, w ogrodzie. Puszczają śliczne fontanny. Mnogość ich; mały Wersal. Samson rozrywa lwa, z którego paszczy bucha na dwadzieścia metrów w górę strumień. Otacza go rząd bóstw mitologicznych morskich; wśród alabastrów, złotych posągów, marmurowych tarasów, zieleni, różnobarwnego kobierca pięknych kwiatów zaczynają grać dwie muzyki. Publiczności przybywa, w olbrzymim parku robi się tłok. Po szerokich alejach snują się roje ekwipaży, zaprzężonych w pyszne „rysaki“ z opasłymi woźnicami na kozłach. Wszędzie gwarno, wesoło, pełno doborowej publiczności, mundurów, ruchu, życia i swobody.

A tuż poza pięknym ogródkiem egzotycznym pluska do wtóru wesola fala morska i otwiera się widok na dal bezbrzeżną. Sam ogród — nie jak w Pawłowsku — młody, przeważnie lipowy; są w rozkwicie, a słodka ich woń napelnia i przenika zmysły, poprostu upaja. Klony, jodły, róże, lewkonie i palmy czynią jakies rzeźwe, młodzieńcze wrażenie. Czujesz i rozumiesz, dlaczego młody car pośród swych licznych zamków właśnie ten obiera na letnią siedzibę. Poczynasz pojmować, że mocarz formami zakuty w srogą i ciężką niewolę, pragnąłby się zbliżyć po ludzku do ludzi, ściągnąć ich ku sobie, ufa im, wierzy, pomimo częstych złośliwych a może złych z ich strony ataków. Stąd owe codzienne koncerty, fontanny szumiące kaskadami srebrzystych kropel, stąd swoboda ruchów, dozwolona dla publiczności; stąd codzienne łączenie się z tłumem cara i rodziny. Dziś car był w teatrze na cele dobroczynne, jutro uczestniczy w spuszczeniu statku na wodę i t. p. Cudzoziemca, który słyszy o tajemniczości życia carskiej rodziny, zdumiewa swoboda, z jaką może wchodzić na marmurowe stopnie pałacu podczas przebywania w nim władcy.

Jeżeli dobrze zrozumiałem intencję obecnego cara zdobywania sobie pewnej popularności wśród ludu, to nasuwa się pytanie, czy drobne środki użyte ku temu wystarczają i zadowolnią? Czy *circenses* zastępują *panem*? Skoro państwo jakieś na gmachy rządowe, pałace panujących, sobory, muzea i pomniki carów może wydać setki milionów, to w równej mierze pamięta zapewne o potrzebach i wygodach publiczności. Ale gdzie tam!

Mówiłem już o oświacie w najszerszym znaczeniu. Tak samo ma się rzecz ze wszystkim, co dotyczy życia ludności. Weźmy np. handel. Miasto pod tym względem jest olbrzymim polipem, który żyje obcą krwią i obcemi sokami. Sklepów dużo: sam Dwór Gościnny ma ich kilkaset, a Newski i Wozniesieński Prospekty, Wielka Sadowa, Wielka Morska, Wielka i Mała Italiańska, Sienna płoszczad' — też pełne sklepów. Ale czy to dowód bogactwa Petersburga? Okolice głuche, puste, zalane błotem i tundrami, rola martwa, skarbów kopalnych w pobliżu niema — i wszystkie piękne rzeczy, widziane za parapetem wy-

stawowym — obce. Zboże i siano sprowadza się z południa drogą mikołajewską, mięso i jarzyny drogą warszawską, sukna, płótna i obuwie z Łodzi, Żyrardowa, Zgierza, Tomaszowa i Warszawy, galanterye z Anglii, Francyi i Warszawy, owoce z zagranicy. Można sobie wyobrazić, jaka w tem mieście drożyzna. Funt mięsa kosztuje tu 25 kop. (32 ct.), kwarta mleka 10 kop. (13 ct.), funt chleba 6 kop. (8 ct.), główka kapusty w czerwcu 60 kop. (80 ct.), cebula sztuka 3 kop. (4 ct.), *diesiatok* (10 sztuk) białych sliwek franc. 20 rs. (26 złr.), brzoskwina piękna 3 rs. (4 złr.), jabłko małe i kwaśne 5 kop. (7 ct.), szklanka czystej herbaty w cukierni 15 kop. (19 ct.), porcja jakiegokolwiek mięsa najmniej 50 kop. (65 ct.), porcja sterletu 2 rs. 50 kop. (3 złr. 25 ct.), służąca średniej dobroci bierze miesięcznej płacy 10 rs. (13 złr.), mieszkanie z trzech pokoików na drugim piętrze, z drzewem 600 rs. (780 złr.) rocznie! Dodać należy, że choć Żydów niema, ruski kupiec posiada ustaloną opinię zdziercy. Wmawianie kupującemu, że lichy towar jest *prima* jakości, nakładanie podwójnych cen uchodzi za rzecz zwykłą. Tak się odbywa wyzysk inteligencyi urzędniczej, która całkowicie ponosi szalone koszta szybkiego awansu przy wielkim ołtarzu. A jakie niedogodne, męczące i złe są w Rosyi środki komunikacyi! Pomijam koleje, gdyż od paru lat strefowa taryfa zmniejszyła koszt podróży dla tych, którzy odbywają większe nad 300 wiorst przestrzenie, choć i na kolejach podejrzliwa i częsta kontrola nieufnością przytłacza i zawstydza podróżnego.

Ale poczty, telegrafy i telefony urządzone tam wcale nie dla wygody publiczności. List pieniężny z Krakowa do Radomia idzie 5 dni, z Petersburga do Radomia 8 dni, z Wiatki 16 dni! Pierwszą przestrzeń przebywa się koleją w ciągu 8 godzin, drugą w ciągu 36 godzin. Gdy nadejdzie taki list, odbiorca otrzymuje *powiestkę* (uwadomienie). Udaje się z nią na pocztę. Ale tam posyłki mu nie dadzą: musi się zaopatrzyć w potwierdzenie tożsamości osoby u gospodarza domu, następnie w biurze policyi, wszędzie się opłacać, a gdy zdyszany po dwugodzinnem bieganiu jawi się na pocztę, musi wystawić dwukrotne urzędowe pokwitowanie odbioru — i dopiero wówczas rozeina się

również w urzędowy sposób list, przelicza się pieniądze i doręcza. Nadto zachodzi w Rosyi to *curiosum*, że pocztę odbierają nie wszystkie stacye kolejowe. Są nawet w pobliżu położone punkty, między któremi niema bezpośredniej komunikacji pocztowej. Jeśli dwa takie punkty leżą w różnych guberniach, to korespondencya musi iść przez miasto gubernialne i przebywać niekiedy zamiast dziesiątek setki, a zamiast setek — tysiące wiorst. Opłaty pocztowe od małych sum są drogie. Dość powiedzieć, że posyłka 2 rubli kosztuje w Rosyi 20 kop., t. j. 10% wartości sumy posłanej. Jeśli marka pocztowa w kantorze urzędowym kosztuje 7 kop., to w sklepie o $\frac{1}{2}$ kop. drożej. Kantory zaś urządzone nędznie i urzędnicy źle płatni. Widząc w Petersburgu tyle wspaniałych gmachów cesarza i rządu, pytałem, gdzie poczta? Nie umiano mi wskazać po prostu. Taż sama historia z telegrafem. Dzienniki wciąż utyskują, że telegramy wysyła się koleją, że się je otrzymuje po tygodniowym terminie. Telefony np. prawie w całej Europie już stały się instytucją państwową; w Petersburgu dotąd monopol posiada amerykańskie towarzystwo i bez litości wyzyskuje publiczność, biorąc 250 rs. rocznej opłaty za urządzenie przewodnika. W stolicy państwa zatem urządzenia, mające służyć ku zaspokojeniu potrzeb ludności, nie mogą się chlubić opieką rządu. Ale o to mu zgoła nie chodzi: Petersburg ma inne cele.

O nich pisze się nieraz w Rosyi. Jedni wyrażają się z przekąsem o narodowej polityce i praktyce *obrusienia* petersburskiego okresu, nie szczędzą chlubnych epitetów (jak „białokamienna“, „złote makówki“) dla Moskwy, a chcieliby Petersburg utopić w podskórnem błocie fińskich tundrów; inni bronią roli obecnej stolicy nazywając ją „grodem-egoistą“, ale sławiąc dążenia. Celem jego zrusyfikować i zlać w jedno, przetrwać cały świat krajów, narodów, języków i religii, składających dzisiejszą Rosyę. Panowanie nad Słowiańszczyzną — „od fińskich zimnych skał do gorącej Kolchidy“ — celem Petersburga. Warszawa dawno padła; prymat Polski zniesiony. W 1830 roku pisał poeta Tiutczew: „Braterską strzałą porażony, spełniając sądy losu, upadłeś orle współplemienny na stos oczyszczający. Wierz słowom ludu

rosyjskiego: twój proch my święcie zachowamy i wspólna nasza wolność powstanie zeń jak Feniks¹.

Odtąd minęło z górą pół wieku. Petersburg — wedle potrzeby — czy gwałtem i przemocą, czy polityką, groźbą i pochlebstwem, po cichu i ze szczękiem broni — ale zawsze i wytrwale dąży do kresu: zniszczyć przeszkody wewnętrzne i zewnętrzne, a stanąć na czele słowiańskiego świata. I chyba wówczas przestanie być centralnym punktem cara, rządu, kliki urzędniczej, środowiskiem rozpusty i niewiary, nędzy i szkorbutu, łapówek i giełdowych szwindlów, chyba wówczas przestanie świecić przepychem murów i pomników carskich — kiedy stolica przeniesie się do Carogrodu.

Antoni Mazanowski.

¹

Тыжъ, братскою стрѣлою пронзенный,
Судебъ свершая приговоръ
Ты палъ, орьелъ одноплеменный,
На очистительный костеръ.
Вѣрь слову русскаго народа:
Твой пепелъ мы свято сбережемъ
И наша общая свобода,
Какъ Фениксъ возродится въ немъ.

O WĄTPLIWOŚCIACH PRZECIW WIERZE.

(Ciąg dalszy).

III.

Poprzednie rozdziały doprowadziły nas nareszcie do samego jądra kwestyi o wątpliwościach przeciw wierze. — Dlaczego wiara wzbrania się dopuścić choćby najumiarkowańszy sceptycyzm do swego łona; dlaczego w tym punkcie tak daleko się rozechodzi z nauką, nie pozwalając nigdy wierzącemu wątpić o rzeczach wiary? Stanęliśmy przed temi pytaniami; odrzuciliśmy odpowiedzi, jakie na nie dają teolodzy skrajnie racjonalistyczni i fideiści; dziś te pytania domagają się od nas odpowiedzi i wytłumaczenia.

Słuszną jest rzeczą przy każdej pracy uwzględnić materiały, nagromadzone w tym kierunku przez poprzedników i wyniki badań, do których oni doszli. Nie myśmy pierwsi podjęli pracę nad wyświeceniem rozumnego charakteru wiary. Jesteśmy karłami w porównaniu z tymi, co przez wieki obronie wiary się poświęcali. Oni wszyscy nie w wierze niezgodnego z rozumem nie znaleźli. Ani dobrej wiary i szczerej chęci szukania prawdy tym badaczom odmówić nie można, ani usilnej, mozolnej pracy. Ta sama już okoliczność zdaje się być niemałym dowodem, że trudność, którą spotkaliśmy w nauce o wątpliwościach przeciw wierze, jest tylko pozorną.

Przyznać wprawdzie trzeba, że cały kompleks przyczyn spowodował stopniowe przyjęcie wiary chrześcijańskiej przez

* Europę i przez ludy z innych części świata (poza Europą jest obecnie około 150 milionów chrześcijan; wyznawcy Chrystusa stanowią mniej więcej 35% ludności ziemi). Pragnienie pewności, idealna wyższość nauki chrześcijańskiej nad dawnymi wierzeniami, blask świętości i szlachetności, który chrześcijaństwo otaczał, korzyści cywilizacyjne z jego przyjęciem połączone, oto niektóre z dróg, jakimi wiara chrześcijańska doszła do teraźniejszego panowania. Wola i uczucie, instynktowy popęd religijny zapewne miały swój udział przy rozszerzaniu chrystyanizmu; nie można jednak wykluczyć powodów natury czysto intelektualnej. Inaczej byłoby niewytłumaczalnem, jak się stać mogło, że nie tylko prosty gmin, ale i ludzie najpotężniejszych umysłów, jakie świat przez długie wieki wydał, byli wierzącymi chrześcijanami. A wielcy ci geniusze minionych czasów i teraźniejszych wierzyli, jak to z ich dzieł widać, nie tylko uczuciem, ale wierzyli dlatego, że byli głęboko przekonani o prawdziwości swej wiary — wierzyli rozumnie.

Fakt sam, że wierzyło tylu z największych i najszlachetniejszych ludzi, obdarzonych wybitną potęgą i samodzielnością umysłu, jest niezbitym dowodem, że wiara także myślącym i wykształconym ludziom przedstawiała się jako zgodna z rozumem. Niekoniecznie jednak z tego faktu wynika, że cała nauka wiary we wszystkich swych szczegółach jest już rozumną.

Rozumność wiary uwydatniała się przedewszystkiem w czasach, kiedy to jeszcze wiara wśród pogaństwa się szerzyła, w zupełnej wolności badania, którą Kościół neofitom zostawiał i do której nawet ze świętą otwartością zachęcał. Później również silnie za rozumnością wiary przemawiały dociekania rozumowe, podjęte przez Doktorów Kościoła celem zgłębienia wiary i wszechstronnego pogodzenia jej z rozumem, a przez Kościół zawsze gorąco popierane. Z drugiej strony zarzuty naukowe, podniesione w dawnych wiekach przeciw wierze, mogły być rzeczywiście słabe, tak, że i w największych geniuszach wyrobiło się głębokie subiektywne przekonanie o rozumności wiary. A ta właśnie subiektywna pewność mogła być powodem, że już nie zwracali

uwagi na część nauki kościelnej, odnoszącą się do wątpliwości o wierze i rozchodzącą się z zasadami czysto filozoficznymi.

Że uczeni przeszłych wieków racjonalnie wierzyli, przyznają to chętnie nawet ci, co dzisiaj starą wiarę zupełnie porzucili. Tłumaczą to w ten sposób, że dawniejsi uczeni, będąc subiektywnie przekonani o prawdziwości wiary, przeoczały wewnętrzne cechy nienaukowości wiary, występujące na wierzach dopiero dzisiaj, kiedy nauki wiarą zachwiały. Owszem nowożytni pozytywiści mimo pozornych sprzeczności twierdzą, że ten sam duch nimi kieruje, co wierzącymi ich poprzednikami. „Jest to paradoksem — pisze Dugas w nader ciekawym artykule „O zanikaniu wiary“ (*La dissolution de la foi*) — a przecież ścisłą prawdą, jeżeli się twierdzi, iż w dzisiejszych niedowiarkach odżył duch dawnych ludzi wierzących. W istocie odrzucono stare dogmata dla tych samych powodów, dla których zostały przyjęte: przyjęto je jako zgodne z rozumem, odrzucono je jako niezgodne z nim“. — O ilu to rzeczach nasi przodkowie byli przekonani, z których się dzisiaj śmiejemy. Wszystkie ciała ziemskie składały się z czterech elementów: ziemi, wody, ognia i powietrza; cudne dla oka naszego gwiazdy na niebie, według zdania średnich wieków, były z materii wyższego rzędu, nieskazitelne. My dzisiaj wiemy, że to są bajki, ale przodkowie nasi także rozsądnie postępowali, kiedy w braku lepszych teorii tych się trzymali.

Czemużby religijne pojęcia nie miały podlegać podobnemu przeobrażeniu? Wszak nikt nie przeczy, że chrystyanizm oddał cywilizacyi nieocenione usługi; wielom nawet weale nie chodzi o jego odrzucenie. Czując niezbędną potrzebę religii, chcą pozostać przy chrystyanizmie a tylko oczyścić go ze starych legend. Trzeba na nowo w myśli tych filozofów odtworzyć postać Jezusa za pomocą ścisłych naukowych badań, taką, jaka była w rzeczywistości. I ta postać prawdziwsza i idealniejsza będzie punktem środkowym nowej religii, wznioślejszej i rozumniejszej, bez przymieszek cudów i średniowiecznych wymysłów. — Tak

¹ *Revue philosophique*, septembre 1898, str. 231.

pod wpływem wątpliwości, wywołanych w umyśle wierzącego, ale naukom oddanego chrześcijanina, przez krytyczne badania starej wiary wiara ta stopniowo się rozkłada, aby ustąpić wierze innej, niemniej wzniosłej, a bardziej racjonalnej.

Nie jeden z młodych, fałszywym pozytywizmem zarażonych umysłów, widzi w takim przeobrażeniu religii, dokonaniem wewnętrzną niejako siłą własnego rozumu, coś ponętne, coś odpowiadającego godności ludzkiej natury. Zdaje mu się, że z tych poglądów i teoryj wieje duch prawdziwej wolności — a do wolności w naszych szczególnie czasach wszystko wzdycha. Wierzącym jednak sumienie zaraz przypomina anatem, który Kościół rzuca na tego rodzaju teorie; skutkiem więc nabytego przyzwyczajenia łatwo od nich się odwracają. Ale umysł raz zaniepokojony nie tak łatwo wraca do dawnej równowagi. Ciągłe go korci i gryzie pytanie: czemuż Kościół nie pozwala na naukowe kwestyonowanie wiary, przynajmniej na zawieszanie sądu o niej wobec tego, że tylu najuczestszych ludzi twierdzi, iż starej wiary w naszych czasach obronić już nie można. Czyż się godzi z uszanowania dla świadectw przeszłości gardzić zdaniem teraźniejszych uczonych? — I my sądzimy, iż ze stanowiska wyłącznie intelektualnego sądy dawnych szczerze wierzących uczonych nie są dla rozumu wystarczającym rozwiązaniem tak trudnej kwestyi. Ich bowiem powadze można przeciwstawić inne powagi ludzi niemniejszą bystrością rozumu obdarzonych. Oprócz tego rozum chciałby mieć wewnętrzną rację, tłumaczącą naukę Kościoła, wykazującą przynajmniej jej zgodność z rozumem; dlatego rozum niezadowolony powagą Augustynów i Kartezjuszów, natarczywie powtarza: Czemuż, czemuż?! Czyż wiara nie pozwala nawet szukać odpowiedzi na to „czemuż“?

Owszem pozwala i każe.

Dla rozumu już to samo, że może szukać odpowiedzi na pytania, które go dręczą, jest znaczną ulgą. — Z wracającym spokojem wraca i światło, a rozum sobie przypomina, że wiara katolicka zawiera nieskażoną, bo przez Boga samego podaną prawdę i stąd wykluczać musi wszelkie wątpliwości. Nauka także do tego dąży by stworzyć silną, niezachwianą podstawę, na

której śmiało dalej budować można. Żaden rozumny człowiek nie podaje w wątpliwość prawd, dowodami zewsząd stwierdzonych. Przymiotem prawdy jest niezmiennosc; religia katolicka jest prawdą najwyższą, a więc niezmienną, wykluczającą wszelką wątpliwość. Nauka Kościoła o wątpliwościach przeciw wierze tłumaczyłaby się więc tem, że wiara ani najmniejszej przymieszki fałszu w sobie nie zawiera, gdy przeciwnie nauki ludzkimi siłami zdobyte, mało zawierają absolutnych prawd i stąd racjonalnie wątpliwościom szerokie pole zostawiać muszą.

Chwilowo może umysł w tej odpowiedzi spocznie, atoli wnet uczuje, że go niezupełnie zadowalnia. Dobrze — powiada — niech wiara sobie będzie najczystsza obiektywną prawdą, ale czyż nie potrzeba — jakśmy to ostatnim razem wykazali — aby obiektywna prawda naszemu umysłowi jako taka się przedstawiła, zanimbyśmy mogli niezachwianie w niej spocząć? Nie mówię o uczonych teologach, ale pytam się: jakimże sposobem dorastający młodzieniec może mieć tę subiektywną pewność, wykluczającą wszelką możliwość wątpienia? Wiara jest zbiorem prawd najwznioślejszych; ochrzczono nas jako dzieci; rodzice, katecheta nauczyli nas wiary; rozum się rozwinał, zaczął spostrzegać w tej wierze mnóstwo rzeczy trudnych do pojmowania, widział, że tysiące innych ludzi tej wiary nie mają. Skąd, pytam się znowu, pochodzi, że w takich warunkach, wobec piętrzących się trudności, Kościół zakazuje zapuszczać się w wolne badania nad wiarą? Nie przyniosłoby to przecież żadnej ujemy samej obiektywnej prawdzie wiary; byłoby to tylko wyznaniem własnej ciemnoty i niemocy.

Lecz i na tę powtórna trudność znajdzie się odpowiedź. Rozum, skoro tylko w dziecku się obudzi, natychmiast je do wiary prowadzi; nie mogąc sobie jeszcze zdać dokładnej sprawy z psychicznych swych stanów, dziecko już w głębi duszy czuje zgodność zasad wiary z rozumem, poznaje jak ta wiara najdoskonalej odpowiada wszystkim wymaganiom i potrzebom ludzkiej natury, a z drugiej strony powaga rodziców lub księdza, w którym widzi wieloną powagę wiekową świętego, po całym świecie rozgałęzionego, potężnego Kościoła, utwierdza

je w przekonaniu, że Bóg to wszystko objawił. Czyż najwyższe jestestwo nie mogło się udzielić nam nędznym ludziom? Któżby potrafił udowodnić, że Bóg tego nie mógł. A jeżeli może, jeżeli rzeczywiście tak uczynił, to absolutnie się nie godzi wątpić o jego słowach. Wiara więc nie tylko jest obiektywnie najwyższą prawdą, ale i subiektywnie w tak jasnym świetle naszemu umysłowi się przedstawia, że wszelką rozumną wątpliwość wyklucza. Wobec świadectwa Boga nikną świadectwa wszystkich ludzi, choćby najmędrszych; ustąpić też musi i rozum.

Nie wchodząc w ocenianie wewnętrznej siły przytoczonych dowodów, które wiarę obronić mają od wszelkiej wątpliwości, pytamy się mimowoli: skąd, jeżeli wiara jest tak oczywistą, mogło do tego przyjść, że w naszym wieku oświaty tyle ludzi wiarę porzuciło? Powstały w nich wątpliwości, ulegli im i porzucili wiarę; krótkie te słowa streszczają najdonioślejszą kryzys wewnętrzną, przez którą wiele dusz dzisiaj przeszło i nieustannie jeszcze przechodzi. Czyż można przypuścić, a według powyższych tłumaczeń przypuścićby trzeba, że wszystkie te wątpliwości są nierozumne; skądże się więc wzięły, jeżeli nie z rozumu?

Nie prostszego, odpowiadają nieraz na to pytanie obrońcy wiary, — ze złej woli. Zepsuta wola, oto źródło wszystkich wątpliwości przeciw wierze. Woli dolegają obowiązki, które jej wiara nakłada, stąd szuka sposobności, by zrzucić z siebie to jarzmo. A ponieważ człowiek ma naturalny wstręt do nieracjonalnego postępowania, stąd z radością się chwyta każdego pozoru, jaki wątpliwości mu podają, by przed sobą i drugimi usprawiedliwić swe odstępstwo od wiary. I Pismo św. zdaje się temu tłumaczeniu sprzyjać, przypisując niewiarę sercu Ojcowie też Kościoła podobnie się wyrażają. Renan powiada, „że mało ludzi ma prawo nie wierzyć chrystyanizmowi“, tak silne są dowody, któremi jego prawdziwość jest obwarowana zewsząd wiekową pracą największych umysłów¹.

¹ *Souvenirs d'enfance et de jeunesse, Revue des deux mondes*, t. XLII, str. 70.

W końcu, gdy się przyjmie za pewnik, iż wszystkie wątpliwości przeciw wierze tylko w złej woli swój powód mają, same przez się upadną trudności przeciw nauce kościelnej o wątpliwościach. Tłumaczy się ona wtenczas czysto racjonalnie, według zasad, które rozum w razie wątpliwości dyktuje. Nieracjonalne wątpliwości rozum zawsze odrzucać każe; wszystkie wątpliwości przeciw wierze są nieracjonalne, a więc wiara zgodnie z rozumem je odrzuca, bo oczywiście na to pozwolić nie może, by złe skłonności woli zaciemniały prawdę. Tak mówią obrońcy wiary.

Ale znowu ci, co od wiary odstąpili, ani słyszeć nie chcą o takim tłumaczeniu. Nie znaleźlibyśmy między nimi ani jednego, któryby porzucenia wiary nie przypisywał powodom czysto rozumowym, wykazującym mu z taką jasnością fałszywość wiary, iż już dalej w niej trwać nie mógł. Robotnik i uczony podadzą nam bardzo różne powody swego odstępstwa, ale jeden i drugi będzie usiłował tłumaczyć je racjonalnie. W niektórych wypadkach będziemy mieli słuszne powody powątpiewania o wiarogodności tych zeznań, ale czy zawsze? — Z listów, z opowiadań najpoważniejszych mężów, nareszcie z autobiografii możemy sobie odtworzyć dokładny obraz przejścia z wiary głębokiej do zupełnego niedowiarstwa jednego z najgłośniejszych odstępców naszego wieku, Renana. Renan od młodości wychowany był w najszczytniejszych ideałach moralności chrześcijańskiej. Zetknięcie się z wzorowymi księżmi, z apostołami, jakimi byli ks. Dupanloup, trzyletni jego przełożony w seminarium St. Nicolas, utwierdziło go w przywiązaniu do wiary i moralności. Podczas studyów filozofii scholastycznej w zakładzie księży Sulpicianów w Issy, obudziły się w nim pierwsze wątpliwości przeciw wierze, które jednak wiary nie zachwiały. Dopiero gdy na teologii z całym zapalem młodzieńczym oddał się studyom języków wschodnich i Ksiąg św. i poznał racjonalistyczną filozofię i egzegezę niemiecką, mnożące się wątpliwości zaczęły zagrażać jego wierze, aż go nareszcie doprowadziły do zupełnego z nią zerwania. W liście z 6 września 1845 r., napisanym krótko przed swem wystąpieniem z seminarium, pisze: „Chryścjanizm

zadowolnia wszystkie władze mej duszy, wyjąwszy jednej, najbardziej od wszystkich wymagającej, ponieważ ma prawo sądzić o wszystkich innych“.

Wierni naszemu założeniu, nie wchodzimy teraz w kwestyę, jaki wpływ zła lub dobra wola miała na ostateczną decyzję Renana; nie pytamy się, czemu nie szukał więcej światła u tego, który był jego mistrzem w naukach biblijnych, świątobliwym i uczonym ks. Le Hir, o którym sam świadczy, że wszystkie trudności racjonalistyczne dokładnie znał i głęboko ich siłę ocenił? Nam na tem miejscu tylko o to chodzi, skąd wątpliwości swój początek biorą, a sądzymy że u Renana woli za powstanie wątpliwości przeciw wierze winować nie można.

Jak więc w wielu wypadkach dominujący wpływ woli zaraz w oczy wpada, tak w innych wszystko za tem przemawia, że wątpliwości z rozumu się poczęły a nie ze zepsutej woli; w innych znów niesłuchanie trudnem będzie rozstrzygnąć, skąd one właściwie pochodzą. A tymczasem, ażeby utrzymać powyższą teorię, trzeba by zupełnie dowodnie wykazać, że w każdym wypadku bez wyjątku wątpliwości pochodzą od złej woli.

Oprócz tego jednak, sam sposób tłumaczenia kościelnej nauki o wątpliwościach, przypisujący ich powstanie wyłącznie wpływowi woli, zdaje nam się niezgodnym z prawdziwym pojęciem wiary, a może nawet dla niej szkodliwym. Albowiem tłumaczenie to suponuje pewną oczywistość objawienia, i stąd też jego zwolennicy, aby zabezpieczyć wierzących przeciw wątpliwościom i dla wiary pozyskać tych, co już o niej zwątpili, zbyt nacisk kładą na przekonującą siłę dowodów Objawienia. To trąci racjonalizmem. Mało kogo się tą metodą skutecznie we wierze utwierdzi, nikogo z ludzi dzisiejszym duchem przesiąkniętych do niej się nie nawróci. Nawet niebezpiecznem jest oprzeć się choć tylko pozornie na oczywistości Objawienia, gdyż każdy czuje, ile niższą jest pewność faktu Objawienia, nie od pewności innych faktów historycznych, ale od prawd oczywistych, które jedynie wszelką możliwość rozumnej wątpliwości wykluczają.

A więc jakżeż chcemy obronić naukę Kościoła o wątpliwościach? Nie zadowolnilibyśmy się dla rozwiązania tej kwestyi

powagą największych mężów minionych wieków, odrzuciliśmy tłumaczenia, opierające się na oczywistości Objawienia, nie zgodziliśmy się na zdanie, że wątpliwości przeciw wierze tylko od woli pochodzić mogą. Chyba już nic innego nam nie pozostaje, jak przyznać, że o wierze rozumnie wątpić można. Tem samem jednak — zdaje się — uznalibyśmy już sprawę za przegraną.

Nie sądźmy zbyt prędko.

Przypatrzymy się tylko nieco bliżej wierze, porównajmy ją z nauką, a przekonamy się, że wiara rzeczywiście więcej nam daje okazji do rozumowych trudności, aniżeli każda inna nauka. Co więcej, podczas gdy nauka do tego dąży, by coraz bardziej usunąć wszelką podstawę do wątpliwości, i jako cel sobie wytyka jasne poznanie rzeczy, istota wiary wyklucza jasność poznania. Wiara, dopóki jest wiarą, będzie zawsze pełną ciemności, — wiara nigdy rozumu zupełnie nie uspokoi.

Wynika to już z samego jej przedmiotu. — Wiara zostawia naukom ścisłym świat fenomenalny i ziemię całą ze swemi cudami przyrody, przestwory nieba z miliardami gwiazd: to pole badania naukom właściwe, w które wiara nigdy nie wkracza, choć czasem na nie zapędzają się teologowie. Niech śmiały umysł człowieka ćwiczy swe siły na tym świecie, niech próbuje rozwiązywać zagadki, które przyroda na każdym kroku mu zadaje, niech bada prawa, które z tak dziwną potęgą i harmonią wszechświatem rządzą, niech przemyśliwa nad podbijaniem sobie tej materji, w której jak drobny atom tonie, a nad którą przecież wewnętrznym instynktem czuje się niezmiernie wyższym. Wiara w tę pracę się nie wdaje. Ona postawiła sobie za cel wprowadzić człowieka w świat nieskończenie większy, aniżeli ten, którego i tak już granic nie znamy — a liczb nam nie starczy, by oznaczyć ogrom tego, co znamy.

Wiara chce nas pouczać o tem, o czem agnostycy twierdzą, że nic nie wiemy i nic wiedzieć nie możemy. „Głównym przedmiotem wiary jest Bóg“ — powiada św. Tomasz — a wszystkie inne rzeczy tylko o tyle wchodzą w zakres wiary, o ile stoją w bezpośrednim stosunku do Niego. Wiara o tym nam mówi, do

którego dusza wzdycha, bez którego własnego ją zrozumieć nie możemy — od którego filozofia się odwróciła, bo go zrozumieć nie mogła, do którego filozofia znowu się zwraca, bo bez niego istnieć nie może. Wiara jest zwiastunką tamtego świata, upragnioną ale tajemniczą. Tu niepodobna, by prawdy były tak jasne, jak: 2 a 2 jest 4. Tu wszystko ciemne. Stąd morze trudności dla rozumu. Odczuwali tę ciemność nawet i ci, którzy byli świadkami wielkich rzeczy, jakie Pan Jezus zdziałał. Najdobitniej to wyraził wielki teolog apostołów, św. Paweł, porównując wiarę z widzeniem „przez zwierciadło, pod zasłoną“.

Nie byłoby jednak tej tajemniczości, gdybyśmy mieli w wierze przynajmniej ewidencję zewnętrzną. Ale wiara nam żadnej ewidencji nie daje, ani o pojedynczych dogmatach, ani nawet o fakcie Objawienia; a rozum w kwestyach tak zawilych, jakimi są kwestye o objawieniach religijnych, może nam tylko dać pewność moralną, nie więcej. Zresztą choćby nam rozum najoczywiściej wykazał prawdziwość faktu objawienia, toby nam jeszcze nie usunął ciemności, które wiarę otaczają, bo wiara silniejszego od nas wymaga przekonania, aniżeli najsilniejsze dowody daćby nam mogły.

Kiedy więc i przedmiot wiary i sposób poznania go otoczone są mgłą, cóż dziwnego, że w umyśle niezaspokojonym mnóstwo trudności się rodzi, z których znów łatwo wątpliwości powstawać mogą.

Na tem polega pierwsza esencyonalna różnica między wątpliwościami naukowemi a wątpliwościami w wierze. Stwierdzając ją, nie zrobiliśmy żadnego ustępstwa na rzecz racjonalizmu. Racjonalizm powiada, że wiara tak samo jak nauki dopuszcza rzeczywiste wątplenia, do których wyjaśnienia przez usilną pracę dojść można — myśmy tylko wykazali, że wiara z natury swej daje rozumowi niejako okazyę do najliczniejszych wątpliwości, do których zupełnego wyświecenia nigdy dojść nie możemy. Nauka doprowadza nas do uznania, wykluczającego wszelką wątpliwość przez poznanie, wiara nigdy nam oczywistego poznania nie daje, stąd zawsze otwarty zostaje przystęp dla wąt-

pliwości¹. Nie powiedzieliśmy jednak, jak Hermes, że pod naciskiem trudności tak licznych rozum powinien rzeczywiście o rzeczach wiary wątpić; to już jest twierdzenie czysto racjonalistyczne, które według dopiero co wyłożonego przez nas poglądu na wątpliwości, jeszcze mniej pogodziłby się dało z wiarą, aniżeli teoria Hermesa. Hermes kazał zawieszać wiarę na czas badania, zostawiając nadzieję pozyskania jej na nowo jako owoc prac krytycznych. My wręcz zaprzeczamy, żeby naukowe badania same przez się kiedykolwiek do wiary doprowadzić mogły. Gdybyśmy więc dopuszczali do wiary wątpliwości rzeczywiste, dopóki rozum nie znajdzie na nie naukowej odpowiedzi, tobyśmy raz na zawsze wiarę do szczytu znieśli.

Wytlumaczyliśmy się dostatecznie przeciw możliwemu zarzutowi racjonalizmu, ale czyśmy przez to nie wpadli w czysty fideizm? Jeżeli przyznajemy, że wiara wątpliwości rozumowych nie wyklucza, owszem, że niejako je w sobie zawiera, to jakimże sposobem przed rozumem usprawiedliwić możemy drugie nasze twierdzenie, że wątpliwości te w niczem zachwiać nie mogą przekonania wiary? Zdaje się, że w naszym rozumowaniu niema konsekwencji. Zgadzamy się na to, że trudności rozumowe we wierze nie są bezpodstawne, zgadzamy się i na to, że nie jesteśmy w stanie ich rozwiązać, a nagle cofamy się przed ostatnim krokiem, do którego logika, zdaje się, doprowadzić nas powinna — nie chcemy uznać uprawnienia rzeczywistego wątpienia. Sądzymy, że i z tego zarzutu oczyścić się zdołamy, a to nas doprowadzi do drugiej charakterystycznej cechy wątpliwości przeciw wierze.

A naprzód różni się nasze dotychczasowe tłumaczenie tem od fideizmu, że wcale nie wykluczamy z góry rozumnego roz-

¹ Nie możemy się wstrzymać od przytoczenia na potwierdzenie naszego tłumaczenia choć jednego miejsca ze św. Tomasza, z któregośmy obficie w ciągu całej pracy czerpali: „Quia intellectus (per fidem) non hoc modo terminatur ad unum, ut ad proprium terminum perducatur, qui est visio alicuius intellegibilis, inde est quod eius motus nondum est quietatus, sed adhuc habet cogitationem et inquisitionem de his, quae credit, quamvis firmissime eis assentiat: quantum enim est ex se ipso, non est ei satisfactum, nec est terminatus ad unum“. *De Ver.* q. xiv, a. 1, in c.

trząsania trudności przeciw wierze; owszem uważamy to niekiedy za ścisły obowiązek prawdziwego katolika, za konieczny prawie warunek, by się utrzymać w wierze; powiadamy tylko, że wiara nigdy nam nie da odpowiedzi, któraby zupełnie zaspokoiła wrodzone pragnienie jasnego poznania prawdy. — Pozornie zbliża nas do fideistów, iż nie dopuszczamy do wątpienia rzeczywistego, choć według zasad czysto rozumowych i na to powinniśmy przystać. Nielogiczność ta jednak jest w istocie tylko pozorną i z samej istoty wiary katolickiej racjonalnie się tłumaczy.

Kiedy w badaniach naukowych albo wogóle w naszym codziennem życiu wątpliwości nam się nasuwają co do tej lub owej rzeczy, to słusznie te wątpliwości wpływają na zmianę naszego przekonania, jeżeli widzimy, że są uzasadnione. Albowiem o tyle tylko powinien rozumny człowiek o jakiejś sprawie sądzić, o ile ją poznał albo sam przez się, albo na podstawie prawdziwie wiarogodnego świadectwa. Wątpliwość zaś, jeżeli jest racjonalną, zaciemnia to poznanie. Powierzam swe sprawy adwokatowi N. N., bo go poznałem jako człowieka uczonego i zdolnego. Słyszę z poważnych ust, że ten sam adwokat jest w blizkich stosunkach z ludźmi bardzo wątpliwej czei, skutkiem czego budzi się we mnie podejrzenie, że może nie dość blizko poznałem tego człowieka i stąd logicznie zaczynam się chwiać w powziętym o nim sądzie. Tak samo dzieje się we wszystkich wątpliwościach, dotyczących się porządku czysto rozumowego. Zwracają się one bezpośrednio nie przeciwko przekonaniu, ale przeciwko poznaniu rzeczy, a ponieważ rozumne uznanie jest jak najściślej zależne od poznania, stąd też i wątpliwości, wpływając na poznanie, wpływają tem samem na sąd o poznanej rzeczy — innemi słowy na uznanie lub przekonania.

Pod tym względem wątpliwości we wierze od innych wątpliwości niczem się nie różnią. Pochodząc od tego samego rozumu, zwracają się one bezpośrednio przeciw poznaniu prawd wiary, a skoro to poznanie, jakeśmy się przekonali, jest bardzo ograniczone, konsekwentnie wiara otwierać musi wątpliwościom szersze jeszcze niejako pole, aniżeli nauki. Zgodziliśmy się naj-

zupełniej na ten logiczny wniosek; a mimo to twierdzimy, że wątpliwości przeciw wierze, choćby największe, nie dają prawa do zachwiania się w tejże. We wierze bowiem uznanie żadną miarą przyczynowo się nie łączy z poznaniem i dlatego ciemność w poznaniu sama przez się nie powinna za sobą pociągnąć zmiany przekonania.

Słyszymy, jak nam czytelnik tu przerywa zarzutem, że zamiast się wywikłać z nielogiczności, teraz dopiero sami ze sobą wpadamy w sprzeczność. Powtarzaliśmy tyle razy, że wiara jest rozumna, a tu twierdzimy, że uznanie we wierze przyczynowo nie łączy się z poznaniem. Jeżeli wiara nie wypływa z poznania prawdy, to jakie inne znajdziemy dla niej oparcie — chyba uczucie, popęd religijny, instynkt; a wtedy wiara będzie aktem uczucia, będzie, jeśli kto chce wynikiem jakiegoś niepowstrzymanego, naturalnego popędu nie będzie jednak nigdy wiarą rozumną.

Pod tym zarzutem kryje się jedna z najważniejszych trudności, jaka się w naszych czasach apologetyce do rozwiązania narzuca, a którą zwyczajnie krótko tak formułują: Jeżeli wiara, jak katolicy powiadają, nie jest wynikiem logicznego rozumowania, jakżeż można ją nazwać rozumną; a jeśli jest, to nieчем się już nie różni od każdej innej wiedzy i dlatego we wszystkim, nie wyjmując wątpliwości, do zasad czysto rozumowych stosować się winna. Apologeci nowocześni przedewszystkiem we Francyi tak wielkie znaczenie przypisują dobremu rozwiązaniu tej trudności, że dla niej także porzucili starą scholastyczną metodę apologetyczną, sądząc, że ona nie jest w stanie dać zadowalniającej odpowiedzi na to pytanie. — Główne zasady do rozwiązania tej kwestyi podaliśmy już w artykule o wewnętrznej pewności wiary¹; dziś samą kwestyę nieco dokładniej omówić nam wypada, by lepiej oświecić naukę Kościoła o wątpliwościach przeciw wierze.

Wszyscy doktorowie katolicycy zgadzają się na to, że przekonanie wiary nie jest i być nie może ostateczną konkluzją

¹ Zob. *Przegląd Powszechny* lipiec, sierpień 1897.

jakiegokolwiek rozumowania. Wiara nigdy nie będzie, ściśle mówiąc, owocem badań naukowych, w tym sensie, żeby miała być przez nie spowodowana jako skutek przez swą przyczynę. Również pewnem jest, według nauki kościelnej, że przekonanie wiary według całej swej niezachwianej siły czerpie swą moc z daru Bożego, zwanego łaską wiary, który Bóg tym obiecał i daje, którzy poznawszy go rozumem, gotowi są korzyć się przed jego majestatem całością swego jestestwa. Z tego jasno wynika, że przekonanie z wiary płynące, będąc darem Bożym a nie produktem wrodzonych sił naszego rozumu, zupełnie się różni od każdego innego przekonania i dlatego słusznie i wobec wątpliwości innym zasadom podlegać musi. — Trudność leży tylko w pogodzeniu powyższych nauk z nauką o rozumności wiary. Zdaje nam się, że najlepiej tę trudność wyjaśnimy, wykładając w krótkich rysach, jakim sposobem tłumaczmy sobie genezę wiary.

Aby wiara za łaską Bożą w nas powstała, potrzeba najprzód, jako *conditio sine qua non*, aby człowiek rozumem poznał, iż Bóg od niego wymaga zupełnego poddania się słowom przez się objawionym. Człowiek to poznaje, kiedy się przekonywa o Boskim charakterze Kościoła, żądającego w imię Boże, by każdy, kto do niego wstępuje już w progu jego wsparty przez łaskę Bożą wzbudził akt wiary. Poznanie Boskiego charakteru Kościoła, poprzedzające wiarę — a tu leży klucz dla zrozumienia tak trudnej kwestyi — wcale nie potrzebuje być oczywistem; wystarczy ta moralna pewność, potrzebna byśmy w sumieniu się czuli obowiązani do spełnienia rozkazu tak niezmiernej ważności.

Każdy, który wierzy w istnienie najwyższego Jestestwa, niema żadnej racyi przeczyć z góry możliwości objawienia. Nie może też wykluczyć możliwości, iż to jestestwo chciało nas powołać do uczestniczenia swego nieograniczonego poznania i szczęścia pod warunkiem, że najprzód tu na tej ziemi gotowi będziemy poddać swój rozum i za pomocą jego nadzwyczajnego wsparcia wierzyć absolutnie w to, co nam objawił, mimo że rozum jasno poznaje, iż ani prawd tych ogarnąć i zreniknąć, ani na taką siłę przyłgnięcia do nich własnymi siłami zdobyć się

nie może. Możliwość takiej hipotezy jest jasna, gdyż nic niema w niej sprzecznego, nic nierozumnego. A jeżeli możliwem jest, że Bóg w taki sposób nam się objawia, to szaleństwemby było, nie spełnić tego rozkazu w chwili, kiedy obowiązek spełnienia go przedstawia się nam z moralną pewnością. Szaleństwemby było, powiadam, nie zadowolnić się pewnością moralną przy poznaniu obowiązku wiary, ale czekać na jakąś absolutną ewidencję, do której wogóle tak rzadko na tym świecie dochodzimy. Wszystkie konkretne obowiązki w życiu przedstawiają nam się zawsze z moralną tylko pewnością — taką widocznie Stwórca nam dał naturę — skądże więc rozum nasz ma prawo wymagać w tym jednym wypadku większej jakiejś pewności, przechodzącej zwyczajną jego możność i siły? Uznalibyśmy wszyscy za nierozumnego człowieka tego, któryby powiedział: nie wątpię o tem, że rodziców cześć należy, własnych jednak rodziców nie czezę, bo nie mam absolutnej pewności o tem, że są moimi rodzicami. Bez porównania mniej rozumnym jest ten, który powiada: przyznaję, że gdyby Bóg przemówił i zażądał odemnie poddania rozumowi prawdom objawionym w ten sposób, jak to Kościół katolicki wymaga, byłbym bez kwestyi ściśle obowiązany do posłuszeństwa; przyznaję, że za prawdziwością objawienia chrześcijańskiego tyle przemawia dowodów, że one stanowią moralną pewność, ale pozostają mi jeszcze niewyświecone pewne naukowe trudności i dlatego... wierzyć nie mogę. Tego „nie mogę“ nie dyktuje widocznie rozum ale zuchwalstwo rozumu, które uznać nie chce swej zależności od wyższego rozumu i swych obowiązków poddaństwa.

Tym więc sposobem tłumaczy się, że wiara jest rozumną, a przecież mocy swej nie czerpie z dowodów rozumowych. Rozum dyktuje nam z moralną pewnością obowiązek poddania się Bogu i wierzenia tak, jak tego Kościół od nas wymaga — stąd wiara jest rozumną. Przekonanie zaś niezachwiane wiary już nie powstaje, jak w naukach pod wpływem dowodów, lecz w chwili, kiedy człowiek wewnątrz się poddaje, łaska Boża go oświeca i nadprzyrodzoną siłą przylgnięcia do prawd objawionych obdarza. Dlatego św. Tomasz powiada, że „uznanie, które jest

głównym aktem wiary, pochodzi od Boga, działającego w duszy przez łaskę¹, a tłumaczając jak wiara może być rozumną, jako najgłówniejszy powód podaje to, że człowiek wierząc, idzie za „wewnętrznem natchnieniem Boga“², choć przedtem musi rozumowo przekonać się o wiarogodności objawienia³. Na ciekawe pytanie, czy wiara mogłaby być i bez cudów, św. Tomasz odpowiada: „Wiara przechodzi przyrodzoną możność człowieka, stąd z daru Bożego pochodzi“, a tym darem Bożym gardzić nie wolno, choćby cudów i innych znaków zewnętrznych przyciągających do wiary nie było⁴.

Wszystkie więc wątpliwości, zwracające się oczywiście tylko przeciw poznaniu prawd objawionych, np. przeciwko możliwości wcielenia, przeciw obecności Pana Jezusa pod postaciami chleba, w niczem nie mogą przekonania zachwiać, dopóki człowiek nie cofa swego poddania się Bogu. Dopiero w chwili, kiedy człowiek się decyduje nie pełnić już dalej tego obowiązku, w tej samej chwili siła przekonania znika, bo znika źródło, z którego ono płynęło — łaska wiary. Na to zresztą nie potrzeba nawet żadnej rozumnej trudności; wystarczy niechęć do wiary, wywołana z jakiegokolwiek praktycznych powodów, stąd np. że wiara jest niewygodna w życiu. W ten sposób zrywa się węzeł, łączący rozum ludzki przez łaskę z rozumem Boga. Przeciwnie, póki człowiek trwa w gotowości wierzenia temu, co Bóg objawił, póty łaska wiary daje mu tę moc przylegania nadludzką siłą nie tylko do prawd objawionych, ale i do samego faktu, że Bóg objawił. Tym sposobem także wątpliwości, zwracające się przeciw obowiązkowi poddania się Bogu w niczem wiary zachwiać nie zdołają, gdyż człowiek po przyjęciu wiary przez łaskę, i o istnieniu faktu objawienia ma najwyższą pewność. Tę pewność zachwiać może jedynie wypowiedzenie Bogu dobrowolnego poddaństwa — czyn widocznie rozumowi przeciwny. Dlatego więc wiara zgodnie z rozumem żadnego przystępu nie daje wątpliwościom; zgodnie z zasadami rozumu odstępuje od zasad,

¹ *Summa*, II, II, q. IV, a. I. ² I. c. q. II, a. IX.

³ I. c. q. I, a. IV, ad 2. ⁴ *Quodlibetum*, II, a. IV, in c.

które rozum dla wątpliwości w badaniach filozoficznych i naukowych postawił. Wątpliwości naukowe uderzają w same podstawy przekonania i dlatego mają moc i prawo zachwiania i obalenia ich; wątpliwości przeciw wierze fundamentu przekonań ledwie się tykają i dlatego choćby szalały koło niego, w niczem naruszyć go nie mogą.

Nauka wyłożona nie jest martwą teorią, ale życiową prawdą, która się najdobitniej zaznaczyła w szkołach teologicznych, przejętych duchem prawdziwie katolickim, jakimi były szkoły aleksandryjskie, antyiocheńskie, a w czasach rozkwitu scholastyki Sorbona. Uprawiano tam wszędzie studyum teologiczne z niezrównaną swobodą. Każdy mógł przedkładać trudności i domagać się zadawalniającej go odpowiedzi, nie ustępować dopóki jej nie otrzymał. Renan wychował się właśnie w szkole takim duchem przejętej i przyznaje, że „potężna i dobra wiara starej nauki kościelnej tem się odznaczała, iż w niczem nie ukrywała siły zarzutów“. Szlachetna ta śmiałość, połączona z niezmiennym dogmatyzmem katolickim, niczem się tłumaczyć nie daje, jak tylko głębokiem przekonaniem o prawdziwości nauki kościelnej i sile wiary, której żadne zarzuty na szwank wystawić nie mogą. Dopóki rozumowanie nasze opiera się tylko na czysto rozumowych podstawach, towarzyszy mu prawie zawsze pewna obawa, dopuszczająca możliwość obalenia naszych poglądów; wiemy i czujemy, że każda silniejsza trudność może zaprowadzić zmianę w zapatrywaniach. Stąd uczeni nawet w czasach postępu i krytycyzmu często swym uczniom nie zostawiają ani cząstki tej swobody, która cechowała dawne dysputy teologiczne, choć sami uczeni swej nauce zwykle nie przypisują pewności niezbi- tej, ale tylko jako hipotezę ją przedstawiają.

Potwierdzenie nareszcie naszych poglądów znajdujemy często w historyach nawróceń. Wątpliwości i brak tej najwyższej pewności, którą z natury mieć pragniemy w kwestyach religijnych, trapiły umysły zbliżające się do wiary nieraz aż do ostatka. Byli to często ludzie nieposzlakowanych obyczajów, szczerze do prawdy dążący a przecież do pewności wiary z własnych sił dojść nie mogli. Aż nagle w jednej chwili, kiedy się korzyli

przed Majestatem Bożym, wszelki niepokój ustępował a pewność najwyższa zajmowała miejsce dręczącej niepewności. Zostawały wątpliwości jako trudności teoretyczne, zostawało pragnienie wyświecenia ich, ale znikał wszelki cień chwiejności w przekonaniu. Nawet ci, którzy pracą rozumu doszli do szczytów dostępnej jeszcze dla sił ludzkich pewności, doświadczyli na sobie głębokiej zmiany, jaką łaska spowodowała w ich duszach, już przekonanych o prawdziwości wiary. „Jest to wzniosła chwila — powiada Lacordaire, opisując swe nawrócenie¹ — kiedy ostatni promień łaski wnika do duszy i zbiera w jedną całość prawdy w niej rozrzucone. Między chwilą poprzednią a chwilą następną, między tem, czem się było przedtem a tem, czem się jest potem, leży taka przepaść, że wynaleziono słowo „łaska“, aby wyrazić to magiczne uderzenie, ten błysk z nieba. Zdaje mi się, że widzę człowieka, idącego po omacku naprzód z oczami zawiązanymi: powoli usuwa się zasłona i światło do jego oczu przenika — w chwili, kiedy zasłona spada, jasność słoneczna zewsząd go otacza“.

Wprowadzenie elementu nadprzyrodzonego do wiary, które tak racjonalnie wiarę całą i jej stosunek do wątpliwości tłumaczy, gdyby było wymysłem ludzkim, byłoby takim arcydziełem mądrości, że już to samo musiało zwracać uwagę wszystkich myślących ludzi na wiarę katolicką. Szukajmy coś podobnego w innych wierzeniach. Znajdziemy tam jako podstawę przekonań albo fanatyzm, jak u mahometan, albo mistyczne dumania, jak w religiach Wschodu, albo najnieracjonalniejsze baśnie, jako jedyną podstawę wierzeń. Tylko wiara katolicka tłumaczy się przez wplatanie mocy Boskiej w siły ludzkie, co niczem nie uwłacza rozumowym zasadom, a rozumowi daje rację, czemu się wiara nad wszystkie wątpliwości unosi.

(Dok. nast.).

Ks. Wł. Ledóchowski.

¹ List z 11 maja 1824.



SPIS RZECZY.

Artykuły o rzeczach współczesnych.

	Stronica
Z RUCHU AGRARNEGO W BELGII. Przez <i>ks. Leonarda Lipkego T. J.</i>	46
NOWE PRĄDY W SOCYALIZMIE NA KONGRESIE STUTTGARCKIM. Przez <i>ks. Leonarda Lipkego T. J.</i>	374

Artykuły naukowe i literackie.

PROGRAM NOWEJ POLSKIEJ POEZJI. Przez <i>ks. Jana Pawelskiego T. J.</i>	1
FOUILLÉE O PSYCHOLOGII SWEGO NARODU. (Dokończ.). Przez <i>d-ra Bronisława Łozińskiego</i>	30
KARTKA Z DZIEJÓW NASZYM PODOBNYCH. Przez <i>T. W.</i>	63 201
VASILE ALESSANDRI, książę pieśni rumuńskiej. Przez <i>Wiktora Wieckiego T. J.</i>	85 184
DWA TYGODNIE W PETERSBURGU. Przez <i>A. Mazanowskiego</i>	161 334
O WĄTPLIWOŚCIACH PRZECIW WIERZE. Przez <i>ks. Wł. Le- dóchowskiego T. J.</i>	222 356
JERZYK, KRÓL CZECHÓW. (Charakterystyka). Przez <i>d-ra Antoniego Prochaskę</i>	244 389
Z KORESPONDENCYI BOHDANA ZALESKIEGO. Przez <i>Stu- niława Zdziarskiego</i>	313

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

KSIĘGI HUMORU POLSKIEGO. Zebrał, ułożył i objaśnił K. Bartoszewicz. (<i>Ks. Romuald Koppens T. J.</i>)	100
PETŐFI ALEKSANDER, król poetów węgierskich w życiu i poezyi. Przez Plato v. Reussnera. (<i>Ks. J. Pawelski T. J.</i>)	108
ŻYWOT OJCA HERMANA, w zakonie Augustyna od Najśw. Sakramentu, Karmelity. Przekład z francuskiego. (<i>Ks. M. Morawski T. J.</i>)	109
WYKŁAD LITURGII KOŚCIOŁA KATOLICKIEGO. Napisał ks. Antoni Nowowiejski. T. I., poszyt pierwszy i drugi. (<i>X. T. J.</i>)	110
BYRON I JEGO WIEK. Studya porównawczo-literackie. M. Zdzichowski. Tom I. Europa Zachodnia. Tom II. Czechy, Rosya, Polska. (<i>Dr. Józef Kallenbach.</i>)	264
GRAMATYKA JĘZYKA POLSKIEGO przez Adama Antoniego Kryńskiego, czł. koresp. Akad. Umiej. w Krakowie. (<i>Dr. Stanisław Dobrzycki</i>)	273
WSPOMNIENIA JENERAŁA KLEMENSA KOŁACZKOWSKIEGO. Ks. I. Od 1793 do 1813. (<i>M.</i>)	275
W GÓRACH OLBRZYMICH. Stanisław Belza. (<i>Wiktor Wiecki T. J.</i>)	279
BOSKA KOMEDYA. Dante Alighieri, w przekładzie Edwarda Porębowicza. I. Piekło. (<i>Ks. M. Morawski T. J.</i>)	409
KONSTANTY-IRENEUSZ POMIAN HR. ŁUBIEŃSKI, biskup sejnejski. * * * (<i>Dr. K. Krotoski.</i>)	413
ALEKSANDER KUCHARSKI (1736—1820), malarz polski w Paryżu. Prof. dr. Jerzy Mycielski. (<i>Leonard Lepszy.</i>)	426
DZIESIEĆ DNI W PUŁAWACH W ROKU 1828. Urywek z pamiętnika Sabiny z Gostkowskich Grzegorzewskiej. (<i>B.</i>)	427
ELŻBIETA SETON. Obraz dzielnej niewiasty. Skreślony według dzieła pani de Barberey przez Feliksę Eger. (<i>M.</i>)	428

Z piśmiennictwa zagranicznego:

COMPENDIUM HISTORIAE PHILOSOPHIAE. Usui scholastico aptavit P. Eusebius Stateczny, Ord. Fr. Min. S. Theol. et Philosophiae Lector Gen. (<i>Ks. dr. Fr. Gabryl.</i>)	112
HALMA. Perez Galdos. — MISERICORDIA. Tenże. (<i>T. W.</i>)	120
CAUSAL-NEXUS ZWISCHEN LEIB UND SEELE UND DIE DARAUS RESULTIERENDEN PSYCHOPHYSISCHEN PHÄNOMENE. Von Dr. Heinrich Metscher. (<i>G. Fihauer T. J.</i>)	280
ACTES DU I. CONGRÈS ANTIMAÇONIQUE INTERNATIONAL. Tome premier (<i>Ks. Marcin Czerwiński T. J.</i>)	283
HISTORICKÁ MLUVNICE JAZYKA ČESKÉHO. Napsal Jan Gebauer. (Historyczna gramatyka języka czeskiego. Napisał Jan Gebauer). Díl I. Hláskosloví. Díl III. Tvarosloví, č. I. Skloňaváci. (T. I. Głosownia. T. III. Morfologia, cz. I. Deklinacya). (<i>Dr. Stanisław Dobrzycki</i>)	286

III

	Stronica
MON CHEVALIER. Par Gabriel Franay. (<i>M.</i>)	291
JUDAS. DAS FÜNFTE EVANGELIUM. Eine dramatische Dichtung von Heinrich Driesmans. (<i>J. Flach</i>)	293
DE EXEMPLARISMO DIVINO, seu doctrina de trino Ordine exemplari et de trino rerum omnium ordine exemplato. Auctore Etn. Dubois, Ss. Redempt. (<i>Ks. M. Morawski T. J.</i>).	429
NOCHMALS DER BIBLISCHE SCHÖPFUNGSBERICHT. Von Fr. v. Hummelauer S. I. (<i>Ks. Stanisław Trzeciak</i>)	431
O PŮVODU SLOVANŮ. Studie k slovanským starožitnostem. Dr. Lubor Niederle. (O pochodzeniu Słowian. Studya nad słowiańskimi starożytnościami). (<i>Dr. Stanisław Dobrzycki</i>).	433
COMPLICATIONS SENTIMENTALES. Par Paul Bourget. (<i>M.</i>)	436
LA VÉNÉRABLE LOUISE DE MARILLAC, M ^{LE} LE GRAS, fondatrice des Filles de la Charité de St. Vincent de Paul, par mgr. Baunard. (<i>M***</i>)	439

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

PAŹDZIERNIK.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Katolickie interesa w Palestynie. — Żywotność katolicyzmu. — Wiece katolickie. Przez <i>ks. Wł. Ledóchowskiego T. J.</i>	136
LIST O STOSUNKACH RELIGIJNYCH W ANGLII. Przez <i>Edmunda S. Naganowskiego</i>	147
JESZCZE O MONSTRANCYI GOTYCKIEJ Z R. 1474. Przez <i>G. br. Mantuffla</i>	157

LISTOPAD.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Prasa zagraniczna o Polsce. — Demokracja katolicka w Belgii. — Angielskie towarzystwo apologetyczne. Przez <i>ks. Wł. Ledóchowskiego T. J.</i>	296
STATYSTYKA KONWERSYJ I APOSTAZYJ W WIEDNIU. Przez <i>Józefa Glinkiewicza</i>	303

GRUDZIEŃ.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Z Francyi. — Wiec demokratów chrześcijańskich w Lyonie. — O pielgrzymce cesarskiej. — Uchwała Koła. Przez <i>ks. Wł. Ledóchowskiego T. J.</i>	443
OGRÓDKI RZEMIEŚLNICZE. (Les jardins ouvriers). Przez <i>M.</i>	453

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: Ks. M. MORAWSKI T. J.